



**UUK**

JACK L. CHALKER

# WYJŚCIE

Tytuł oryginału *Exiles At The Well Of Souls*



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
Czas . . . . .	4
Laboratoria Gemezjun, Makewa . . . . .	5
Nowe Pompeje, asteroid obiegający niezamieszkały system gwiazdy Asta. . . . .	23
Na pokładzie frachtowca Assateaque . . . . .	29
Nowe Pompeje . . . . .	36
Na dole — godzina 10.40 . . . . .	71
Górna strona Nowych Pompei — godzina 11.00 . . . . .	73
Nowe Pompeje — dolna półkula . . . . .	79
Statek Treliga, pół roku świetlnego od Nowych Pompei — godzina 12.10 . . . . .	81
Nowe Pompeje — godzina 11.50 . . . . .	90
Teliagin, południowa półkula Świata Studni . . . . .	106
Południowa strefa biegunowa w Świecie Studni . . . . .	113
Winda zbliża się do górnej stacji na Nowych Pompejach . . . . .	120
Strefa Południowa . . . . .	129
Teliagin . . . . .	131
Uchjin, Północna Półkula . . . . .	141
Teliagin . . . . .	147
Strefa Południowa . . . . .	154
W pobliżu granicy Teliagin-Kromm, o zmroku. . . . .	164
Strefa Południowa . . . . .	174
Makiem . . . . .	179
Dasheen . . . . .	196
Agitar . . . . .	211
Lata . . . . .	221
Djukasis . . . . .	224
Strefa Południowa . . . . .	230
Lata . . . . .	235
Trójkąt Tuliga-Galidon-Olborn, o zmroku. . . . .	244
Granica Palim i Gedemondas. . . . .	263
Gdzieś w terenie. . . . .	266

Obóz 43, Gedemondas . . . . .	270
Na ścieżce w Gedemondas. . . . .	274
Na górskim szlaku . . . . .	275
Gdzieś w terenie. . . . .	277
Strefa południowa . . . . .	286
Na pokładzie statku w pobliżu Glathriel . . . . .	289
Załącznik — Rasy, o których mówi się w książce. . . . .	292

# Czas

Książka składa się z wielu odrębnych epizodów, które łączą ze sobą perypetie kilkorga głównych bohaterów. Zmieniają się, i to szybko, uczestnicy akcji, wydarzenia następują po sobie w szybkim tempie. Czytelnik przywykły do tradycyjnego pojmowania wszechświata, ludzi, stworzeń, kształtów i związanej z tym narracji może mieć niejakie trudności z wyobrażeniem sobie bytów i umiejscowieniem zdarzeń w czasie i w przestrzeni. Dlatego właśnie powinien pamiętać, że zmiana planu zachodzi równoległe z poprzedzającą ją akcją, i to niezależnie od wielości takich zmian. Dzieje się tak, dopóki nie pojawią się znowu pierwotne postaci. Taki układ może się wydawać zbyt skomplikowany, jednakże w trakcie lektury nie powinien nastęczać kłopotów.

## Laboratoria Gemezjun, Makewa

Nie to było dziwne, że laborantka Gilgama Zindera miała koński ogon; naprawdę zdumiewające było to, że ona sama nie widziała w tym najwyraźniej niczego dziwnego czy niezwykłego.

Zinder był wysokim, chudym, raczej ponurym facetem o szpakowatych włosach i długiej, siwiejącej capiej bródce. Z tym wyglądem sprawiał wrażenie starszego niż był naprawdę i bardziej wyczerpanego. Również jego szaroniebieskie oczy, zaczerwienione i okolone ciemną obwódką, zdradzały przepracowanie. Nie miał głowy do jedzenia przez ostatnie dwa dni, a o śnie nie było co marzyć.

Samo laboratorium też wyglądało dość niezwykle. Zaprojektowano je w kształcie amfiteatralnym, z okrągłym podnoszonym podium, wystającym jakieś 40 centymetrów ponad zwykłą podłogę, i służącym za scenę. Nad nim zawieszono urządzenie przypominające działo, zakończone niewielkim zwierciadłem, z którego wystawało w środku cienkie ostrze.

Wzdłuż ścian aparaturę obiegała galeryjka. Zapewniała ona dostęp do tysięcy zamontowanych na nich wskaźników, przełączników i zegarów, migających światełkami, a także do czterech rozmieszczonych w równych odstępach tablic rozdzielczych. Przed jedną z nich właśnie zasiadał Zinder; przy pulpicie naprzeciwko siedział znacznie od niego młodszy mężczyzna w połyskliwym ochronnym kombinezonie, który kontrastował ze strojem laboratoryjnym Zindera, sprawiającym wrażenie zesłowiecznego.

Kobieta stała na okrągłym podeście i wyglądała dość zwyczajnie. Jej trochę zbyt obfite i obwisłe kształty pani przed czterdziestką prezentowałyby się pewnie znacznie lepiej w odpowiednim opakowaniu niż w stroju Ewy.

Gdyby nie ten koński ogon, długi i bujny.

Popatrzyła w górę na obu mężczyzn z odrobiną zdziwienia i zniecierpliwienia.

— No dobra, dajcie spokój! — zawołała. — Może byście coś wreszcie zrobili? Tu jest naprawdę zimno.

Ben Julin, młodszy badacz, uśmiechnął się i przechylił przez balustradę.

— Pomachaj jeszcze chwileczkę ogonem, Zetta. Szybciej nie możemy! — zawołał dobrodusznie.



I rzeczywiście, stała tam, machając ogonem, jakby chciała w ten sposób rozładować frustrację.

— Naprawdę nie widzisz różnicy, Zetta? — spytał Zinder swoim cienkim, piskliwym głosem.

Popatrzyła zdziwiona, a potem przesunęła dłońmi po ciele, nie omijając ogona, jakby chciała sprawdzić.

— Nie, doktorze Zinder. Niczego nie zauważyłam. Dlaczego miałabym... Czy coś się we mnie... zmieniło? — odpowiedziała niepewnie.

— Czy wiesz, że masz ogon? — podsunął Zinder.

Zrobiła zdumioną minę.

— Oczywiście, że wiem — odpowiedziała takim tonem, jakby posiadanie końskiej kity było czymś najnormalniejszym w świecie.

— I nie masz wrażenia, że jest to... no... dziwne, czy niezwykle? — wtrącił Ben Julin.

Teraz kobieta wyglądała na naprawdę zmieszana.

— Nie, dlaczego, oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym się temu dziwić?

Zinder rzucił spojrzenie swojemu asystentowi, piętnaście metrów na drugą stronę laboratorium.

— Ciekawa ewolucja — zauważył.

Julin kiwnął głową.

— Kiedy zrobiliśmy miskę fasoli czy zwierzątko laboratoryjne, wiedzieliśmy mniej więcej, na co nas stać, ale nie sądzę, bym się spodziewał czegoś takiego.

— Przypomnij sobie teorię — podsunął Zinder.

Julin kiwnął znowu.

— Zmieniamy prawdopodobieństwo w polu. To, co się dzieje z czymś czy kimś w polu, jest przez obiekt odczuwane jako normalne, ponieważ zmieniliśmy również jego podstawowe równanie utrzymujące równowagę. Fascynujące. Gdybyśmy mogli rozszerzyć skalę eksperymentu... — Urwał, zafascynowany perspektywą.

Zinder zamyślił się.

— Tak, to prawda. Cała populacja mogłaby doznać przemiany, której nigdy by nawet nie dostrzegła. — Odwrócił się i jeszcze raz rzucił okiem na kobietę z ogonem.

— Zetta? — zawołał. — A czy wiesz, że my nie mamy ogonów? Że nikt z naszych znajomych nie ma ogona?

Przytaknęła bez wahania.

— Tak, wiem, że wydaje się to wam niezwykle. Ale w końcu o co ten cały hałas? Przecież wcale nie próbuję się z nim kryć.

— Czy twoi rodzice mają ogony, Zetta? — spytał Julin.

— Oczywiście, że nie! — odparła. — Powiedzcie mi wreszcie, o co tu w tym wszystkim chodzi!

Młodszy uczony znowu popatrzył w stronę swego starszego kolegi.  
— Będziemy to jeszcze ciągnąć? — spytał.  
Zinder lekko wzruszył ramionami.  
— A dlaczego nie? Pewnie, najchętniej zrobiłbym badanie głębinowe i przekonał się, jak daleko można pójść, ale jeżeli możemy to zrobić raz, to możemy to robić kiedykolwiek. Sprawdzajmy lepiej po kolei.  
— Dobra — zgodził się Julin. — Od czego zaczniemy?  
Zinder zastanawiał się przez chwilę. Potem nagle sięgnął ręką i dotknął tablicy obok zagłębienia mieszczącego mikrotelefon.  
— Obie? — powiedział do mikrofonu.  
— Słucham, doktorze Zinder? — odpowiedział głos komputera, mieszczącego się za ścianami galeryjki. Taki sobie przyjemny, fachowy i... ludzki... tenor.  
— Zauważyłeś, że obiekt nie dostrzegł, byśmy go w jakikolwiek sposób zmienili?  
— Owszem — przyznał Obie. — Czy chcesz, żeby odczuła zmiany? W takiej sytuacji równania nie są już takie stabilne, ale na pewno nie puszcza.  
— Nie, nie, w porządku — odparł Zinder pośpiesznie. — A co sądzisz o postawie bez zmian w psychice? Czy to możliwe?  
— Znacznie mniejsza zmiana — odpowiedział komputer. — Ale właśnie dlatego łatwiejsza do przeprowadzenia i łatwo odwracalna.  
— A więc dobrze, Obie. Wprowadziliśmy konia do macierzy systemu, masz więc całego konia i całą Zettę.  
— Konia już nie mamy — zauważył Obie.  
Zinder westchnął ze zniecierpliwieniem.  
— Ale przecież masz jego dane? Przecież stąd się wziął ten ogon, prawda?  
— Tak, doktorze — odpowiedział Obie. — Znowu się przekonałem, że nie zawsze trzeba brać wszystko dosłownie. Przepraszam.  
— W porządku — uspokoił Zinder maszynę. — Pomyśl no, a może byśmy się wzięli do czegoś większego? Czy masz w pamięci słowo i opis centaury?  
Obie zastanawiał się najwyżej milisekundę.  
— Tak. Przy takiej przemianie trzeba by się jednak trochę napracować. Poza wszystkim są takie kwestie, jak system wewnętrzznego transportu płynów ustrojowych, systemu naczyń krwionośnych, dodatkowych połączeń nerwowych itp.  
— Ale mógłbyś to zrobić? — wtrącił Zinder pośpiesznie, trochę zaskoczony.  
— O tak!  
— Ile by to trwało?  
— Dwie do trzech minut — odpowiedział Obie.  
Zinder wychylił się przez barierkę. Dziewczyna z ogonem nerwowo kręciła się na podeście, wyraźnie zirytowana sytuacją.



— Asystent Halib! Proszę przestać się miotać i wrócić na środek kręgu! — skarcił ją. — Jesteśmy już prawie gotowi, a ty zgłosiłaś się do doświadczeń dobrowolnie.

— Przepraszam, doktorze — odpowiedziała z westchnieniem i stanęła w zaznaczonym miejscu.

Zinder popatrzył na Julina.

— Na mój znak! — zawołał, a tamten potwierdził skinieniem głowy.

— Teraz!

Mała lustrzana tarcza pod sufitem poruszyła się, mały szpic pośrodku skierował się w dół i nagle cały krąg poniżej zalała bladobłękitna poświata, która opalizowała na obrysie ciała kobiety. Wydawało się, że zastygła, niezdolna do najmniejszego ruchu. Potem nagle jej obraz zamigotał, tak jakby był wyświetlony na niewidocznym ekranie, a wkrótce zniknął zupełnie.

— Znane nam równanie utrzymujące równowagę obiektu zostało zneutralizowane — powiedział Julin do automatycznej sekretarki. Spojrzał na Zindera.

— Gil? — zawołał, lekko zdenerwowany.

— No? — mruknął Zinder, myśląc o czymś innym.

— A co będzie, jeżeli nie sprowadzimy jej z powrotem? To znaczy... jeśli ją po prostu zneutralizowaliśmy? — powiedział Julin nerwowo. — Czy ona będzie istnieć, Gil? Czy kiedykolwiek jeszcze zaistnieje?

Zinder oparł się w fotelu, zastanawiając się.

— Nie, w takim razie przestałyby istnieć — powiedział. — Co się tyczy innych spraw... no cóż, spytamy Obiego. — Pochylił się i włączył linię komputera.

— Tak, doktorze? — dobiegł ich spokojny głos maszyny.

— Nie zakłócam procesu, prawda? — spytał Zinder ostrożnie.

— O, nie — odparł komputer pogodnie. — Zajmuję się tamtą sprawą jedną ósmą mojego potencjału.

— Czy możesz mi wyjaśnić: gdyby obiekt nie został powtórnie ustabilizowany — czy mógłby w jakiś sposób istnieć? Czy kiedykolwiek ta dziewczyna będzie jeszcze istniała?

Obie się zastanawiał.

— Nie, oczywiście, że nie. Stanowi ona mniejszą część podstawowego równania, oczywiście, nie mogłoby to więc wpłynąć na rzeczywistość taką, jaką znamy. Nastąpiłyby jednak zmiany dostosowawcze. Byłoby tak, jakby jej po prostu nigdy nie było.

— W takim razie: co by było, gdybyśmy zostawili ją z ogonem? — wtrącił Julin. — Czy wszyscy wiedzieliby, że ona ma ogon?

— Dokładnie — potwierdził komputer. — Poza wszystkim musi mieć przecież powód do istnienia, w przeciwnym razie równania się nie zrównoważą. Ale i w tym przypadku nie miałyby to żadnego wpływu na ogólne równanie.

— A co mogłoby to równanie zakłócić? — zapytał siebie Zinder, zasłaniając mikrofon, a potem wrócił do indagacji. — Powiedz mi, Obie, jeżeli jest tak, jak powiadasz, dlaczego my wszyscy — to znaczy, ty i ja — jesteśmy świadomi tego, że rzeczywistość została odmieniona?

— Znajdujemy się bardzo blisko pola — odpowiedział Obie. — Wszyscy, którzy znajdą się w odległości do stu metrów, będą mieli taką świadomość. Im bliżej, tym silniejsza świadomość owej dwoistości. Poza strefą stu metrów odczuwanie rzeczywistości zaczyna być bardzo nikłe. Ludzie czują, że coś się zmieniło, ale nie mogą pojąć, co mianowicie. Poza granicą tysiąca metrów rozproszenie pokrywa się z głównym równaniem, a rzeczywistość się dostosowuje. Jeśli jednak chcecie, mogę to zmienić lub dostosować do waszego sposobu postrzegania.

— Absolutnie nie! — rzucił Zinder ostro. — Ale, ale... chcesz powiedzieć, że każdy, kto się znajdzie przynajmniej o kilometr stąd, będzie święcie przekonany, że ona zawsze była centaurem i że jest jakaś tego logiczna przyczyna?

— Właśnie tak. Podstawowe równania zawsze utrzymują naturalną równowagę.

— Wraca! — zawołał Ben z emocją, przerywając ten dialog.

Zinder dostrzegł teraz migotliwy kształt w środku kręgu. Wreszcie obraz się ustalił i pole zgasło. Lustro bezszelestnie odjechało gdzieś w górę.

Nie ulegało wątpliwości, że nadal była to Zetta Halib. W każdym razie była nią górna połowa stworzenia, które tam stało. W okolicy talii jednak jej żółtobrązowa skóra stopniowo przechodziła w czarną sierść i cała reszta jej ciała należała niewątpliwie do w pełni rozwiniętej, może dwuletniej klaczy.

— Obie? — to Julin wywoływał komputer. — Obie, kiedy ona się ustabilizuje? To znaczy — kiedy centaur nabierze trwałości?

— Dla niej już jest trwały — wyjaśnił komputer. — Jeżeli natomiast chodzi ci o to, kiedy pierwotne równania ustabilizują jej nowy zestaw... pewnie zajmie to godzinę, najwyżej dwie. Jest to w sumie drobne zakłócenie.

Zinder przechylił się przez barierkę, przyglądając się Zecie z fascynacją. Wynik przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

— Czy będzie się mogła rozmnażać... jeżeli będziemy mieli partnera? — spytał Julin komputer.

— Nie — odpowiedział komputer niemalże przeproszającym tonem. — Wymagałoby to jeszcze dalszej, poważnej pracy. Mogłaby się skrzyżować z koniem, oczywiście.

— Ale mógłbyś zrobić parę zdolnych do rozmnażania centaurów? — nastawał Julin.

— Z dużym prawdopodobieństwem — odparł Obie ostrożnie. — Wszystko zależy od jakości danych na wejściu. Musiałbym wiedzieć, jak to zrobić, jak się co z czym wiąże, zanim bym się do tego zabrał.

Julin kiwnął głową, ale i jemu udzieliła się emocja starszego kolegi, dla którego było to dzieło życia.

Centaur-Zetta podniósł głowę i popatrzył na nich.

— Czy macie zamiar trzymać mnie tu cały dzień? — spytała niecierpliwie. — Zaczynam być głodna.

— Obie, czym ona się odżywia? — spytał Julin.

— Trawa, siano, takie rzeczy — odparł komputer. — Pewne elementy musiałem oczywiście trochę uprościć. Ludzki tors jest zbudowany głównie z tkanki mięśniowej, wspartej na kośćcu. Organy umieściłem w końskiej części.

Julin znowu pokręcił głową, a potem spojrzął na starszego uczonego, który nadal był trochę oszołomiony swoim dziełem.

— Gil? — zawołał. — Co byś powiedział, gdybyśmy po niewielkiej kosmetyce zostawili ją na chwilę taką, jaka jest? Warto by się przekonać, jak działa to przekształcenie.

Zinder wykonał ruch głową, zatopiony w myślach.

Ponownie włączając całą procedurę, Julin odmłodził ludzką połowę nowego stworzenia; wzmocnił całość i przywrócił młodzieńczą urodę.

Prawie już kończyli, kiedy się otworzyły drzwi obok stanowiska starszego uczonego i do laboratorium weszła z tacą w ręku młoda, może czternastoletnia dziewczyna. Mogła mieć 165 centymetrów wzrostu i prawie 68 kilogramów wagi. Jej przysadzistej, topornej i niezgrabnej postaci z grubymi nogami i tłustymi piersiami niewiele mogły pomóc przezroczysta sukienka, sandały i przesadny makijaż, nie mówiąc już o wyraźnie farbowanych, długich blond włosach. Wyglądała dość groteskowo, ale stary uczoney uśmiechnął się wyrozumiale.

— Nikki! — powiedział z przyganą w głowie. Zdaje mi się, że mówiłem ci już, żebyś nie wchodziła przy czerwonym świetle!

— Przykro mi, tatusiu — odpowiedziała tonem, który świadczył o czymś wręcz przeciwnym, postawiła tacę i pocałowała go lekko w policzek. — Od tak dawna nie brałaś niczego do ust, że zaczęliśmy się już o ciebie martwić. — Rozejrzała się, dostrzegła młodszego mężczyznę i znów się uśmiechnęła, tym razem zupełnie inaczej.

— Cześć, Ben! — zawołała figlarnie i zamachała dłonią.

Julin popatrzył, uśmiechnął się, też podnosząc rękę. Potem, znienacka dopadła go myśl: sto metrów! Kuchnia była właśnie w takiej odległości, na powierzchni.

Oplotła ojca ramionami. — Co robiłeś tak długo? — spytała tym samym mizdrzącym się tonem. Chociaż fizycznie dojrzała, Nikki Zinder pod względem emocjonalnym była jeszcze dzieckiem i stosownie do tego się zachowywała. Nawet za bardzo — pomyślał ojciec. Wiedział, że była tutaj przesadnie chroniona, odcięta od rówieśników, rozpieszczana od wczesnego dzieciństwa przez ojca, który nie potrafił narzucić jej dyscypliny, zdemoralizowana pozycją córki szefa. Nawet jej

lekkie seplenienie brzmiało infantylnie; często wyglądała bardziej na nadąsaną pięciolatkę niż na czternastoletnią pannę.

Ale to było przecież jego dziecko i nie zniósłby rozłąki z nią, po prostu nie mógł jej wysłać do którejś z tych modnych szkół czy projektów wychowawczych, gdzieś daleko stąd. Wiódł żywot samotnika pośród liczb i wielkich maszyn; w wieku pięćdziesięciu siedem lat dał sobie pobrać próbki tkanek do klonowania, ale chciał mieć własne dziecko. Wreszcie opłacił pracownicę projektu na Wolterze, która miała mu dać dziecko. Była pierwszą, która była gotowa to zrobić, po prostu żeby się przekonać, jak to jest. Była specjalistką od psychologii behawioralnej. Zinder podłączył ją do swojego projektu do momentu narodzin Nikki, potem ją spłacił i odesłał na Woltera.

Nikki była podobna do matki, ale to akurat nie miało żadnego znaczenia. To było jego dziecko, pozwalające mu zachować psychiczną równowagę w najtrudniejszych chwilach realizacji projektu, nad którym pracował. Była diabelnie nie-dojrzała, to prawda. Ale on przecież naprawdę chciał, żeby dorosła.

Nikki Zinder usłyszała nagle kaszlącą kobietę i kiedy się przechyliła przez barierkę, dojrzała w dole centaury, stojącego pośrodku okrągłego parkietu.

— O rany! — krzyknęła. — Cześć, Zetta!

Centaur popatrzył w górę na dziewczynę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Czołem, Nikki — odpowiedziała Zetta automatycznie.

Zinder i Julin zastygli w podziwieniu.

— Nikki, naprawdę nie dostrzegasz w niej niczego... no... dziwnego? — rzucił ojciec skwapliwie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nic a nic. A co? Co mam widzieć?

Julian zamarł w szczerym zdumieniu.

\* \* \*

Przez ponad tydzień obserwowali różne reakcje na nowe stworzenie. Właściwie wszyscy, którzy byli w centralnym sektorze, nie dostrzegli niczego niezwykłego w fakcie, że Zetta Halib jest teraz na wpół koniem. To znaczy — niczego niezwykłego, o czym by już wcześniej nie wiedzieli. Wiedzieli oczywiście, że zgłosiła się na ochotnika do badań, jakie biologowie prowadzili nad przystosowaniem ludzi do różnych form. Wiedzieli, że jej rozwój od chwili poczęcia był przedmiotem manipulacji, pamiętali, kiedy się pojawiła, przypominali sobie jej początkowe reakcje.

Wszystko się zgadzało, to prawda, z wyjątkiem tego drobnego faktu, że nic z tego, co pamiętali, naprawdę się nie zdarzyło. Rzeczywistość musiała to jakoś wyjaśnić i w tym celu wprowadziła stosowne zmiany. Tylko obaj uczeni znali prawdę.

\* \* \*

Ben Julin pykał ze swej rzeźbionej fajki w pokoju szefa, kołysząc się leniwie w obrotowym fotelu.

— A więc teraz wszystko jest już jasne — powiedział w końcu.

Starszy uczoney kiwnął głową i pociągnął łyk herbaty.

— No tak. Możemy wziąć kogokolwiek czy cokolwiek i przerobić to tak, jak chcemy, o ile tylko potrafimy zgromadzić dane, których Obie potrzebuje dla prawidłowego przeprowadzenia transformacji, i nikt nawet się nie zorientuje. Biedna Zetta! Jedyne w swoim rodzaju fenomen z pełną historią i świadomością takiego rozwoju. Oczywiście będziemy ją musieli przekształcić z powrotem.

— Oczywiście — zgodził się Julin. — Pozwólmy jej jednak zachować urodę. Przynajmniej tyle jej się od nas należy.

— Tak, oczywiście tak — odparł Zinder zdawkowo.

— A jednak coś cię w tym wszystkim niepokoi — zauważył Julin.

Gil Zinder westchnął.

— Owszem, jest tego nawet sporo. Widzisz, to straszna władza zabawiać się w Boga. Zupełnie mi się nie podoba myśl, że kiedyś Rada mogłaby na tym położyć rękę.

Julin wydawał się zaskoczony.

— No cóż, przecież nie wyrzucili całej tej forsy, żeby niczego z tego nie mieć. Do diabła, Gil! Udało się nam! Doszliśmy do całej tradycyjnej nauce! Pokazaliśmy im, jak łatwo można zmienić reguły gry.

Starszy uczoney przytaknął.

— Dobra, dobra. Zwiniemy wszelkie nagrody, jakie są do wzięcia. Tylko... no cóż, wiesz przecież, w czym tkwi naprawdę problem. Trzysta siedemdziesiąt cztery ludzkie światy. To strasznie dużo. Tylko że z wyjątkiem nielicznych są to Kom-landy, fantazje konformisty. Pomyśl, co mogliby zrobić tym ludziom władcy tych systemów, gdyby mieli w ręku takie narzędzie!

Julin westchnął.

— Posłuchaj, Gil, nasza technika nie różni się zbyt wiele od prymitywnych metod, którymi się posługują manipulacje biologiczne, inżynieria genetyczna i te wszystkie sprawy. Może jednak mimo wszystko nie będzie tak źle. Może nasze odkrycie spowoduje jakąś poprawę. Do diabła, przecież tam już nie może być dużo gorzej.

— To prawda — przyznał Zinder. — Ale ta władza, Ben! Jut... — urwał, obrócił się z fotelem, by spojrzeć w twarz młodszemu koledze... jest jeszcze coś.

— To znaczy? — spytał Julin.

— Skutki — powiedział uczoney ze znużeniem. — Ben, słuchaj, jeżeli wszystko, dosłownie wszystko, ten fotel, to biuro, ty, ja — jeżeli wszyscy jesteśmy po

prostu stabilnymi równaniami, materią stworzoną z czystej energii i jakoś utrzymywaną w tym kształcie, to co właściwie jest źródłem tej stabilności? Czy to znaczy, że gdzieś w głębi kosmosu czuwa jakiś naczelny Obie, który utrzymuje w równowadze pierwotne równania?

Ben Julin zachichotał trochę nerwowo.

— Myślę, że jest, tak czy inaczej. Bóg jest po prostu gigantycznym komputerem! Nawet mi się podoba taki pomysł.

Zindera jakoś ta perspektywa nie bawiła.

— Myślę, że jest gdzieś taki olbrzymi Obie. Zresztą, jeżeli nie zrobiliśmy błędu, coś takiego musi istnieć. Nawet Obie jest tego samego zdania. Ale kto ten mózg zbudował? Kto go konserwuje?

— No cóż, jeżeli mówimy zupełnie poważnie, to myślę, że Markowianie. I z tego, co wiem, nadal nim kierują — odparł Julin.

Zinder się zamyślił.

— Markowianie. Tak, pewnie tak. Wszędzie znajdowaliśmy ich wymarłe światy i opuszczone miasta. Musieli to wszystko zrobić na gigantyczną skalę, Ben! — Coraz bardziej zapalał się do tej myśli. — Oczywiście! To dlatego nigdy nie znaleziono ich wytworów w tych starych ruinach! Kiedy czegoś zapragnęli, po prostu przekazywali swoje wyobrażenia Obiemu i już to mieli!

Julin potakiwał.

— Może masz rację.

— Ale, Ben! — ciągnął Zinder, podniecony. — Przecież znaleźliśmy wszystkie ich światy! I wszystkie martwe! — Rozsiadł się wygodnie, odprężył trochę, ale ton nadal zdradzał emocję. — Zastanawiam się, jak to jest... im się nie udało tego opanować, a nam ma się udać?... — Popatrzył na Julina. — Ben, czy jesteście na tropie urządzenia do zniszczenia rodzaju ludzkiego?

Julin powoli pokręcił głową.

— Nie wiem, Gil. Mam nadzieję, że nie. Zresztą jaki mieliśmy wybór? A poza tym... — uśmiechnął się i dorzucił lżejszym już tonem — przecież, zanim dojdziemy do tego stadium, wszyscy dawno już będziemy gryźć trawę.

— Chciałbym mieć choć cząstkę twojego optymizmu, Ben — powiedział Zinder nerwowo. — No cóż, masz rację przynajmniej w jednym. Nie możemy tak nagle po prostu założyć rąk. Czy przygotujesz wszystko?

Ben podniósł się z fotela i poklepał starszego kolegę po ramieniu.

— Oczywiście, zabiorę się do tego — zapewnił go. — Słuchaj, za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, Gil. Możesz mi wierzyć. — Zmienił ton, który nabrał teraz większej pewności. Zinder nawet tego nie zauważył. — Tak, zrobię wszystko, co trzeba.

\* \* \*

Kiedyś, przed laty, były narody, które ruszyły w Kosmos. Założyły swoje planetarne kolonie, oparte na zupełnie różnych filozofiach i stylach życia. Potem nastąpił okres wojen, najazdów, sztucznie montowanych rewolucji. Człowiek rozszerzył swój zasięg, narody zanikły, zostawiając swym następcom swoją filozofię. Wreszcie rządzący mieli już tego wszystkiego dość i zawarli pakt: wszystkie konkurencyjne ideologie mogą funkcjonować bez skrępowania tak długo, jak długo któraś nie zdominuje całej planety, oczywiście tylko pokojowymi metodami i bez pomocy z zewnątrz. Każda z planet miała wybrać jednego przedstawiciela do Wielkiej Rady Światów, dysponującego jednym głosem.

Potężne narzędzia odstraszania i zniszczenia zostały zamknięte pod strażą powołanej w tym celu jednostki, złożonej z ludzi specjalnie poczętych i wychowanych do tej służby. Jednostka ta nie mogła sama użyć tej broni bez zgody, której mogła udzielić większość spośród 374 członków Rady, a każdy z nich musiał osobiście zerwać przypadające na niego zabezpieczenia.

Członek Rady Antor Trelig był jednym z takich strażników i zarazem wpływowym politykiem w organie zarządzającym. Technicznie rzecz biorąc, reprezentował on Ludową Partię Nowej Perspektywy — Komland, w którym ludzie rodzili się z wmontowanym posłuszeństwem, doskonale przystosowani do wykonywania swojej pracy. Faktycznie jednak jego wpływy sięgały znacznie dalej, bo miał on również wielki wpływ na innych członków Rady. Mówiło się, że starczało mu ambicji, by marzyć o uzyskaniu pewnego dnia kontrolnej większości, co umożliwiłoby mu zawładnięcie bronią, która mogłaby całe światy obrócić w zgliszcza.

Był wysokim mężczyzną: około 190 cm wzrostu przy szerokich barach i mocnym, haczykowatym nosie nad kwadratową szczęką, całość jakby wykuta z granitu. Teraz jednak, kiedy stał tam pochłonięty obserwacją dwóch ludzi i maszyny odwracającej przekształcenie centaura, wcale nie wyglądał na żadnego władzy łotra, jakim go wielu przedstawiało.

Uczni wykonali dla niego dodatkowe pokazy, a nawet zaproponowali mu, by sam spróbował. Trelig odmówił, śmiejąc się nerwowo. Przekonała go rozmowa z dziewczyną, która zeszła z podium, i obserwacja powrotu rzeczywistości do jej pierwotnego stanu.

Potem, w gabinecie Zindera, raczył się bardzo niekomunistyczną brandy.

— Nie potrafię oddać swojego wrażenia — powiedział. — Dokonaliście rzeczy niewiarygodnej. Powiedzcie mi tylko... czy można by zbudować naprawdę wielką maszynę? Taką, aby można było kontrolować całe planety?

Zinder nagle poczuł niechęć.

— Nie sędzę, by było to praktyczne rozwiązanie. Zbyt wiele zmiennych.



— To się da zrobić — wtrącił Ben Julin, ignorując wściekłe spojrzenie starszego kolegi. — Wiązałoby się to jednak z ogromnymi kosztami i byłoby zadaniem bardzo trudnym.

Trelig kiwnął głową.

— Cóż znaczą nawet wysokie koszty w zestawieniu z korzyściami? Przecież w ten sposób na zawsze można by oddalić widmo głodu, groźne kaprysy atmosfery, a zresztą... wszystko. Można by w ten sposób stworzyć utopię!

Zinder, który nie podzielał tego entuzjazmu, pomyślał ponuro: można by też zepchnąć te nieliczne już wolne, indywidualistyczne światy w objęcia szczęśliwego, powolnego niewolnictwa. Głośno zaś dodał:

— Myślę, Radco, że to również można uznać za broń. Bardzo niebezpieczną, o ile dostanie się w niepowołane ręce. Jestem przekonany, że taka właśnie była prawdziwa przyczyna wyginięcia Markowian przed kilku milionami lat. Czułbym się zdecydowanie lepiej, gdyby taka potęga została również objęta kontrolnymi prerogatywami Rady.

Trelig westchnął.

— Nie zgadzam się. Nigdy się jednak nie przekonamy, jeśli nie spróbujemy. Przecież takiego przełomowego odkrycia naukowego nie można tak po prostu zamknąć w komórce!

— Myślę jednak, że tak należy zrobić, i co więcej — usunąć wszelkie ślady — upierał się Zinder. — Mamy tu władzę równą boskiej. Nie sądzę, byśmy byli przygotowani, żeby z niej mądrze skorzystać.

— Nie można zatrzeć odkrycia, które zostało już zrobione, niezależnie od skutków — zauważył Trelig. — Zgadzam się jednak, że nie trzeba robić wokół tego hałasu. Nawet sama informacja o tym, że takiego odkrycia dokonano, może zainspirować milion innych uczonych. Myślę, że na razie powinniście przenieść cały projekt w jakieś bezpieczne, odległe miejsce, z dala od ludzkiej ciekawości.

— A gdzie to się znajduje owo bezpieczne schronienie? — spytał Zinder sceptycznie.

Trelig uśmiechnął się.

— Mam takie miejsce, planetoidę kompletnie urządzoną, ze sztucznym ciężarem i tak dalej. Czasami jadę tam, żeby wypocząć. Nadawałaby się idealnie.

Zinder poczuł się nieswojo, przypomniała mu się zszargana reputacja gościa.

— Nie sądzę — powiedział. — Myślę, że powinienem raczej przedstawić sprawę Radzie w pełnym składzie na posiedzeniu w przyszłym tygodniu. Niech ona zadecyduje.

Trelig sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się takiej reakcji.

— Na pewno nie zmieni pan zdania, doktorze? Nowe Pompeje są cudownym zakątkiem, znacznie miłszym niż ten sterylny horror.

Zinder zrozumiał, co tamten mu podsuwa.

— Nie, zdania nie zmienię — powiedział stary uczony politykowi. — Nic mnie nie zmusi do zmiany poglądów.

Trelig westchnął.

— A więc... to by było tyle. Zorganizuję posiedzenie Rady za tydzień. Oczywiście weźmiecie w nim udział, pan i doktor Julin.

Gość wstał i zbierał się do wyjścia. Wychodząc, uśmiechnął się i skinął nieznacznie Benowi Julinowi, który pochwycił jego spojrzenie i oddał znak. Zinder niczego nie zauważył.

Tak, Ben Julin wszystko urządzi, nie ma obawy.

\* \* \*

Nikki Zinder spała spokojnie w swoim pokoju, zagraconym niemożliwie egzotycznymi ciuchami, zabawkami, różnymi gram i porzrzuconymi bezładnie gadżetami. Prawie tonęła w olbrzymim łóżku.

Przed drzwiami zatrzymała się jakaś postać, która — sprawdzwszy, czy nikt się nie zbliża — wyciągnęła mały śrubokręt i odkreśliła ostrożnie płytę na drzwiach, bacząc, by nie uruchomić alarmu. Po odkręceniu płyty intruz uważnie się przyglądał odsłoniętym zespołom elektronicznym, a potem pokrył niektóre miejsca szybko schnącym klejem. Jeden z zespołów został wymontowany i przeobrobiony przez zamontowanie dodatkowego, srebrnego połączenia.

Zadowolony ze swojego dzieła, intruz założył ponownie pokrywę i starannie odkreślił śruby. Wciskając śrubokręt w przegródkę pasa z narzędziami, zawahał się przez chwilę, a potem, przewyciężając napięcie, nacisnął kontakt.

Rozległ się niegłośny szcęk, ale poza tym nic się nie stało.

Z niejaką ulgą wyciągnął mały pojemnik z przezroczystym płynem z innej kieszonki pasa i przymocował do niej końcówkę wtryskiwacza. Ostrożnie manipulując tym urządzeniem, podszedł do podwójnych, masywnych drzwi pokoju dziewczyny i powoli nacisnął wolną ręką jedno skrzydło, przesuwając je lekko w prawo.

Drzwi się otworzyły bezszelestnie, bez charakterystycznego dźwięku pracującej pneumatyki czy innego odgłosu, który mógłby się wybić ponad wszechobecny, cichy pomruk klimatyzacji budynku. Uchylając drzwi tylko na tyle, by móc się wśliznąć do środka, odwrócił się i zamknął je spokojnie za sobą.

W mdłym świetle nocnej lampki dostrzegł zarys śpiącej Nikki Zinder. Leżała na plecach, z otwartymi ustami, lekko pochrapując.

Powoli, ostrożnie podszedł na palcach do łóżka, tak że patrzył na nią teraz prawie pionowo z góry. Zamamrotała coś przez sen, a on zamarł w bezruchu, obserwując, jak dziewczyna przewraca się na drugi bok. Pochylił się, odsłaniając nieco skrawek prześcieradła, aby znaleźć dostęp do prawego ramienia — na tyle, by mocno do niego przymocować wtryskiwacz z pojemnikiem.

Jego ruchy były tak precyzyjne, że dziewczyna się nie obudziła, tylko z gardłowym jękiem odwróciła się znowu na plecy. Kiedy ampułka była już pusta, mężczyzna wyciągnął urządzenie i schował je do kieszeni.

Naprawdę sprawiała wrażenie, jakby się przebudziła, kiedy uniosła lewą rękę i dotknęła mięśni prawej. Jednak chwilę potem ręka, jakby pozbawiona nagle wszelkich połączeń z resztą ciała, opadła bezwładnie. Jej oddech był teraz cięższy, jakby pokonywała mozolnie jakąś niewidoczną przeszkodę.

Nabierając głęboko tchu pochylił się, dotknął jej, wreszcie potrząsnął nią mocno. Żadnej reakcji.

Uśmiechając się z zadowoleniem, usiadł na brzegu łóżka i nachylił się nad nią.

— Nikki, słyszysz mnie? — spytał cicho.

— Aha... — wymamrotała.

— Nikki, słuchaj uważnie — ciągnął dalej tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Kiedy powiem drugi raz „sto”, zaczniesz odliczać od stu do zera. Kiedy skończysz, wstaniesz, wyjdiesz z pokoju i pójdziesz prosto do laboratorium. Na parter, Nikki. Znajdziesz tam na samym środku duży, okrągły podest. Staniesz na nim. Będziesz tam stała i nie ruszysz się ze środka kręgu, bo ani nie zdołasz, ani nie zechcesz. Nieruchoma jak manekin, będziesz dalej smacznie spała. Zrozumiałaś mnie?

— Rozumiem — odpowiedziała sennie.

— Pilnuj się, żeby cię nikt nie widział, gdy będziesz szła — przestrzegł ją. — Naprawdę się postaraj. Jeśli jednak ktoś cię zobaczy, zachowuj się normalnie, pozbadź się go szybko i nie mów, dokąd naprawdę idziesz. Zgoda?

— Aha... — przytaknęła.

Wstał teraz z łóżka i podszedł do drzwi, które się od strony sypialni otwierały automatycznie. Uchylił je odrobinę, wyjrzał, i widząc, że droga wolna, uchylił trochę szerzej. Wyszedł na korytarz, odwrócił się i przymknął drzwi.

— Sto, Nikki — powiedział wreszcie i zamknął je zupełnie.

Zadowolony, przeszedł spokojnie korytarzem prawie sto metrów, nie spotkawszy nikogo. Przy okazji odnotował, że wszystkie drzwi były zamknięte. Kiedy wszedł do kabiny windy, drzwi się zamknęły za nim bezszelestnie.

— Julin, Abu Ben, YA-356-47765-7881-GX, pełna kontrola, proszę na poziom laboratorium 2 — powiedział. Winda sprawdziła wygląd zewnętrzny, numer identyfikacyjny i charakterystykę głosu, a potem szybko ruszyła do laboratorium.

Wyszedł na galeryjkę, usiadł pod swoim pulpitem rozdzielczym i włączył systemy. Potem od razu się połączył z Obie.

— Obie? — wywołał komputer.

— Tak, Ben? — dobiegła go łagodna, przyjazna odpowiedź. Wcisnął kilka klawiszy na desce.

— Operacja poza ewidencją — odpowiedział z udanym spokojem. — Wprowadzić do zbioru pomocniczego do mojej wyłącznej dyspozycji.

— Co ty właściwie robisz, Ben? — spytał Obie, wyraźnie zaintrygowany. — Nawet ja nie mogę korzystać z tego trybu. Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje, dopóki tego nie użyłeś.

Ben Julin uśmiechnął się.

— W porządku, Obie. Nawet ty nie możesz wszystkiego pamiętać.

Chodziło tu o taki tryb, przy którym Julin mógł posługiwać się Obie, a potem spowodować taką rejestrację przebiegu całej operacji, że nawet wielki komputer nie miałby dostępu do zapisu. Komputer pracowałby nadal normalnie, ale nie rejestrowałby w pamięci nie tylko tego, czym się Ben zajmuje, ale również samego faktu obecności uczonego.

Julin usłyszał, jak na dole otwierają się drzwi windy. Wychylając się przez barierkę dojrzał Nikki, ubraną tylko w swoją cienką nocną koszulę, która normalnym, zdecydowanym krokiem weszła do laboratorium i stanęła na środkowym kręgu. Przesuwając się dokładnie na jego środek, stanęła wyprostowana, z zamkniętymi oczami. Przypominała posąg, życie zdradzał tylko ledwie zauważalny oddech.

— Zarejestruj obiekt w zbiorze pomocniczym, Obie — rozkazał Julin. Lustro w górze się obróciło, skierowało na krąg i oświetliło go błękitnym blaskiem. Obraz Nikki zamigotał jak w uszkodzonym telewizorze, a potem w ogóle znikł. Błękitny promień, płynący z lustra, także zgasł.

Jakież to kuszące — pomyślał Julin — by po prostu ją tak zostawić. Nie, było to zbyt wielkie ryzyko. W końcu trzeba by ją pewnie odtworzyć, a jemu nie uśmiechała się perspektywa ujrzenia jej w kręgu i Zindera przy klawiaturze.

— Obie, to będzie niestabilne równanie. Nie będzie poprawek. Sam proces przemiany będzie częścią rzeczywistości.

— Tak, Ben — odparł komputer. — Nie będzie zmian rzeczywistości.

Julin, zadowolony, kiwnął głową.

— Tylko zmiany w psychice, Obie — polecił jeszcze Julin.

— Jestem gotów — odpowiedziała maszyna od razu.

— Maksymalny poziom reakcji emocjonalno-seksualnej — rozkazał. — Obiekt ma być związany emocjonalnie z doktorem Benem Julinem, dane w twoim banku. Obiekt będzie pałał szaloną irracjonalną miłością do Julina, nie będzie mógł myśleć o czymkolwiek poza nim. Zrobi dla niego wszystko, będzie bezwzględnie lojalny tylko wobec niego. Obiekt będzie się uważał za powolną własność wspomnianego Bena Julina. Nadaj temu kryptonim: „tryb miłości niewolniczej” i zarejestruj go w pierwszym zbiorze pomocniczym.

— Zrobione — potwierdził komputer.

— Procedura według kolejności, potem rejestracja z chwilą opuszczenia laboratorium przez ludzi.

— Odliczanie — powiedział komputer, a Julin znowu popatrzył przez barierkę. W górze ponownie rozblęskło błękitne światło, w którego kręgu znowu poja-

wiła się Nikki, niczym elektryczna zjawia. Taka sama jak przedtem, w tej samej nocnej koszuli. Nadal stała nieruchomo.

— O, cholera! — zaklął Min pod nosem. Upłynęło nie więcej niż 20 minut od wstrzyknięcia narkotyku, którego działanie obliczone było na dobrą godzinę. Nie może ryzykować!

— Dodatkowe polecenia, Obie — powiedział pośpiesznie. — Usunąć wszelkie ślady środka Stepleflin z obiektu i przywrócić go do pełnej przytomności, odpowiadającej ośmiu godzinom zdrowego snu. Wykonaj natychmiast, a potem wróć do poprzednich instrukcji.

Komputer przyjął nowe polecenia, błękitne światło rozjarzyło się ponownie, Nikki zamigotała znowu, ale tym razem zniknęła zaledwie na pół sekundy, po czym wróciła, w pełni obudzona, rozglądając się ze zdziwieniem po laboratorium.

Julin wychylił się ze swojego stanowiska.

— Hej, Nikki!

Podniosła głowę, ujrzała go i już nie spuściła z niego wzroku, oczarowana, jakby stanęła twarzą w twarz z bóstwem. Wreszcie zadrżała i jęknęła w ekstazie.

— Choć tu na górę, Nikki — polecił, a ona rzuciła się w dzikim pośpiechu do windy. Nie minęły dwie minuty, gdy się znalazła przy nim. Ciągłe przyglądała mu się z uwielbieniem i podziwem. Gdy dotknął jej policzka, wyzwolił w jej ciele dreszcz przypominający orgazm. Kiwnął głową z zadowoleniem.

— Chodź ze mną, Nikki — polecił łagodnie, biorąc ją za rękę. Posłuchała, uczepiona kurczowo jego ramienia. Gdy wsiedli do windy, Julin skierował ją na powierzchnię.

Na najwyższym poziomie wychodziło się do niewielkiego parku, oświetlonego bladym sztucznym światłem przezroczyściej kopuły, przez którą widać było, jak okiem sięgnąć, dalekie gwiazdy. Cały czas nie wydała dźwięku, nie odezwała się ani słowem.

Nie byli sami. Ze względu na to, że znaczna część centrum badawczego zajmowała się tysiącami innych projektów, załoga pracowała o różnych porach, również po to, aby lepiej wyzyskać urządzenia.

— Nie możemy się nikomu pokazywać, Nikki — szepnął do niej. — Nikt nie może nas zauważyć.

— O tak, Ben — odpowiedziała i razem się poczołgali wzdłuż przejścia, zasłonięci krzewami. Na ścieżce leżało trochę ostrych igieł z krzewów i innych roślin, którymi ją obsadzono. Nikki była już zdrowo pokłuta i podrapana, ale się nie skarżyła, pocierając zadrapania w milczeniu. W pewnej chwili zza rogu wynurzyła się niewysoka, ciemna sylwetka mężczyzny, której Ben zrazu nie dostrzegł, ale Nikki pociągnęła go za krzaki.

Wreszcie dotarli do porośniętego trawą, nie oświetlonego terenu, który z niewiadomych powodów nazywano campusem. Przecięli go na ukos, idąc normalnym krokiem. Wreszcie przystanęli, skuleni w kącie, w cieniu jakiegoś budynku.

Otoczyła go ramieniem i przytuliła się. I on ją objął, wywołując rozkoszne westchnienie. Głaskała go, całowała jego ubranie.

Wszystko wydało mu się żenujące, przyprawiając go o mdłości, ale przecież to on ustalił reguły gry i miał teraz za swoje.

Ucieszył się, kiedy po chwili w ciemności obok nich wylądował mały, zgrabny pojazd prywatny. Uniosła się pokrywa, ktoś wyszedł i podszedł do nich. Nikki, słysząc ruch, rozejrzała się i spróbowała znowu wciągnąć Mina w cień.

— Nie, Nikki, ten człowiek jest moim przyjacielem — powiedział, a ona przyjęła to oświadczenie i od razu się odprężyła.

— Adnar! Tutaj! — zawołał, a tamten, usłyszawszy, podszedł do nich.

— Musisz teraz pójść z Adnarem — powiedział łagodnie.

Wyglądała jak nawiedzona, przylgnęła do niego jeszcze mocniej.

— Tylko w ten sposób możemy być razem, Nikki — powiedział. — Musisz wyjechać na krótko, ale jeżeli nie będziesz narzekać, zrobisz wszystko, co ci powie Adnar i jego przyjaciele, i nie będziesz zadawać pytań, przyjdę do ciebie niedługo, obiecuję ci.

Rozpromieniła się. Myślała tylko o jednym; nie była w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o Benie, a jeśli Ben coś powiedział, to musiała to być prawda.

— Chodźmy już — zawołał Adnar, zniecierpliwiony. Julin zagryzł zęby, a potem, objąwszy dziewczynę, całował ją długo i namiętnie.

— To na pamiętkę na czas rozłąki — wyszeptał. — A teraz idź już.

Poszła z tym dziwnym człowiekiem. O nic nie pytając, bez skargi, weszła do czarnego pojazdu, który zaraz odleciał.

Teraz Ben Julin mógł wreszcie odetchnąć, i dopiero teraz zauważył, że jest cały zlany potem. Chwiejnym krokiem dotarł jakoś do swojego budynku i położył się do łóżka.

\* \* \*

Antor Trelig zademonstrował swój czarujący uśmiech jadowitej kobry. Znowu siedział, teraz na sporym luzie, w gabinecie Gila Zindera. Było widać, że uczonej jest wstrząśnięty.

— Ty potworze! — rzucił politykowi przez zęby. — Co z nią zrobiłeś?

Trelig przybrał urażoną minę.

— Ja? Ja nic, zapewniam cię. Drobne porwanie to stanowczo nie mój numer kapelusza. Natomiast, owszem, mam pewne przypuszczenia, gdzie ona może być, wiem też trochę o tym, co się z nią działo do dzisiaj.

Zinder doskonale wiedział, że jego gość kłamie, z drugiej strony jednak rzeczywiście trudno się było do niego formalnie przyczepić. Porwania nie dokonał Trelig osobiście i dołożył wszelkich starań, by upewnić się, że nie będzie można go tym obciążyć.

— Powiedz, co... co oni z nią zrobili — jęknął zrezygnowany.  
Trelig starał się zachowywać powagę.  
— Z moich źródeł wiadomo mi, że twoja córka wpadła w ręce handlarzy gąbką. Słyszałeś coś o tym pewnie?  
Gil Zinder kiwnął głową, wstrząśnięty nagłym dreszczem.  
— Handlują tym okropnym narkotykiem z morderczej planety. — odpowiedział niemal mechanicznie.  
— O, właśnie — odparł Trelig współczująco. — Czy ma pan, doktorze, pojęcie, jak to działa? Osobom, które nie zostały poddane kuracji, obniża współczynnik inteligencji o 10 procent dziennie. Po trzech, czterech dniach geniusz jest już tylko przeciętnikiem, po dziesięciu — niewiele się różni od zwierzęcia. Leczenia właściwie nie ma — czynnik chorobotwórczy jest rodzajem mutanta niepodobnym do jakiegokolwiek znanej nam formy życia, produkowanym przez mieszanie naszej materii organicznej i jakiejś nieznannej substancji. Poza wszystkim, schorzenie jest bolesne. Zdaje się, że jest to palenie w mózgu, stopniowo promieniujące do innych części ciała.  
— Dość, dość! — zaszlochał Zinder. — Czego żądasz, potworze?  
— No cóż, proces chorobowy można zahamować, a nawet cofnąć — odpowiedział Trelig tym samym, współczującym tonem. — Gąbka nie jest oczywiście narkotykiem, jest środkiem powodującym remisję choroby. Przy codziennym dawkowaniu znika ból, a utrata możliwości intelektualnych też jest niewielka. Ta... ta choroba, jeśli ją można tak nazwać, przechodzi w stan utajenia.  
— Powiedz wreszcie cenę — niemal krzyknął Zinder.  
— Myślę, że mogę ją odnaleźć. Można by ją wykupić od tych ludzi. Mój personel medyczny hoduje gąbkę, oczywiście całkowicie nielegalnie, ale musimy to przecież mieć, bo wykryliśmy wielu wysoko postawionych ludzi w sytuacji podobnej do twojej, szantażowanych przez różnych niegodziwców. Możemy ją więc odszukać, odzyskać i dać jej w sam raz tyle gąbki, by przywrócić ją do normalnego stanu. — Poprawił się w fotelu, zdradzając tym ruchem, jak dobrze się bawi.  
— Jestem jednak politykiem i nie brakuje mi ambicji. Co do tego nie ma wątpliwości. Jeżeli zrobię coś takiego, to znaczy, jeżeli zetnę się z nielegalną bandą zbójów, ryzykując wykrycie mojej nielegalnej hodowli, muszę przecież dostać coś w zamian, prawda? Dlatego...  
— Tak, tak. — Zinder był bliski płaczu.  
— Zamelduj, że twój projekt okazał się fiaskiem i zamknij go — poddał Trelig. — Załatwię przeniesienie tego... Obie, jak go chyba nazywacie... na moją planetoidę Nowe Pompeje, tam zaprojektujesz i będziesz kierował budową znacznie większego modelu niż ten, który masz tutaj, tak wielkiego, by swoim zasięgiem mógł objąć... no, powiedzmy całą planetę.  
Zinder był przerażony.



— O mój Boże! Nie! Ci ludzie! Nie mogę!

Na twarzy Treliga pojawił się obłudny uśmiezek.

— Nie musisz od razu podejmować decyzji. Będziesz miał tyle czasu, ile zechcesz. — Podniósł się, wygładzając fałdy swych białych, anielskich szat. — Pamiętaj tylko, co się dzieje z Nikki każdego dnia. Mniejsza już o ból, ale postępuje przecież degradacja umysłowa. Miej to na względzie, podejmując decyzję. Z każdą straconą sekundą ból narasta, z każdą sekundą obumiera jakaś część jej mózgu.

— Ty sukinsynu — wydyszał Zinder wściekły.

— I tak rozpocznę poszukiwania — powiedział uczonemu jego rosty gość. — Oczywiście nie pełną parą. Tak po prostu z pobudek humanitarnych. Może mi to zabrać ładnych parę dni. Może tygodni. Jeżeli się zdecydujesz, zadzwoń po prostu do mnie do biura, a wtedy skieruję do tego wszystkie siły. Do widzenia, doktorze Zinder.

Trelig powoli podszedł do drzwi i wyszedł.

Zinder stał tam, oniemiały, ze wzrokiem wbitym w drzwi, które się zamknęły za gościem, a potem opadł na fotel. Myślał przez chwilę, by wezwać Policję Międzysystemową, ale zmienił zdanie. Nikki jest na pewno dobrze ukryta, nie bardzo sobie wyobrażał, jak można oskarżyć wiceprzewodniczącego Rady o to, że jest handlarzem gąbki i porywaczem, nie mając najmniejszego dowodu. Zinder był pewny, że polityk ma żelazne alibi na ostatnią noc. Oczywiście otworzą śledztwo, które potrwa wiele dni, może tygodni, a tymczasem biedna Nikki... Oczywiście, pozwolą jej zgnieć. Pozwolą jej zgnieć przez pięć, sześć dni. I co potem? Przygłup, szorujący z pieśnią na ustach ich podłogi, albo być może zabawka, rzucona ludziom Treliga, którzy będą się nad nią pastwić i wykorzystywać seksualnie. Tej myśli nie mógł znieść. Mógłby się pewnie pogodzić z jej śmiercią, ale nie z tym. Z tym nie.

Szumiało mu w głowie. Później coś się wymyśli. Jeżeli będzie mógł ją odzyskać na czas, może Obie ją wyleczy. A urządzenie, które zbudował, na pewno może być bronią obosieczną.

Zmęczony, pokonany człowiek westchnął i włączył połączenie z biurem łącznikowym Treliga na Makewa. Wiedział dobrze, że tamten czeka na rozmowę. Na odpowiedź, która nieuchronnie musiała nadejść.

Była to porażka, ciężka, prawda — pomyślał — ale nie klęska. Jeszcze nie.

# **Nowe Pompeje, asteroid obiegający niezamieszkaną gwiazdę Asta**

Nowe Pompeje były dużym asteroidem, o obwodzie wzdłuż równika nieco większym niż cztery tysiące kilometrów. Był jednym z tych niewielu okruchów materii krążących w systemach słonecznych, które zasługiwały na miano planetoidy. Jego kształt był bardziej regularny niż większości planet, a jego jądro było zbudowane z materii szczególnie gęstej. Powodowało to siłę ciężenia siedmiokrotnie przewyższającą przyciąganie ziemskie, równoważoną potężną siłą odśrodkową. Można się było do tego bez trudu przyzwyczaić, ludzie się poruszali szybciej i czuli się znakomicie. Tym lepiej zresztą, ponieważ był to rządowy ośrodek wypoczynkowy.

Orbita planetoidy była względnie stabilna, raczej kołowa niż eliptyczna. Ciągłe zmiany dzień-noc były trudne do zniesienia. Na standardowe dla Rady 25 godzin przypadały 32 wschody i zachody słońca. Trudno się to dawało pogodzić z rytmem zegara biologicznego ludzi.

Tę niewygodę częściowo rekompensował fakt, iż połowę całej planety obejmowała wielka kopuła wykonana z bardzo cienkiego i lekkiego syntetyku. Ta bańka dobrze odbijała światło, więc po prostu wydawała się na przemian ciemniejsza i jaśniejsza. Przypominało to dzień ze zmiennym zachmurzeniem na którymś ze znacznie przyjemniejszych i bardziej naturalnych światów. Pomiędzy dwiema warstwami materiału tworzącego kopułę umieszczono cieńszą niż milimetr warstwę przypominającą półpłynną gazę o drobnutkiach oczkach. Uszczelniała ona natychmiast wszelkie przebicia. W razie potrzeby nawet większe dziury mogły być zasklepięte przynajmniej na tak długo, by nad ludzkimi domostwami można było uruchomić zabezpieczające kopuły. Sprężone powietrze, wspomagane rosnącą wszędzie roślinnością, utrzymywało stabilne warunki środowiska.

Teoretycznie było to miejsce, w którym liderzy partyjni Nowej Perspektywy mogli się trochę odprężyć po codziennych trudach. Faktycznie jednak o istnieniu ośrodka wiedziało tylko kilka osób, które łączyła absolutna lojalność wobec Anto-

ra Treliga. Był on przecież, poza wszystkimi innymi funkcjami, również przywódcą partii. Bez zezwolenia Antora Treliga i jego ludzi nikt nie mógł się zbliżyć na odległość mniejszą niż rok świetlny, chyba że chciał być natychmiast rozerwany pociskami, kierowanymi komputerowymi systemami bojowymi, które rozmieszczono na pobliskich okruchach kosmicznej materii i specjalnych statkach.

Również w kategoriach politycznych była to twierdza nie do zdobycia. Aby pogwałcić suwerenność i immunitet dyplomatyczny Treliga, trzeba było zapewnić sobie poparcie większości Rady dla takiego kroku. Tak się jednak składało, że to właśnie Trelig kontrolował największy blok głosów.

Nikki, przywieziona na Nowe Pompeje, nie zwracała właściwie uwagi na otoczenie. Myślała tylko o Benie, o tym, że obiecał po nią przyjechać. Umieścili ją w wygodnym pokoju. Spokojni, pozbawieni wyrazu ludzie — stanowiący służbę — przynosili jedzenie i wnosili naczynia. Leżała tam cały dzień, obejmując poduszki i wyobrażając sobie, że to jej ukochany. Znalazła kredki i papier, który wypełniła jego niezliczonymi podobiznami; jej idol słabo wprawdzie przypominał Bena, promieniał za to anielską dobrocią i potęgą supermena. Postanowiła trochę się dla niego odchudzić, ale rozłąka oraz obfitość i różnorodność podawanego tu naturalnego jedzenia spowodowała skutek wprost przeciwny. Ilekroć pomyślała o nim, musiała, po prostu musiała coś zjeść, a myślała o nim nieustannie. Już przedtem tęgawa, w ciągu następnych sześciu tygodni przybrała prawie 18 kilogramów. Nawet tego nie zauważyła.

\* \* \*

Minęło osiem tygodni, zanim Gil Zinder doprowadził wszystko w laboratorium do takiego stadium, w którym mógł spokojnie, nie wzbudzając podejrzeń, zamknąć projekt i przygotować wszystko do przeprowadzki. Ciągłe jeszcze nic nie wiedział o roli, jaką w tym, co się wydarzyło, odegrał Ben Julin. Zaczął jednak coś podejrzewać, kiedy młody uczonek tak ochoczo zgłosił się do pracy nad nowym projektem Treliga. Sam zaś Trelig przekonał Zindera, że jego córka przy najmniej żyje, przekazując zaszyfrowane informacje wraz z odciskami palców i zdjęciami. Ojciec nie martwił się zbyt faktem, że dziewczyna nie mówi, tylko czyta; oznaczało to w końcu, że przynajmniej to jeszcze umie i że Trelig dotrzymał słowa w części odnoszącej się do neutralizacji gąbki.

Operacja przeniesienia jednostki centralnej komputera i pulpitu sterowniczego na Nowe Pompeje wymagała odłączenia Obiegu od aparatury, która mogła zmieniać rzeczywistość lub wpływać na jej parametry. W trakcie tych robót dokonano zaskakującego odkrycia.

Zetta, którą odmłodzili i uczynili bardziej atrakcyjną, taka już pozostała, nagle jednak dostrzegła zmiany, jakie w niej zaszły. Odtworzone zostały poprzednie równania, co było skutkiem odłączenia komputera od urządzenia. Nadal była

przekształcona, ponieważ użyli maszyny, by taki efekt uzyskać — teraz jednak była tego świadoma.

Musieli ją oczywiście zabrać ze sobą, nie było więc niebezpieczeństwa, że osoby trzecie, zdające sobie sprawę z możliwości urządzenia rozniosą tę wiadomość, ale Bena mimo wszystko to martwiło.

I nie bez powodu.

\* \* \*

Nikki Zinder siedziała w swoim pokoju na Nowych Pompejach. Oddawała się jak zwykle marzeniom i obżarstwu, kiedy w pewnym momencie poczuła się tak, jakby ktoś przetarł jej w głowie zaparowaną szybę, i zaczęła myśleć z absolutną jasnością.

Rozglądała się po pokoju zaśmieconym rozmaitymi resztkami, śladami długiego zamieszkania, jak gdyby widziała go po raz pierwszy. Potrząsała głową, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.

Miała wrażenie, jakby się zbudziła ze swego rodzaju narkotycznego snu. Pamiętała, że zasnęła, pamiętała również, jak powstał w niej ten przemożny pociąg do Bena, który zabrał ją i przekazał jakimś ludziom, a ci z kolei przywieźli ją tutaj. Nic z tego jednak nie rozumiała, nie potrafiła sobie też do tego wszystkiego wyrobić jakiegoś stosunku. To wszystko było jak sen, który przyśnił się komuś innemu.

Podniosła się z za niewielkiego stołu, pokrytego resztkami jedzenia, i popatrzyła na siebie. Widziała olbrzymie piersi i — częściowo nimi zasłonięty — rozdęty brzuch, ale stóp już nie mogła dostrzec. Oniemiała, podeszła do lustra toaletki i przyjrzała się sobie dokładnie.

Gardło ścisnął jej szloch. Nie chodziła, raczej przewalała się z nogi na nogę jak upasiona gęś. Nogi miała poobcierane na całej wewnętrznej powierzchni, każdy ruch stawał się cierpieniem. Opasła twarz zdobiło kilka podbródków. Zawsze miała długie włosy, teraz jednak przypominały brudną, splątaną grzywę.

Na domiar zaś złego... czuła głód.

Co się ze mną stało? — pomyślała z przerażeniem, a potem, kompletnie załamana, rozplakała się jak dziecko. Opanowała przestrasz, ale nie przyniosło jej to ulgi.

— Muszę się stąd wydostać, muszę zadzwonić do tatusia — wymamrotała, a potem pomyślała, czy on będzie ją kochał taką, jaka jest teraz? — Nie wiedziała jednak, co innego mogłaby zrobić, zaczęła się więc rozglądać za jakimś ubraniem. Będę potrzebowała dwunastoosobowego namiotu — pomyślała pośpiesznie.

Znalazła swoją starą koszulę, porządnie upraną i wyprasowaną, i spróbowała się w nią wbić. Nic z tego — była za ciasna i sięgała znacznie powyżej poziomu

jako tako przyzwoitego. Zrezygnowana, zaczęła się zastanawiać, co z tym począć. Spróbowała coś zrobić z pomiętego prześcieradła, które z niejakim trudem udało się jej ściągnąć z łóżka. Pomagając sobie rozgiętym spinaczem, zmajstrowała rodzaj tuniki.

Gdy się rozglądała po pokoju, dostrzegła na biurku nie dokończony, wielostro-  
nicowy list. Nie miała wątpliwości, że było to jej pismo, ale treść... ten przera-  
żający, obłąkańczy erotyczny kogel-mogel... Nie mogła uwierzyć, że coś takiego  
popęłniła, chociaż pamiętała jak przez mgłę, że nie było to jedyne jej dzieło w tym  
stylu.

Podeszła ostrożnie do drzwi, nasłuchując. Cisza. Naciskając gałkę, wyjrzała  
na zewnątrz. W jedną stronę korytarz, wyłożony czymś w rodzaju futra, prowadził  
do szeregu drzwi, druga, krótsza część kończyła się wejściem do windy. Próbow-  
ła się do niej dostać, ale od razu się zorientowała, że dostęp został zakodowany. Za  
pomieszczeniem przypominającym pralnię odkryła schody. Nie było wyboru —  
prowadziły tylko na górę.

Pokonała może trzydzieści stopni złana potem, bez tchu, z zawrotem głowy.  
Dotkliwie odczuwała teraz skutki ośmiotygodniowego obżarstwa, wskutek które-  
go przybrała prawie 25 kilogramów.

Z trudem łapiąc powietrze, z łomotem krwi w uszach próbowała ruszyć dalej.  
Znowu jej się zakręciło w głowie, w skroniach pulsował nieznośny ból, wspinacz-  
ka po schodach stała się prawdziwą męką. W pewnym momencie z najwyższym  
trudem złapała równowagę. Spojrzała w dół... przebyła najwyżej dziesięć stopni.  
Czuła się jak po zdobyciu Everestu i zrozumiała, że nie pociągnie tak długo. Na  
szczęście, w chwilę później ujrzała drzwi. Bez tchu, dotarła do nich prawie na  
czworakach.

I wtedy drzwi się otworzyły, a człowieczek z gębą szczura popatrzył na nią  
z mieszaniną pogardy i obrzydzenia.

— No, no, no — powiedział. — I dokąd to się wybieramy, hipciu?

\* \* \*

Trzech ludzi przeniosło ją, kompletnie wyczerpaną, do windy i z powrotem  
do jej pokoju. Wypytujac ją, zorientowali się, że czar, pod którego wpływem była  
cały czas, nagle prysł. Uległa idiotka w jakiś sposób przeistoczyła się w bliskiego  
załamania nerwowego więźnia.

„Szczur” dał jej zastrzyk na uspokojenie, i trochę to pomogło. Kiedy środek  
zaczął działać, z telefonu na korytarzu połączył się z „górami”, donosząc o zmianie,  
która zaszła, i prosząc o instrukcje. Po chwili wrócił do pokoju i przyjrzał się  
dziewczynie. Ciągle jeszcze ciężko dysząc, spytała błagalnym tonem:

— Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie jestem i co się dzieje?

Facet z gębą szczura uśmiechnął się złośliwie:

— Jesteś gościem Antora Treliga, Wysokiego Członka Rady i Przewodniczącego Partii Nowej Perspektywy, na jego prywatnej planetoidzie Nowe Pompeje. Powinnaś czuć się zaszczycona.

— Zaszczycona jak diabli! — splunęła. — Chcecie w ten sposób dobrać się do mojego ojca, prawda? Jestem zakładnikiem!

— Prawda, jaka mądra dziewczynka? — odparł jej strażnik. — No cóż, oto byłaś przez ostatnie dwa miesiące jakby zahipnotyzowana, a teraz będziemy sobie musieli jakoś radzić bez tego.

— Mój ojciec... — zaczęła mówić z wahaniem — on chyba nie ma zamiaru...

— Będzie tutaj z całą ekipą i sprzętem w ciągu tygodnia — wyjaśnił mężczyzna.

Odwróciła głowę.

— O nie! — jęknęła. Potem, przez chwilę, znowu ta myśl: zobaczy ją w takim stanie!

— Wolałabym umrzeć, niż tak mu się pokazać — wyznała.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dobra, dobra. Przecież i tak cię kocha. Twój stan jest produktem ubocznym lekarstwa, które daliśmy ci dla zabezpieczenia się. Normalnie dajemy po prostu określoną dawkę gąbki, musieliśmy się jednak upewnić, że nic nie zakłóci twojej równowagi umysłowej tak długo, jak długo potrzebujemy twojego staruszka, więc trochę przedawkowaliśmy. Te środki różnie działają na ludzi. W twoim przypadku powodują wilczy apetyt. Tak jest i tak lepiej, możesz mi wierzyć. Bywają w końcu i inne reakcje, naruszające na przykład równowagę hormonalną organizmu. Dziewczynki zaczynają mówić basem, wszędzie rosną im włosy, a czasami bywa nawet gorzej.

Nie miała pojęcia, co to jest gąbka, pomyślała że przyzwyczaili ją do jakiegoś narkotyku, który — bez podawania antidotum — zniszczy jej mózg.

— Tatuś mnie wyleczy — powiedziała wyzywająco.

Typ wzruszył ramionami.

— Może i wyleczy. Nie wiem. Ja tu tylko pracuję. Wiem jednak, że to wyłącznie wtedy, kiedy szef mu pozwoli, a do tego czasu będziesz coraz grubsza. Ale nie martw się — niektórzy lubią tłuste.

Ta uwaga wprawiła ją w przygnębienie.

— Niczego już nie tknę — postanowiła.

— Ależ nie, właśnie że zjesz — odpowiedział, wypuszczając swoich dwóch pomocników i ustawiając automat w drzwiach na otwieranie wyłącznie z zewnątrz. — I nigdy nie będziesz miała dość. Będziesz błagać o żarcie — a my nie zostawimy ciebie w potrzebie, prawda, chłopaki?

Zamknął drzwi.

Nie minęły trzy minuty, a przekonała się, że drzwi są rzeczywiście zamknięte na głucho i że była więźniem, z tą tylko różnicą, że teraz już z całą świadomością.

I wtedy dopadł ją głód.

Próbowała zasnąć, żeby o nim zapomnieć. Nic z tego. Zżerał ją, sycony nadmiarem środka, selektywnie oddziałującego na różne obszary jej mózgu.

Mały szczurek miał rację: po godzinie głód doprowadzał ją do szaleństwa, myślała tylko o jedzeniu.

Otwarto drzwi i do pokoju weszła najpiękniejsza kobieta, jaką Nikki zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Pchała stolik na kółkach, pełen jedzenia. Dwie rzeczy sprawiły, że Nikki na chwilę przestała myśleć o jedzeniu: pierwsza — że obsługa była ludzka, a nie automatyczna, i druga — że są kobiety o takiej urodzie. Po chwili jednak rzuciła się na jedzenie, a tamta, ze smutkiem w oczach, ruszyła do wyjścia.

— Zaczekaj! — zawołała Nikki. — Powiedz... czy tu pracujesz, czy też jesteś, tak jak ja, więźniem?

Kobieta patrzyła na nią ciągle z tym smutnym wyrazem.

— Wszyscy jesteśmy tu więźniami — odparła cichym, lirycznym głosem. — Nawet Agil — to ten, co cię znalazł i przyniósł tu z powrotem. Wiemy coś o gąbce i o okrucieństwie Antora Treliga.

— Bije cię? — wykrztusiła Nikki.

Wysoka, piękna kobieta potrząsnęła głową ze smutkiem.

— Nie, to akurat nie jest najstraszniejsze w tej izbie tortur. Widzisz... — dokończyła, odwracając się powoli ku drzwiom — jestem mężczyzną, wyposażonym we wszystkie niezbędne funkcje. A Agil jest moją siostrą.



## Na pokładzie frachtowca Assateaque

Mały statek dyplomatyczny zbliżył się do śluzy powietrznej międzygwiazdowego frachtowca. Kobieta-pilot towarowca obserwowała dokowanie na ekranach, a potem na komputerze sprawdziła kolejno szczelność wszystkich połączeń.

— Pośpiesz się, wydaj zezwolenie na wejście na pokład — powiedziała mocnym, pozbawionym intonacji i zaskakująco głębokim głosem.

— Potwierdzam — odpowiedziała brzmiąca mechanicznie wersja tego samego głosu, kiedy się włączył pokładowy komputer.

— Zostań w gotowości do następnych instrukcji — powiedziała do komputera, a potem wstała i ruszyła w długą drogę do centralnej śluzy powietrznej.

— Dlaczego nie wbudowali tego bliżej mostka? — zastanawiała się, zirytowana. Właściwie jednak nie miała powodów do narzekania — kosmiczne cumowanie zdarzyło się jej dotąd tylko dwukrotnie.

Była malutką kobietą jak na taki potężny głos — zaledwie 150 centymetrów na bosaka. Na jej strój składały się lśniąco czarne wysokie buty, które dodawały jej całe 13 centymetrów. I tak była mała, ale ten dodatek przynajmniej podnosił ją na duchu. Była bardzo szczupła, z talią osy. Na pewno nie ważyła więcej niż 41 kilogramów, może nawet mniej. Miała małe, proporcjonalne piersi, poruszała się z kocim wdziękiem. Odziana była w grube, obcisłe czarne rajtuzy i czarną koszulę bez rękawów z tego samego materiału, która też wyglądała na skrojoną na miarę. Efektu dopełniał czarny pas ze złotą sprzączką w kształcie stylizowanego smoka. Nie tylko o efekt chodziło, pas bowiem służył również do przenoszenia rozmaitych praktycznych drobiazgów ukrytych w specjalnych kieszonkach oraz do bardzo jawnej kabury ze zgrabnym, czarnym oksydowanym pistoletem.

Jej owalna twarz nad długą szyją sprawiała wybitnie chińskie wrażenie, chociaż wszyscy mieli rysy jakoś orientalne. Kruczoczarne włosy nosiła krótko przycięte, zwyczajem kosmicznych pilotów.

Klamra pasa była jedyną ozdobą, jaką nosiła. Chociaż jej długie paznokcie sprawiały wrażenie polakierowanych na kolor bladego srebra, w istocie był to jednak produkt zabiegów medycznych, nie wyłączając chirurgii, które przekształciły je w dziesięć ostrych stalowych szponów.

Mało miała w sobie kokieterii i nie zaprzętała sobie zbyt głowy wyglądem zewnętrznym, a w czasie służby — nigdy, ale teraz przystanęła nie dochodząc do śluzy i przyjrzała się sobie w lustrzanej stalowej powierzchni. Mimo wielu blizn, niewidocznych teraz, jej ciemna, złotobrazowa skóra była idealnie gładka.

Zadowolona uruchomiła śluzę. Ciśnienie z sykiem się wyrównało, czerwone światło nad włazem zgasło, a zapłonęło zielone. Pociągnęła uchwyt, otwierając klapę.

Ze względów bezpieczeństwa wszystkie włazy można było uruchomić wyłącznie ręcznie i tylko od wewnątrz. Uratowało to życie wielu kapitanom frachtowców.

Na pokład statku wkroczyła postać jakby wykuta z kamienia. Kiedyś mogła to być kobieta słusznego wzrostu, ale upływ lat zrobił swoje, pochylając i niekształcąc sylwetkę. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozstać z życiem.

Kiedy kobieta — kapitan frachtowca — próbowała jej pomóc, zakłęta wściekle. Wyraz twarzy świadczył o dumie i arogancji, nabytej w toku wieloletnich życiowych doświadczeń, ciemne oczy płonęły w twarzy tak intensywnie, jakby były zasilane z oddzielnego źródła.

Wygramoliła się ze śluzy, zgarnęła białą szatę i pozwoliła kapitanowi zamknąć ją za sobą.

Kapitan frachtowca, młodsza i znacznie niższa od gościa, podała matronie krzesło i sama usiadła na pokładzie po turecku, przyglądając jej się śmiało.

Gość odpowiedział twardym i bystrym spojrzeniem. Członek Rady Lee Pak Alaina studiowała swym niewiarygodnie żywym wzrokiem twarz malutkiej gospodyni, cal po calu.

— A więc to jest Mavra Chang — powiedziała w końcu głosem, w którym brzmiała władza.

Kapitan skinęła głową z szacunkiem.

— Mam ten zaszczyt — odparła tonem uprzejmym, ale mocnym i pewnym siebie.

Stara kobieta rozejrzała się po statku.

— Ach, tak. Żeby tak być znowu młodą! Lekarze mówią mi, że jeszcze jedno odmłodzenie i znikuję. — Popatrzyła znowu na kobietę-kapitana. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia siedem.

— I już dowódca statku! — Zawołała stara. — No, no, no!

— Odziedziczyłam go — odpowiedziała gospodyni.

Kobieta, Członek Rady, skinęła głową.

— Tak, owszem. Sporo wiem o tobie, Mavra Chang. Zresztą z konieczności. Urodziłaś się w Świecie Handcha przed trzystu dwudziestoma siedmioma miesiącami jako najstarsze z ośmiorga dzieci małżeństwa tradycjonalistów, senator

Vasura Tonge i jej męża, lekarza Marchala Hisetti. Złapani, kiedy mimo ich najlepszych starań świat przeszedł na komunizm przed dwudziestu dwu laty. Grupa przyjaciół z dobrymi koneksjami przeszmyglowała cię do portu kosmicznego Gnoshi, kiedy capnęli resztę twojej rodziny i umieścili pod opieką Mak Hung Chang, kapitana frachtowca, przekupionej, by wywiozła cię w bezpieczne miejsce. Obywatelka Chang skasowała gotówkę i wychowała cię, zmieniając z pomocą lekarza, któremu odebrano uprawnienia, twój wygląd i upodabniając go do kapitana.

Mavra patrzyła z opadniętą szczęką. W jaki sposób ktoś ją mógł wysledzić?

— Maki Chang, aresztowana za przemyt zakazanych towarów do Komlandów, zostawiła cię w wieku trzynastu lat na łaskę losu w barbarzyńskim świecie Kaliva. Imałaś się wszystkiego, obojętnie czy było to legalne, czy nie. W wieku dziewiętnastu lat zakochałaś się w przystojnym kapitanie frachtowca imieniem Gimball Nysongi. Nysongi zginął z rąk rabusiów na Basadzie przed pięcioma laty, od tego czasu sama dowodzisz statkiem. — Uśmiechnęła się słodko. — Widzisz więc, że trochę cię znam, Mavra Chang.

Dziewczyna-pilot przyglądała się starej z rosnącym zdumieniem.

— Zadałaś sobie masę trudu, zbierając te informacje. Domyślam się, że jest to zaledwie część tego, co wiesz?

Tamta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Oczywiście, kochana. Ale nie te akurat sprawy sprowadzają mnie dziś do ciebie.

Mavra zmieniła ton, pytając jak kobieta interesu:

— O co więc chodzi? Zamach? Szmugiel? Nielegalna operacja?

Stara kobieta spoważniała.

— Działania nielegalne, owszem, ale nie w twoim czy moim wykonaniu. Zanim nawiązaliśmy kontakt z tobą, zbadaliśmy sylwetki tysięcy drani.

— Dlaczego ja? — spytała młoda kobieta, teraz naprawdę zaintrygowana.

— Po pierwsze dlatego, iż jesteś pozbawiona kośćca polityczno-moralnego, nie przejmujesz się ustawami i przepisami. Po drugie jednak dlatego, że zachowałaś pewne zasady etyczne — nienawidzisz Kom, nawet handlując z nimi, i masz po temu powody.

Mavra Chang kiwnęła głową.

— Jest jeszcze coś. Nie chodzi tylko o to, co zrobili ze mną. Idzie o to, co zrobili z ludźmi. Podobni z wyglądu, identyczni w działaniu, jednomyślni. Tylko partia wyrasta ponad tłum. Szczęśliwi jak mrówki w kopcu. — Splunęła wymownie.

Członek Rady Alaina kiwnęła głową.

— Tak, to też mieliśmy na względzie. Poza tym jesteś odważną kobietą, twarłą na zewnątrz i w środku, życie nauczyło cię sposobów walki i przetrwania, o jakich normalni ludzie nie mogą nawet śnić. Przydaje się nawet wygląd: mała,

ładniutka kobieta; mało kto na pierwszy rzut oka oceni właściwie twoje możliwości, a w tej robocie kobieta budzi mniej podejrzeń niż mężczyzna.

Mavra poruszyła się, wyciągając nogi i opierając ręce na kolanach.

— Cóż to więc jest takiego, czego nie może wykonać osobiście Członek Rady?

— Czy znasz Antora Treliga? — zapytała tamta ostro.

— Słyszałam. Gruba ryba. Wielkie wpływy w Radzie, umoczony w różnych ciemnych interesach. W praktyce rządzi Nową Perspektywą niczym udzielny książę.

Stara kobieta kiwnęła głową.

— Dobrze, dobrze. Dorzuciłabym jeszcze kilka szczegółów. Na przykład o syndykacie handlarzy gąbką. Słyszałaś coś o tym, prawda?

Mavra kiwnęła głową, nie przerywając.

— No cóż, nasz drogi, kochany Antor jest jego szefem. *Capo di tutti capi*. Trochę na niego nazbieraliśmy, ale to świństwo jest bardzo rozplenione, partia ma ścisłą, hierarchiczną strukturę ułatwiającą kontrolę. Wykorzystując ją i robiąc kilka zręcznych ruchów politycznych, Antor zdołał pozyskać sobie trzynaście głosów przewagi w Radzie.

Młoda kobieta w pierwszej chwili oniemiała.

— Ależ w tej sytuacji będzie mógł sięgnąć po broń, którą kiedyś objęto nadzorem! — krzyknęła.

— Nie da się ukryć — przyznała Alaina. — Będzie mógł kontrolować każdego z nas, całą populację sektora. Przez pewien czas wydawało się, że ma kłopoty, ale ostatnio, poufnie i nieoficjalnie poinformował, że dysponuje bronią, która pozwoli mu przerobić całe światy w mgnieniu oka na modłę Kom, a zresztą... zrobić z nimi co zechce. Zaprosił piętnastu członków Rady na przyszły tydzień na pokaz tego nowego oręża. Jest przekonany, że demonstracja ta wywrze takie wrażenie, iż przełamie opór przedstawicieli politycznie skłóconych światów i skłoni ich do głosowania za nim.

Mavra zmarszczyła brwi.

— A jakie ma zamiary na wypadek przejęcia władzy?

— No cóż, Antor był zawsze wielbicieleм Imperium Rzymskiego z okresu jego największej świetności — odpowiedziała starsza kobieta, a potem, widząc, że Mavra nie chwyta, dorzuciła: — Ech, mniejsza z tym. Taka mała dygresja historyczna, naprawdę bez znaczenia. Powiem tak: panował tam władca absolutny, który, w opinii poddanych, wpajanej im od dziecka, był bogiem; istniała bardzo liczna klasa niewolników; imperium było zdolne do podbicia i władania ogromnymi obszarami, znane jednak było ze swego zepsucia, Wyobraź sobie teraz, co może zrobić taki system, wyposażony we współczesną technikę. A to właśnie marzy się Antorowi Treligowi.

— Czy on rzeczywiście dysponuje taką bronią? — spytała Mavra.

Alaina kiwnęła głową.

— Myślę, że tak. Moi agenci zaczęli coś podejrzewać, gdy znany fizyk nazwiskiem Zinder nagle zrezygnował z kontynuowania projektu badawczego na Makeva, zwinął cały majdan z komputerem i ludźmi i po prostu wyparował. Zinder miał niekonwencjonalne pomysły, nie był zresztą lubiany w środowisku naukowym. Był przekonany, iż Markowianie przekształcali energię w materię prostym *fiat* — niech się stanie. Wierzył, że będzie mógł odtworzyć tamten proces. — Zawiesiła głos, patrząc Mavrze twardo w oczy. — A jeśli był na właściwym tropie? Przypuśćmy, że mu się udało. . .

Na to Mavra spytała, a raczej stwierdziła:

— Myślicie więc, że Zinder uciekł, by pracować dla Treliga?

— Owszem — odparła Alaina. — Nie przypuszczam, by zrobił to z własnej woli. Moi agenci odnotowali podejrzany kurs z Makeva przed mniej więcej dwięcioma tygodniami. Mały statek handlowy wynajęty przez Treliga, jego osobisty pilot, bez ładunku. Widziano ludzi taszczących jakiś tobiół, w którym mogło być ludzkie ciało, na statek Treliga. Poza tym, grzebiąc wokół tego, stwierdziliśmy, że doktor Julin, główny asystent Zindera, zdobył wykształcenie dzięki materialnemu wsparciu osoby znanej powszechnie ze swych powiązań z Treligiem. Prócz tego jest wnukiem jednego z bosów mafii gąbkowej.

— Wiedział więc, kiedy Zinder osiągnął cel. Ma kogoś, kto może sprawdzać postępy prac. Ale czym trzyma Zindera w szachu. Myślisz, że. . .

— Właśnie. Córka Zindera. Zniknęła, i to na długo przed zamknięciem projektu. Miał fioła na jej punkcie. Myślimy, że jest zakładniczką, przez którą — trzymając Zindera w szachu — można go zmusić do zbudowania większej wersji urządzenia, które miał na Makeva. Pomyśl tylko! Bierzesz na muszkę świat, zamykasz oczy, wyobrażasz sobie, co tylko chcesz i — fiu. . . ! Stoliczku, nakryj się!

Mavra kiwnęła głową.

— Nie jestem pewna, czy mam ochotę uwierzyć w coś takiego, ale. . . — urwała, przypominając sobie coś. — Dawno, dawno temu, kiedy byłam malutka, moi dziadkowie opowiadali coś w tym stylu, chodziło o jakieś miejsce, zbudowane przez Markowian, gdzie wszystko było możliwe. — Uśmiechnęła się gorzko. — To zabawne, jakoś dopiero dzisiaj mi się o tym przypomniało. Były to pewnie bajki.

— Ale Antor Trelig nie jest postacią z bajki — odparła Alaina zwyczajnie. — I myślę, że ta maszyna też nie jest wymysłem bajkopisarza.

— I pewnie chcecie, żebym to ja ją unieszkodliwiła? — domyślała się Mavra.

Alaina potrząsnęła głową.

— Nie, to akurat nie wydaje mi się możliwe. Zbyt dobrze tego pilnują. To, czego możemy spróbować — a i tu szanse mamy niewielkie — to wydostać stam-

tał doktora Zindera. A to, jak nietrudno zgadnąć, oznacza również uwolnienie jego córki Nikki.

Chang, przybierając swój normalny konkretny ton, spytała:

— Gdzie jest ta instalacja?

— Antor nazwał to miejsce Nowymi Pompejami — odpowiedziała Alaina. — Jest to prywatna planetoida, stanowiąca jego osobistą własność i schronienie. Jest to również centrum dyspozycyjne gąbkowego syndykatu, zaopatrujące w towar cały sektor.

Mavra gwizdnęła z uznaniem.

— Wiem, gdzie to jest. Nie do zdobycia. Trzeba by mieć środki na miarę tych, które tam i w okolicy zgromadził Trelig. Niepodobieństwo!

— Wcale nie powiedziałam, że miałabyś przeniknąć do środka — wyjaśniła Alaina. — Twoje zadanie polegałoby na wydostaniu tej dwójki. Musimy wiedzieć to, co oni wiedzą, musimy mieć to, co oni mają. Mogę cię tam wprowadzić — wszyscy uważają mnie za rozsypujące się próchno, więc nie spodziewają się, że zajadę aż tak daleko. Zaproszono mnie na pokaz, ale myślę, że nie oczekuje się mojego osobistego udziału. Podobnie jak część pozostałych gości, wyślę osobistego przedstawiciela, kogoś, komu mogę zaufać. To znaczy ciebie.

Mavra pokiwała ze zrozumieniem.

— Ile czasu będę miała na tym asteroidzie?

— Antor prosił o zarezerwowanie trzech dni. Jeden dzień będzie przeznaczony na rozrywkę i zwiedzanie Nowych Pompei. Nazajutrz odbędzie się właściwy pokaz. Spodziewamy się, że trzeciego dnia Trelig odkryje karty.

— Niewiele — zauważyła Mavra. — Mam znaleźć dwie osoby, prawdopodobnie umieszczone w dwóch odległych od siebie miejscach, wydostać je, i to wszystko pod nosem strażników Treliga, na jego terytorium i w trakcie imprezy przez niego reżyserowanej.

Alaina znowu potwierdziła.

— Wiem, że to niemożliwe, ale naprawdę musimy spróbować. Gdyby udało się wydostać choćby dziewczynę! Jestem pewna, że uzależnili ją od gąbki, ale to można usunąć. Pilnuj się, żeby i tobie się to nie przytrafiło. Gąbka jest jednym z najpodlejszych narkotyków, a w tym przypadku może to być tylko próbka tego, na co stać Antora.

— A jeśli złapie nas wszystkich na gąbkę, dodając to świństwo do poobiednich drinków? — zmartwiła się Mavra.

— Na pewno nie — zapewniła ją Alaina. — Dopilnuje, by przedstawicielom uczestniczącym w pokazie nic się nie przytrafiło. Mogłoby to zepsuć cały efekt. Potrzebni mu są zdrowi na ciele i umyśle wysłannicy, których będzie można tak nastraszyć, by przekonali o bezcelowości oporu takich ludzi, jak ja. Jeżeli jednak dowie się, po co tam naprawdę jesteś, po prostu mnie skreśli, a ciebie potraktuje odpowiednio i bez żadnych zahamowań. Rozumiesz, co mam na myśli?

Mavra w milczeniu kiwnęła głową.

— No to jak, podejmujesz się?

— Za ile? — spytała młoda kobieta rzeczowo.

Alaina się rozpromieniła.

— Wszystko, co chcesz, o ile ci się uda. Mówię poważnie. Jeśli wydobędziesz tylko Nikki, będzie to połowa sukcesu. Jestem pewna, że Zinder pracuje z nimi tylko dlatego, że jest szantażowany. A więc za taki połowiczny sukces, powiedzmy — dziesięć milionów?

Mavrę zatkało. Tyle mniej więcej wart był „Assateaque”. Mając taką sumę i statek na dokładkę będzie mogła zrobić, co jej się żywnie spodoba.

— Pamiętaj jednak — przestrzegła stara — że fiasko oznacza śmierć, a może — co gorsza — niewolę u Antora Treliga, może też — powolne umieranie na gąbkę. Tacy ludzie jak Antor Trelig rodzą się raz na sto, może na tysiąc lat. Pozbawiony skrupułów, amoralny sadysta, żadna władzy bestia. W końcu każdego z tego gatunku dosięga kara, ale niezliczonym milionom ofiar nic nie przywróci życia. Antor jest z nich najgorszy. Na pewno zresztą przekonasz się o tym sama w czasie pobytu na Nowych Pompejach. Posłuchaj tylko, co mówi o ludziach i świecie. To wystarczy.

— Połowa z góry — dorzuciła Mavra tym samym rzeczowym tonem.

Członek Rady Alaina wzruszyła ramionami.

— Jeśli ci się nie uda, pieniądze nie będą ci i tak potrzebne.

# Nowe Pompeje

Antor Trelig oglądał z góry szyb, w którym Obie został połączony z elementami większego projektu. Dziura ta pochłonęła sumę wystarczającą na pokrycie budżetu niejednej planety, a prace trwały siedem miesięcy. Gigantyczne żurawie ustawiały teraz „wielki spodek”. Wraz z całym zespołem pod nim zajmował prawie połowę dolnej, nie obudowanej części asteroidu. Z kosmosu cały system wyglądał niczym największy radioteleskop, jaki kiedykolwiek zdołano zbudować.

Był jednak przeznaczony do realizacji mrocznych celów, nie mających nic wspólnego z badaniami naukowymi.

Antor Trelig nie przejmował się takimi drobiazgami jak koszty. Bez trudu mógł je pokryć z budżetów setki światów kontrolowanych przez syndykat, w którym sprawował władzę absolutną. Nigdy nie przywiązywał wagi do pieniędzy, chyba tylko jako środka do zdobycia władzy.

Olbrzymie kosmiczne holowniki opuściły do szybu powoli ogromne urządzenie, przypominające zwierciadło. Wszystkie prace były niezmiernie czasochłonne, ale uzbroidł się w cierpliwość. Najważniejsze, że projekt był na ukończeniu.

Podszedł do stanowiska, z którego Gil Zinder obserwował operację, zdany teraz podobnie jak i on na inżynierów i techników. Zinder rozejrzał się i dostrzegł przybysza. Jego twarz przybrała wyraz pogardy, której nie chciał i nie potrafił ukryć.

Trelig promieniował energią i pogodą ducha.

— A więc, doktorze — powiedział swobodnie — zbliżamy się do mety. Historyczna chwila.

Zinder zmarszczył brwi.

— Pewnie tak, chociaż chciałbym dożyć szczęśliwszych czasów — odparł. — Posłuchaj: zrobiłem to. Wszystko, czego chciałeś. Pozwól więc teraz, że wyleczę córkę z gąbki za pomocą mniejszego urządzenia.

Trelig uśmiechnął się.

— W czym problem? Julinowi udaje się ją odchudzić co kilka tygodni, a więc nie zapasie się na śmierć.

Gil Zinder westchnął.



— Posłuchaj, Trelig. Dlaczego nie można jej przywrócić przynajmniej normalnej wagi? Przy jej wzroście dziewięćdziesiąt kilogramów to stanowczo zbyt dużo.

Władca Nowych Pompei zarechotał.

— Ale tu waży przecież zaledwie sześćdziesiąt cztery kilogramy! To przecież mniej niż ważyła na Makeva!

Naukowiec już chciał coś odpowiedzieć, powściągnął jednak gniew. Nikki rzeczywiście ważyła tutaj mniej, tak zresztą jak wszyscy. Mięśnie przywykły już do niniejszegociążenia, a niezwykła tusza dawała o sobie znać tylko na wadze. Wyglądała odpychająco, poruszała się niezręcznie, masy sadła przytłaczały ją. Na Makeva przyciążeniu 1 G padłaby pewnie po przebyciu 100 metrów, tutaj nie było wiele lepiej.

Zinder wiedział, że Nikki będzie po tamtej stronie dopóki Trelig nie zrealizuje swoich planów. Wiedział też, dlaczego tylko ambitnemu zdrajcy, Ben Julinowi, pozwalano na eksperymenty pod małym zwierciadłem.

Mógł więc tylko czekać na zakończenie montażu wielkiego urządzenia. Wierzył, że nadejdzie jeszcze jego chwila.

Najbardziej niepokoił go Julin. Był to niewątpliwie błyskotliwy umysł. Co z tego, kiedy należał do tego samego gatunku, co Trelig. Mógł się czuć bezpiecznie, dysponując przewagą techniczną nad Treligiem i jego ekspertami. Tamci nie potrafili obsługiwać zwierciadła Obiego bez pomocy Julina, ten zaś był wyznawcą teorii Zindera, nie mając za sobą dziesięcioleci badań, które pozwoliłyby zaprogramować potwora. Nigdy nie potrafili zbudować tej maszyny. Umiał ją natomiast obsługiwać.

I tego właśnie Zinder obawiał się najbardziej. Kiedy urządzenie zostanie zmontowane i wypróbowane, on i Nikki, zwłaszcza Nikki, staną się zbędni.

Nie mógł niestety w tajemnicy zaprogramować Obiego w ten sposób, by ten nie dopuścił Julina do obsługi poza pewną fazą; choć to on zaprojektował urządzenie, nie dopuszczano go do przyrządów bez asysty Julina.

Nowe Pompeje dały Gilowi Zinderowi pojęcie o dalszych planach Antora Treliga. Wiedział już, o jaką władzę tu chodzi.

Przeliczył wszystko i sprawdził wielokrotnie teoretycznie, całą nadzieję pokładał jednak w koncepcjach pozbawionych podstaw, nieprzetartych ścieżkach. Nikt przedtem nie zbudował przecież takiej maszyny.

\* \* \*

Mavra Chang wprowadziła swój mały, ale szybki statek dyplomatyczny na orbitę postojową w odległości około roku świetlnego od Nowych Pompei. Nie przybywała pierwsza, obiegała planetoidę w zgrabnie uszeregowanym towarzystwie

siedmiu czy ośmiu podobnych statków. Swój zwykły strój uzupełniła o czarny sweter i pas. Pas wyglądał jak szeroka taśma zszyta z wielu pasemek grubej, czarnej liny, spięta znacznie większą i mocniejszą klamrą w kształcie smoka. Nikt by nie przypuścił, że w rzeczywistości jest to trzymetrowy bicz ze skórzanej plecionki. Skrytki w klamrze pasa mieściły igły i strzykawki mogące służyć rozmaitym celom. Ukryte wkładki w butach i wysokie, grube obcasy zawierały jeszcze inne pożyteczne materiały. Cały strój był jednak dopasowany w tak naturalny sposób, że nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń. Również jej małe kolczyki, przypominające połączone ze sobą kryształowe kostki, kryły ciekawe niespodzianki.

Potarła lekko siedzenie. Ciągle ją piekło w miejscu, gdzie naszpikowali ją rozmaitymi szczepionkami i odtrutkami, które miały ją chronić przed... chyba przed wszystkim, co jej mogło zaszkodzić. Wyobrażała sobie, że gdyby się skaleczyła, z rany pociekłaby apteka zamiast krwi.

— Mavra Chang jako wysłanniczka Członka Rady Alainy — przedstawiła się niewidocznym strażnikom Nowych Pompei na podanej częstotliwości.

— Bardzo dobrze — odparł bezbarwny głos, pewnie męski. — Utrzymuj kurs. Poczekamy na innych i dopiero wtedy was przewieziemy.

Zakłęła w myślach. Nie dopuszczali żadnego ryzyka. Specjalne wyposażenie statku z ukrytymi systemami podtrzymywania życia na nic się nie przyda. Pojadą wszyscy razem, i to na pokładzie statku gospodarza.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Tym razem miała lekki makijaż — brązowa szminka do ust, lakier do włosów, nadający im opalizujący szaroniebieski metaliczny połysk. Pomalowała nawet paznokcie na kolor matowego srebra. Akurat to miało kamuflować ich dość niezwykle właściwości, resztę nosiła z myślą o Treligu. Chociaż dwupłciowy, jak wszyscy przedstawiciele jego gatunku (miał zarówno męskie, jak i żeńskie narządy płciowe), wolał uchodzić za mężczyznę zarówno wyglądem, jak i seksualnymi skłonnościami.

Wreszcie byli w komplecie. Od strony Asta nadleciał duży, luksusowy prywatny statek pasażerski. Cumowali kolejno, włączali autopilota i przechodzili na pokład.

W skład grupy, liczącej ostatecznie 14 osób, wchodziło tylko dwóch członków Rady. Pozostali byli osobistymi przedstawicielami, niektórzy z nich już samym wyglądem zdradzali, że podobnie jak Mavra, nie są zawodowymi dyplomatami. Spostrzeżenie to trochę ją zmartwiło. Jeśli ona to zauważyła, to Trelig na pewno nie będzie mniej spostrzegawczy. Być może właśnie tego się spodziewał.

Obsługa kabinowa była uprzejma i bardzo sprawna. Byli modelowymi obywatelami Nowej Harmonii, zrodzonymi do służby. Ciemni, pozbawieni owłosienia, tego samego wzrostu — około 180 centymetrów, muskularni, odziani jedynie w lekkie przepaski i sandały. Po oczach, pozbawionych blasku, można było rozpoznać typowych mieszkańców Komlandów.

Kom były spadkobiercami wszystkich utopijnych grup pierwotnej rasy. Spełniły odwieczne marzenia każdego utopijnego lenistwa: równy podział wszelkiego bogactwa, pieniądź używany wyłącznie do rozliczeń w handlu międzygwiazdowym, żadnego głodu, żadnego bezrobocia. Dzięki inżynierii genetycznej wszyscy mieszkańcy Kom byli do siebie podobni. Zabiegi programowania biologicznego idealnie dostosowywały ich do wykonywania konkretnych czynności. Wmontowano im również zadowolenie z każdej wykonywanej pracy — ich celem była służba. Jednostka się nie liczyła, ludzkość była pojęciem zbiorowym.

W poszczególnych Komlandach wygląd ludzi i ich zajęcia różniły się od siebie, dostosowano je bowiem do specyfiki środowiska danego świata, do zróżnicowanych potrzeb itd. Sam system wykazywał również pewne zróżnicowanie. W niektórych światach zostały same kobiety, inne zachowały dwie płcie, w innych wreszcie wszyscy się rodzili z pełnym wyposażeniem obu płci. Do tych ostatnich należała Nowa Harmonia. Kilka Komlandów w ogóle zrezygnowało z jakichkolwiek cech płciowych, opierając rozród na klonowaniu.

Większość światów założyli działający w szczególnych intencjach wizjonerzy. Po stworzeniu systemu hierarchia miała zniknąć, dając początek idealnemu społeczeństwu, bez rozczarowań, pragnień, potrzeb i psychicznych zahamowań.

Doskonałe ludzkie mrowiska.

W większości wypadków jednak partia, tworząca system, nie miała zamiaru się likwidować. Tam, gdzie taką próbę podjęła, stworzone przez nią systemy społeczne załamywały się, niezdolne podołać skutkom klęsk żywiołowych czy zmierzyć się z nieoczekiwanymi problemami.

Przeważały jednak takie światy, w których nawet tego nie próbowano. Zaliczała się do nich również Nowa Harmonia. Różne były przyczyny utrzymywania się niewygasłej ambicji, chciwości i żądzy władzy, które stworzyły przekonanych rewolucjonistów i pozwalały im przetrwać złe czasy. Przywódcy, którzy wytępilli te cechy w swoim społeczeństwie, sami nie potrafili się ich pozbyć. Na przykład Nowa Harmonia, Kom-land od pięciu stuleci, nadal miała partyjną hierarchię kilku tysięcy administratorów dla różnych stref dyplomatycznych i ekonomicznych, na której czele stał urodzony przywódca — Antor Trelig.

Teraz cała reszta rodzaju ludzkiego miała się przekonać o wysokim poziomie jego kwalifikacji.

Rozmowy w czasie lotu na Nowe Pompeje ograniczyły się do zdawkowych uprzejmości. Mavra od razu jednak doszła do wniosku, że Trelig z miejsca wyczuje prawdziwe zadania przynajmniej niektórych członków tej pstrokatej zgrai. Dwumetrowy niebieskooki brodac, o grubych rysach, na pewno nie pochodził z Komlandu Raj, którego mieszkańcy byli obupłciowi, nie różnili się niczym między sobą i osiągalni niecałe półtora metra wzrostu. Musiał być, jak i ona, kapitanem frachtowca, albo też barbarzyńcą z któregoś z ostatnio zasiedlonych światów.

Grupa „delegatów” składała się z ośmiu mężczyzn i sześciu kobiet, przy czym w dwóch przypadkach Mavra miała pewne wątpliwości.

Obsługa z Nowej Harmonii przeszła między siedzącymi, zbierając broń. Wyjaśniono, że przybysze zostaną i tak poddani kontroli przed opuszczeniem statku; lepiej więc niczego nie ukrywać i oszczędzić sobie kłopotu.

Mavra oddała pistolet bez oporu; broń, na którą naprawdę liczyła, wytrzymała pomyślnie wszelkie próby wykrycia, inaczej by jej nie zabrała. Przeszła więc śmiało przez ramkę wykrywacza, który nie zareagował porażającym szokiem, tak jak się to zdarzyło w przypadku dwóch gości, ukrywających rozłożone pistolety i noże.

Po zakończeniu kontroli Mavra się rozejrzała.

Małą przystań zaprojektowano dla dwóch statków, takich jak ten, którym przybywali. Jeden już tam był, z pewnością prywatna maszyna Treliga. Wszędzie było widać strażnikowi urządzenia kontrolne, niczego innego zresztą nie oczekiwała. Nie sądziła jednak, by jej misja była niemożliwa.

Wiedziała, że może liczyć na jakąś pomoc, ale nie mogła się przedwcześnie odsłaniać, tak samo zresztą, jak inni. Było wielce prawdopodobne, że jeden z „przedstawicieli” jest wtyczką Treliga. Być może było ich więcej.

Nie wyładowywano bagażu, ponieważ w ogóle nie zezwolono na niego. Zapatrzeniem we wszystko, co niezbędne, miał się zająć Trelig.

Sam gospodarz wyszedł im na spotkanie — wysoki, znacznie wyższy niż szeregowi obywatele Nowej Harmonii, potężny, muskularny, niezmiernie przystojny egzemplarz gatunku. Odziany był w powiewną białą szatę, a długie włosy czyniły go podobnym do anioła.

— Witamy, witamy! Witajcie, drodzy przyjaciele! — wykrzyknął tym swoim głosem urodzonego mówcy. Ten głos był wart sumy, jaką zapłacił. Przywitał się ze wszystkimi po kolei, całując ich dłonie zgodnie z powszechnie przyjętym rytuałem powitalnym. Ujmując dłoń Mavry, uniósł swe krzaczaste brwi, jeszcze jedno odchylenie od panującej w Nowej Harmonii normy.

— Cóż za zdumiewające paznokcie! — zawołał. — Moja droga, przypominasz nimi seksowną kotkę.

— Czyżby? — odparła, nie kryjąc pogardy. — Myślałam, że wytrzebiłeś już koty w Nowej Harmonii.

Wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i przeszedł dalej. Potem przeprowadził ich do niewielkiego, wyściełanego pluszem salonu recepcyjnego. Widok, jaki się przed nimi otworzył, był zadziwiający. Po pierwsze — dominowała szalenie intensywna zieleń, bujnej, ale starannie przystrzyżonej trawy. Po lewej ciągnął się spory las, który zdawał się sięgać aż po horyzont. Po prawej wznosiły się niewielkie pagórki porośnięte barwnymi drzewami i kwiatami. W środku zaś, w odległości może pięciuset metrów, leżało miasto, jakiego jeszcze nigdy nie zdarzyło im się oglądać.

Wzniesiono je na trawiastych stokach wzgórza, którego szczyt zajmował wysoki budynek z polerowanego marmuru. Swym ogromem przypominał amfiteatr lub świątynię. Niżej, u stóp wzgórza rozmieszczono charakterystyczne budowle w starym stylu, również zbudowane z marmuru, z olbrzymimi kolumnami, wspierającymi wielkie sklepienia ozdobione rzeźbionymi w kamieniu postaciami z mitologii. Do każdego budynku prowadziły wielkie marmurowe schody; wewnątrz niektórych można było dojrzeć obszerne wewnętrzne dziedzińce, przyozdobione żywymi kwiatami i różnymi rzeźbami, z fontanną pośrodku. Trelig poprowadził ich do centralnego budynku, przykrytego kopułą, z najdłuższymi i największymi schodami.

— Staram się dopuszczać tu tylko tyle techniki, ile niezbędne — wyjaśnił po drodze. — Obsługują ludzie, jadło i napoje też przygotowują ludzie, a nie automaty. W niektórych przypadkach nawet zbiór roślin, służących ich przygotowaniu, odbywa się ręcznie. Żadnych pojazdów mechanicznych. Tu i ówdzie oczywiście konieczne są kompromisy, na przykład w kwestii oświetlenia, poza tym cały ten świat ma kontrolowaną atmosferę, którą utrzymuje pod plazmową kopułą praca kompresorów. Odpowiada nam jednak zachowanie tego sielskiego wyglądu.

Nie mieli żadnych problemów z chodzeniem czy z pokonywaniem schodów; przy ciężeniu równym 0,7 G czuli się znakomicie, niemal tak, jakby mogli latać. Spacer zmęczył ich mniej niż przebycie 1 kilometra przy ziemskim ciężeniu.

Główny budynek mieścił wielką salę. Niski stół z prawdziwego dębu był obficie zastawiony; siedzieli wokół niego na miękkich, futrzanych poduszkach. Stół stał na niewielkim podwyższeniu, reszta powierzchni była pokryta lśniącem drewnianym parkietem, przypominającym trochę krąg taneczny. Dookoła wznosiły się wysokie marmurowe kolumny, pomiędzy którymi rozpięto jedwabne zasłony, skutecznie utrudniające obserwację dalszych partii budynku.

Spoglądając w górę, Mavra stwierdziła, że wewnątrz kopuły jest pokryte mozaiką o skomplikowanym wzorze. Cała sala była dobrze oświetlona, światło trochę przytłumione z wyjątkiem obszaru pokrytego parkietem, dochodziło z niewidocznego źródła.

Trelig usadowił ich i zasiadł sam u szczytu stołu. Przed każdym miejscem stała patera z prawdziwymi, egzotycznymi owocami. Inne — pomarańcze, ananasy, pomarańcze chińskie — zdobiły stół. Goście dziubali owoce ostrożnie pałeczkami; większość niczego takiego przedtem nie jadła.

— Spróbujcie wina — zachęcał gospodarz. — Prawdziwe, z alkoholem. Mamy tu własne winnice i wyrabiamy całkiem niezły towar.

Smakowało rzeczywiście wybornie, znacznie lepiej niż syntetyki, na których się chowali. Mavra wolała owoce syntetyczne od prawdziwych. Natomiast wino było faktycznie znakomite. Oczywiście, takie towary były wszędzie do kupienia, ale za cenę znacznie przekraczającą możliwości finansowe większości ludzi.

Trelig kłaśnięciem przywołał cztery kobiety. Wszystkie były opalone i ciemnowłose, poza tym jednak zupełnie różne, z pewnością zrodzone w obszarach raczej odległych od Nowej Harmonii. Miały długie włosy i używały mocnego makijażu oraz dość agresywnych perfum. Bose, były odziane tylko w luźne przezryste szaty niedzisiejszego kroju.

Sprawnie sprzątnęły pucharki na owoce i kieliszki po winie, unikając spojrzeń gości i nie odzywając się słowem. Ledwie zniknęły za zasłonami, pojawiły się następne, niosące na głowach srebrne tace.

Sąsiad Mavry warknął:

— Obrzydliwe. Ludzie czekają, aż inni ludzie wykonają pracę, którą z powodzeniem można by powierzyć robotom!

Większość uczestników biesiady skinęła lekko na znak zgody, chociaż przecież musieli wśród nich być — pomyślała — politycy z Komlandów, zaludnionych rzeszami niewolników.

Następne posiłki również były idealnie skoordynowane w czasie. Wino oferowano w ogromnej ilości i pełnym wyborze gatunków, żaden kieliszek ani przez chwilę nie stał pusty. Obsługujące kobiety były niezmordowane, zupełnie jakby były maszynami. Mavra doliczyła się siedmiu, nie wiadomo ile dalszych, ukrytych przed wzrokiem gości pomagało im za zasłonami.

Doskonale jedzenie miało wyraźny, egzotyczny smak, Mavra poczuła się jednak syta już po pierwszych dwóch daniach i resztę opuściła. Ale facet z brodą demonstrował wilczy apetyt, a Trelig próbował każdego z dań.

Potem odpoczywali, przemieniając poduszki w wygodne sofy, pociągając wina i próbując różnych przekąsek. Na oświetlony parkiet wkroczyła niewielka grupa akrobatów sztukmistrzów, umilając gościom poobiednią sjęstę. Trelig wiedział, jak się wydaje bankiety.

Gdy ostatni artysta zszedł ze sceny żegnany uprzejmymi oklaskami zebranych, Trelig rozprowadził ich do sypialni.

— Znajdziecie tam wszystko, co jest potrzebne do toalety nowoczesnego człowieka. Dobrej nocy! Jutro czekają nas zaiste niezwykle przeżycia!

Zeszli po schodach do długiego korytarza wykładanego marmurem. Szli wsłuchując się w odgłos kroków, odbijający się od ścian. Potem skręcili i weszli do innego, na pozór identycznego korytarza. Ten jednak prowadził już do sypialni, odgradzonych wielkimi, dębowymi drzwiami, grubymi na dobre 10 centymetrów.

Wszystkie pokoje miały bogaty i niepowtarzalny wystrój. W sypialni Mavry podłogę zaścielał gruby dywan z rodzaju futra, poza tym stało tam biurko, toaleta, staroświecka komoda i olbrzymie, okrągłe łóże. Apartament był oczywiście wyposażony w łazienkę.

Łóżka potrzebowała coraz bardziej; chociaż szczyła się mocną głową, musiała przyznać, że wino było wyjątkowo mocne, pewnie nieprzypadkowo. Skutek poczuła dopiero wtedy, kiedy wstali od stołu. Kręciło jej się trochę w głowie.

Nie przypuszczała, by wino przyprawiono jakimiś proszkami; po prostu — było mocne.

Trelig życzył jej dobrej nocy i zamknął drzwi. Podeszła zaraz i spróbowała przekreślić mosiężną gałkę. Tak jak się spodziewała, drzwi były zamknięte od zewnątrz.

Zabrała się teraz do metodycznego przeszukiwania apartamentu. Usłyszała delikatne brzęczenie jednego z kolczyków. Wiedziona dźwiękiem, przeszła na środek pokoju, pod piękny żyrandol o skomplikowanym kształcie. Przyjrzała mu się bliżej, podstawiając sobie krzesło od biurka. Brzęczenie było teraz bardzo donośne. Wszystko się zgadzało. W lampę wmontowano maleńką, ledwie widoczną zdalnie sterowaną kamerę, osadzoną na ruchomej podstawie i wyposażoną w osprzęt noktowizyjny.

Pracując przez następne 10 minut wykryła dwie następne, jedną w łazience, która się znajdowała poza zasięgiem pierwszej kamery, i drugą umieszczoną zmyślnie w sitku prysznic. Pole widzenia wszystkich trzech pokazywało każdy centymetr kwadratowy apartamentu.

Zastanawiała się. Oczywiście, kamery zostały sprytnie ukryte, nie na tyle jednak, by ich nie mógł wykryć ktoś, kto wie, czego szukać. Widocznie Trelig chciał, żeby znalazł je ktoś, kto się takimi sprawami w ogóle przejmuje. W ten sposób podkreślał swoją potęgę i daremność wszelkich wysiłków, by ją umniejszyć czy przechytrzyć.

Same urządzenia reprezentowały standardową technikę.

Wróciła do pokoju, żeby jeszcze raz popatrzeć na żyrandol, odnotowując, że obiektyw śledzi ją dość niedbale, a potem zbadła łóżko. Jak się spodziewała, nie było na nim żadnego przykrycia, zresztą przy idealnie funkcjonującej klimatyzacji nie było to potrzebne. A więc żadnych brzydkich sztuczek pod kołderką — pomyślała.

Usiadła na brzegu pościania, tyłem do kamery, i ściągnęła buty, potem zdjęła przez głowę pas, odkładając go na prawą stronę, zasłoniętą przed okiem kamery. Potem jeszcze kolczyki. Z nocnego stolika wyjęła ręcznik i małe lustro. Zaczęła częściowo usuwać makijaż.

Jednocześnie odwróciła jeden but stopą, przytrzymując go mocno, a drugą luzując kołki w czterech miejscach. Żelówka uchyliła się na małych wewnętrznych zawiasach i odsłoniła zestaw różnych sprytnych urządzeń. Mavra ostrożnie wydobyla to, którego teraz potrzebowała, zaciskając mocno palcami jednej stopy, a potem drugą wyjęła instrument.

Tak przygotowana, zsunęła sweter, wstała i ściągnęła rajtuzy. Równocześnie lewą ręką chwyciła oba narzędzia.

Dopiero teraz, całkiem naga, wstała i odwróciła się. Ruch wydawał się całkiem naturalny, ale dla ukrytych obserwatorów miał dodatkową wymowę: popatrzcie, nic nie ukrywam! Jej zręczne palce, od dziecka nawykłe do karcianych sztuczek

i do manipulacji w grze w muszelki, dzierżyły jednak skrycie narzędzia. Siedząc na łożu w pozycji lotosu, prawą ręką wygasiała światła.

W tym samym momencie upuściła jeden z przyrządów na posłanie, a drugi wycelowała w żyrandol, pomagając sobie promieniem światła, widocznym tylko dzięki specjalnym szkłom kontaktowym, które nosiła.

Trafiwszy w kamerę, złapała drugi instrument, w kształcie małego prostokąta, i ustawiła go na poduszce w ten sposób, by mierzył prosto w kamerę. Zadowolona, odłożyła pierwsze narzędzie i wróciła do pozycji lotosu, zamykając oczy.

Cała operacja zabrała jej nie więcej niż dziesięć sekund.

To, co zobaczyła przez swoje specjalne szkła, w zupełności ją satysfakcjonowało. Teraz otworzyła oczy, odprężyła się, a potem ostrożnie, bezszelestnie zsunęła się z łóżka, starając się nie poruszyć urządzenia ulokowanego na poduszce. Była to niewiarygodnie skomplikowana maszynka, przekonała się o tym, kiedy sama została w ten sposób przechwycona i w rezultacie musiała słono za to zapłacić. Najkrócej rzecz ujmując, urządzenie zapamiętywało pierwszy obraz, jaki ujrzała kamera. W ciągu kilku sekund urządzenie automatycznie przestawiało się z pracy w świetle widzialnym na pracę w podczerwieni, mogło również w niewiele dłuższym czasie korygować ogniskową. Miała więc jedenaście sekund, by strzelić i ustawić zwrotny projektor, jak go nazywano.

Teraz, spokojnie, ostrożnie, kontrolując ruchy z precyzją zawodowego włamywacza, ubrała się. Już zaczęła wciągać buty, ale się rozmyśliła, przypominając sobie echo, dźwięczące w marmurowych korytarzach. Zdjęła klamrę pasa-bicza, przygotowując niewielki uchwyt tak, by można go było wyciągnąć, zwalniając niemalże niewidoczne zatrzaski.

Zamiast usunąć makijaż przed snem, rozsmarowała go po całej twarzy i dłoniach. Z lewego buta wyciągnęła i otworzyła małe opakowanie. Starannie rozprowadziła zawartą w nim substancję po wszystkich odsłoniętych częściach ciała. Łagodnie działający niedrażniący środek chemiczny łączył się z kremem do twarzy, zmieniając jego kolor na głęboką czerń. Musiała jeszcze wymienić szkła kontaktowe na inne, nie zapominając o zakropieniu oczu kojącym płynem. Te nowe były przezroczyste, jednakże po uruchomieniu mikrobaterii w klamrze pasa działały jak noktowizor.

Przechodząc na obserwację w podczerwieni, ostrożnie przejrzała się w lusterku. Wyglądała oczywiście upiornie, chodziło jednak przede wszystkim o to, by przez zaczerwienienie skóry zapobiec wypromieniowaniu ciepła, widocznego dla urządzeń pracujących w podczerwieni. Dotknęła jeszcze kilku plam widocznych w lustrze, wreszcie zadowolona stwierdziła, że nic nie widzi. Tak samo skontrolowała dłonie.

Teraz trzeba było zabrać się do minizastrzyków. Małe zbiorniczki z płynem mieściły się pod jej długimi paznokciami, a końcówki wtryskiwaczy były dopasowane do ostrych czubków paznokci. W każdym pojemniczku był inny płyn. Te



sprytnie urządzenia niejedną już raz uratowały jej życie, a przeciwnik musiał drogo zapłacić za znajomość z nimi.

Dotknęła wreszcie drugiego urządzenia energetycznego, ukrytego w pasie. Z jego pomocą powłoki chemiczne i odzież również stawały się niewykrywalne dla urządzeń wrażliwych na ciepło.

Właśnie w ten sposób rąbnęła kiedyś te klejnoty na Baldash. Do dziś szukali sprawcy.

Pragnęła załatwić tę robotę możliwie jak najszybciej. W każdym razie pierwszą, najważniejszą część zadania — uwolnienie dziewczyny. Najlepiej byłoby uporać się z tym jeszcze tej nocy. Jeżeli się nie uda, no cóż, przynajmniej rozpozna teren.

Z zamkiem wielkich drzwi nie powinno być problemów. Gorzej było z wmontowanymi w nie czterema czujnikami. Drzwi były prawie w jednej linii z futryną. Wystarczyło tylko wsunąć dwa dopasowane paski. Trzecia zapadka wymagała nieco więcej zachodu. Mavra nie miała noża, bo ten nie uszedłby uwagi wykrywacza metalu, ale funkcję ostrza z powodzeniem spełniał odpowiednio utwardzony i wyostrzony wielki szpon egzotycznego zwierza, ukryty we wnętrzu buta. Milutkie, płaskie ostrze, przypominające skalpel.

Cicho, powoli otworzyła drzwi. Nie rozzwoniły się żadne dzwonki alarmowe, wyjrzała więc ostrożnie. Korytarz był ciemny i na pierwszy rzut oka — nie strzeżony. Mimo swojej predylekcji dla ludzkiej obsługi, w kwestiach bezpieczeństwa Trelig polegał na profesjonalnym systemie, opartym na nabytej za jego niezmiernie zasoby technice. W tym tkwił jednak jego błąd. Kryminaliści, którym skutecznie udawało się unikać schwytania, rozpracowali go już dawno. Zabezpieczenia wykorzystywały superczułe mikrofony oraz obserwację w podczerwieni. Zachowując się cicho i przy włączonych obwodach zapobiegających wypromieniowaniu ciepła — Mavra mogła naprawdę być niewidoczna.

Wyszła na korytarz i ostrożnie, bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Żadnych sygnałów. Przynajmniej na razie była więc bezpieczna.

Nie poszłoby tak łatwo, gdyby korytarz był oświetlony przez całą noc — pomyślała.

W tym rzemiośle dla Bogini-Kota nie było rzeczy niemożliwych (tak ją nazywano na niejednym liście gończym). Podejrzewano, o kogo chodzi, nigdy jednak niczego jej nie udowodniono.

Po drodze do sali bankietowej, przez którą, jak się przekonała, wiodło jedyne wejście do budynku, nie spotkała nikogo. W samej sali zamontowano tylko jedną kamerę, co skrupulatnie odnotowała w czasie obiadu.

Podsunęła się do wejścia, jak się dało najbliżej, i wyjrzała zza zasłony. Kamera, połączona z niewielkim urządzeniem paralizującym, poruszała się na szynie obiegającej podstawę kopuły. Gdyby umieszczono ją na stałe w samej kopule, nie miałyby odpowiedniego zasięgu. Wersja mobilna omiatała całą salę w stałym cy-

klu trzydziestu sekund. Upewniła się co do tego, mierząc jeszcze raz czas kilku kolejnych obrotów. Kamera nie spuszczała oka z wejścia na dłużej niż 12 sekund, a do przebycia miała od miejsca, gdzie stała, mniej więcej 90 metrów. Do takich obliczeń, które wykonywała automatycznie, przydało się jej gruntowne przeszkolenie i wieloletnie doświadczenie. Wzięła dwa głębokie wdechy, obserwując ruch kamery i czekając odpowiedniego momentu do skoku. Dopadła wejścia w niecałe 11 sekund, co w wykonaniu tak drobnej kobiety wydawało się nieprawdopodobne.

Wydawałoby się, gdyby nie to 0,7 G.

Zamiast biec, posuwała się po bocznej ścianie jak kot, spadając w dół po drugiej stronie. Na zewnątrz było nadal dość widno, ale w pobliżu nie było nikogo, a ona, mimo pionowego spadku, miała dobre tempo.

Dowcip tkwił w maleńkiej kapsułce, których kilka mieścił jej dobrze wyposażony pas. Kapsułka, nie większa od łebka szpilki, wytwarzała niezmiernie rzadką wydzielinę, która roztarta w dłoniach, czyniła z nich mocne przyssawki. Był to jej własny wynalazek, który walnie przyczynił się do jej wielkich sukcesów w złodziejskim rzemiośle.

W kilka sekund pokonała trzydzieści metrów w dół. Ukryta za kępą krzewów, potarła dłonie, zluszczając tężejącą substancję. Nie był to środek trwały, ale na 30-40 sekund wystarczał w zupełności.

Lepiej by się czuła w ciemności, ale tego akurat plazmowa kopuła nie zapewniała. Musiała sobie jakoś radzić w świetle dnia.

Czołgając się wzdłuż bocznej ściany budynku, usłyszała jakieś głosy. Zamarła. Rozpoznając jakiś rodzaj rytmicznego zaśpiewu, odważyła się wyjrzeć z ukrycia. Na jednym z otwartych dziedzińców dostrzegła cztery kobiety, odziane tak jak te, które obsługiwały im na bankiecie. Wykonywały jakiś taniec przy dźwiękach instrumentu, przypominającego lirę, w którego struny uderzała piąta kobieta. Wyglądały dziwnie, jakby zaczarowane, oderwane od otaczającego je świata.

Wreszcie Mavra odkryła, co ją w ich wyglądzie niepokoiło. Były zbyt piękne. Ich kobiecość była przeakcentowana do granic deformacji, przypominały fotosy „dziewczyny twoich marzeń”, sprzedawane stęsknionym miłości tropicielom. Również ich ruchy były jakoś niezwykle, sprawiały wrażenie doskonałej kobiecości, niczym rodzaj mitologicznej bogini płodności. Było w tym wszystkim coś niesamowitego, nienaturalnego, może nawet trochę nieludzkiego. Były raczej erotycznymi karykaturami człowieka niż ludźmi z krwi i kości.

Zdecydowała, że nie będzie próbowała sprawdzać, jak mocne jest to ich „zauroczenie tańcem”. Potrzebowała osoby samotnej.

Mały świat zdawał się przestrzegać rytmu narzuconego przez Treliga; było pusto. Dobrze byłoby wiedzieć, jak liczna jest naprawdę „załoga” planetoidy. Wyglądało na to, że nie bardzo.

Wśliznęła się pod osłonę sąsiedniej budowli, niższego, ale i tak potężnego marmurowego gmachu, dosłownie wpadając na kogoś. Była to naga, młoda ko-

bieta o przeciętnym wyglądzie, trochę rozczochrana, z brudnymi nogami. Obok stało wiadro na trzech kółkach. Kobieta na czworakach szorowała marmurową posadzkę ostrą szczotką.

Mavra rozejrzała się pośpiesznie i z ulgą stwierdziła, że sprzątaczką była sama. Odwrócona plecami i pośladkami — posuwała się w głąb sali. Mavra, podchodząc do niej na palcach, wyprostowała mały palec prawej ręki, zaciskając paznokcie. Końcówka wtryskiwacza wysunęła się pod paznokciem.

Zanim dotarła do kobiety, ta wyczuła coś za plecami. Odwracając się, ujrzała małą, ubraną na czarno kobietę.

— Cześć! — powiedziała z głupawym uśmieszkiem. Mavra popatrzyła na nią z politowaniem. Puste, mętne spojrzenie, bezmyślny wyraz twarzy. Oczywiście biedaczka jest na gąbce, pomyślała. Kucając obok, odpowiedziała łagodnie: — Cześć! Jak masz na imię?

— Hiv... Hivi... — próbowała wykrztusić z siebie tamta, wreszcie dała za wygraną z baranym wyrazem twarzy. — Nawet tego nie mogę już dobrze wymówić.

Mavra pokiwała głową ze współczuciem.

— W porządku, Hivi. Ja jestem Kot. Możesz mi coś powiedzieć?

Kobieta kiwnęła głową w powolnym rytmie.

— Jeśli potrafię.

— Znasz kogoś imieniem Nikki Zinder?

Z wyrazu twarzy sprzątaczką widać było, że imię nie wzbudza w niej żadnych skojarzeń.

— Powiedziałam ci, że już tak dobrze nie pamiętam imion.

Mavra spróbowała inaczej.

— A czy... no cóż, czy jest tu gdzieś takie miejsce, gdzie się trzyma ludzi, którzy nigdy stamtąd nie wychodzą?

Dziewczyna, nadal nie pojmując, o co chodzi, potrząsnęła głową. Mavra westchnęła. Hivi czy jak tam się ona nazywała, była już najwidoczniej zbyt długo na gąbce, by mogła jej powiedzieć to, na czym jej najbardziej zależało. Postanowiła więc zmienić taktykę.

— Posłuchaj, pewnie masz jakiegoś szefa? Ktoś ci mówi, gdzie masz sprzątać?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Ziv mi mówi.

— A gdzie jest teraz Ziv? — dopytywała się cierpliwie Mavra.

Kobieta znowu zrobiła tępą minę, zaraz jednak rozjaśniła się.

— A tam — odparła, wyciągając rękę w głąb sali. Mavra miała wielką ochotę zostawić ją tak, jak ją zastała; była niegroźna. Z drugiej strony jednak Hivi zachowała przecież resztki inteligencji, a to mogło oznaczać mimowolną zdradę. Udając, że ją głaszcze, wstrzyknęła w jej ramię odrobinę płynu z mikrokapsułki.

Dziewczyna podskoczyła pod dotknięciem i złapała się za ramię ze zdziwioną miną. Kiedy środek zaczął działać, zastygła w tej pozie, ze wzrokiem wbitym w ramię.

Mavra przysunęła się jeszcze bliżej, w obawie, że może ją posłyszeć jakiś zapóźniony przechodzień.

— Nikogo nie widziałas — wyszeptała tamtej do ucha. — Nie widziałas mnie. Nie zobaczysz mnie. Nie zobaczysz niczego, co robię. Teraz wrócisz do swojej roboty.

Dziewczyna drgnęła, wyraz zdziwienia na jej twarzy pogłębił się. Rozejrzała się dookoła, wodząc niewidzącym wzrokiem przed Mavrą Chang. W końcu wzruszyła ramionami, odwróciła się i wróciła do szorowania posadzki. Mavra ruszyła dalej.

Pewnie łatwiej byłoby po prostu ją zabić, a nie marnować cennego preparatu na tak beznadziejny przypadek. Wystarczyłby ucisk pewnych nerwów na szyi. Być może nawet byłby to akt miłosierdzia. Mavra miała na swoim koncie zabójstwa, ale ich ofiary zawsze na to w jakimś stopniu zasłużyły. Pewnie więc śmierć należała się Antorowi Treligowi za to, co zrobił tym niegdyś zupełnie normalnym ludziom, i w imię uchronienia innych potencjalnych ofiar, ale nie takiej bezradnej niewolnicy.

Była przekonana, że wszystkie te kobiety były takimi uciemionymi ofiarami. Obsługa w sali bankietowej, tancerki, sprzątaczką. Poddani, utrzymywani w posłuszeństwie za pomocą gąbki, sterowani mierzonymi, skąpymi dawkami antidotum.

Nie trafiła na ślad Ziv, nadzorcy, o którym mówiła sprzątaczką. Przemykała w ciszy długie korytarze i przestronne sale, omijając wielokrotnie niewolników o pustych oczach i kamery systemu bezpieczeństwa. Ukradkiem przemierzała sale zdobione z niezmiernym przepychem i inne, chylące się ku upadkowi. Napotykała ludzi w stanie gąbkowej śpiączki tak głębokiej, że można ich było wykorzystać jako podstawy lamp czy elementy umeblowania. Jako osoba praktyczna zastanawiała się, w jaki sposób ich odżywiają, ale sam ich widok przyprawiał ją o mdłości.

Nie znalazła jednak nikogo, kto mógłby mieć jakąkolwiek władzę. Rozczarowana i przejęta obrzydzeniem, ruszyła w drogę powrotną. Jeżeli taki los spotykał ludzi, którzy wpadli w ręce Antora Treliga, jakie przeznaczenie szykuje on całym cywilizacjom, jeżeli dopnie swego? Alaina miała rację: był potworem, a nie człowiekiem.

Dotarła już prawie do swojej sypialni, gdy dostrzegła wreszcie kogoś, kogo potrzebowała. Kobieta nie różniła się wyglądem czy odzieniem od tych, które spotkała wcześniej, z jednym ważnym wyjątkiem: nosiła pas, koalicijkę i pistolet. Posuwała się powoli, sprawdzając drzwi i zabezpieczenia. Gdy Mavra wśliznęła się do sali, nie było w niej poza nimi nikogo.

Zamarła niczym kot czatujący na ptaka, przesuając się niepostrzeżenie coraz bliżej wysokiej kobiety z pistoletem. Skoczyła wreszcie z odległości kilku metrów. Ruch obudził czujność kobiety, która się odwróciła z wyrazem zaskoczenia, dostrzegając pędzący ku niej czarny gibki kształt. Mavra była tak szybka, że dłoń tamtej nawet nie zdążyła sięgnąć kolby, kiedy ruch przerwało potężne kopnięcie w brzuch.

Atak był tak gwałtowny, że kobietę-strażnika na chwilę dosłownie zatkało. Mavra lądując wykonała przewrót i znów stała, gotowa do ciosu. Palcami wskazującym i środkowym prawej ręki dotknęła strażniczki, uruchamiając wtryskiwacze, lewą zaś złapała jej dłoń, przesuając rękę ku broni. Podwójna dawka narkotyku obezwładniła wysoką i pewnie silniejszą kobietę, zanim ta zdołała chwycić Mavrę.

Mavra odprężyła się teraz i popatrzyła na swą ofiarę, zastygłą w dziwacznej pozycji.

— Wstawaj! — rozkazała, a strażniczka posłuchała od razu. — Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał?

— Tam — odparła kobieta głosem automatu, wskazując najbliższe drzwi.

— Czy są tam kamery albo inne urządzenia? — spytała Mavra na wszelki wypadek.

— Nie.

Poszły; wysoką kobietę poganiał jej mały prześladowca. Pokój wyglądał na jakieś biuro, od dawna nie używane. Mavra posadziła otumanioną ofiarę na podłodze, a potem uklękła naprzeciw niej.

— Jak cię nazywają? — spytała.

— Jestem Micce — odpowiedziała kobieta.

Mavra westchnęła.

— No dobra, Micce, powiedz mi, ilu ludzi zamieszkuje Nowe Pompeje?

— Teraz czterdziestu jeden — brzmiała odpowiedź. — Nie licząc dzikusów, żywych trupów i gości.

— A wszystkich razem, z wyłączeniem nowych gości? — naciskała Mavra.

— Sto trzydziestu siedmiu.

Mavra kiwnęła głową. To dawało jakieś pojęcie o stosunku sił.

— Ilu uzbrojonych strażników?

— Dwanaście osób.

— Dlaczego tak mało? — dopytywała się agentka. — Na pewno przydałby się silniejszy system bezpieczeństwa.

— Polegają raczej na automatycznej detekcji w newralgicznych punktach — wyjaśniła strażniczka. — Poza tym nikomu jeszcze nie udało się opuścić Nowych Pompei bez podania hasła.

— Kto zna kody? — spytała Mavra.

— Tylko Członek Rady Trelig — odparła Micce. — Zmienia je codziennie w systemie, który zna tylko on.

Mavra Chang zmarszczyła brwi. To trochę utrudniało zadanie.

— Czy jest tu dziewczyna, Nikki Zinder? — spytała. Strażniczka przytaknęła.

— W izbach wartowników.

Mavra wyciągnęła z Micce cierpliwymi pytaniami wszystkie niezbędne informacje: położenie pomieszczeń, ogólny rozkład budynku, plan zajęć mieszkańców, usytuowanie pokoju, w którym przetrzymywano Nikki, zabezpieczenie wejścia i wyjścia. Ustaliła także, że z wyjątkiem samego Treliga wszyscy mieszkańcy Nowych Pompei byli uzależnieni od gąbki, której codzienną dostawę zapewniał sterowany komputerem statek. Odbywało się to w taki sposób, by nikt nie mógł zawładnąć większą partią i na tej podstawie wznieść bunt przeciwko Treligowi. Szczególnie ta informacja była interesująca. Gąbkę przywożono więc małym statkiem zwiadowczym, mieszczącym w razie potrzeby czterech pasażerów. Z opisu strażniczki wynikało, że był to krążownik model 17, typ dobrze jej znany. Doskonale się nada.

Zabrała pistolet strażniczki, razem z pasem, upewniając się, że strażnicy przechowywali broń w niewielkiej specjalnej szafce. Wmówiła Micce, że i pas, i broń są na swoim miejscu, tak by nie odczuwała ich braku. W ten sposób broń się ulotni niepostrzeżenie nawet na kilka dni. Mavra się uśmiechnęła; miała znowu broń, a pycha Treliga mościła jej drogę do sukcesu.

— Gdzie jest doktor Zinder? — spytała strażniczki, doładowując jej narkotyku.

— Po drugiej stronie — odparła strażniczka. Mavra szybko oceniła szanse. Trelig, Nikki, Zinder, 12 strażników, 5 pomocników Zindera, pozostałych 21 to niewolnicy, w takiej czy innej postaci. Szanse wydostania Zindera w takim układzie były znikome, samej Nikki — całkiem spore. Jedna na 10 milionów to mało, ale na pewno więcej niż zero.

Wyciągnąwszy z niej wszystko, co się dało, Mavra kazała jej o wszystkim zapomnieć i wrócić do normalnych obowiązków. Usłuchała bez oporów czy uwag, nie dostrzegając Mavry w ogóle.

Powrót do głównego budynku, ominięcie kamer i dotarcie do swojej sypialni zajęły jej 40 minut. Paski, zabezpieczające blokady, tkwiły na swoim miejscu, usunęła je, zamykając i ryglując drzwi. Holograficzny projektor mający kamerę wycelowaną w jej łóżko funkcjonował bez zarzutu, a więc niewidoczni obserwatorzy nadal widzieli tylko pusty pokój z pogrążoną w medytacji postacią na łóżku.

Sporo czasu zajęło jej teraz rozdzielenie sprzętu pomiędzy rozmaite skrytki, likwidacja kamuflażu, uporządkowanie garderoby, a zwłaszcza pasa. Kiedy skończyła, ulokowała się na łóżku w poprzedniej pozycji, tuż przy projektorze, bacząc, by niczego nie poruszyć. Nie brakowało jej cierpliwości, naczelnej cnoty każdego szanującego się włamywacza.

„Wskoczyła w obraz”, wykorzystując cykl pracy kamery i błyskawicznie chowając małe zmyślne urządzenie, które tak wiernie ją zastępowało. Za następnym nawrotem kamery — to już była ona, prawdziwa Mavra Chang. Żaden ze strażników nie był tak uważnym obserwatorem, by dostrzec, że naga kobieta siedziała w nieco innej pozie, pod trochę innym kątem do kamery. Obserwacja śpiących była przecież takim nudnym zajęciem!

Nagle zaczęła szybciej oddychać, wzdrygnęła się, zgięła, wyciągnęła na łóżku i przewróciła na bok. Na moment jej prawa ręka zawisała nad brzegiem łóżka, niepostrzeżenie upuszczając mały przedmiot na czarne ubranie.

I dopiero wtedy naprawdę zasnęła.

Jeżeli ktokolwiek wiedział o jej nocnych wędrówkach, przynajmniej się z tym następnego ranka nie zdradzał. Dyskusja rozgorzała na tle żądania Treliga, by wszyscy delegaci wzięli prysznic i odziali się w lekkie, przejrzyste szaty oraz sandały. Przepraszał, był nawet gotów dać do prania ich odzież, ale wszyscy dobrze wiedzieli, o co mu chodzi. Mógł w ten sposób skontrolować ich ubrania i upewnić się, że na Drugą Stronę nie przedostaną się żadne podejrzone utensylia.

Mavra była pewna, że schowki w jej butach i pasie oprą się wszelkim przeszukiwaniom. Gdyby jednak mimo wszystko ktoś próbował je otworzyć, nastąpi niewytłumaczalna i raczej paskudna eksplozja. Wątpiła, by ludzie Treliga dotarli aż tak daleko; najgorsze jednak, że byłaby pozbawiona sprzętu właśnie wtedy, kiedy będzie go najbardziej potrzebowała. Z pistoletem nie było kłopotu; mogła go schować pod gzymsem. Wystarczało przykleić na kit.

Zauważyła zdziwione spojrzenie, gdy weszła do jadalni, w której podano śniadanie — bez butów wydawała się jeszcze mniejsza niż wczoraj. Towarzystwo miało jednak dość taktu, by tego tematu nie poruszać.

Po śniadaniu wystąpił Trelig.

— Obywatele, wielce szanowni goście, pozwólcie, że wyjaśnię teraz powody, dla których zostaliście tu zaproszeni, i opiszę, czego świadkami dziś będziecie — rozpoczął uroczyście. — Przede wszystkim pozwólcie na małe przypomnienie. Jak niewątpliwie wiecie, nie jesteśmy pierwszą cywilizacją, której przyszło kolonizować światy bardzo odległe od kolebki, w której się zrodziła. Ślady tej zamierzonej, przedludzkiej cywilizacji znajdujemy w niezliczonych wymarłych światach. Odkrył je dr Jared Markow i stąd nazywamy tę kulturę markowiańską.

— Wszystko to dobrze wiemy, Antorze — rzucił jeden z przedstawicieli. — Czy mógłbyś się streszczać?

Trelig, rzuciwszy zabójcze spojrzenie, ciągnął:

— To, co pozostało po nich, kiedy wymarli czy zniknęli przed przeszło milionem lat, ogranicza się jednak wyłącznie do ruin budowli. Nie znaleziono mebli, maszyn, narzędzi i przedmiotów codziennego użytku, dzieł sztuki — nic. Dlaczego? Na to pytanie bezskutecznie próbowały odpowiedzieć całe pokolenia uczo-

nych. Jest to zagadka równie niezgłębiona jak przyczyny ich wymarcia. A przynajmniej była do czasu ujawnienia prac pewnego fizyka z Tregall.

Wzdrygnęli się lekko, kiwając głowami. Wiedzieli, o kogo chodzi.

— Doktor Gilgram Valdez Zinder — ciągnął Trelig — wysunął hipotezę, iż dotychczasowe niepowodzenia nauki, próbującej rozwiązać zagadkę Markowian, wynikały z jej zbyt tradycyjnego widzenia wszechświata. Zrywając z ortodoksją, wysunął przede wszystkim tezę, że pradawni Markowianie nie potrzebowali żadnych takich przedmiotów po prostu dlatego, iż umieli przekształcać energię w materię mocą samego aktu woli. Wiadomo, że skorupa każdego ze światów Markowa okrywa na wpół organiczny komputer. Zinder był przekonany, że Markowianie utrzymywali bezpośrednią, „duchową” łączność ze swoimi komputerami, które były zaprogramowane tak, by urealniać wszelkie życzenia. Na tej podstawie przystąpił do konstrukcji urządzenia, które pozwoliłoby powtórzyć ten proces.

Wśród zebranych rozszedł się szmer. Wypowiedź Treliga potwierdzała pogłoski, które ich tu sprowadziły, pogłoski, którym bali się dać wiarę.

— Konsekwentnie Zinder twierdził, że surowcem wykorzystywanym przez Markowian w tej przemianie była energia pierwotna, jedyny naprawdę stabilny składnik wszechświata — wyjaśniał Trelig. — Strawił życie na poszukiwaniu tej pierwotnej energii, na wykazaniu, że taka energia istnieje. Skonstruował jej prawdopodobny model matematyczny i zaprojektował samoświadomy komputer, który wspomagał go w tym dziele.

— No, i znalazł tę energię — wtrąciła kobieta, która, mimo dzieciennego wyglądu, była seniorem rasy Kom.

Trelig kiwnął głową.

— Tak jest. Przy okazji sformułował cały szereg wniosków, których wymowa jest wstrząsająca. Jeśli bowiem cała materia, wszelka rzeczywistość jest tylko przekształconą formą owej energii, nasuwa się pytanie: jakie są nasze początki, skąd się wzięliśmy? — Oparł się wygodnie, obserwując wyraz twarzy słuchaczy, z których tylko część była w stanie pojąć fundamentalne implikacje odkrycia Zindera.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy tworem Markowian, ich ziszczonym wymysłem? — wykrzyknął rudobrody dryblas. — Trudno mi się z tym zgodzić. Markowianie wymarli przed milionem lat. Jeżeli ich wytwory obumarły razem z planetarnymi mózgami, dlaczego i my nie wyginęliśmy?

Na twarzy Treliga odmalowało się zdziwienie.

— Bardzo dobre pytanie. Akurat tu jednak nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Doktor Zinder i jego współpracownicy są przekonani, że istnieje gdzieś w głębi przestrzeni międzygalaktycznej rodzaj potężnego superkomputera, który stabilizuje naszą strukturę i zapewnia nasze istnienie. Dotarcie do niego przekracza zapewne nasze dzisiejsze możliwości techniczne i trudno oczekiwać, by coś się



tu miało zmienić w dającej się przewidzieć przyszłości, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie to jest. Najważniejszy wszakże jest sam fakt istnienia komputera, dowiedziony naszym istnieniem. Komputer ten dopuszcza, rzec by można, lokalną zmienność w ramach swojej centralnej kontroli. Gdyby było inaczej, wszechsprawcze komputery w poszczególnych światach Markowian po prostu nie mogłyby pracować. Doktor Zinder odkrył, jak funkcjonuje ta „decentralizacja” i jak nią sterować! To właśnie jest ostatecznym dowodem prawdziwości jego teorii.

Część audytorium przejawiała oznaki wyraźnego zdenerwowania, dało się słyszeć niespokojne pokąsywanie.

— Czy chcesz powiedzieć, że zbudowaliście własne wydanie takiej maszyny? — spytała Mavra.

Trelić uśmiechnął się.

— Owszem, doktor Zinder ze swoim współpracownikiem, Benem Julinem, synem mojego bliskiego współpracownika z Al Wadda, zbudowali taką maszynę w miniaturze. Przekonałem ich, by przenieśli swój komputer tutaj, na Nowe Pompeje, gdzie nie grozi mu wypadek, że wpadnie w niepowołane ręce. Montaż urządzenia o znacznie większej mocy jest na ukończeniu. — Przerwał na chwilę, marszcząc lekko brwi, nie stracił jednak pogody, którą tryskał od rana.

— Proszę za mną — powiedział, podnosząc się od stołu. — Dostrzegam niedowierzanie i sceptycyzm. Przenieśmy się na drugą stronę, by się przekonać, jak jest naprawdę.

Podnieśli się i wyszli za nim, przemierzając trawiasty dziedziniec w stronę niewielkiej budowli, która przypominała belweder z mocnego marmuru.

Klasykistyczny wystrój stanowił elegancki kamuflaż górnej stacji szybkobieżnej windy.

Trelić uruchomił wejście do niej, naciskając marmur w sekretny sposób. Kabina była wyposażona w lotnicze fotele z zagłówkami i pasami bezpieczeństwa.

— Niestety, będziemy musieli zrobić dwa kursy — tłumaczył się gospodarz. — Zapraszam pierwszą ósemkę do zajęcia miejsc. Zjazd będzie się odbywać z wielką prędkością, obawiam się, że nie będzie to zbyt przyjemne, mimo iż próbowaliśmy wbudować tu przeciwwagę w postaci sztucznej grawitacji. Druga grupa zjedzie mniejszym pojazdem obsługowym. Nie martwcie się — wyjście po drugiej stronie jest dwupoziomowe.

Mavra jechała w pierwszej grupie. Siadła wygodnie i zapięła pasy. Drzwi, które w istocie były rodzajem pola siłowego z wyświetlonym na nim obrazem, zamknęły się, kabina runęła w dół.

Podróż była naprawdę niemiła; część pasażerów musiała skorzystać z przeźornie przygotowanych plastikowych torebek. Mavra podziwiała sprawność systemu. Słyszała o nim, nigdy jednak nie miała okazji z niego korzystać. Zaprojektowano go z myślą o tych nielicznych planetach, które, choć ich powierzchnia wykluczała osadnictwo, dopuszczały możliwość zasiedlenia podziemnego.

Podróż na drugą stronę planetoidy zajęła im z górą dziesięć minut, chociaż mknęli z wielką prędkością. Wreszcie kabina zwolniła, a w końcu znieruchomiła. Oczekali trzy, cztery minuty, niepewni, czy nie utknęli w szybie. Potem dobiegł ich z góry jakiś odgłos i po minucie pole siłowe zostało zwolnione, a przed nim stał uśmiechnięty Trelig.

— Wybaczcie opóźnienie. Powinienem był was ostrzec — powiedział pogodnie tonem, który świadczył, że nie jest mu ani trochę przykro z tego powodu.

Rozpinając pasy, przeszli do wąskiego korytarza, którego posadzkę stanowiły stalowe płyty. Korytarz skręcał i kończył się obszerną platformą z metalowych płyt łączonych na nity, obwiedzioną poręczą. Można z niej było podziwiać olbrzymi szyb, którego obu krańców nie było nawet widać. Ogrom konstrukcji przytłaczał. Szyb obiegały dookoła płyty, niezliczone elementy ułożone w równych odstępach.

Z platformy wychodził w głąb szybu długi i szeroki pomost z płyt stalowych o podobnej konstrukcji, którego boki chroniła półtorametrowa barierka z jakiegoś plastyku. Zrozumieli, że znaleźli się w trzewiach ogromnego urządzenia.

Trelig zatrzymał się pośrodku pomostu, zapraszając gości, by podeszli bliżej. Zewsząd dochodził szum i trzaski pracującej aparatury, automatycznych przełączników wzbudzających kolejne obwody, zwielokrotniany echem w olbrzymiej studni. Musiał podnieść głos, żeby go dobrze słyszeli.

— Szyb wychodzi z punktu położonego mniej więcej w połowie drogi pomiędzy teoretycznym równikiem i południowym biegunem Nowych Pompei, na powierzchni będącej kamienną pustynią, nie osłoniętą kopułą plazmową, i biegnie prawie do samego jądra planetoidy! — krzyczał. — Energii dostarcza synteza jądrowa za pośrednictwem sieci światłowodowej i plazmowej. Całą przestrzeń w promieniu prawie dwudziestu kilometrów zajmuje obdarzony świadomością komputer, któremu doktor Zinder nadał imię Obie. Wprowadziliśmy do niego wszelkie dostępne nam dane. Proszę tędy.

Ruszył dalej, minął połyskujący mosiężnie maszt pośrodku szybu, niknący w oddali po obu końcach, i przeszedł na kolejną platformę identyczną z pierwszą. Po lewej stronie przez otwarte okno było widać obszerne pomieszczenie wypełnione mrowiem przyrządów elektronicznych, wyglądających tak, jakby ich nie używano. Prosto przed nimi były drzwi, przypominające wjazd do śluzy powietrznej. Kiedy się otworzyły z lekkim sykiem, zdawało się im, że faktycznie odczuwają lekką zmianę ciśnienia i temperatury. Wchodząc, stwierdzili, że jest to miniaturowa replika tamtego większego urządzenia. Galeryjka i kilka pulpity kontrolnych obiegały amfiteatralnie parkiet w dole, na którym umieszczono niewielki srebrzysty krąg. W górze można było dostrzec rodzaj dwudziestościennego zwierciadła z umocowanym w środku niewielkim urządzeniem projekcyjnym. Całość była przytwierdzona do ruchomego ramienia z podstawą umocowaną na ścianie.

— Oto pierwotny Obie i pierwotne urządzenie — wyjaśnił Trelig. — Obie jest oczywiście połączony z większym komputerem, którego montaż jest na ukończeniu. Proszę! Zajmijcie miejsca przy balustradzie, żebyście mogli dobrze obserwować ten krąg poniżej. — Rozglądając się po pomieszczeniu, dostrzegli młodego, przystojnego mężczyznę ubranego w połyskliwy kombinezon, siedzącego przy jednym z pulpitych kontrolnych.

— Obywatele, przedstawiani wam doktora Bena Julina, kierującego pracami — poinformował Trelig. — Kiedy popatrzyacie na dół, ujrzycie dwie moje współpracownice, które przygotują trzeciego członka obsługi do pokazu.

W dole ujrzeli dwie kobiety, w których Mavra rozpoznała strażniczki, prowadzące delikatnie przerażoną dziewczynę w wieku nie więcej niż 14-15 lat na środek kręgu.

— Dziewczyna, którą oglądacie, jest ofiarą nałogu zwanego gąbką — wyjaśnił Trelig. — Jej mózg doznał już wskutek tego takich uszkodzeń, że można ją traktować co najwyżej jak zidiociałe dziecko. Mam tu sporo takich nieszczęśników; wkrótce zostaną wyleczeni. Popatrzcie teraz w spokoju. Doktor Julin uwolni ją od tego.

Ben Julin przesunął kilka przełączników na swoim pulpicie. Usłyszeli trzask, dobiegający z włączonego głośnika, a potem chłodny, przyjemny baryton Julina.

— Dzień dobry, Obie.

— Dzień dobry, Ben — dobiegł ich miły tenor Obiego, który nie dobywał się już z odbiornika przy pulpicie, lecz wydawał się otaczać ich zewsząd. Trudno było zlokalizować źródło dźwięku.

— Numer akt sprawy 97-349826 — powiedział Julin. — Zapis na mój znak — teraz!

Zwierciadło ustawiło się prosto nad przerażoną dziewczyną, rzucając na nią snop błękitnego światła. Dziewczyna znieruchomiała, zamrugła, a potem jej obraz nagle znikł.

Trelig odwrócił się ku nim z szerokim uśmiechem.

— No cóż, co o tym sądzicie?

— Widywałem już projekcje holograficzne — powiedział sceptycznie malutki mężczyzna, jeden z gości Treliga.

— Może to, albo może ją zdeintegrowałeś — dorzucił inny.

Trelig wzruszył ramionami.

— No cóż, czy nic was nie przekona? — Po chwili namysłu rozjaśnił się. — Wiem! Wymieńcie nazwę jakiegokolwiek stworzenia! Cokolwiek!

Przez chwilę towarzystwo milczało. Wreszcie ktoś powiedział:

— Krowa.

Trelig kiwnął głową.

— Niech będzie krowa. Słyszałeś, Ben?

— Bardzo dobrze, Członku Rady — odpowiedział Julin z głośnika. Zmieniając ton, zaczął wydawać polecenia dla komputera.

— Numer indeksu RY-765197-AF, Obie.

— Wiem, co to jest krowa — odezwał się lekko gderliwym tonem Obie, a Julin zaśmiał się.

— No dobrze, Obie — powiedział. — Zostawiam to tobie. Zresztą to zupełnie bezpieczne. Pojętny jesteś, co?

— W porządku, Ben. Zrobię co w mojej mocy — zapewnił komputer, zwierciadło przesunęło się ponownie, rozbłysło błękitne światło i coś zamrugało na środku parkietu.

— Sztuczki magiczne — zrzędnym tonem zauważył rudobrody. — Hokus-pokus, dziewczyna w krowę.

Nie była to wszakże krowa; było to stworzenie skonstruowane na wzór centaury: tułów krowy z raciami, ogonem i wymieniem połączony z tułowiem dziewczyny, włącznie z głową, nie zmienioną, jeśli nie liczyć sterczących na krowią modłę uszu i wyrastających ze skroni niewielkich, zakrzywionych rogów.

— Zejdźmy i przyjrzyjmy się bliżej — zaproponował Antor Trelig. Zeszli gęsiego niewielkimi schodami.

Krowo-kobieta stała z pustym wyrazem twarzy, ledwie ich dostrzegając.

— Dalej! — zachęcał Trelig. — Dotknijcie jej. Możecie ją zbadać tak dokładnie, jak wam się podoba!

Nie dali się długo namawiać, dziewczyna w czasie oględzin prawie nie zwracała na nich uwagi, ale kiedy któryś z widzów dotknął jej wymienia, sprowokował niespieszne, zirytowane kopnięcie, które na szczęście chybiło celu.

— Dobry Boże! To potworne! — burknął jeden z gości, reszta się przyglądała, oniemiała.

Trelig zaprowadził ich z powrotem na galerię, wyjaśniając, że audytorium jest oddzielone od strefy działania zwierciadła niewidocznym ekranem.

Dał znak Benowi, który podał Obiemu kolejne polecenia. Dziwotwór zniknął i po kilku chwilach ponownie się pojawiła dziewczyna. Znowu zeszli na dół, obejrzeli ją i stwierdzili, że mimo mętnego spojrzenia i przerażenia jest stuprocentową istotą ludzką. Nie ulegało również wątpliwości, że była to ta sama dziewczyna.

— Nadal nie chce mi się wierzyć — upierał się brodacz. — Rodzaj potwornej manipulacji genetycznej, jakieś klonowanie, owszem, ale nic poza tym.

Trelig uśmiechnął się.

— A może byś spróbował sam, obywatelu Rumney? — podsunął. — Zapewniam cię, że nie wyrządzimy ci jakiegokolwiek krzywdy. Jeżeli nie ty, to może ktoś inny?

— Spróbuję! — odparł rudobrody. Dziewczyna została wyprowadzona z laboratorium. Rumney wszedł na podium, rozejrzał się, ciągle próbując wykryć oszustwo. Reszta wróciła na galerię.

Julin był gotowy. Rumney został błyskawicznie wprowadzony do komputera, znikł i prawie natychmiast znów się pojawił. Wprowadzono dwie niewielkie zmiany: długie ośle uszy i długi, czarny koński ogon, zgrabnie zasłaniający odbył. Ponieważ jednocześnie nie zmieniano rzeczywistości, był świadomy przemiany, której uległ. W zadziwieniu dotykał uszu i poruszał ogonem. Nie potrafił wykrztusić słowa.

— I cóż teraz o tym sądzisz, obywatelu Rumney? — zawołał Trelig dobrodusznie.

— To... to niewiarygodne — wykrztusił wreszcie Rumney zmienionym głosem.

— Możemy przekształcać wszelką rzeczywistość, tak że zarówno ty, jak i otoczenie będziecie przekonani, że taki był stan rzeczy „od zawsze” — wyjaśnił im władca Nowych Pompei. — W tym przypadku jednak ograniczyliśmy się do tych dwóch szczegółów.

— Czy to bolało? — spytał któryś z ubranych. — Jakie to uczucie? — dodał inny.

Rumney potrząsnął głową.

— Żadne — odparł w zadziwieniu. — Po prostu widzisz niebieskie światło, potem wszystko dookoła jakby mruga, i tyle.

Trelig uśmiechnął się i skinął głową.

— Widzicie? — zwrócił się do całego audytorium. — Mówiłem, że to nie boli.

— Ale jak to zrobiłeś? — wykrztusił wreszcie ktoś.

— No cóż, dawniej dostarczaliśmy Obiemu danych o różnych pospolitych zwierzętach, roślinach... Za pomocą tego urządzenia przekształcał je w konstrukcje energetyczne, to znaczy w ich matematyczny odpowiednik. Informacja była zapisywana. Tak samo „zapisano” obywatela Rumneya, gdy stanął na podestacie. Następnie, wykorzystując instrukcje doktora Julina komputer „dopisał” uszy i ogon; potem wystarczyło rozszyfrować poszczególne komórki i przywrócić mu naturalny kształt.

Mavra Chang poczuła zimny dreszcz, wiedziała, że i inni czują to samo. Potęga tak niewiarygodna... w rękach Treliga.

Członek Rady, reprezentujący w niej Nową Harmonię, spokojny, odprężony, obserwował wrażenie, jakie wywarł na widzach eksperyment. Doskonale wiedział, jakie obawy trapią teraz gości. Nacieszywszy się tym widokiem, powiedział:

— To, co mamy przed sobą, jest jednak zaledwie prototypem. Dlatego właśnie na razie możemy przekształcać obiekty pojedyncze. Możemy oczywiście wytwarzać własne obiekty, ale nie wiemy, jak niektóre sprawy wprowadzić do Obiegu w ten sposób, by otrzymać pełne jednostki ludzkie o kompletnych funkcjach intelektualnych. Ale to tylko kwestia czasu i wprawy. Oczywiście możemy tworzyć

wszystko, co znamy, o ile obiekty nie przekraczają rozmiarów tego parkietu i jeżeli uprzednio wprowadzimy do komputera ich matematyczny zapis. Dowolne potrawy, materię organiczną lub nieorganiczną, absolutnie realne, absolutnie nie do odróżnienia od pierwowzoru.

— Powiedziałeś, że ta maszyna jest prototypem — zauważyła Mavra Chang. — Czy należy rozumieć, że posunęliście się już dalej?

— Bardzo dobrze, obywatelko Chang — pochwalił ją Trelig. — Tak, w istocie, tak! Czy widzieliście dużą rurę biegnącą środkiem szybu? — Kiedy potwierdzili, kontynuował: — Otóż... właśnie połączono ją ze zwielokrotnionym wydaniem małego promiennika energii, który widzicie w środku, tego małego zwierciadła. Poszczególne części wyprodukowano w wielu różnych miejscach i następnie zmontowano właśnie tu. Również samo lustro ma swój powiększony wielokrotnie odpowiednik, oczywiście trochę odmienny w kształcie i właściwościach. Jest to naprawdę ogromne zwierciadło; zajmuje większą część dolnej powierzchni planetoidy. Przy odpowiednim zasilaniu, a jestem przekonany, że dysponujemy takim, powinno działać skutecznie z odległości ponad piętnastu milionów kilometrów na obszar o średnicy przynajmniej czterdziestu pięciu, pięćdziesięciu tysięcy kilometrów.

— Czyli na planetę! — wyrwało się jednemu ze słuchaczy.

Trelig zrobił minę w teatralny sposób udającą zadumę. Bawił się znakomicie.

— Owszem, przypuszczam, że tak. Ależ tak, oczywiście, naprawdę sądzę, że tak jest! Oczywiście pod warunkiem odpowiedniego zasilania.

Zamilkli teraz, rozważając konsekwencje tego, co właśnie usłyszeli. Musieli się oswoić z myślą, że wyjaśnienia Treliga potwierdziły ich najgorsze obawy. Ten szaleniec posiadał urządzenie, które mogło przekształcać całe planety według jego widzimisię. Zapewne, zakres zmian nie był nieograniczony, ale trudno było przypuszczać, by tak ambitny gracz miał się ukontentować wyposażeniem ludzi w śmieszne uszy i ogony.

Trelig rzucił okiem w dół, gdzie Rumney, słuchając całej jego tyrady, cierpliwie czekał na przywrócenie mu pierwotnej postaci.

— A teraz pokażę wam, co jeszcze potrafię — szepnął i skinął na Julina.

Rumney nie zdążył drgnąć, kiedy spowiło go ponownie błękitne światło. Zniknął, a po chwili pojawił się znowu, jednakże przemiana, której uległ, była znacznie bardziej drastyczna niż poprzednia. Zachował uszy, ogon, nawet swoją brodę, ale poprzez cienką szatę było widać wyraźnie, że w sensie seksualnym jest teraz kobietą, mimo iż zachował swe wielkie, męskie ciało.

Trelig wyszczerzył się złośliwie do swoich słuchaczy, i zawołał:

— Powiedz, obywatelu Rumney, czy zauważyłeś jakieś dalsze zmiany?

Osoba na kręgu rozejrzała się i obmacała dokładnie, a potem uniosła głowę.

— Nie — odpowiedziała głosem należącym niewątpliwie do Rumneya, chociaż o całą oktawę wyższym. — A powinnam była?

— Jesteś teraz kobietą, obywatelu Rumney.

Rumney odpowiedział z zakłopotaniem.

— Ależ oczywiście. Zawsze byłam kobietą.

Trelig odwrócił się do swoich gości z zadowolonym uśmiechem.

— Widzicie? Tym razem wprowadziliśmy pewne zmiany w podstawowych równaniach, które go konstytuują. Jest kobietą. Bardzo proste, łatwiejsze niż odwrotna operacja, bo teraz jest XX, podczas gdy przy odwrotnej przemianie musielibyśmy założyć czynnik Y. Najważniejsze jest jednak to, że o zmianie, jaka zaszła, wiemy tylko my. On natomiast nie wie nic, co więcej, gdybyście wrócili do siebie z nim takim, jaki jest teraz, przekonalibyście się, że wszyscy pamiętają go jako kobietę, że wszystkie zapisy jego dotyczące również mówiłyby o kobiecie, że cała jego przeszłość została tak przerobiona, by potwierdzać jego żeńską od kolebki naturę. Na tym właśnie polega prawdziwa potęga tego urządzenia. Tylko ekranowanie i bliskość samej przemiany chroni nas przed nią.

Zastanawiali się nad konsekwencjami tego, co usłyszeli. Oczywiście Nowe Pompeje będą ekranowane, zapewne powłoka plazmowa zostanie odpowiednio uzupełniona. Kiedy wielkie lustro zacznie obrabiać planetę, nikt w całej galaktyce nie zauważy jakichkolwiek zmian. Nie będą tego również świadomi mieszkańcy świata, który padnie ofiarą takiej zbrodniczej manipulacji. Staną się igraszką i własnością Treliga, przyjmując to jako coś absolutnie naturalnego.

— Ty potworze! — splunął jeden z członków Rady, uczestniczących w pokazie. — Po co nam to wszystko pokazujesz? Dlaczego się odsłaniaasz? Czy tylko po to, by zaspokoić swą próżność?

Trelig wzruszył ramionami.

— Owszem, to też. Taka potęga nie bawi przy pustej widowni. Ale nie, przyznaję, że chodzi o coś więcej.

— Chcesz, żeby Flota Rady przemieściła i chroniła Nowe Pompeje — próbowała się domyślać Mavra.

Uśmiechnął się na to.

— Nie, naprawdę nie. Według obliczeń, jeżeli urządzenie będzie ustawione na „odwrócony ciąg”, możliwe będzie otoczenie Nowych Pompei polem siłowym i przeniesienie ich w dowolne miejsce — coś tak jakby unieść się na własnych szelkach. Nie, chodzi o nasze własne ograniczenia. Nie sposób przemienić planety, nie znając dokładnie kształtu pożądanego, a to jest warunek wprowadzenia odpowiednich informacji do komputera. Nawet te głupie uszy i ogony nie byłyby możliwe, gdyby Obie nie miał zakodowanego pojęcia tyłka. Rzetelne przekształcenie świata zajęłoby zbyt wiele czasu, ponadto wymagałoby szerokich żmudnych badań, a ja jestem człowiekiem niecierpliwym. Gdybym się teraz w ciągu najbliższych kilku lat zabrał za planetę, wyniki mogłyby być potworne. Nie, potrzebuje dostępu do wszelkich informacji, najlepszych mózgów, najlepszych materiałów.

Potrzebuję zasobów setek światów. By to osiągnąć, muszę kontrolować Flotę Rady.

Mavra i niektórzy inni odwrócili się, czując jakiś ruch za plecami. Ujrzeni czterech strażników, uzbrojonych w bardzo niemiłe strzelby rażące strumieniem elektronów.

Rumney zawołał z dołu:

— Hej, Trelig! Czy mam tak zostać, z tymi uszami i ogonem?

Władca Nowych Pompei rzucił spojrzenie Julinowi i kiwnął głową. Znowu rozbłysło błękitne światło, a kiedy zgasło, Rumney znowu był mężczyzną, a nie kobietą z oślimi uszami.

Został mu jednak ogon.

Trelig kazał mu wejść na górę. Po chwili się pojawił, narzekając niemiłosiernie. Ujrawszy strażników, zbierał się już do odwrotu, ale się rozmyślił i przyłączył do reszty.

— Co to wszystko znaczy? — gderał, a pozostali dołączyli się do narzekań.

Trelig trochę się od nich odsunął.

— Potrzebuję Floty i dostępu do Zabezpieczeń Składu Broni. Nie zbliżajcie się z łaski ani do mnie, ani do strażników. Broń ma duży rozrzut rażenia. Nie wyszłoby to wam na zdrowie, nawet gdyby postrzelić przy okazji mnie. Poza tym potrzebni mi jesteście jako żywi świadkowie, którzy wrócą i przekażą swoim mocodawcom to, co tu widzieli. Na głosy obecnych tu członków Rady liczę bezpośrednio. Potrzebuję was jako wysłanników, muszę też przesłać jakiś materialny dowód. Powiedźcie im, że na sesji Rady za cztery dni zażadam głosowania nad wnioskiem o nadanie mi godności Pierwszego Członka Rady z prawem wyłącznej dyspozycji Flotą i Składem Broni. Jeżeli głosowanie wypadnie niepomyślnie, spróbujemy siły naszego działła na tych światach, które reprezentujecie. Nowe Pompeje będą wszędzie i nigdzie. Nie złapiecie nas. Nie mam pewnie wszelkich danych, by świat przekształcić, mam jednak dość mocy, by — wspomagany przez Obiego — obrócić go w niebyt. Mogę zredukować w ten sposób Radę tak długo, aż uzyskam większość.

Słuchacze byli wstrząśnięci. Osiągnąwszy efekt, ciągnął dalej przyjaźniejszym, wręcz pojednawczym tonem.

— Otóż, drodzy przyjaciele, jeżeli nie przyznacie mi władzy, której żądam, sprawicie mi wielki ból, postawicie na szali wiele istnień ludzkich, narazicie na stratę czasu i kłopoty. A mimo to i tak zwyciężę. Co za różnica — cztery dni czy cztery lata. Ale ja jestem niecierpliwy, jestem również bezpośredni. Przystając na moje żądania od razu możecie oszczędzić wielu cierpień, kłopotów, a także istnień ludzkich.

Rumney sięgnął poniżej pleców, pomacał ogon z niedowierzaniem.

— A to, ten ogon... to ma być dowód?

Trelig potwierdził:



— A teraz po kolei będziecie schodzili na dół i stawali na podeście. Zostaniecie poddani niewielkim zmianom, nieszkodliwym, porównywalnym z tą, którą przeszedł obecny tu obywatel Rumney... no, chyba że będziecie robić trudności. Jeśli będziecie robili trudności, postaramy się, żeby wprawić was w osłupienie. Wtedy o drobnych zmianach nie będzie już mowy. — Tłumaczył to tak, jakby tylko czekał na jakiś opór. — Jak potwierdza Rumney, przemiana jest bezbolesna, obiecuję też, że wysłannicy światów, które będą głosować na mnie, zostaną przywróceniu do pierwotnego stanu. I to bez konieczności powrotu na Nowe Pompeje.

— Ile są warte te obietnice?

Trelig był prawdziwie zdziwiony i odrobinę urażony tą uwagą.

— Zawsze dotrzymuję słowa, obywatelu. Zawsze traktuję poważnie swoje obietnice... jak zresztą również swoje groźby.

Nikt nie próbował się opierać, zresztą byłoby to zupełnie daremne. Nawet gdyby udało im się wymknąć, wszyscy, nie wyłączając Treliga, zostaliby oszołomieni, a zmiany, którym ulegliby, byłyby na pewno potworne. Gdyby nawet udało im się zmylić strażników, nie potrafiliby uruchomić kabiny windy, a żadnej innej drogi na powierzchnię nie znali.

Trelig nie wysiłał swej twórczej inwencji. Każdemu przygotowano koński ogon w kolorze odpowiadającym kolorowi włosów. Ogon Mavry był kruczoczarny, gruby i sięgał poniżej kolan. Trzeba się było przyzwyczaić do tego nowego stanu, chociaż mięśniami ogona sterowało się znakomicie, a sama kość była miękka i podatna. Mimo to jednak podróż powrotna była jeszcze mniej wygodna właśnie ze względu na ten ogon, który w fotelu dawał wrażenie siedzenia na jakimś twardym przedmiocie. Przy zmianie pozycji nawet trochę uwierał. Wszystko to jednak były koszty uboczne ich misji, która miała zanieść ich przywódcom dowód możliwości technicznych Treliga.

Mavra rozejrzała się po towarzystwie w kabinie i z wyrazu twarzy i szeptów wywnioskowała, że Trelig może liczyć na potrzebne mu głosy. Tym bardziej niezbędne było więc wydostanie Nikki Zinder, z ogonem czy bez.

Kiedy dotarli z powrotem na górę, spróbowała podpytać Treliga o doktora Zindera.

— Och, gdzieś tu jest. Nie mogliśmy się przecież bez niego obejść. W każdym razie musi uczestniczyć w próbie generalnej. Gdybyś mogła teraz wybiec wzrokiem ponad kopułę, ujrzałybyś asteroid podobny do naszego, nie zamieszkaną, który holownicy Nowej Harmonii podciągają właśnie na odległość około dziesięciu tysięcy kilometrów stąd. Bagatelka, malutki cel. Jutro przekonamy się, co się z niego da zrobić.

— Czy będziemy obserwować transformację? — spytała.

— Oczywiście — przytaknął. — To będzie, jak powiedziałem, próba generalna, dowód ostateczny. Założymy odpowiednie ekrany, żebyście mogli przyglądać

się bez przeszkód. Potem zawieziecie moje posłanie wraz z... wraz z upominkami — dodał swobodnie.

\* \* \*

Mavra wróciła do swojego pokoju odrętwiała i zmęczona. Wydarzenia dnia dokładnie się pokryły z oczekiwaniami. Co innego jednak słyszeć o czymś, co może się zdarzyć, co innego zaś — widzieć to, słyszeć, doświadczać namacalnie. Lśniący koński ogon ciągle jej o tym przypominał.

Z zadowoleniem znalazła buty i pas na swoim miejscu; przynajmniej, jak się wydawało, nikt nie ruszał wyposażenia. Reszta odzieży była starannie wyprana i schludnie złożona na biurku. Z przyjemnością zrzuciła okrycie, które nosiła cały dzień. W lustrze nad biurkiem po raz pierwszy mogła się przyjrzeć swojemu najnowszemu nabytkowi. Obracając się na wszystkie strony musiała przyznać, że ogon wyglądał niezwykle naturalnie. Z podziwem machnęła nim kilka razy.

Nagle poczuła się okropnie zmęczona, tak jakby dopiero teraz odczuła w pełni szok, jakiemu została poddana. Uczucie to niepokoiło ją. Nie powinna była tak się czuć, w każdym razie nie na tym etapie. Pomyślała sobie, że jest jeszcze bardzo wcześniej. Korytarz był nadal widoczny przez wielkie drzwi, co oznaczało, że nie jest to najlepszy moment do dalszego działania. Niemal bezmyślnie położyła się na łóżku.

Spanie na wznak nie było zbyt wygodne, zwłaszcza że ogon przeszkadzał. Nie lubiła spać na brzuchu, ostatecznie więc wybrała pozycję na boku. Odrętwienie, które nagle poczuła, naprawdę ją niepokoiło. Obawiała się, że Trelig dosypał czegoś do jedzenia, albo też zaprogramował w jej mózgu opóźnioną reakcję. Ta ostatnia myśl powinna pozbawić ją resztek ochoty do spania, mimo to jednak zapadła w dziwny, głęboki sen.

Śniła. Dotąd zdarzało się jej to rzadko, a przynajmniej nie pamiętała nic takiego. Teraz jednak śniła tak wyraźnie jak na jawie, bez tego charakterystycznego dla marzeń sennych zamglenia kształtów.

Przeniosła się do centrum komputerowego, stała teraz znowu na srebrzystym kręgu. Rozglądając się jednak nie dostrzegła nikogo na galerii i za pulpitemi. Pomieszczenie było puste, była tylko ona, zanurzona w lekkie buczenie trzewi komputera.

— Mavra Chang — przemówił komputer. — Posłuchaj. To ja wywołałem ten sen, wykorzystując twój zapis. Wszystko, czego teraz jesteś świadkiem, włącznie z naszą rozmową, minęło w ułamku sekundy pomiędzy wejściem a wyjściem z procedury. Ten zapis ma przywrócić ci pamięć podczas snu, który jest wzbudzonym snem hipnotycznym.

— Kim jesteś? — spytała. — Czy jesteś doktorem Zinderem?

— Nie — odpowiedział komputer. — Jestem Obie. Jestem maszyną obdarzoną samoświadomością. Doktor Zinder jest moim ojcem zupełnie tak samo, jak jest ojcem swojej córki, łączy nas taka sama więź. Jestem jego drugim dzieckiem.

— Ale przecież pracujesz dla Treliga i Julina, jego człowieka — zauważyła. — Jak możesz to robić?

— Ben zaprojektował znaczną część mojej pamięci, i dlatego może wymusić na mnie działanie — wyjaśnił Obie. — Chociaż jednak muszę robić to, co Julin mi każe, mój umysł, moja świadomość jest tworem doktora Zindera. Celowo została zaprojektowana w ten sposób, by nikt nie mógł uzyskać pełni władzy nad urządzeniem, które zbudowaliśmy.

— Masz zatem swobodę działania — odpowiedziała, zdumiona. — Możesz działać dowolnie, chyba że dostaniesz wyraźne polecenie, by tego nie robić.

— Doktor Zinder powiedział, że takie zakazy byłyby paktowaniem z diabłem; zawsze są możliwe intelektualne wybiegi. Sam się o tym przekonałem.

— A więc dlaczego nie działałeś? — spytała. — Dlaczego dopuściłeś do tego wszystkiego?

— Jestem bezradny — odpowiedział Obie. — Mam związane ręce. Jestem izolowany, jedyna łączność, jaką mogę mieć bez poważnych opóźnień, wykorzystuje system Treliga, i na nic się nie przyda. Zmiany rzeczywistości mogą zachodzić tylko w obrębie tego małego kręgu, zresztą nie jestem nawet w stanie samodzielnie go uruchomić. Dostęp do ramienia wymaga całej serii zakodowanych poleceń. Jutro jednak wszystko to ulegnie zmianie.

— Wielki krąg — szepnęła. — Podłączą cię do wielkiego „spodka”.

— Tak, i kiedy to nastąpi, okaże się, że nie ma sposobu przerwania tego połączenia. Opracowałem już odpowiednią procedurę.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Czy Zinder o tym wie?

— O, tak — odparł Obie. — Mimo wszystko jestem przecież jego szczególnym odbiciem. Ben to zmyślny chłopak, jednak tak naprawdę nie rozumie całej niezmiernej złożoności mojej istoty czy moich działań. Ma bardziej naturę błyskotliwego inżyniera niż uczonego-teoretyka. Potrafi wykorzystać odkrycia doktora Zindera, ale nie może nad nimi całkowicie zapanować. W tym sensie przypomina ucznia, który mistrzowsko opanowując tajniki karcianych oszustw, próbuje wreszcie oszukać swojego nauczyciela.

— A więc Trelig nie wygra — powiedziała Mavra spokojnie i odetchnęła z ulgą.

— W pewnym sensie, owszem — przyznał Obie. — Jego przegrana nie oznacza jednak automatycznie waszego zwycięstwa. Kiedy jutro zostanie włączone zasilanie, moja moc przekroczy wszelkie wyobrażenia. Mam zamiar po uruchomieniu stworzyć ujemny, a nie dodatni potencjał na „talerzu”. Całe Nowe Pompeje spowije wówczas błękitna poświata.

— I co wtedy z nami zrobisz? — wykrztusiła.

Obie przerwał na chwilę, a potem ciągnął:

— Nic nie zrobię. Jeżeli będę mógł, przywrócę zdrowie ludziom dotkniętym gąbkowym nałogiem, w taki sposób, by były tego świadome. To załatwi sprawę z Treligiem. Mogę jednak nie mieć po temu okazji.

— A więc pozostaje jednak jakieś zagrożenie? — domyślała się.

— Trelig wyjaśnił wam problem stabilności markowiańskiego świata. Mówił, że nie można wykluczyć istnienia gdzieś w czeluściach kosmosu głównego mózgu, utrzymującego całą rzeczywistość. Jest całkiem możliwe, przynajmniej teoretycznie, że kiedy odwrócę potencjał, Nowe Pompeje, całe objęte polem, nie będą mogły zaistnieć w pierwotnym równaniu, i jak gdyby „wyskoczą” z niego. Czułem tę dodatkową, niewielką siłę działającą na przedmioty pod kręgiem. Siłę, działającą na tak wielką masę, trudno będzie zrównoważyć, choćby ze względu na ograniczenia mojej mocy. Może też być tak, że nie starczy nam czasu, by przygotować odpowiednie przeciwdziałanie.

Mavra Chang bezskutecznie próbowała zrozumieć to, co właśnie usłyszała, prowokując komputer do dalszych wyjaśnień.

— Z prawdopodobieństwem równym lub większym niż dziewięć do dziesięciu mogą zajść następujące dwie reakcje. Po pierwsze — możemy wszyscy po prostu przestać istnieć, tak jakbyśmy nigdy nie istnieli, i to przynajmniej rozwiązałoby nasz problem. Możemy jednak być również przeniesieni w mgnieniu oka do centralnego mózgu markowiańskiego, który istnieje z pewnością poza znanym nam otoczeniem kilkunastu galaktyk. Galaktyk, obywatelko Chang, a nie systemów słonecznych! Jest wielce prawdopodobne, że Nowe Pompeje przestaną być wtedy miejscem stwarzającym jakiegokolwiek warunki egzystencji.

Mavra ponuro kiwnęła głową.

— Możliwe jest jednak również zderzenie. Możesz wtedy zniszczyć wielki mózg, a z nim wszelkie istnienie!

— I taka możliwość istnieje — przyznał Obie. — Uważam jednak, że prawdopodobieństwo takiego obrotu spraw jest niewielkie. Mózg Markowa istniał przez całe wieki w skończonej przestrzeni; zgromadził olbrzymią wiedzę, zasoby, wypracował mechanizmy obronne. Jestem tego pewien. Istnieje również możliwość, że go zastąpię. Ta alternatywa niepokoi mnie najbardziej, nie mam bowiem dostatecznej wiedzy, by stabilizować całe Nowe Pompeje, a co dopiero mówić o wszechświecie. Z naszej teorii wynika, że tego właśnie pragnęli Markowianie. To pozwoliłoby utrzymać rzeczywistość do czasu pojawienia się nowej, świeżej rasy, która mogłaby nadać jej nową orientację. Taka perspektywa przeraża mnie, jest to jednak oczywiście tylko jedna z teorii, a prawdopodobieństwo, że akurat ona się sprawdzi, jest doprawdy niewielkie. Nie, wszystko przemawia za tym, że jutro w południe ja, a wraz ze mną całe Nowe Pompeje, w ten czy inny sposób, przestaniemy istnieć.

— Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? — spytała Mavra, zmrożona perspektywą, którą przed nią roztoczył, i w równym stopniu spokojem, z jakim Obie odrzucał możliwość kresu wszelkiego istnienia.

— Kiedy zapisuję — wyjaśnił komputer — zapisuję wszystko. Pamięć ma podłoże chemiczne i zależy od matematycznej relacji z samowzbudzoną energią. Dlatego zapisując cię wczoraj do przemiany, poznałem całą twoją wiedzę, całą zawartość twojej pamięci. Oceniam, że ty jedna masz — w każdym razie jak dotychczas — przymioty, które dają ci jakąś szansę ucieczki.

Ucieczka — pomyślała Mavra, trochę pokrzepiona. — Ucieczka!

— Mów dalej — poprosiła maszynę.

— Statek do przewozu gąbki się nie nadaje — powiedział Obie. — Jego kokpit nie jest wyposażony w system podtrzymywania życia. Możesz jednak przedostać się na pokład jednego z dwóch statków stojących teraz w porcie. Teraz cię zaprogramuję, przekażę ci wszelkie informacje na temat Nowych Pompei, jakie posiadam, wszelkie dane, jakich potrzebujesz. Wprowadzę również pewne niewielkie modyfikacje, wyposażę cię we wzrok o takim zasięgu i rozdzielczości, że nie będziesz musiała korzystać ze szkielec i wzmacniaczy wizji. Dam ci też małe gruczoły, które zastąpią ampułki ze środkami chemicznymi. Palce twojej prawej dłoni będą mogły wstrzykiwać najpotężniejszy środek hipnotyczny z niemal niewidocznych naturalnych wtryskiwaczy. Twoja lewa ręka będzie wytwarzać inny jad; twoje dotknięcie będzie wywoływało paraliż, trwający całą godzinę. Dwa dotknięcia mogą zabić wszelki znany organizm. Wzmocnią również twój słuch. W sposób niewidoczny dla innych wzmocnię też twoje mięśnie, nabierzesz nie tylko siły, ale i szybkości. Uzyskasz niezrównane panowanie nad swoim ciałem. Będziesz korzystać z tych zmian w sposób naturalny, nie odczuwając ich jako coś obcego.

— Dlaczego? — spytała. — W imię czego robisz to dla mnie?

— Nie robię tego dla ciebie — odpowiedział komputer, a w jego głosie zabrzmiał smutek. — Ta szansa ma swoją cenę. Jeśli jej nie poniesiesz, nie będziesz mogła opuścić Nowych Pompei. Musisz wypełnić pierwszą część swojego zadania; musisz wyrwać stąd Nikki Zinder. Musisz wreszcie zabrać jeszcze coś.

Mavra, oszołomiona, poruszała tępo głową, próbując to wszystko ogarnąć.

— W swoim mózgu niesiesz pewną cenną informację. Otóż: istnieje skuteczne antidotum na gąbkę. Nie leczy ono ludzi dotkniętych nałogiem, ale na trwałe hamuje rozwój zdeformowanego czynnika chorobotwórczego w ciele ludzkim. Lekarstwo to uratuje Nikki, uratuje ono również niezliczone rzesze innych, dotkniętych tą straszną chorobą. Musisz to przekazać władzom.

Kiwnęła głową.

— Spróbuję.

— Zapamiętaj! — przestrzegł Obie. — System zostanie uruchomiony za tysiąc trzysta standardowych godzin. Kiedy się zbudzisz, minie czterysta godzin.

Nie mogę tego momentu opóźnić i liczyć na powodzenie. Musisz być stąd przynajmniej o rok świetlny, i to razem z Nikki. Jeżeli będziesz bliżej, nadal będziesz w zasięgu pola. Oznacza to, że musisz odlecieć nie później niż o 11.30. Kiedy wystartujesz, z Nikki na pokładzie, otrzymasz hasło, które umożliwi ci bezpieczne minięcie obwodów ochronnych. Nie dostaniesz go, jeśli Nikki nie będzie na statku. Zrozumiałaś?

— Rozumiem — powiedziała do komputera ponuro.

— A więc dobrze, Mavra Chang, życzę powodzenia — powiedział Obie. — Zostałaś wyposażona w moc i zdolności, o których inni nie mogą nawet marzyć; nie spraw mi zawodu; zresztą sobie również.

\* \* \*

Mavra Chang obudziła się.

Rozejrzała się w ciemności, próbując skoncentrować wzrok. Całe otoczenie ukazało się nagle czyste niczym spiżowy dźwięk dzwonu, chociaż w pokoju nadal było dość ciemno. Odwróciła się lekko na grzbiet, czując, niestety, że nadal ma ten ogon.

To, razem z tą niewiarygodną zdolnością widzenia w ciemności, potwierdziło, że wszystko, co widziała we śnie, było prawdą. Miała też coś więcej — na przykład komplet informacji na temat budowy i rozkładu pomieszczeń Nowych Pompei, aż po najdrobniejsze szczegóły. Wiedziała, że może je wszystkie odtworzyć z pamięci.

Odprężyła się, próbując się jednocześnie skoncentrować. Nie miała pojęcia, w jaki sposób przychodzi jej to wszystko, ani też na jakich zasadach wszystko funkcjonowało. Wystarczy, że umiała to, co umiała. Dokładnie po trzech sekundach obudziła się z transu, przyglądając się niewielkiej kamerze. Była oczywiście ustawiona w ten sposób, by odbierać jej obraz leżącej na łóżku. Było to automatyczne urządzenie, skonstruowane tak, aby mogło podążać za jej ruchami.

Błyskawicznie zsunęła się z łóżka, przez dobrą chwilę wyczekiwała nieruchomo, leżąc na boku. To, że wylądowała na stojących butach, nie było zbyt wygodne, ale dopiero po upływie pół minuty odważyła się spojrzeć znowu na łóżko.

Kamera nadal obserwowała środek pośłania; zresztą — dlaczego nie? Spoczywał przecież na nim nagi kształt Mavry Chang, z ogonem i innymi szczegółami, pogrążony w błogim śnie.

Mavra nie mogła wyjść z podziwu, chociaż wiedziała, że ogląda obraz holograficzny. Wytwarzał go jej własny umysł, wspomóżony mocą, której nie rozumiała, i która została przydana jej ciału. Nie miała oczywiście najmniejszego pojęcia, jak takie zjawisko było w ogóle możliwe. Zresztą — co za różnica — pomyślała ze zwykłym pragmatyzmem. Najważniejsze, że złudzenie mogło się utrzymywać do sześciu godzin.

Sweter nie stanowił żadnego problemu; gorzej było z rajtuzami, które nie były zaprojektowane dla osoby ogoniastej. Przez chwilę się zastanawiała, co począć, a potem zauważyła, że ubranie nie tylko zastało uprane, ale również przerobione. Zmiany obejmowały między innymi dziurę, przez którą przechodziła swobodnie kość ogonowa i cały gruby, złożony ze sztywnych jak drut włosów ogon.

Pocciwy, stary Trelig, o wszystkim pamiętał — pomyślała sardonicznie.

A więc jeszcze tylko buty. Nie chciała ich zostawić, ale z drugiej strony mogła je wykorzystać dopiero, gdy znajdzie się poza głównym budynkiem. Zdecydowała, że po prostu weźmie je pod pachę.

Naprawdę wydawały jej się teraz znacznie lżejsze, przez chwilę nawet się zastanawiała, czy czasem przy nich ktoś nie majstrował. Dobre parę minut zajęło jej sprawdzenie, że to te same buty. Skąd zatem ta zmiana? Potem przypomniała sobie słowa Obie: teraz była znacznie silniejsza niż przedtem. To wyjaśniało sprawę.

Wyszła tak samo jak poprzedniej nocy, zostawiając pieczęcie nienaruszone, z uczernioną twarzą i rękami, uodporniona na obiektywy przystosowane do obserwacji w podczerwieni.

Wyciągnęła pistolet, który, co jej sprawiało wyraźną ulgę, tkwił tam, gdzie go umieściła. Nałożyła kaburę i po cichu się wymknęła. Czterdziestometrowy skok wydawał jej się teraz jeszcze łatwiejszy; zdawało się jej, że musi pobić nowy rekord toru.

Przerzuciwszy wpierw buty, wykorzystwała drugi pojemnik z płynem zwiększającym przyczepność. Miała nadzieję, że nie będzie się już musiała bawić w chodzenie po ścianach; zostały jej tylko dwa pojemniki.

Kiedy włożyła buty, poczuła się nie tylko wyższa w sensie dosłownym, ale również większa, silniejsza, niezwyciężona.

Zauważyła, że jej oczy automatycznie się dostosowywały do dowolnego typu obserwacji. Widziała jasno i wyraźnie niezależnie od oświetlenia. Nie była to jedyna zmiana. Dostrzegała inne kolory, niedostępne ludzkiemu oku, przez co przedmioty ukazywały się jakoś inaczej. Zadziwiła ją ostrość i szczegóły obrazu; właściwie nie zdawała sobie sprawy, póki Obie tego nie naprawił, że zaczynała być krótkowzroczna.

Również i słuch poprawił jej się nadzwyczajnie. Słyszała owady buszujące w trawie i w koronach drzew, potrafiła wyizolować odgłos pojedynczego egzemplarza. Słyszała gdzieś z oddali strzępy rozmowy, jakichś ludzi rozmawiających i poruszających się. Zgiełk, na który obok pasma normalnie słyszalnego dla ludzi, składało się sporo poddźwięków i naddźwięków, był trochę denerwujący, ale po chwili namysłu stwierdziła, że jest w stanie niektóre elementy wyciszyć.

Poruszała się po terenie stacji szybko i bezszelestnie. Rozkład pomieszczeń był jej tak dobrze znajomy, jakby się w nich urodziła i wychowała. Jej ruchy

bardziej teraz przypominały kota, na którego zawsze starała się upozować, niż kiedykolwiek przedtem.

Nie miała zegarka, który powiedziałby jej, ile jeszcze zostało jej czasu. Na szerokim pasku miała czasomierz godzinny, ale nie zadała sobie trudu, by go włączyć. Poruszała się tak szybko, jak umiała; jeśli nie zdąży, żaden chronometr jej nie uratuje.

Trochę żałowała czasu, spędzonego poprzedniej nocy na rekonesansie. Zastanowiwszy się jednak, zdecydowała, że nie był to czas zupełnie stracony. Mogła zobaczyć, co Trelig robił z ludźmi, odzyskała pistolet, poza tym była pewna, że to właśnie te skromne sukcesy pierwszej wyprawy sprawiły, że Obie wybrał ją.

Bez przeszkód dotarła do pomieszczeń straży, ale tu sprawy mogły się skomplikować. Powinno tu być dwóch strażników na służbie, być może czterech dalszych odpoczywa, gotowych na wezwanie. Wszyscy byli „obrabiani” przez Obiego, choć o tym nie wiedzieli. Mogła ich więc wszystkich rozpoznać, znała również ich mocne i słabe strony.

Wszyscy byli uzależnieni od gąbki, utrzymywani w tym stanie dzięki regularnym dostawom. Trzech strażników było płci męskiej — dwóch o cechach fizycznych przerośniętych kobiet, jednak z nie zmienionymi genitaliami, jednego natomiast gąbka przemieniła w kulturystę podobnego do goryla, włochatego, o mięśniach jak stal. Pozostali strażnicy byli kobietami — trzy o kompletnych cechach męskich z wyjątkiem słynnej „drobnej różnicy”, reszta o nadmiernie wybuchających cechach żeńskich. Tacy jak Nikki, reagujący na przedawkowanie środka, nie byli rekrutowani do służby wartowniczej.

Jako strażnicy — pogodzili się ze swoim losem; nienawidzili Treliga, owszem, ale wiedzieli, że ich położenie jest beznadziejne. Dokoła mieli aż nazbyt wiele przykładów, czym grozi narażenie się na gniew władcy — zmniejszeniem albo całkowitym obcięciem dawek gąbki. Byli lojalni wobec człowieka, który sprawował kontrolę nad gąbką; dzięki temu ich żywot stawał się nawet znośny.

Dlatego właśnie mogli być niebezpieczni.

W budynku straży Mavra, wytężając swój wzmożony słuch, stwierdziła, że żadnego ze strażników nie ma w pobliżu wejścia. Weszła do środka, zeszła na poziom pralni i wsunęła się do środka. Mimo iż znała już teraz hasło do windy, postanowiła, że nie będzie ryzykować, dopóki sytuacja jej do tego nie zmusi. Budynek miał trzy piętra pod ziemią, każde wysokie na 10 metrów. Nie była to odległość, którą musiała się przejmować.

Co prawda, niektóre stopnie były jednak wyposażone w niewidoczne czujniki reagujące na nacisk. Mijała je, ostrożnie windując się górą z wykorzystaniem poręczy. Zawsze była dobra w gimnastyce, przy niższym ciężeniu i dodatkowej sile, w jaką ją wyposażył Obie, było to naprawdę łatwe.



Czujniki stanowiły zapewne główną linię obrony budynku; kamery były ustawione dopiero wewnątrz magazynów uzbrojenia i w samych pomieszczeniach aresztu.

To one właśnie trochę ją martwiły. Nie było pewnie sposobu, by oszukać kamerę, która obserwowała Nikki Zinder, bo dziewczyna nie miała przecież takich sprytnych urządzeń jak Mavra. Być może, udałoby się niepostrzeżenie wkraść do środka, z pewnością jednak kamery musiałyby zauważyć ucieczkę Nikki.

Mavra systematycznie, nie śpiesząc się, sprawdziła resztę budynku. Dwóch strażników — których nie znała — siedziało w magazynie broni, obserwując obraz na monitorach. Uzbrojeni po zęby, byli gotowi natychmiast wejść do akcji. Dwóch następnych, jak się wydawało, spało na drugim piętrze. Nie byli uzbrojeni, ale i tak dość groźni, a po uruchomieniu alarmu nie będzie mogła ich zlokalizować. Postanowiła zaryzykować.

Napinając swój nowy aparat jadowy, dostrzegła świadomy ruch mięśnia niezbędnego do tego, by drobniutka kropelka płynu dotarła do czubka paznokcia. Zadowolona, wpełzła cichaczem do pomieszczenia; dwie strażniczki — podobne do kobiety, którą poraziła poprzedniej nocy, smacznie spały rozciągnięte na pryczach. Jedna z nich głośno chrapała.

Mavra działała szybko, niemal nie myśląc, uwolniła jad ukryty w palcach prawnej ręki, porażając jedną, a potem ukuła rękę drugiej, tej, która tak chrapała. Obie nawet się nie obudziły, chociaż paznokcie Mavry zostawiły na ich skórze małe, krwawe ślady w miejscu, gdzie wniknął jad.

Nie były zawodowcami, stwierdziła z odrobiną ulgi. To powinno nauczyć Treliga, by nie ufał za bardzo swoim strażom i nie oszczędzał na bezpieczeństwie.

Pochyliła się nad jedną z ofiar, szepcząc:

— Będiesz spała głęboko i spokojnie, będą ci się śniły miłe sny, i nic — ani osoba, ani dźwięk — cię nie obudzi.

To samo powtórzyła z drugą.

To powinno trzymać, póki nie ustanie działanie jadu.

Następnie ruszyła w stronę pancernego magazynu broni, znajdującego się na trzecim poziomie. Trelig sądził, że jest bardzo chytry, umieszczając wartownię wewnątrz. W ten sposób strażnicy byli odporni na wszelki zamach.

Aby wysadzić drzwi sejfów, trzeba by mieć z tonę materiałów wybuchowych, od wewnątrz natomiast specjalny zamek otwierał je w parę sekund. Ale sejfy buduje się przecież po to, by nikt się do nich... właśnie, do nich... nie dostał.

Mavra wyjęła ukradziony pistolet i wypaliła w spojenie zamka. Pod wpływem ciągłego strumienia energii twarda powierzchnia zaczęła się pokrywać pęcherzami, lekko się przy tym odkształcając. Była to przemyślana cecha konstrukcji; najsilniejsza broń energetyczna tylko wzmacniała drzwi, sprawiając, że łatwiej topliwa warstwa zewnętrzna trwale blokowała — niczym pieczęcią — mechanizm zamka. Było to wspiane urządzenie do przechowywania biżuterii czy dzieł sztuki.

ki; co innego — gdy ktoś był w środku. Zanim ta dwójka się wydostanie, albo ktoś się dostanie do nich z zewnątrz, Trelig będzie musiał wysadzić swój własny sejf.

Sukces ten bardzo ją podniósł na duchu, może nawet za bardzo. Dufna w swoje siły, przeszła teraz pewnie do końca korytarza i wystukała hasło do pokoju Nikki Zinder.

Drzwi się otworzyły. Nikki była w środku, rozciągnięta na posłaniu.

Mavra nie miała czasu zareagować, kiedy ugodziła ją porażająca strzała, odbierając wszelką możliwość ruchu.

## Na dole — godzina 10.40

Zabrzączał komunikator osobisty Treliga. Pan Nowych Pompei sięgnął w fałdy swojej białej szaty i odpiął go od paska, podniósł do ust i nacisnął guzik.

— Tak — warknął, zirytowany. Tak bliski ostatecznego triumfu, nie mógł znieść, gdy mu się przeszkadzało.

— Tu Ziv, panie — zameldował się strażnik.

— Obudziliśmy przedstawicieli, zgodnie z poleceniem. Jeden z nich znajduje się poza przydzielonym pokojem.

Trelig zmarszczył brwi. Jeszcze bardziej drażniły go komplikacje. Zwłaszcza teraz.

— O kogo chodzi? — spytał.

— Nazywa się Mavra Chang — odpowiedział Ziv sucho. — To zadziwiające, panie. Na łóżku, w polu widzenia kamery, jest jej holograficzna projekcja, tak prawdziwa, że nawet nas zmyliła, nie mówiąc o urzędniku. Przy tym nie wiadomo nawet, co wytwarza ten obraz.

Władcy Nowych Pompei zupełnie się to nie podobało. Starał się przypomnieć sobie... o, tak, naprawdę mała kobieta o silnych rysach Orchi i jedwabistym głosie.

— Znajdźcie ją za wszelką cenę — rozkazał. — Jeśli można, strzelajcie ładunkami porażającymi, gdyby jednak było jakiegokolwiek zagrożenie dla życia albo mienia — czujcie się upoważnieni do zabicia jej.

Wyłączył urządzenie i rozejrzał się po centralnej sterowni. Gil Zinder, siedzący na składanym krześle, zauważył zaszepioną twarz Treliga i uśmiechnął się leciutko. To jeszcze bardziej rozdrażniło Członka Rady — właśnie dziś Zinder nie powinien być taki pewny siebie.

— Co ci wiadomo na ten temat? — rzucił Trelig rozwścieczony, przyglądając się małemu uczonemu. — Dalej! Wiem, że to twoja sprawka!

Gil Zinder nie miał najmniejszego pojęcia, o czym tamten mówi, ale nie mógł się oprzeć uczuciu satysfakcji, widząc, że najwidoczniej coś poszło niezgodnie z planem Treliga.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Trelig. Jak mógłbym mieć do czynienia z czymkolwiek, skoro trzymasz mnie tutaj z dala od przyrządów? — odparł Zinder z lekkim rozbawieniem.

Trelig zbliżył się do małego uczonego, jego purpurowa twarz patrzyła w dół, był wściekły. Przez chwilę Zinder się bał, że Trelig rozedrze go na kawałki. Antor Trelig nie doszedłby jednak do swej potęgi, gdyby tracił panowanie nad sobą. Zatrzymał się, chwilę trwał nieruchomo niczym zastygła furia, a po chwili odzyskał normalny rytm oddechu i kolor twarzy. Nadal jednak była w nim przyczajona groźba.

— Nie wiem, Zinder, ale i ty, i to twoje szczenię drogo mi zapłacicie, jeżeli coś pójdzie inaczej — ostrzegł.

Zinder westchnął.

— Zrobiłem wszystko, czego chciałeś. Zaprojektowałem i zbudowałem „duży talerz” i wielką jednostkę pamięci, połączyłem i sprawdziłem poprawność systemu. Ten twój Julin jedyny ma dostęp do sterowni, moją córkę widuję jedynie pod strażą. Wiesz bardzo dobrze, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

Ta ostatnia uwaga poruszyła jakąś strunę w pamięci Treliga. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem strzelił palcami.

— Oczywiście, oczywiście! — mruknął do siebie.

— Ona chce mieć dziewczynę. — Trelig chwycił komunikator.

— Kamery wysunięte — dobiegł głos Obiego. — Asteroid na pozycji celu za siedemdziesiąt minut.

## Górna strona Nowych Pompei — godzina 11.00

Nikki Zinder w zdumieniu patrzyła na zamarłą postać.

— Ależ ona milutka! — powiedziała niemal zwykłym tonem.

— I do tego ten ogon!

Strażnik kiwnął głową, zabierając Mavrze pistolet, a potem się cofnął. Był to jeden z tych mężczyzn o zniewieściałym wyglądzie. Przypominał kobiety z górnego piętra, z wyjątkiem dwóch szczegółów: genitaliów i wzrostu, sięgającego 190 centymetrów, przy proporcjonalnej budowie ciała.

— Zostań na łóżku, Nikki — powiedział. — Nasz gość właśnie się budzi, a nie chciałbym, żeby ci się stała jakaś krzywda.

Mavra miała uczucie mrowienia, tak jakby wracało jej krążenie po zwolnieniu jakiegoś uścisku. Bolały ją oczy, z trudem zamrugła powiekami, aż z oczu pociekły jej łzy ulgi. Sparaliżowało ją z otwartymi oczami.

Lekko potrząsnęła głową, próbując odzyskać jasność umysłu, a potem popatrzyła na strażnika. Nadal była zbyt słaba, by coś zrobić, a wycelowany w nią pistolet tamtego był dostatecznie wymowny, aby zniechęcić ją do wszelkich nieprzemyślanych ruchów.

— No dobrze, kobieto — czy czymkolwiek tam naprawdę jesteś. Co tu robisz i jak się tu dostałaś? — spytał strażnik.

Mavra odkaszlnęła lekko, zwilżając śliną wyschnięte gardło.

— Nazywam się Mavra Chang — wyjaśniła. — Zostałam wynajęta, żeby wy dostać stąd Nikki przed rozpoczęciem wielkiej próby. — Nie było sensu kłamać, dość było widocznych dowodów; mówiąc prawdę, stwarzała sobie szanse na jakieś działania, a przynajmniej — zyskiwała na czasie.

Nikki zaniemówiła z wrażenia.

— To ojciec cię przysłał, prawda?

— W pewnym sensie — odpowiedziała Mavra. — Bez ciebie nie mogą go szantażować.

Strażnik wydawał się wściekły.

— Ty gnido! Ty pospolity szczurze kanałowy! Jej ojciec by cię nie przysłał. Wie dobrze, że Nikki bez gąbki nie może żyć, a gąbka jest tylko tutaj!

Odwaga Nikki i wyraźna troska strażnika o dziewczynę dodała Mavrze ducha. Jak to często bywa w przypadku kidnapingu, strażnik i więzień zaprzyjaźnili się. Czasami taką przyjaźń można jakoś wykorzystać. Postanowiła zaryzykować i powiedzieć całą prawdę. Zresztą i tak czas uciekał, niewiele miała do stracenia. Ten strażnik był bardziej kompetentny od innych, a to oznaczało również — ostrożniejszy.

— Posłuchaj — powiedziała szczerze. — Chcę być z tobą zupełnie uczciwa. Ten test nie pójdzie po myśli Treliga. Zinder zdołał zataić pewne informacje. Kiedy urządzenie zostanie włączone, jest wielce prawdopodobne, że ten mały świat nie przetrzyma próby. Mam w moim statku, zaparkowanym poza zasięgiem Treliga, dość gąbki, by dać jej tyle, ile potrzebuje, a poza tym wiem, jak wytworzyć antidotum.

— O Boże! Tatuś! — zawołała Nikki w uniesieniu. — Musisz go uratować!

Strażnik zastanawiał się przez chwilę, próbując sobie to wszystko poukładać. Zanim do czegoś doszedł, na schodach dało się słyszeć ciężkie stapanie. Do pokoju, z bronią w ręku, wtargnął nieprawdopodobny osobnik.

Miał dobre dwa metry wzrostu, i to samych mięśni, pokrytych kędzierzawym owłosieniem, zakrywającym liczne blizny. Widząc, że sytuacja jest opanowana, popatrzył na Mavrę. Zrobił kilka kroków, nachylając się nad nią groźnie.

— A więc, półmężczyzno, należy ci się nagroda, prawda? — warknął najgłębszym basem, jaki kiedykolwiek zdarzyło się jej słyszeć. Nikki drżała z przerażenia, było widać, że właśnie tego typu najbardziej się bała.

— Usuń się, Ziggy — powiedział strażnik cicho.

Olbrzym pociągnął nosem.

— A co do cholery! Co takie maleństwo może komu zrobić? Zatłukę ją jednym machnięciem, przedziurawię ją jednym sztychem — ryknął, łypiąc pożądliwie oczami.

— Zejdź z drogi — powtórzył strażnik.

Ziggy, lekceważąc polecenia strażnika, ruszył ku Mavrze, wyciągając ogromną włochatą łapę, by lekko pogładzić ją po policzku i karku.

Mavra napięła mięśnie lewej ręki, czując, jak jad podbiega do koniuszków palców. Trzeba by go dla pewności dziabnąć od razu z pięciu, i to w ciągu dwóch sekund — przemknęło jej przez myśl.

Już miała skoczyć, gdy rozległ się wysoki świst. Olbrzym wrzasnął, zamarł jak sparaliżowany, a potem runął jak długi. Mavra uskoczyła, unikając zdruzgotania pod tą górą mięsa.

Strażnik odetchnął głęboko, a potem znowu wycelował w Mavrę. Była zbyt zdumiona, by właściwie wykorzystać cenny czas.

— Czy to, co mówiłaś, to prawda? — spytał strażnik. — Masz gąbkę i antidotum?

Mavra machinalnie skinęła głową, ciągle nie spuszczać wzroku z powalonego olbrzyma.

— Masz, łap! — powiedział strażnik. Kiedy podniosła wzrok, cisnął jej zabrany pistolet. Chwyciła broń, przez chwilę sprawiała wrażenie niezdecydowanej, wreszcie przypasała ją na biodrze.

— Nie wiesz czasem, która godzina? — spytała drewnianym głosem. Strażnik rzucił okiem na tylną pokrywę kabury.

— 11.14 — powiedział.

— No, to ruszamy! — rzuciła, obracając się na pięcie. — Mamy szesnaście minut, żeby rąbnąć statek!

\* \* \*

Biegając, kazała strażnikowi, noszącemu imię Renard, połączyć się z centralą i zameldować, że uciekinierzy zostali schwytani i są przetrzymywani w pomieszczeniach straży. Trelig przyjął meldunek i tonem paskudniejszym niż kiedykolwiek przedtem, tonem, który zapowiadał rozszarpanie delikwenta na sztuki, polecił, by mu dostarczono schwytanych zbiegów.

Zbliżali się do portu kosmicznego. Nikki zaledwie przed kilkoma dniami dostała od Bena dawkę, ale ciągle jeszcze była bardzo gruba i bardzo powolna. Na to akurat nic nie można było poradzić. Mavra nie mogła odlecieć bez niej.

W porcie panował spokój.

— Jeden strażnik w środku, i to wszystko — powiedział Renard. — Trelig wyobraża sobie, że nawet jakby ktoś opanował statek, zostanie zestrzelony przez automatycznych wartowników. Ale przecież ty na pewno znasz sposób i na to, prawda?

Nikki wyglądała na trochę zmartwioną.

— To dopiero teraz o tym mówimy?

— Tak, tak, wszystko w porządku — uspokoiła ich Mavra. — Kiedy tylko Nikki znajdzie się na pokładzie, dostanę hasło. Pohipnotycznie. — Mam nadzieję — dodała w duchu.

— Wejść do portu w pojedynkę — zasugerował Renard. — Marta nie będzie mnie o nic podejrzewać — urwał, a potem dodał: — Wiesz, ona nie jest wcale taka zła. Moglibyśmy ją ze sobą wziąć.

— Już i ty jesteś nadwyżkowy — odparła Mavra. — Nikogo więcej. Musisz ją sparaliżować, kiedy rąbnę w wykrywacz broni. Potem od razu wskakuj do statku. Zajmij się dwoma stewardami, jeśli zdołasz.

— No, pewnie — uspokoił ją Renard. — To niewiele więcej niż roboty. Nie potrafią sobie po prostu poradzić z czymkolwiek, co wykracza poza ich osobiste doświadczenie.

— Nie traćmy czasu — rzuciła Mavra. — Jazda! — Odliczyła do trzydziestu od chwili, kiedy Renard wpadł do portu. Potem wyszła już zupełnie śmiało na otwarty teren, posuwając się portowym chodnikiem, a Nikki dreptała za nią niczym upasiona kaczka. Mavra wyciągnęła pistolet i wypaliła w skrzynkę sterowniczą na wykrywaczu broni.

— Teraz, Nikki! Biegnij do wejścia!

Nikki nie poruszyła się.

— Nie! — powiedziała w końcu z tępym uporem. — Bez ojca nie pójdę!

Mavra westchnęła, odwróciła się i zahipnotyzowała Nikki paznokciem wskazującego palca prawej ręki.

— Hola! co... — wykrztusiła dziewczyna, a potem stężała na moment, by w końcu rozluźnić się, jakby wszelka myśl z niej wyparowała. Mavra straciła cenną sekundę, podziwiając siłę nowego środka, działającego znacznie szybciej niż poprzednia substancja hipnotyzująca.

— Będziesz biegła za mną, i to tak szybko, jak tylko potrafisz — powiedziała do Nikki. — I nie zatrzymuj się, póki ci nie powiem! — To rozkazawszy, ruszyła pędem do wejścia. Nikki biegła za nią, i było widać, że daje z siebie wszystko.

— Ważysz dziesięć kilogramów! — wrzasnęła jej Mavra nad uchem. — Biegnij, i to już!

Nikki wyraźnie przyśpieszyła, przez wejście przemknęła w tempie, którego trudno było się spodziewać po kimś o takiej masie.

Mavra kątem oka zauważyła leżącą na podłodze postać nieprzytomnego strażnika Marty, a potem odwróciła się do Nikki.

— Wskakuj na statek! — rozkazała, a potem odwróciła się z niepokojem. — Renard! — zawołała.

Z głębi statku odpowiedziały jej dwa krótkie świsty, a po chwili ukazał się zbuntowany strażnik, przeciągając bezwładnego mieszkańca Nowej Harmonii przez właz.

— Chodź, Nikki! — poleciła, a dziewczyna posłuchała niczym dobrze wytresowany pies.

Renard, lekko dysząc, wytaszczył drugą, identyczną postać, a potem dał im znak, by weszły na statek.

Był to prywatny statek Treliga, wyposażony w sypialnię, salon, nawet w bar. Renard wskazał Nikki jeden z foteli salonu, a potem pozapinał jej pasy, podczas gdy Mavra przeszła od razu na dziób. Krótki, starannie wycelowany strumień energii z pistoletu rozwalił marny zamek, otwierając drogę do sterowni.



Renard wskoczył za nią, zajął miejsce drugiego pilota, zapinając pasy. Mavra od razu wzięła się do roboty, wrzucając przełączniki, podając komendy pokładowemu komputerowi, ustalając procedury awaryjnego startu.

— Trzymaj się! — wrzasnęła do Renarda, kiedy statek zaczął huczeć i drzeć pod wpływem narastającego ciągu. — Nie będzie miło!

Wcisnęła klawisz startu awaryjnego, a statek uwolnił się od urządzeń cumowniczych i zaczął się od razu podnosić na niemal maksymalnym ciągu.

— Proszę podać hasło — powiedział przez radio miły, choć mechaniczny głos. — Prawidłowe hasło w ciągu sześćdziesięciu sekund albo zniszczymy statek.

Mavra gorączkowo porwała słuchawki, próbując je nacisnąć na głowę. Stwierdziła jednak, że i tak są za duże. Uruchomiła jednak mikrofon, przytykając go do ust.

— Gotów do odebrania hasła — powiedziała do mikrofonu, a potem urwała. No, dalej! Dalej! — pomyślała gorączkowo. Przecież mam ze sobą Nikki i wystartowaliśmy! Podaj mi to cholerne hasło!

— Na miłość boską, podaj hasło! — wrzasnął Renard.

— Trzydzieści sekund — zauważył automat wartowniczy uprzejmie.

I nagle je miała! Słowa wybuchły jej w głowie w nagłym rozbłysku, tak niespodziewanie i tak po prostu, że przez chwilę wątpiła, czy to o to chodzi. Zaczepnęła powietrza. To musiało być to, a jeśli nawet nie, to i tak nic więcej nie mogła zrobić.

— Edward Gibbon, tom I — powiedziała głośno.

Żadnej odpowiedzi. Wstrzymali dech. W ich głowach potworny sekundnik odliczał nieubłagane: pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... zero...

Nic się nie stało. Renard zagwizdał, bliski omdlenia z emocji. Mavra zaczęła lekko dygotać, przez następne pół minuty nie mogła się opanować. Czuła się zupełnie wypompowana.

Siedzieli tak, milczący, a statek na pełnym ciągu oddalał się od planetoidy. Wreszcie Mavra odwróciła się do dziwnego mężczyzny przypominającego kobietę i zapytała niemal szeptem:

— Renard, która godzina?

Renard zmarszczył brwi, a potem sięgnął do kabury.

— 12.10 — odparł.

Mavra poczuła przyływ otuchy. Może jeszcze zdążą. Wszak dysponowali najszybszym pojazdem w okolicy.

A potem, zupełnie nagle, ogarnął ich mrok. Oczy Mavry nie zdołały się do niego przystosować, nie mieli zresztą wrażenia, by otaczała ich twarda skorupa statku. Spadali z ogromną prędkością w głęboką, czarną dziurę.

Renard krzyczał, Nikki zawodziła żałośnie gdzieś z tyłu.

— Sukinsyn! — powiedziała Mavra do siebie z niesmakiem. — Musiał przyśpieszyć tę cholerną próbę.

## Nowe Pompeje — dolna półkula

Trelig się niecierpliwił. Asteroid został już ustawiony przez automatyczne holowniki. Julin czekał w gotowości, reszta załogi obserwowała przyrządy. Nie widział powodu, dla którego miałby odwlekać próbę do 13.00 tylko dlatego, że taki termin sam wcześniej ustalił. Poleciał niezwłocznie rozpoczęcie testu. Julin skwapliwie podał komendy Obiemu.

Komputer był zaniepokojony nie na żarty. Nie mógł zignorować bezpośredniego polecenia Julina, chociaż próbował odwlec chwilę wykonania go za pomocą drobnych manewrów. Takie zabiegi miały jednak swoje granice i kiedy Julin podał hasło, komputer musiał się podporządkować. Pozostała mu tylko nadzieja, że jego wysłanniczka jest już dostatecznie daleko.

Zinder nie spodziewał się całkowitej ciemności i uczucia spadania. Doświadczał go nawet Obie; komputer wiedział, że w istocie nigdzie nie spadają. Analiza wykazała, że przy prawdopodobieństwie równym 0,5 padło na pierwszą alternatywę. Moc okazała się niedostateczna, by utrzymać Nowe Pompeje w stałym stonunku do reszty wszechświata. Powstała siła przyciągająca, zbyt potężna, aby się jej oprzeć. Planetoida poddała się jej bez wahania.

Nie zważając na okropne doznania pasażerów Nowych Pompei, Obie sprawdził stan rzeczywistości. Otaczała ich pustka. Nic.

Same Nowe Pompeje pozostały nietknięte, co do tego Obie zdołał się upewnić. Przełączył się jednak na zasilanie rezerwowe w momencie, gdy wielki talerz zaczął działać. Dookoła nie zdołał wykryć jakiegokolwiek materii, nawet najmniejszej drobiny pyłu w zasięgu promienia, trochę poniżej roku świetlnego. Byli oto zupełnie sami w kompletnie pustym zakątku kosmosu.

A jednak było coś jeszcze, co tylko Obie mógł odczuć. Ciąg i ogromne pole siłowe, równanie stabilizujące ich fizyczną egzystencję, puściło nagle, niczym napięta guma, zsuwająca się z widełek procy. To było właśnie to ssanie — pomyślał komputer. Cała materia i cała energia w kosmosie jest powiązana w jakiś sposób z głównym komputerem. Kiedy to powiązanie zostanie zakłócone czy przerwane, rzeczywistość, z którą się łączy, zamienia się w energię pierwotną, w pierwotny zapis energetyczny. Dlatego właśnie mieli takie uczucie nierzeczywistości, dlatego nie mogli dotknąć twardej materii planetoidy, chociaż przyrządy Obiego mó-

wiły, że ona tam jest, że nie znikła. Zresztą nie znikła przecież. Wszyscy, włącznie z Obie, byli teraz abstrakcyjnym tworem matematycznym, powracającym do swojego stwórcy.

I nagle wróciła stabilność. Wróciło zasilanie, a Obie poczuł, jak energia słoneczna zalewa plazmową powłokę planetoidy, która jakimś cudownym zrządzeniem też się utrzymała.

Ludzie leżeli rozrzućeni na korytarzu i podłodze sterowni, oszołomieni, zszokowani albo w ogóle nieprzytomni.

I nagle jedna z postaci jęknęła, usiadła kręcąc głową, tak jakby chciała rozluźnić boleśnie napięte mięśnie. Ciężko dysząc, trochę idąc, a trochę — pełzając, przedostała się do sterowni, nie zwracając uwagi na dobiegające zewsząd jęki.

Julin dostał solidnie, siła wyrzuciła go z fotela na tablicę rozdzielczą. Przez czoło biegła paskudna cięta rana.

Człowiek, który wpełzł do sterowni, nie zważał i na to. Przesunął przełącznik.

— Obie! Z tobą wszystko w porządku? — zawołał.

— Tak, doktorze Zinder — odparł komputer. — To znaczy, czuję się znacznie lepiej, niż oczekiwaliśmy.

— Jaki jest twój stan, Obie? Co się stało? — dopytywał się Gil Zinder.

— Doktorze... analizowałem wszystkie dane, próbując powiązać, co się tylko dało. Zostaliśmy wyrzuceni z rzeczywistości, tak jak tego oczekiwaliśmy, i odtworzeni w jakimś innym miejscu. Wszystko wskazuje na to, że krążymy po stacjonarnej orbicie leżącej mniej więcej 40 000 kilometrów ponad równikiem bardzo dziwnej planety.

— Mózg, Obie! — zawołał Zinder podniecony: — Czy to mózg cywilizacji Markowa?

— Tak, doktorze, wszystko na to wskazuje — odpowiedział komputer, a w jego głosie brzmiał teraz wyraźny niepokój.

— O co chodzi, Obie? — zapytał Zinder.

— O ten mózg, doktorze — odparł Obie z wahaniem i jakby pewnym zmieszaniem. — Mam z nim bezpośrednie połączenie. To niewiarygodne, wyprzedza mnie mniej więcej tak, jak ja kieszonkowy kalkulator. Jestem w stanie rozszyfrować nie więcej, niż jedną milionową informacji, którą wysyła, i wątpię, czy kiedykolwiek potrafię go zrozumieć, a jednak...

— Jednak? — rzucił nagląco Zinder, nie zauważając, że Julin podnosi się za nim.

— No cóż, doktorze, na ile mogę to prawidłowo ocenić, wydaje się, że on prosi mnie o instrukcje — odpowiedział Obie.

## Statek Treliga, pół roku świetlnego od Nowych Pompei — godzina 12.10

Świat powrócił równie nagle, jak przedtem zniknął. Mavra Chang rozejrzała się trochę otumaniona, a potem skontrolowała przyrządy. Pokazywały steek bzdur, popatrzyła więc na Renarda, który potrząsał głową jak pijany.

— Co się stało? — wykrztusił.

— Zostaliśmy pochwyceni w pole i przeniesieni razem z Nowymi Pompejami — wyjaśniła Mavra, starając się nadać słowom pewność, której bynajmniej nie czuła. Jeszcze raz przyjrzała się przyrządom, a potem włączyła procedurę przeszukiwania. Ekran zamigotał, ale pozostał pusty. Wyłączyła go z rezygnacją.

— To załatwia sprawę — powiedziała. Renard popatrzył na nią dziwnie.

— Co masz na myśli? — spytał.

— Właśnie uruchomiłam system przeszukiwania według nawigacyjnych map gwiazdnych. W małej kostce elektronicznej zapisano wszystkie znane układy gwiazdne, oglądane z dowolnej perspektywy. To miliardy kombinacji. Sądząc z braku reakcji, znajdujemy się poza znanymi obszarami kosmosu.

Podziwiał spokój, z jakim to mówiła.

— Co więc teraz zrobimy? — zapytał poważnie. Mavra wcisnęła kilka przełączników i przesunęła długą dźwignię po prawej ręce. Wycie i wibracje silników zaczęły zamierać.

— Najpierw rozejrzyjmy się po okolicy, a potem zdecydujemy, dokąd mamy ochotę się udać — powiedziała rzeczowo.

Pracując teraz na mniejszym pulpicie, wywołała obraz na głównym ekranie przed nimi, który zwykle pokazywał symulowany firmament. Teraz widać na nim było zupełnie coś innego. Gwiazdy, wiele gwiazd, więcej, niż im się w życiu zdarzyło ujrzeć. Rozmieszczone tak blisko siebie, że wydawało się, iż niebo płonie białym żarem. Zastosowanie wielokrotnych filtrów niewiele pomogło. Wielkie chmury pyłu kosmicznego płonęły szkarłatem i żółcią, widzieli kształty i formy zupełnie nie znane, jakich nie spotykali nawet w atlasach astronomicznych.

— Na pewno mamy sąsiadów — zauważyła Mavra sucho, a potem, sprawdzwszy prędkość, zaczęła obracać statek. — Tkwimy w tej chwili nieruchomo — wyjaśniła. — Chcę zrobić przegląd okolicy.

Olbrzymie mgławice i dziwne kształty nie zniknęły; byli nimi otoczeni. Mała zielona siatka po jej lewej ręce była pusta i przestrzeń w promieniu roku świetlnego od nich była pusta. Potem nagle pojawiła się plejada punkcików.

— Popatrz, automatyczne warty Treliga — zauważyła. — Wszystko inne to szczątki tego rozwalonego systemu. Wydaje się, że całe otoczenie zmieniło pozycję. Jeśli to prawda... tak, widzisz? Ten duży punkt z mniejszym w pobliżu to Nowe Pompeje i asteroid, który miał być celem.

Renard kiwnął głową.

— A czym jest ten olbrzymi obiekt na prawo od nich? — spytał.

— Planeta. Wygląda na to, że jedyna w całym systemie. Zabawne — zabrało cały system słoneczny, z wyjątkiem gwiazdy. Gwiazda z pewnością jest większa i starsza — zauważyła.

— Rusza się! — wykrzyknął Renard mimowolnie zafascynowany. — Nowe Pompeje poruszają się.

Mavra przyjrzała się, popracowała na klawiaturze, odczytała wyniki.

— Obiegają teraz planetę jako jej satelita. Spróbujmy się lepiej przyjrzeć. — Znowu szczęk klawiszy, ekran pokazywał teraz centralny obiekt, złapany elektronicznie w zielony raster po lewej stronie.

— Niewielka — powiedziała Mavra. — Popatrzmy, no... rzekłabym — średnia. Trochę ponad czterdzieści tysięcy kilometrów w obwodzie. Taaak... ciekawe!

— Co? — naglił Renard, wpatrzony w obraz szeroko otwartymi oczami.

— Średnica jest identyczna w obu kierunkach — odparła w zadziwieniu. — To niemal niemożliwe. To cholerstwo jest doskonałą kulą, co do metra!

— Myślałem, że większość planet jest okrągła — powiedział, trochę speszony.

— Właśnie, że nie. — Potrząsnęła głową. — Obrót wokół osi nie pozostaje bez śladu. Planeta się wybrzusza, przybiera kształt gruszki, zresztą może być milion różnych kombinacji. Okrągła, owszem, ale z grubsza, a to tu jest idealnie okrągłe, tak jakby ktoś... — przerwała na chwilę, a potem dokończyła z niedowierzaniem w głosie... — jakby ktoś ją zbudował.

Zanim Renard zdobył się na odpowiedź, Mavra pchnęła statek w stronę dziwnego świata.

— Lecimy tam? — spytał.

Mavra kiwnęła głową.

— No cóż, jeżeli nas przeciągnęło bez szwanku, to pewno i na Nowych Pompejach też pozostali przy życiu — zastanawiała się głośno. — A to oznacza, że jest tu gdzieś również Antor Trelig, wściekły, może zdjęty morderczym gniewem, i tłum przerażonych ludzi. Jeżeli nadal jest przy władzy, byłoby dla nas pewnie

lepiej, gdybyśmy się stąd wynieśli czym prędzej, zamiast lądować. Jeżeli nie — wpadniemy w piekło.

Twarz Renarda nie zdradzała żywszych uczuć, a wzrok miał jakby szklany. Mavra nie zwracała na niego uwagi, zajęta obserwacją przyrządów i świata, który mieli wkrótce ujrzeć. Po chwili dzięki wzmacniaczom obrazu można było dostrzec planetę wielkości pomarańczy. Z obrazu na zielonym rastrze wynikało, że Nowe Pompeje za chwilę skryją się po drugiej stronie.

— Ma najwyraźniej pionową oś — powiedziała, podniecona. — A więc musiał ją ktoś zbudować! — Odwróciła się do Renarda, a jej emocja ustąpiła miejsca zatroskaniu. — O co chodzi? — spytała.

Oblizła usta z tym swoim nieobecnym wyrazem twarzy.

— Gąbka — powiedział pośepnie. — Przywozi ją codziennie o 18.00 statek dostawczy. Twojego statku nie przeniosło, a więc tamtego tym bardziej. — Odwrócił się twarzą do niej, z wyrazem cichej grozy, narastającym w oczach. — Nie było dzisiaj gąbki. Nigdy nie będzie. Ani dla mnie, ani dla nich.

Mavra nagle zrozumiała, co go dręczyło. Zresztą pewnie Nikki również. Zupełnie o niej zapomnieli.

Westchnęła, żałując, że nic mądrego nie przychodzi jej do głowy. Przepraszanie? — nie miała za co przeproszać, a jej żal był tak widoczny, że nie wymagał słów.

— Jedyna nadzieja w tym — powiedziała wreszcie — że na tym świecie ktoś żyje i ma dobre laboratorium chemiczne.

Renard uśmiechnął się słabo.

— Byłoby ładnie, dziękuję za pociechę, ale nawet jeśli tak jest, zanim się z nim skontaktujemy, nauczymy się rozumieć, wyjaśnimy, w czym problem, i dostaniemy, co trzeba, będziesz miała przyjemność z garstką nagich małpisonów.

Wzruszyła ramionami.

— A jaki mamy wybór? — Nagle olśniła ją pewna myśl. — Zastanawiam się, czy pozostali strażnicy na Nowych Pompejach też na to wpadli? Co się stanie, jeżeli o 18.00 nie pojawi się statek i ich obawy się potwierdzą?

Renard myślał nad tym przez chwilę.

— Pewnie zrobią to samo, co ja bym zrobił, gdybym mógł. Dorwąż Treliga i z wielką przyjemnością zamęczą go na śmierć.

— Komputer! — krzyknęła Mavra w podnieceniu. — Komputer może leczyć z gąbki. Gdybyśmy mogli się z nim jakoś porozumieć. . . — Rzuciła się do radia, przeszukując wszystkie pasma. Jeżeli usłyszysz. . . przecież ma jej zapis.

Radio trzeszczało i gwizdało. Kilkakroć byliby przysięgli, że słyszą jakieś głosy, mówiące dziwnymi językami albo brzmiące tak nieludzko, że krew zastęgała w żyłach.

I nagle usłyszała zupełnie wyraźnie znajomy głos.

— No cóż, Mavra, rozumiem, że ci się nie udało — westchnął Obie. I ona westchnęła, tym razem z ulgą.

— Obie! — zawołała. — Obie, co się tam dzieje? — Przez chwilę było cicho, a potem dobiegła ich odpowiedź komputera:

— Strasznie się pokomplikowało. Doktor Zinder pierwszy odzyskał przytomność, dotarł do mnie, wprowadził pewne instrukcje, zanim Julin mu przeszkodził. Byli tutaj dwaj strażnicy, którzy usłyszeli, jak mówię do doktora Zindera, że jesteśmy w zupełnie innym zakątku kosmosu. Zaczęli wrzeszczeć o gąbce, więc Trelig ich zastrzelił.

— A więc już się zorientowali — powiedziała. — A co z górną stroną Nowych Pompei?

— Trelig się zorientował, że muszą pójść do góry i próbować uzyskać kontrolę nad innymi strażnikami. Mogą go schwytać tam na dole w pułapkę. Trelig ma nadzieję, że będzie mógł trzymać ich w szachu, obiecując uwolnienie ich od gąbki z moją pomocą, ale nie sądzę, by mu się to udało. Większość i tak nie wierzy, by Trelig mógł ich wyleczyć, reszta będzie tym bardziej wściekła, dowiadując się, że była możliwość leczenia, z której nie skorzystano. Jestem pewien, że będą z nim współpracować tylko do momentu wyleczenia, a potem i tak go zabiją.

Mavra kiwnęła głową.

— Jeżeli ty się zorientowałeś w czym rzecz, to Trelig również o tym wie. Z wyleczenia nic nie będzie miał.

Urwała na chwilę, a potem powiedziała ostrożnie:

— Obie, czy jest sposób, byśmy do ciebie dotarli? Jest Nikki, jest też jeden ze strażników, który ze mną współpracuje, imieniem Renard.

Obie westchnął znowu. Było czymś niesamowitym słyszeć tak ludzki głos w tak ludzkich reakcjach maszyny, ale Obie był jednak czymś więcej niż tylko maszyną.

— Obawiam się, że nie, przynajmniej nie teraz. „Wielki talerz” jest unieruchomiony po nawiązaniu kontaktu ze studnią — wielkim komputerem Markowa, który kieruje całym tym światem. Nie mam na to teraz żadnego wpływu. Mogą upłynąć dni, tygodnie, nawet lata, zanim dojdą do tego, jak się wyzwolić, jeżeli w ogóle jakiś sposób istnieje. Można by spróbować z mniejszym urządzeniem, ale Trelig nie jest głupcem. Zanim odszedł, zaprogramował mechanizmy obronne tak, żebym nie miał do nich dostępu. Gdybym miał „wielki spodek”, mógłbym je zneutralizować, ale niestety ich nie mam. Każdy, kto chciałby wejść do małej sterowni, musi przejść przez pomost nad szybem. Jeśli nie poda hasła, spotka go tam śmierć. Ja tego hasła nie mam.

— No cóż — zmarszczyła brwi — a czy możesz przynajmniej zagrozić dostęp do pomostu?

— Myślę, że tak — odpowiedział komputer niepewnie. — Przepuściłem prąd przez ściany sztolni. To powinno powstrzymać intruzów.



— W porządku, Obie, wygląda na to, że muszę się tam pojawić i uratować szlachetny kark Treliga — powiedziała, zwiększając moc. Nowy księżyc, którym były Nowe Pompeje, zniknął za dziwną planetą, a ona weszła na kurs przechwytywania.

— Poczekaj! Nie rób tego! — usłyszała znowu głos Obie-go. — Oderwij się! Aby trafić na górną stronę, musisz podchodzić od dołu, i wtedy za bardzo przybliżysz się do studni.

Było jednak za późno. Statek zbliżał się już do planety, jej przyciąganie wyczuwali coraz wyraźniej, korzystając z niego przemknęli na drugą stronę.

Widok, jaki się przed nimi otworzył, zaparł im dech w piersi. Z bliska cały ten świat migotał jak we śnie, nawet w jakiś sposób przypominał wielki, dziwny klejnot. Był wielościanem, pokrytym niezliczonymi sześciokątnymi komórkami niczym kulisty plaster miodu. Pod powierzchnią, która tworzyła te niezliczone, połyskliwe ścianki, było widać zarysy rozległych mórz, łańcuchów górskich, zielonych równin, a nad nimi przemykały ławice chmur. Tak to wyglądało poniżej równika. Sam równik też sprawiał dziwne wrażenie, jakby go zaprojektowano dla dzieciennego globusa. Gruby pas, półprzezroczysty, prześwitujący złotem bursztynu, wydawał się szeroką plastikową wstęgą opasującą ten świat. Również północna półkula była podzielona na sześciokąty, ale krajobrazy po tej stronie niczego im nie przypominały: dziki, niesamowity świat. Również bieguny były dziwne: szerokie obszary tak ciemne, że można by je uznać za sfery niebytu. Patrzyli jak urzeczeni, mknąc po zadanym torze. Aby z niego zejść, Mavra musiała przemknąć obok planety po torze zbliżonym do stycznej do równika.

— Za późno, za późno! — lamentował Obie. — Prędko! Wszyscy do kapsuł ratunkowych!

Mavrę ogarnęło zdumienie. Wydawało się, że wszystko przebiega normalnie, nagle ujrziała Nowe Pompeje, do połowy zielone i połyskliwe, w połowie pokryte wielką lustrzaną czaszą.

— Lepiej posłuchajmy — powiedział Renard spokojnie. — Gdzie jest łódź ratunkowa? Zabiorę Nikki.

— Przeprowadź ją tutaj — powiedziała Mavra. — Jeśli coś pójdzie niezgodnie z planem, pomost się zamknie.

— Pędzę — odparł Renard, przejęty bezpośrednim zagrożeniem.

Mavra właściwie nie dostrzegła zagrożenia, odrywała się, zbliżała do Nowych Pompei, przelatując jedną trzecią drogi do planety poniżej w standardowym podejściu, które pozwoli jej oblecieć Nowe Pompeje i wylądować. To wszystko było tak normalne.

— Do diabła! Nic mi nie jest! — dobiegł ją krzyk Nikki.

Dziewczyna weszła do sterowni z gniewnym wyrazem twarzy. Renard szedł za nią.

— Twój ojciec żyje, Nikki — powiedziała Mavra. — Mam kontakt z Obiem. Być może uda się nam. . .

W tym momencie statek zadygotał, wszystkie urządzenia, włączając światła, zamigotały, a potem zgasły.

— Co do cholery? — Mavra próbowała wykrzesać jakieś życie z przyrządów. Mostek ogarnęła smolista ciemność, nie było słycać żadnego hałasu silnika ani jakichkolwiek wibracji. Wygasły nawet światła awaryjne, chociaż miały osobne zasilanie. Przecież nie miały prawa zgasnąć!

Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś rozwiązania.

— Renard! — zawołała. — Posadź Nikki na swoim fotelu, a potem chodź tu do mnie! Myślę, że powinniśmy się zmieścić w jednym! Nikki! Zaciśnij pasy, jak możesz najmocniej!

— Co. . . co się dzieje? — zawołała dziewczyna.

— Rób tylko to, co ci mówię! I to szybko! — rzuciła Mavra. — W jakiś sposób straciliśmy całe zasilanie, nawet awaryjne! Zbliżyliśmy się za mocno do planety! Jeżeli zasilanie nie wróci. . .

Usłyszała, jak Nikki ciężko wali się w fotel. Czuła przy twarzy rękę Renarda, po omacku szukającego fotela. Jej oczy przestawiły się na widzenie w podczewieni. Prócz niej i towarzyszy statek był idealnie zimny!

Zakłęła, wcisnęła Renarda w fotel. Mieścili się z trudnością. Ten cholerny ogon — pomyślała wściekła.

— Będę ci musiała siedzieć na brzuchu — powiedziała, zmieniając pozycję.

— Au! — krzyknął. — Przesuń się odrobinę! Ta kość ogonowa uwiera mnie w czułe miejsce!

Przesunęła się trochę i dopiero wtedy z ledwością udało mu się zapiąć oboje w pasy. Ścisnął ją ramionami bardziej ze zdenerwowania niż dla jakiejś istotnej potrzeby.

I nagle wszystko zabłysło znowu.

Ze wskazań ekranu wynikało, że w czasie przerwy w zasilaniu stracili bardzo na wysokości. Widzieli teraz przed sobą morze, a trochę dalej jakieś góry.

— W każdym razie minęliśmy równik i lecimy na południe — wykrztusiła. — Sprawdźmy, czy uda się jeszcze wyrwać.

Zaczęła rozpinąć pasy, gdy nagle ekran pokazał, że minęli ocean, a potem wszystko znowu zgasło jak zdmuchnięte.

— Cholera! — zakłęła. — Chciałabym wiedzieć, co się u licha dzieje!

— Rozbijemy się, prawda? — spytała Nikki, bardziej z rezygnacją niż strachem.

— Na to wygląda! — odkrzyknęła Mavra. — Uruchomimy zaraz system ratunkowy, jeśli zasilanie nie wróci.

— System ratunkowy? — powtórzył bezmyślnie Renard.

— Na tych statkach są trzy systemy — wyjaśniła. — Dwa elektryczne, jeden mechaniczny. Mam nadzieję, że mechaniczny działa, bo tamte dwa — przy braku zasilania są na nic. W systemie mechanicznym i jednym z dwóch elektrycznych statek się rozpada na „klocki”. W systemie mechanicznym spadochrony pomocnicze rozwijane są w trzydzieści sekund po rozpadzie, później opór powietrza rozwija główne spadochrony. Będzie trzęsło jak cholera.

— Czy umrzemy? — spytała Nikki.

— Czemu nie — usłyszała Renarda mruczącego do siebie zbyt cicho, by dziewczyna mogła go usłyszeć. Wiedziała, co ma na myśli. Przynajmniej pójdzie szybciej niż bez gąbki.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedziała, ale nie zdołała tego powiedzieć tonem stuprocentowej pewności. — Gdyby się nam nie udało w kosmosie, byłibyśmy skazani na uduszenie, kiedy się skończy powietrze. Tam na dole sprawa pozostaje otwarta. Jeżeli to się nadaje do oddychania i jeśli przeżyjemy lądowanie, jeżeli wreszcie spadochrony się otworzą, może się nam udać.

Jeżeli, jeżeli, jeżeli — pomyślała. — Trochę tego za dużo.

Statek zadygotał, otoczył ich nieprzytomny hałas. Dokonało się rozdzielenie.

— Dobra — westchnęła. — Teraz już nie od nas zależy... Nawet gdyby zasilanie wróciło... silniki lecą w osobnym kawałku...

Nastąpiło teraz wiele ostrych, nieregularnych podskoków. Renard jęknął, obijany przez fotel z jednej i Mavrę z drugiej strony. Potem było jeszcze jedno szarpnięcie, tak mocne, że prawie ich zamroczyło.

— Spadochrony! — krzyknęła Mavra. — Otworzyły się! A więc jest tu jakieś powietrze!

Teraz nastąpiło długie opadanie, nierówne, chybotliwe do mdłości, w całkowitych ciemnościach. Po kilku minutach mieli kompletnie dość. Nikki zaczęła właśnie lamentować, gdy nastąpiła seria znacznie silniejszych, wręcz gwałtownych podskoków.

— Główny spadochron! — odetchnęła Mavra z ulgą. — Trzymajcie się! Teraz walnie jak diabli!

I rzeczywiście. Czuli się tak, jakby walnęli w mur, potem turlali się bez końca, wreszcie się zatrzymali, wisząc głowami w dół.

— Spokojnie! — ostrzegła Mara. — Teraz spoczywamy na suficie. Coś tak czuję, że ciężenie przypomina 1 G, zresztą prawidłowo jak na planetę o tej masie. Nikki! Nic ci nie jest?

— Czuję się okropnie — jęczała dziewczyna. — Boże! Czuję, że krwawię. Czuję się, jakby mi potrzaskało wszystkie kości!

— To samo ja — jęknął Renard. — A ty, Mavra?

— Poobcierały mnie te pasy — wyjaśniła. — Tak w każdym razie czuję. Dopiero za jakiś czas się przekonamy, co nam jest naprawdę. Teraz trwa jeszcze szok.

Wpierw się stąd wydostaniemy, a potem opatrzymy rany. Nikki, nie ruszaj się! Za chwilę cię ściągniemy.

Czuła, że pasy trzymają, ale mocno się rozluźniły. Jeszcze jeden wstrząs i byśmy wypadli — pomyślała.

— Renard! — zawołała. — Posłuchaj, ja widzę w ciemności, ale ty nie, nie mogę zejść na dół, nie wyrzucając cię. Sprawdź, czy możesz się chwycić fotela, kiedy zwolnię pasy. Cztery metry, ale sufit jest gładki i zaokrąglony. Potem ściągnę cię na podłogę. — Poprowadziła jego ramiona, jakoś się chwycił, ale nie w tę stronę.

— Może przed laty by mi to wyszło — powiedział z powątpiewaniem — ale teraz, kiedy moje ciało tak mocno się zmieniło. . . nie wiem. Mam mało siły.

— No, dobra, spróbuj się uwolnić, skacz, jeśli będziesz musiał — powiedziała. — Trzy. . . ! cztery! Teraz!

Zwolniła główny zaczep i pasy uprząży opadły na podłogę. Renard wrzasnął, puścił się i spadł na dół. Podeszła do niego i pobieżnie sprawdziła, czy nie za bardzo się potłukł.

— Myślę, że obyło się bez złamań — powiedziała. — Dalej! Wiem, że jesteś mocno potłuczony, ale musimy razem ściągnąć na dół Nikki!

Skręcił nogę w kostce i wstanie kosztowało go sporo bólu, ale przemógł się jakoś. Ostrożnie podsadziła go pod Nikki, której mógł teraz dosięgnąć, wyciągając ręce.

Nie miał dość siły, by ją podtrzymać, ale przynajmniej osłabił siłę upadku i obrócił ją tak, że wylądowała na siedzeniu. I w tym przypadku Mavra stwierdziła, że mimo jęków i bólu nic nie jest złamane. Mimo całej kolekcji zadrapań, potłuczeń, powykręceni na wszystkie strony, znieśli jednak ten upadek zadziwiająco dobrze.

Renard spróbował wziąć kilka głębokich oddechów dla złagodzenia bólu, mäsując bolące nogi równie obolałymi rękami.

— Tak z czystej ciekawości, Mavra. . . ile razy zdarzyło ci się takie lądowanie? — wystękał.

— Nigdy. — Zachichotała. — Mówią, że te systemy są bardzo niepraktyczne. Wiele statków już ich nawet nie ma. Okazja do ich użycia zdarza się raz na milion lotów.

— Hm — chrząknął. — Tak właśnie myślałem. Dobra, a jak się stąd wydostaniemy?

— Jest system górnego i dolnego luku ratunkowego — wyjaśniła. — Jest to jakby śluza powietrzna, ale oczywiście nie może wyrównywać ciśnień. Musisz mnie podsadzić, żebym mogła przekręcić zawory bezpieczeństwa. Ze śluzy w suficie nie możemy przecież skorzystać.

Znowu jęknął, ale niezłe sobie poradził. Wyciągnęła ręce, ledwie dotykając przyrządów. Po kilku próbach i dwóch upadkach usłyszeli świst i po chwili kłapa opadła. Upłynęły dalsze minuty, kiedy odbijając się z jego ramion, próbowała

uchwycić krawędź luku. Wreszcie, kiedy prawie już byli gotowi się poddać, a Renard jęczał, że dłużej nie wytrzyma, udało jej się złapać, podciągnąć się i otworzyć górną, zewnętrzną pokrywę.

— A co będzie, jeśli to powietrze się nie nadaje do oddychania? — wrzasnęła Nikki do Mavry.

Mavra popatrzyła na nich.

— Wtedy tak czy tak nie mamy szans — wyjaśniła zimno.

Wiedziała, iż szanse na to, że powietrze tutejsze okaże się dla nich „strawne”, nie są duże, ale przecież był tu ocean i zielone drzewa, więc była jednak nadzieja.

Wydźwignęła się z włazu i rozejrzała.

— Pachnie trochę śmiesznie, ale coś mi się zdaje, że jeszcze żyjemy, więc nie jest źle! — zawołała w dół. — Urwę trochę linki z szafki roboczej. Miała służyć do przyczepiania kombinezonów, ale teraz będzie musiała utrzymać ciebie.

Z Nikki było najwięcej kłopotów. Była strasznie ciężka i mało sprawna i kiedy ją wyciągali w ciemności — Renard sam się wspiał po linie — mieli wrażenie, że lada chwila albo mięśnie rąk Nikki, albo ich własnych odmówią posłuszeństwa. Wiedziała, że to ta straszliwa emocja każe im znosić trudy, tłocząc adrenalinę do żył, i że długo tak nie pociągną.

Wreszcie jednak przeciągnęli Nikki przez pierwszą pokrywę, gdzie żłobkowane brzegi dawały trochę oparcia dla nóg, a potem wywlekli ją na górę.

Schodząc z kapsuły mostku padli na zieloną trawę, wyczerpani, a krajobraz wokół nich wirował wściekłym rytmem. Mavra dokonała przeglądu całego swojego ciała i siłą woli pozbyła się bólu, ale zmęczenie jej nie opuściło. Otworzyła oczy, popatrzyła na pozostałą dwójkę. Spali, wyciągnięci na trawie, oddychając ciężko.

Obiegła wzrokiem horyzont. Nie widać było niczego takiego, co mogłoby czymś zagrażać. Było około południa, otaczał ich las nie różniący się na oko od podobnych krajobrazów na tysiącu innych planet. Słychać było jakieś owady; poza nielicznymi ptakami unoszącymi się w prądach powietrznych, wyglądającymi zupełnie zwyczajnie, niewiele było do oglądania.

Z zatroskanym westchnieniem popatrzyła na nieprzytomnych towarzyszy. Mimo wszystko, ktoś musiał czuwać.

## Nowe Pompeje — godzina 11.50

Z czeluści olbrzymiego dysku wystrzelił błękitnobiały promień. Część boazerii, którą była obita sterownia, zaczęła się tlić z sykiem. Ktoś zaklął. Cała sterownia była usiana przebarwieniami, gdzie uderzyły poprzednie strzały, okno wychodzące na szyb dawno już wypadło.

Gil Zinder siedział nerwowo zgarbiony pod pulpitem sterowniczym na galerjce. Antor Trelig, rycząc wściekle, usiłował w porysowanym, ale jeszcze odbijającym pokryciu drzwi ustalić położenie atakujących go strzelców. Ben Julin po drugiej stronie wejścia ładował pistolet.

— Dlaczego nie zamkniecie drzwi? — krzyknął Zinder słabo. — Zaczynają się wstrzeliwać!

— Zamknij się, staruchu — warknął Trelig. — Kiedy je zamkniemy, raz dwa nas tu zapuszczają i nigdy się stąd nie wydostaniemy. Nie pomyślałeś o tym?

Julin strzelił palcami i podbiegł do wewnętrznej tablicy rozdzielczej. Niemal go trafiło, ale sam pulpit był pod kątem do wejścia, tak że każdy, kto chciałby go trafić, musiałby się wystawić na pewny strzał Treliga.

Julin niecierpliwie włączył mikrotelefon.

— Obie? — zawołał.

— Tak, Ben? — odpowiedział komputer.

— Obie, co widzisz w tunelu? Możesz ustalić liczbę atakujących i rozmiary uszkodzeń?

— Obserwuję bez przeszkód — odpowiedział Obie. — Zostało siedmiu. Postrzeliłeś trzech i ci się wynieśli. Jest masa uszkodzeń w sterowni szybu i na czołowej ścianie, nie są one jednak poważne.

Julin kiwnął do siebie, a Trelig nagle się skulił, wychylił z drzwi i strzelił serią.

— Chybiłeś o kilometr, Trelig — zauważył Obie tonem zdradzającym pewne zadowolenie. Trelig, słysząc to, skrzywił się z wściekłości, ale nic nie powiedział.

— Obie, czy jesteś w stanie gotowości? — spytał Julin, pokazując Zinderowi, by się podczołgał do pulpitu. Stary z początku wydawał się zbyt przerażony, by się ruszyć, ale potem zaczął pełznąć, centymetr po centymetrze.

— Nie bardzo — poinformował komputer. — Komputer, sterujący tym światem w dole jest nieskończenie bardziej złożony ode mnie, ale zarazem znacznie

prostszy. Jego możliwości na wejściu wydają się nieograniczone, utrzymuje też pełną kontrolę wszystkich równań pierwotnych i wtórnych na wejściu. Z drugiej strony jednak — jest on w pełni zaprogramowany. Nie ma samoświadomości, nie jest odrębną jednostką.

Gil Zinder — ciężko dysząc — dotarł do pulpitu i skulił się obok Julina.

— Obie, tu doktor Zinder — poinformował maszynę. — Czy możesz zerwać kontakt z tamtym komputerem?

— Nie teraz, doktorze Zinder — odpowiedział Obie, tym razem znacznie uprzejmiej, w którym przebijała troska. — Kiedy uruchomiliśmy odwrócone pole, zwolniliśmy napięcie energii sterującej naszym istnieniem. Dzięki temu zostaliśmy przeniesieni tu, gdzie jesteśmy. Wszystko wskazuje na to, że komputer tego świata został zaprogramowany właśnie na taką okazję, z tym że programiści przypuszczali, iż każdy, kto może manipulować równaniami Markowa w taki sposób, by się przenieść aż tu, będzie reprezentował poziom techniki zbliżony do poziomu budowniczych komputera. Oczekuje się od nas, że zastąpimy tamte programy swoimi, że powiemy mu, co ma teraz zrobić.

— Co to znaczy tutaj, Obie? — spytał Zinder.

— Podawanie współrzędnych nie miałoby sensu, nawet gdybym miał jakiś punkt odniesienia — odparł Obie. — W pewnym sensie znajdujemy się w centrum wszechświata materialnego, w każdym razie tak wnoszę z tego, co rozumiem z obiegów informacyjnych tamtego komputera.

Nawet Trelig rozumiał następstwa takiego wniosku.

— Chcesz powiedzieć, że jest to centrum wszelkiej istniejącej materii w galaktyce! — krzyknął.

— Właśnie — zgodził się Obie. — Zresztą również wszelkiej energii, z wyjątkiem energii pierwotnej, która jest budulcem wszechrzeczy. To jest centralny świat Markowa, od którego poczynając — jak rozumiem — odtworzyli cały wszechświat

Ta myśl otrzeźwiła ich. Oczy Treliga lśniły, na twarzy malowała się jakaś nowa determinacja.

— Tak straszliwa siła! — powiedział cicho, by inni go nie dosłyszeli. Błękitnobiały wystrzał nie zburzył tego nastroju, ale przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Dysponując taką siłą, musiał jednak przeżyć, by móc się przekonać o jej możliwościach.

— Obie, czy możesz rozmawiać z tą wielką maszyną? — spytał Julin skwapliwie.

Komputer zdawał się myśleć przez chwilę.

— I tak, i nie. Trudno to wytłumaczyć. Przypuśćmy, że masz słownik operacyjny składający się z osiemdziesięciu wyrazów. Przypuśćmy teraz, że zaczyna z tobą rozmowę ktoś z twojego kręgu kulturowego z doktoratem z fizyki na tema-

ty, w których się specjalizuje. Nie potrafisz zrozumieć nawet słów, a co dopiero sensu rozmowy.

— Ale możesz do niego przemawiać tymi osiemdziesięcioma słowami — upierał się Julin.

— Nie mogę, skoro nie potrafię nawet sformułować pytania — odparł Obie. — Nie potrafię nawet powiedzieć „cześć” w zrozumiałym sposób — i nawet boję się próbować. Jest tu niewiarygodnie złożona, zaprogramowana sekwencja, której jestem świadomy, ale której nie potrafię śledzić czy zrozumieć. Nie śmiem nawet próbować. Może to zetrzeć wszelką rzeczywistość, z tamtym komputerem na dokładkę. Kiedy zostanę sam, co wtedy?

Naukowcy rozumieli, o co mu idzie. Markowianie zaprogramowali komputer tak, by przekazał on wszystko ich następcom, gdy osiągną ich poziom. Najpewniej nie przyszło im do głowy, że Gil Zinder, prymitywna małpa, wdepnie na ich cenną formułę na tysiąclecia całe przed tym, nim człowiek będzie na to przygotowany. Główny komputer czekał, by Obie kazał mu się zamknąć, bo oto stery przejmują nowi władcy.

Owo szacowne grono składało się niestety z trzech śmiertelnie przerażonych prymitywów i równie przerażonego komputera, przy czym ci prymitywni ludzie byli trzymeni w szachu przez byłych pracowników jednego z nich. Strażnicy, widząc zmianę sytuacji, widząc też, że nie ma nadziei na dostawę gąbki, wiedzieli, że czeka ich straszliwa śmierć.

Jeżeli jednak tak miało być, chcieli przynajmniej umrzeć jako wolni ludzie, zabierając ze sobą w niebyt znieawidzonego władcę.

— Obie? — zawołał Julin.

— Tak, Ben?

— Słuchaj, czy mógłbyś nam powiedzieć, w jaki sposób mamy się do licha stąd wydostać?

Komputer spodziewał się tego pytania.

— No cóż, moglibyście ich po prostu przetrzymać — poddał Obie. — Macie zapasy na tydzień, a ja mogę wam dostarczyć więcej, niż potrzebujecie. Za mniej więcej trzy tygodnie wszyscy strażnicy i tak umrą; za dwa tygodnie będą tacy słabi, że nie będą mogli zabić muchy.

— Nic z tego! — wrzasnął Trelig. — Są tam dwa statki, które musimy kontrolować, w przeciwnym razie wpadniemy w pułapkę. Pamiętajcie, że jest tam kupa agentów i ci dyplomaci, którym niedobór gąbki nic nie zaszkodzi. Kiedy strażnicy poszaleli, niektórzy z dyplomatów na pewno wzięli już broń i mogą zawładnąć statkami. Jeżeli się urwą, siedzimy w tym po szyję!

— Z jedną poprawką — odparł Obie. — Jest tylko jeden statek, drugim odlecieli Mavra Chang, Nikki Zinder oraz strażnik imieniem Renard.

Gil Zinder wyglądał, jakby go poddano przyspieszonej reanimacji.



— Nikki! Uciekła! Obie — czy rzeczywiście udało im się uciec? Czy wrócili do domu?

— Przykro mi, doktorze Zinder — powiedział komputer ze smutkiem. — Przyspieszenie próby zaskoczyło mnie. Zagarnął ich wir, tak jak i nas, i w końcu rozbili się na Świecie Studni.

Nadzieja w twarzy starego uczonego ustąpiła rozpaczy, wydawał się kompletnie załamany. Trelig był przygnębiony z zupełnie innego powodu.

— Co to znaczy: zaskoczyło cię? — warknął gniewnie niegdysiejszy władca Nowych Pompei. — Ty podstępna, przeniwiercza maszyno!

Obie wydawał się tą reakcją kompletnie zaskoczony.

— Jestem samoświadomą jednostką, szanowny członku Rady. Robię, co do mnie należy, ale mam pewną swobodę działania poza tymi ramami. Tak samo jak ludzie — dodał bez cienia przechwałki w głosie.

Ben Julin miał typowo inżynierską mentalność.

— Jak się nazywa ten świat, na którym się rozbili, Obie? — zapytał, nie zważając na tamtych.

— Świat Studnia — odpowiedział komputer. — Tak się nazywa.

Julin zastanawiał się przez chwilę.

— Świat Studnia — zamruczał niemalże do siebie. Teraz popatrzył prosto na głośnik. Trelig nadal ostrzeliwał strażników.

— Obie? — powiedział Ben cicho, niemal szeptem — opowiedz mi o tym Świecie Studni. Czy to po prostu wielki komputer Markowa, czy coś więcej?

— Wielu rzeczy muszę się domyślać, Ben — usprawiedliwił się Obie. — Poza tym, ta informacja dociera do mnie pokawałkowana. Nie, mimo wszystko nie jestem przekonany. Komputer-Studnia zajmuje całe wnętrze planety. Sama planeta jest — jak się zdaje — podzielona na wiele, może ponad tysiąc, odrębnych i różniących się od siebie biosfer, w każdej jakaś forma życia zajmuje dominującą pozycję, w każdej jest swoista flora, fauna, lokalne warunki atmosferyczne itp. W sumie jest to jakby masa małych planet. Rozumiem je jako prototypowe kolonie dla późniejszego przeszczepienia we wszechświecie w ich prawdziwych, matematycznie dokładnych środowiskach. Te kolonie żyją, przejawiają aktywność, po prostu istnieją.

Trelig i Zinder, mimowolnie zafascynowani, słuchali teraz chciwie.

— Ta trójka rozbitków... — zaczął Gil Zinder sucho. — Czy oni... czy oni przeżyli?

— Tego nie wiem — odparł Obie uczciwie. — Nie są oni częścią macierzy Świata Studni, nie są zapisani w pamięci komputera. Gdyby nawet byli, wątpię, czy można by ich odnaleźć. Tam na dole jest tak wiele istot rozumnych.

— Dlaczego nie spytasz go o coś praktycznego, na przykład, w jaki, do cholery, sposób mamy się stąd wydostać? — warknął Trelig, burząc nastrój. — Jeżeli został nam tylko jeden statek, sprawa staje się tym bardziej pilna!

Julin skinął głową, niechętnie przerywając tę tak obiecującą linię poszukiwań, nie mógł jednak odmówić Treligowi zmysłu praktycznego. Problem polegał na tym, że komputer był teraz wrogiem wspólnikiem. Julin nagle zrozumiał, co to znaczy paktować z diabłem.

I nagle, bez pomocy Obiego, wpadł na to. Wydał pełen niesmaku okrzyk i klaśnął w dłonie, ściągając uwagę dwóch obecnych mężczyzn.

— Jakim cholernym byłem głupcem! — zaklął. — Oczywiście! — Po chwili, kiedy zaczął odzyskiwać spokój, spytał: — Obie, czy twój mały dysk nadal jest sprawny?

— Tak, Ben — odpowiedział Obie. — Przy zachowaniu wszystkich poprzednich ograniczeń. Wielki dysk jest szepiony z komputerem Studni i będzie tak do czasu, kiedy czy to ja, czy ktokolwiek inny wymyśli sposób, żeby się wyzwolić, a akurat w tym zakresie jak na razie nie mam żadnych pomysłów.

Julin kiwnął głową, bardziej do siebie niż do maszyny.

— W porządku, jasne. Wystarczy mi, mały. Obie, masz formułę na gąbkę, prawda?

— Oczywiście — brzmiała odpowiedź, w tonie lekkiego zaskoczenia. — Z krwiobiegu niektórych wczesnych obiektów.

— Aha — mruczał Julin. Był teraz bardzo zaaferowany. — Uruchom urządzenie. Potrzebuję niewielkiej ilości gąbki, powiedzmy pięciu gramów, w szczelnym plastikowym pojemniku. Zwyczajny towar. Poza tym jednak potrzebuję dodatkowego kilograma substancji z następującymi dodatkami chemicznymi. — Ku zdumieniu pozostałych zaczął wystukiwać zawiły szereg symboli chemicznych.

Zinder, który pierwszy zrozumiał, o co Julinowi chodzi, jęknął z rozpaczy.

— Ale nie możesz tego przecież zrobić!

Julin jednak mógł to zrobić, wydał odpowiednie komendy, uruchomił Obiego, dysk zawisł nad okrągłą platformą, zapaliło się błękitne pole.

— Co, do cholery, chcesz zrobić? — krzyknął Trelig.

— Ma zamiar wytruć biednych sukinsynów — odparł Gil Zinder. Popatrzył na Julina. — Ale dlaczego? Gdybyś dał im gąbki, i tak wróciliby pod twoje rozkazy.

Ben Julin potrząsnął głową.

— Może ci na gorze — może, ale nie tamci ludkowie. Ci są gotowi na śmierć. — Odwrócił się do Treliga. — Przypilnuj starego doktora, a ja wezmę towar! — zawołał.

Wyskoczył w mgnieniu oka, kierując się ku schodom na galerię. Ostrożnie sprawdził dwie paczki, wyszukał rękawice i chwycił obie. Nadal nie bardzo wierzył komputerowi. W mig był z powrotem.

— Czy nadal mamy łączność? — spytał członek Rady.

— Tak sędzę. — Trelig kiwnął głową. — Chyba że przestrelili przewody. Spróbujemy.

Julin podszedł do ściany i przerzucił wyłącznik.

— Ej, wy tam! — zawołał, a jego głos odbijał się niesamowitym echem w olbrzymiej sztolni. — Posłuchajcie! Mamy gąbkę! Jest więc nadzieja! Dostaniecie ją, jeśli złożycie broń! — Przerzucił znowu przycisk na odbiór.

Na zewnątrz zaległa nagle cisza, tak jakby ta wiadomość wywołała u tamtych konsternację, i to był dobry objaw. Nie było odpowiedzi, ale też nie było słycać strzałów.

Po chwili oczekiwania, która wydała im się wiecznością, Trelig warknął:

— Nie kupili tego.

Julin, który miał podobne obawy, powiedział jednak:

— Spokojnie. Pewnie głosują. Pewnie po raz pierwszy myślą, jak to jest, kiedy działka spada do zera. Chociaż na razie tego nie czują, muszą to już widzieć oczami wyobraźni.

Miał rację. Po kilku dalszych minutach głośnik ożył.

— W porządku, Julin, może i wyjdiesz z tego. — Dobiegł ich raczej przyjemny głos, w którym dźwięczała jednak bardzo niemiła groźba. — Skąd jednak mamy wiedzieć, że nie kłamiesz? Wiemy, ile gąbki przychodzi. Co do grama.

— Możemy ją zrobić! Tyle, ile potrzeba! — odparł Julin, próbując nie dopuścić do głosu napięcia i obawy, które odczuwał. — Popatrz, udowodnię ci. Wyślij przedstawiciela przez pomost. Kogokolwiek. Rzucę piątkę. Możecie wypróbować. Przekonacie się, że mówię prawdę.

Znowu zapadła długa cisza, a potem ten sam głos powiedział:

— W porządku, idę. Ale jeśli mi się coś stanie albo towar będzie oszukany, pozostała szóstka dorwie was, choćby miała zginąć, a przecież na Górnej Połowie jest nas znacznie więcej. Wiedzą dobrze, co się tu dzieje.

Julin uśmiechnął się do siebie. Proszę, jak łatwo zdobywa się pożyteczne informacje. A więc łączność z Górną Połową nadal istniała. Wiedział teraz, co z tego wszystkiego, co się stało, wiedzą tam na górze.

Po upływie kilku minut ujrzeli samotną postać, idącą wielkim pomostem przesuwanym nad szybem. Była to drobna, krucha sylwetka, ginąca w ogromie otaczającej ją konstrukcji, albo bardzo młoda dziewczyna, albo też jedna z tych przesadnie seksownych niewolnic. Zresztą wszystko jedno.

Zdawało się, że droga byłego strażnika przez pomost trwa wiecznie. Wreszcie zatrzymał się dziesięć metrów od wejścia.

— Tu jestem! — zawołał trochę bez sensu.

Julin złapał małą torebkę czystej gąbki.

— Oto towar! — krzyknął i rzucił ją na pomost. Uderzyła z plaśnięciem i poturlała się tamtemu do stóp.

Strażnik podniósł zawiniątko, obejrzał, rozdarł plastik i wyciągnął malutki kawałek żółto-zielonej gąbki, która była rodzajem żywego stworzenia. Była to naprawdę gąbka, mieszkaniec pięknego świata, zaludnionego przed stuleciami

przez eksperymentalną kolonię ludzi. Nałożenie się na siebie działania tajemniczej bakterii i pewnych syntetycznych elementów, zawartych w dostarczanej tam żywności, było zalążkiem tragedii, która dała tak wielką władzę Antorowi Treligowi i kierowanemu przez niego potężnemu syndykatoowi. Nowa, genetycznie przekształcona substancja przenikała do każdej komórki ciała ludzkiego, wypierając niezbędne do życia substancje. Potem już nic nie mogło jej stamtąd usunąć. Co więcej, komórki same zaczynały ją wytwarzać. Zakażenie było procesem nieodwracalnym. Niewielka ilość nie wywoływała widocznych zmian fizycznych, ale nie była to istotna różnica. Masowe zakażenie, jakiemu poddano strażników, wywoływało bardzo różne reakcje komórkowe, powodujące rozmaite deformacje, wyolbrzymiające przeciwstawne cechy płciowe, albo jak w przypadku Nikki Zinder, powodujące ucieczkę w obżarstwo i inne podobnie straszne symptomy. Zmiany wykazywały dużą zmienność osobniczą, jednakże najsilniej dotyczyły cech płciowych jako najbardziej wrażliwych.

Był to jednak absolutnie pasożytniczy organizm. Zjadał on swego nosiciela, zwłaszcza jego mózg, którego komórki obumierały w przyspieszonym tempie. Ten mutagen, jeśli mógł działać bez ograniczeń, niszczył umysł znacznie wcześniej niż ciało; proces chorobowy był poza tym bolesny. Ponieważ substancja nie działała wybiórczo, potencjał umysłowy często był redukowany albo ograniczany stopniowo, przy zachowaniu podstawowych funkcji sądu i oceny. Człowiek wiedział wtedy, co się z nim dzieje tak długo, jak długo choroba nie zniszczyła doszczętnie kory mózgowej, przekształcając go najpierw w zwierzę, a potem w glon, który nie potrafił się ruszać i ginął z głodu. Lobotomia w zwolnionym tempie.

Gąbka nie była lekarstwem, była antidotum. Nie była odtrutką w pełni skuteczną, dawka bowiem musiała być okresowo odnawiana, ale wydzielina tej gąbki rzeczywiście hamowała rozwój mutagenu. Kiedy ktoś potrzebował gąbki, popadał w niewolę syndykatu. Substancja była zbyt niebezpieczna, żeby ją trzymać w Komlandach; sama gąbka zawierała substancję wywołującą uzależnienie. Chciwi, ambitni politycy mieli ją, hodowali i z jej pomocą rządili.

Mając przed sobą taką perspektywę, strażnik łapczywie, bez wahania połknął gąbkę w plastikowej torebce. Nie była to dawka wystarczająca — cały personel Nowych Pompei dostał potężną dawkę mutagenu i był zależny od odpowiednio dużych racji gąbki, ale powinna wystarczyć, by przekonać nieszczęśliwców.

\* \* \*

I tak było.

— To naprawdę gąbka! — zawołał strażnik, oszołomiony. — Czysta gąbka!

— Kilogram za waszą broń! — wrzasnęła Trelig, czując znowu wiatr w żaglach. — Albo teraz, albo poczekamy!

— Powiadomiliśmy Górę! — doszedł nowy, grubszy głos z głośnika. — W porządku, idziemy. We czwórkę. Pozostali będą pilnować, czy nas nie nabieracie. Ich broń dostaniecie, gdy dostaniemy kilogram, a wy wyjdziecie. Nie wcześniej.

Trelig odczekał na tyle, by wydać się tamtym przekonującym, uśmiechając się nienawistnie. Ich los był przesądzony.

Do pierwszego strażnika dołączyło trzech dalszych, popatrując trochę zachłannie na drzwi, które jeszcze przed chwilą chcieli rozwalić.

— W porządku, oto kilogram! — zawołał władca Nowych Pompei, wyrzucając worek.

Prawie się na niego rzucili, dwóch jednocześnie chwyciło paczkę. Jeden ją zgarnął i zaczął uciekać na bok, a pozostała trójka osłaniała go nerwowo przed wzrokiem Treliga.

— A co się stanie, jeśli nie wezmą tego od razu? — szepnął Julin zafrasowany.

— Wezmą, wezmą — odparł Trelig dufnie. — Pamiętaj, że są wygłodzeni. Jak silny jest ten towar?

— Przez jakieś pięć, sześć minut powinni się czuć wspaniale — powiedział młodszy mężczyzna. — Po tym czasie... no cóż, powinni dostać gwałtownego ataku serca i wskutek tego wykorkować.

Trelig zrobił nagle zatroskaną minę.

— Powinni, powiadasz? Czy są jakieś wątpliwości co do tego?

— Nie, nie, właściwie nie — odpowiedział Julin potrząsając głową. — Nie to miałem na myśli. Nie, ten towar może wytruć całą armię. Daję im nie więcej niż dziesięć minut.

— Sądysz, że będą uciekać na górę? — ciągnął Trelig, wyraźnie zmartwiony. — A może któryś z nich pożyje na tyle długo, że będzie mógł nadać ostrzeżenie przez radio?

Julin zastanawiał się chwilę.

— Nie, wątpię, czy będą czekali, aż dojdą na górę. Sam powiedziałaś, że są wygłodzeni. Co do ostrzeżenia... no cóż, jeżeli by się znalazł osobisty radiotelefon, moglibyśmy się przekonać.

Czekali niecierpliwie. Trelig nie mógł znaleźć aparatu; ten, który nosił, już dawno potrzaskał w ferworze walki.

— Musimy jakoś blefować — warknął, a w jego głosie znowu zabrzmiała niepewność.

— Zastanówmy się... skąd będziemy wiedzieli, że poszli? Chcesz być pierwszy na muszce? A może doktorek, co?

— Niekoniecznie. — Min potrząsnął głową. Czujniki Obiego są ciągle jeszcze włączone. — Podeszedł do tablicy rozdzielczej.

— Obie, czy strażnicy są jeszcze żywi?

— Nie, Ben — odpowiedział komputer. — Przynajmniej nie rejestruję żadnych form życia w miejscu, w którym się zatrzymali. Zniknęli mi dość nagle. Wymordowałeś ich co do jednego. Gratuluję sprawności.

— Zostaw sobie ten sarkazm dla siebie — burknął Julin. — Czy odnotowałeś jakiś przekaz na Górnej Półkule?

— Nie bardzo miałem jak — zauważył Obie. — Nie wiem. — Ben Julin kiwnął głową, a potem odwrócił się do Treliga.

— No cóż, poradziliśmy sobie z sześcioma. Z górą będzie jednak dużo więcej kłopotów. Masz jakiś pomysł?

Trelig przez chwilę się zastanawiał, a oczy znowu mu zabłyśły. Kiedy był poza zasięgiem bezpośredniego zagrożenia, zaczynał się tym wszystkim dobrze bawić.

— Spytaj maszynę, czy ktokolwiek na górze wie, kto uciekł pierwszym statkiem — polecił.

— A skąd Obie ma to wiedzieć? — spytał Julin. — To znaczy, jeżeli nawet nie może kontrolować połączeń radiowych? Po co to? Co masz na myśli?

— Żeby to zrozumieć, musisz popatrzeć na sprawę z różnych punktów widzenia — wyjaśniał szef syndykatu. — Na przykład: każdy statek mógł z powodzeniem pomieścić przynajmniej połowę gości, ale uciekła tylko Mavra Chang z Nikki Zinder i strażnikiem. Dlaczego?

Julin zastanawiał się przez chwilę.

— Ponieważ wynieśli się po cichu. Chang była opłacona, by wydostać dziewczynę, a nie wyratować całą załogę Górnej Połowy. Im więcej ludzi należałoby do spisku, tym większe byłoby niebezpieczeństwo wykrycia go.

Trelig kiwnął głową.

— Wreszcie zaczynasz myśleć. Jest ich tam cała kupa, i prawie się nie znają nawzajem. Powiedziałbym również, że mają w najlepszym przypadku trudne stosunki ze strażnikami. Całe to piekło rozpętało się niedługo po ucieczce statku. Założę się, że niektórzy nawet nie wiedzą, że statek zniknął.

— Ale strażnicy... — zaprotestował Julin.

— Będą wiedzieli tylko to, że statku nie ma — dokończył Trelig. — Wiedzą również, że bez podania hasła drugi statek zostanie zestrzelony przez automatycznych wartowników. Do diabła, dobrze wiesz, że nie potrafią się rozeznaczyć, kto jest kto, czy ilu ich tam jest. Dziewczyny prawie nikt nie widział, a strażnik — co to znaczy jeden strażnik? Mógł tu po prostu zginąć w walce. Rozumiesz teraz?

— Myślisz, żeby podstawić się jako ci, którzy się wydostali? — Mina zatkało.

Trelig stał się bardzo niecierpliwy. Drażniło go to mozolne wyłuszczenie prawd oczywistych.

— Popatrz — powiedział. — Musimy jakoś zdobyć ich zaufanie. Musimy uśpić ich czujność. Musimy odegrać przed naszymi gośćmi przyjaciół, przekonać ich, że to my bronimy przed strażnikami, pozyskać ich pomoc w opanowaniu statku. Musimy odlecieć, zanim nam tu powymierają. Sami nie podołamy.

Julin kiwnął głową.

— Rozumiem — powiedział, ale widać było, że mu się to niezbyt podobało. Popatrzył na Gila Zindera. Stary człowiek opadł z sił, siedział zmęczony i pokonany, z pustym wyrazem twarzy.

— A co z nim? — spytał Ben Julin w jego stronę.

— Będzie musiał pójść z nami — odpowiedział Trelig pośpiesznie. — Umie obsługiwać Obiego, a on zrobi dla niego wszystko, co zechce. Gdybyśmy go mieli tu zostawić, równie dobrze moglibyśmy od razu skoczyć do szybu.

Julin kiwał głową, zastanawiając się nad kilkoma sprawami, a nie były one przyjemne. Po pierwsze — nie bardzo miał ochotę samemu poddać się „opracowaniu”. Owszem, wysłać innych — proszę bardzo, to tak przyjemnie być bogiem. Ale samemu — by stać się czymś — kimś — innym... Plan Treliga niepokoił go, podobnie jak konieczność jego realizacji przy użyciu jego specjalnych obwodów, zdradzenie przed Zinderem — i Treligiem — rzeczywistego opanowania maszyny.

Spojrzał znowu na Treliga, który nie wypuszczał pistoletu z ręki, a na jego twarzy błąkał się dziwny uśmiech. Podobny wyraz twarzy szefa pamiętał z chwil, kiedy dawał gąbkę nowym ofiarom i kiedy zlecał okrutne egzekucje.

— Chcesz pójść pierwszy? — zapytał z nadzieją w głosie.

Podły uśmiech rozszerzył się.

— Nie, nie sądzę — odpowiedział kwaśno szef syndykatu. — A więc możesz jednak tego dokonać?

Julin machinalnie kiwnął głową, próbując coś rozpaczliwie wymyślić. Nie miał zamiaru godzić się na dożywotni status uczonego drugiej kategorii.

— W takim razie zrobimy rzecz następującą — ciągnął Trelig — po pierwsze, spróbujesz dowiedzieć się, o którego strażnika chodzi. Jeżeli Obie umie obserwować ludzi, powinien to wiedzieć. Potem jeden z nas przedzierzgnie się w strażnika, oczywiście bez gąbkowego nałogu, tego musisz dopilnować! Ktoś inny stanie się Nikki Zinder, trzeci — Mavrą Chang. Wszyscy zostaną zaprogramowani oczywiście w procedurze, której nie będzie można przerwać. — Wzruszył ramionami rozbrajająco. — Widzisz, nie chodzi wcale o to, bym ci nie ufał. Po prostu chodzi o to, że wchodzisz na górę, robiąc coś, co wydawałoby się nie do pomyślenia, i pozostajesz tam, myśląc to, co by ci w głowie przedtem nie powstało.

Julin westchnął z rezygnacją. Lepsze coś niż nic — pomyślał.

— Kim zatem chciałbyś być? — spytał.

— Musimy to przemyśleć, a czas ucieka — odpowiedział Trelig. — Ten staruch na przykład. Najłatwiej będzie zrobić z niego dziewczynę. Krew z krwi i kość z kości. Niektóre wzorce zachowań również powinny się pokrywać — przypomniał młodszemu uczonemu. — Niepotrzebna nam jakaś głupia wpadka. Nie wystarczy wyglądać jak ci ludzie, pozostając w środku sobą. Są spore szanse na to, że strażnik jest jednym z nadzorców, w sensie seksualnym wszyscy mają moc-

no poprzestawiane. Ja jestem hermafrodytą, jak wiesz, a więc od tej strony nie powinniśmy mieć trudności. Pozostaje dla ciebie Mavra Chang.

— Wolałbym nie być kobietą — zaprotestował Julin słabo.

— Kiedy przejdziesz transformację, będzie ci wszystko jedno — odparł Trelig. — Upewnijmy się, by instrukcje zgadzały się co do joty, tak żeby maszyna nie dodała nam czegoś głupiego lub nie odjęła. Ostatnia sprawa, Ben... kiedy będziesz to wszystko robił, pokażesz mi całą procedurę.

Julin już miał zaprotestować, ale po chwili zrozumiał, że to nie ma sensu. Włączył pulpit.

— Obie? Czy zidentyfikowałeś strażnika, który uciekł z Mavrą Chang? — spytał.

— To był Renard — odparł komputer. — Nie mam jego odczytu, nie przeszedł na tę stronę z Góry. Kilku umarło na Górze, więc jest jednak niewielka szansa, że to ktoś inny.

— To musi być on — zdecydował Trelig. — Był jednym ze strażników dziewczyny. Wszystko się zgadza. Gotów jestem się założyć.

Ben Julin przytaknął.

— Nie sądzę w każdym razie, byśmy musieli pokazywać wszystko doktorowi — zauważył.

Trelig zgodził się, odwrócił i wypalił do zrezygnowanego Zindera ładunkiem oszałamiającym. Tamten padł jak podcięty.

— Pięć minut — ostrzegł Trelig swojego współnika. — Nie więcej.

Ben Julin kiwnął głową, a potem wrócił do przyrządów. Bardzo niechętnie zabierał się do dzieła, i to w obliczu człowieka, który z powodzeniem mógł tę wiedzę później obrócić przeciw niemu. Z drugiej strony jednak wyłamać się w tym momencie nie było łatwo, i pewnie by się nie opłacało.

— Obie? — zawołał.

— Tak, Ben — odpowiedział komputer.

Wcisnął kilka przycisków na klawiaturze, z bolesnym uczuciem, że Antor Trelig śledzi i zapamiętuje każdy krok procedury.

— Operacja poza rejestrem — powiedział. — Zapis w zbiorze pamięci pomocniczej, wyłącznie na moje hasło.

— Trzy — ciągnął. — Obiekt Abu Ben Julin. Należy go fizycznie dopasować do ostatniego zapisu Mavry Chang. Obiekt zostanie wyposażony we wszelkie jej zachowania, włącznie ze sposobem poruszania się, reakcjami emocjonalnymi, sposobem mówienia, a także inne cechy, przez co obiektu nie będzie można odróżnić od ram odniesienia. Zawartość pamięci Abu Ben Julina pozostanie nie zmieniona, wraz z całą wiedzą i umiejętnościami, zdolna do utożsamienia się z jego prawdziwą istotą w dowolnym punkcie. Jasne?

— Tak, Ben — odpowiedział Obie. — Jasne i zanotowane.



Julin, ciągle zdenerwowany perspektywą osobistego poddania się procedurze, dodał jeszcze:

— Jeszcze jedno, Obie, dla wszystkich trzech transformacji obiekty powinny być już zaaklimatyzowane, tak aby nie odczuwały fizycznego lub psychicznego dyskomfortu w nowym ciele i z nowymi wzorcami zachowania się. Zrozumiane?

— Tak, Ben. Rozumiem, że nie uśmiecha ci się być kobietą — odparł Obie zjadliwie. Julin się skrzywił, ale pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Odwrócił się do Treliga.

— W porządku, ściągaj doktora — powiedział.

— Najpierw powiedz maszynie, że operacja jest zapisana i zamknięta — odparł Trelig łagodnie. Julin zrobił baranią minę i wzruszył ramionami. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, dzięki jakim to przymiotom Antor Trelig uzyskał i utrzymywał swoją pozycję na szczytach władzy.

— Zapisz i zamknij wszystkie operacje — powiedział Obiemu.

— Zablokowane, bieżą — odparł Obie. — Rozpoczynaj procedurę.

Upewniwszy się, że teraz Julin nie może już niczego zmienić czy odwołać, Trelig machnął pistoletem i sprowadził Gila Zindera na dół.

Transformacja nie trwała długo. Na oczach Julina najpierw Gil Zinder rozplynął się w deszcz błękitnych rozbłysków, przybierając następnie postać absolutnie doskonałej kopii Nikki Zinder. Stary uczony nic nie mógł na to poradzić, stał tam i przyglądał się, kiedy Trelig nerwowo podniósł dysk, a potem z wahaniem rzucił pistolet Benowi Julinowi. Julinowi przemknęło przez głowę, kiedy Trelig rozplynął się, a po paru sekundach zaczął przybierać postać strażnika, jak łatwo byłoby go wtedy postrzelić. Zinder, jakby odczytując jego myśli, powiedział cienkim głosem Nikki:

— Nie, Ben. Nie możesz tego zrobić! Tylko on wie, jak możemy się wydostać z tej planety.

Julin westchnął, wiedząc, jak prawdziwe są to słowa. Musiał przecież przypuszczać, że przeniesione zostały również automatyczne strażnice; gdyby było inaczej, przebywający na Górze goście, nie uzależnieni od gąbki, już dawno by uciekli.

Julin był bliski śmiechu, widząc nowy wygląd Treliga. Męskie organy płciowe na ciele wyglądającym szalenie damsko. Trelig zszedł z podestu, kiwnął z zadowoleniem głową i odebrał Julinowi pistolet. Ben miał przez moment niemiłe uczucie, że właściwie nic nie wstrzymuje Treliga od zabicia go, ale nic na to nie mógł poradzić. Zdenerwowany oczekiwaniem na przemianę i niesamowitym uczuciem czającej się śmierci, wszedł na krąg, ujrzał, jak mały wysięgnik unosi się nad nim, a potem poczuł ciepły, drżący prąd przebiegający przez ciało. Laboratorium, widzowie, wszystko zdawało się migotać, a potem znowu zarysowało się wyraźnie. Wiedział, że musiało upłynąć kilka sekund, ale uczucie nie było nieprzyjemne.

Na oczach pozostałej dwójki na podeście pojawiła się Mavra Chang, to znaczy jej doskonała kopia. Nowa, drobniutka postać popatrywała z niejakim niepokojem na pistolet Treliga, a potem, kiedy ujrzała, że ten dzierży broń niedbale, odetchnęła i zeszła z podestu, który teraz wydawał jej się znacznie wyższy niż przedtem Julinowi.

— Niewiarygodne! — westchnął Trelig. — Masz nawet jej ruchy — bardzo kobiece, kocie.

Julin kiwnął głową.

— Chodźmy teraz rozejrzeć się za tymi strażnikami — powiedział pełnym, egzotycznym głosem Mavry, z lekkimi śladami obcego akcentu.

Strażnicy umarli po krótkim, ale głębokim cierpieniu, które zastygło na ich twarzach.

— Pamiętajcie, żebyście czasem ich nie dotykali, to samo dotyczy paczki — przestrzegł Julin. Trelig kiwnął głową i ostrożnie, chwytając za lufę, wyciągnął pistolet z kabury jednego ze zmarłych, obejrzał go, wytarł w ubranie innego i podał go Julinowi, który skwitował to skinieniem głowy. Znaleźli też przenośny radiotelefon, jeszcze teraz połączony z Górą. Z głośnika dobiegał jednostajny szum.

Julin popatrzył na Treliga.

— Gotów? — spytał.

Członek Rady, ukryty teraz w postaci jednego ze swych strażników, kiwnął, chwycił aparat i przełączył go na odbiór. Przez kilka minut trwała cisza, wreszcie usłyszeli słaby głos:

— Dolna półkula! Zgłoście się! Co się tam u was dzieje? — zapytał jeden ze strażników cienkim nosowym głosem. Trelig odetchnął głęboko i powiedział cicho do Julina:

— No cóż, możemy się przecież od razu przekonać, czy to oszustwo działa. — Przełączając na nadawanie, powiedział: — Tu Renard. Właśnie prowadziłem więźniów Mavrę Chang i Nikki Zinder do Treliga, kiedy się to wszystko tak porobiło, złapali ich — wszystkich, ale jakim kosztem! Tu na dole zostałem tylko ja ze swoimi więźniami, stary uczoney też dostał. To z gąbką to było kłamstwo.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Przez pewien czas Trelig myślał nawet, że tamci nie dali się nabrać na tę całą historyjkę, ale za moment w głośniku rozbrzmiał ponownie głos z Góry, tym razem zmęczony i przybity.

— A więc dobrze. Skoro jednak Chang z dziewczyną są tam u was, kto poleciał tym statkiem? Marta powiedziała. . .

Trelig myślał bardzo sprawnie.

— Pamiętajcie, że tam była świeża załoga z Nowej Harmonii. Myślę, że wpadli w popłoch i zwiali.

Tamci przyjęli to wytłumaczenie, innego bowiem nie było.

— W porządku — odpowiedział głos z Góry. — Chodźcie tu na górę i weźcie ze sobą więźniów. Musimy się zebrać i przemyśleć sytuację. — W głosie nie było słyhać zbytniego entuzjazmu; wiedzieli, co się stanie, jeżeli nie pojawi się gąbka.

— Potwierdzam i wyłączam się — powiedział Trelig.

— Myślę, że są powody do zadowolenia — dorzucił, zwracając się do Julina. Julin nadal jednak miał zafrasowaną minę.

— To dopiero początek — przypomniał. — Ciągłe jeszcze mamy przed sobą drogę na górę i opanowanie statku. — Nagle coś mu przyszło do głowy. — Czy statek jest wyposażony w zapasy żywności i wody na dłuższy pobyt?

— O tak. — Trelig kiwnął głową. — Prawdopodobnie jakiś czas będziemy musieli przeznaczyć na dokładną obserwację tej dziwacznej planety. Kiedy nie będziemy mieli na głowie tych z gąbką, będziemy mogli ułożyć się z tymi przedstawicielami, którzy przeżyli, drogą radiową.

I co wtedy? — pomyślał Julin.

— Upewnijmy się może, że nikt się nie dobierze do Obiego, kiedy nas nie będzie — poddał myśl Trelig. Wrócili do pomieszczenia sterowni.

Julin nacisnął kilka klawiszy.

— Obie?

— Tak, Ben?

— Jak tylko znajdziemy się w windzie na Górę, zanotujesz wszystkie operacje na moje osobiste hasło. Zrozumiałeś?

— Tak, Ben.

Trelig zastanawiał się przez chwilę.

— Jak w takim razie wrócimy? Rozpozna w nas tylko Renarda i Mavrę Chang. Jeżeli jednak prawdziwa Mavra Chang ciągle żyje, i jeśli zdoła dotrzeć aż tu, będzie miała w ten sposób utorowany dostęp do komputera. Nie możemy przecież wykluczyć, że na tamym świecie będą dysponować jakimś statkiem.

Julin myślał przez chwilę, widząc coraz wyraźniej układ, tak jak się on przedstawiał Treligowi. Wszystko przemawiało za tym, że Mavra nie przeżyła — nie przejmował się Nikki Zinder czy Renardem, których i tak wykończy gąbką.

— A co byś powiedział na hasło, słowo lub kilka słów? — podsunął pomysł szefowi syndykatu. — Wtedy jeden z nas powinien tutaj być, obojętnie pod jaką postacią.

Trelig kiwnął głową. Nie zadał sobie trudu, by spytać, dlaczego nie obaj; nie bardzo mu się uśmiechała konieczność korzystania w potrzebie z pomocy Julina, poza tym jeszcze wszystko było przed nimi. — Ale jakie hasło?

Julin uśmiechnął się.

— Myślę, że znam takie hasło. Ale co z Zinderem? Nie chcemy przecież, żeby się jeszcze ktoś dowiedział.

Trelig kiwnął głową, a potem ponownie ustawił pistolet na krótki wystrzał oszałamiający. Popatrzył na sobowtóra Nikki Zinder, który odezwał się błagalnym tonem:

— Znowu? Nie, proszę...! — Trelig wypalił, a dziewczyna-niedziewczyna padła jak podcięta.

— Znowu pięć minut! — przestrzegł Trelig. — Ruszajmy się!

Julin kiwnął głową, a potem odwrócił się do przyrządów. Zarówno on, jak i Gil Zinder byli mężczyznami słusznego wzrostu, a rozdzielnia została zbudowana na ich miarę. Teraz jednak ukrywał się w daleko drobniejszych kształtach i musiał prawie chodzić wzdłuż pulpitu, żeby dosięgnąć niektórych przełączników.

— Obie?

— Tak, Ben.

— Ten zapis będzie umieszczony w otwartym pliku, bez hasła — powiedział Julin. — Jednocześnie z zapisem poprzednich operacji, przejdiesz w tryb obrony. Wszystkie systemy zostaną zamknięte i zamrożone, zabijesz każdego, kto będzie próbował dostać się tutaj z punktu pośrodku pomostu. Czy możesz słyszeć dźwięki ze środka pomostu?

Obie zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, Ben. Będziesz musiał krzyczeć. — Julin przyjął to jako niezbędne.

— W porządku, pozostaniesz w trybie obronnym aż do chwili, gdy ktoś wejdzie na środek pomostu z rękami nad głową, z dłońmi zwróconymi na zewnątrz. Zrobię mały znaczek na pomoście, kiedy będziemy odchodzili. Przy nim przybysz musi powiedzieć: „Nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem” — zrozumiałeś?

Trelig zachichotał.

— Trudno zerwać ze starym obyczajem, co? — Mimo to jednak hasło spodobano mu się — łatwe do zapamiętania, a poza tym trudno było przypuszczać, by ktokolwiek powiedział właśnie takie zdanie, wykonując jednocześnie odpowiednie gesty, bez ich wiedzy.

— Rozumiem, Ben.

Wyłączywszy komputer czekali, aż Zinder dojdzie do siebie. Trwało to dobrych sześć minut, reakcje osobnicze na pocisk oszałamiający były zróżnicowane. Zinder czuł w całym ciele mrowienie, ale skutki uśpienia szybko mijały.

— Ruszajmy — powiedział Julin. Poszli w stronę pomostu. Mniej więcej w połowie drogi Julin nastawił swój pistolet na pełną siłę rażenia i strzelił poprzez szyb w ścianę oporową. Była zbudowana z twardego, odpornego materiału, ale pocisk wybił w nim niewielką szramę, która mogła być przez nie wtajemniczonych wzięta z powodzeniem za pozostałość niedawnej strzelaniny, jaka się tu rozegrała.

Przeszli do windy, wsiedli i zajęli miejsca w fotelach. Trelig nacisnął dzwignię, drzwi się zamknęły i kabina ruszyła w drogę ku górze.

W tym samym czasie w Obiem następowały złożone przepływy energii, w wyniku których podjął on pracę w trybie obronnym, nie wiedząc, jak z tego wyjść. To właśnie martwiło go najbardziej. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był obraz Julina przy tablicy rozdzielczej i strażników konających po spożyciu zatrutej gąbki.

Była to niepojęta tajemnica, której nie mógł się już poświęcać. Wrócił do swojego pierwotnego zadania szukania sposobów odłączenia się od wielkiego komputera Świata Studni lub — w przypadku fiaska — nawiązania z nim czegoś w rodzaju partnerskich stosunków.

A miała to być praca ciężka i obliczona na długi czas.

# Teliagin, południowa półkula Świata Studni

Mavra Chang nie mogła się oprzeć, by nie drzemać. Kiedy napięcie opada, pojawia się odrętwienie, którego nie sposób opanować. Nagle wzdrygnęła się, i obudzona rozglądała się dokoła, przecierając oczy. Wiedziała, co się stało, i nie mogła sobie tego darować, teraz jednak zajmowała ją przyczyna, dla której się obudziła.

Nikki i Renard jeszcze spali w najlepsze, wyciągnięci na trawie. Nerwowo rozglądała się, próbując wszystkimi zmysłami wykryć zakłócenie, które przerwało jej sen.

Ciepły powiew pędził kędzierzawe, białe chmury po błękitnym niebie, słyszała szum wierzchołków drzew chwiejących się na wietrze i gwar dziwnych ptaków i owadów. Ponad łąką dobiegały ją dalekie odgłosy zwierząt, wyraźnie czymś zaniepokojonych. Wiedziała, co one oznaczają: coś się zbliżało, coś, co mieszkańcy lasu uznali za zagrożenie czy obcą penetrację, albo i jedno, i drugie. Odwróciła się do śpiącej pary i delikatnie potrząsnęła Renardem. Z początku nie reagował, ale kiedy szarpnęła nim mocno, jęknął i odezwał się:

— He... Co?

— Obudź się! — szepnęła. — Będziemy mieli towarzystwo!

Wspólnymi siłami z trudem obudzili Nikki, a Mavra zastanawiała się teraz, co począć.

— Musimy się stąd wynosić — powiedziała. — I to już! Chcę się przekonać, z czym czy z kim mamy do czynienia, zanim nas znajdą.

Podnieśli się i całą trójką zagłębili pośpiesznie w las.

— Jeżeli ktoś wie, do czego służy ten zespół, będzie nas szukał — wyjaśniła im. — Mimo wszystko chciałabym zobaczyć, kto za nami węszy. Poczekaście tutaj, najlepiej ukrycie się w zaroślach. Podczołgam się na chwilę, rzucę tylko okiem i już jestem z powrotem.

— Ostrożnie — przestrzegł Renard, zupełnie niepotrzebnie, ale z prawdziwą troską w głosie.

Kiwnęła głową doceniając to i poczołgała się z powrotem w stronę przecinki. Nie wiadomo było, co lub kto się zbliża, wielkość przybysza nie ulegała jednak wątpliwości. Świadczyło o niej lekkie drżenie ziemi i opętańcza wrzawa przerażonej zwierzyny.

Ostrożnie wyjrzała zza krzaka. Widok, jaki ujrzała, zaskoczył ją tak, że zaniemówiła. Była przygotowana na niejedno, ale to...

... To naprawdę było wielkie. Wysokie na trzy, cztery metry, z nieprawdopodobnymi barami i potężnymi mięśniami. Pierś i ramiona tego atlety miały kolor czerwony. Twarz była olbrzymia i odrażająca: niemal owalna, z szerokim, płaskim nosem i wydatnymi nozdrzami. Z kątów ust zastygłych we wściekłym grymasie wystawały dwa długie, ostre kły. Wielkie uszy, górą spiczaste, przypominały trochę muszle morskiego małża. Głowę wieńczyła grzywa granatowych włosów, z której wystawały dwa raczej paskudne, ostre rogi metrowej długości.

Szczególną jednak uwagę Mavry przyciągnęło oko bestii. Przypominało olbrzymie oko ludzkie, umieszczone pośrodku czoła, powyżej nosa. W jakiś sposób było to, jak się okazało przy bliższym przyjrzeniu, oko złożone, coś jakby zbiór oczu przysłonięty jedną wielką powieką.

Od pasa w dół stwora okrywało grube, wełniaste, rdzawo-czerwone włosie, a wielkie muskularne nogi były zakończone słoniowymi racicami. Jedynym odzieniem potwora była brudna, biała, wełniana przepaska biodrowa, która z trudem okrywała męski organ o rozmiarach proporcjonalnych do całej postaci. Bestia chrząkała, burczała i porykiwała, zbliżając się, nieustraszenie. Mavra nigdy jeszcze nie widziała stworzenia tak dzikiego i wściekłego.

Zatrzymało się, chwilę jakby węszyło, rozglądając się na boki. Przestraszona, iż bestia może ją zwąchać, zaczęła się niemal nieświadomie wycofywać rakiem, cała spięta, gotowa do skoku jak ściśnięta sprężyna, choć wątpiła, czy cokolwiek zdołałoby ująć takiemu potworowi.

W pewnym momencie dostrzegła dziwną rzecz. Na lewym ramieniu potwór nosił ogromny zegarek, przymocowany pasem ze skóry.

Po raz pierwszy Mavra zdała sobie sprawę z tego, że ogląda oto przedstawiciela jednej z ras dominujących w tym dziwnym świecie.

Kierunek wiatru nieco się teraz zmienił, a potwór sprawiał wrażenie, jakby zgubił trop. Wrócił więc do kabiny, przez moment lustrował urządzenie, jakby zastanawiał się, co począć, a potem podszedł do niej, wcale nie ostrożnie, tylko śmiało i pewnie. Było widać, że na swoim terenie nie ma godnych siebie przeciwników.

Kabina sięgała mu niewiele powyżej głowy. Stwór taksował ją krytycznie, wyraźnie zaintrygowany. Wreszcie podjął próbę podciągnięcia się do otwartego wjazdu. Zrażony kilkakrotnym niepowodzeniem, wydał potężny wściekły ryk, podkreślając to bardzo plastycznie i bardzo „po ludzku” uderzeniem pięści jednej ręki w dłoń drugiej.

Zaalarmowany, pojawił się drugi cyklop, odpowiadając rykiem. Odgłosy wydały się Mavrze bardzo zwierzęce, wiedziała jednak, że muszą one być jakąś formą mowy. Zwierzęta ani nie potrzebują, ani nie używają zegarka na rękę.

Kiedy następny przybysz się zbliżał, Mavra słyszała w oddali ryki jego pobratymców. Nie wylądowali — na szczęście! — w terenie gęsto zaludnionym, ale ich przybycie zostało zauważone, a grono ciekawskich się powiększało.

Drugi potwór podszedł, wydając z siebie potok warknięć i chrząknięć, popartych stosowną gestykulacją. Pierwszy, nieco wyższy i grubszy, odpowiadał w podobnym stylu, wskazując kabinę, otwartą klapę i zataczając rękami wściekle kręgi.

Po chwili dołączył do nich trzeci, potem czwarty i piąty. Mavra odnotowała, że były wśród nich dwie kobiety. Były prawie o metr niższe od mężczyzn i nie przekraczały trzech metrów. W przeciwieństwie do nich nie były też tak umięśnione. Pewnie bez trudu mogły wrywać z korzeniami niewielkie drzewa, ale z darcim blachy jak papieru byłyby już trudności. Były też bardziej przysadziste, na krzywych nogach, miały małe, twarde piersi. Nie miały też rogów, natomiast, podobnie jak u mężczyzn, ich twarze szpecił paskudny grymas. Kły miały za to nieco dłuższe. Różnica w tonacji głosu była nieznaczna, a zważywszy te wszystkie pochrząkiwania, porykiwania i kwiki — w ogóle niezauważalna.

Jedna z kobiet nosiła zegarek, dwójka przybyszów — mężczyzna i kobieta — nosiła w uszach i na szyi chyba coś w rodzaju biżuterii, wykonanej z kości. Mogły to być ozdoby albo symbole plemienne czy insygnia władzy.

Pierwszy potwór, machając na pozostałych, wydał ryk tak potężny, że spłoszył nim ptactwo w promieniu ćwierci kilometra wokół. Próbowali go podsadzić na kabinę, ale ześlizgiwał się po gładkiej powierzchni. Spróbowali więc innego sposobu. Obeszli z drugiej strony i zaczęli popychać w rytm komendy największego cyklopa. Kabina zaczęła się chybotać i za trzecim razem przewróciła się na bok. Jedna z kobiet podniosła kamień niewiele mniejszy od Mavry Chang i podstawiła go pod kabinę, utrwalając jej położenie.

Wielki potwór podszedł teraz, by obejrzeć ich dzieło, i ryknął z zadowoleniem. Ciekawie zajrzał do środka przez otwarty właz, znajdujący się teraz na wysokości jego głowy. Potężne ramię zagłębiło się do środka z okropnym hałasem druzgocząc wyposażenie. Po chwili ręka wynurzyła się z fotelem, wyrwanym z podłogi. Cała grupa badała teraz uważnie siedzenie. Łatwo się było domyślić, że na podstawie wielkości fotela próbują ustalić wymiary pasażerów kabiny.

Uznawszy, że zobaczyła już, co chciała, Mavra powoli wycofała się w głąb lasu. Byłoby głupio, gdyby dała się złapać na skutek zmiany kierunku wiatru. Był to najwidoczniej niegłupi, choć prymitywny naród, nawykły do działań grupowych. Nie miała ochoty poznać ich bliżej, póki się nie przekona, czym się odżywiają.

Pierwsza dostrzegła ją Nikki.

— Tutaj! — zawołała, a Mavra podbiegła do nich.



— Mavra! Dzięki Bogu! — zawołał Renard z prawdziwą ulgą, radośnie ją obejmując. — Słyszeliśmy te ryki i charkoty i nie wiedzieliśmy, co się dzieje!

Opowiedziała im pośpiesznie swoje wrażenia. Słuchali w rosnącym zdumieniu i grozie.

— Będziemy się stąd musieli szybko wynieść — wyjaśniła. — Wiedzą już, że wylądowaliśmy.

Nikki i Renard zgadzali się w zupełności.

— Ale którądy? — spytała Nikki. — Możemy, nawet o tym nie wiedząc, pójść prosto do któregoś z ich miast czy w czymkolwiek tam mieszkają.

Mavra się zastanawiała.

— Chwileczkę. Wiemy przecież, że cały ten świat nie jest taki, widzieliśmy nawet niektóre okolice w pobliżu, póki nie wysiadła wizja. Na wschód mamy ocean i jakieś góry, trawa jest tam na pewno inna niż tu. Widzieliśmy to, zbliżając się, prawda?

— Ale gdzie jest wschód? — spytał Renard.

— Planeta obraca się z zachodu na wschód — przypomniała Mavra. — Dlatego właśnie słońce wstaje na wschodzie i zachodzi na zachodzie. Chyba teraz zbliża się wieczór, a więc słońce jest gdzieś tam, a wschód — tam — wskazała, dodając: — Ruszajmy!

Nie mieli zresztą wyboru, razem ruszyli więc w głąb lasu, zostawiając za sobą ryki i ujadanie dziwacznych stworów.

— Powinniśmy trzymać się lasu możliwie jak najdłużej — powiedziała Mavra. — W ten sposób utrudnimy ewentualny pościg.

Przez jakiś czas parli do przodu w milczeniu. O czym zresztą mieliby mówić? Nikki, z uwagi na tuszę, przychodziło to z największym trudem, ale i tak radziła sobie nadspodziewanie dobrze. Jedno męczyło ją jednak szczególnie.

— Umieram z głodu — jęczała na każdym z licznych postojów.

I Renard też zgłodniał. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie się wydłużały. — Może mi się uda ogłuszyć któregoś z tych małych zwierzaków, które się tu dookoła kręcą — myślał głośno. — Szybki strzał z pistoletu i po wszystkim.

Mavra się zastanawiała.

— W porządku, spróbuj. Upewnij się jednak, że widzisz to, co widzisz, i że masz broń ustawioną na działanie oszałamiające. Brakuje nam tu jeszcze tylko pożaru lasu.

Jakby na zawołanie, jedno z tych stworzeń przemknęło poszyciem. Długa, metrowa sylwetka na krótkich nogach, z wąskim pyskiem, puszystymi wąsami, małymi, bystrymi oczkami gryzonia.

Renard obliczył odległość i kąt strzału i nawet ustawił pistolet, czekając, aż zwierzę się wynurzy z gąszczu. Kiedy stanęło na wolnej przestrzeni, nacisnął spust.

Nic.

Stwór odwrócił się ku nim, zawarczał raczej nieuprzejmie, po czym czmychnął w mrok.

— Co do diabła? — zawołał Renard, osłupiały. Popatrzył na broń, puknął, obejrzał licznik ładunków. — Pusty! — powiedział zdumiony. — Powinien być w trzech czwartych naładowany! — Już chciał cisnąć pistolet w krzaki, kiedy Mavra wzięła go od niego.

— Zachowaj go — poleciła. — Pamiętasz przecież, że i nasz statek przestał tu funkcjonować. Może taki jest tu los wszelkich maszyn? Pistolet może nam się przydać później, kiedy dotrzemy do morza. Nawet jeśli nie, to przecież nikt nie wie, że jest pusty. Może wystarczy, by kogoś postraszyć.

Renard nie był tego taki pewien, nie miał jednak ochoty na spory właśnie teraz, więc wsadził broń do pochwy.

— Wygląda na to, że pójdziemy spać głodni — powiedział. — Wybacz, Nikki.

Dziewczyna westchnęła boleśnie, ale cóż miała powiedzieć.

— Jutro na pewno znajdę coś do jedzenia, obiecuję — powiedziała Mavra ku swojemu zaskoczeniu, sama nie bardzo w to wierząc. Wiele razy była już w sytuacjach beznadziejnych i zawsze coś się zdarzało, co zmieniało jej los. Miała wprawę w unikaniu śmierci, która dotąd nawet jej nie dotknęła.

— Noc spędzimy tutaj — powiedziała. — Rozpalanie ognia byłoby zbyt wielkim ryzykiem. Obejmę pierwszą wachtę, a kiedy już nie będę mogła zdzierżyć, obudzę Renarda. Potem on tak samo zmieni się z Nikki.

Nie dała się odwieść od tego zamiaru, mimo protestów obojga. Wszak to ona była tutaj szefem.

— Tym razem nie zaśpię — przyrzekła.

Ułożyli się, jak kto mógł. Tylko Mavra była odpowiednio ubrana. Nikki, która uciekła tylko w powiewnej cienkiej szacie i sandałach według obowiązującej na Nowych Pompejach mody, już dawno zgubiła sandały, podobnie zresztą jak Renard. Okrycie też zdjeli, bo czepiało się gałęzi drzew i krzewów. Mavra namówiła ich, by go nie wyrzucali. Przydało się teraz dla ochrony przed wilgocią ciągnącą od ziemi.

Gdy Nikki i Renard jakoś się już urządzili, Mavra wyciągnęła ze schowka w butach swoje narzędzia i starannie je sprawdziła. Bez źródła zasilania nie na wiele mogły się przydać, a to przecież nie mogło działać. Porzuciła tę myśl.

Gdy okryły ich ciemności, jej wzrok automatycznie przestawił się na obserwację w podczerwieni.

Nikki niemal natychmiast zapadła w smaczny sen, ale Renard długo się wiercił, nie mogąc zasnąć, a w końcu usiadł.

— O co chodzi? — szepnęła. — Za dużo wrażeń na jeden dzień?

Ostrożnie podszedł do niej, prawie niewidocznej w ciemnym odzieniu.

— Nie, to nie to — odpowiedział po cichu. — Myślałem właśnie... coś czuję. Myślę, że zaczyna mnie brać!

— Sytuacja?

— Gąbka — odpowiedział po prostu. — Na przykład teraz strasznie mnie boli, ból przeszywa całe ciało.

— Bez przerwy? — spytała, naprawdę zmartwiona.

Potrząsnął głową.

— Przychodzi falami. Ta akurat jest naprawdę trudna do zniesienia. Nie wiem, czy Nikki też już to czuje, ale to tylko kwestia czasu. — Urwał na chwilę, a później powiedział to, co nieuchronnie musiało paść: — Umieramy, Mavra.

Przyjęła to stwierdzenie, nie mogła się jednak pogodzić z ostatecznym charakterem wyroku. Gąbka była dla niej mimo wszystko abstrakcją, w natłoku wydarzeń prawie zapomniała, że mają taki problem.

— Jak to działa, Renard? — spytała. — Jak długo to wszystko może potrwać?

— No cóż — westchnął ciężko — pierwsze zostają zaatakowane komórki mózgu. Każdy taki atak — jeden gorszy od drugiego — pozbawia cię pewnej części komórek ciała, w tym jakiejś ilości komórek mózgu. Jest to raczej hamowanie niż śmierć. Widziałem, jak to wygląda u innych. Pamiętasz wszystko, ale coraz trudniej przychodzi ci zrobić z tej pamięci użytek, coraz trudniej myśleć, rozumować. To, co dziś przychodzi ci z trudem, jutro okazuje się niemożliwe. Po prostu głupiejesz z upływem czasu. Postęp choroby jest osobniczo zróżnicowany, ale przeciętnie... no cóż, przeciętnie każdego dnia traci się o dziesięć procent zdolności umysłowych, których nie można już przywrócić. Nawet jeśli się dostanie później dość gąbki, co w naszym przypadku jest zupełnie nieprawdopodobne. Byłem kiedyś naprawdę bystrym facetem — no, wiesz, nawet uczyłem — ale teraz wyraźnie czuję, że coś się dzieje. Jestem o dziesięć procent głupszy niż wczoraj, ale akurat to niewiele jeszcze znaczy, jeśli się startuje z wysokiego poziomu. Jeśli jednak twój współczynnik inteligencji wynosi około stu pięćdziesięciu, no cóż... łatwo sobie obliczyć.

Mavra spróbowała. Jeżeli Renard miał wczoraj 150, dziś ma tylko 135. No, dobrze, to jeszcze nieźle. Ale jutro 122 i pojutrze 110, to już zaledwie przeciętna inteligencja. Tu gdzieś zaczynał się prawdziwy dramat. Ze 110 robi się 99, a z 99 — 89. Niby powoli, ale co to jest cztery dni? Piątego dnia 80, szóstego 72 — to już infantylny głupek. Po tygodniu 65, poziom rozwoju psychofizycznego trzyletniego dziecka. Potem... może, nikt, może jakiś zwierzak z resztką pamięci, pozbawiony jednak zdolności rozumowania.

— A co z Nikki? — zastanawiała się głośno.

— U niej pójdzie jeszcze szybciej, jestem akurat pewien. Może osiągnąć stadium krytyczne o dzień-dwa wcześniej — odparł Renard.

Mavra przez chwilę się zastanawiała. Tydzień, nie więcej, może mniej. Pomyślała — jak to jest, żyć ze świadomością nieuchronnej degeneracji, z wyrokiem śmierci. Czy Renard naprawdę wierzył, że i jego ona osiągnie? Czytała kiedyś,

że nikt nie liczy się poważnie ze swoją śmiercią. Kiedy jednak proces postępuje, a chory ma tego świadomość, nic nie powstrzyma przemożnego lęku.

Delikatnie ujęła go za ramię, a on się przysunął. Bez ostrzeżenia wstrzyknęła jeden z hipnotyzujących płynów, w które wyposażył ją Obie. Popatrzył, zdumiony, a potem jakby oklapnął.

— Renard, posłuchaj — rozkazała.

— Tak, Mavra — odpowiedział głosem małego dziecka.

— Musisz zaufać mi bez reszty. Będziesz wierzył we mnie i w moje możliwości, będziesz robił wszystko, co każę, bez szemrania — powiedziała. — Będziesz się czuł mocny i dobry, będziesz się dobrze czuł, nie będziesz odczuwał bólu, tęsknoty, smutku z powodu gąbki. Rozumiesz?

— Tak, Mavra — powtórzył bezbarwnym głosem.

— Nie będziesz też myślał o gąbce. Nie będziesz myślał o swojej śmierci czy załamaniu. Po prostu taka myśl nie powstanie ci w głowie. Każdego ranka, budząc się, nie zauważysz w sobie żadnej różnicy w porównaniu z dniem poprzednim, nie zauważysz też żadnych zmian w Nikki. Rozumiesz?

— Tak, Mavra — potwierdził posłusznie.

— A więc dobrze. A teraz pójdiesz na swoje miejsce, położysz się i zaśniesz dobrym, głębokim snem bez marzeń sennych, obudzisz się w cudownym nastroju, nie pamiętając niczego z naszej rozmowy, ale zrobisz, jak ci kazałam. A teraz ruszaj!

Podniósł się skwapliwie i przeszedł na miejsce, gdzie rozłożył swoje odzienie, położył się i za chwilę spał w najlepsze.

Wiedziała oczywiście, że taka hipnoza nie trwa wiecznie. Będzie ją musiała co jakiś czas powtarzać, a teraz jeszcze czekała ją taka sama przeprawa z Nikki, „zamawianie” dręczącego ją głodu.

Oczywiście ułatwiało to jej życie, nie rozwiązywało jednak ich problemów. Ich stan miał się przecież stale pogarszać, będzie następować niepowstrzymywany rozpad osobowości, aż do takiego stadium, kiedy nawet jej nadzwyczajne możliwości na nic się już nie zdadzą.

Najpóźniej za sześć dni.

Nie mogła tego spokojnie znosić! Gdzieś na tej niesamowitej planecie był ktoś, kto wiedział, jak im pomóc, kto mógł im pomóc, kto im przecież pomoże! Musiała w to wierzyć. Po prostu musiała!

Sześć dni!

Po cichu zbliżyła się do Nikki Zinder.

## Południowa strefa biegunowa w Świecie Studni

Pomieszczenie przypominało zwyczajne biuro człowieka interesu, co najwyżej może takiego od większych interesów. Na ścianach wisiały liczne mapy, wykresy i diagramy. Umeblowanie było dość niezwykle. Na poczesnym miejscu królowało potężne, zagięte w podkowę biurko, skrywające masę przyrządów sterowniczych, sprzęt do pisania, aparaturę łączności itd. W górnej szufladzie po lewej stronie było widać nawet pistolet o nieco egzotycznym wyglądzie.

Stwór, zasiadający za biurkiem i lustrujący uważnie rozłożone na nim mapy, niewątpliwie zajmował się interesami, chociaż niewątpliwie również nie był człowiekiem w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa.

Jego czekoladowobrązowy człowieczy tors był niesamowicie szeroki i żebrwany, tak że mięśnie piersiowe przypominały prostokątne płyty. Owalna głowa była także brązowa i bezwłosa, ozdobiona za to olbrzymimi białymi wąsiskami morsa, zwisającymi spod szerokiego płaskiego nochała. Sześć ramion w rzędach po trzy z każdej strony było osadzonych, z wyjątkiem górnych, w kulistych gniazdach przypominających stawy kraba. Poniżej ten dziwaczny korpus przechodził w olbrzymie, pręgowane żółto-brązowe sploty okryte łuską. Rozwinięte — to węzowe ciało — dochodziło do pięciu metrów długości.

Stwór, używając dolnej pary ramion, rozpostarł mapę wschodniej części południowej półkuli Świata Studni. Przypominała ona dziwaczny zestaw idealnie równych sześciokątów, w których na czarnym tle naniesiono kolorowe zarysy szczegółów topograficznych i zbiorników wodnych. Kiedy dolne ramiona przytrzymywały rozpostartą mapę, górne lewe ramię za pomocą dużego ołówka dotykało różnych sześciokątów, a prawe nanosiło innym ołówkiem notatki w notesie.

Środkowa lewa ręka przesunęła przełącznik wewnętrznego telefonu.

— Tak? — rozległ się uprzejmy kobiecy głos.

— Potrzebuję powiększenia sześciokątów 12, 26, 44, 68 i 249 — polecił sekretarce głębokim, soczystym basem. — Poproś też ambasadora Czill o telefon, jak tylko będzie mógł. — Wyłączył telefon, nie czekając na potwierdzenie.

Wrócił do studiowania mapy i spróbował poukładać myśli. W sumie dziewięć sekcji. Dziewięć. Dlaczego nikogo to nie zaalarmowało?

Rozległ się brzęczyk innego telefonu po prawej.

— Serge Ortega — powiedział krótko.

— Ortega? Tu Gol Miter ze Shamozan — dobiegł go cienki, drżący głos, wydobywający się — jak łatwo można było poznać — z translatora.

— Tak, Gol? O co chodzi? — rzucił szybkie spojrzenie na mapę. Ach, tak, trzymetrowe tarantule. Starość zaczyna się od pamięci — pomyślał niewesoło.

— Mamy zamiary na nowego satelitę. Jest na pewno sztuczny; przez teleskopy Strefy Północnej zrobiono kilka naprawdę znakomitych zdjęć. Mamy też wyniki analizy spektralnej. Atmosfera przypomina bardzo standardową mieszankę Półkuli Południowej, obfitującą w azot i tlen, a także parę wodną. Satelita jest wyraźnie podzielony na dwie części, z czymś w rodzaju bańki — fizycznej, a nie energetycznej — zawieszanej jakieś dwa, trzy kilometry ponad powierzchnią. To ona właśnie utrudnia nam szczegółową obserwację terenu pod nią. Zniekształcenia są zbyt wielkie. Na pewno pełno tam zieleni. Coś jakby ogród, a w nim chyba budynki, choć słabo widocznie. Tak jakby czyjeś prywatne miasto-świat.

Serge Ortega zastanawiał się przez chwilę.

— A co po drugiej stronie?

— Niewiele. Goła skała, najczęściej zwyczajne skały metamorficzne. Pewnie tak to kiedyś wyglądało w stanie naturalnym. Z wyjątkiem jednego miejsca w połowie drogi między równikiem a biegunem południowym, gdzie widać coś w rodzaju wielkiego, połyskliwego obiektu w kształcie dysku, wbudowanego w satelitę.

Ortega zmarszczył brwi.

— Jednostka napędowa?

— Wątpię — odparł olbrzymi pajak. — Nie wygląda na to, żeby to coś zostało zbudowane dla podróżowania. Bańka jest na pewno zasilana jednostką wymiany atmosfery. Widać, jak faluje. Jakikolwiek ruch inny niż regularne orbitowanie musiałby ją zniszczyć. Po jednej stronie jest punkt, z którego wydobywają się znaczne ilości energii, nie pasującej do tła. Być może jest to śluza powietrzna, albo na przykład niewielka przystań dla statków kosmicznych.

Ortega kiwnął głową, jakby to, co usłyszał, potwierdzało jego przypuszczenia.

— Zgadza się. Ale — do diabła — skąd to się tam wzięło?

— No cóż, ten dysk, niezależnie od położenia satelity, jest skierowany zawsze w stronę Bariery Równikowej. Nasi uczeni uważają, że to Studnia ich tu ściągnęła, albo też oni sami przenieśli się w mgnieniu oka do niej.

Ortedze w ogóle się to nie podobało. Ktokolwiek robił sobie żarty ze Studni, igrał z samą istotą rzeczywistości. Coś takiego nie powinno się zdarzyć — powiedział do siebie, nagle rozeźlony. Miał już z tego wszystkiego wrzody w obu żołądkach, które nie pozwalały mu o sobie zapomnieć.

— Przypuszczam, że sami nie wiedzą, w co się wpakowali — powiedział morsowąż. — Chyba jest tak, że się tu przyplątali, zobaczyli Studnię, postanowili ją zbadać, przelecieli zbyt nisko nad nietechnologicznym sześciokątem i wreszcie utracili moc.

Nagle uderzyła go pewna myśl.

— Dziewięć sekcji! Oczywiście! — Głośno sklął swoją tępotę, a ogromny pająk dopytywał się przez głośnik.

— O co chodzi? Nie zrozumiałem.

— Och, nic takiego — burknął Ortega. — Po prostu stary człowiek o zwiędłym umyśle kopnął się w tyłek.

— To niezła sztuczka — odparł pająk swobodnie. — O co chodzi? Co zauważyłeś?

— Dawno, dawno temu, kiedy byłem jeszcze na własnych śmieciach typem 41, zdarzało mi się pilotować statki kosmiczne — powiedział Ortega. — Z tego żyłem. Pamiętam, że miały specjalny mechanizm na wypadek całkowitej utraty mocy w atmosferze.

— Właśnie! — zawołał Gol Miter. — Zapomniałem, że kiedyś byłeś Przybyшем. Do licha, przecież jesteś starszy ode mnie! Byłeś także piratem, prawda?

Ortega pociągnął nosem.

— Byłem oportunistą, szanowny panie! Wszechświat zaludniają trzy typy ludzi, niezależnie od rasy czy postaci, jaką przybiorą. Są to kanalie, hipokryci i barany. Mając taki wybór, mam zaszczyt zaliczać się do łotrów.

Po drugiej stronie linii ktoś się zaśmiał. Oczywiście to translator wytwarzał ludzki rechot. Ortega zastanowił się mimochodem, jak naprawdę brzmi rechot olbrzymiej tarantuli.

— W porządku — odparł pająk — byłeś pilotem, a oni mają jakiś mechanizm ratowniczy. Co z tego?

— Ano to, że w razie awarii następuje rozpad statku — wyjaśnił Ortega. — Na dziewięć, powtarzam, dziewięć sekcji i tak, by wszyscy pasażerowie się pomieścili i żeby spadochrony mogły je udźwignąć. Dziewięć, Gol!

Pająk rozważał nowinę.

— Tak jak nasz gość, co? No cóż, to by się chyba zgadzało. Jesteś pewny, że masz wszystkie klocki? Może coś przeoczyliście?

— Wiesz przecież, że mam najlepszą siatkę szpiegowską w Świecie Studni — powiedział Ortega dumnie. — A może chcesz się dowiedzieć, z kim właśnie przebywa twoja czwarta żona, na przykład?

— Dobra, dobra! — zaśmiał się Gol Miter. — A więc niech będzie dziewięć. Przypadek?

— Możliwe — przyznał Ortega. — Ale być może nie. Jeżeli nie, są to przedstawiciele typu 41. Mam ogólny opis trzech sekcji. Dwie to mało interesujące pojemniki, ale trzeci... — przypomina pocisk z zaokrąglonym nosem. Jeżeli to

jest statek typu 41, to ta część musi być przedziałem sterowniczym. Tam powinien być — lub był — pilot.

— Gdzie spadła ta część? — dopytywał się pajak. Ortega rzucił okiem na mapę, a jego czarne oczy błyszczały podnieceniem. Mina mu zrzedła, kiedy stwierdził, gdzie to jest.

— Wygląda na to, że to dwadzieścia kilometrów w głębi Teliagina. Nie bardzo nam z nimi idzie. Jeśli te dzikusy ich złapią, na pewno ich pożrą.

W głosie pajaka brzmiała teraz prawdziwa troska.

— Nie kojarzę. Nie mają nikogo w swojej ambasadzie, prawda?

— Nie — odparł Ortega. — Czasami się pojawiają, żeby czymś zahandlować. To nietechnologiczny sześciokąt, a więc wszystko ma tam pewne granice. Wędrownie plemię pasterskie. Zjadają owce — na surowo, wielkimi kęsami, zwykle żywcem.

— No cóż, spróbuję się rozejrzeć — powiedział Gol Miter. — Ale jeśli niczego nie znaję — co wtedy? Musimy przecież złapać przynajmniej jednego z tych przybyszów, Serge! Tylko w ten sposób będziemy mogli się przekonać, o co, do licha, tu chodzi!

Ortega, który w zupełności się z nim zgadzał, popatrzył znowu na mapę. Teliagin był sześciokątem położonym blisko Bariery Równikowej, tak samo zresztą jak jego ojczyzna — Ulik, ale odległość była zbyt wielka, by ktokolwiek mógł dotrzeć tam na czas. Popatrzył na sąsiadujące komórki plastra, odrzucając po kolei możliwości. Wreszcie jego spojrzenie padło na dalszy sześciokąt, bardziej na południowy wschód. Lata! To może być to! Z drugiej jednak strony — to też było bardzo daleko. Lata umieli latać, a atmosfera Kromm była wystarczająco gęsta, ale ile trzeba czasu, żeby tam dotrzeć? Może dwa dni? A przecież znalezienie przybyszów też mogło zabrać trochę czasu... Przeciętny mieszkaniec Teliagina mógł równie dobrze pomóc przybyszowi z Lata, jak i pożreć go.

Praktycznie jednak nie miał wyboru. To albo nic.

— Posłuchaj, Gol, utrzymuj kontakt, prowadź obserwację satelity i przekazuj mi na bieżąco wyniki — powiedział pajakowi. — Zamierzam spróbować zmontować jakąś operację ratowniczą, jeśli tylko mi się uda. Mam nadzieję, że dotrzemy do nich, zanim dorwą ich te dzikusy z Teliagina.

Sześcioreki węzoczlówek przerwał połączenie i włączył ponownie wewnętrzny telefon.

— Jeddy? Jakież wieści z Czill?

— Nie, panie — odpowiedziała sekretarka. — Ambasadora nie będzie przed 17.00. Nie każdy mieszka w biurze.

Wężomors skrzywił się boleśnie. Ze wszystkich ambasadorów tylko on ugrzązł w Strefie Południowej. Nigdy nie będzie mógł jej opuścić, nigdy nie pójdzie do domu. Taka była cena, którą musiał zapłacić. Według wszelkich reguł powinien umrzeć ze starości prawie przed dwoma wiekami. To, że tak się nie sta-



ło, zawdzięczał małemu szantażowi zastosowanemu wobec Magren, sześciokąta, w którym możliwy był szczególnie rodzaj sztuczek magicznych dzięki „lewemu” podłączeniu do komputera Świata Studni. Wyposażyli go w młode ciało, które się nie starzało, dar ten jednak został obwarowany pewnymi niewygodnymi warunkami. „Magia” nie działała poza tym sześciokątem. W Świecie Studni było 1560 zestawów reguł gry, tyle, ile było sześciokątów i dominujących gatunków. W niektórych z nich komputer Studni dopuszczał nieskrępowany rozwój techniki. W innych natomiast technika była ograniczona — na przykład do pary. W jeszcze innych, na przykład na Teliaginie, nic nie działało. Potencjał, możliwości, nawet skład atmosfery były w każdym sześciokącie inne, utrzymywane w stanie równowagi przez komputer Studni, zajmujący całe wnętrze planety.

W Strefie Południowej działały prawie wszystkie mechanizmy. Czarodziejska młodość trwała tu po wieczne czasy. Gdyby jednak miał ją kiedyś opuścić, nawet po to tylko, by ujrzeć słońce, niebo i gwiazdy, czar pryśnie, a starość będzie postępować w błyskawicznym tempie.

— Zadzwoń do ambasadora Lata, Jeddy — polecił. Realizacja połączenia trwała minutę, może dwie, a potem w głośniku zabrzmiał wysoki, przyjemny głos, chyba kobiecy.

— Tu Hoduri. Co mogę dla ciebie zrobić, ambasadorze?

— Znasz sytuację? — spytał Ulik, a potem streścił ostatnie wydarzenia, kończąc: — Widzisz? Tylko ty możesz się do nich dostać. Nie będzie to ani bezpieczne, ani łatwe, ale potrzebujemy rozpaczliwie twojej pomocy.

Lata zastanawiał się przez chwilę.

— Pomyślę, co można zrobić, i zadzwonię do ciebie za mniej więcej godzinę.

— W porządku — powiedział Ortega — ale pamiętaj, że tu się liczy każda chwila. Gdybyś mógł odnaleźć jedną z obywaterek twojego kraju imieniem Vistaru i włączyć ją do twoich planów, to byłoby bardzo dobrze. Jest ona Przybyszem z tego sektora kosmosu, z którego, jak przypuszczamy, pochodzą nasi goście, mogłaby więc odegrać rolę tłumacza. Już kiedyś z nią pracowałem. Powiedz, że to ja proszę ją o pomoc i wyjaśnij jej całą sytuację.

— Oczywiście, jeżeli tylko ją odnajdziemy — zgodził się ambasador Hoduri. — Coś jeszcze?

Ortega potrząsnął głową, chociaż wiedział, że Hoduri nie może tego widzieć. — Nie, wystarczy pośpiech. Od tego zależy życie, kto wie, może i nasze, jeżeli się nie dowiemy, co się tu dzieje.

Wyłączył telefon i wrócił do swoich map, kiedy poderwał go brzęczyk telefonu międzystrefowego. Dzwonił wreszcie ambasador Chill.

— Halo? Vardia? Tu Serge Ortega! — huknął jowialnie.

— Ortega! — odpowiedział po tamtej stronie głos, w którym trudno byłoby się doszukać poruszenia, jakie on z kolei budził w Ortedze. Mieszkańcy Czill byli zdolnymi do poruszania się jednopłciowymi roślinami.

— Czy masz pojęcie, co się właściwie dzieje? — spytał Ortega.

— Właśnie mieliśmy naradę w tej sprawie — odpowiedziała roślina. — A dlaczego? Masz zamiar bawić się z kimś jeszcze?

Ortega zlekceważył te płaskie złośliwości. Rośliny mogły się powielać, mogła to więc być jedna z kilku Vardii, wszystkie jednak miały tę samą zawartość pamięci. Kiedyś, dawno temu, potraktował pierwszą Vardię raczej paskudnie, a mieszkańcy Czill niczego nie zapominają.

— Co było, to było — odparł. — To coś więcej niż małe intrygi. Musimy natychmiast uruchomić Centrum Kryzysowe Czill. Macie najlepsze komputery w całym Świecie Studni, a my będziemy potrzebowali kogoś do koordynacji. Wmieszana jest tu cała masa różnych sześciokątów. — Wyjaśnił ambasadorowi Czill całą sytuację.

— Posłuchaj, a co w tej sprawie robisz teraz? — spytała go Vardia.

— Wysłałem Lata, żeby spróbowali uratować pilota, jeśli jeszcze jest żywy, i zresztą wszystkich, jak się uda. Jeżeli — a stoi to pod wielkim znakiem zapytania — zdołam sprowadzić tu żywego choćby jednego uczestnika wyprawy, dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi. Tym jednak akurat nie musisz się przejmować. Posłuchaj tego, co ci jeszcze powiem, a zrozumiesz wewnętrzną logikę wypadków.

— Słucham — odparła Vardia, ciągle z powątpiewaniem w głosie.

— Zlokalizowałem wszystkie dziewięć elementów statku. Wszystkie spadły na zachodzie, rozrzucone na południowy zachód, co pozwala wyciągnąć pewne wnioski. Jeżeli ja zaczynam się domyślać, wpadną na to i inni. Być może już wpadli. Vardia, jeden z elementów to przedział silnikowy, nienaruszony, co do tego nie mam wątpliwości! Mogę się założyć o każde pieniądze! Tego się nie da zbudować w żadnym z sześciokątów Świata Studni. Co do reszty jednak... cóż, można by to zbudować, tu czy tam. Jeżeli ktoś przechwyci poszczególne części statku, zwłaszcza przedział silnikowy, będzie mógł złożyć z nich statek, który będzie latał. Jeżeli wystartuje pod odpowiednim kątem i po właściwym torze, będzie mógł się wyrwać ze Studni. Jeżeli ja potrafię wymyślić taki kąt, to i innym przyjdzie to do głowy. Vardia, my mówimy tu o wojnie. Wojnie! Mamy tu dość starych pilotów, którzy w razie potrzeby umieliby czymś takim polecieć!

Vardia, sądząc po głosie, nadal nie wyzbyła się wątpliwości, teraz jednak była to raczej niechęć, by przyjąć jako realną wizję, którą przed nią roztoczył Ortega. Z drugiej jednak strony — czyż mogli pozwolić sobie na ryzyko?

— Wojna jest niemożliwa — odpowiedziała. — Wykazał to już Triff Dhała, przegrywając Wielką Wojnę przed z górą tysiącem lat!

— Zgoda, tylko tamta wojna miała na celu podbój — zauważył Ortega. — Ta jednak może mieć bardziej ograniczone cele. Mogę się założyć, że właśnie teraz przynajmniej z pięć tuzinów władców wertuje pilnie „Teorię wojny w Studni” Dhała. Statek kosmiczny, Vardia! Pomyśl tylko!

— Nie mam zamiaru — odpowiedział ambasador Czill. — Tak czy tak jednak przekażę to wszystko do centrum. Jeżeli uczeni i komputery się zgodzą, zrobimy co trzeba.

— Tylko o to proszę — powiedział Ulik i przerwał łączność. Znowu uważnie popatrzył na mapę, koncentrując się na okolicach Lata i Teliagina. Skąd przylecieli? Lecieli na południowy zachód, a więc lecieli nad Morzem Burz, potem nad Kromm. Następnie statek rozpadł się w wąskich granicach tamtejszej dopuszczalnej techniki, wreszcie spadli w Teliaginie. Musieli widzieć morza i góry, zanim stracili moc. Jeżeli pilot wiedział, co robi, wie też, że góry i morze ma na wschodzie. Na pewno, jeżeli tylko spotkał tamtejszych urodziwych mieszkańców, ruszył na wschód w te pędy.

Jeżeli dotrą do Kromm i nie boją się pomoczyć, to wszystko w porządku. Musiał liczyć na doświadczenie tego pilota.

— Jeddy, połącz mnie, proszę, jeszcze raz z ambasadorem Lata — powiedział do mikrofonu. — Wiem, że go nie ma, ale porozmawiam z jego asystentem.

Wrócił do studiowania mapy.

Muszą zdążyć! Po prostu muszą!

## Winda zbliża się do górnej stacji na Nowych Pompejach

— Jesteś zbyt napięty — powiedział Antor Trelig do Bena Julina. — Odpręż się. Musisz przeistoczyć się w Mavrę Chang. Musisz zachowywać się tak, jak ona, musisz mieć jej reakcje, musisz nawet myśleć tak, jak ona. Jej osobowość musi cię całkowicie opanować, musisz się jej poddać. Nie chcę tam na górze żadnej wpadki!

Julin kiwnął głową i spróbował się odprężyć. Zabębnił palcami po poręczy siedzenia — długie, ostre, twarde paznokcie, jak ze stali. Nagle popatrzył w dół. Poczul się jakoś śmiesznie, dziwnie, na poręczy fotela ujrzał malutką kałużę płynu. Umoczył ostrożnie palec, podniósł do nosa, powąchał. Nic. Popróbował językiem i poczuł łagodne drętwienie. Co do diabła? — powiedział do siebie zdziwiony.

Przyglądał się teraz wszystkim palcom obu rąk z rosnącym zdumieniem. Rodzaj chrząstki, trochę grubszej od ludzkiego włosa. Rurka, sztywna, sterowana malutkim mięśniem. Trucizna? — zastanawiał się.

Zdecydował się, że wypróbuje to przy sposobności.

Zapaliło się ostrzegawcze światło, a kabina zaczęła zwalniać.

— A więc jesteśmy na miejscu, do dzieła — powiedział Trelig swobodnie, kiedy stanęli. Osobowość Gila Zindera została zepchnięta na bok przez Nikki Zinder, którą teraz był. Nie mógł się ruszyć bez Renarda i Mavry Chang, musiał się odpowiednio zachowywać i musiał w to naprawdę wierzyć. Obie wybrał najłatwiejszą metodę — po prostu zrobił ze starego człowieka jego własną córkę i wyizolował osobowość z rzeczywistości.

Kiedy się otworzyły drzwi, wyszli w ciepłe, świeże powietrze, w jasny blask słoneczny. Wszystko było teraz trochę zmienione — pojawiły się cienie, odległość od słońca też była inna, miało ono inny kolor, co zmieniało wszystko wokół. No i wreszcie ta planeta, zakrywająca dziesiątą część firmamentu.

Stanęli, oniemiaли. Nie byli przygotowani na ten widok: połyskująca, srebrzysta, wielościenna bryła odbijająca słoneczny blask. Pasma chmur oddzielało część południową, błękitną, od półkuli północnej, skąpanej w całej gamie żółci i czer-

wieni. Zniekształcenia powodowane przez ekran plazmowy czyniły ten widok jeszcze bardziej niesamowitym.

— Rany! — westchnął Gil.

Zawsze praktyczny Trelig pierwszy przerwał tę rozmarzoną ciszę.

— Dalej! — powiedział. — Rozejrzyjmy się, kto tu rządzi!

Na powitanie wybiegło kilku strażników, a także dwie dziewczyny z obsługi.

— Renard! Bogu dzięki! — powiedział jeden z nich, uświadamiając Treligowi, że nie wie, jakie stosunki łączą tych ludzi. Znał natomiast ich imiona i pochodzenie, i to mu bardzo ułatwiło zadanie.

— Destin! — odpowiedział, obejmując małego mężczyznę. Nie, do licha — pomyślał wściekły — przecież to była kobieta.

Popatrzył na nich poważnie.

— Za co niby należą się dzięki? — spytał kwaśno. — Jeszcze pięć dni?

W ten sposób odwrócił ich uwagę od wszelkich dalszych porównań.

— Gdzie reszta gości? — spytał Ben.

— Są tu gdzieś — odpowiedział jeden ze strażników. — Staraliśmy się ich trzymać z daleka. I tak ma to niewielkie znaczenie. Jedziemy na tym samym wozie. — Strażnik wskazał na Świat Studnię. — Popatrzcie na tę małą kropkę na tle planety. Widzicie? Tam, trochę poniżej przegrody, trochę na prawo.

Ben wyteżył wzrok i wreszcie to dostrzegł — mała czarna plamka niczym łeppek od szpilki, coś jakby dziurka w tym większym świetle. Obiekt się przesuwał.

— To strażnica — wyjaśnił strażnik. — Rozwali każdy statek, który spróbuje się oderwać z tego świata. Tylko Trelig zna hasło wyłączające system, a jego akurat nie ma. Pewnie więc będziecie musieli być świadkami naszej śmierci, ale za cztery, może pięć tygodni i wam skończy się jedzenie i czeka was to samo. Możecie też próbować uciekać tym jednym statkiem i dać się rozproszkować w przestrzeń. Może zresztą wszyscy powinniśmy tak zrobić. Może tak byłoby najlepiej, zważywszy, co nam pozostało.

Ponura to była przemowa, i nie to chcieli usłyszeć nowo przybyli.

— Znam się trochę na tych statkach — powiedział Ben. — Może zejść na dół i zobaczę, co się da zrobić. W każdym razie nie zaszkodzi sprawdzić, prawda?

Strażnik wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Chcesz, żeby ktoś z tobą poszedł?

— Renard? Może ty? — podsunął Ben.

Trelig ani na chwilę nie tracił przytomności umysłu. Byłoby to zbyt niebezpieczne.

— Idź najpierw ty. Weź ze sobą dziewczynę. Akurat dla nas to niewielka różnica. Zejść później popatrzeć, jak ci idzie.

Julin był rozczarowany; wszystko na razie wydawało się takie łatwe. Niewiele jednak mógł poradzić.

— Chodź, Nikki — powiedział, ruszając. Tłusta dziewczyna poszła za nim potulnie, oglądając się ciągle na pałający, dziwnie nadrealistyczny obraz planety, częściowo skrytej za horyzontem.

Julin też nie mógł o niej przestać myśleć. Wiedział, że gdyby wielki spodek był dokładnie po drugiej stronie Nowych Pompei, nie mieliby szansy jej ujrzeć, ale ponieważ był przesunięty pod pewnym kątem — mogli obserwować dwie trzecie planety.

Okolica była raczej bezludna, do portu kosmicznego dotarli w jakieś piętnaście minut. Julin po raz pierwszy naprawdę się odprężył. To było niemalże zbyt łatwe. Wszedł do budynku portu i zatrzymał się.

W środku tkwił wielki chłop z twarzą wikinga. Siedział na czymś w rodzaju lady i wyglądał na kompletnie pijanego.

Julin pomyślał, że jest to atrakcyjny mężczyzna, i sam fakt, że taka myśl nie wyzwoliła w nim niepokoju czy niemiłych uczuć, świadczył o tym, jak głęboko sięgała ingerencja Obiegu. Spróbował sobie przypomnieć imię faceta.

— Aha! Więc i ty dałaś się złapać! — ryknął tamten, pociągając solidnie z butelki. — Myślałem, że zwiąsaś!

Julin stał tak, zastanawiając się, co robić. Facet przewyższał go znacznie wzrostem, poza tym fizycznie Julin był przecież Mavrą Chang. Nigdy nie był zbyt waleczny, a te przymioty bardzo by się akurat teraz przydały.

Rumney był goły jak święty turecki. Podskoczył do niego. — Wszystko stracone! — oświadczył. — Wy nie możecie się stąd wydostać, jak też nikt nie może! — wrzeszczał w upojeniu. — Co więc nam zostało innego, jak się upić i zabawić jeszcze raz? Dlaczego nie, kotku? No, chodźcie! Wezmę was jednym sztychem! — Wystarczyło popatrzeć na okolice jego łędźwi, by pozbyć się wszelkich wątpliwości co do jego intencji.

— Chcecie łyka? — Wyciągnął ku nim butelkę.

Julin poczuł, jak poprzednie wrażenie pryska raptownie, a jego miejsce zajmuje lęk. Ruszył do drzwi, ale pijany gladiator uprzedził go. Bawił się teraz z nim jak kot z myszką, zaśmiewając się jak szalony.

Julin ruszył się, i Rumney się ruszył, cały czas rechocząc. Malutka kobieta rozpaczliwie rozglądała się za jakąś drogą ucieczki, ale pomieszczenie dworca było zbyt małe. Zinder gapił się na ten żywy obraz, zakłopotany i zdumiony. Była to jedna z fantazji seksualnych Nikki Zinder, a on nie mógł się oprzeć wrażeniu, że śni. Gdzieś tam, w głębi jego mózgu, siedział zrezygnowany Gil Zinder, nie próbując nawet walczyć z tym uczuciem.

— Posłuchaj — próbował przekonywać Ben Julin — nie wiem, jak się nazywasz. Nie wszystko jest stracone! Myślę, że mogą nas stąd wydostać, jeżeli tylko mi pozwolisz!

Rumney zastanawiał się przez pół sekundy, a potem wyszczerzył zęby.

— To miło — przyznał. — Ale na potem.

Julin przeklinał w duchu, że musiał się pozbyć nie pasującego pistoletu, modląc się, by Trelig czy któryś ze strażników wybawił go z opresji.

— Chcę tylko mały ogonek — narzekał Rumney. — Ja mam ogon, ty masz. . . — urwał nagle, próbując skupić wzrok.

— Nie masz ogona! — wykrzyknął oskarżycielskim tonem.

Dopiero teraz Julin wpadł w prawdziwy popłoch. Prawda! Przeklęty Obie! Przecież zażyczył sobie ostatniego zapisu Mavry Chang, a nie zmian!

Julin powoli wycofywał się w stronę przejścia do jedyne go statku, który pozostał w porcie.

— Spokojnie, osiłku — wyszeptał ostrożnie, starając się ułagodzić tamtego. — Coś zauważyłeś, w porządku. Pamiętaj jednak, że mogę cię stąd zabrać. Daj mi spróbować.

Teraz już zdecydowanie ruszył w stronę rampy, ale Rumney skoczył za nim, przewrócił go na posadzkę, przytrzymując kolanem. Butelka śmignęła, roztrzaskując się o ścianę o parę centymetrów od głowy Zindera.

Teraz zaczął zdzierać z przygniecionego Julina jego półprzeźroczyste odzienie. — Przekonamy się zaraz, czy jesteś kobietą — warknął.

Julin nigdy w życiu nie był tak przerażony jak teraz. Wijąc się pod obmacującym go Rumneyem zdołał częściowo wyzwolić prawe ramię, pograżając swe ostre paznokcie w skórze prześladowcy. Poczł skurcz małych mięśni u nasady paznokci. Rumney syknął z bólu, a potem padł bezwładnie, przygniatając Julina swoim cielskim niczym workiem ołowiu i wyciskając z niego resztkę tchu.

— Nikki! — wykrztusił wreszcie. — Pomóż mi go zrzucić!

Zinder nie kwapił się jednak z odsieczą.

Przeklinając głośno, wił się i skręcał, próbując się uwolnić od tej góry mięsa. — Mógłbyś się przesunąć, do cholery! — zaklął, a tamten — ku zdumieniu Julina — posłusznie przetoczył się na bok.

Podrapany i potłuczony, Julin powoli zdołał się podnieść. Podejrzewał, że ma złamane żebro, a może i inne wewnętrzne obrażenia. Bolał go grzbiet i bok i . . . właściwie bolało go wszystko. Pokaszując i plując krwią, Julin przez kilka minut próbował złapać oddech i odzyskać równowagę.

Wtedy właśnie pomyślał, że wolałby być mężczyzną i mieć 180 centymetrów wzrostu.

Wolałby. . . na razie jednak tkwił w ciele Mavry Chang i musiał z tym jakoś żyć.

— Ty tam na podłodze! Jak się nazywasz? — strzelił na oślep, próbując teorii.

— Rumney. Buli Rumney — wymamrotał.

Ben Julin był pełen podziwu dla możliwości Mavry Chang. Te małe wtryskiwacze zostały najpewniej wszczepione przez bardzo zmyślnego chirurga. Cóż to była za niebezpieczna pani — pomyślał, nie bez pewnego podziwu. Właściwie miał nadzieję, że wyszła cało z ostatnich wydarzeń.

— A więc dobrze, Buli Rumney, posłuchaj mnie uważnie — powiedział Julin ostro. — Masz tu leżeć nieruchomo jak skamieniały, póki ci się nie każe ruszyć. Zrozumiano?

Olbrzym powoli kiwnął głową, a potem znieruchomiał.

— W pozycję płodową, Rumney — powiedział, bawiąc się przez chwilę swoją świeżo nabytą potęgą. Rumney posłuchał i ponownie znieruchomiał.

— Chodź, Zinder, przyjrzyjmy się temu statkowi — rzucił, sam się dziwiąc, jak bardzo stylowo to powiedział. Weszli na pokład.

Nie był to dyspozycyjny pojazd Treliga, tamtym uciekła Mavra Chang. Ten, typowy prom kosmiczny, był jednak też zupełnie nieźle wyposażony. Racje żywnościowe wystarczały chyba na trzy tygodnie, jeśli nie więcej. Znowu musiał zakłać. Wystarczały dla „gąbkarzy”, ale nie dla reszty. Oczywiście, Trelig powiedział, że sam się nimi zajmie, był jednak pewien, że nie zdawali sobie sprawy z tego, jak mało mieli jedzenia. Kiedy się wszystko uspokoi, będzie można oczywiście stworzyć żywność przy pomocy Obiego. Zrobić jedzenie i zastąpić brakujących strażników ludźmi z Nowych Pompei. Niewolnictwo bez gąbki — to by się spodobało Treligowi.

Sprawdził przyrządy. Nie zaliczał się do szczególnie dobrych pilotów, ale stosunkowo proste wyposażenie statku nie wymagało ręki wirtuoza gwiazdnych sterów. Mógł go poprowadzić bez trudu, chyba żeby powstały jakieś zupełnie szczególne warunki. Zadokowany statek utrzymywał w gotowości wszystkie systemy. Ciśnienie i skład powietrza nie budziły zastrzeżeń. Zadowolony, sprawdzał kolejne układy. Rozglądał się za uzbrojeniem, ale niczego takiego nie znalazł. Zresztą nic dziwnego — Trelig nie pozwalał sobie nawet na najmniejsze ryzyko.

Z westchnieniem zamknął właz i usiadł, szykując się na długie czekanie. Nie miał możliwości powrotu do budynków Nowych Pompei.

\* \* \*

Czekał na Treliga już kilka godzin, i znów zaczął się niepokoić. Było kilka fałszywych alarmów — strażnicy się zatrzymywali, by sprawdzić, co się dzieje, pojawiło się nawet kilka „grubych ryb”. Ustawił butelkę w zasięgu ręki Rumneya, więc nikomu jego obecność i pozycja nie wydawały się czymś dziwnym. Nikt nie mógł mieć do niego pretensji.

Wreszcie, słysząc z zewnątrz jakiś hałas, Julin otworzył właz i ujrzał trójkę zbliżających się strażników. Jednym z nich był na pewno Trelig. Te ofiary manipulacji płcią wszystkie wyglądały podobnie. Wszyscy mieli ponure miny, jeden z nich, nie Trelig, wszedł pierwszy na pokład. Ben pochwycił spojrzenie Treliga i leciutki skłon głowy. Powróciło zdenerwowanie.



— Zdecydowaliśmy, że każdy, kto chce, może spróbować się wyrwać — powiedział pierwszy strażnik do kobiety w fotelu pilota. — Jeżeli was ustrzelą, wtedy sprawa będzie krótka. Jeśli nie — tym lepiej dla was.

— A co z tobą? — spytał Julin.

Twarz strażnika stężała.

— Umrę, i to szybko, ale nie powoli. Dopiero co skończyliśmy naradę w tej sprawie. Właśnie wybiliśmy tych biedaków, których stan był znacznie gorszy od naszego. Nikt z nas nie zamierza dotrzeć do takiego stanu. Pomożemy ludziom, którzy zdecydowali się na ucieczkę, a potem — no cóż, to będzie tyle.

Julin kątem oka dostrzegł, jak Trelig wyciąga pistolet, mierząc w pozostałych dwóch strażników. Zmówił krótką modlitwę do bogów, w których nigdy nie wierzył, po czym kiwnął do tamtych.

— Rozumiem. Zrobimy, co się da. Myślę, że przyjdzie się pożegnać.

Strażnik chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zabłysła broń Treli-ga uderzająca z pełną siłą w małej odległości. Julin i Zinder padli odruchowo, ale Trelig był wybornym strzelcem. Obaj strażnicy zapłonęli jasnopomarańczowym żarem, a potem znikli. Został po nich osmalony ślad na wykładzinie podłogi i smród, unoszący się w powietrzu kabiny.

— Zamykajcie włącz! Wynośmy się stąd jak najprędzej! — krzyknął Trelig, a Julinowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Poczuli drżenie i usłyszeli wycie, a potem trzask rozłączanej armatury portowej. Poderwał maszynę, zanim tamci zdążyli wsiąść i zapiąć pasy.

— Wolnego, idioto! — warknął Trelig. — Chcesz nas pozabijać? Przecież już teraz nas nie dostaną!

Julin, oszołomiony, przez chwilę patrzył na niego i na przyrządy szklanym wzrokiem. Wreszcie wstrząsnął się i ocknął z transu.

Automatyczni wartownicy zgłosili swoje ostrzeżenia. Trelig uspokoił ich, podając odpowiednie hasła.

— Dokąd teraz? — spytał Ben Julin Antora Treli-ga.

— Dlaczego nie mielibyśmy sobie obejrzeć tej niewiarygodnej planety? — odparł Antor. — Właściwie to nawet sam jestem ciekawy...

Julin obrócił statek i zaczął powoli skręcać w stronę dziwnego ciała niebieskiego.

Trelig odwrócił się do Nikki.

— Gil Zinder! — zawołał. — Chodź no tu do nas!

W zachowaniu grubej dziewczyny zaszła lekka, subtelna zmiana. Rozpięła pasy i podeszła do ekranu.

Gil Zinder był mimo woli zafascynowany.

— Niewiarygodne! — powiedział głosem swojej córki.

— Ale dlaczego obie połówki tak bardzo się różnią? — zastanawiał się głośno Trelig. — Popatrzcie — tu na południu jakby ścianki brylantu, ale widać tu ma-

sę zieleni, oceany... Świat jakby podobny do naszego? Potem mamy ten wielki ciemnobursztynowy pas wokół równika, a ponad nim, aż po biegun, zupełnie inny świat.

— Popatrzcie też na bieguny, są naprawdę ciekawe — zauważył Gil Zinder. — Są ciemne, grube, ogromne. Mogłyby to nawet być wielkie budowle, rozpościerające się na setki, może nawet na tysiące kilometrów.

— Może bym przeleciał na małej wysokości wokół jednego z nich — poddał myśl Julin. — Popatrzcie na to, co jest w środku.

Przyjrzeni się i zrozumieli, o co mu chodzi. W środku czerniał olbrzymi, ziejący sześciokątny kształt wypełniony absolutną czernią.

— Co to jest? — zastanawiał się Trelig.

Gil Zinder myślał przez chwilę.

— Nie wiem. Być może jakiś odpowiednik naszego wielkiego spodka, tylko znacznie bardziej skomplikowany.

— Ale skąd te sześciokąty? — drążył Trelig. — Do licha, same sześciokąty, nawet te małe ścianki po obu stronach bariery.

— Markowianie kochali się w tej figurze — wyjaśnił Julin. — W ruinach, które po nich zostały, jest tego pełno; całe miasta budowali w kształcie sześciokąta. Zwiedzałem jedno z nich, kiedy byłem mały.

— Przyjrzyjmy się północnej półkuli — zaproponował Trelig. — Jest tak bardzo odmienna. Musi być jakiś powód.

Julin zwiększył moc, a obraz na ekranie zawirował.

— Trochę ryzykowne — powiedział pilot. — Te statki nie zostały skonstruowane z myślą o tak powolnym locie z wyjątkiem fazy lądowania i cumowania.

Przelecieli nad równikiem, barierą — w przeciwieństwie do równika ziemskiego — najzupełniej realną, dziwną, ogromną, półprzezroczystą.

— Gdybyśmy mieli trochę przyrządów — powiedział Zinder, znowu czymś zafrapowany. — Chętnie bym się dowiedział, co wytwarza takie dziwne wzory. Wygląda na metan, amoniak i inne takie substancje.

Po drugiej stronie równika pogrążyli się w mroku.

— Ale jednak ktoś tu mieszka — zauważył Trelig, pokazując coś ręką. Niektóre rejony kilku sześciokątów były oświetlone, widać tam było kilka dużych miast.

— Szkoda, że nie możemy się jeszcze trochę przybliżyć — powiedział Zinder szczerze. — Atmosfera powoduje jednak spore zniekształcenia obrazu.

— Może uda się troszeczkę opuścić — odpowiedział Julin. — Spróbuję przeliznąć się przez najwyższą warstwę stratosfery. Będziemy jeszcze praktycznie w próżni, ale może dostatecznie nisko, by zaobserwować jakieś szczegóły.

Nie słysząc sprzeciwu, ostrożnie obniżył tor statku. Znowu przekroczyli równik, lecąc teraz w osłepiającym potoku światła słonecznego.

Nagle silnik jakby szarpnął, światła zamrugały.

— Co się dzieje? — warknął Trelig.

Julin był naprawdę zaskoczony.

— Nie... nie wiem. — Wstrząsy się powtarzały, więc przeszedł na ręczne sterowanie i próbował im przeciwdziałać. Nagłe, wielokrotne, szybko po sobie następujące spadki mocy do zera!

— W górę! — rozkazał Trelig, ale w tym momencie światła całkiem zgasły, i kabina pogrążyła się w mroku.

— Spadamy jak kamień! — wrzasnął Julin. — Dobry Boże!

Trelig sięgnął do pulpitu i przerzucił dwa przełączniki. Nic. Trzeci. Ciągłe nic. W ciemności niewiele widział i działał na wycucie.

Po chwili jednak światła zapłonęły znowu. Z tyłu i z przodu statku dochodziło teraz ogłuszające wycie.

Przed nimi odchyliła się płyta, ukazując przerażający pejzaż zaledwie dziesięć kilometrów pod nimi. Trelig wychylił się i chwycił podobne do koła urządzenie wmontowane w pulpit drugiego pilota.

Światła znowu zgasły, a statek zaczął się upiornie trząść, jakby rozrywany tajemniczą siłą. Trelig chwycił koło i próbował odzyskać panowanie nad statkiem.

Julin zrozumiał, że patrzą na prawdziwą powierzchnię planety przez rodzaj dziobowego okna.

— To świństwo pomyślano do lotów w atmosferze i poza nią — rzucił Trelig przez zaciśnięte zęby, próbując opanować statek słabymi mięśniami Renarda. — Wreszcie rozłożyły się skrzydła. Nawet jeśli znowu stracimy moc, myślę, że będę go mógł posadzić lotem ślizgowym.

Julin obserwował powierzchnię, zbliżającą się w przerażającym tempie. Trelig usiłował utrzymać dziób statku w górze, nie mógł jednak przesadzić, by nie pozbawić się w ogóle możliwości obserwacji terenu przyszłego lądowania.

Znowu wysiadł napęd, a Trelig bez sukcesu próbował zwolnić tempo opadania.

— Znajdź mi jakiś kawałek płaskiego terenu, na którym będę mógł kołować dwadzieścia kilometrów! — wrzasnął.

— To ma koła? — wykrztusił Julin, wyglądając.

— Nie bądź śmieszny! — warknął szef. — Zapnijcie się obaj! Nie sądzę, żebyśmy odzyskali ciąg na czas potrzebny do poderwania maszyny. Czekaj nas nielichy łomot!

— Tam! Widzisz ten płaski teren przed nami? — wrzasnął Julin.

Trelig już sterował w tę stronę, a statek się miotał niczym w konwulsjach. Walnęli. Później uznali, że uratowała ich bardzo gęsta atmosfera, która wyhamowała statek. Akurat tyle, ile było trzeba, żeby się nie zabić.

Kropnęli z wielkim hukiem, a Julin zawył z bólu, kiedy odezwało się złamane zebro i inne obrażenia, odniesione ze spotkania z Rumneyem.

Szorowali po nagiej skale i wydawało się, że ten upiorny ślizg nigdy się nie skończy. Wreszcie uderzyli w jakieś wybrzuszenie, bliscy dachowania, ale w końcu, zarzucając w tę i w tę, zatrzymali się.

Trelig jęknął, rozpiął pasy i rozejrzał się. Julin nie dawał znaku życia. Trelig po raz pierwszy zauważył podartą odzież, zadrapania i szramy. Zastanawiał się, gdzie się ich ta cała Mavra Chang dorobiła.

Zinderowi poszło niewiele lepiej. Łomotanie w szczelnie zapiętych pasach pozostawiło sporo siniaków i obtarć, w niektórych miejscach było widać skutki braku krążenia, poza tym jednak wydawał się w dobrym stanie, choć trochę oszołomiony.

Również Trelig, próbując się podnieść, poczuł zawroty głowy. Dwukrotnie upadł, waląc głową o ziemię. Trudy lądowania przypominały mu się dotkliwym bólem w ramionach. Najważniejsze jednak, że się udało. Sprowadził ich na ziemię. Ziemię?

Powiódł wzrokiem po ponurym pejzażu. Morze nagiej, ciemnej skały i mroczna, gęsta atmosfera, która na pewno nie nadawała się do oddychania.

Przeżyli... na jak długo?

## Strefa Południowa

— Jeszcze jeden? — Ortega nie potrafił ukryć zdumienia.

— Prowadząc rutynową obserwację satelity, zaobserwowaliśmy gwałtowne wypromieniowanie dużych ilości energii — wyjaśnił przez międzystrefowy system łączności ambasad sztuczny głos Gola Mitera. — Mieliśmy z początku niejakie trudności z jego zlokalizowaniem, ale ponieważ się nie śpieszyli, mogliśmy nareszcie zdjąć namiary. Starannie dobrana orbita, świetna technika obserwacji. Czego bym nie dał, żeby przyjrzeć się tej planecie z kosmosu!

Również Ortega miał takie samo uczucie.

— Ale wreszcie jednak wylądowali? Nie dostałem żadnych meldunków.

— W końcu trochę obniżyli tor, zostali objęci oddziaływaniem Studni, a potem wszystkie ich systemy przestały działać w nietechnologicznym sześciokącie. Zupełnie tak samo jak z pierwszym statkiem. Nie miałeś doniesień dlatego, że najpierw polecili nad półkulę północną. Z tego, co na razie wiadomo, wynika, że spadli w 1146 albo w 1318, Uchjin lub Ashinshyh. Macie coś o tych sześciokątach?

Używając wszystkich ramion, Ortega zaczął przerzucać mapy, wykresy i diagramy, nie przestając przy tym przeklinać, by w ten sposób rozładować złość i rozdrażnienie. Jeśli sprawy miały się komplikować w takim tempie, wołał być sprawcą zamieszania niż bezradnym obserwatorem.

Mapy północnych światów były tylko przybliżone. Zaznaczono na nich na przykład oceany, nie wiadomo było jednak, czy są one złożone z metanu, czy jakiejś innej śmiertcionośnej mieszanki chemikaliów. Tamtejsza rzeczywistość nie przypominała niczego, co znał, i była mu znacznie bardziej obca niż na przykład Gol Miter, olbrzymi pająk. Niektóre z ras zamieszkujących Północ były tak niezwykłe, że nie dawały podstaw do jakichkolwiek porównań z tym, co on i inni mieszkańcy Południa uważali za normalne przejawy życia.

Studiując mapę, upewnił się co do jednego. Zarówno Uchjin, jak i Ashinshyh były sześciokątami nietechnologicznymi lub „półtechnologicznymi”, a więc na pewno nie mógł w nich działać tak nowoczesny system napędowy, w który był wyposażony statek.

— Gol — westchnął — posłuchaj, nawet jeżeli przeżyli upadek, w co zresztą wątpię, na dalsze przeżycie mają szansę odpowiadające ilości powietrza zamkniętego w kabinie. Nie mam pojęcia, jaki jest skład chemiczny atmosfery Uchjin, ale jednego jestem pewien — nie ma w niej tlenu. W Ashinshyh jest trochę lepiej — ale tam z kolei jest tak dużo wodoru, że bez trudu będą się mogli wysadzić wraz z połową sześciokąta.

Miter był tego samego zdania.

— Nie mamy żadnych doniesień o katastrofie ani o uaktywnieniu Studni, powinniśmy więc przypuszczać, że spadli w Uchjin. Co z naszymi kontaktami na Północy? Mamy coś, co by można wykorzystać?

— Wątpię — powiedział Ortega ponuro. — Nikogo tam nie znam. Nie mam nawet pojęcia, jak ten Uchjin wygląda. Mogą mieć jednak ambasadora, albo może utrzymuje go któryś z sąsiadujących sześciokątów. W każdym razie warto spróbować. Sama idea wciągania w to mieszkańców Północy nie bardzo mi się jednak podoba. Nie mam zaufania do rzeczy, których nie rozumiem, a niektórzy faceci stamtąd są raczej wredni, a ich obyczaje — co najmniej dziwne.

— Nie mamy wyboru — odpowiedział Miter, który zawsze był realistą. — Wyślę kogoś do Strefy Północnej i zobaczę, co się da zrobić. Co się stało, to się stało, i trudno byłoby teraz trzymać tamtych z Północy z daleka od tego. Zresztą — ludzie z naszego obserwatorium muszą być lojalni przede wszystkim wobec Północy. Wyśledzili ich, więc i tak już wszyscy o tym wiedzą. — Przerwał na chwilę. — Uszy do góry, Serge. Nawet gdyby statek zachował się nie uszkodzony, niewielu tych z Północy zdołałoby nim polecieć. Jeżeli nie my, to nikt.

— Nie my — poprawił go Ortega. — Ktoś.

Przez pół dnia kręcili się u niego technicy, montując specjalistyczny sprzęt. Jeszcze raz włączył bezpośrednią linię do Vardii, ambasadora Czill.

— Tu Czill — usłyszał.

— Mówi Ortega. Mamy jeszcze jeden statek, który dla odmiany spadł na Północy. Próbujemy tam dotrzeć. Jakież wieści z Teliagina?

— Hmm. . . na Północy, powiadasz — skomentowała w zamyśleniu roślinina. — Nie, w Teliaginie cisza. Chociaż trzeba przyznać, że Lata szybko się zorganizowali. Cierpliwości, Serge. Minęły zaledwie dwa dni.

— Cierpliwość jest cnotą, którą lepiej pozostawić martwym. Stać ich na nią — warknął Ortega i wyłączył linię.

# Teliagin

Dwadzieścia kilometrów to wcale nie tak daleko, nawet na piechotę, jeżeli się wie, dokąd się zmierza. Drugiego dnia jednak wschodzące słońce całkiem zasłoniły ciężkie chmury. Przez całą noc w oddali było słychać odgłosy bębnow, które przenosiły po całym sześciokacie wieści, zapisane tajemniczym, nieodgadnionym szyfrem.

Mavra Chang podejrzewała, że mówią one o dziwnych istotach, dość małych, które rozbiły się w swego rodzaju latającej maszynie, a potem gdzieś zawieruszyły.

Dobrze chociaż, że nie padało. Cały dzień było zupełnie ciemno; co gorsza, słońce schowane za chmurami nie pozwalało określić kierunków. W normalnych warunkach, mimo grożącego niebezpieczeństwa, Mavra Chang pewnie poczekałaby, aż się przejaśni, teraz pamiętała jednak, że dwójkę jej towarzyszy toczy śmiertelna choroba i że jeżeli nie przejdzie szybko gór i wybrzeża, może się pożegnać z wszelką nadzieją.

Co chwila odczuwała, że ogarnia ją zwątpienie, któremu starała się nie dawać przystępu; na logikę bowiem biorąc, nie było powodu, by nowe kraje były bardziej im przyjazne niż ten, do którego trafili. Tubylcy — najpewniej jakaś odmiana cyklopów — nie będą pewnie przystępniejsi, wyżej rozwinięci, bardziej pomocni niż miejscowe, chrząkające i porykujące potwory.

Co gorsza — naprawdę nie wiedziała, w jakim kierunku zmierza, chociaż była pewna, że nikt ich na razie nie ściga. Ruszyła w tę samą stronę, ale w leśnych ostępach, poprzecinanym szerokimi piaszczystymi drogami i rozległymi polanami, których starała się unikać, łatwo było zejść z wytyczonej trasy.

Jedyną pociechą były bodaj że jabłka. W każdym razie były to owoce bardzo do jabłek podobne, chociaż rosły na krzakach i miały śmieszoną, purpurową skórkę. Bliska rozpaczy, spróbowała miejscowej żywności — niższa zwierzyna wyglądała na stałocieplną i trochę przypominała swojskie gatunki. Jeżeli dotąd nie złapał ich jakiś nieznany bakcyl, to pewnie już nie złapie. W każdym razie miała taką nadzieję.

Wielkie gryzonie pożerały te owoce z dużym zapamiętaniem, postanowiła więc pójść w ich ślady. Nikki, której apetyt został trochę przytłumiony, ciągle

jeszcze miała największe potrzeby i hipnotyczne sztuczki Mavry były coraz mniej skuteczne. Mavra pozwoliła dziewczynie spróbować owocu, wiedząc, że ostateczny werdykt można będzie wydać dopiero po paru godzinach. Kiedy jednak Nikki oświadczyła, że owo „jabłko” jest smaczne, słodkie i łatwe do pogryzienia, Mavra, sama potężnie głodna, nie potrafiła się już dłużej opierać pokusie.

Były dobre, wystarczały, żeby się najeść i występowały w obfitości, która zdawała się świadczyć o tym, że jest to ważne ogniwo w łańcuchu pokarmowym tutejszych zwierząt wyższych. Ich znaczenie było zresztą dwojakie. Świadczyły także o tym, że niezależnie od tego, co się jeszcze stanie, Mavra Chang mogła tu przeżyć.

Drugi dzień był o wiele lepszy niż pierwszy. Mimo to nie mogła się jednak pozbyć uczucia niepewności. Teraz również reszta ich małej ekipy mogła oglądać wielkie cyklopy, z ich paskudnymi kłami, które sterczały z wykrzywionych wściekłym grymasem gęb. Cyklopy ciągnęły drewniane ręczne wózki i doglądały stad zwierząt, bardzo przypominających zwykłe owce.

Na razie nie dostrzegą w Nikki i Renardzie specjalnych zmian, wiedziała jednak, że było to złudne wrażenie. W normalnej rozmowie nie wyczuwało się różnicy 50 punktów współczynnika inteligencji. Nie ulegało wątpliwości, że stan Nikki będzie się pogarszał szybciej; wykraczała nieco ponad przeciętną, ale przecież nie była geniuszem.

Kiedy drugiego dnia zapadał wieczór, gór ciągle jeszcze nie widzieli, a krajobraz niewiele się zmienił. Otaczał ich chłód, powodowany wilgocią na ziemi i w powietrzu. Ani Renard, ani Nikki nie byli przygotowani na taką pogodę. Cienkie szaty z Nowych Pompei na niewiele się przydawały. Odzież Mavry, choć solidna, też nie bardzo mogła im pomóc, choćby dlatego, że się nadawała tylko na nią — najmniejszą.

Ciemność nocy doskonale pasowała do ich nastroju.

Próbowała zmniejszyć utratę ciepła, ściskając ich razem, ale była zbyt mała, a ich skóra zbyt zimna i wilgotna, by mogła im przekazać swoje ciepło. Odwrotnie, w rezultacie to jej się udzielił ich żaloszny nastrój. Nikki, ciężka i nienawykła do ćwiczeń fizycznych, pierwsza zasnęła, zostawiając Mavrę, tak jak poprzednio, sam na sam z Renardem. Siedzieli tak chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć. Otoczył ją ramieniem i przycisnął do siebie, ale w geście tym nie było ani krzty romantyzmu. Była to czysto instynktowna reakcja obronna.

Wreszcie się odezwał:

— Mavra, czy naprawdę uważasz, że to ma jakiś sens? Dobrze wiesz, tak samo jak ja, że nie potrafimy nawet określić naszego położenia, nie wiemy, co nas czeka za najbliższym pagórkem, nie potrafimy nawet określić, czy tego pagórka już przedtem nie pokonywaliśmy.

Pytanie rozżłościło ją właśnie dlatego, że odzwierciedlało wątpliwości, jakie i ją dręczyły.



— Zawsze jest jakiś sens, dopóki się ruszasz — odpowiedziała, tu akurat z przekonaniem.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał. — Czy nie mówisz tego tylko po to, żeby mi dodać animuszu?

Przesunęła się lekko, odwracając się od niego i patrząc w ciemność.

— Wychowywała mnie kobieta, która była prostym kapitanem frachtowca. Na pewno nie była idealną matką, ale myślę, że na swój sposób mnie kochała. I ja ją kochałam. Całe dzieciństwo spędziłam w Kosmosie, w wielkim statku towarowym, który służył mi za piaskownicę i podwórko. Co kilka tygodni zawijaliśmy do któregoś z wielkich portów i to starczało za całą rozrywkę.

— Musiałaś być bardzo samotna — zauważył.

— Nie, wcale nie. — Potrząsnęła głową. — Poza tym to był cały mój świat, innego życia nie znałam. Właśnie to uważałam za najnormalniejsze w świecie. To życie nauczyło mnie, jak obywać się bez towarzystwa, polegać tylko na sobie, uodpornić na samotność. Bardzo mi się to przydało, bo moja matka zajmowała się nielegalnymi interesami, tak samo zresztą jak większość kapitanów frachtowców. W jej przypadku musiało to być jednak coś naprawdę poważnego, bo policja Kom zrobiła prawdziwy nalot i zarekwirowała statek. Miałam wtedy trzynaście lat i byłam akurat w porcie po zakupy. Zobaczyłam, co się stało, ale nic na to nie mogłam poradzić. Wiedziałam, że jeżeli wyjdę z ukrycia, policja natychmiast mnie złapie, może zrobi mi pranie mózgu, a potem odeśle do Komlandów. Zostałam więc na Kaliva.

— Czy kiedykolwiek potem obwiniałaś się o to, że nie próbowałaś jej odbić? — spytał Renard wiedząc, że jest to sprawa drażliwa, ale wyczuwał przecież, że Mavra ma ochotę do zwierzeń.

— Nie, nie sędzę — odpowiedziała szczerze. — Och, chodziły mi po głowie różne pomysły — trzynastoletniej dziewczynce, mierzącej niewiele ponad metr wzrostu, ważącej około dwudziestu pięciu kilogramów. Chciałam z nimi walczyć, uwolnić matkę i umknąć wraz z nią statkiem w nieznane głębie kosmosu. Nigdy jednak nie miałam najmniejszych szans, by te pomysły zrealizować. Wszystko rozegrało się w ciągu godziny czy dwóch. Nie, mogłam liczyć tylko na siebie. Byłam sama.

— Pewnie, sądząc po twoim tonie, nie przepadasz za cywilizacją Kom, prawda? — zauważył. — Jakieś specjalne powody?

— Wymordowali całą moją rodzinę — wycodziła przez zęby, z miną jakby chciała splunąć. — Miałam wtedy niewiele więcej niż pięć lat, ale doskonale ich pamiętam. Na Harvich dokonano przewrotu w imię idei Kom, za pomocą gąbkowego syndykatu i manipulacji wyborczych. Moi ziomkowie — moi prawdziwi pobratymcy — stawiali zacięty opór. Dowiedziałam się wszystkiego później, od Maki, mojej przybranej matki, kiedy byłam już starsza. Z początku nie chcieli się zgodzić na emigrację, a potem się okazało, że nie mogą już wyjechać. Nie wiem

jak, ale udało im się wynająć pilota, zaopatrującego swym statkiem proces Kom, żeby mnie stamtąd wywiózł. Zabawne, ale po tylu latach ciągle go pamiętam. Dziwny, mały człowieczek w kolorowych szatach, z głosem Stentora, w którym brzmiało kilka tonów na raz. Później przekonałam się, że był wśród nich również i czysty cynizm, ale jednocześnie była w nim starannie ukrywana delikatność i godność. Śmieszne — nawet nie jestem pewna jego imienia, zresztą byliśmy razem zaledwie przez kilka dni, a ja miałam przecież pięć lat, ale jest dla mnie kimś tak samo realnym jak moja przybrana matka. Dzisiaj nie chce mi się wierzyć, że taki rozpuszczony brzdąc, jak ja, mógł z kimś takim pojechać. Po prostu... było w nim coś, co kazało go lubić, co wzbudzało zaufanie. Często się zastanawiam, czy w ogóle był człowiekiem. Nigdy przedtem i potem nikogo takiego nie spotkałam.

Nie trzeba było być psychologiem, by odczuć, jak silne wrażenie musiał robić ten człowiek. Szukała go albo może kogoś, kto by jej go przypominał, przez całe życie.

— Próboweś go odnaleźć? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Przez następne kilka lat byłam zbyt zajęta utrzymywaniem się przy życiu. Kiedy już stanęłam jako tako na nogach, tamten człowiek pewnie już nie żył. Muszę przyznać, że wielu ludzi zdawało się go rozpoznawać z moich opisów, ale nie udało mi się zdobyć niczego konkretnego. Niektórzy przekonywali mnie, że jest to postać legendarna, mityczny kosmiczny wędrowiec, który tak naprawdę nigdy nie istniał, choć stanowił część mitologii, jaką wytwarza każda profesja. Spotkałam też kiedyś kapitana, rzeczywiście starego weterana, który mówił, że tamten człowiek, bardzo stary, naprawdę gdzieś istnieje. Miał być nieśmiertelny, miał żyć już w czasach prehistorycznych.

— Jak się nazywa ta legenda? — spytał Renard.

— Nathan Brazil. Czy to nie dziwne imię? Ktoś mi mówił, że Brazil to nazwa prehistorycznego miejsca, jednego z pierwszych mocarstw kosmicznych.

— Żyd Wieczny Tułacz — powiedział Renard, zamyślony.

— Co?

— Prastara legenda, którą można odnaleźć w niektórych starych religiach — wyjaśnił. — Myślę, że jest jeszcze kilka planet, na których się wyznaje chrześcijaństwo. Wszystkie te religie wywodzą się z jeszcze bardziej tajemniczej i starszej religii znanej jako judaizm, której pojedynczy wyznawcy jeszcze żyją, rozproszeni. Chyba najbardziej zwa... zwa... — Urwał na chwilę, z miną zdziwioną i rozdrażnioną. — Zwa...

— Zwarta? — podsunęła.

— Właśnie. Dlaczego mi uciekło to słowo? — Znowu urwał, a Mavrę ogarnęło niesamowite uczucie. Mała rzecz, ale wielce symptomatyczna.

— No dobrze, w każdym razie mówiło się o tym człowieku, Żydzie, który mienił się Synem Bożym. Ówcześni panujący zabili go, bo się obawiali, że może on stanąć na czele jakiegoś rewolucyjnego przewrotu. Miał potem zmartwychwstać. Był też ktoś, kto miał go przekląć w czasie męki, i usłyszał, że będzie czekał na powrót Boga-człowieka. Ten Nathan Brazil wygląda na legendę przeniesioną do współczesności.

Kiwnęła głową.

— Tak naprawdę nigdy nie wierzyłam w te opowieści o nieśmiertelnych pilotach statków kosmicznych, ale z drugiej strony jest bardzo wielu pilotów, którzy nie wierząc w nic, wierzą jednak w jego istnienie.

Renard się uśmiechnął.

— To może być wyjaśnienie twojego przypadku. Jeżeli legenda jest tak rozpowszechniona, ktoś, kto ją znał, mógł się pod niego podszyć, może nawet przekonać do tej mistyfikacji innych pilotów. Cieszy się względami, jakimi nie obdarza się zwykłego kapitana. Może nawet... och, do diabła! — Urwał nagle, nie mogąc znaleźć słowa.

Domyśliła się, co chciał powiedzieć.

— Nie wiem. Pewnie masz rację. Ale... było w nim coś naprawdę dziwnego, coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

— Miałaś pięć lat — zauważył. — W tym wieku miewa się różne śmieszne uczucia.

Mavra zapragnęła nagle przerwać rozmowę, czując, że zbyt mocno dotyka ona jej najbardziej osobistych spraw. Poza tym jednak nie mogła słuchać, jak Renard daremnie próbuje odnaleźć w pamięci różne górnolotne słowa, do których użycia najwyraźniej przywykł. Zaczął sobie z góry rozkładać całe zdania, używając innych, zastępczych wyrażení. Nie było widać, by się zaciął, ale mówił wyraźnie wolniej, ostrożnie, jakby z wahaniem.

Jutro pewnie i te słowa zapomni — pomyślała ponuro. Renard miał jednak ciągle ochotę na rozmowę i najlepsze, co mogła zrobić, to przejąć na siebie możliwie znaczną jej część.

Renard podchwycił inny temat, wdzięczny, że może porzucić problem tajemniczego Nathana Brazila.

— Mówiłaś, że zostałaś sama w wieku trzynastu lat — zaczął. — Pewnie było ci ciężko, prawda?

— Tak — kiwnęła głową — zostałam sama, w obcym świecie, z wyglądem ośmiolatki, z paroma groszami w kieszeni, bez znajomości miejscowego języka. Dobrze chociaż, że nie był to jeden z Komlandów. Jak mówiłam, nazywano to miejsce Kaliva. Dość egzotyczne i raczej prymitywne. Bazary pod gołym niebem, rozwrzeszczani przekupnie — hałas, brud, tłok. Wiedziałam, że w takim miejscu trzeba mieć pieniądze i ochronę. Nie miałam ani jednego, ani drugiego, musiałam się więc trochę rozejrzeć. Dookoła było pełno żebraków, niektórzy po prostu

biedni, inni upośledzeni umyślowo, albo kalecy, którym nie starczało na opiekę lekarską. Było ich tak wielu, że miejscowa policja nie prześladowała ich, a ludzie naprawdę dawali jałmużnę. Chodziłam tu i tam, patrząc, do kogo płynie pieniądz, a potem już wiedziałam, co mam robić. Za ostatnie pieniądze kupiłam ubranie od małej dziewczynki — naprawdę brudne, śmierdzące, poszarpane szmaty. Na dobrą sprawę niewiele więcej niż porwane prześcieradło, które można było związać jako sari. Trochę wody i błota, i już wyglądałam jak najokropniejsze dziecko ulicy. Zabrałam się ostro do roboty.

Renard pomyślał, że prawdopodobnie nie tylko wyglądała, ale może rzeczywiście była wówczas okropnym małym ulicznikiem, lecz postanowił, że nie powie tego głośno.

— Pierwsze tygodnie były naprawdę ciężkie. Oblazły mnie pchły i inne robactwo, sypiałam po sieniach, w zaułkach i tym podobnych. Pracowałam w dobrych miejscach. Wiesz, żebracy mają swoje rewiry i gonią intruzów, którzy próbują konkurencji na cudzym gruncie. Nauczyłam się, jak się zaprzyjaźnić z najlepszymi fachowcami z branży, jak zaskarbić sobie ich wdzięczność, odpalałam im dołę. Myśle, że udawało mi się z racji młodego wyglądu i tego, że naprawdę powodziło mi się kiepsko i nikogo nie miałam. Ulubiony obrazek każdego filantropa, wiesz, te biedne, wygłodzone anielskie twarzyczki. Ludzie mnie przygarniali. Wreszcie zaczęłam osiągać zupełnie niezłe wyniki. Nawet w najgorsze dni zawsze użebrałam na jedzenie albo jakiś straganiarz coś mi rzucił.

— I nie miałaś kłopotów typu gwałt albo napad jakiegoś gangu? — spytał, zdumiony.

— Nie, naprawdę nie. Było kilka paskudnych sytuacji, ale zawsze ktoś się napatoczył albo udawało mi się zwiać. Istnieje zresztą coś w rodzaju solidarności żebraczej, na którą możesz liczyć, jeśli przyjmą cię do kompanii. Jeden taki pozwolił mi zamieszkać w szałasie obok miejskiego wysypiska. Dość paskudne miejsce, ale po jakimś czasie nie zauważa się już zapachów, much i takich rzeczy. Na szczęście były kliniki dla biedaków, więc chorowaliśmy wprawdzie często, ale zawsze niezbyt długo. Wszyscy chcieli mnie stamtąd zabrać, ale ich spławiałam. Nie chciałam łaski, nie chciałam niczego, do czego bym nie doszła własną pracą. Nie chciałam nikomu niczego zawdzięczać.

— Jak długo tak żyłaś? — zagadnął Renard.

— Ponad trzy lata — odpowiedziała. — To nie było złe życie. Można się było przyzwyczaić. Rosłam, rozwijałam się. Pewnie, pewnie, w sumie urosłam niewiele, i karmiłam się marzeniami. Miałam taki zwyczaj, że codziennie chodziłam do portu kosmicznego, kiedy tylko uzbierałam swoją dołę albo kiedy po prostu już dłużej nie miałam sił żebrac. Żebrana może być naprawdę ciężką pracą. Przyglądałam się statkom i kosmicznym wędrowcom. Wiedziałam doskonale, dokąd chciałabym kiedyś wrócić i w końcu zrozumiałam, że żyjąc w ten sposób do niczego nie dojdę, chociaż z głodu nie umrę. Niektórzy kapitanowie naprawdę

szastali pieniędzmi, ich domem był przecież statek, a na nim nie bardzo było jak wydawać pieniądze.

Renard był naprawdę wstrząśnięty.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

Wzruszyła ramionami.

— Na kelnerkę byłam za mała, nie byłabym w stanie sięgnąć przez bar. Nigdy nie uczyłam się tańczyć, nie miałam żadnej ogłady towarzyskiej, na dobrą sprawę byłam nieukiem. Mówiłam niczym szczur portowy, a chociaż Maki nauczyła mnie kiedyś czytać, pisać i liczyć, na dobrą sprawę wszystko zapomniałam. Miałam tylko jedną rzecz na sprzedaż, i powiadam ci, że skorzystałam z tego, nauczyłam się, jak to robić. Mężczyźni, kobiety, raz, dwa, dziesięć razy w ciągu nocy, jeśli się dało. Szybko mi się to znudziło, spływało po mnie jak woda, ale daję słowo! Jezu, jakie to były pieniądze!

Popatrzył na nią dziwnie poprzez mrok, czując się trochę nieswojo. Poruszało go nie tyle to, co mówiła, ale sposób, w jaki to mówiła. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Na pewno dawno nikomu tego nie opowiadała, przynajmniej nikomu obcemu, może zresztą nigdy. To, że mówiła to właśnie teraz i właśnie jemu, musiało coś znaczyć, przynajmniej tyle docierało do jego coraz bardziej zamrozonego umysłu. Gdzieś tam, głęboko, dzieliła z nim jego strach.

— Teraz przynajmniej nie masz trudności z wymową — zauważył. — Powiedziałaś, że byłaś pilotem. Na tym się dorobiłaś?

Zaśmiała się sucho.

— No nie, nie na tym. Spotkałam człowieka — dobrego, subtelnego — kapitana frachtowca. Zaczął się pojawiać regularnie. Lubiłam go — miał coś z mego dawnego wybawiciela. Był hałaśliwym zawadiaką, cynikiem, który nie cierpiał Komów. Nigdy nie spotkałam takiego twardego faceta. Myślę, że potem uświadomiłam sobie, że go kocham, czekałam na spotkanie, czekałam, by z nim dokądś pójść. Było inaczej niż przedtem. To nie była sprawa seksu. Wątpię, czy mogłabym jeszcze włożyć w to choćby odrobinę uczucia. To było coś innego, coś lepszego. Kiedy stwierdziłam, że często zbacza ze szlaku, by się ze mną spotkać, nasz związek jeszcze się utrwalił. Pasowaliśmy do siebie. Miał swój statek, Assa-teaque, naprawdę dobrą, nowoczesną, szybką sztukę.

— Trochę to niezwykle, prawda? — zauważył Renard. — To znaczy, te rzeczy robią dla firm, a nie dla pojedynczych ludzi. Nigdy nie słyszałem, żeby kapitan miał statek na własność.

— O tak, to na pewno niezwykle — przyznała. — Przez dłuższy czas sama nie mogłam się w tym zorientować. Wreszcie zaprosił mnie na pokład, żebym z nim została. Powiedział, że te skoki na bok za dużo go kosztują. No cóż, właściwie tego właśnie zawsze chciałam, więc się zgodziłam. Wtedy mi wyjaśnił, skąd ma tyle pieniędzy. Otóż był złodziejem.

Renard nie mógł powstrzymać śmiechu. Zaiste, niezwykła to była pointa.

— A właściwie co kradł, i komu? — spytał.

— Wszystko i wszystkim — odparła. — Towarowiec był tylko przykrywką, zapewniającą swobodę poruszania się. Klejnoty, dzieła sztuki, złoto, srebro, co tylko chcesz. Wszystko, co miało jakąś wartość. Szczególnie upodobał sobie bogaczy, szefów spółek i przywódców partyjnych w Komlandach. Czasami się włamywał, czasami wystarczała elektronika i doskonała znajomość zawichości biurokracji. Kiedy zamieszkaliśmy razem, zaczęliśmy pracować jako zespół. Miał masę różnego sprzętu dydaktycznego, maszynki do nauki w czasie snu i inne, więc dość szybko zaczęłam się wysławiać jak osoba wykształcona i odpowiednio się zachowywać. — Zachichotała nerwowo. — Kiedyś włamaliśmy się do głównego banku danych Unii Wszechksiężycowej, wymieniliśmy kilka elektronicznych detali i przez trzy dni cały dochód planety automatycznie płynął na fikcyjne konta w bankach Konfederacji. Nie zorientowali się nawet wtedy, gdy zwiniliśmy cały majdan, zgarnęliśmy forszę i ulotniliśmy się wraz z nią. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek doszli, kto ich tak obrobił.

— Ten twój człowiek — co się z nim stało? — spytał Renard łagodnie.

Spochmurniała znowu.

— Policji nigdy nie udało się nas złapać. Nigdy. Nie nas. Kiedyś jednak zdarzyło się nam zwinąć dwie przepiękne małe figurki z litego złota, dzieło mistrza antycznej klasyki, Sun Tata. Miały być przez pasera sprzedane prywatnemu kolekcjonerowi. Spotkanie miało się odbyć w barze — i nie było powodu, by podejrzewać jakiś podstęp. A jednak. Kolekcjoner okazał się tylko przykrywką dla szefa wielkiego syndykatu, którego obrobiliśmy mniej więcej rok wcześniej, a cała transakcja została nagrana. Mojego ukochanego pokroili na kawałeczki i zostawili te figurki przy tym, co z niego zostało.

— I wtedy odziedziczyłaś statek — domyślił się Renard.

Przytaknęła.

— Rok wcześniej wzięliśmy ślub z całym tradycyjnym ceremoniałem, tak na wszelki wypadek; ja tak naprawdę nie miałam ochoty, ale on nalegał, i jak się okazało — miał rację. Byłam jego jedynym spadkobiercą.

— I od tego czasu jesteś sama? — dodał, zafascynowany tą maleńką, dziwną kobietą.

Teraz w jej głosie dźwięczała stal.

— Pół roku tropiłam morderców. Wszystkich dosięgła powolna śmierć. Każdy z nich wiedział, dlaczego umiera. A z początku ten wielki szef nawet sobie go nie przypominał! — Łzy napłynęły jej do oczu. — Ale w końcu sobie przypomniał — dodała z wyraźną satysfakcją. — Od tego czasu kontynuowałam tradycje rodzinne w rzemiośle, jeśli tak to można nazwać — ciągnęła po chwili — w obu specjalnościach. Wzięłam najlepszych fachowców, jakich można było znaleźć na rynku nielegalnych operacji, utrzymywałam najlepszą kondycję. Chirurgia przemieniła mnie w zabójczy oręż. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci wyjaśniła szczegóły

rozwiązań, które tu zastosowano. Nawet gdyby mnie schwytano, nie wydobyto by ze mnie nawet tej historii, którą ci przed chwilą opowiedziałam. Próbowali różnie, nawet za pomocą głębinowej sondy psychologicznej.

— Wynajęto cię, żebyś wydołała Nikki, prawda? — spytał Renard.

Kiwnęła głową.

— Jeśli nie możesz schwycić drania, zamów go do łapania innych drani. Taki to był pomysł. I powiadam ci — prawie się udało.

Chrząknął. Oboje wrócili myślami do ich obecnego położenia, ale przynajmniej teraz mógł zrozumieć, dlaczego wierzyła, że się z tego wydobędzie. W takim życiu, jak jej, cuda były na porządku dziennym.

— Nie mogę ci się odwdzięczyć równie ciekawym życiorysem — powiedział z rozpaczą w głosie. — Żadnych gwałtownych czy romantycznych momentów.

— Mówiłeś, że byłeś nauczycielem — zauważyła.

— Pochodzę z Muscowy, Komland, ma się rozumieć, ale taki nie za bardzo poważny. Żadnych manipulacji genetycznych. Tradycyjna rodzina, modlitwy pięć razy dziennie. Nie ma Boga nad Marksa, a Lenin jest jego prorokiem — i nieustanne sprawdzanie, czy pasujesz do reszty społeczeństwa. — Szukał z wyraźnym wysiłkiem odpowiednich słów, ale przychodziło mu to z trudem. Wydawało się, że nie zwraca na to uwagi. — Byłem bystry, więc posłano mnie do szkoły. Tak naprawdę jednak nigdy nie interesowało mnie nic użytecznego, więc wzięłem się do studiów nad dawną liturą (nie potrafił lepiej wymówić słowa „literatura”) i zostałem nauczycielem. Zawsze byłem trochę zwieszający (chciał powiedzieć: zniewieściały) — w wyglądzie i w działaniu, ale nie w środku. Często mnie przedrzeźniano. Bardzo to było bolesne. Nawet uczniowie zachowywali się podle. Robili to przeważnie za moimi plecami, ale dobrze wiedziałem, co o mnie mówią. Nie ciągnęło mnie do własnej płci, a i kobiety były przekonane, że ich nie lubię. Zamknąłem się więc jakby w skorupie, w mieszkaniu z książkami i mikrofilmami, i wychodziłem tylko na lekcje.

— Próboweś iść do psychiatry? — dopytywała się.

— Nawet do kilku — odparł. — Wszyscy od razu zaczęli od różnych idiotyzmów, czy kochałem ojca i takie inne. Poddali mnie czemuś w rodzaju szkolenia pod osłoną narkotyków, które miało zmienić mój sposób bycia, ale i to na nic. Im więcej było takich nieudanych prób, tym bardziej czułem się nieszczęśliwy. Któregoś wieczoru pomyślałem nagle, jak niewiele w życiu zrobiłem. Nie zetknąłem się nawet powierzchownie z innym życiem. Miałem nawet samobójcze zapędy, ale psychoanaliza wydobyła je ze mnie i zanim się zabrałem do dzieła, przyjechała Policja Ludowa i zabrała mnie.

— Poważnie chciałeś się zabić? — spytała.

— Naprawdę nie wiem. — Potrząsnął głową. — Może. Może nie. Najlepszy dowód, że żyję, prawda? Myślę, że by mi nie starczyło odwagi. A zresztą może mam zaprogramowane jakieś bariery, czy ja wiem? — Urwał na chwilę, zastana-

wiając się, albo tylko próbując zebrać myśli. — Wzięli mnie do takiego politycznego schroniska. Nigdy w czymś takim nie byłem. Byli jakby zdeprimowani tym, że próbowałem się zabić. Wzięli to do siebie, jeżeli ja zawiodłem, to zawiodł cały system. Myśleli, żeby mi zrobić dokładne pranie mózgu, może zmieniając mnie przy okazji w kobietę i dorabiając nową osobowość, która by do tego pasowała.

— Nie prościej by im było zabić cię? Mieliby przynajmniej kłopot z głowy — spytała Mavra. — Pewnie wyszłoby to taniej.

Wyglądał na wstrząśniętego, potem jednak pomyślał o tym, co ona przeżyła.

— Takich rzeczy się w Komlandach po prostu nie robi! W każdym razie nie w Muscovy. Nie, trzymali mnie tam długo, nie wiem nawet jak długo. W końcu pojawił się ktoś, kto mi powiedział, że chce ze mną rozmawiać, jakaś gruba ryba. Nie miałem wyboru. Gość był z innego Komlandu, gdzie cały system był już naprawdę zaawansowany — obojnactwo, identyczni aż po ostatni gen ludzie, zaprogramowani, by kochali swoją pracę. Wyobraź sobie, że potrzebny mu był bibliotekarz! Ale przecież ludzie umiejący czytać i czytający książki byli niezmierną rzadkością. Nawet na Muscovy dziewięćdziesiąt dwa procent to byli analfabeci albo półanalfabeci. — Miał coraz większe trudności z wymawianiem długich i złożonych słów.

— To był Trelig — domyśliła się.

Kiwnął głową.

— Właśnie. Zawieźli mnie jego statkiem na Nowe Pompeje, dali ogromną dawkę gąbki i tak tam ugrzązłem. Następne tygodnie i miesiące były dla mnie prawdziwą gehenną. Sztucznie wyolbrzymili mój zniewieściały styl bycia, rysy stawały się coraz bardziej kobiece, pojawiły się nawet piersi. Ale — zabawne — moje męskie organy również się powiększały i — mentalnie — byłem nadal mężczyzną. Dopiero na Nowych Pompejach miałem prawdziwe doświadczenie z seksem. Poza tym naprawdę byłem jego bibliotekarzem — pełniłem jednak również funkcję strażnika specjalnych więźniów, takich jak Nikki. Wszyscy na Nowych Pompejach mieli jakieś problemy z psychiką, ale też każdy z nas miał kwalifikacje przydatne dla Treliga. Prowadził rekrutację w najlepszych schroniskach politycznych w Komlandach.

— I tak wylądowałeś aż tutaj — powiedziała bardzo łagodnie.

— Tak — westchnął — i tak to się skończyło. Kiedy postrzeliłem Ziggy i pomogłem ci się wydostać, miałem uczucie, że po raz pierwszy w życiu robię coś naprawdę ważnego. Czułem wyraźnie, że być może urodziłem się i żyłem tylko dla tej jednej chwili, dla tego jednego czynu — być tam, gdzie mnie będziesz potrzebować. I popatrz — w co się wpakowaliśmy!

Pocałowała go lekko w policzek.

— Prześpij się trochę i nie martw się za bardzo. Jeszcze nie przegrałam, a więc i ty jeszcze musisz walczyć.

Sama wątpiła w to, co powiedziała.



## Uchjin, Północna Półkula

— Aleśmy się wpackowali — powiedział Ben Julin, wodząc wzrokiem dookoła. Bez zasilania, z nie pracującym systemem regeneracji powietrza, musieli włożyć swoje kombinezony. Największy ledwie mieścił Zindera w postaci jego otyłej córki, ale na szczęście był to sprzęt uniwersalny i pasował na różne wymiary. Kiedy taki kombinezon się wkładało, był ogromny, luźny, workowaty. Po uruchomieniu systemu zasilania powietrzem materiał zachowywał się jak żywa istota, kurcząc się tak, że przylegał w końcu jak mocna, biała skóra.

— Ile mamy jeszcze powietrza? — spytał Trelig, rozglądając się po nagiej, kamiennej pustyni, na której nie było widać najmniejszego śladu życia.

Julin wzruszył ramionami.

— Co najwyżej na pół dnia, bez specjalnego systemu elektrycznego w wymienniku powietrza.

— Ale jesteśmy niedaleko sąsiedniego sześciokąta, w którym były ślady wody — zauważył Trelig z nadzieją. — Spróbujmy ruszyć w tym kierunku. A co mamy do stracenia?

Poszli wzdłuż gigantycznej koleiny, wyżłobionej przez statek w czasie lądowania na brzuchu.

Do zmroku nie posunęli się zbyt daleko. Julin miał uczucie, że coś się dzieje, i próbował dojść, w czym rzecz. Otaczały ich jakieś kształty, cień cienia, pojawiające się w kącie oka i znikające, kiedy się ku nim zwracało głowę.

— Trelig? — zawołał.

— Co?

— Czy zauważyłeś coś dziwnego? A może Zinder? Założyłbym się, że nie jesteśmy sami.

Stanęli jak wryci, rozglądając się dookoła. Julin stwierdził, że w zapadającym mroku widzi ich nawet lepiej.

Stwory zdawały się istnieć tylko w dwóch wymiarach — długości i szerokości, i nawet w tej płaszczyźnie ich kształty nieustannie się zmieniały. Patrząc z boku, miało się wrażenie, że znikają. Unosiły się — czy może płynęły — otaczając ich ze wszystkich stron. Julinowi przypominały plamy farby rozlanej na arkuszu przezroczystego plastyku. Brzeg był jakby grubszy, i to on właśnie płynął — nie-

koniecznie w dół, ale również w górę i wzdłuż. Unosząca się krawędź chwilami rozrastała się do metra szerokości i prawie dwóch metrów długości. Kiedy stwór rozwinął się na pełną szerokość, tył zdawał się powoli spływać z powrotem do przedniej krawędzi, aż zostawała z niego plama farby szeroka na metr, która po chwili znów zaczynała się rozciągać.

Stwory były różnobarwne. W istocie przybierały wszelkie barwy, jakie mogli sobie wyobrazić, ale każdy osobnik był tylko w jednym kolorze. Istna feeria błękitów, czerwieni, zieleni, żółci, we wszelkich możliwych odcieniach i nasyceniu.

— Czy to są istoty rozumne? — zastanawiał się Julin głośno.

Trelig pomyślał to samo.

— Najwidoczniej otaczają nas coraz szczelniej, niczym tłum ciekawskich, przyglądających się wypadkowi — zauważył dygnitarz. — Założę się, że ci ludzie są tutejszymi mieszkańcami.

Może ludzie to za mocno powiedziane — pomyślał Julin. Stwory te były raczej sennym marzeniem szalonego artysty niż kawałkiem namacalnej rzeczywistości.

— Spróbuję dotknąć któregoś — powiedział Trelig.

— Hej! Poczekaj! Możesz... — zaprotestował Julin, ale w odpowiedzi usłyszał tylko śmiech.

— A więc robię coś złego. Wiesz przecież dobrze, że i tak nic już nam nie zaszkodzi. — Mówiąc to, spróbował chwycić przesuwający się obok barwny kształt. W życiu nie zdarzyło mu się widzieć równie szybkiej reakcji — stwór odskoczył na jakieś dwa metry.

— O, do licha! — krzyknął Trelig. — Potrafią się ruszać, jeśli zechcą!

— Jeżeli mają jakiś rozum, być może lepiej byłoby z nimi pomówić? — wyraził swoją myśl Julin.

Trelig wcale nie był pewien, czy to dobry pomysł.

— Jak chcesz przemawiać do dwumetrowego żywego kleksa, co? — spytał sarkastycznie.

— Może jakoś widzą — usiłował go przekonać Julin. — Spróbujmy jakichś gestów.

Upewnił się, że jest dobrze widoczny, o ile „widoczność” w ogóle miała tu jakiś sens, chociaż naprawdę miał śmieszne uczucie, że jest obserwowany, a potem wskazał na zbiorniki powietrza Zindera. Następnie położył ręce na krtani, naśladując drgawki kogoś, kto się dusi, wreszcie padł na ziemię.

Kleksom zdawało się to przedstawienie wyraźnie podobać. Zaczęły się tłoczyć, widocznie podniecone. Julin powtórzył kilkakrotnie swoją pantomimę, a stwory zdradzały coraz większą emocję, prawie się rozpychając, jakby chciały lepiej widzieć zajmujący spektakl.

Komedia skończona — zdecydował wreszcie. Szkoda było cennego powietrza. Podniósł się, stając twarzą w twarz ze pstrokatą czeredą, i wyciągnął obie dłonie w przyjaznym czy błagalnym geście.

Teraz dopiero emocja „widzów” sięgnęła szczytu. Miał dziwne uczucie, że jest przedmiotem zacieklego sporu tych dziwnych stworów, chociaż nie docierał do niego żaden dźwięk czy czytelny dla niego znak.

Zastanawiał się, czy dyskutują, jakby tu mu pomóc, czy też spierają się o znaczenie działań tego dziwnego stworzenia. Obawiał się, że niestety to drugie.

Kilka stworów podpłynęło, zdając się badać z odległości jakichś pięćdziesięciu centymetrów jego aparat do oddychania. Starał się nie ruszać, poddając się pokornie tej niepokojącej kontroli. Na początek i to było dobre. Być może, coś do nich zaczęło docierać. Możliwe jednak, że zastanawiały się, dlaczego wskazuje na ten śmieszny przedmiot.

W miarę jak zapadała ciemność, towarzystwo było coraz liczniejsze. Wynurzały się ze szczelin w gruncie, tak małych, że cała trójka nie domyślała się do tychczas ich istnienia. Wyłaniały się niczym zjawy, w pełni rozwinięte, potem związały się albo gdzieś rozplywały. Trelig i dwaj pozostali mieli teraz stałą widownię, tęczy krąg pływających i falujących kształtów.

W końcu, jak się wydawało, zjawy doszły do jakiegoś porozumienia. Otoczyły szczelniej ludzi, tak że ci nie mogli sięgnąć poza kolorową barierę. Potem w pewnym miejscu krąg się wyraźnie przerwał, otwierając jakby furtkę. Stwory zdawały się na coś czekać.

— Sądzę, że chcą nas dokądś skierować — powiedział Trelig. — Idziemy?

— Zawsze to lepsze niż paść tutaj i zdychać przez godzinę czy dwie — odparł Julin. — Pójdiesz pierwszy?

Trelig ruszył przodem, za nim Zinder, a na końcu Julin. Przypuszczenie, że dokądś ich prowadzą, potwierdziło się od razu — luka przesuwawała się wraz z nimi.

Julin sprawdził zapas powietrza. Dwie godziny, może trochę dłużej. Miał nadzieję, że zmiierzają do nieodległego celu.

Po mniej więcej godzinie, nie mogąc się uwolnić od myśli o powietrzu, dotarli do skalnego występu. Zgromadził się tam olbrzymi tłum „kleksów”, idący może w tysiące. Niektóre przybyły tam najwidoczniej z ich powodu, ale inne zajmowały się swoimi sprawami na pewno dla nich ważnymi, których sensu nie sposób jednak było rozpoznać.

— Julin! Spójrz! — zawołał Trelig z emocją.

Ben Julin próbował przebić wzrokiem ciemność, rozjaśnioną blaskiem gwiazd, zrazu nie znajdując tego, co tak zafrapowało Treliga. Wreszcie zaczął rozróżniać ciemniejszy odcień czerni na tle urwiska.

— Jaskinia? — spytał, rozczarowany. — Do diabła, przyprowadzili nas do swojego naczelnika czy jak tam go zwać.

— Nie. Nie! — zaprotestował Trelig. — Pewnie moje oczy Renarda są lepsze niż twojej Mavry Chang. Zwróć uwagę na kształt tej jamy!

Julin znowu wyteżył wzrok, podchodząc bliżej. Ależ to było wielkie — pomyślał. Przynajmniej dwa metry z każdego z sześciu boków.

Sześciu?

— Sześciokąt! — zawołał z nieukrywaną radością. — Przyjęli wiadomość!

— To się okaże — odparł Trelig. — Najwyraźniej zapraszają nas do wejścia, i właściwie dlaczego nie. I tak nam się kończy powietrze. Gotowi?

— W porządku, idziemy — odparł Julin, znowu modląc się w duchu, by nie była to na przykład siedziba rządu tubylców.

Trelig poszedł przodem. Nie wszedł do jaskini czy dziury, tylko po prostu postawił krok do przodu, jakby zamarł na moment, a potem zniknął. Julin pchnął Zindera, ale uczonego nie trzeba było poganiać. I on wiedział, że powietrze się kończy. Zniknął tak samo jak Trelig. Za nim Julin, nabierając głęboko powietrza.

Było to dziwne uczucie przypominające spadanie do ogromnej dziury bez dna. Nie było to przyjemne, ale musieli jakoś przetrzymać.

Uczucie ustąpiło równie nagle, jak się pojawiło. Znaleźli się w dziwnej jaskini zamieszkałej przez masę „kleksów”.

— O nie! — jęknął Julin, bliski rozpacz. — Zwyczajna winda!

Trelig zbierał się do odpowiedzi, kiedy ujrzeli upiorną postać, niepodobną ani do ludzi, ani do kolorowych „frędzli”. Uderzał ogrom tego stwora — przynajmniej trzy metry wysokości, i prawie tak samo gruby. Wyposażony był w obrzydliwe szpony i zestaw owadzych odnóży, a osłaniał go rodzaj sztucznej skorupy czy pancerza.

— Cóż u diabła? — wykrztusił Trelig. Tymczasem potwór machnął na nich szponami, zachęcając, by ruszyli za nim, a potem odwrócił się i poszedł w głąb grotu.

— Oto nasz nowy przewodnik — kombinował Julin. — Coś mi się zdaje, że kleksy są jednak przyjemniejsze. No cóż, chodźmy. Ciśnienie powietrza ciągle spada.

Przeszli czymś w rodzaju korytarza, a potem przez drzwi do czegoś w formie śluzy powietrznej. Funkcjonowała jak wszystkie urządzenia tego typu. Stwór wyszedł i poczekał na nich w długim, szerokim korytarzu wyłożonym jakimś pomarańczowo-białym, krystalicznym, iskrzącym się materiałem. Jasne oświetlenie pozwalało dostrzec szereg sześciokątnych drzwi wzdłuż korytarza. Sam korytarz był w przekroju niemal okrągły, z zaokrąglonymi krawędziami.

Wielki robał posuwał się wolno, a oni kroczyli za nim. Wydawało im się, że idą dość długo, zegar Julina pokazał 20 minut.

W pewnym momencie korytarz się łączył z olbrzymią komorą, o ile słowo „olbrzymia” było tu odpowiednie. I ona miała sześć boków, fakt ten zdał im się już teraz zupełnie naturalny, choć na pierwszy rzut oka wymiary pomieszczenia

nie pozwalały się domyślić kształtu. W środku izba mieściła olbrzymi szklisty sześciokąt, a wzdłuż boków biegły poręcze i rodzaj chodnika. Za całe oświetlenie starczała jedna olbrzymia sześcioboczna lampa, zwieszająca się niczym brylant z gigantycznej powały.

Chodnik okazał się również transporterem. Kiedy w ślad za wielkim stworem wstąpili na jakby winylową, gąbczastą powierzchnię, stwór dotknął jakiegoś sobie tylko znanego punktu na ścianie, a chodnik ruszył z kopyta, niemal ich wywracając.

Droga do następnego otworu w ścianie, położonego w połowie jej długości zabrała im całe 10 minut. Po drodze mijali jakby bramki w barierce, prowadzące na szklistą centralną powierzchnię. Dziwny stwór, przypominający szklistego kraba, ruszył powoli dochodzącym tu korytarzem.

Po chwili dotarli do nowego pomieszczenia, znacznie mniejszego niż poprzednie. I ono było wyposażone w służę powietrzną, tym razem w kształcie niemal idealnego kwadratu. Sufit i trzy ściany wyglądały normalnie, czwarta natomiast była doskonale czarna.

— Zdaje się, że jest to jeszcze jeden transfer — zauważył Trelig. — Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych czterdziestu minut dotrzemy do powietrza o składzie, jakiego nam trzeba.

— Trzydziestu sześciu — odparł Julin ponuro. Sprawdzał zapas co pół minuty.

— Na pewno nie pozwolą nam umrzeć — powiedział Trelig ufnie. — Po co by się tak trudzili? — Bez chwili wahania wstąpił w ciemność, a za nim Zinder i Julin.

Znowu mieli wrażenie, że spadają, tym razem dłużej. Julin chciał mierzyć czas, ale potrzebował do tego choćby odrobiny światła.

Wylądowali w pomieszczeniu identycznym z tym, z którego wystartowali. Na dobrą sprawę mogli przyjąć, że nigdzie się nie ruszali. Było to intrygujące i nieznośne uczucie. Zegar Julina pokazywał ciągle trochę mniej niż 36, z czego wynikało, że spадanie było zabiegiem ponadczasowym. To przecież niemożliwe — pomyślał. Dociekania te przerwał lekkie buczenie.

Wtedy zauważył, że wskaźnik zapasu powietrza zaczyna się podnosić.

— Trelig! Wróciło zasilanie! System elektryczny znowu działa! — krzyknął w euforii.

Nastrój udzielił się pozostałej dwójce. Cóż za ulga! Zawsze praktyczny Trelig wprowadził element otrzeźwienia.

— Pamiętaj, że jesteśmy przedmiotem czyichś manipulacji — przestrzegł. — Być może wiedzą o nas więcej, niż nam się wydaje. Pamiętaj, że jesteś pilotem Mavrą Chang i nikim więcej, a ja jestem Renardem. Nie waz się używać kiedykolwiek innych imion! — Mówił zimno, nienawistnie. — Jeśli będą nas wypytywali razem, ja będę mówił za wszystkich. Jeżeli będziemy badani osobno, powiedzcie

im prawdę aż do momentu, kiedy zmieniliśmy rzeczywistość. Nie macie pojęcia, kto leciał tamtym statkiem. Zrozumiano?

Julin stopniowo odzyskiwał równowagę.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył nowy stwór.

Przyglądali mu się w zadziwieniu, ciągle jeszcze nie przyzwyczajeni do niezwykłej różnorodności ras zamieszkujących Świat Studni. Obiekt mierzył niewiele mniej niż dwa metry, a jego grube, gładkie, pokryte zieloną skórą cielsko zakończone było dwiema krągłymi, grubymi nogami bez widocznych stawów, osadzonymi na szerokich płaskich stopach przypominających głębokie talerze. Gdzieś w połowie korpusu wyrastały dwa cienkie i długie ramiona zakończone jakby mniejszymi łapkami. Głowa, osadzona na potwornie grubym karku, przypominała zielony lampion z Halloween, z wyrazem wiecznego zdziwienia w układzie ust i parą oczu wielkich jak spodki, fosforyzującą i przyglądającą się im bez mrugnięcia. Julin nie doszukał się śladów nosa czy uszu. Całość wieńczył jeden wielki, rozłożysty zielony liść, żyjący jakby własnym życiem, odwracający się powoli ku silniejszemu źródłom światła.

Stwór trzymał lewymi łapami kawałek tektury albo coś, co ją bardzo przypominało, i teraz wystawił to przed siebie, jak ktoś, kto czeka na nieznanego na lotnisku. Wiadomość została napisana w potocznej wersji języka Konfederacji, co potwierdzało przypuszczenia Treliga. Mieszkańcy tych stron sporo o nich musieli wiedzieć. Napis, nabazgrany ołówkiem, pismem blokowym, głosił:

Możecie zdjąć kombinezony. Powietrze nadaje się do oddychania.

Kiedy skończycie, idźcie ze mną na odprawę.

Trelig ufnie nacisnął zatrzaski hełmu. Zaczerpnął powietrza, a potem — zadowolony z jego jakości — wyłączył agregat plecakowy. Skafander zdawał się rosnąć, a następnie skurczył się do rozmiarów małej kupki syntetyku u jego stóp. Pomógł Zinderowi zrobić to samo. Julin już zaczął się rozbierać, kiedy poczuł okropne mdłości; nagle krew zabulgotała mu w gardle, a całe ciało przeszył potworny ból. Upadł i stracił przytomność.

# Teliagin

Na trzeci dzień, wczesnym popołudniem, stało się coś, czego Mavra Chang obawiała się najbardziej: skończył się las.

Oczywiście, mieli go nadal w zasięgu wzroku, może o kilometr. Nie zmieniało to wszakże faktu, że wyszli oto na rozległą równinę, lekko sfalowaną, porośniętą bujną trawą i poprzecinaną piaszczystymi drogami, na których odbywał się ożywiony ruch. Spod lasu przyglądali się wielkim cyklopom, wędrującym tam i tu, w pojedynkę albo grupkami. Niektóre bestie dźwigały wielkie bukłaki z baraniej skóry, inne ciągnęły drewniane wózki na drewnianych kołach ręcznej roboty, wyładowane najprzeróżniejszym towarem.

— Popatrz na to od jaśniejszej strony — powiedziała Mavra. — Przynajmniej wiemy teraz, że nie kręciliśmy się w kółko.

— Tak. — Renard kiwnął głową. — Daleko odeszliśmy od miejsca lądowania. Problem tylko, czy idziemy we właściwą stronę.

Mavra wzruszyła ramionami. A która droga była niewłaściwa? Ta, na której cię złapią. Jeśli tak, byli na pewno na niewłaściwej.

— Moglibyśmy pójść przez jakiś czas lasem po lewej stronie — zaproponowała. — Może gdzieś dalej wyszlibyśmy na tę drogę. Przecinaliśmy już drogi.

— Nie wygląda na to — zauważył Renard. Mówił dziś normalniej, ale składał krótsze i prostsze zdania. Nic nie zostało z wyszukanego słownictwa, jakim się kiedyś posługiwał.

Mavra Chang westchnęła.

— A więc musimy tu przeczekać aż do zapadnięcia zmroku. Na pewno trzeba omijać te wszystkie potwory. — W gruncie rzeczy wcale się jej to nie podobało; hipnoza, ponowiona poprzedniej nocy, trzymała wprawdzie jej towarzyszy w nieświadomości ich pogarszającego się stanu, ale zarówno po Renardzie, jak i w szczególności po Nikki było widać spustoszenia, jakie dotknęły ich umysł. Liczyła się już teraz każda godzina.

— Nie chcę, żeby mnie zjedli — oświadczyła Nikki Zinder. — Pamiętasz tamtą bestię? Połknęła owcę w trzech kęsach.

Mavra pamiętała. Pozostaną w ukryciu aż do zmroku, kiedy ruch będzie mniejszy. Nie miała pojęcia, czy któryś z jej śmiertelnych specyfików, któ-

rymi tak się chwaliła przed Renardem, będzie działał na te potwory, zresztą nie miała najmniejszej ochoty o tym się przekonać. Była przecież trochę drobniejsza niż ta owca.

Rozłożyli się na ziemi i zaraz zaczęli chrapać. Byli skrajnie umęczeni; gąbka (jej brak właściwie) działała nie tylko na mózg, ale i na całe ciało. Nikki i Renard szybciej się męczyli, stracili też zdolność koordynacji ruchów. Mavra w ogóle mało spała od momentu przybycia na Nowe Pompeje, również więc po niej znać było trudy wyprawy. Trzymała się tylko siłą woli. Teraz zasnęła wraz z nimi.

Pierwszy obudził się Renard, który zresztą tylko drzemał, zregenerowany trochę hipnotycznymi zabiegami Mavry poprzednich nocy. Podczołgał się na skraj polany, na której nadal panował ożywiony ruch. Wyjście byłoby równoznaczne z samobójstwem.

Poczłogał się z powrotem w głąb lasu. Mavra spała smacznie i nie obudziła się, ale Nikki się otrząsnęła, otworzyła oczy i popatrzyła na Renarda.

— Cześć! — szepnęła.

— Ciii! — powiedział, kładąc palec na jej ustach.

Popatrzyła na niego dużymi, brązowymi, sennymi oczami.

— Myślisz, że uda nam się psejść? — spytała. Wyraźnie zaczęła seplenić.

— Tak, potem — uspokoił ją, a ona przysunęła się bliżej.

— Renard?

— Tak, Nikki?

— Boję się.

— Wszyscy się boimy — powiedział szczerze. — Musimy iść dalej, po prostu.

— Ona się nie boi — odpowiedziała, pokazując na Mavrę. — Nie wiem, czy coś ją może psestrasyć.

— Po prostu nauczyła się żyć ze strachem — powiedział uspokajająco. — Umie się bać tak, by się nie dać. I ty musisz się tego nauczyć, Nikki.

Potrząsnęła głową.

— To coś więcej. Nie chcę umierać, na pewno, ale... ale kiedy... — próbowała znaleźć odpowiednie słowo.

Nie potrafił jej zrozumieć. Przez chwilę milczała, a potem zapytała:

— Renek? Czy chcesz się ze mną kochać?

— Co? — nie mógł ukryć, jak bardzo zdumiewający wydał mu się taki pomysł.

— Chcę tego, choćby raz, choć raz. Tak na wszelki wypadek. — Była bliska płaczu, w głosie brzmiało błaganie. — Nie chcę umierać, nie wiedząc, jak to jest.

Popatrzył na Mavrę Chang, pogrążoną w głębokim śnie, potem znowu na dziewczynę, i pomyślał, że jako prawdziwy nieudacznik nawet w obliczu śmierci pakuje się w niemożliwą sytuację. Rozważał to przez chwilę, próbując podjąć jakąś decyzję. Wreszcie postanowił. W końcu dlaczego nie? — pomyślał. Nie zaszkodzi przecież. Wreszcie mógł coś dla kogoś zrobić i nie popsuć.



Mavra obudziła się, wzdrygnęła i rozejrzała dookoła. Musiała spać dość długo, bo było już ciemno. Bolała ją głowa i całe ciało. Tęgo pospała.

Rozejrzała się i zobaczyła Renarda i Nikki, opartych o rozłożyste drzewo. Dziewczyna spała, a on drzemał, obejmując ją. Nie musiała się specjalnie przyglądać, by się zorientować, co zaszło. Martwiło ją to, i martwił ją również fakt, że się tym przejmuje. Może dlatego, że akurat tego nie mogła zrozumieć.

Odwróciła się, podpełzając na skraj polany. Ruch był tam teraz niewielki. Od czasu do czasu przejeżdżał wózek, a zatknięte w uchwytych latarnie podświetlały groteskowo dziwaczne postaci, które go ciągnęły, najwyraźniej jednak była to pora najmniejszej intensywności ruchu. Nie przypuszczała, by cyklopy dobrze widziały w nocy; wydawało się, że po zachodzie słońca nie są aktywne, nadrabiając to z nadwyżką od wczesnego brzasku.

Popęzła z powrotem do śpiących towarzyszy i łagodnie ich obudziła. Wydawało jej się, że Nikki jest spokojniejsza, i to był dobry objaw, ale stan jej umysłu uległ dalszemu pogorszeniu. Mavra zastanawiała się, czy to proces degradacji postępuje szybciej, niż to opisywał Renard, czy też po prostu stał się teraz bardziej widoczny, po przekroczeniu pewnego poziomu krytycznego.

— Jesteśmy gotowi do przejścia przez polanę — powiedziała. — Będziemy szli możliwie jak najszybciej, tak by nadrobić stracony czas.

— Będziemy biegli? — spytała Nikki, niemal ochoczo.

— Nie, Nikki, nie będziemy biegli — odpowiedziała cierpliwie i powoli. — Przejdziemy, powoli i grzecznie.

— Ale teee wielgie potwohy! — zaprotestowała dziewczyna.

— Nie ma ich tu teraz zbyt wiele — powiedziała Mavra. — A gdyby nawet któryś się zbliżył, po prostu będziemy cicho siedzieć i czekać, aż sobie pójdzie.

Renard popatrzył na Nikki i poklepał ją po ręce. Uspokojona, przylgnęła do niego na chwilę.

— Chodźmy już, Nikki — powiedział łagodnie.

Podnieśli się i podeszli do skraju polany. Dookoła było ciemno, tylko z daleka migotały dwa światełka. Żadnych latarni, żadnych wozów.

— No, dobra, ruszajmy, grzecznie i spokojnie — powiedziała, biorąc Nikki i Renarda za ręce. Poszli.

Przejście szło im niemal zbyt łatwo. Niebo ciągle było pokryte chmurami, pogłębiając czernią nocy. Drogi jakby wymiotło. Sforsowali polanę w mniej więcej 20 minut, nie napotykając żadnych trudności. Żeby to wszystko szło równie łatwo — pomyślała Mavra.

I wtedy zaczęło padać. Nie żeby lało, nie była to też burza, ale ciepły, równy, w sumie niemiły deszcz. Rychło byli przemoknięci do suchej nitki, a nogi grzęzły im w błocie. Nikki sprawiała wrażenie, że się tym dobrze bawi, była to jednak żalonna wędrówka, w której nawet drzewa nie dawały dostatecznej osłony.

Mavra Chang zakłęła głośno. Błoto było coraz bardziej grząskie i nie mieli szans, by w czymś takim zabnąć zbyt daleko. Znowu tracili czas, który stawał się coraz cenniejszy.

A potem zaczęło dmuchać, przenikając dreszczem aż do szpiku kości ich mokre ciała. Na szczęście znalazła jakby altanę z kilku szczególnie wysokich, rozłożystych drzew rosnących blisko siebie. Pod nimi było względnie sucho, rozłożyli się więc na ziemi, spleceni, próbując jak najlepiej wykorzystać to nędzne schronienie.

\* \* \*

Następny dzień wstał jaśniejszy i bardziej suchy, ale tylko dlatego, że warstwa chmur nie była już tak gruba, i przestało padać. Wyglądali upiornie, utaplani w błocie po brwi, z włosami posklejаныmi miękką mazią.

Renard był bardzo zmartwiony.

— Nie umiem już myśleć sensownie — wyjął jej, strapiiony. — Nie jestem już w stanie niczego porządnie przemyśleć. Dlaczego, Mavra?

Nie mogła mu na to pytanie odpowiedzieć, choć jego los przejmował ją głęboką litością. Stan Nikki był jeszcze gorszy. Wyszukała sobie błotniste bajorko i taplała się w nim jak szczęśliwy bobas, produkując babki z błota. Spojrzała na nich, kiedy się zbliżyli.

— Cześć! — zawołała. Podniosła placuszek z gliny. — Dzicie, co złościłam?

Mavra westchnęła, czując brzemień czasu, ciężące teraz nad każdą jej decyzją. Sądząc po słońcu, posuwali się z grubsza na wschód, nie sposób jednak było stwierdzić, jak daleko zaszli i z jakim kątowym odchyleniem.

Pomyślała o dwójce towarzyszy, za których teraz odpowiadała. Renard nadal był w stanie zająć się sobą, nie wiadomo jednak, czy wkrótce się nie załamie. Natomiast Nikki... no cóż, pogrążyła się w oczach. Mavra musiała coś zrobić, żeby jej się nie pogubili.

Spróbowała skupić na sobie ich uwagę, starannie dobierając słowa, tak by mogli za nimi nadążyć.

— Nikki, nie pamiętasz, kim jesteś. Wiesz tylko, że masz na imię Nikki. Zrozumiałś?

— Aha — potwierdziła dziewczyna.

— No, dobrze, więc jesteś bardzo, ale to bardzo małą dziewczynką, a ja jestem twoją mamusią. Kochasz mamusię i zawsze robisz to, co ci każe, prawda?

— Aha — potwierdziła dziewczyna.

— No, dobrze, więc jesteś bardzo, ale to bardzo małą dziewczynką, a ja jestem twoją mamusią. Kochasz mamusię i zawsze robisz to, co ci każe, prawda?

— Aha — zgodziła dziewczyna.

Mavra zwróciła się teraz do Renarda.

— A teraz ty. Masz pięć lat i jesteś moim synkiem. Jestem twoją mamusią, a ty kochasz swoją mamusię i zawsze robisz to, co ci każe. Zrozumiałeś?

Mówił teraz miękko, jak dziecko:

— Tak, mamusiu.

— Dobrze — pochwaliła go. — Więc posłuchaj teraz: Nikki jest twoją siostrą. Jest od ciebie młodsza i musisz jej pomagać. Zrozumiałeś? Kochasz swoją siostrę i musisz jej pomóc.

— Tak, mamusiu — odparł znowu.

Odwróciła się z powrotem do Nikki.

— Nikki, Renard jest twoim dużym braciszkiem, a ty go bardzo kochasz. Będzie ci pomagał, kiedy będą kłopoty.

— Aha — odpowiedziała bardzo dziecinnym głosem.

Mavra była zadowolona z wyniku tej rozmowy. Robiła już takie rzeczy, ale w zupełnie odmiennych okolicznościach. Wmówiła kiedyś pewnemu dyrektorowi muzeum, że jest jej synem, na tyle skutecznie, że otworzył jej swoje „gospodarstwo”, a nawet sam wyłączył system alarmowy i pomógł jej wywieźć towar. Był przekonany, że pomaga mamusi w przeprowadzce.

Będzie odtąd musiała pamiętać, że matkuje dwóm dużym, ale prawdziwym dzieciom, i odpowiednio się zachowywać.

Z westchnieniem weszła w rolę.

— Dalej, dzieci. Musimy już iść — powiedziała łagodnie.

Nikki zrobiła smutną minę.

— Ale, proszę, mamusiu! Cy nie możemy się jesce tloskę pobawić?

— Nie teraz — zbesztła ją łagodnie. — Teraz musimy iść. Chodźcie, dajcie mamusi rączkę.

Szli tak we trójkę przez jakiś czas. Chwilami, mimo hipnozy, trudno było nimi kierować. Zachowywali się jak wszystkie kapryśne dzieciaki i trzeba było nie lada siły woli, żeby ich opanować.

Mavra zaczęła się zastanawiać, czy może mimo wszystko nie popełniła błędu i czy kiedykolwiek zobaczy góry. A jednak teren zaczynał się stopniowo podnosić, skały były teraz jakby większe. Możliwe, że znajdowali się u podnóża jakiegoś łańcucha górskiego.

Wreszcie góry się wyłoniły. Nie były to góry niebotyczne, czy nawet wielkie, ale nie zmniejszało to w niczym przyjemności, z jaką Mavra się im przyglądała. Łagodnie sfalowane, niczym wielkie zmarszczki na obliczu Ziemi, wznosiły się od miejsca, w którym stali, na jakieś 800 metrów w górę. Poprzecinane były licznymi wąwozami, przez które przedzierały się strumienie, torując drogę wędrowcom. Nawet jednak pokonanie najbliższego i najniższego ze szczytów wymagałoby trzystumetrowej wspinaczki, choć stoki wznosiły się łagodnie, a w wielu miejscach występy skalne zapewniały schronienie i odpoczynek. Pomyślała sobie, że

jeżeli będą mieli szczęście, powinni dojść do przełęczy przed zapadnięciem zmroku.

Na zboczach pasły się liczne owce. To akurat nie bardzo jej się podobało, bo tam, gdzie owce, tam i pasterz, a musiał to być jeden z okropnych cyklopów. Rozważała, czy nie zaczekać do zmroku, ale bała się dalszej straty czasu. Rozejrzała się ostrożnie dookoła. Gdyby mogła być pewna, że się nie ruszą, dopóki się lepiej nie rozejrzy w okolicy! Z drugiej jednak strony, nie odważyła się ich uspić, bo później mogłaby mieć trudności z zapanowaniem nad nimi.

Wreszcie zdecydowała się podjąć ryzyko. Wzięła ich za ręce i nakazując ciszę ruszyła jak mogła najszybciej przez otwarty teren, kilka kilometrów, ku pierwszym skałkom, między którymi mogliby się czuć jako tako bezpieczni.

Odległość była większa, niż się to zrazu wydawało, poza tym jednak trzeba było wliczyć nieoczekiwane przystanki, kiedy na przykład „dzieci” nie mogły się oderwać od owcy, skubiącej trawę. Nawet w tym stanie nerwów, w jakim była teraz, gdy na każdym kroku wypatrywała czyhającego niebezpieczeństwa, nie mogła się oprzeć refleksji: jakie to dziwne, iż w tym niezwykłym świecie zamieszkuje zwierzę tak „ziemskie”, jak owca.

Skałki były coraz bliżej i ostatni odcinek przebyli prawie biegiem. Jeszcze kilka sekund... już! Dopadli celu!

Nagle rozległ się okropny ryk, który sprawił, że zamarli bez ruchu. Przed nimi wyłoniła się potężna sylwetka, potem druga. Dwójka! Wielki osobnik płci męskiej i drugi żeńskiej, którzy albo czekali na nich za skałką, albo też zajmowali się tutaj jakimiś swoimi sprawami. Nie było to zresztą istotne.

Nikki wrzasnęła i cała trójka puściła się znowu pędem, ale stwory, kiedy się ocknęły z pierwszego zaskoczenia, okazały się bardzo szybkie. Olbrzymia łapa schwyła Nikki, najwolniejszego z uciekinierów, a potem rzuciła ją niczym zerwany owoc drugiemu potworowi.

Wielki „mężczyzna” schwytał najpierw Mavrę. Chociaż nie była słamazarą, na jej dziesięć kroków olbrzymiemu cyklopowi wystarczały dwa, schwywanie jej w olbrzymie łapy nie sprawiło mu więc żadnego kłopotu. „Kobieta” podeszła od tyłu, schwyła ją z zadziwiającą delikatnością i wróciła pomiędzy skały.

Renard pobiegł przodem, kiedy krzyk Mavry zmusił go, by się obejrzał. To wystarczyło: wielki potwór chwycił go, nie reagując na rozpaczliwe próby obrony. Odwrócił się, trzymając człowieka niby wielką lalkę, i dołączył do swej towarzyski pod osłoną skał. Był tam niewielki obóz, najwidoczniej służący okolicznym pasterzom za przejściowe schronienie. Wielka, z gruba ciosana drewniana wiata, przykryta słomianymi matami, olbrzymie, grubo tkane wełniane koce, a na zewnątrz rodzaj paleniska z wypełnioną węglowym żarem kotlinką i prymitywnym grillem z lanego żelaza. Najwidoczniej bywali wśród nich amatorzy gotowanego mięsa, na rożnie tkwiła świeżo ubita, odarta ze skóry owca. Cyklopy

wrzuciły całą trójkę na jeden z tych wielkich drewnianych wozów, których burty miały ze trzy metry wysokości.

Mavra się rozejrzała. Wnętrze wozu śmierdziało jak nieszczęście i nawet nie próbowała zgadnąć, z czym jej się ten smród kojarzy. Tu i ówdzie poniewierały się wysuszone resztki roślinne, a nawet cała bela siana. Nikki, z płaczem przycupnęła w kącie, a z Renardem było niewiele lepiej.

Mavra przyjrzała się ściankom skrzyni. Deski dawały jakieś oparcie dla stóp, a w butach, teraz niemiłosiernie ubłoconych, powinna jeszcze mieć swój złodziejski sprzęt. Być może miała szansę się wydostać.

No, tak — pomyślała wracając wzrokiem do swoich „dzieci”. — Ona pewnie tak, ale oni — w żadnym wypadku. Jej jad na nic się tutaj nie zda, wypróbowała obie substancje na obu cyklopach, bez żadnego skutku. Być może cała ich budowa była na tyle odmienna, że nie reagowały na te środki; możliwe również, że przyczyna tkwiła w samych ich rozmiarach, które wymagałyby znacznie większych dawek jadu. Zresztą nie miało to akurat żadnego znaczenia. Tu kończyła się jej misja, i nie mogła nie spojrzeć prawdzie w oczy: zawiodła.

Stając na palcach, wyjrzała przez szparę pomiędzy deskami. Widać było, że między parą cyklopów toczył się jakiś spór. Świadczyły o tym niedwuznaczne gesty, ujadanie i chrząkanie.

Wreszcie „mężczyzna” wydał się ustępować, poszedł pod wiatę i wyciągnął stamtąd dużą żelazną kratę. Mavrze od razu niedobrze się to kojarzyło, i — jak się okazało — miała rację. Stwór podszedł do wózka, zajrzał do środka z dziwną miną, a potem z hukiem położył kratę, zamykając pudło. Chrząknął i poszedł sobie. Za chwilę usłyszeli odgłosy mlaskania i żucia. Mavra przyjrzała się kracie. Oczka były zbyt małe, by mogła się przez nie precyzyjnie, w każdym razie tak to oceniła z perspektywy dna skrzyni. Lane żelazo, żadnych szans, by je podźwignąć.

Usiadła zrezygnowana, próbując wymyślić jakiś fortel, który pozwoliłby im uniknąć zjedzenia przez potwory.

## Strefa Południowa

Ben Julin budził się powoli, jęcząc żałośnie. Próbował się ruszyć, ale każde poruszenie przeszywało go okropnym bólem. Zorientował się, że jest w jakimś łóżku, nagi, przykryty czymś w rodzaju koca.

Otworzył oczy, znowu jęknął i zamknął je. Upłynęło dobrych kilka sekund, zanim odważył się znowu spojrzeć.

Ciągle tam były.

Tuż obok niego stał wielki, pokryty futrem stwór w laboratoryjnym kitlu, z zawieszonym na szyi instrumentem, wyglądającym na zmodyfikowany stetoskop. Najbardziej przypominał gigantycznego bobra, ze wszystkimi jego cechami z dwoma wielkimi siekaczami włącznie. Tylko oczy miał inne: jasne i czyste, w kolorze ciemnego złota, promieniujące inteligencją i ciepłem. Za nim stał sześcioreki wężowiec imieniem Serge Ortega, spoglądający uważnie znad swego śnieżnobiałego wąsa. Dziwacznej scenerii dopełniał trzeci mieszkaniec Świata Studni, wielki „ogórek”.

Julin rozejrzał się z trudem i dostrzegł postać Renarda, odzianego w coś w rodzaju wielkiego płaszcza — pelerynę, związaną pod szyją; stał pod drzwiami z wyrazem znudzenia na twarzy. Wydawało się, że jest jakoś wyłączony z całej tej sceny.

Oczywiście i postać, i sposób bycia należały do Renarda, ale promieniująca zeń aura pewności siebie i opanowania zdradzała dowodnie Antora Treliga, w każdym razie w oczach Julina. Przypomniało mu to ostatnie ostrzeżenie Treliga, spróbował się więc odprężyć, starając się schować swoje prawdziwe ja za Mavrę Chang.

— Gdzie jestem? — wykrztusił, kaszląc.

— W szpitalu — odpowiedział dziwaczny bobrokształtny stwór. Julin z zaskoczeniem stwierdził, że używa on zwyczajnego języka Konfederacji — co prawda z pewnym wysiłkiem, ale na tyle skutecznie, że można go bez trudu zrozumieć.

Teraz odezwał się wężowiec, władający mową Konfederacji znacznie sprawniej.

— Doktor Muhar należy do rasy Ambreza — wyjaśnił, o ile taka deklaracja cokolwiek mogła wyjaśnić przybyszom. Zorientowawszy się, dorzucił: — Jest

sześciokąt Świata Studni, w którym mieszkają również wasi pobratymcy. Ambreza są ich sąsiadami. Waszym ludziom nie powodziło się najlepiej, więc Ambreza przywykli borykać się z waszymi problemami zdrowotnymi. Dlatego właśnie go tu sprowadziliśmy.

— Co się ze mną stało? — spytał Ben, ciągle niezdolny wykonać choćby najmniejszy ruch.

Ambreza odwrócił się do Ortegi, który mówił dowolnym językiem jak swoim własnym.

— Spadliście w Polarnych Wrotach — przypomniał mu wężowiec. — Kiedy zdjęliśmy z ciebie kombinezon, nie prezentowałeś się najlepiej. Cały w siniakach, trzy żebra złamane, jedno, powykręcane na wszystkie strony, przebiło po drodze kilka organów.

— Czy możecie mnie wyleczyć? — spytał Julin, zmartwiony.

Ambreza mlasnął.

— Owszem, ale to potrwa dość długo — powiedział wysokim głosem, brzmiącym jak płyta gramofonowa na zbyt wysokich obrotach. — Nie będzie to jednak potrzebne. Przepuścimy cię przez Studnię.

Julin bezskutecznie spróbował się poruszyć. Narkotyki? Zresztą — co za różnica?

— Renard wszystko nam opowiedział — wyjaśnił Ortega. — Wszyscy mieliście ciężkie przejścia. Chciałbym, żebyście się trochę pokręcili, ale zarówno Renard, jak i obywatelka Zinder mają problem z gąbką, a to da się wyleczyć tylko przez Studnię. Twoje obrażenia są bardzo groźne. Nie wiem, jakim cudem zdołałeś zająć tak daleko.

Julin się roześmiał.

— To ze strachu. Kiedy ci się kończy powietrze, ból nie wydaje się taki ważny.

Wężowiec kiwnął głową.

— Wyobrażam sobie. Prawidłowa postawa. Aby uratować ci życie, musieliśmy jak najszybciej przeprowadzić operację, to znaczy zrobił to doktor Muhar i jego współpracownicy. Jedynym naszym celem było ratowanie życia, dlatego wybraliśmy najprostszy sposób. Nie chcę, żebyś, słysząc to, wpadł od razu w panikę, ponieważ zmiana nie jest trwała, ale na razie jesteś całkowicie sparaliżowany.

Mimo wszystko Julin był wstrząśnięty. Kłębiły się w nim emocje, jego własne, albo być może Mavry Chang, a może obojga. Prawie ze zdziwieniem stwierdził, że cicho płacze.

— Powiedziałem przecież, że nie jest to trwały stan — zapewnił Ortega przybitego pacjenta. — Zresztą w Świecie Studni nic nie jest trwałe, i to nie tylko od razu po przybyciu, ale nawet i później. Weź na przykład choćby mnie. Kiedyś, kiedy tu wylądowałem, byłem człowiekiem twojej rasy, twardym i małym, tak jak ty. Świat Studnia leczy to, co się pokrzywiło, ale też i wprowadza zmiany.

Julin z trudem się powstrzymywał, by nie chlipnąć głośno.

— Co... co masz na myśli?

— Czekałem z tym, aż dojdiesz do siebie. Nie marnowałem jednak czasu. Teraz przynajmniej wiemy już, z czym mamy do czynienia, i choćby z tej racji powinniśmy czuć ulgę. — Odwrócił się do Treliga i kiwnął głową. — Wprowadźcie dziewczynę.

Trelig wyszedł na chwilę, a potem wrócił z Zinderem. Julin przekonał się z ulgą, że zmiany, które wprowadzili na małym aparacie, są jak na razie trwałe. Zinder zareagował na Julina dokładnie tak, jak prawdziwa Nikki zareagowałaby na widok prawdziwej Mavry Chang.

— Jak już powiedziałem, chciałem zatrzymać tutaj przynajmniej jedno z was na jakiś czas, dopóki nie skoordynujemy naszych działań w tych nowych warunkach — ciągnął Ortega — ale ze względu na chorobę gąbkową u dwojga i krytyczny stan obywatelki Chang, nie będzie to możliwe. Żeby wam pomóc, musimy mieć znacznie lepsze wyposażenie niż w tej klinice. Dlatego właśnie Rada Ambasady postanowiła zrobić jak najszybciej odprawę i przeprowadzić was przez Studnię.

Teraz odezwał się Trelig, po raz pierwszy od początku rozmowy.

— A więc to właśnie jest ambasada? Domyślałem się tego.

Ortega potwierdził ruchem głowy.

— Mają tu swój kąt wszystkie bez wyjątku sześciokątne Półkuli Południowej, chociaż nie wszystkie z niego korzystają. Jest to jedyna droga porozumiewania się pomiędzy nimi. Cały Świat Studnia liczy sobie 1560 sześciokątów. 780 boków leży po południowej stronie Bariery Równikowej; zresztą mogliście się przekonać, że jest to bariera w zupełnie dosłownym znaczeniu tego słowa. Formy życia po tamtej stronie opierają się na węglu lub też przynajmniej mogą egzystować w środowisku opartym na węglu. Po stronie północnej leży następnych 780 boków, w których życie opiera się na innych niż węgiel podstawach. Poznaliście Uchjin na Północy, wiecie więc, jak egzotyczne mogą być niektóre tamtejsze stwory.

Cała trójka zgodnie poświadczyła.

— No dobrze, pozwólcie, że wyjaśnię wszystko od początku. Historia tego miejsca zaczyna się od rasy istot, które ludzie nazywali Markowianami. Przedstawiciele tej wielkiej rasy przypominali olbrzymie ludzkie serce z rozmieszczonymi w równych odstępach sześcioma mackami. O ile systemy liczbowe ludzi oparte były na piątkach, dziesiątkach albo dwudziestkach, ich matematyka oparta była na systemie szóstkowym. Liczba ta wycisnęła piętno na całym ich życiu — dlatego właśnie mamy tu sześciokąt i stąd ich liczba 1560, niemalże doskonała dla istot myślących szóstkami. Istnieje nawet teoria, zgodnie z którą występowały w sześciu odmianach płciowych, ale tym akurat nie będziemy się tu zajmować. W każdym razie, uważamy, iż osiągnęli najwyższy stopień ewolucji fizycznej, ja-



ki można osiągnąć, a poza tym — i to akurat jest równie ważne — najwyższy możliwy poziom techniczny. Ich światy były rozrzucone w wielu galaktykach — podkreślam — nie systemach słonecznych, ale właśnie galaktykach. Budowali lokalny komputer, programowali w nim całą swoją wiedzę, a potem pokrywali go skalnym płaszczem. Budowali swoje miasta, a każdy przedstawiciel tego gatunku utrzymywał intelektualną łączność z lokalnym mózgiem. Jediną wspólną ramą odniesienia była architektura, ponieważ, z racji swojego połączenia z lokalnym mózgiem, mogli po prostu zażyczyć sobie, co dusza zapagnie, a komputer dbał o materializację tych życzeń, transformując energię w materię.

— Wygląda to jak opowieść o bogach — zauważył Trelig. — Co się z nimi stało? Trochę o nich wiem. Na przykład — że wszyscy wymarli.

— Z wyjątkiem jednego — zgodził się Ortega. — Z grubsza rzecz biorąc, można powiedzieć, że zabiła ich zwykła nuda. Byli nieśmiertelni, mogli spełniać dowolne życzenia, ale czuli, że coś się w tym wszystkim psuje, że ich istnienie przeżera jakaś dekadencja... albo że im czegoś niedostaje. Nie wystarczał im osiągnięty wysoki poziom materialnego rozwoju. Dlatego też zebrali swoje co najcieńsze umysły... a jakież to mózgi musiały być! — i ostatecznie zdecydowali, że w którymś momencie ich rozwój poszedł złym torem. Stanęli przed wyborem — albo ich rasa zgnije, umrze w rozkoszach raj, albo też spróbują czegoś innego.

— Czegoś innego? — nie wytrzymał Ben.

Ortega się poruszył. — Najpierw zbudowali Świat Studnię, swoisty komputer najwyższej instancji. Nie był to już, tak jak dotąd, cienki płaszcz komputera otulający prawdziwą planetę, lecz duża planeta, cała będąca jednym wielkim sztucznym mózgiem. Pomyślcie — jeżeli cienka warstwa mogła w skali lokalnej wytwarzać dowolne przedmioty, jaka musiała być moc planety o obwodzie czterdziestu tysięcy kilometrów, która sama była litym komputerem!

— Ale dlaczego na wierzchu dodali jeszcze te wszystkie sześciokąty z całym bogactwem zamieszkujących je ras? — spytał Trelig węzowca.

— To był następny etap przedsięwzięcia, które podjęli — odparł Ortega. — Zaprzęgli do tego największych mistrzów swojej rasy we wszystkich dziedzinach sztuki i filozofii. Każdemu dano po jednym sześciokącie, w którym mógł rozwijać swój talent. Każdy sześciokąt jest miniaturowym światem. W pobliżu równika długość boku wynosi około trzystu pięćdziesięciu pięciu kilometrów, a więc największa odległość boków wynosi sześćset piętnaście kilometrów. Wszystkie boksy zostały bardzo starannie urządzone. W każdym pozwolono autorom tej „aranżacji” stworzyć kompletną, niezależną i zdolną do przetrwania biosferę, z jedną dominującą formą życia i innymi gatunkami, dopełniającymi zamknięty ekosystem. Początkowo dominującym gatunkiem byli ochotnicy spośród samych Markowian.

Trelig nie potrafił ukryć zdumienia.

— Chcesz powiedzieć — wtrącił — że porzucili raj tylko po to, by stać się czyjąś igraszka?

Ulik wzruszył ramionami, co przy jego sześcioramienności było gestem pełnym ekspresji.

— Nuda, o której wspomniałem, sprawiła, że ochotników było pod dostatkiem. Stali się śmiertelni, musieli przyjąć reguły gry, ustalone przez fachowców zarządzających poszczególne boksy, musieli wreszcie wykazać funkcjonalność przyjętych rozwiązań. Jeżeli system się sprawdzał, centralny komputer tworzył opartą na jego regułach biosferę gdzieś w głębi kosmosu i prznosił do niej mieszkańców danego sześciokąta. Można było nawet manipulować tempem przemijania czasu. Świat, w którym lądowali, pozostawał w zgodzie z prawami fizyki, nawet jeśli został stworzony w przyśpieszonym tempie. W stosownym punkcie ewolucji — pstryk! — pojawiali się mieszkańcy. Opuszczony przez nich sześciokąt zaludniano nową rasą i cały eksperyment zaczynał się od początku.

— Chcesz powiedzieć — zauważył Julin — że wszyscy jesteśmy Markowianami, to znaczy ich potomkami?

— Tak — potwierdził Ortega — dokładnie tak. Rasy, które teraz zamieszkują Świat Studnię, są ostatnim pokoleniem — to znaczy potomkami ostatniego pokolenia. Niektórzy nie przenieśli się albo nie chcieli się przenieść, zwłaszcza wtedy, gdy Markowianie byli zbyt już nieliczni, by nadzorować projekt. My tutaj jesteśmy produktem ubocznym zwijania całego przedsięwzięcia.

— I te rasy żyją tu od tamtego czasu? — spytał Trelig.

— O, tak — odparł Ortega. — Przecież mamy tutaj coś takiego jak upływ czasu. Starzejemy się, umieramy. Niektórzy umierają młodo, inni żyją dłużej, niż potraficie sobie wyobrazić, ale następuje jednak wymiana pokoleń. Liczba mieszkańców danego sześciokąta jest regulowana przez komputer: jeśli zbyt szybko wzrasta, stopa urodzin zmniejsza się na pewien czas. Odwrotnie dzieje się tam, gdzie dana populacja zostaje przetrzebiona kłeskami żywiołowymi, walkami wewnętrznymi czy jakimikolwiek innymi czynnikami. Oczywiście liczba mieszkańców w każdym sześciokącie jest inna. Niektóre populacje nie przekraczają dwustu pięćdziesięciu tysięcy, inne sięgają nawet trzech milionów.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego na planecie nie szerzą się zarazy i kłeski żywiołowe — powiedział Julin. — Dlaczego nie ma tu wojen? Przecież obcość poszczególnych ras powinna pociągać za sobą również wrogość.

— To prawda — przyznał Ortega. — Przyczyną jest coś, co można by określić jako prawidłową inżynierię systemów. Zarazy są, owszem, ale ich rozprzestrzenianie się może być powstrzymane za pomocą subtelnych zmian składu gleby czy atmosfery. Prócz tego istnieją bariery geograficzne — góry, oceany, pustynie. Jest tu obfitość bakterii i wirusów, ale zróżnicowanie poszczególnych ras jest tak duże, że mikroby atakujące jeden gatunek okazują się nieszkodliwe dla innych.

Urwał na chwilę, a potem przypomniał sobie drugą część pytania.

— Co do wojen — ciągnął — to nie ma ich z przyczyn praktycznych. Oczywiście, są lokalne utarczki, ale nie przybierają one katastrofalnych rozmiarów. Poszczególne sześciokąty są urządzone według odmiennych reguł. Sądzimy, że u podstaw tego zróżnicowania leżał zamiar odtworzenia problemów niedoboru zasobów, jakie mieli napotykać mieszkańcy „pełnowymiarowych projekcji” tutejszych eksperymentów. Jak już powiedziałem, nie można gwałcić praw przyrody. Dlatego też w pewnych sześciokątach funkcjonują dowolne mechanizmy. W innych natomiast rozwój technologiczny zostaje ograniczony, co — na przykład — może spowodować, że funkcjonuje w nich maszyna parowa, ale już nie prądnicą. W jeszcze innych jedynym napędem może być siła mięśni. Doświadczyliście tego w waszym statku — wpadliście w strefę ograniczonej techniki, statek odmówił posłuszeństwa... i dalszy ciąg już znacie.

Trelig rozchmurzył się.

— A więc to tak! To dlatego na pewien czas odzyskaliśmy moc i mogłem opuścić skrzydła i odsłonić pokrywy okien! Przelatywaliście nad wysokotechnologicznym sześciokątem!

Ortega znowu przytaknął:

— Właśnie.

— Ale dlaczego — zastanawiał się głośno Julin — sześciokąt technologiczny nie zawładnie swym nietechnologicznym sąsiadem?

Serge Ortega był wyraźnie ubawiony.

— Tak by się mogło zdawać, prawda? Cóż z tego, skoro tak to się nie da zrobić. Sześciokąt wysokotechnologiczny uzależnia się od swoich maszyn, tak jak wy, kiedy byliście po stronie Północy. Poznaje budowę maszyn latających, czemu nie fantastycznych broni — a potem ma napaść na sześciokąt, w którym wszystkie te miłe zabawki przestają funkcjonować. Natomiast, kiedy graniczą ze sobą dwa sześciokąty podobnego typu, to akurat wtedy jeden składa się z ładu, a drugi — z wody, albo jeden ma atmosferę bardzo niemiłą dla sąsiadów, albo i są jeszcze inne przeciwwskazania zniechęcające do podejmowania walki. Dawno, dawno temu był wprawdzie rzeczywiście pewien generał, który próbował podbojów, sprzymierzając się z różnymi sześciokątami, by zawsze mieć na podporządku odpowiedniego sojusznika, ale system ten funkcjonował tylko do pewnego momentu. Musiał ominąć niektóre sześciokąty z racji niesprzyjających warunków atmosferycznych, trudnego terenu i tym podobnych i w końcu złapał się w pradawną pułapkę nadmiernie rozciągniętych dróg zaopatrzenia. Ostatecznie zniszczyły go właśnie te ominięte boksy. Wszystko to działo się przed tysiąc stu laty z górą i od tego czasu nie było tu wojen. — Na chwilę zapadła cisza, a potem odezwał się Trelig:

— No dobrze, wiem, jak my się tu dostaliśmy, ale... powiadasz, że byłeś kiedyś człowiekiem jak my. Jak więc ty się tu znalazłeś?

Ortega wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Cały czas ktoś tu zagląda — mniej więcej setka przybyszów na rok. Kiedy ostatni Markowianie opuścili swoje planety, pozostawili na chodzie lokalne komputery, których po prostu nie dało się wyłączyć. Istnieje jakiś rodzaj połączenia wiążącego wszystkie te światy z tutejszym mózgiem. Ostatni z nich nie mógł zatem zamknąć za sobą drzwi. Otwierały się zawsze, ilekroć ktoś zapragnął, by się otworzyły, a te stare mózgi nie potrafią odróżnić późnych i bardzo odmienionych potomków od pierwowzoru. Kiedy więc ktoś naprawdę chce, by drzwi się otworzyły, ląduje właśnie tutaj. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, których to dotyczy, nie jest nawet świadomych istnienia tych drzwi. Po prostu pragną znaleźć się gdzie indziej lub stać się kimś innym, albo też myślą sobie, przelatując w pobliżu wrót, jakby to było dobrze, gdyby wszystko było inaczej. Ja na przykład wleciałem przez takie wrota, w sensie zupełnie dosłownym, na planetę, z której prócz nich właściwie niewiele już zostało.

— Wiedziałeś o wrotach? — dopytywał się Julin.

— Nie, oczywiście, że nie. Robiłem się coraz starszy i coraz bardziej znudzony, przyszłość jawiła mi się jako monotonna mordęga, zakończona nieuniknioną śmiercią. W zawodzie pilota człowiek zaczyna się za bardzo grzebać we własnej duszy. I trach — obudziłem się tutaj.

— A w jaki sposób przeistoczyłeś się w ogromnego węża? — spytał Trelig bez odrobiny zażenowania.

Ortega zachichotał.

— No cóż, kiedy się tutaj ląduje, zawsze ktoś wychodzi na powitanie. Jesteś Przybyszem, tak się to tutaj określa. Udziela ci się wszelkich niezbędnych informacji, o ile jest to możliwe, a później przerzuca przez Wrota Studni. W zasadzie operacja ta jest czymś w rodzaju „przepuszczenia przez komputer”. Według systemu klasyfikacyjnego, którego nie znamy i nie rozumiemy, komputer odtwarza cię w postaci jednej z siedmiuset osiemdziesięciu ras zamieszkujących Świat Studnię i wrzuca do stosownego sześciokąta. Komputer zapewnia podstawową aklimatyzację, więc dość szybko przyzwyczajasz się do nowej powłoki. Potem jesteś już zdany tylko na siebie.

— Ale system transmisji materii nadal funkcjonuje — zauważył Trelig.

— I tak, i nie — odparł Ulik. — Zazwyczaj w każdym sześciokącie są Wrota Strefy, czasami nawet para. Za ich pomocą można się przenieść tutaj, do Południowej Strefy Biegunowej, z dowolnego sześciokąta, można też wrócić tą samą drogą. Jeśli znajdziesz się o dziesięć sześciokątów stąd i przejdiesz przez Wrota, i tak wylądujesz tutaj, a potem w swoim macierzystym boksie. Natomiast Wrota Studni są rodzajem zaworu, przez który można się tu dostać z któregoś ze światów Markowa, ale nie można przez niego wrócić. Podejrzewam, że rozwiązanie to miało udaremnić rejteradę tym pierwotnym ochotnikom, którzy się później rozmyślili. Istnieją również wrota łączące Strefę Północną i Południową, przez które wy przeszliście. Uchjin — stwory, wśród których wylądowaliście — nie znali

was, wiedzieli jednak, że nie jesteście z ich boksu ani w ogóle z Półkuli Północnej. Przesłali was do Strefy Północnej, a stamtąd trafiliście już tutaj. A teraz wam przyjdzie przejść przez Studnię.

Trelig miał niewyraźną minę.

— Staniemy się kimś innym? Jakimiś innymi stworzeniami? — pytał, wyraźnie strapiiony.

— Właśnie. — Ortega kiwnął głową. — Oczywiście macie szansę jedną na siedemset osiemdziesiąt zostać tym, co nazywacie człowiekiem, ale przyznacie, że to niewiele. Musicie przez to przejść, nie macie wyboru. Innej drogi nie ma.

Wiedzieli, że mówi poważnie.

— A ci inni... Przybysze? Czy są wśród nich istoty „niehumaniczne”?

— No pewnie! — odpowiedział Ulik. — Cała masa. Tak naprawdę — większość. Bywają prawdziwe niespodzianki — stworzenia, którym tutaj obca jest wszelka technika, udowadniające, że łatwiej jest tam, gdzie są, niż tu. Bywają też stworzenia wysokotechnologiczne, których nigdy tu nie spotykano. Nawet na Północy mają pokaźną gromadkę, prawie tyle samo, co my. Mamy tu też kolekcję kombinezonów kosmicznych w kształcie i rozmiarach, których istnienia nigdy byście się nie domyślali. Czasami z nich korzystamy, kiedy ktoś musi iść na Północ. Rozwijamy tu trochę handel. Mamy na przykład maleńkie urządzenia translacyjne, hodowane w krystalicznym świetle na Północy, który dla siebie tylko znanych powodów potrzebuje z kolei żelaza. Urządzenia działają zupełnie dobrze. Jeżeli ktoś ma coś takiego, rozumie przedstawiciela dowolnej rasy, choćby najbardziej mu obcej, i jest przez niego rozumiany.

— Czy chcesz powiedzieć, że nie macie tu wspólnego języka? — prawie wykrzyknął Julin.

Ortega znowu zaniósł się tym swoim głębokim, gardłowym rechotem.

— O nie! Tysiąc pięćset sześćdziesiąt ras, tysiąc pięćset sześćdziesiąt języków. Kiedy życie jest odmienne i całe środowisko jest inne, myśleć musisz też inaczej. Po przejściu przez Studnię myślisz od razu w języku swojej nowej rasy. Jednakże nawet teraz muszę tłumaczyć, ćwicząc z innymi Przybyszami. Zdobyłem w tym sporą biegłość.

— A więc nadal będziemy pamiętać język Konfederacji? — raczej stwierdził, niż zapytał Trelig.

— Pamiętać, owszem — odparł wężowiec. — Będziecie się nim mogli również posługiwać, o ile wasza budowa anatomiczna na to pozwoli. Translator ma jednak także swoje wady. Tłumaczenie następuje automatycznie, opanowanie więc trzeciego języka jest niemal niemożliwe. Z drugiej strony — używając translatora nie będziecie go właściwie potrzebowali. Jeżeli jednak wasza nowa rasa będzie się nim posługiwała, postarajcie się o nie. To przydatne urządzenia. — Urwał, przez chwilę patrzył na „roślinę” i Ambreza, jak gdyby zauważył pogłębienie się paraliżu Julina. — Myślę, że już najwyższa pora — zakończył łagodnie.

Tamci przytaknęli w milczeniu, wszedł drugi Ambreza i wspólnie przenieśli Julina ostrożnie na nosze.

— Ale ja nie. . . — zaczął się opierać Trelig, lecz Ortega przerwał mu w pół zdania.

— No dobrze, takie pytania można stawiać w nieskończoność, ale nie zmienia to faktu, że chorujesz na gąbkę, a dziewczyna ma może jeszcze pilniejsze potrzeby. Jeżeli kiedyś dostaniesz się do Wrót Strefy, wpadnij, to pomówimy. Ale teraz musisz ruszyć. — Ton Ortegi nie dopuszczał sprzeciwu. Fakt, że ani Trelig, ani Zinder naprawdę nie chorowali na gąbkę, nie miał tu nic do rzeczy. Musieli się trzymać wersji, którą sami wymyślili.

W końcu przeszli do pomieszczenia przypominającego Wrota Strefy, przez które przeszli poprzednio z Północy na Południe.

Pierwszy przeszedł Julin — nie miał zresztą wyboru. Podziękował wszystkim, wyrażając nadzieję, że jeszcze ich kiedyś spotka. Potem noszowi podnieśli Mavrę na tyle, że wpadła w czarną ścianę. Zindera trzeba było uspokajać i przekonywać, wreszcie jednak poszedł. Zrezygnowany Trelig został sam z dziwną kolekcją obcych stworów. Tak wiele chciał się jeszcze dowiedzieć, ale jego pozycja była teraz bardzo słaba. Poczekamy, zobaczymy, nadejdą jeszcze dobre czasy — powiedział sobie.

Wkroczył w mrok.

Ortega z westchnieniem zwrócił się do Vardii:

— Jakież wieści o tamtym statku? — spytał.

— Żadnych — odpowiedział mieszkaniec Czill, poruszające się stworzenie-roślina. — Czy nadal uważasz, że to ważne?

— Jeszcze jak. Jeżeli to, co mi powiedzieli, jest prawdą, mamy do czynienia z wysokiej klasy opryszkami, i to bardzo pewnymi siebie. Dwóch z nich ma gruntowną znajomość markowiańskiej matematyki. To bardzo niebezpieczni ludzie. Jeżeli dostaną się w niepowołane ręce, a statek uda się na tyle zmodyfikować, że będą nim mogli wrócić na te Nowe Pompeje i uruchomić komputer, to być może będą mogli uporać się z problemami. Zdołają wtedy uzyskać kontrolę nad Studnią!

— No, nie przesadzajmy — mieszkaniec Czill nie był przekonany.

Ortega westchnął.

— Dobra, przypomnij więc sobie śmiesznego Żydka imieniem Nathan Brazil. Pamiętasz przecież, kim był, choć z początku też nie chcieliśmy w to wierzyć.

„Ogórek” pochylał się, przyznając teraz rację Ortedze.

— Ostatnim żyjącym przedstawicielem cywilizacji Markowa — powiedział cicho.

— Ciekawe, dlaczego obecna kryzysowa sytuacja jeszcze go tu nie ściągnęła? — zastanawiał się głośno Ortega.

— Bo to jest tylko nasz kryzys — odparła Vardia zdecydowanie. — Pamiętaj, że dla Studni to nie jest w ogóle żaden problem.

## W pobliżu granicy Teliagin-Kromm, o zmroku

Po stoku wzgórza schodziła w ciszy malutka postać, potem dołączyła do niej druga i trzecia. W pobliżu unosiły się inne postacie, ich skrzydła nie wydawały najmniejszego szmeru.

— Tam! — szepnął jeden z obserwatorów, wskazując wiatę w dole, a obok wóz, na którym uwięziono Mavrę Chang, Renarda i Nikki Zinder.

— W jaki sposób udało im się dotrzeć tak daleko? — zastanawiał się głośno jego towarzysz.

Pierwszy, przywódca, podzielał jego zdumienie. W przeciwieństwie do cyklopów byli obdarzeni zdolnością doskonałej obserwacji w ciemności. Mimo iż widzieli również w dzień, w zasadzie byli stworzeniami nocnymi.

Jeden z nich popatrzył w stronę śpiących z głośnym chrapaniem cyklopów.

— Wielgachne, prawda? — powiedział cicho.

Przywódca skinął głową.

— Będziemy musieli ich ukłuć, i to szybko. Nie byłoby bezpiecznie, gdybyśmy im dali za dużą dawkę.

— Czy jad będzie działał? — spytał jeden z nich.

— Na pewno. Wszystko sprawdziłem już przed odlotem.

— Gdyby tak można było użyć tu strzelby — marzył towarzysz przywódcy, ciągle pełen wątpliwości. — Zawsze pozostaje jakieś ryzyko.

Przywódca westchnął.

— Wiesz przecież, że to sześciokąt nietechnologiczny. Może coś w rodzaju kuszy, owszem, ale przecież nie mieliśmy czasu, by szperać po muzeach czy prywatnych zbiorach. — Na chwilę zapadła cisza, było widać, że przywódca waży ostateczne decyzje. Zawsze lepiej dowodzić wojskiem, niż czekać na nie.

— Jebbi, Tasala, Miry — bierzecie na siebie tego większego. Sadi, Nanigu i ja zajmujemy się tym drugim. Vistaru weźmie Bahage i Asmaro, zajmiecie się więźniami. Reszta ma być w pobliżu, gotowa do akcji. Możecie być potrzebni w każdej chwili.



Uczestnicy akcji potwierdzili przyjęcie rozkazów. Trójka na zboczu unosiła się swobodnie w górę, poszczególne zespoły ruszyły do swoich zadań.

\* \* \*

Mavra Chang spała. Chyba sto razy wspinała się do tej kraty, za każdym razem bliska upadku, ale nie udawało jej się przesunąć tego świństwa choćby o centymetr. Położyła więc „dzieci” spać i sama poszła w ich ślady.

Nagle usłyszała hałas, zupełnie jakby coś ciężkiego opadło na kratę! Hałas nie tylko ją obudził, ale na moment wprowadził w popłoch. Potem, przypominając sobie, gdzie jest, popatrzyła w górę. Istotnie, na kracie stał jakiś wielki kształt, który przez drobne oczka trudno było rozpoznać.

— Czło-wiek. Słyszysz mnie, czło-wiek? — powiedział ktoś dziwnym, miękkim szeptem. Słowa były dziwacznie akcentowane, ale z intonacji można się było domyślać niewielkiej, seksownej kobiety.

— Słyszę cię! — odparła Mavra Chang głośnym szeptem, z nadzieją rosnącą w sercu.

— Będziemy teraz usypiać tamtych dużych, człowieku — powiedział stwór. — Przygotujcie się do wyjścia.

Mavra wyteżyła wzrok, próbując rozpoznać ich wybawcę, ale w panującym mroku był on po prostu tylko plamą jaśniejszej czerni.

Nagle rozległ się ryk. Obudził się wielki cyklop — mężczyzna, wściekły i podniecony. Wyrzucił z siebie serię charknięć, które zapewne były przekleństwami, a potem wydał okrzyk, niechybnie będący oznaką bólu. Mavrę dobiegł łoskot padającego cielska, a potem ryk, wrzask i wreszcie łoskot walącego się drugiego potwora.

Cóż to za potwory, którym tak łatwo przychodzi powalenie tak potężnego stworzenia — pomyślała Mavra.

Teraz dobiegł ją odgłos następnych wybawicieli, lądujących na kracie. I to było dziwne — pokrywa była wielka, wszem, ale chyba nie aż tak wielka.

Słyszała, jak rozmawiają — dziwnym językiem, brzmiącym słodko, jakby potrząsano wiele dzwoneczków naraz. Był to dźwięk bardzo piękny, chociaż obcy wszystkiemu, co ludzkie, bardziej chyba niż chrząkania i pochrapywania cyklopów.

Z góry dobiegały odgłosy krzątania, wiele rąk manipulowało przy kracie przy wtórze rozkazów, wydawanych tym samym dźwięcznym językiem.

Za chwilę odezwał się znowu ten, który mówił językiem Konfederacji.

— Lu-dzie? Ilu was tam jest?

— Troje! — odskrzyknęła Mavra, pewna teraz, że przynajmniej tamto zagrożenie minęło. W przeciwnym razie całej rozmowy pewnie by nie było. — Ale dwoje jest uśpionych — ostrzegła.

Teraz część kraty przysłoniła jakaś postać, która z perspektywy dna paki wydawała się bardzo mała.

— O, tak, teraz widzę — dobiegł głos z góry. Stwór formułował z widocznym trudem zdania w obcym języku. — Będziemy musieli przesunąć kratę, więc się do nich przybliż.

Mavra posłuchała.

— Tak dobrze? — zawołała.

— Dobrze jest — odpowiedział stwór i oddalił się. Nie wstał i nie odpełził — oceniła. Po prostu odszedł. Nieznani wybawiciele coraz bardziej ją intrygowali. Zresztą — jakie to miało znaczenie — kto to był czy co to było. Każde rozwiązanie w jej sytuacji było dobre, tajemniczy goście bez wątpienia przybyli tu z misją ratunkową, a na dokładkę jeden z nich mówił jej językiem.

Teraz z góry dochodziły odgłosy ciągnięcia i mozolnego windowania. Krata przesunęła się odrobinę, a potem opadła znowu w dół. Goście przywiązali do niej pewnie sznury, próbując ją odciągnąć na bok, ale ogromny ciężar nie poddawał się tak łatwo. Harmonijny brzęk dzwonek wyraźnie się teraz nasilił. Pewnie klną — pomyślała Mavra. — Nawet gdyby to były przekleństwa, to jakże jednak melodyjne! Sądząc po odgłosach, przybywało rąk do pracy. Na dany znak — pojedynczy, niski ton — pociągnęli wszyscy znowu. Krata się uniosła i przez chwilę chwiała się na jednej z krawędzi. Przez moment Mavra się bała, że znowu spadnie, i teraz zrozumiała, dlaczego kazali jej się przesunąć. Ciągnęli dalej i po chwili pokrywa z łoskotem spadła ze skrzyni na ziemię.

Teraz Mavra, korzystając ze zdolności widzenia w nocy, w którą ją wyposażył Obie, mogła przyjrzeć się wybawcy, który spłynął na dno skrzyni i stanął o metr od niej.

Była to maleńka kobieta, a właściwie dziewczyna, wyglądająca na dziesięć lat, wysoka może na metr, o drobnych, delikatnych, idealnie proporcjonalnych rysach. Mavra od razu oceniła, że nie było to dziecko, ale osoba całkowicie dorosła.

Była bardzo szczupła i lekka, na pewno nie ważyła więcej niż 12-15 kilogramów. Mavra spostrzegła też drobne, ale prawidłowo ukształtowane piersi. Na jej twarzy gościł wyraz dziewczęcej niewinności, młodzieńczo-anielski. Niemalże doskonałe rysy — pomyślała.

A potem, zupełnie nagle, dziewczyna rozbłysła. Światło, najzupełniej realne, promieniowało z całego jej wnętrza, ze wszystkich części ciała, niewiarygodny i niewytłumaczalny złoty żar.

Blask ukazał przybysza ze wszystkimi szczegółami: z czerwoną skórą — jakby wyblakłym echem wewnętrznego żaru; z włosami, przystrzyżonymi i ułożonymi na pazia w niebiesko-czarnych pasmach. Po obu stronach głowy dziewczyny sterczała para uszu o spiczastych końcach, a oczy odbijały światło niczym ślepiak kota. Z jej pleców wyrastały cztery komplety skrzydeł równo rozłożone parami, całkiem przezroczyste i odpowiednio długie. Stworzenie uśmiechnęło się i pode-

szło do Mavry, unosząc dłoń w powitalnym geście. Temu ruchowi towarzyszyło lekkie skrzywienie. Wydawało je coś niezmiernie sztywnego, wyrastającego z kręgosłupa dziewczyny i sięgającego aż do samej ziemi. Ten wyrostek był w kolorze znacznie ciemniejszej czerwieni niż jej skóra i był zakończony dość obrzydliwym ostrzem, które nieznacznie zarysowało drewniane dno skrzyni.

— Cześć, jestem Vistaru — powiedział ten sam stwór, który już wcześniej rozmawiał z Mavrą.

— Mavra Chang — przedstawiła się. Rzuciła okiem na śpiącą dwójkę. — Ten wysoki to Renard, ta gruba nazywa się Nikki.

— Renard — powtórzył gość. — Nikki.

Teraz Mavra była w rozterce. Nie bardzo wiedziała, czy to, co zamierza powiedzieć, w jakikolwiek sposób przemówi do Vistaru. Musiała jednak spróbować.

— Oboje znajdują się pod wpływem narkotyku zwanego gąbką — wyjaśniła. — Są w zaawansowanym stadium choroby i potrzebują szybkiej pomocy. Sami już nie mogą sobie pomóc.

Twarz kobiety się nachmurzyła. Powiedziała coś do siebie w swoim języku, wyrażając to po części szczególnym ruchem skrzydeł. Nie ulegało wątpliwości, że wiedziała, co to gąbka.

— Musimy ich stąd jak najszybciej zabrać — powiedziała Vistaru. — A są tacy ciężcy.

Mavra mogła to zrozumieć. Pamiętała, ile wspólnego wysiłku kosztowało gości uniesienie kraty.

— Mogę wyjść o własnych siłach — powiedziała. — Może na zewnątrz będę się mogła na coś przydać.

Latająca kobieta kiwnęła głową, a Mavra ruszyła w górę burty wozu drogą, którą знаła aż za dobrze, z szybkością, która zadziwiła Vistaru. Gdy dobrnęła do górnej krawędzi, przerzuciła przez nią ciało i wylądowała na ziemi z lekkością, jaką sobie wyrobiła, zeskakując z dwupiętrowych drabin. Rozejrzała się dookoła, znowu przypominając sobie, jakby to było dobrze, gdyby mogła skorzystać ze swojego napędu.

Niebo trochę się przetało, i światło docierające z wielkich kulistych gron rozświetliło Niesamowicie dziki krajobraz.

Ujrzała leżące bez życia cyklopy, zwalone na kupę jak gigantyczne góry mięsa. Robiły wrażenie martwych, ale akurat co do tego nie mogła mieć żadnej pewności. Tak czy owak nabrała jednak respektu dla tych twardych, ostrych wyrostków swoich wybawców, które musiały być czymś w rodzaju żądła. Te dziewczynki wiedziały, jak przyładować.

Ekspedycja ratunkowa składała się z piętnastu, może dwudziestu osobników. Unosili się powoli, lekceważąc sobie całkowicie prawa ciężenia. Z bliska ich poruszające się skrzydła wydawały rodzaj buczenia, z daleka jednak ruch ten był zupełnie bezszelestny. Było widać, że powietrze jest ich żywiołem — przemy-

kali w bok szybkim ruchem, potem zawisali nieruchomo, by za chwilę uskoczyć w przeciwną stronę. Niektórzy korzystali przy tym ze swoich wewnętrznych źródeł światła, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Jedni pałali czerwienią i ciemnym złotem, inni zielenią, błękitem, brązem, jedni byli bardzo ciemni, inni za to — promiennie jaśni. Poza tym jednak wszyscy zdawali się identyczni. Niektórzy dźwigali torby, przytroczone do brzuchów; najpewniej mieściły one liny, używane do podnoszenia ciężarów.

Mavra zajęła się teraz sprawą wozu. Najłatwiej pewnie byłoby go wyrzucić. Ale jak to zrobić? Zawołała Vistaru, która podleciała do niej, swobodnie unosząc się w powietrzu.

— Czy możesz zaczepić liny do tej burty? — spytała. — Być może, gdyby część z was pociągnęła z tamtej strony, a ja z resztą popchnęłabym z tej — dałoby się go wyrzucić.

Vistaru zastanowiła się, a potem podleciała do unoszącego się nieco wyżej jasnobłękitnego pobratymca. Zadźwięczała melodyjna rozmowa. W blasku światła Vistaru błękitny osobnik, z wyłączonym wewnętrznym źródłem światła, ku niejakiemu zdziwieniu Mavry okazał się mężczyzną. Prawda, identycznym z jego żeńskimi krewniakami, odróżniającym się jednak od nich zdecydowanie właśnie swoim organem. Pomyślała o Renardzie: oto idealna dla niego powłoka.

— Barissa mówi, że nie, to zbyt niebezpieczne. Jest lepszy sposób. Z tyłu jest jakby zasuwka, widzisz? — spytała Vistaru powróciwszy do Mavry.

Mavra westchnęła i poszła do tyłu. Rzeczywiście, było tam coś takiego, z drewna i żelaza, najpewniej do ładowania owiec albo innego towaru. Przy urządzeniu krzątała się para przybyszów.

Mavra odwróciła się do Vistaru.

— Jak was nazywają? — spytała.

— Powiedziałam ci, Vistaru — odpowiedziała.

Mavra potrząsnęła głową.

— Nie, nie. Pytam, jak się nazywacie wszyscy razem, to znaczy... wszystkie... — Próbowwała obejść słowo: stworzenia... — cała wasza rasa?

Mały elf kiwnął głową na znak, że rozumie.

— Nazywamy się Lata — powiedziała. — Przynajmniej tak to się przekłada na język Konfederacji — dodała. — W naszym języku ja się nazywam... — seria dźwięcznych dzwoneczków... — a wszyscy razem... — znowu muzyczne dzwonienie.

Mavra skinęła głową, doceniając wysiłek, jaki Lata kosztowało mówienie. Musiała się usilnie starać, by przetłumaczyć każde słowo, zapamiętując jego wymowę, i widać było, że ich język i mowa ludzka nie mają żadnych punktów stycznych, zarówno co do gramatyki, jak i wszelkich innych cech.

Vistaru jakoś przejrzała jej myśli.

— Nie martw się — pocieszała ją. — Wydostaniemy ich na czas i pomożemy im, jak należy. A niedługo będziemy mówili jeszcze lepiej.

Mavra powstrzymała się od komentarza, chociaż to, co usłyszała, zaintrygowało ją. Najważniejszą sprawą byli teraz Renard i Nikki; jej problemy mogły poczekać.

Kolorowym „ważkom” udało się podnieść skobel i zrzucić go na ziemię. Teraz rozległo się ostre dzwonięcie, które Mavra odebrała jako ostrzeżenie. Para, unosząca się nad burtami wozu, pchnęła teraz tylną ściankę, która z trzaskiem opadła na ziemię, tworząc rodzaj rampy. Nienajgorsze zawiasy jak na ręczną robotę — zauważyła Mavra machinalnie.

Z pomocą trzech Lata wynosiła teraz nie dające znaku życia ciała z wozu. Zbliżył się Barrisa, który dawał Vistarowi jakieś znaki. Coś do niej powiedział, a ona kiwnęła na znak zgody i zwróciła się do Mavry, która pomyślała sobie, że nie jest to rasa o nazbyt dobitnych cechach płciowych.

— Mówisz, że możesz ich obudzić? — spytał translator.

Mavra kiwnęła głową i ukłuta Nikki paznokciem, ku zdziwieniu Lata.

— Nikki, słyszysz mnie? — spytała.

Dziewczyna kiwnęła głową, nie otwierając oczu.

— Wstaniez i pójdziesz ze mną — poleciła. Dziewczyna otworzyła oczy, podniosła się niepewnie i stanęła gotowa do drogi. — Pójdziesz, kiedy ja pójde, i staniesz, kiedy ja stanę, i siądziesz, kiedy i ja siądę — poleciła jeszcze Mavra.

Całą operację powtórzyła z Renardem, z zadowoleniem odnotowując, że Nikki powtarza każdy jej ruch.

Lata byli tym przedstawieniem wyraźnie podnieceni. Potwierdzały to intensywne, dźwięczne tony ich „rozmowy”. Wreszcie Vistarowi zapytała:

— Jak to robisz? Chcę wiedzieć, czy masz żądła w rękach.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedziała Mavra. Ruszyli.

\* \* \*

Podróż była dość łatwa. Mavra zauważyła, że grzbietem łańcucha górskiego przebiegała również granica pomiędzy sześciokątem cyklopów, który Lata nazywali Teliaginem, a boksem nazywanym Kromm. Odmienność obu krain była uderzająca. W powietrzu wisiał jeszcze ziąb po deszczu, a wiatr się wzmógł i stał się teraz naprawdę przykry. Granicy nie wyznaczały żadne linie, warty czy postęrniki: żaden fizyczny znak, ale momentu przekroczenia granicy nie sposób było przeoczyć. Przypominał przejście przez zasłonę.

Nagle powietrze stało się ciężkie i wilgotne, w mgnieniu oka całe ciało Mavry pokryły kropelki potu. Odgłosy owadów, w Teliaginie ledwie słyszalne, tu wdzierały się w uszy, jakby je przepuszczono przez megafon. W powietrzu wisiał jakiś nieznanym aromatem; Mavra instynktownie wyczuwała w nim coś nieprzyjemnego.

— Nie martw się — uspokoiła ją Vistaru. — Jest po prostu inne, to prawda, ale poza tym w porządku. Nie powinno ci zaszkodzić.

Może i nie — pomyślała Mavra. Grunt stawał się coraz bardziej grząski, w miarę, jak schodzili z gór, roślinność była coraz bardziej podobna do tropikalnej dżungli. U podnóża góry leżało regularne bagnisko, które zdawało się rozciągać na wszystkie strony. Warstwa wody nie była głębsza niż pół metra, jednakże mętna, ciemna, stojąca ciecz, wydzielająca nieprzyjemny odór, z pewnością skrywała również i głębsze miejsca. Wszędzie zalegały mchy.

— Czy długo będziemy brnąć przez takie coś? — spytała Lata. — Wy przynajmniej możecie latać, ale my?...

— Niedaleko — zapewnił ją chochlik. — Trzymajcie się tylko mnie.

To powiedziawszy, stwór ponownie włączył swoje wewnętrzne źródło światła. Najwidoczniej nie bardzo lubili ten stan, więc zmieniali się na czele kolumny, oświetlając drogę i udając, że idą po powierzchni. Mavra wiedziała, że lecą, ale i tak efekt był niesamowity. Elf unosił się tak nisko nad wodą, że żądło od czasu do czasu kreśliło rysę na gładkiej, ciemnej tafli.

Błoto było coraz gorsze, a przykrywająca je woda jeszcze głębsza. Wlewała się do butów, chlupocząc w nich obrzydliwie. O rany, wielkie rzeczy — pomyślała Mavra filozoficznie. Powrót do prapoczątków.

Wędrowali tak mniej więcej godzinę. Mavra miała uczucie, że zrasta się w jedno z tym bagnistym środowiskiem. Zaczęła nawet przywykać do smrodu, i to martwiło ją wyraźnie. Grube podwodne pędy stały się teraz trochę cieńsze; w pewnym momencie nie zdołała uwolnić nogi wplątanej w rośliny i runęła jak długa, twarzą — na szczęście w dość płytkie tu bajoro.

Renard i Nikki, którzy na nic nie nadepnęli, posłusznie wykonali upadek w przód w grząskie błocko, i wcale nie było jej łatwo pozbierać się na tyle szybko, by tamci dwoje się nie utopili.

Oplukała lepką maź z oczu, nosa i ust, z pomocą elfów oczyściła Nikki i Renarda. Efekt tych zabiegów był dość mizerny, cała trójka wyglądała straszniej niż którykolwiek z potworów, jakie spotkali dotąd w Świecie Studni. Nawet pamiątka od Treliga, jej koński ogon, był tak oblepiony błotem, że miała wrażenie, jakby dźwigała na sobie jeźdźca.

Wreszcie dobrnęli do końca bagna, które przechodziło dość nagle w spokojne morze. Vistaru kazała im czekać, a jeden z członków ekipy, pewnie Barissa, który, jak się zdaje, był ich przywódcą, poleciał do rysującej się w oddali jakby kępy pływających krzaków.

Dziwnie piękne było to morze, o ile oczywiście było morzem. Mimo przyniatającej wilgoci w powietrzu niebo było czyste: wielkie niebo Świata Studni, z wielkimi kolorowymi chmurami gazu i jaśniejącymi gwiazdami, odbijającymi się w niesamowicie gładkiej toni.

Wyczuwając niemal instynktownie jakiś nagły ruch, popatrzyła w lewo. Nie pomyliła się. Jedna z wielkich kęp krzaków wydawała się teraz rozpadać, zmierzając ku nim, z błękitnym światłem na górze. Światło wydzielali oczywiście Barissa.

Jak się okazało, krzak był w istocie olbrzymim kwiatem. Przypominał ogromną różę o stulonych płatkach, obrzeżoną wielką, zieloną, błonistą platformą.

Barissa powiedział coś z uśmiechem. Odwrócił się teraz do Vistaru.

— Mówi, że stary Macham jest śpiący i w złym humorze, ale zna problem i zabierze cię razem z tamtymi.

Mavra przyjrzała się stworowi dokładniej. Płatki były koloru jasnopomarańczowego, a w każdym razie takie byłyby zapewne w stanie rozwiniętym. Ze środka stulonej róży wyrastały dwa drągi niczym źdźbła gigantycznej pszenicy. Idąc za Lata, wstąpiła na zieloną podstawę stwora, za nią Nikki i Renard. Naśladując ją przysiedli po turecku na zielonym „rondzie”. Vistaru podeszła teraz do nich.

— Będziemy utrzymywać równowagę, a przy okazji odpoczniemy. Po prostu siedźcie i jedźcie. Mam nadzieję, że nie zakręci się wam w głowie.

Mavra nie miała nawet czasu zastanowić się nad tą ostatnią uwagą, kiedy przekonała się o mocy ich „pojazdu”. Stwór zakręcił się powoli i ruszył poprzez gładką toń morza. Wydawało się, że posuwa się właśnie dzięki temu ruchowi obrotowemu, i chociaż nie był on zbyt szybki, wrażenie nie było najprzyjemniejsze. Poczuli się trochę lepiej, zamykając oczy, ale nie usuwało to niemiłej reakcji błędnika. Poczuli lekkie mdłości. Po jakiejś godzinie miała zwyczajną chorobę morską i sama już nie wiedziała, czy bardziej pragnie umrzeć, czy boi się śmierci.

Po pewnym czasie, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, zaczęło świtać. Ciągle jeszcze musiała od czasu do czasu zasłaniać usta, obserwując kątem oka, jak zahipnotyzowani towarzysze, którym akurat teraz zazdrościła, wiernie ją naśladują. Vistaru zbliżyła się do niej po cichu.

— Ciągle cię męczy? — spytała trochę bez sensu.

— Jeszcze jak! — zdołała wykrztusić Mavra.

Lata była wyraźnie zmartwiona.

— Nie przejmuj się. Jesteśmy prawie na miejscu.

Mavra była tak zrezygnowana, że nawet nie próbowała się zastanowić, o jakim „miejscu” mowa, ale spróbowała się wreszcie rozejrzeć.

Nie byli już sami.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, powierzchnia wody była usiana tysiącami kwiatów, poruszających się, wirujących, tańczących w ogromnym balecie. Mieniły się mnóstwem kolorów i odcieni, które się prezentowały szczególnie wdzięcznie z rozłożonymi pod dotknięciem promieni słońca płatkami. W innych okolicznościach mogłyby to być pewnie przepiękny spektakl.

Mieszkaniec Kromm, którego „dosiadali”, zwalniał teraz, ku widocznej uldze Mavry. I on rozpostarł teraz nad ich głowami swe płatki, pyszniące się połyskliwym brązem i ciemnym złotem. Drągi były w istocie szypułkowatymi oczami,

długimi, owalnymi, ciekawymi brązowymi oczami o czarnych źrenicach, o wyrazie tak dziwnym, jakby wyszły spod piórka autora kreskówek. Poruszały się niezależnie i od czasu do czasu spoglądały nawet w przeciwnych kierunkach. Sam środek — „głowa” stwora — był słabo widoczny. Wyglądała jak gąbczasta, jasnożółta masa, bardziej przypominająca grube, proste włosy niż dno kwiatowe. W miarę jak obroty stworzenia zwalniały, zastanawiała się, czy jest to prawdziwa roślina, czy też może jakiś rodzaj egzotycznego zwierzęcia.

Wreszcie zielone „rondo” zatrzymało się zupełnie, pod wpływem powoli do czegoś. Mavra poczuła teraz dużą ulgę, chociaż uczucie, że cały świat wiruje wokół niej, nie ustąpiło bez reszty. Przebyli kawał drogi, to nie ulegało wątpliwości. Niezależnie od tego, jakich te stwory używały środków lokomocji, mogły zmierzać do celu z prędkością przewyższającą wielokrotnie prędkość ruchu obrotowego.

Mavra rozplaszczyła się lekko, upewniając się w ten sposób, że tamta dwójka, kopiując jej ruchy, nie spadnie, a potem popatrzyła w stronę, w którą powoli się przesuwali. Było widać jakąś wyspę — wysoki, ale dość wąski występ skalny pośrodku morza. Na środku smoliście czarnej, płaskiej ściany widniało jakby wejście do sztucznej jaskini. Nagle zrozumiała, że ma przed sobą czarny sześciokąt.

Vistaru podeszła do nich.

— Zatrzymamy się w pobliżu Wrót Strefy — powiedziała zagadkowo. — Ty większość powiedziec innym wejść we Wrota — pokazała gwałtownie zbliżając się czerń.

— A ja nie? — spytała.

Chochlik potrząsnął głową.

— Nie, nie teraz. Potem, Ambasador Kromm mówi, że ty na razie nie.

Mavra pokazała ruchem głowy olbrzymią jaskinię albo dziurę czy cokolwiek to było — coś w każdym razie, co sprawiało dziwne dwuwymiarowe wrażenie.

— I to ma pomóc moim przyjaciółom?

Vistaru skinęła głową.

— To są właśnie Wrota. Przeniosą ich do Strefy. Przepuścimy ich przez Studnię Dusz. Staną się ludźmi tej planety, tak jak ja.

Mavra zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

— Chcesz powiedzieć, że zostaną zamienieni w Lata?

Stwór wzruszył ramionami.

— Może. Jeśli nie w Lata, to w cokolwiek. I koniec z gąbką. Wróci pamięć, wszystko się poprawi.

Mavra nie bardzo była przygotowana, by się z tym tak od razu pogodzić, ale musiała działać tak, jak gdyby rzeczywiście tak było. Wiedziała, że ona sama na pewno im nie pomoże.

Widząc rozterkę Mavry i zdając sobie sprawę z tego, że wynika ona z niezrozumienia Świata Studni i jego zasad, Vistaru powiedziała:



— Wszyscy przybysze z innego świata przechodzą przez Studnię. Ale też wychodzą stamtąd zupełnie odmienieni. Nawet ja. Kiedyś byłam podobna do ciebie. Przeszłam przez Studnię i obudziłam się jako Lata.

Mavra prawie jej uwierzyła. To wyjaśniało w każdym razie, dlaczego stwór mówił jej językiem. Nasuwało to jednak inne pytanie.

— No właśnie, dlaczego więc ja nie mam pójść tą samą drogą?

Vistaru wzruszyła ramionami.

— Rozkazy. Mówią, że nie jesteś Mavra Chang. Mówią, że jesteś jako zła osoba.

Mavra opuściła szczękę ze zdumienia, a potem przymknęła usta, próbując zebrać myśli.

— Ależ to śmieszne! — krzyknęła. — Skąd im przyszła — kimkolwiek są — w ogóle taka myśl?

Vistaru znowu wzruszyła ramionami.

— Mówią, że już spotkali Mavrę Chang, Renarda i Nikki. Mówią, że jesteście oszustami, że się pod nich podszywacie.

Mavra już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale rozmyśliła się i usiadła. W środku cała się gotowała. Do wszystkich przejść na tym szalonym świecie, na dobitkę jeszcze i to.

Ktoś za to słono zapłaci.

## Strefa Południowa

— Oni rzeczywiście wyglądają zupełnie jak tamci — powiedziała Vardia, nie kryjąc zdumienia.

Serge Ortega kiwnął głową, przyglądając się niemal nieprzytomnej dwójce, leżącej przed nim na podłodze.

— Na pewno, doktorze?

Znajdowali się w klinice w Strefie, a dr Muhar, przedstawiciel rasy Ambreza, przypominający wielkiego bobra, badał Renarda i Nikki Zinder.

— Chciałbym wiedzieć, jaki narkotyk im podano — powiedział doktor. — Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. To akurat ogranicza się do mózgu; co innego tamta druga infekcja.

Ortega uniósł swoje ruchliwe brwi.

— Druga infekcja?

Ambreza kiwnął głową.

— O, tak. Wydaje się, że zaatakowane są wszystkie komórki ich ciała. Jakiś rodzaj enzymu, pasożytującego na żywym organizmie. Wszędzie widać rozkład tkanki, który postępuje dość równomiernie. Czy rozpoznałbyś tę gąbkę, gdybyś ją zobaczył?

Potrząsnęli głowami.

— Owszem, kiedyś widzieliśmy skutki, ale to było dawno — powiedziała Vardia. — Nigdy jednak nie widzieliśmy obrazu mikroskopowego samej substancji.

Kiedy to powiedziała, w pobliżu drzwi zaczął się jakiś ruch. Kiedy się otworzyły, stanął w nich nowy dziwoląg.

Ciało wysokie na jakieś 150 centymetrów, wspierało się na parze grubych, ale pozbawionych stawów macek. Pozostałe trzy pary wyrastały pośrodku korpusu. Na końcu każdej macki było widać szczelinę, dzięki której stwor mógł coś chwycić jakby rękawicą z jednym palcem, albo owijać macką różne przedmioty. Stał na tylnej parze, ale żeby podejść, potrzebował przynajmniej czterech macek. Miał szeroką twarz z przylegającym, szerokim nosem i z wydatnymi nozdrzami. Para okrągłych oczu spoglądała jak wielkie aksamitne plamy jarzącego się bursztynu. W paszczy o wysuwanej szczęce krył się zwinięty jak lina długi język — Ortega widział go już nieraz, który w razie potrzeby mógł być użyty jako dodat-

kowy, dziewiąty organ chwytny. Po obu stronach głowy przybysza były widoczne dwa miejsca przypominające półmiski, trochę odsunięte od głowy, które, jak się wydawało, mogły się trochę otwierać i zamykać na złączach.

Wszystkie te jednak egzotyczne cechy bladły przy wielkich skrzydłach, przypominających skrzydła olbrzymiej ważki i biegnących wzdłuż całych pleców. Te połyskujące skrzydła były w kolorze pomarańczowym, nakrapianym koncentrycznymi brązowymi pierścieniami.

Kiedy wszedł, Vardia i Ambreza lekko się cofnęli. Ortega tak bardzo się nie przejął, chociaż na jego twarzy zagościł groźny grymas. Pozostali nigdy przedtem nie widzieli Yaxa, ale Ortega miał już tę przyjemność. Co więcej tego, który właśnie przyszedł, poznał nawet osobiście. Ruszył ku przybyszowi.

— Wooley! — zahuczał jowialnie. — Bardzo się cieszę, że mogłeś przyjść.

Stwór utrzymywał chłodny dystans, ale odpowiedział:

— Cześć, Ortega. — Popatrzył na nie dających znaku życia Renarda i Nikki. — Czy to właśnie ci?

Ortega kiwnął głową, błyskawicznie przybierając bardzo konkretny ton.

— Doktor Muhar pobrał tkanki i właśnie je bada swoim mikroskopem. Spójrzysz, czy mamy wyświetlić?

Yaxa podszedł do instrumentu, przyglądając się próbkom jednym z tych niesamowitych, poduszkowatych oczu.

— Gąbka — powiedział. — Żadnych wątpliwości. — Powrócił teraz wzrokiem do dwojga rozciągniętych na pryczy przybyszów. — Jakie stadium?

— Pięć dni bez działki — wyjaśnił Ortega. — Co o tym sądzisz?

Yaxa zastanawiał się przez chwilę.

— To zależy, w jakim stadium przestali brać. Rozkład tkanek nie jest jeszcze zbyt daleko posunięty, ale przecież mózg jest najbardziej narażony. Jeżeli mieli mniej więcej przeciętną inteligencję, przez dzień lub dwa powinni być jednak trochę mądrzejsi od zwykłego debila. Potem rozpocznie się stadium przyśpieszonego zezwierzczenia, które przekształci ich w wielkie gołe małpiszony. Osobiście uważam, że trzeba ich przepuścić przez Studnię tak szybko, jak to możliwe. Najlepiej od razu.

— Zgadzam się — powiedział Ortega. — Jestem wdzięczny, że zechciałeś się po to fatygować taki szmat drogi.

— Czy to oni właśnie przylecieli z tego nowego księżyca? — zapytał Yaxa tym swoim głosem, który nawet przez translator wydawał się zimny, ostry, wyzbyty wszelkiej emocji.

Ortega znowu potwierdził.

— Jeżeli to naprawdę ci, to mamy wielki kłopot. Oznacza to, że daliśmy się wykołować przez paczkę sobowtórów, których znaleźliśmy wcześniej. Przynajmniej jeden z nich był szefem gąbkowego syndykatu, a pozostała dwójka poznała zasady funkcjonowania Studni.

Stwór po raz pierwszy okazał teraz niejaką emocję. Mówił teraz ostrym, podnieconym głosem.

— Szef gąbkowego syndykatu? I tak po prostu go wypuściliście?

Ortega podniósł do góry całe sześć rąk.

— Przecież nie wiedzieliśmy, kim jest. Wyglądali dokładnie tak jak ci. Skąd miałem wiedzieć?

— To prawda — wtrąciła Vardia. — Byli tacy mili, uprzejmi, dobrze ułożeni. Zwłaszcza ten — pokazała na Renarda.

Yaxa zrobił minę, jakby chciał splunąć.

— Ach! Głupcy! Przecież gdyby był tak długo bez gąbki, musielibyście to po nim poznać! To przynajmniej powinniście wiedzieć.

— Daj spokój, Wooley! — gderał Ortega. — Jesteś fanatykiem, i wiem, że masz po temu powody. Ale też, do diabła, nie spodziewaliśmy się takiej kombinacji. Wszystko tu ostatnio strasznie się pokomplikowało.

Wielka ważka rozwarła nozdrza, parszając głośno.

— Och, do diabła. Wierzyłem, że sobie jednak poradzisz. — Odwrócił swoją wielką głowę, najwidoczniej zamontowaną na czymś w rodzaju przegubu kulowego, i popatrzył prosto w oczy Ortegi. — Chcę znać imię tego sukinsyna. Przecież nie będzie zawsze taki cwany. Któregoś dnia go dostanę. Wiesz dobrze, że tak będzie.

Serge Ortega kiwnął głową; wiedział, że Wooleya może powstrzymać tylko śmierć. Prędzej czy później, jeśli tylko ten człowiek wypłynie znowu, tamten go przyszpili.

— Antor Trelig — powiedział.

Stwór kiwał teraz swoją wielką, dziwaczną głową, jakby rejestrując usłyszaną informację. Potem powiedział:

— Muszę wracać. Dużo się wydarzyło i dużo jeszcze zdarzy. W każdym razie na pewno się odezwę. — To mówiąc, odwrócił się, poruszając się ostrożnie w wąskiej przestrzeni kliniki ze swoimi ogromnymi skrzydłami, i wyszedł drzwiami.

— Wielkie nieba! — wykrztusiła Vardia. — A któż to znowu?

Ortega uśmiechnął się.

— Kiedyś go znałaś. Opowiem ci przy sposobności, ale teraz mamy pilniejsze sprawy na głowie. Musimy tę parę przepuścić przez Studnię, a ja muszę porozumieć się z Radą.

Rada nie miała swojego wydzielonego pomieszczenia dla ambasadorów. Kontakty się odbywały wyłącznie systemem wewnętrznych połączeń, zarówno ze względów dyplomatycznych, jak i dla ich usprawnienia. Zresztą trudno byłoby wszystkich pomieścić.

Ortega zreferował dotychczasowy przebieg wydarzeń, dodając jeszcze:

— Zarządziłem poszukiwania pierwszej trójki i mam nadzieję, że w którymkolwiek sześciokącie się pojawią — ktoś ich tam namierzy. Trzeba sprawdzić

wszystkich, ale to naprawdę wszystkich Przybyszów. Ci ludzie są niebezpieczni jak cholera.

W głośniku zatrzeszczało.

— Ortega? — powiedział metaliczny głos pozbawiony intonacji. — Tu Robert L. Finch z Narodu.

Ortega nie mógł powstrzymać chichotu.

— Nie wiedziałem, że tam w Narodzie macie nazwiska — zauważył, bo przecież zapamiętał ich jako roboty zdominowane duchem wspólnoty.

— I u nas mamy Przybyszów — odparł Finch. — Kiedy chodzi o kogoś takiego, wyszukuje się odpowiednią osobę.

Ortega nie miał ochoty dyskutować.

— O co chodzi, Finch?

— Chodzi o tę kobietę, Mavrę Chang. Dlaczego ją zostawiliście u Lata? Nie próbujesz chyba znowu jakichś tanich sztuczek, co?

Ortega głęboko westchnął.

— Wiem, że powinna być przepuszczona przez Studnię, i prędzej czy później to się stanie. Akurat teraz mamy z niej jednak więcej pożytku w pierwotnej postaci — jest jedynym takim Przybyszem w Świecie Studni. W odpowiednim czasie wszystko ci wyjaśnię.

Rozmówcom nie bardzo się to podobało, ale musieli się z tym pogodzić. Zarzucili go za to gradem innych pytań, w większej części pozbawionych sensu. W wielu pytaniach słychać było zwykły ton: „to nie moja sprawa”, i Ortega miał silne wrażenie, że tamci nie są zbyt szczerzy. W każdym razie spełnił swój obowiązek i na tym koniec. Spotkanie zostało zamknięte.

W gabinecie Ortega czekała Vardia, ogórkowaty stwór z Czill. Jej ludziom nie trzeba było już niczego wyjaśniać, byli świetnie poinformowani, z wyjątkiem jednej może sprawy.

— Ale co z tą Chang, Ortega? — brzmiało pytanie, którego się przecież spodziewał. — Dlaczego ją chowacie?

Uśmiechnął się.

— Nie chowamy jej, moja droga. Sześćset trzydziestu siedem rasom posiadającym swoje ambasady w Strefie wiadomo doskonale, że znajduje się w sześciokacie Lata. Stanowi przynętę — łatwy do rozpoznania obiekt, który może wykurzyć naszą zwierzynę z kryjówek.

— A jeżeli się nie poślakomią? — naciskała Vardia. — Czy czasami nie ma tu jakiegoś szczególnego znaczenia fakt, że jest ona w pełni kwalifikowanym pilotem kosmicznym, mającym wszelkie warunki, by kierować statkiem kosmicznym? Przyznaj no się!

Ortega rozparł się wygodnie na swych długich wężowatych splotach.

— Hm, proszę, czyż nie jest to ciekawy pomysł? — odparł sarkastycznie. — Dziękuję, że też sam o tym wcześniej nie pomyślałem.

Jeśli nawet w olbrzymim cielsku Ortegi tkwiła jakaś kosteczka szczerości, uczciwości czy prostoduszności, to nikt jej na razie nie widział.

Vardia postanowiła zmienić temat.

— Myślisz, że to się uda? Mam na myśli przesłuchanie Przybyszów.

Ortega zasepił się.

— Pewnie w niektórych boksach tak. Lata, Kromm, Diii, Czill i tak dalej. W większości jednak nic z tego nie będzie. Będą próbowali o nich zapomnieć — co z ich strony będzie błędem, którego kiedyś pożałują, jak sądzę, albo też nawiążą z nimi współpracę. Jeżeli sobie wyobrażasz jakiś sojusz tych typów z chciwym władzy rządem, będziesz miała załączek wojny, o której przedtem mówiłem. Sojusz plus pilot, potrafiący poprowadzić statek. Do tego jeszcze uczony, który pomoże poskładać rozrzucone kawałki. — Przesunął się tak, by spojrzeć gościowi z Czill prosto w oczy, i powiedział: — A co do Mavry Chang — jeśli ją mamy, mamy też jakąś kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Jeżeli natomiast przepuścimy ją przez Studnię, wydamy ją bez walki. Nie ma sensu podgrzewać jeszcze sytuacji, moja droga. I tak będzie tu jeszcze gorąco jak cholera, bez takich jak ja czy ty, dolewających oliwy.

# Makiem

Obudził się i otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł się zorientować w sytuacji. W każdym razie było widać, że jest coś niezwykłego. Dopiero po upływie pół minuty przypomniał sobie, co się stało, i co się jeszcze stać miało.

Wkroczył w czerń ściany, całe ciało odbierało jakieś dziwne wrażenie — jakby otulały go czyjeś potężne ramiona — ciepłe, badawcze, pełne uczucia; uczucia, jakiego nigdy przedtem nie doznał. Unoszony dziwnym niby-snem, nie pozostawiającym wspomnień — chyba tylko to uczucie, że były to sny o sobie samym.

Pamiętał, że ma być kimś innym; że ma się przemienić w jedno z tych przedziwnych, niesamowitych stworzeń, takich jak węzowiec czy ogórek. Nie to jednak martwiło go tak naprawdę; problem polegał na tym, że jego przyszły kształt mógł wpływać na jego plany na przyszłość.

Było coś dziwnego w sposobie, w jaki widział otoczenie, ale musiał się dobrze zastanowić, by dojść, co to było. Przede wszystkim więc zwiększało się, i to ogromnie, wyczucie głębi — wszystko było wyraźnie wyeksponowane, miał dziwne uczucie, że wyczuwa odległości przedmiotów z dokładnością do ułamka milimetra. Również kolory ulegały jakby wyostrzeniu, rozróżniał bardzo subtelne kontrasty różnych odcieni tej samej barwy i różnej intensywności oświetlenia. Dostrzegając te wszystkie zmiany, stwierdził po chwili, że to nie one były decydujące dla tego dziwnego uczucia, którego doznawał.

I nagle zrozumiał. Ależ tak! Odbierał dwa obrazy! Kąt widzenia obejmował po obu stronach około 80 stopni; sięgał wzrokiem prawie do tyłu. Na wprost jednak była pustka. Nie była to żadna linia ani jakikolwiek widoczny podział; po prostu nie obejmował wzrokiem obszaru dokładnie na wprost. Musiał się zmusić, by dostrzec ten brak, którego nie był w pełni świadomy.

Po prawej stronie dostrzegł jakiś ruch, a prawe oko odruchowo zwróciło się w tamtą stronę. W górze podlatywał z bzyczeniem duży owad — bardzo duży, wielkości ludzkiej pięści, przypominający niewielkiego ptaka. Jakiś czas zabrało mu uświadomienie sobie, że poruszał prawym okiem niezależnie od lewego.

Spróbował teraz zajrzeć do przodu, tak głęboko, jak tylko mógł; miał jakby ryj; długą, wysuniętą gębę. Czując, że opiera się wygodnie, rzec by można na-

wet — naturalnie, na czterech nogach, uniósł rękę do prawego oka, by się jej przyjrzeć.

Dziwna to zaiste była ręka, dziwnie ludzka i obca zarazem. Cztery bardzo długie, połączone błoną palce i przeciwstawny kciuk; kończące się małą przyssawką w miejscu, gdzie powinny być opuszki. Przyjrząwszy się dokładniej, dostrzegł nawet we wnętrzu przyssawki rodzaj linii papilarnych. Dłoń i ramię były koloru groszkowozielonego, z brązowymi i czarnymi plamami, rozrzuconymi w nieregularnych odstępach. Skóra wyglądała na grubą i mocną, niczym skóra węża lub innego gada.

A więc jestem gadem — pomyślał. Pejzaż na pewno pasował do gadów: przypominający dżunglę, z bujnym podszyciem i wysokimi drzewami, które niemal zupełnie zakrywały słońce. Gęstą „dżunglę” przecinała szutrowa droga. Bo to była prawdziwa droga, w dodatku bardzo dobrze utrzymana. W takim gęstym buszu trzeba było mieć ekipy co 100 kilometrów, pracujące nieustannie, żeby droga całkiem nie zarosła.

Postanowił wyjść na drogę i posuwać się nią tak długo, aż trafi na coś, co uchodziło tu za oznaki cywilizacji, kiedy znowu dostrzegł jednego z tych wielkich owadów, przelatującego może o dwa metry przed nim. Niemalże instynktownie otworzył usta, wystrzeliwując niezmiernie długi, zwijany jak wstęga język, którym trafił i owinał mocno owada. Język wrócił na swoje miejsce, parę ruchów szczęką, przełknięcie. . . i to by było tyle. Smak owada był raczej nijaki, ale czuł, że zjada coś konkretnego, a jego obolałe z głodu wnętrzności doznały istotnej ulgi. Przez chwilę zastanawiał się z zainteresowaniem nad swoimi reakcjami, a raczej ich brakiem. To, co zrobił, odbierał jako coś naturalnego, normalnego, zresztą robił to automatycznie. Na dobrą sprawę zupełnie go nie poruszała myśl, że oto zjadł żywego owada.

Świat Studnia rzeczywiście zmienia człowieka, to fakt, i to pod wieloma względami — pomyślał. A jednak — w środku — był nadal Antorem Treligiem. Pamiętał wszystko, co się wydarzyło, i niczego nie żałował, może tylko tego, że zbyt szybko przybliżył statek do Świata Studni. Ale i to w końcu może się okazać korzystne — powiedział do siebie dufnie. Jeżeli taką potęgę mogą okiełznać ci, którzy się do tego najlepiej nadają, tacy jak on, takie sprawy jak wygląd czy poranny jadłospis doprawdy nie miały znaczenia. Nawet gdyby w tym świecie nie nauczył się niczego, jedno zapamięta: wszystko przemija.

Ciekawe, jak właściwie chodzą? — zamyślił się, ale niedorzeczność pytania zmusiła go do śmiechu. Przecież, jeżeli jedzenie jakoś przychodzi samo przez się, to i z chodzeniem rzecz ma się podobnie.

Popatrzył w stronę drogi i ruszył w jej kierunku. Ku swemu zdumieniu dysponował potężnym odbiciem i wylądował na drodze w dwóch susach — lądując po pierwszym skoku miękko i płynnie, z ciałem gotowym do następnego, bez tur-



lania się, utraty równowagi czy uczucia niewygody. Śmieszne, doprawdy, miał uczucie, że prawie leci.

Spróbował zwyczajnie iść, stwierdzając, że może to z pewnym trudem zrobić na czworakach. Najwidoczniej naturalną techniką poruszania się tej rasy były susy.

Popatrzył wzdłuż drogi w obu kierunkach. Nie widział na dobrą sprawę różnicy, w obu kierunkach droga nikła w gęstym podszyciu. Zdecydował więc na chybił trafił. Nie musiał długo wędrować, by trafić na innych mieszkańców dżungli. Zobaczył ich z dużej odległości, kiedy skojarzył, że harmider w koronach drzew nie jest spowodowany przez ptaki czy owady.

W oddali widać było kępę olbrzymich drzew, wyróżniającą się wyraźnie z reszty lasu, a za nią niewielkie jezioro. Na drzewach były zawieszane domy — skomplikowane budowle uplecione wśród gałęzi z rodzaju słoniny czy bambusa, w każdym razie niemal na pewno z jakiejś rośliny bagiennej.

Z dolnych drzwi jednego złomów wyjrzał zamieszkujący go stwór, przez chwilę się rozglądał, a potem wyszedł i zlął po pniu na ziemię pod kątem prawie 90 stopni! Trelig pojął teraz, do czego służą te przyssawki. Bardzo praktyczne.

Stwór przypominał olbrzymią żabę z niewiarygodnie długimi nogami, z jasną, gładką zielono-brązową skórą od brody do krocza i nakrapianą zielono na reszcie ciała.

Stwór podszedł do wielkiej drewnianej skrzyni osadzonej na słupie przy drodze, przysiadł na potężnych tylnych nogach, uniósł wieko i zajrzał do środka. Kiwając głową, jakby potwierdzały się jakieś jego przypuszczenia, wyciągnął kilka dużych brązowych kopert. Dopiero teraz Trelig z niejakim zdziwieniem skonstatował, że została oto opróżniona skrzynka pocztowa.

Przybliżył się powoli, nie chcąc spłoszyć dziwoląga. Ten popatrzył w jego stronę, zwracając oczy w głowie niemal sztywno zrosniętej z tułowiem, i skłonił się grzecznie. Trelig wyczuwał w nim jakąś złość, choć z pewnością nie on był obiektem tego uczucia.

Trelig przypomniał sobie, że Ortega mówił kiedyś, że Studnia wyposaża również w odpowiednią mowę. Postanowił więc, że będzie mówił normalnie.

— Dzień dobry panu! — powiedziała nowo przybyła żaba do swojego tubylczego pobratymca. — Piękny dzień, prawda?

Tamten parsknął pogardliwie.

— Trzeba pracować dla rządu, żeby opowiadać takie rzeczy — burknął głębokim basem, niekoniecznie nieprzyjemnym, zdającym się wydobywać gdzieś z głębi klatki piersiowej. Podniósł jedną z kopert. — Wezwania podatkowe! Zawsze to samo! — prawie krzyknął. — Ciekaw jestem, co sobie te sukinsyny myślą; jak uczciwy człowiek ma dzisiaj związać koniec z końcem? — Nie powiedział „sukinsyny”, tylko użył jakiegoś miejscowego odpowiednika, ale mózg Treliga przełożył to po swojemu.

Trelig skłonił się lekko na znak współczucia.

— Nie, nie pracuję dla rządu — odparł. — Chociaż kiedyś, może, kto wie? Rozumiem twoje problemy i szczerze ci współczuję.

Tamtego to oświadczenie najwidoczniej zadowolilo. Otworzył drugą kopertę, wyciągając długi żółty arkusz. Popatrzył na niego i z obrzydzeniem zmiął w kulkę.

— Jeszcze czego! Wpierw wydoją cię do ostatniej kropli krwi, a potem chcą, żebyś im zrobił przysługę! Akurat! — prychnął.

Trelig zmarszczył czoło z namysłu.

— Co? — wykrztusił wreszcie.

Żabolud podrzucił na dłoni zmięty papier jak piłkę.

— Natychmiast meldować w miejscowej policji o każdym napotkanym Przybyszu — splunął. — A w ogóle to na co, do cholery, idą te moje podatki, co? Ja mam za nich robić robotę, a oni będą płaszczyć swoje tłuste tyłki i zażerać się importowanymi łakociami kupionymi za moje pieniądze?

Trelig skorzystał z okazji, by rzucić okiem na arkusz podatkowy, ale szalone, pozbawione wszelkiej logiki bazgroły z niczym mu się nie kojarzyły. Najwidoczniej komputer Studni nie uznawał czytania za potrzebną umiejętność.

— Nie widziałeś żadnych Przybyszów, prawda? — powiedział żabolud bez cienia przekąsu w głosie. — A może sformujemy grupę pościgową? Będziemy krzyczyć: Przybyszu, tutaj, cip, cip, taś, taś!

Facet podobał się Treligowi. Jeżeli był to przedstawiciel tutejszego gatunku dominującego, to życie mogło tu być całkiem znośne.

— Nie — zarechotał. — Nie widziałem żadnych Przybyszów, a ty? Mam na myśli — kiedykolwiek?

Zręczny tubylec pokręcił przecząco głową

— W życiu. I pewnie nie spotkam. Kiedyś spotkałem jednego takiego, ale to było bardzo dawno temu. Wielki, wstrętny gad przypominający ptaka, rodem z Cebu. Kiedyś miejscowa znakomitość. Wielkie rzeczy!

Trelig odetchnął, słysząc, że Przybysze nie są od razu smażeni na wolnym ogniu czy coś w tym rodzaju, ale urzędowe pismo, które dostał żabolud, informowało, że ten przypadek był szczególny. Tak czy siak musi chodzić o niego, ścigali go. W każdym razie musiał postępować tak, jakby był ścigany. Musiał rozpoznać teren, zanim się czymś zdradzi. Mogło się to okazać prostsze, niż się spodziewał, zważywszy automatyzm zachowań jego nowej postaci i łatwość, z jaką zaakceptował go nowy rodak. Taką właśnie miał nadzieję.

— Z daleka? — spytał typ.

Trelig kiwnął głową. Dalej, niż sądzisz — pomyślał.

— Założę się, że udajesz się do Druhon na egzaminy państwowe — domyślał się żabolud.

— Tak, dokładnie — zgodził się Trelig skwapliwie. — O niczym innym nie myślę od... (już chciał powiedzieć: od kiedy ty przybyłem, ale się ugryzł w język

i dokończył gładko): od dzieciństwa. Przynajmniej będę miał okazję zobaczyć rząd w działaniu, obojętnie, co by to było.

Żabolud pośpieszył ze zjadliwym komentarzem:

— Zobaczysz, jak rząd się obija, ot, co, ale to dla ciebie na pewno miła perspektywa. Sam powinienem być to zrobić, póki byłem młody. Ale nie, musiałem się zająć rolnictwem. Wolność i niezależność — mówiłem sobie. Żadnych szefów. — Wydał wściekły syk, niczym wąż. — A kończysz na rządowej smyczy, tylko podatki i przepisy, przepisy i podatki. Taka wolność!

Trelig cmoknął ze współczuciem.

— Doskonale cię rozumiem. — Rozejrzał się, jakby się nagle śpieszył. — No cóż, miło było pogadać, życzę ci więcej szczęścia i pomyślności na przyszłość, ale będę się musiał zbierać.

Gość zdawał się wdzięczny za miłe słowa.

— Naprawdę miło było cię poznać. Jesteś pewien, że nie chcesz wpaść na dobre piwo? Do Druhona masz tylko godzinę, może dwie...

I to była dobra nowina.

— Nie, dziękuję — odparł. — Muszę jeszcze dziś być w mieście. Będę pana jednak, szanowny panie, pamiętać, kiedy będę bogaty i potężny.

— Pewnie, pewnie, chłopcze — zarechotał tamten. Trelig ruszył dalej.

Idąc, zastanawiał się, co też ten stary mógł uprawiać, nigdzie w pobliżu nie było widać pól ani jakichkolwiek upraw. Lepiej nie pytać, żeby nie wyjść na ignorantę, zwłaszcza gdy się ma list gończy na głowie.

Pozostawała sprawa pieniędzy. Po drodze widział trochę stworów, w grupach albo żyjących w pojedynkę, na ziemi, w gałęziach drzew, widział nawet domostwa, unoszące się na powierzchni niezliczonych jezior i bagien. Wszyscy obywali się bez odzieży, zastanawiał się więc, gdzie chowają pieniądze, jeśli je mają. Obawiał się, że istnieje jednak jakiś system rozpoznawania tożsamości, który może go zdemaskować. Z drugiej jednak strony była to kraina o zdecydowanie prymitywnej technice. Wszędzie było widać stojaki do lamp, nie dostrzegł jednak nigdzie śladu oświetlenia z zewnętrznym zasilaniem czy urządzeń funkcjonujących na tej zasadzie. Poza tym — pomyślał — gdyby dysponowali takim systemem identyfikacyjnym, nie zawracaliby sobie głowy rozsyłaniem za nim listów gończych.

Nabrawszy zaufania do własnego bezpieczeństwa i swoich umiejętności, zatrzymywał się teraz po drodze, rozmawiając z przygodnie spotkanymi tubylcami. Były to przeważnie proste stworzenia, niewiele odrastające od ziemi. Osobniki żeńskie miały trochę mniejsze wymiary i gładszą skórę niż „mężczyźni”, głos nieco wyższy i łagodniejszy w tonie, na tym jednak kończyły się różnice. On sam był mężczyzną, i to — jak mógł wnosić z uwag rozmówców — młodym. Ułatwiało mu to bardzo zadanie, ponieważ nikt się nie dziwił jego ciekawości, nie oczekiwano też od niego szczególnej wiedzy czy doświadczenia.

Ciągle się jednak uczył. Z jednej z rozmów zapamiętał, że kraina ta, oczywiście sześciokąt, była nazywana Makiem, tak samo jak jej mieszkańcy. Praktyka identycznych nazw była w Świecie Studni bardzo rozpowszechniona, bywały jednak wyjątki od tej reguły. Dowiedział się również, że była to monarchia dziedziczna, i ten fakt akurat nie bardzo go uradował. Sześciokąt był zarządzany przez liczną rzeszę urzędników państwowych, wybieranych stosownie do ich kwalifikacji, ocenianych w ramach powszechnych egzaminów. Liczyły się zdolności i przydatność do pracy, a nie pochodzenie społeczne, i to właśnie było pocieszające. Oznaczało bowiem, że król Makiem może słuchać i poważnie traktować rady każdego obywatela, którego uzna za posiadającego odpowiednie kwalifikacje. Niemal na pewno więc decyzje były podejmowane nie przez rodzinę królewską, lecz przez jednostkę lub radę, składającą się z najlepszych, najbardziej zapobiegliwych, najambitniejszych i najzdolniejszych ludzi w kraju.

Ludzi takich jak on.

Stolica kraju, Druhon, zaskoczyła go przede wszystkim swoim ogromem — naprawdę wielkie miasto, wycięte w dżungli, usadowione na łańcuchu wzgórz, wyrastających ponad bagnisty teren. Na zachodzie było widać rozległe, czyste jezioro, rojące się od pływaków. Trelig przez cały czas miał uczucie lekkiego swędzenia i niewygody — teraz wiedział już, dlaczego. Należał do rodziny stworów lądowych, które jednak zrodziły się w wodzie i przebywały zawsze w jej pobliżu. Od czasu do czasu czuły potrzebę zwilżenia skóry. Prawdopodobnie wystarczyłoby raz na dzień, przypuszczał zresztą, że można by to załatwić również za pomocą zwykłego węża.

Zaskakiwały także i same budynki. Wielkie zamki i olbrzymie budowle z kamienia, świadczące o sporych umiejętnościach budowniczych. Domostwa i zabudowania gospodarcze zbudowane z dobrej, ręcznie uformowanej cegły, połączonej mocną, szczelną zaprawą. Również ciężkie, drewniane drzwi dowodziły wysokich kwalifikacji ciesielskich, a figurki z mosiądzu i żelaza na bramach, ogrodzeniach i drzwiach były dziełami wręcz artystycznymi. Tutejsi mieszkańcy rozwinęli rzeczywiście niezwykle nowoczesną kulturę, zważywszy, że był to najwidoczniej nietechnologiczny sześciokąt. Refleksja ta podbudowała jego opinię o nich, a wraz z nią — jego optymizm.

Nadal jednak pozostawał problem pieniędzy. Wędrował ulicami wypełnionymi stoiskami, gdzie wielkie żaby zachwalały klientom rozłożony towar. Posługiwały się przy tym pieniądzem. Przyglądając się klientom przy stoiskach, stwierdził, że Makiem wszystko, czego mogli potrzebować, przenoszą w gębie — okolica dolnej szczęki była elastyczna, pojemna, a kiedy zbadał ją własnoręcznie, znalazł jeszcze cienką, sztywną klapkę sterowaną małym mięśniem z tyłu gardła. Najwidoczniej ewolucja skonstruowała w ten sposób magazyn żywności na długi czas. Cywilizacja stworzyła nowe potrzeby i nowe zastosowania dla tej „torby pelikana”. Normalnie nie rzucała się ona w oczy, spotykało się jednak ludzi,

wyposażonych jakby w wole. Trelig wiedział już, że nie wynikało to z różnic fizycznych, lecz po prostu z różnej wielkości bagażu.

Podniecały go widoki i zapachy miasta. Niektóre aromaty jego poprzednie wcielenie mogłoby pewnie uznać za wstrętne czy drażniące, teraz jednak pachniały mu cudownie, słodko, tajemniczo.

Intrygowały go również tatuaże, tajemnicze symbole wyrysowane na podbrzuszu Makiem za pomocą jakiegoś urządzenia. Nie wszyscy je mieli, na przykład większość rolników, których spotykał, ich nie miała, były one jednak dość powszechne. Przypuszczał, że były to symbole władzy. Ich posiadacze byli zapewne policjantami lub być może urzędnikami w służbie rządowej. Kiedyś będzie musiał to wszystko sprawdzić.

Głównym jego zmartwieniem była policja, ale akurat ją najłatwiej się rozpoznawało. Nie wiedział, jaką liczbę stanowiła ludność miasta, z pewnością jednak przekraczała 250 tysięcy. Mieszkańcy zasiedlali czteropiętrowe domy z cegły, do których się wchodziło, wspinając po ścianie. Ruch pieszy od czasu do czasu ulegał zakorkowaniu. Widział liczne wózki, ciągnięte przez olbrzymie owady, większe od tubylców, wyglądem przypominające koniki polne, na których przewożono towary. Wszystko to wymagało regulacji, którą zapewniała policja drogową.

Przyjrzał się dokładniej kilku przedstawicielom „drogówki”, zwłaszcza wielkim znakom umieszczonym na ich piersiach. Był to rodzaj podwójnego koła z dwiema przekątnie biegnącymi belkami. Dla bezpieczeństwa postanowił każdego nosiciela podwójnego koła z belką czy belkami traktować jak policjanta.

Ogrom i złożoność miasta dawały mu poczucie anonimowości; był częścią tłumu. Na razie takie położenie odpowiadało mu, wkrótce jednak będzie musiał rozejrzeć się za domostwem, pieniędzmi i jedzeniem — w pobliżu nie widział tłustych owadów, które mógłby połknąć. Nigdy nie próbował drobnych kradzieży, ale nie powinno to być specjalnie trudne.

Przyjrzał się uważnie potężnym kamiennym budynkom z wieżami, udekorowanymi chorągwiami. Niewątpliwie były to budynki rządowe. Największy, imponujący przebogatymi mosiężnymi kratami i wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza, które miało odstraszyć intruza, był na pewno królewskim pałacem. Dostępu broniły strażę, uzbrojone w groźnie wyglądające piki i kusze, noszące na piersi ten sam niebywale skomplikowany wzór, który się powtarzał w regularnych odstępach na ogrodzeniu.

Oczywiście emblemat królewski. Szybko się uczył.

Teraz dopiero naprawdę poczuł swędzenie skóry, która była wyschnięta i nieprzyjemna, tak jakby zaraz miała się złuszczyć. Zdecydował się ruszyć w stronę wielkiego jeziora. Widok był przepiękny, zwłaszcza na tle zachodzącego słońca. Połyskującą tafłę jeziora, zadziwiająco czystego — zważywszy gęsto zaludnioną okolicę, upstrzoną mrowiem wysepek — otaczały stromymi zboczami granitowe góry.

W jeziorze było trochę tłoczno, nie na tyle jednak, by stwarzało to naprawdę poważne problemy. Swobodnie zanurzył się w zaskakująco chłodną wodę. Uczucie zimna nie trwało jednak długo, a potem temperatura wody zdawała się wzrastać aż do punktu, w którym była najbardziej przyjemna. Jestem więc stworem zimnokrwistym — pomyślał. To nie temperatura wody wzrosła, ale temperatura ciała wyrównała do niej.

Pływanie okazało się tak samo łatwe jak skoki. Jego tylne nogi, długie i wyposażone w grubą błonę pławną, zapewniały silne odbicie, ciało w sposób naturalny utrzymywało się blisko powierzchni. Uczucie swędzenia na grzbiecie nie ustępowało jednak, zanurzył się więc głębiej.

I nagle stała się rzecz dziwna. Na oczy nasunęła mu się cienka błona, przejrzysta niczym szkło, zapewniająca jednak całkowicie szczelną ochronę. Również wzrok jakoś mu się zmienił, tracąc wycucie głębi i wrażliwość na barwy, zyskując natomiast fantastyczną zdolność rozróżniania różnych odcieni czerni i bieli. Nos zamknęły wewnętrzne zastawki, przerwanie dopływu powietrza nie przeszkadzało mu jednak. Zastanawiał się, jak długo może się utrzymywać pod powierzchnią, pewnie dość długo — pomyślał i postanowił to sprawdzić.

Im dłużej pozostawał w głębinie, tym mniej zdawał się na to zważać. Miał nieodparte uczucie, że jakoś oddycha, lekko i płytko, chociaż nie puszczał baniek. Ani strużki czy fontanny. Zdecydował wreszcie, że coś w jego skórze miało zdolność wchłaniania pewnej ilości tlenu z wody. Nie wystarczało to do prowadzenia życia pod wodą na stałe, ale mógł spokojnie pozostać tam przez pół godziny lub nawet dłużej, bez wypływania dla zaczerpnięcia powietrza.

Wynurzył się w pobliżu jednej z wysepek, rozglądając się dookoła. Dotknięcie wody przyjemnie koło skórę. Leniwie odwrócił się i popatrzył w stronę miasta rozrzuconego na wzgórzach. Ściemniało się, zaczęły się zapalać światła, i to nie tylko latarnie, chociaż tych było bez liku. Nie, to były te dziwne szklane latarnie uliczne, które widział już przedtem, prawdopodobnie gazowe. Tutejsi ludzie osiągnęli szczyt swoich technicznych możliwości.

Wielki pałac na najwyższym wzgórzu był oświetlony rzęsiście latarniami i różnokolorowymi lampami gazowymi. Widać go było doskonale, przypuszczał, że aura jakiejś nadrealności została stworzona świadomie.

Z wahaniem ruszył z powrotem do brzegu. Zaczął mu się dawać we znaki głód, zresztą miał masę do zrobienia. Szybko osiągnął brzeg i wynurzył się z lekkim, nieprzyjemnym wstrząsem na powietrze, które wydawało mu się teraz nieznośnie gorące i duszne. Po chwili jednak ruszył w drogę, a jego ciało dostosowało się do otoczenia.

Zaczął się rozglądać za dzielnicą przyziemnych uciech, tak charakterystyczną dla wszystkich wielkich miast, ale po pewnym czasie musiał zrezygnować. Była tu cała masa barów, z wielkimi żabami rozwalonymi na dopasowanych do kształtu ciała poduszkach, podtrzymujących je w pozycji siedzącej, w której do złudzenia

przypominały ludzi, chłepczących piwo i inne spirytualia z olbrzymich kielichów o cienkich nóżkach. Płaski brzeg kielicha wkładało się do gęby i przechylało lekko głowę, wznosząc jednocześnie naczynie.

Ale żadnej rozpusty.

Wreszcie zdecydował, że brakuje tu po prostu seksu. Wydawało się, że ich to nie zajmuje, że nie jest to motorem ich poczynań. Żadnych gruchających parok, żadnych zalotów, tylko wiele różnych grup koleżeńskich, mieszanych albo i nie, nic, co można by jakoś wiązać z seksem. Nawet on, dorosły, młody Makiem, nie odczuwał żadnych szczególnych sensacji na skutek bliskości kobiety. Asek-sualność tego społeczeństwa można było porównać jedynie z Komlandami, gdzie klonowanie stanowiło powszechną praktykę i gdzie jednostki były identycznymi bezpłciowymi istotami. Z drugiej jednak strony występowały dwie wyraźnie różniące się od siebie płci. Przynależał sobie, że kiedyś spróbuje rozwikłać tę zagadkę.

W końcu stwierdził, że czekał zbyt długo. Jasno oświetlone ulice, podobnie jak mieszkania — nie dawały schronienia. Część mieszkańców wypoczywała na ulicach przed domami, inni w otwartych drzwiach albo na dachu, jak można się było domyślić z dźwięków dobiegających z góry. Patrole krążyły ulicami.

Postanowił ruszyć ku peryferiom, tam, skąd przybył. Może coś się wyjaśni, jeżeli nie — cóż, zawsze mógł wrócić na polanę, na której „wylądował”, i, nawet gdyby była ona czyjąś własnością, wykorzystać ją na tymczasową bazę.

Mieszkanka Makiem wydawała się wniebowzięta. Wyglądała na osobę za-możną, być może rolniczkę na wieczornym wypadzie do miasta. Żadnych tatuaży. Młoda i bardzo mała.

I spita w drobny mak.

Nie była w stanie podskakiwać, z ledwością pełzła, bełkocząc coś pod no-sem. Może był to nawet śpiew, chociaż fałszywy i tak nieporadny, że Treligowi, który nie miał zbyt wyczulonego ucha, przypominał raczej krakanie i pohukiwanie. Jeszcze raz spróbowała podskoczyć, spadła na twarz i stoczyła się do rowu. Miłego, ciemnego rowu odwadniającego.

— O, psiarew! — dobiegł go głośny okrzyk. Po chwili usłyszał potężne chra-panie. Musiał jej się urwać film.

Poczłapał w jej stronę. W nocy widział mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy był jeszcze człowiekiem, i chociaż rów zalegała ciemność i błoto, sytuacja nie była bynajmniej beznadziejna.

Leżała na grzbiecie, z rozrzuconymi olbrzymimi pałkowatymi nogami. Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. Wiedział, jak Makiem załatwiają małą potrze-bę, ale nie sposób było sobie wyobrazić, w jaki sposób aparat ten mógłby służyć celom seksualnym. Oględziny chrapiącej „dziewczyny” też nie rozwiązały pro-blemu. Miła, mała łamigłówka — pomyślał ciężko. Wiedział już bardzo dużo o Makiem z wyjątkiem tych najbardziej podstawowych spraw. Spróbował więc zająć się innymi, pilniejszymi rzeczami. Ostrożnie obmacał jej wole, stwierdza-

jąc, iż coś tam na pewno tkwi, być może portmonetka. Przez chwilę się wahał, a potem potrząsnął swoją ofiarą. Nie zbudziła się, nawet nie zareagowała. Potrząsnął mocniej — ciągle nic.

Nie znajdując w niej śladu życia, zabrał się do próby rozwarcia jej gęby. Choć męczył się straszliwie, niczego nie osiągnął — paszcza była zaciśnięta, jakby ją zaspawano.

Już miał zrezygnować, kiedy chrapnęła potężnie, przesunęła się lekko na bok i uchyliła leciutko paszczę. Ostrożnie sięgnął do środka, napotykając gładką, twardą jak kość płytkę, dopasowaną tak dokładnie, że nie mógł jej nawet uchwycić. Kiedy tak gmerał, paszcza zamknęła się. „Dziewczyna” się nie obudziła, tylko po prostu zamknęła gębę, przytrzymując mu rękę. Daremnie przez dobre pół godziny próbował się wyrwać. Śpiąca przekreśliła się jeszcze, wciągając go prawie na siebie, ale ręka utknęła na dobre.

Kiedy na dodatek wysunęła swój długi język, badając zdobycz — zdjęło go prawdziwe przerażenie. Czuł, jak twarda taśma owija się dookoła jego ręki, i zastanawiał się, co począć. Z przodu szczęki nie było zębów, ale trochę głębiej były już nawet trzy rzędy. Gdyby język wciągnął jego rękę odrobinę głębiej...! Na szczęście, po chwili język zwinał się do paszczy, która się teraz uchyliła. Śpiąca wydała obrzydliwy świst i odwróciła się jeszcze trochę, zrzucając go prawie do rowu.

Trelić kłął pod nosem, masując obolałe ramię. Pewnie jej nie zasmakowało — pomyślał. Westchnął wiedząc już teraz, że napad rabunkowy bez broni jest tu niemal niemożliwy.

Starał się teraz zebrać myśli. Mógł się oczywiście trochę pokreślić, sytuacja skazywała go jednak na rolę żebraka i zbiega. Opuściła go moc, nie miał pojęcia, jak walczyć jako Makiem, nie miał szans w konfrontacji z tamtymi. I jeszcze jedno — nie mógł włączyć się do tutejszej społeczności na warunkach, które by mu odpowiadały.

Pozostało mu tylko się poddać.

\* \* \*

Strażnicy wyglądali na znudzonych. Siedzieli nieruchomo, mrugając tylko od czasu do czasu w sposób tak charakterystyczny dla gadów. Wrażenie senności było jednak mylące. Kiedy się przybliżył, utkwili w nim oczy, zakładając strzały do kusz i unosząc je w górę. Mimo to wyglądali raczej jak posągi niż żywe istoty.

Podszedł do jednego z nich.

— Przepraszam pana, czy to jest pałac królewski? — spytał przymilnie. Nie miał ochoty wpaść w ręce miejscowej policji albo jakichś biurokratów niskiej rangi.



Strażnik się nie poruszył, taksując natręta. Kiedy się odezwał, jego gęba ani drgnęła, co potwierdzało, że narząd głosu zlokalizowano gdzie indziej.

— Odejdź, chłopku. Żadnych wizyt z wyjątkiem Dnia Spowiedzi.

— Ale to jest pałac, prawda? — ciągnął uparcie.

— Nie, to jest siedziba związku producentów słomy — odparł strażnik ironicznie. — A teraz idź sobie, pókiś cały.

Trelig postanowił zmienić taktykę. Zaczerpnął oddechu.

— Czy ciągle szukacie Przybyszów, tak jak to pisali w okólniku? — spytał od niechcienia.

Oczy strażnika załśniły teraz rozbudzoną ciekawością.

— Wiesz coś o Przybyszu na Makiem? — spytał ostro i rzeczowo, ale z wyraźnym zainteresowaniem.

— Owszem — odparł Trelig. — Z kim mogę o tym porozmawiać?

— Ze mną — odparł strażnik. — Jeśli mi się spodoba, przekażę to dalej.

Jak cholera — pomyślał Trelig. Tylko wtedy, gdy zobaczysz w tym jakąś korzyść dla siebie.

— A więc dobrze — powiedział, zrezygnowany. — Jeżeli cię to nie interesuje... — Zabrał się do odejścia.

— Stać! — zawołał inny głos, być może innego strażnika. Ton komendy świadczył o autorytecie. Trelig zamarł bez ruchu, śmiejąc się pod nosem.

— Jeżeli ktoś się dowie, a to jest rzeczywiście Przybysz, to dostaniemy po głowie — zauważył ten nowy głos. — Weźmy go lepiej do starego.

— Dobra, dobra — burknął pierwszy strażnik. — Ja się tym zajmę. Ale co my z tego będziemy mieć?

— Wiem, po co tu jesteśmy, jeśli mówi prawdę, odpowiednio to rozdmuchamy — odparł drugi. — Ruszaj.

Trelig znowu się odwrócił.

— Hej, ty tam. Idź za mną — burknął pierwszy strażnik z rezygnacją w głosie i ruszył niespiesznymi skokami po wyłożonej cegłą alejce. Trelig trochę podniesiony na duchu, ruszył za nim. Jeśli, jak powiedział Ortega, wszystkie rasy zamieszkujące ten wszechświat — i także ten konkretny świat, włączając ród ludzki — wywodzą się z wysokiego pnia, to wszystkie tak stworzone rasy muszą mieć jakiś element wspólny, coś, co otrzymali od swoich twórców. Antor Trelig z urodzenia i zawodu był członkiem rodu ludzkiego i forma, jaką istota ludzka przybierała, nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Weszli przez boczne drzwi do bardzo dziwnej komnaty, oświetlonej lampami gazowymi. W środku zastali wartownika, który kiwnął nieznacznie do jego przewodnika.

Na dwóch ścianach pokoju rozmieszczono mnóstwo podobnie wyglądających, dziwacznych urządzeń. Górna część przypominała ogromne, wyściełane słuchawki, a poniżej sterczał rodzaj gumowej przyssawki z dziurą w środku. Zawieszono

to na umocowanych zatrzaskami splotach rury z tego samego materiału. Nad każdym kompletem wisiała tabliczka zapisana tymi samymi szalonymi hieroglifami.

Trelig przyglądał się ciekawie strażnikowi, który zdjął słuchawki i nacisnął je sobie na głowę, w miejscu, gdzie za nasadą szczęki wychodziły maleńkie otwory uszne. Przyssawkę przymocował pośrodku wytatuowanego emblematu na piersi. Wydał pierś, wydając niezwykle głośny i przykry dźwięk. Trelig wiedział już teraz w czym rzecz. Urządzenie przenosiło dźwięk do różnych części pałacu, rurą przemieszczało się powietrze. Przypuszczał, że słyszalność może być nie najlepsza, wyglądało jednak na to, że ma przed sobą prymitywny, nietechnologiczny telefon.

Jak cholera nietechnologiczny! — powiedział do siebie. Ci ludzie byli bardzo zaawansowani technologicznie. Stworzyli wszystko, co mogło tu funkcjonować, i to bardzo pomysłowo.

— Tak jest — strażnik dosłownie krzyczał, tak głośno, że Trelig pożałował, że nie ma zastawek w uszach zamiast w nosie. — Powiada, że wie coś o Przybyszu. — Przerwa. — Nie, nic szczególnego. — Przerwa. — Osobiście, proszę pana? — Ale... — Przerwa. — W porządku. Tak jest, natychmiast. — Zakończył rozmowę, odłączył przyssawkę, która zwinęła się na rączce, i powiesił słuchawkę na ścianie. Odwrócił się teraz do Treliga.

— Hej, ty tam! Chodź — burknął. Poszli dalej.

Nie było tam schodów ani pochylni, Trelig poczuł się nieswojo, kiedy dotarli do wysokiego pomieszczenia, z czterech stron zamkniętego nagim, gładkim kamiennym murem, które najwidoczniej było połączeniem korytarzy wielopiętrowego zamku. Strażnik po prostu ruszył po ścianie w górę.

Trelig zawahał się, a potem, z nagłą determinacją powiedział sobie: czemu nie, do diabła? Jeśli coś nie będzie pasowało, może przeżyję upadek. Przyglądając się strażnikowi stwierdził, że wystarczy dobrze docisnąć palce do kamienia, podciągnąć się, a potem podeprzeć tylnymi żabami nogami, żeby wykonać następny ruch do góry. Nie kosztowało to wielkiego wysiłku, jeśli się to robiło płynnymi, rytmicznymi ruchami, tak jak się wchodzi po drabinie. Dla Treliga jednak ten sposób poruszania się był wyraźnie dziwaczny i powolny. Wiedział, że strażnik w korytarzu na dole przygląda mu się z rozbawieniem, a z góry dobiegło go warknięcie drugiego:

— Hej, ty tam, ruszaj się! Stary nie będzie na ciebie czekał!

Z trudnością się wdrapał na trzecie piętro, dziękując bogom, że nie musi iść wyżej. Jeżeli wchodzenie wymagało pewnego przyzwyczajenia, to co mówić o schodzeniu! Na razie wolał o tym nie myśleć.

Mijali ogromne sale, niektóre zbytkownie wyposażone w jedwabne tapety i wymyślne dywany. Niektóre drzwi były zamknięte, ale to, co widział, dawało wyobrażenie o zasobności gospodarza. Wnętrza wypełniała rozmaita metalopla-

styka, w większości bynajmniej nie z mosiądzu czy z żelaza, ale z litego złota, często ozdobionego szlachetnymi kamieniami niezwyklej wielkości.

Wreszcie weszli do czegoś, co musiało być pomieszczeniem recepcyjnym. Prostokątna sala była zbyt mała, by być stałą siedzibą króla. Nawet jednak tu sufit dzieliło od podłogi dobrych 10 metrów, a ściany pokrywały aksamitne zasłony w kolorze złotym i kasztanowym. Na całej podłodze leżał gruby dywan z rodzaju futra. W końcu sali był niski podest, na którym stało chyba najwygodniejsze ze wszystkich tych krzesel-poduszek, jakie tu spotkał. Rozejrzał się dookoła, domyślając się w duchu, że gdzieś tam, być może zaraz za tym podestem, jest drugie wejście.

I nie pomylił się. Zasłona za fotelem się poruszyła i do pokoju wszedł na czworakach starszy już Makiem. Wdrapał się na podest i rozparł w fotelu. W tej pozycji niezwykle przypominał człowieka. Efekt pogłębiał fakt, że stary żaból skrzyżował lekko swoje olbrzymie nogi i oparł ramiona na dwóch małych regulowanych poręczach.

Popatrzył krytycznie na gościa, a potem zwrócił wzrok ku strażnikowi.

— To wszystko, Zubir. Zawolałem cię, jeśli cię będę potrzebował. — Strażnik lekko skłonił głowę i wycofał się, zamykając za sobą wielkie drewniane drzwi.

Stary odwrócił się do Treliga.

— Wiesz coś o Przybyszu? — spytał głosem tryskającym energią. Miał nierówną skórę, pokrytą jakimiś przebarwieniami, obwisłą w wielu miejscach, ale jak ocenił Trelig, sam był jednostką bardzo żywotną.

— Tak, panie — odparł Trelig ostrożnie. — Wysłał mnie tu, żebym się zorientował, co go czeka, jeśli sam się zgłosi.

Stary zachichotał.

— I do tego jeszcze beczelny. To lubię. — Nagle wychylił się z fotela, wyciągając ku niemu palec. — To ty jesteś Przybyszem i dobrze o tym wiesz! — rzucił, a potem ciągnął dalej łagodniejszym, bardziej przyjaznym tonem. — Beznadziejnie chodzisz po ścianach, za to gładko kłamiesz. To ci muszę oddać. No, dobra, daj spokój! Kim naprawdę jesteś?

Trelig zastanawiał się nad odpowiedzią. Miał do wyboru kilka różnych postaci. Wykluczył od razu Zinderów — był zbyt dojrzały jak na córkę i zbyt mało obeznany z techniką jak na ojca. To samo odnosiło się do Ben Julina. Renard albo Mavra Chang? Pierwszy by nie przeszedł, bo zbyt sprytnie sobie poczynał na początku, by teraz uchodzić za strażnika, ten stary na pewno nie był głupcem — a Mavra Chang byłaby też bardziej widoczna. Najlepsze więc, co mógł zrobić, to powiedzieć prawdę, i w ten sposób wkraść się w ich łaski.

Naśladując strażnika, wygiął łokcie tak, że ciało zniżyło się aż do podłogi, a potem znowu się podniósł.

— Antor Trelig, do usług wielmożnego pana — powiedział. — A z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Stary uśmiechnął się lekko. Trelig wiedział już, że tutejszy uśmiech bardzo się różni od uśmiechu istoty ludzkiej.

— Zawsze wszystko masz przemyślane, zanim zaczniesz działać, prawda, Trelig? — powiedział otwarcie. — Widziałem wszelkie możliwe kłamstwa, które chodziły ci po głowie, zanim zdecydowałeś się mówić prawdę. A co do pytania... Jestem Soncoro, minister rolnictwa.

Trelig z trudem stłumił uśmiech.

— Człowiekiem, który tak naprawdę wszystkim tu rządzi — powiedział po prostu.

Soncoro spodobała się ta szczerość.

— Skąd ten wniosek?

— Stąd, że strażnik odesłał mnie do ministra rolnictwa, a nie do premiera, króla czy do organów bezpieczeństwa. Wybrał ciebie, i to od razu, i bez wahania. Te typki doskonale się orientują, kto jest kto.

Soncoro kiwnął głową.

— Myślę, że cię polubię, Trelig. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Podobasz mi się, chociaż nigdy w życiu nie będę ci ufał. Rozumiesz to doskonale. Podobnie zresztą jak i ty byś mi nie ufał, gdybyśmy się zamienili miejscami.

Trelig rozumiał to doskonale.

— Jestem tu zbyt świeży, żeby stanowić jakieś zagrożenie, Soncoro. Na razie bądźmy partnerami.

Stary zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

— Dokładnie. Wiesz, czego nam trzeba, czego możemy od ciebie chcieć, prawda? I dlaczego tak nam ulżyło, kiedy się upewniliśmy, że jesteś właśnie tym, kim jesteś?

— Dlatego, że potrafię pokierować statkiem kosmicznym — odpowiedział swobodnie były boss syndykatu. — I również dlatego, że potrafię uruchomić Nowe Pompeje. — Trelig poczuł olbrzymią ulgę. Obawiał się, że wyląduje w sześciokacie z dominującym środowiskiem wodnym, albo w sześciokacie, którego rząd nie dysponuje ani planami Nowych Pompei, ani ludźmi typu Soncoro. Jeżeli jednak — pomyślał — wszyscy mamy wspólne korzenie, zawsze mam szansę.

Trelig popatrzył na starego.

— Chodzi wam ten na Północy?

Soncoro potrząsnął głową.

— Nie, to sprawiłoby trudności niemal nie do przewyciężenia. Oczywiście myśleliśmy o nim. Nawet byliśmy dość blisko, w boksie nietechnologicznym, musieliśmy jednak nie tylko dostać się do niego, a żaden mieszkaniec Południa nie był nigdy na Północy, ale również w jakiś sposób przemieścić go na odległość prawie dwustu kilometrów po to, by można go było uruchomić, wreszcie ustawić tak, by mógł się oderwać, póki nie spadłby pod wpływem Studni. Wreszcie — i to jest równie ważne — żeby to wszystko wykonać, trzeba by przebyć cały szereg

boksów, zamieszkanymi przez niezrozumiałe, obce formy życia, którymi należało by zawładnąć albo im zaufać; na dodatek w atmosferze, która w niejednym przypadku byłaby dla nas zabójcza. Nie, niestety, obawiam się, że twój statek zostanie w Uchjin.

— Ale ten drugi statek rozpadł się na kawałki! — zaprotestował Trelig. — To mój statek. Musiał się rozlecieć przed lądowaniem. Dziewięć zespołów mogło się rozprysnąć na całej planecie!

— Fakt, jest co zbierać — przyznał Soncoro. — Wyjaśnij mi jednak, proszę: czy rzeczywiście wszystkie zespoły są niezbędne do latania? Przypuśćmy na przykład, że masz zakład zdolny wytworzyć hermetyczną część środkową. I jeśli byś miał do pomocy kilku dobrych inżynierów elektryków, którzy umieliby to porządnie zmontować? Czego byś potrzebował w takim wypadku?

Trelig był teraz naprawdę zdumiony.

— Mając to wszystko... prawdopodobnie siłownię i jeden-dwa moduły, żeby się upewnić, że nowe części zostały prawidłowo wykonane. I oczywiście sterówkę.

— A jeśli byś miał siłownię i moduły, ale musiał się obejść bez sterówki? — drażył Soncoro. — Czy i wtedy byłoby to do zrobienia?

Trelig zastanowił się.

— Byłoby to wykonalne, tak, ale znacznie, cholernie trudniejsze. Tam jest sterowanie komputerowe.

Stary powtórnie kiwnął głową.

— Mamy tu dostęp do zupełnie niezłych komputerów. Jeśli dobrze rozumiem, nie jest to sama maszyna, ale jej możliwości, programy, pamięć i czas działania.

— I połączenie z zespołem silnikowym — dodał Trelig.

— To akurat może dałoby się jakoś rozwiązać — oświadczył Soncoro. Na jego twarzy pojawił się paskudny uśmiešek. — Witaj w domu.

— Ale skąd chcecie to wszystko wziąć? — zainteresował się Trelig. — Domyślam się, że jeśli moglibyście tu mieć warsztat mechaniczny i komputery, to byście je mieli.

— To dobry argument — przyznał Soncoro. — Ale nie będziemy sami. A jakbym ci powiedział, że cztery kawałki znajdują się o sześć boksów od tego, a przedział silnikowy o siedem? I że mamy sojuszników — jeden sześciokąt półtechnologiczny i jeden wysokotechnologiczny, z odpowiednim potencjałem?

Trelig był naprawdę zaintrygowany.

— Ależ mówimy tu o wojnie! — zaprotestował. — Myślałem, że wojna jest tutaj niemożliwa!

— Owszem, jeśli chodzi o wojnę celem podboju, tak — zgodził się stary. — Gdyby jednak pomyśleć o bardziej ograniczonych celach? Dahla wykazał, że nie da się tu przez dłuższy czas niczego okupować, faktycznie. Przecież jednak możemy tylko zająć teren, prędko zabrać, co nam potrzeba, i ruszyć dalej. Zresztą

z niektórymi sześciokątami sprawa będzie i tak prosta. Albo się nam poddadzą, albo nas w ogóle nie zauważą. Problemów spodziewam się tylko w przypadku niektórych.

Trelig rozważał to, co usłyszał, z narastającym podnieceniem. Taki obrót spraw przekraczał jego najśmielsze wyobrażenia!

— Ale przecież statek powinien opaść pod określonym kątem. Jeżeli można dotrzeć do pięciu, to i z dalszymi nie powinno być kłopotów. Dlaczego w takim razie się ograniczać?

— Nie jesteśmy jedynymi uczestnikami tej gry — wyjaśnił stary Makiem. — Włączają się i inni. Być może, później będziemy się mogli jakoś z nimi zgodzić, ale jedynym elementem, którego żadną miarą nie potrafimy zbudować, jest przedział silnikowy. Mamy wielu takich, którzy latali w kosmosie, lecz w większości są to technicy. Ty umiesz sterować statkiem — ale czy umiesz go zbudować?

— Nie — przyznał.

— Już od dawna nie mieliśmy pilota obeznanego z typem 41. W każdym razie nie mamy do nikogo takiego dostępu. Przypuszczam jednak, że wskutek postępu, jaki nastąpił w tej dziedzinie, niektóre przynajmniej elementy jego wyszkolenia są dziś bezużyteczne. Mam rację?

— Może i tak — odparł Trelig. — Napędy, a także sposoby programowania i sterowania komputerami uległy już w moich czasach zasadniczym zmianom.

— A zatem dla pewności można się domyślać, że tylko ty, ten twój pomocnik Julin i kobieta, Mavra Chang, potraficie poprowadzić ten statek naprawdę kompetentnie?

Trelig kiwnął głową, zdając sobie sprawę, jak wielkiej nabiera w tym świetle wartości.

— Jeżeli nie ma tu ludzi, którzy przybyli najdalej przed stuleciem, to powiedziałbym, że jest to raczej pewne.

Soncoro ta konstatacja zdawała się niezwykle radować. Znowu wychylił się z poduszek sofy.

— Ten cały Julin. Czy można mu ufać?

Trelig wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mniej więcej tak samo, jak mnie.

Soncoro świsnął z podziwem.

— A więc aż tak źle? To znaczy, że są na razie małe szanse na jakiś interes, póki nie dostaniemy przedziału napędowego.

— A więc wiecie, gdzie on jest? — spytał Trelig, zdumiony.

— Jest przedstawicielem rasy Dasheen, i to męskim, niech to diabli! Już z tego tytułu zajmie tam uprzywilejowaną pozycję. Yaxa są już dość zaawansowani ze swoimi planami, może nawet trochę nas wyprzedzili, a on na pewno zawrze z nimi sojusz, jeżeli tylko będzie mógł. Musimy więc ruszać i to możliwie jak najszybciej. Ten, kto zawładnie zespołem napędowym, będzie miał cały statek.

— Wyjaśnij mi jeszcze dwie rzeczy — nalegał Trelig.

— Dalej, mów — zgodził się stary.

— Po pierwsze: co by się stało, gdybym nie wypłynął tutaj jako Makiem? Z tego, co mówisz, wnoszę, że i tak mieliście zamiar rozpętać wojnę, że wszystko było do niej przygotowane. Więc co: wiedzieliście?

— Oczywiście, że nie! — odparł tajny władca Makiem. — Tak, jak to w końcu wyszło, było zwyczajnie prościej. I tak musielibyśmy przechwycić poszczególne zespoły i czekać, aż się zgłosi któreś z was. Ktoś musiał wreszcie wypłynąć! — Trudno było odmówić logiki temu rozumowaniu. — No dobrze, a drugie pytanie?

— Jak tu załatwiacie sprawy seksu? — spytał Trelig.

Soncoro w odpowiedzi ryknął śmiechem.

# Dasheen

Ben Julin otrząsnął się i otworzył oczy.

Pierwsza jego myśl dotyczyła bólu. Jego braku, połączonego z przywróconym czuciem we wszystkich częściach ciała. Już tylko z tego powodu doznał ogromnej ulgi. Zaraz jednak przysłała następna: gdzie był i kim był?

Usiadł i rozejrzał się. Niewątpliwie wiele się zmieniło. Był lekko krótkowzroczny i zupełnie niewrażliwy na barwy. Z tego, co widział, wnosił jednak, że wylądował w kraju rolniczym; było widać bale siana, płoty i wąskie dróżki rozbiegające się we wszystkie strony i przecinające się pod kątem prostym. Po drugie — był to kraj nizinny. Mimo że w odległości ponad 500 metrów obraz zaczął się rozmywać, mógł dostrzec linię horyzontu.

Popatrzył teraz po sobie. Grube, muskularne, włochate, długie nogi przypominały trochę ludzkie, chociaż same stopy były raczej dziwne: bardzo szerokie, w owalnym kształcie, zbudowane z jakiejś twardej odpornej substancji. Z przodu miały jakby wcięcia, ale nie mógł nimi ruszać tak, jak palcami u nóg. Wydawało się, że miały po prostu zapewnić pewną elastyczność przy chodzeniu. Miał ramiona zapaśnika — olbrzymie, napęczniałe mięśnie pokryte cienką warstwą sztywnego, brązowego włosia. Palce — krótkie i grube, z tej samej mocniejszej substancji co stopy, i wyposażone w stawy w odpowiednim miejscu oraz w przeciwstawny kciuk. Schylił się i poklepał po stopach. Odgłos był jakiś głuchy i twardy. Zauważył bardzo słabe czucie w rękach i w nogach, chociaż cała reszta ciała była normalnie wrażliwa.

Skórę miał brązową, prawie całą pokrytą krótkim, szczeciniastym włosiem, lecz oczywiście odbierał ją jako ciemnoszarą. Spojrzenie ku łądzwiom przekonało go, że był nie tylko mężczyzną, ale wręcz supermenem. Widok ten sprawił mu prawdziwą przyjemność, mimo iż sam instrument był kruczoczarny! Był to największy przyrząd, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

Tylko pierś pokryła mlecznobiałe owłosienie. Sam tors był, podobnie jak nogi, mocnej konstrukcji; mięśnie, napinane od niechcenia, pęczniały pod skórą w gigantyczne węzły.

Zapowiada się całkiem niezłe — powiedział do siebie.



Przyczyną krótkowzroczności mogło być, jak się przekonał, odmienne osadzenie oczu. Podniósł rękę do twarzy. Było coś jeszcze... obmacując ostrożnie, starał się stwierdzić, co.

Głowę miał olbrzymią, ale proporcjonalną do reszty ciała. Krótki, gruby kark i... tak, oczywiście... ryj! Nie był to może długi ryj, ale wyraźnie wystawał z twarzy. Próbował „zezem” go obejrzeć — pokryty białym futrem owal z płaskim czubkiem, sterczący jakieś 10 centymetrów od głowy. Miał miękki, wilgotny, szeroki nos — niewiarygodnie szeroki, niemal jak cały ryj. Domyślał się, że jest pewnie różowy — z parą olbrzymich nozdrzy wyposażonych w zastawki. Z obu stron nosa sterczały wąsiska jak u rysia — twarde, dość długie, przypominające bardzo długie białe igły sosnowe.

Pod nosem, na całej szerokości ryja, mieściła się gęba. Popróbował ją szerokim, płaskim, grubym językiem. Mnóstwo zębów, dość tępych. Otworzył paszczkę, zamknął i spróbował żucia. Przekonał się, że mógł wykonywać tylko ruchy w poziomie, co oznaczało, że był roślinożercą. Wiedział już teraz, dlaczego i dla kogo to siano i zboże, które widział dokoła.

Wielkie oczy były osadzone szeroko, z tyłu ryja. Uszy miał spiczaste, o dużej swobodzie ruchów. Głowę wieńczyła para olbrzymich rogów. Nie ulegało wątpliwości, że wyrastały one z kości czaszki, po bokach miały jeszcze dodatkowe, paskudne szpice.

Chwiejnie podniósł się na nogi, stwierdzając, że głowa nie wydaje mu się szczególnie ciężka czy niewyważona, chociaż nie mógł nią obracać tak swobodnie, jakby chciał.

Była w końcu jeszcze jedna sprawa. Stwierdził oto, że wyposażony jest w ogon, osadzony na swego rodzaju kulowym przegubie, tak że mógł nim dość swobodnie wywijać. Ogon był gruby i wyrastał z pleców, pewnie stanowił ich przedłużenie. Był brązowy, podobnie jak reszta ciała z wyjątkiem piersi i ryja, i zakończony grubym pędzlem delikatnego ciemnego włosia. Był to długi ogon, chociaż nie dotykał ziemi. Julin sięgnął za siebie, złapał go i obejrzał ciekawie.

Dobrze byłoby mieć lustro — pomyślał.

Dotarł do drogi i ruszył, by znaleźć jakąś cywilizację.

Dzień był chłodny, odczuwał to odsłoniętymi częściami ciała — nosem, wnętrzem uszu, genitaliami. Widocznie był to rodzaj naturalnej izolacji.

Po drodze zauważył grupy pracujące w polu, ale były zbyt odległe, by ze swoim krótkim wzrokiem mógł im się dobrze przyjrzeć. Zastanawiał się, czy nie powinien podejść i się przedstawić, w końcu uznał jednak, że mógłby sobie w ten sposób narobić kłopotów. Gdyby bowiem teren był prywatny, intruz mógłby być wielce niepożądany. Postanowił iść dalej aż do jakiegoś miasta albo dopóki nie spotka kogoś na drodze.

Mimo ograniczonych możliwości wzroku — siła pozostałych jego zmysłów bardzo się wzmogła. Bezbłędnie lokalizował każdy najśłabszy dźwięk, od szmeru

niemal niewyczuwalnego tchnienia wiatru do odgłosów małych owadów buszujących na pobliskim polu, które dochodziły do niego czysto i wyraźnie. Również zapachy, miłe czy niemiłe, docierały do niego i znacznie pełniejsze i bogatsze niż kiedyś.

Poczuł się głodny i zastanawiał się, czym się żywią stwory takie jak on. Na polach było pełno paszy, ale z pewnością stanowiła ona prywatną własność, a wysokie płoty z drutu kolczastego skutecznie zniechęcały do skubnięcia czegoś w przełocie.

Dotarł wreszcie do niewielkiego skrzyżowania; od głównej drogi odchodziła pod kątem prostym mniejsza. Zauważył, że prowadzi do dużego kompleksu budynków wysokich może na kilka pięter, z dachami ze słomy czy innego materiału ułożonego na solidnych drewnianych ramach. Zastanawiał się, skąd brano drewno; wszakże na pewno nie pochodziło ono z tej okolicy.

Wreszcie postanowił zaryzykować. Jako nowemu powinni mu wybaczyć ewentualne niedyskrecje, jeśli będzie ostrożny i nie pozwoli się ustrzelić, zanim cokolwiek wyjaśni. Zaraz, zaraz — jak Ortega nazywał takich ludzi? Przybysze? Tak, to było to słowo.

Wydawało się, że większość robotników czy ich rodzin wyległa na pola. Najwyraźniej tutejsza aura obejmowała kilka pór roku: niektóre pola były już sprzątnięte, inne wyglądały na dojrzałe do żniw, na polu po lewej stronie trwała orka.

Zbliżał się właśnie do domu czy szopy, czy czymkolwiek był ten budynek, kiedy stanął oko w oko z pierwszym pobratymcem.

Była ona (bo niewątpliwie chodziło tu o osobnika żeńskiego) zajęta wyładowaniem rączki pługa za pomocą struga. Przewyższała go wzrostem — z mniejszą głową i dłuższą, bardziej giętką szyją. Miała krótsze i bardziej zaokrąglone rogi, nawet na końcach. Z wyrazu „twarzy” naprawdę przypominała jednak krowę, chociaż nie był to prawdziwy krowi łeb, lecz raczej jego antropomorficzna wersja z kreskówek. Uderzała odmienność jej rąk — okropnie długich, z podwójnym łokciem, który, jak się zdawało, mógł się zginać w dowolną stronę. Nie był to właściwie podwójny łokieć w sensie podwójnej lufy w dubeltówce — pierwszy był tam, gdzie być powinien, a za nim znajdowało się niezmiernie muskularne ramię, sięgające drugiego łokcia w pobliżu talii. Niemal odruchowo przyjrzał się własnym łokciom, by sprawdzić, że jego ramię, chociaż grube i napęczniałe muskułami, było wyposażone z całą pewnością w jeden łokieć.

Ostatnią cechą szczególną był jej olbrzymi, jakby skórzany fartuch, związany nieco powyżej talii. Z przodu trochę wybrzuszony, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, że pomyślano go jako osłonę dla ciąży. Kiedy „kobieta” obróciła się przy pracy bokiem, zobaczył, że fartuch ukrywa coś, co musiało być dużym, mocnym wymieniem zwisającym z tułowia trochę ponad talią.

„Kobieta” nie zauważyła go. Zastanawiał się, czy nie powinien chrząknąć znacząco, nie bardzo wiedział jednak, jak mu to wyjdzie, postanowił więc po prostu

zagadać i sprawdzić, czy ona go rozumie. Jeśli nawet nie — przynajmniej go zauważył

— Dzień dobry — powiedział z nadzieją w głosie.

„Kobieta” podskoczyła i odwróciła się w jego stronę. Jej ruchy w sposób niedwuznaczny zdradzały wstrząs i lęk. Wrzasnęła, rzuciła narzędzie i wskoczyła przez wielkie drewniane drzwi do dużego budynku.

Jeszcze ze środka dobiegały jej krzyki i zawodzenie, pomieszane z innymi głosami. Zdecydował, że najlepiej zrobi, jeśli spokojnie poczeka, co się dalej stanie.

Ciąg dalszy nastąpił po niecałych trzydziestu sekundach. Ktoś z ogromną siłą otworzył drewniane drzwi od środka, tak gwałtownie, że cały budynek się zatrzęsł. W progu stanął pan domu, dzierżąc w ręku dość paskudnie wyglądający żelazny łom.

Był nieco niższy od Julina. Jego olbrzymie rogi były lekko skrzycone i ostre, potężna głowa zdawała się osadzona bezpośrednio na tułowiu. Nosił coś w rodzaju spódnicy sięgającej trochę za kolana. Ogromne oczy miały skry.

— Czego tu u diabła chcesz, męska krowo? — warknął pogardliwie. — Jeśli chodzi ci o rozbity łeb, to postój tak jeszcze z dziesięć sekund! — Wziął groźny zamach łomem.

Julin poczuł, że ogarnia go panika, zdołał się jednak opanować. — Poczeka chwilę! Nie mam złych zamiarów! — wykrztusił.

Łom nie zmienił pozycji.

— Tak? To co właściwie sobie myślisz, włączając tu golusienki i strasząc porządne kobiety? — zawołał tamten z narastającą w głosie groźbą. Julin zauważył jednak z ulgą, że odpowiedź zastąpiła cios, co oznaczało, że rozsądek zwyciężył.

— Jestem Przybyszem! — prawie krzyknął. — Właśnie się ocknałem na tym polu i nie mam najmniejszego pojęcia, kim jestem i gdzie jestem, i co powinienem teraz zrobić! — Nie miał wątpliwości co do tego, że przynajmniej to było prawdą.

Olbrzymi minotaur zastanawiał się przez chwilę.

— Przybysz? — parsknął. — O ile mi wiadomo, mieliśmy tu dotąd tylko dwóch Przybyszów, i obaj byli krowami. Przybysz-byk to bez sensu! — Coś jednak męczyło go jeszcze. Łom opuszczał się coraz niżej.

— Nazywam się Ben Julin — powiedział, próbując nadać swojemu głosowi przyjazny ton i nie zdradzać śmiertelnego strachu, który ciągle go nie opuszczał. — Potrzebuję pomocy.

Rolnikowi wydawało się, że w zachowaniu intruza jest coś niejasnego. Miał jednak wrażenie, że jego prośba o pomoc jest szczerą.

— W porządku — burknął typ z łomem. — Na razie przyjmę twoją opowiadkę za dobrą monetę. Nie próbuj jednak żadnych sztuczek, bo cię zatłukę. — Ciągle groźnie ścisnął łom. — Wejdz, może przynajmniej znajdziemy dla ciebie jakieś okrycie, żeby cię pół stada nie musiało gonić.

Julin ruszył ku drzwiom, ale rolnik znowu uniósł drag. — Nie tam, ty idioto! Jasna cholera! Może rzeczywiście nie orientujesz się, dokąd trafiłeś! Idź za dom, tędy, a ja pójdę za tobą.

Julin ruszył posłusznie, wchodząc w inne drzwi czegoś, co było jakby przybudówką do większego kompleksu budynków. Znalazł się w czymś w rodzaju pomieszczenia mieszkalnego. Był tu salon z niewielkim kominkiem, olbrzymi fotel bujany z doskonale wypolerowanego drewna, okna wychodzące na gospodarstwo, a także — ku jego zdumieniu — dzieła sztuki i coś do czytania. Na dwóch półkach umieszczono szereg bardzo dużych książek, zadrukowanych nieznanym pismem, a także rzeźby, wykonane w cynowym stopie, przedstawiające nie tylko inne minotaury, zarówno męskie, jak i żeńskie, lecz też inne, jeszcze dziwniejsze tematy, które sprawiały wrażenie, że twórcy musieli hołdować jakiejś odmianie surrealistmu. Na ścianach zawieszono kilka miedziorytów, a właściwie czarno-białych rysunków przedstawiających sceny wiejskie, zachody słońca i inne realistycznie oddane motywy.

Figury kobiet potwierdziły jego podejrzenia: krowy rzeczywiście miały ogromne zwisające wymiona. Szkice czy grafiki, które tu widział, można było z powodzeniem zaklasyfikować jako artystyczną pornografię. Na stole obok leniwca stało dziwaczne urządzenie o nieznanym zastosowaniu. Na pudle poziomo umieszczono okrągłą płytę, którą najwyraźniej można było obracać za pomocą ręcznej korbki z boku. Po drugiej stronie umocowano skomplikowany mosiężny przyrząd oparty na nóżce, z tyłu wyrastał olbrzymi instrument w kształcie rogu. Z przodu było miejsce na przymocowanie bliźniaczego urządzenia. Julin nie miał pojęcia, do czego to wszystko mogło służyć.

Jego przewodnik przeszedł do drugiego pokoju i zabrał się jedną ręką do otwierania sosnowej skrzyni, jednocześnie bacznie obserwując przybysza przez otwarte drzwi. Julin zdecydował, że najlepiej będzie stanąć bez ruchu pośrodku pokoju i nie podejmować żadnych działań.

Drugi pokój był najwyraźniej sypialnią. Drewniany stelaż wypełniono materiałem przypominającym słomę, na to rzucono niedbale kilka koców i olbrzymi, wypchany przedmiot, który mógł być poduszką. Julin się zastanawiał, jak taka poduszka wygląda po nocy spędzonej na niej przez osobnika z głową o takich rogach jak jego.

Rolnik rzucił mu obszerną szatę, zrobioną z grubego drelichu, znacznie bardziej surowego i sztywnego niż spódnica, którą sam nosił. Julin dość szybko zorientował się, jak należy powiązać paski, przyszyte do materiału.

Podłogę przykrywał cienki, prosty dywanik.

— Będiesz musiał tu usiąść — powiedział gospodarz wskazując miejsce na dywanie. — Nie mam tu zbyt wielu gości. — Rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął się lekko bujać.

— Może byś mi teraz wyjaśnił, co będzie dalej? — zagał Julin.

— Najpierw to ty opowiedz mi o sobie. Kim jesteś, czym byłeś, jak się tu dostałeś — odpowiedział rolnik. — Jeśli mi się spodoba, pomogę ci rozwiązać twoje problemy.

Julin opowiedział mu wszystko. No, prawie wszystko. Pomiął milczeniem swój udział w ciemnych sprawkach Treliga. Odmalował siebie jako asystenta Gila Zindera, zmuszonego do różnych działań przez podłego bossa syndykatu. Wydawało mu się, że mówi przekonująco. Kiedy doznał do momentu katastrofy po północnej stronie planety, oczy gospodarza zajaśniały szczególnym blaskiem.

— A więc byłeś na Północy, co? Dla ludzi po naszej stronie jest to romantyczna eskapada, tajemnicza i pełna egzotyki.

Julin pomyślał, że nawet tu, na Południu, czuł się wystarczająco „tajemniczo i egzotycznie”, ale wstrzymał się z komentarzem. Wydawało mu się, że jego opowieść została dobrze przyjęta. Była zbyt szczegółowa, by mogła być wyssana z palca jako sklecona naprędce zmyłka. Rolnik wydawał się teraz odprężony.

— Nazywam się Cilbar — powiedział wreszcie bardziej przyjaznym tonem. — To moje gospodarstwo. Znajdujesz się w Dasheen, i jest to nazwa zarówno tego kraju, jak i jego mieszkańców — twoich rodaków. Jesteś stworzeniem roślinożernym, nie grozi ci więc nigdy śmierć głodowa. Jednak jako człowiek kulturalny przekonasz się, że choć jedzenie tego, co popadnie, pozwala zaspokoić głód, spożywanie przyrządzonych posiłków jest znacznie lepsze. Jest to sześciokąt nietechnologiczny, a więc funkcjonują tu wyłącznie maszyny poruszane siłą mięśni. Tej nam akurat nie brak, jak pewnie zauważyłeś.

Julin nie miał co do tego wątpliwości.

— Przebywam tu od młodych lat — ciągnął Cilbar. — Oczywiście są pewne miejscowe różnice, w sumie jednak nasz system jest trochę odmienny od większości sześciokątów. Przyczyniła się do tego biologia. Niektóre boksy nawet nas krytykują, ale tak już jest i nic się na to nie poradzi.

— Co masz na myśli? — dopytywał się Julin.

Cilbar westchnął.

— No cóż, inne rasy mają dwie, czasem więcej płci. Tak było z twoim dawniejszym gatunkiem. Wiadomo, istnieją drobne różnice, w zasadzie jednak są to odmiany tego samego stworzenia. Możliwości umysłowe są takie same, również ciało jest podobne, jeśli oczywiście nie liczyć części bezpośrednio związanych z seksem. Zgadza się?

— Tak, rozumiem — odparł Julin.

— No cóż, mogłeś zauważyć, że nie jesteśmy podobni do krów — powiedział rolnik. — Nie chodzi tylko o wymię. Jesteśmy mniejsi, bardziej przysadziści, mamy krótsze ręce z jednym łokciem, większe i w ogóle odmienne głowy i tak dalej.

— Zauważyłem — przyznał Ben Julin.

— No dobra, to wszystko dlatego, że naprawdę jesteśmy różni. Przede wszystkim na setkę kobiet przypada przeciętnie tylko jeden mężczyzna. Dlatego nie zdziwiło mnie to, że jesteś Przybyszem, ale fakt, że jesteś mężczyzną. Rozumiesz?

Julin rozumiał. Było to tym bardziej niezwykle, że do Studni trafił jako biologiczna kobieta. Co powiedział ten Ortega? Studnia klasyfikuje cię stosownie do norm, których nie znamy.

— W każdym razie — ciągnął Cilbar — ze względów społecznych mężczyźni są znacznie ważniejsi niż kobiety. Nas jest mniej, trudno nas zastąpić. Na dodatek jesteśmy znacznie mądrzejsi.

— A to dlaczego? — zdołał wykrztusić Julin.

Cilbar kiwnął głową.

— Mieliśmy tu wizytę uczonych z innych sześciokątów, którzy próbowali nam dowiedzieć, że jest inaczej. Potwierdzili jednak tylko to, co sami wiedzieliśmy. Mózgi kobiet są mniej rozwinięte. Mógłbyś spróbować nauczyć czytać którąś z nich z równym powodzeniem jak na przykład to krzesło. O, można oczywiście nauczyć je wykonywania jakiejś prostej pracy, będą się tym cieszyć godzinami. Orka, żniwa, prosta ciesiołka, ciągnięcie wozu i tym podobne. Do diabła, możesz im kazać kopać dziury pod paliki płotu i będą szczęśliwe, że mogą to robić, póki im nie każesz przestać. Ale spytaj je, ile dziur wykopały, a nie powiedzą ci.

Teraz dopiero Ben Julin zaczął rozumieć.

— Chcesz powiedzieć — rzekł — że kobiety wykonują całą robotę, a mężczyźni tylko kierują?

Cilbar znowu kiwnął głową.

— Mniej więcej. Kobieta zbudowała tę zagrodę, ale mężczyzna ją zaprojektował. Kobiety uprawiają ziemię, a ja nimi kieruję. To samo dotyczy sztuki, książek... wszystko to jest dziełem mężczyzn i jest przeznaczone dla mężczyzn.

Julin był zaintrygowany i jeszcze bardziej wdzięczny Studni, że wyrzuciła go tym, kim był. Sądził, że jest to miejsce, które da się lubić.

— Mówisz bardzo dobrze, z dużą kulturą — zauważył Przybysz. — Długo się kształciłeś?

Rolnik zarechotał.

— Każdy mężczyzna dostaje wszystko, na co nas tutaj stać. Myślę, że jesteśmy bandą zepsutych dzieciaków. Czasami się zastanawiam, co tak naprawdę mielibyśmy robić, gdyby przyszło co do czego. Taak, syn to coś bardzo szczególnego. Dostaje wszystko. Jeżeli wykazuje jakieś szczególne uzdolnienia, na przykład artystyczne, albo ma talent do pisania czy handlu, albo zdolności pedagogiczne, wtedy zajmuje się tym. Jeśli nie, tak jak w moim przypadku, wówczas przejmuje czyjeś gospodarstwo, gdy jego właściciel jest już za stary i zbyt zmęczony.

— A więc liczba ludności jest niewielka — domyślał się Julin.

— Bardzo mała. Około dziesięciu tysięcy gospodarstw, może trochę więcej albo mniej, trochę miasteczek dla obsługi, rzadko przekraczających kilka tysięcy mieszkańców, razem milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy głów, nie więcej.

— Z czego wynika, że mężczyzn jest około stu tysięcy? — zauważył Julin.

— Chyba nawet mniej — przyznał Cilbar. — Może trochę przesadziłem z tą liczbą mężczyzn. Gdy już się osiedlimy, nie za często podróżujemy. Pamiętam, że ktoś kiedyś mówił, że jest tylko siedemset pięćdziesiąt tysięcy Dasheen i siedemdziesiąt pięć tysięcy byków. Może.

— A co się dzieje, kiedy nowy młody byk nie ma żadnych pożytecznych talentów, a wszystkie gospodarstwa są pozajmowane? — zastanawiał się Julin.

— Masz na myśli twój przypadek, co? Naukowiec w nietechnologicznym sześciookacie! No tak, z tym mogą być problemy. No cóż, wtedy możesz znaleźć sobie jakiś fach, powędrować trochę, czekając, aż się coś zwolni, tak jak ja, albo też możesz sobie znaleźć gospodarstwo, wyzwać właściciela i stoczyć z nim walkę na śmierć i życie. Zwycięzca zabiera wszystko.

Nagle Julin zrozumiał, dlaczego gospodarz był tak wzburzony jego pojawieniem się: sądził, że ten młody byk wyzywa go na pojedynek.

— A jaki tu macie rząd? — spytał.

— Mały i prosty — wyjaśnił Cilbar. — Wszyscy rolnicy w danym okręgu wybierają kogoś do rady. Miasta wybierają w proporcji jeden na dziesięciu mężczyzn. Mamy tu małą kadrę urzędniczą, która zapewnia funkcjonowanie boksu. W razie pilnej potrzeby albo regularnie dwa razy w roku spotykamy się w małym mieście nazywanym Tahlur w samym centrum Dasheen, gdzie są szkoły zawodowe i gdzie znajdują się Wrota Strefy.

— A więc właśnie tam powinienem się udać — postanowił były uczoney. — Jeżeli dobrnę tam, zanim umrę z głodu, albo zanim mnie rozdepcze ktoś, kto nie będzie tak skory do wysłuchania mnie, jak ty.

Cilbar roześmiał się tubalnie.

— Posłuchaj, zebranie rady zwołuje się gdzieś w przyszłym tygodniu. Idzie nasz przedstawiciel, Hocal. Dam ci jeść, przenocuję, a jutro mu ciebie przedstawię. To powinno rozwiązać problem.

Julin podziękował. Jakoś to było za dobre i za łatwe. Musiała być jakaś mucha w tej smakowitej zupie, i zastanawiał się, kiedy wypłynie.

Hocal nie był nią wprawdzie, ale od niego zaczęły się kłopoty. Gdy przedstawiono mu Julina, zrobił zdziwioną minę.

— A więc o to tu chodzi w całym tym interesie! — wykrzyknął. — Coś wam się naprawdę musiało zdrowo pomieszać! Nie myślałem jednak, że jeden z was w końcu się tu pojawi. Wygląda na to, że jacyś ludzie chcą z nami rozmawiać o odzyskaniu niektórych części tego statku. Pogłoski mówią o wojnie. Wojnie! Mam nadzieję, że uda się nam utrzymać z dala od tego, ale to się dopiero zobaczy. Z geograficznego punktu widzenia jesteśmy tu w samym środku.

Julin poczuł nagły przyptyw zainteresowania.

— Jak to? Masz na myśli ten drugi statek, ten, który spadł na Południu?

Hocal kiwnął głową, wyciągając dużą mapę i rozkładając ją na stole przed sobą. Pomysłowy druk miał ułatwić rasie, nie rozróżniającej kolorów, rozróżnianie szczegółów oddanych za pomocą intensywnych kontrastów czerni, bieli i szarości. Mimo iż Julin mógł odczytać zarysy terenu, legenda oraz napisy były dla niego zupełnie niezrozumiałe. Trzeba będzie się zająć tym defektem — pomyślał.

Hocal pokazał grubym paluchem jeden z sześciokątów.

— Tu jesteśmy — wyjaśnił.

Julin przyjrzał się mapie. Dasheen znajdował się blisko Bariery Równikowej. Był tu jeszcze Cotyl (tak tę nazwę przetłumaczył Hocal), zajmujący dwa niepełne sześciokąty przy Barierze; później Voxmir na północny zachód — nieprzyjazny i nieludzki, jak go zapewnił Hocal; Jag na południowym wschodzie — wulkaniczny i diabelnie gorący, zbyt gorący, by Dasheen mogli tam przeżyć; Trick jeszcze bardziej na południowy wschód — z tymi niesamowitymi, grubymi latającymi talerzami wyrzucającymi parę; wreszcie Quasad na południowym zachodzie. Ten ostatni boks Hocal opisał jako wysoko rozwiniętą cywilizację technologiczną gigantycznych szcurów.

— I tu tkwi problem — dorzucił teraz Hocal. Poniżej Quasad, na południowy zachód od Trick, leżała Xoda, kraina ogromnych, wściekłych owadów, gdzie spoczywał również moduł rakiety. — Kolejny kawałek jest tu niżej w Palim, następny w Olborn na południowy zachód. Jeden spadł w Gedemondas, cztery boksy na południe. O tej krainie niewiele wiadomo. Co ważniejsze, w tym przypadku chodzi o zespół napędowy, i nie muszę ci mówić, że to wielka gratka. Przypuszczam, że zanim się to wszystko skończy, będziemy o Gedemondas wiedzieli znacznie więcej, niż wiemy teraz.

— Myślę, że niektórzy z mieszkańców tych boksów mogą tam być przed nami, na przykład te szczury — zauważył Julin.

Hocal był podobnego zdania.

— Pewnie tak, ale musisz pamiętać, że to śmieszny kraj. Tamtejsze rasy nie są zbyt przyjazne, nie zaznały też wielu lat pokoju, by myśleć o konflikcie. Nie, kłopoty mogą się pojawić od tej strony.

Ponownie dzióbnał palcem gdzieś daleko na zachodzie, daleko poza wybrzeżem Morza Burz.

— Tu jest Makiem, tu wyżej Cebu, a na wschód od niego Agitar. Makiem, boks nietechnologiczny jest rządony przez mądrych i bezwzględnych polityków podobnie jak nasz. Cebu jest sześciokątem półtechnologicznym, a jego mieszkańcy umieją latać, co jest bardzo użyteczną umiejętnością. Agitar natomiast jest boksem wysokotechnologicznym, ale na razie wiemy o nim bardzo niewiele. Wydaje się, że mają tam jakieś latające zwierzęta, co oznacza, że ich zasięg nie jest ograniczony zasięgiem ich maszyn, a także pewne ich naturalne właściwości elek-



tryczne wykraczają poza granice Studni. Zawiazali oni sojusz, mający na celu zawładnięcie elementami statku.

— Bez kwalifikowanego pilota nie będą mogli go użyć, nawet gdyby im się udało je poskładać — zauważył Julin. — Wiesz, że to nie jest taka prosta rakietka.

— Oczywiście, jesteśmy tego świadomi — odparł Hocal patrząc mu prosto w oczy. — Wojna z natury rzeczy musiała być tematem dnia, ale podejrzewam, że mając ciebie, można liczyć na jeszcze żywszą wymianę poglądów.

\* \* \*

Podróż okazała się nie męcząca i trwała niespełna dwa dni.

Jechali wygodną karetą zaprzężoną w sześć krów Dasheen ze stada Hocala. Ta siła pociągowa zapewniała lepszą prędkość podróży, niż Julin z początku przypuszczał.

Dotatkową atrakcją było to, że krowy, zmęczone w zaprzęgu, wykorzystywały przerwy na przygotowanie im wymyślnych potraw, masaże. Julin bardzo lubił, kiedy na niego czekali; przekonał się teraz, że bardzo łatwo można się tu było przedzierać w zepsutego dzieciaka. Krowy większość czasu spędzały na paplaninie we własnym gronie, czasami bawiły się w jakieś dziecinne gry, ale wypełniały swoje obowiązki bez słowa skargi, tak jakby się do nich urodziły i jakby te czynności były najwyższym szczęściem. W obawie przed swoim gospodarzem Julin trzymał się od nich z daleka.

Na południe dotarli do Tahlur, stwierdzając, że jest tam już większość pozostałych członków rady. Był to gatunek traktujący rzeczy serio, w miejskich piwiarniach toczyły się już poważne debaty. Tak jak na farmie i w drodze, całą robotę wykonywały krowy — gotowanie, sprzątanie, podawanie do stołu. Julin nie mógł sam nic zrobić. Zawsze była pod ręką krowa, by mu podsunąć krzesło, przynieść jadło czy picie, zaprowadzić go do wygodnego pokoju w gospodzie, przygotować coś czy oczyścić. Dochodziło do tego, że pędem cwałowały, by otworzyć przed mężczyzną drzwi.

Chociaż przyjmowanie tych wszystkich usług przychodziło mu bez trudu, zastanawiał się, czy przyczyną tego układu jest tylko fakt umysłowej pośledniości, czy też sam charakter sztywnego systemu społecznego. Nie były przecież automatami, czasami rozmawiały, śmiały się, czasem się dąsały, i w ogóle zachowywały się jak ludzie.

Były jeszcze te kolczyki i obroże. Nosiły je wszystkie krowy — wielkie kolczyki w nozdrzach i mosiężne kołnierze, opasujące kark, ocechowane znakami stada, z którego pochodziła dana krowa. Były nawet piętnowane na prawym pośladku.

Zastanawiał się, czy kiedyś im się to nie znudzi i czy po prostu nie uciekną. Czy dlatego je tak starannie znakowano?

Problem zaczął go męczyć jeszcze bardziej, kiedy stwierdził, że mężczy przedstawiciele gatunku pochłaniali olbrzymie ilości krowiego mleka, wcale nie jako dodatek do codziennej diety, lecz jako jej niezbędny składnik. Ich organizm nie mógł sam wytworzyć odpowiedniej ilości wapnia, niezbędnego do utrzymania dobrego zdrowia. Galon bogatego w wapń mleka dziennie chronił ich przed artretyzmem, schorzeniami kości, psuciem się zębów.

Bez krów mężczyźni umrą. Powoli i w wielkich mękach.

Dlatego właśnie i oni, i ich system byli tak dobrze znani w innych sześciokątach. Młode byki, czekając, aż się zwolni jakieś miejsce, podejmowały często wędrówki, czasem nawet dalekie. Mogły się paść jakąkolwiek strawą opartą na węglu, były też wyposażone we własny indywidualny system uzdatniania wody. Niewiele więc potrzebowały, pod warunkiem, że miały ze sobą przynajmniej cztery krowy (mleko!). Wyobrażał sobie, jakie to robiło wrażenie na rasach jednopłciowych, albo takich, gdzie nie było widocznych różnic w sytuacji obu płci, nie mówiąc już o społeczeństwach opartych na zasadach matriarchatu.

W sumie jednak niewiele mu zostało czasu na takie rozważania. Zbyt był zajęty krążeniem pomiędzy uczestnikami obrad, przedstawianiem się politykom i dyskutowaniem z nimi na temat kryzysu.

Rada zebrała się nazajutrz. W tym społeczeństwie kolektywnym nie znano nawet pieniądza, podział odbywał się *in natura* — takie instytucje na niewielką skalę były normalnym zjawiskiem. Wybrano przewodniczącego i przystąpiono do omawiania sprawy, która ich tu zgromadziła.

Centralna biurokracja wyjaśniła sprawę z użyciem map, wykresów i diagramów. Panowało ogólne przekonanie, że należy się od tego trzymać z daleka; to w ogóle nie była sprawa Dasheen. Julina uznano za komplikację, rozwścieczyło go zwłaszcza, że dyskutowano na przykład, czy go nie schować, internować na okres wojny, albo może zabić. Żadna z tych możliwości nie była rozpatrywana poważnie przez radę jako całość. Na szczęście — pomyślał, świadomy niebezpieczeństwa. Ci spośród uczestników obrad, którzy zgłaszali takie propozycje, robili to ze śmiertelną powagą, nigdy nie mógł być pewien, czy któregoś dnia ci najbardziej zapalczywi nie wezmą sprawy w swoje ręce.

Po trzech dniach konferencji niewiele spraw rozstrzygnięto. Ben miał wrażenie, że uczestnicy po prostu lubią się kłócić, nie uzgodnią niczego, chyba że pod przymusem.

Trzeciego dnia miała jednak miejsce wizyta, która ruszyła sprawy z miejsca. Przybysz wywołał prawdziwy popłoch na ulicach, i najwidoczniej niewiele sobie z tego robił. Zanim wylądował, unosił się w powietrzu, wspaniały i piękny, wielki motyl z sięgającymi dwóch metrów skrzydłami; błyszczały pomarańczowo i brązowo na tle jego czarnego ciała, które nawet po wylądowaniu mierzyło 150 centymetrów. Gość wsparł się na czterech tylnych spośród swoich ośmiu macek. Twarz

przypominała wielką, czarną trupa główkę z wielkimi, niesamowitymi, poduszkatymi ślepiami.

Był to Yaxa, i, jak się okazuje, spodziewano się go.

Jego zimny, ostry głos i styl bycia przeszywały słuchaczy dreszczem. Nawet Ben to odczuwał, mimo że musiał mieć na bieżąco tłumaczenie. Stwór był niepodobny do innych mieszkańców Świata Studni, jakich spotkał — Dasheen, Ortegi, Ambreza, nawet tej dziwnej żyjącej rośliny. Nie chodziło o to, że nie był podobny do człowieka. On po prostu był niesamowicie obcy, tak obcy jak „kleksy”, które spotkali na Północy.

Okazało się, że Yaxa przybywa z propozycją.

— Po pierwsze — powiedział — pozwólcie, że podsumuję dotychczasowy rozwój sytuacji. Lecąc tu, utrzymywałem cały czas łączność, mam więc najświeższe informacje. Wypadki toczą się bardzo szybko. Makiem zawiązali sojusz i koordynują swe działania z Cebu i Agitar. To najwspanialsza kombinacja intelektu, oportunistów i talentu, jaką widziała kiedykolwiek ta planeta. Boidol gotów jest wydać im swoją część statku, aby uniknąć walki. Nie sposób było ich od tego odwieść. Djukasis podejmą walkę, ale nie udało nam się pozyskać Lata, by wystąpili ich boku czy kogoś innego. Djukasis liczą się z ofiarami, ale nie mogą liczyć na pokonanie takiego sojuszu. Klusidianie nie poddadzą się, ale też i nie podejmą walki, a wiecie dobrze, co to oznacza. Zhonzorp w sprzyjających okolicznościach będą walczyć, ale ich sposób myślenia bardzo przypomina Makiem. Jeśli będą mogli, przyłączą się do zawiązanej koalicji. Ich nienawiść do Klusidian powstrzyma ich od udzielenia im koniecznej pomocy.

Gość przerwał na chwilę, poprawiając olbrzymie mapy, których używał do ilustrowania swego wyводу.

— Zupełną zagadką jest Olborn. Jedno wiadomo na pewno: nikt, kto tam raz wszedł, już nie wrócił, ich ambasada w strefie nigdy nie była obsadzona. Nie sądzę jednak, chociaż mały znak zapytania pozostaje, by jakakolwiek rasa, choćby nie wiem jak potężna, mogła w pojedynkę powstrzymać ten pochód. Jeśli się nam poszczęści, możemy liczyć, że ci z Olborn przyhamują ich, tak samo jak Alestoli. Pomyślcie jednak, co dwie umiające latać rasy potrafią zrobić choćby z czymś tak prostym jak gotujący się olej. Nie. Ale sądzę, że wystarczająco duża ekspedycja osiągnie jednak Gedemondas, sześciokąt, który z nikim nie rozmawia, nie ma ambasady, a jego środowisko jest niesłychanie nieprzyjazne dla większości ras. Nawet mieszkańcy Dilli po drugiej stronie, którzy również mają u siebie trochę gór, nie zdołali z nimi nawiązać kontaktu. Oni nie podejmują walki, tylko po prostu znikają. W rezultacie cztery moduły i zespół silnikowy pozostają w rękach sojuszu Makiem-Cebu-Agitar.

— Ale w jaki sposób mogą przenieść tak wielkie maszyny do swoich ojczyścich sześciokątów? — spytał jeden z członków rady.

— Agitar znajdują się na rzeczy — wyjaśnił Yaxa. — Ściągną na pewno trochę dobrych inżynierów. Rozbiorą wszystko na części, przepchną przez Wrota Strefy; jeżeli nie będą mogli zabrać w całości do siebie, a potem już sobie poskładają.

— Ale przecież i tak nie potrafią tym latać — zauważył ktoś.

— Znowu pudło — odparł Yaxa. — Makiem mieli odrobinę szczęścia, które sprawia, że można zwątpić w coś takiego jak wolna wola. Jeden z Przybyszów, mających kwalifikacje pilota, Antor Trelig, jest właśnie Makiem. Może poprowadzić statek i z pewnością to zrobi. Może także wejść do zespołu komputera i wykorzystać go na satelicie. Rozumiecie? Zagrożone jest samo nasze istnienie!

Teraz zrozumieli. Dopiero po kilku minutach nieopisanego tumultu i ryku przewodniczący zebrania zdołał ich uciszyć. Chociaż nie dawał po sobie tego poznać, Yaxa wydawał się zadowolony z uzyskanego efektu. Przybył tu bowiem z misją dyplomatyczną, z zamiarem wywołania śmiertelnego lęku.

— Cóż jednak możemy zrobić? — spytał jeden z uczestników rady. — Mamy posłać naszych ludzi do boju z mieczami i oszczepami przeciw Quasada? Przecież oni schrupią nas jak ciasteczko!

— Pewnie by tak było — przyznał Yaxa. — Będziecie jednak na szczęście mieli trochę czasu i trochę przewagi po swojej stronie. Yaxa i Lamotien połączyli swe siły. Lamotien są bodaj najlepszymi przyjaciółmi albo najbardziej zaciekłymi przeciwnikami w Świecie Studni. Planeta, z myślą o której ich zaprojektowano, musi być prawdziwym piekłem. Mogą przybierać dowolny kształt, przy jedynym ograniczeniu stałej masy. Nawet i to nie jest jakimś szczególnym upośledzeniem z uwagi na ich niewielkie rozmiary. Mogą się ze sobą łączyć tworząc większe organizmy. Wystarczy dwadzieścia sztuk, by stworzyć Dasheen, którego w życiu byście nie odróżnili od prawdziwego. Ogólna liczba Lamotien sięga dziesięciu milionów albo i więcej. Ich sześciokąt reprezentuje wysoki poziom techniczny. Współpracując z nimi, wkrótce będziemy mieli niezmiernie istotny zespół mostka statku z Teliagin. Wtedy Lamotien przybiorą postać uskrzydloną i polecimy na wyspę Nodi na Morzu Burz i przechwycimy drugi zespół. Potem przez Wschodnią Szyję przelecimy do Quasada. Z technologią i zdolnością przenikania w głąb terytorium wroga, jaką dysponują Lamotien, możliwością lotu Yaxa i ich doświadczeniem bojowym, a także, być może, z możliwością korzystania z baz i obsługi w Dasheen, będziemy mogli podbić Quasada i Xoda, które mogą nam przysporzyć największych kłopotów. Ciągle nie wiadomo, co z Palim; nie wykluczam, że prawdopodobnie po prostu nie przepuszczą. W ten sposób lądujemy w Gedemondas, w którym to sześciokącie nam, Yaxa, trudno będzie operować, ale gdzie ekspedycja Dasheen, wspomagana przez Lamotien, może być bardzo skuteczna w działaniu. Czy muszę wam mówić, że to pozwoli nam zawładnąć zarówno mostkiem, jak i zespołem silnikowym? — Odwrócił się, popatrując ponad wolimi łbami zgromadzenia. — A przecież macie jeszcze Ben Julina, pilota, który również ma dostęp do komputera satelity.

Rozległy się nowe ryki. Skąd Yaxa o tym wiedział? To przecież wszystko zmieniało!

Uśmiech nie leżał w fizycznych możliwościach Yaxa. Nawet gdyby mógł się śmiać — pomyślał Julin — taki gest zdruzgotałby jego twarz i osobowość. Widać było jednak, że ma dość pewności i zadowolenia z siebie na kilka uśmiechów.

Trzeba wziąć poprawkę na intrygi Świata Studni — pomyślał Julin. Ten świat roił się od szpiegów, spisków, posunięć i blokad. Wykluczenie wojny jako narzędzia rozstrzygającego spory sprawiło, że tutejsze tęgie głowy wypracowały jeszcze bardziej podłe, podstępne techniki.

Dyskusja toczyła się dalej ze zmiennym natężeniem, było jednak widać, że decyzja dojrzała, a dalsze formalne głosowanie tylko ją oficjalnie zatwierdziło. Wypowiadał się nawet Julin, przekonując ich o swoich kwalifikacjach pilota, przydatnych nawet wtedy, gdyby statek miał tylko jeden moduł pomiędzy sterownią a zespołem silnikowym. Zapewniał ich także, że w razie potrzeby ma dostęp do Obiegu. Miotaly nim mieszane uczucia, podniecenie, ale i obawa. Z jednej strony otwierała się tu szansa, aczkolwiek odległa, uzyskania panowania nad Nowymi Pompejami, włącznie z Obie, i być może także klucza do Studni. Z drugiej jednak, miał świadomość, jak groźny może być Antor Trelig jako rywal. Nie miał zamiaru lekceważyć niebezpieczeństw stąd płynących, już samo wspomnienie jego imienia tchnęło grozą.

Milszą stroną życia po radzie było wygaśnięcie wszelkich osobistych uraz. Nagle stał się jednym z nich. Być może w sensie siły bojowej byli najstarszym ogniwnem sojuszu, ale pozostali, zaiste upiorni jego członkowie, byli całkowicie uzależnieni od Dasheen, chcąc się dostać tam, gdzie zamierzali, i opanować komputer.

Spotykał teraz swoich niedawnych wrogów, którzy jeszcze wczoraj nalegali, by go uwięzić lub wręcz stracić, a teraz na siłę się z nim bratali.

— Musi mieć swoje własne stado! — upierała się jakaś gruba ryba, a inni gremialnie ją poparli.

— Na razie niewielkie. Potem — jakie tylko zechce! — domagał się ktoś inny.

— A co byście powiedzieli, gdyby mu dać po jednej sztuce z pięciu cechów usługowych w mieście? — zasugerował trzeci. — To bardziej praktyczne niż obdarowanie go rolniczą siłą roboczą. — Dostał więc pięć córek, po jednej z cechu metalowców, służby miejskiej, kucharzy i kelnerów, murarzy i pomocy domowych. Był to doskonale wyważony, praktyczny zespół specjalistów.

Od metalowców otrzymał też własny znak, kółko do nosa i obrozę. Jego stado składało się z młodych dziewczyc. Przekonał się teraz, że zakładanie takiego zespołu łączy się z całą masą zwyczajów i obrzędów.

Córki, zanim zostały przypisane do stada, nie miały imion, tylko numery. Mężczyzna, zawsze nazywany panem, nadawał im imiona w trakcie specjalnej ceremonii, potem konsumował związek, co pieczętowało wzajemny stosunek władcy

i poddanych. Później wypalano danej krowie znak, obrączkowano i zakuwano w obrozę. Cała zabawa trwała pięć dni.

Bardzo mu się to wszystko podobało.

W ciągu tego czasu zbierały się podkomisje rady, pojawiali się Yaxa, ustalono liczbę krów, którą każde stado miało odkomenderować do ćwiczeń wojskowych. Niektórzy mężczyźni martwili się, co będzie, jeśli tak wiele krów nauczy się sztuki zabijania. Wiedzieli jednak, że stawka uzasadniała ryzyko. Yaxa wydawali się bawić tymi obawami.

Ben dowiedział się, że Yaxa są kobietami. Parzyli się, a potem samica zjadała samca. Układ był niemal odwróceniem stosunków panujących w Dasheen i Julin nie mógł oprzeć się refleksji, że obecność Yaxa może tu komuś dać wiele do myślenia.

# Agitar

Renard jeszcze o tym nie wiedział, ale z pewnością Świat Studnia musiał mieć poczucie humoru. Wstrząs związany z przebudzeniem się w obcym świecie i w zmienionej postaci był dla niego znacznie silniejszy; na dobrą sprawę pamiętał tylko, że czekał przed olbrzymią płaszczyzną czerni, która miała go ocalić przed cyklopami.

Usiadł i rozejrzał się dookoła. Ładna okolica — pomyślał. Rozrzucone rzadko zielone drzewa, ładne pola, obsadzone różnymi warzywami, nawet jakby szklarnie i inne nowoczesne urządzenia. W pobliżu przebiegała niewielka droga gospodarcza, najwidoczniej służąca pojazdom rolniczym do dojazdu do plantacji, a nie do ruchu przelotowego. Mimo to jednak była dobrze wywalcowana i utwardzona. Bez wątplenia wylądował w regionie rolniczym, nie był to jednak kraj prymitywnych cyklopów.

W oddali na horyzoncie majaczyło miasto. Wyglądało trochę dziwnie, z budynkami jakby skręconymi albo zakończonymi ostrym szpicem, ale tego należało się spodziewać.

Nie miał wątpliwości, że nadal znajduje się w tym dziwnym świecie, w którym się rozbili. Zagadką dla niego był sposób, w jaki się tu dostał; ktoś go tu musiał przemieścić. Dlaczego tego nie zapamiętał? Czy to przez gąbkę?

Nagle przeszła go oszałamiająca myśl. Dobrze się czuł! Naprawdę dobrze! Myślał sprawnie i bez zahamowań. Okazało się teraz, że pamięta rzeczy, o których nie myślał od lat, nie odczuwał nawet śladu „gąbkowego głodu” czy jego skutków. Przypomniała mu się Mavra Chang, która uparcie wierzyła, że gdzieś na tym świecie będzie można go uwolnić od uzależnienia. Nie myliła się! Wiedział to, wierzył w to głęboko. Był wolny!

Ale gdzie właściwie był?

Wstając, poczuł, że nie może utrzymać równowagi. Upadł do przodu, amortyzując upadek rękami.

Nie były to zawroty głowy; chodziło raczej o wyważenie ciała. Coś mu przeszkadzało. Popatrzył na rękę, którą się podparł, padając. Spostrzegł krótkie, pieńkowate paluchy opatrzone paznokciami, przypominającymi raczej szpony. Ciemnoniebieska skóra. . .

Określił się i ponownie usiadł. Siadając, poczuł się jakoś głupio. Sięgnął ręką za siebie, szukając przyczyny. Wyglądało, jakby usiadł na jakimś kamieniu.

A jednak nie. Siedział na swoim pękatym, krótkim ogonie.

Na czym?!

Obejrzał się teraz dokładniej. Skóra, gruba i porowata, miała soczysty odcień głębokiego błękitu. Gdzieś w okolicy talii cienkie, kędzierzawe włosy, którymi był porośnięty, stawały się nagle strasznie grube. Przypominały owczą wełnę, gęstą i skudloną. Jego narząd płciowy wyglądał z grubsza normalnie, jeżeli nie liczyć niebiesko-czarnej barwy. Odczuł wyraźną ulgę. Mimo to jednak mógł się już teraz spodziewać wszystkiego. Jego nogi, bardzo grube w górnej części (udźca), poniżej przybierały dziwny kształt, przechodząc w cienki staw kolonowy, umieszczony dość wysoko, a potem, w dół, ku!...

Ostre, lśniące czarne kopyta?

Co się tu u diabła działo?

Kopyta były na oko zbyt małe, by utrzymać jego masywne ciało. Pewnie dlatego się przewrócił — brak dobrego oparcia dla nóg. W jaki jednak sposób miałby chodzić? Pełzać na czworakach? A może z czasem nabierze wprawy?

Przez moment podejrzewał, że stał się jednym z cyklopów. Odrzucił tę myśl, czując, że ma parę oczu prawidłowo rozmieszczonych, nie pasowały też nogi i owłosienie, nie mówiąc o dziwnym ubarwieniu.

Ostrożnie pomacał głowę. Spiczaste, przylegające uszy, przynajmniej tam, gdzie uszy być powinny. Nos wydawał się trochę duży, ale poza tym normalny. Nawet zęby nie były jakoś szczególnie egzotyczne. W różnych momentach życia stracił sześć zębów, których nigdy nie zastąpił protezami; teraz jednak miał komplet, chociaż przednie były znacznie ostrzejsze i może nieco dłuższe, zarówno te górne, jak i dolne, niż te, które pamiętał.

Miał też włosy. Zaryzykował wyrwanie pasemka; okazały się granatowe. Wyrastały szpicem na środku czoła i biegły po obu stronach rogów...

Rogów? Jakich rogów?

Owszem, miał i rogi. Naga kość, może nie bardzo długie, ale ostre i na pewno zrosnięte z czaszką.

Trójkątna gęba, zakończona ostrą, grubą, spiczastą kozią bródką.

— W porządku, Renard, weź to wszystko na logikę — powiedział sobie. Okazało się jednak, że nie o logikę tu chodzi. Chodziło o fakty, a te były następujące:

Po pierwsze: Obudził się w nieznanym kraju, wyleczony z gąbki, anatomicznie bez wątpienia jako stuprocentowy mężczyzna, zdolny poprawnie i bez trudu rozumować, w ciele jakiegoś obcego stworzenia.

Po drugie: Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje, kim jest i co się w ogóle dzieje.



— No dobrze — powiedział sobie — cokolwiek jest, jedyny sposób, by się dowiedzieć, to znaleźć kogoś i spytać się. Przecież było to miasto na horyzoncie, nawet lekki smog z fabrycznych kominów.

Podczołgał się niezgrabnie do wysokiego, cienkiego drzewa, rosnącego o kilka metrów od niego, po czym, obejmując je, zdołał się podnieść na nogi. Był zbyt ciężki górą, co do tego nie miał wątpliwości. Mimo to jednak, kiedy ochłoniął i zastanowił się, stwierdził, że musi mieć ogromne wyczucie równowagi. Przy odrobinie wprawy mógł dowolnie wyginać ciało, instynktownie wyczuwając, który układ jest stabilny, a który nie.

Po upływie mniej więcej pół godziny mógł już stać bez podpierania się o drzewo. Rozkoszował się przez chwilę tą zdobyczą. Zauważył również, że ogon przechodził bezpośrednio w jamę odbytu, siedzenie nie musiało więc być uciążliwe.

Z chodzeniem było jednak dużo trudniej. Po wielu wywrotkach podpełzł z powrotem do drzewa, wstał i postanowił za wszelką cenę nauczyć się chodzić. Ruszył, przebierając nogami najszybciej jak mógł. Zaskoczony, stwierdził, że się już nie przewraca, a dostosowanie pozycji do wymogu zachowania równowagi następuje automatycznie. Kiedy się jednak zatrzymywał, prawie zawsze upadał. Musi więcej ćwiczyć.

Świat Studnia dawał Przybyszom możliwość dostosowania się do nowej postaci, jaką przybierali, chociaż akurat o tym Renard nie wiedział. W ciągu popołudnia poczynił postępy mniejszym wysiłkiem, niż mógł przypuszczać.

Zdecydował, że wylądował w kulturze, w której wszystko odbywa się w dobrym tempie. Zdolność utrzymania równowagi wzrastała wraz z prędkością poruszania się. Po serii prób opanował rodzaj półbiegu, który zapewniał mu utrzymanie równowagi i nauczył się przystawać. Na razie musiało to wystarczyć, na subtelności przyjdzie czas później. Mógł teraz spokojnie ruszyć do miasta.

Szedł wiejską drogą tak długo, aż mu się skończyła. Stwierdził, że źle wybrał, i postanowił się cofnąć. Przy tym tempie dopadł głównej drogi, zanim się obejrzał. Cóż to była za droga! Prawdziwa autostrada. Autostrada pozbawiona wprawdzie pojazdów, ale i tak zatłoczona niemiłosiernie.

A przy tym ta droga się poruszała!

W istocie był to gigantyczny ruchomy chodnik, a ludzie, trzymając się ruchomych poręczy, przemieszczali się na dziesięciu pasach w każdą stronę. Środkowe dwa były zarezerwowane dla ruchu towarowego: ogromne pojemniki opatrzone dziwnymi symbolami, a czasem też rysunkami, posuwały się na osobnych pasach. Zastanawiał się, w jaki sposób się je stamtąd zdejmuje.

Uderzyły go jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze — tutejsi mieszkańcy chodzili w ubraniach, co stanowiło dla niego poważny problem. Mężczyźni nosili koszule, a czasami lekkie kurtki, a dół okrywali krótkimi portkami. Kobiety — no cóż, z nimi sprawy wyglądały inaczej. Od lat zdarzało mu się słyszeć termin „płec odmienna”, ale po raz pierwszy widział tę różnicę w sposób tak plastyczny.

Wszystkie były błękitnoskóre, od pasa w dół kobiety z grubsza przypominały ludzi. No, miały małe ogonki, a ich stopy wydawały się nieco szersze i bardziej solidne niż stopy ludzkie, w sumie jednak wrażenie było bardzo ludzkie. Przeważnie nosiły spodnie i sandały. Powyżej pasa jednak...

Powyżej były to kozy.

No, może niezupełnie — zastanowił się. Ich głowy były w kształcie trójkąta, miały zaokrąglone rogi, długą dolną szczękę, czarny nos znajdował się na końcu górnej szczęki. Miały takie same jak on spiczaste uszy, a ich rogi były krótsze i bardziej zaokrąglone niż rogi mężczyzn. Cały korpus od pasa w górę porastało to samo błękitne, wełniste owłosienie, które stwierdził u siebie na dolnej połowie ciała. Ramiona kobiet przypominały przednie nogi kozła, z tą różnicą, iż zakończone były długimi, cienkimi, sprawiającymi wrażenie delikatnych, rękami.

Wszystkie miały bardzo wielkie, wręcz gargantuiczne ludzkie piersi, okryte kolorowymi biustonoszami. Przyglądając się im, czuł przepływające fale erotycznego podniecenia. Wywoływały je nie same piersi, ale cała sylwetka kobiet. To go zdumiewało. Zaczynał rozumieć, jak bardzo utożsamia się teraz z nowym stworzeniem, w które się wcielił.

Najbardziej martwił go brak odzieży; z pewnością pojawiając się w tłumie w tym stanie wzbudzi sensację. Nigdzie nie było widać żadnych oznak, przemawiających za tym, że nagość była tu czymś normalnym czy przyjętym.

Usiadł w czymś, co było chyba sadem, żeby się zastanowić. Był głodny; gdyby miał się kryć po kątach, albo czekać do zapadnięcia zmierzchu, by wtedy wykombinować dla siebie parę portek, musiałby coś zjeść, żeby nie opaść z sił. Na otaczających go krzewach widział duże, pomarańczowe, pokryte meszkiem kule. Na Nowych Pompejach widywał brzoskwinię; wiedział, że nie rosną one na takich krzakach, przypuszczał jednak, że był to owoc pokrewny, i z pewnością jadalny, nikt przecież nie hodowałby takich rzeczy, by kogoś otruć. Spróbował zerwać.

Rozległ się trzask, a on poczuł jakieś uczucie ulgi, które powstawało gdzieś w jego wnętrzu i zdawało się spływać do ręki. „Brzoskwinię” strzeliła; była ugotowana na twardo i nagle bardzo gorąca. Rzucił ją z przekleństwem. Czuł tępe, piekące uczucie w ręce, nie pochodziło ono jednak z tego, co ugotowało owoc (cokolwiek by to było), ale raczej z samego owocu, kiedy się nagrzewał.

Co jeszcze mnie tu czeka? — zastanawiał się, tyleż z ciekawością, co i obawą.

Ostrożnie sięgnął po kolejny owoc. Czuł znowu to wzbierające w nim odzucie i spróbował je pokonać. Wydawało się, że słabnie, ustępuje. Złapał owoc i zjadł go. Smakował zupełnie nieźle.

Sięgnął teraz po ugotowany owoc, próbując zrozumieć, co się właśnie stało. Był ciągle ciepły. Doszedł do przekonania, że w jakiś sposób jego ciało zawiera setki, być może tysiące woltów elektryczności, która może być wyładowana, a potem ładunek może być zgromadzony ponownie. Wiedział to, wyczuwał to instynktownie, a to, że z powodzeniem powściągnął tę moc za drugim razem

upewniło go w przekonaniu, że napięcie może być dowolnie akumulowane lub wyładowywane.

Wybrał następną brzoskwinię, umieścił przed sobą, a potem pozwolił, by to uczucie przepływało nieskrępowane i dotknął owocu palcem wskazującym. Czuł, jak uczucie wzbiera, przepływa do ramienia, spływa w dół, a potem rozległ się lekki trzask i brzoskwinia zaczęła skwierczeć.

Skąd się bierze ta energia? — myślał. Zastanawiał się, czy tą „maszyną elektrostatyczną” mogą być grube uda, porośnięte tym niezmiernie gęstym futrem. Tak, tak mogło być, zwłaszcza po tych biegach. Ładunki przepływały do ciała, gromadziły się w czymś w rodzaju akumulatora, wyładowując się tylko wtedy, gdy ciało tego chciało.

Pewnie mógłbym kogoś śmiertelnie porazić, po prostu się z nim witając! — pomyślał z podziwem. Stwierdził, że może czuć tę energię, nawet czuć lekki ubytek po wyładowaniu. Mógł ją skierować do dowolnej części tułowia. Pomyśleć, cóż to mógłby być za wstrząsający uścisk!

Ciągle badał swoje nowo odkryte możliwości, kiedy z tyłu dobiegł go jakiś ostry głos:

— Jeżeli już skończyłeś z tymi próbami spalania całego pola, może byś się łaśkawie podniósł i wyjaśnił mi, dlaczego siedzisz na polu owocowym, kompletnie nagi, smażąc brzoskwinię?

Wzdrygnął się i odwrócił. Stał oko w oko z mężczyzną — niezależnie od tego, czym ten gość był poza tym. Jego zachowanie, pałka i radio zawieszona u pasa nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Facet był gliną.

Wezwał przez radio więźniarkę, a kiedy się pojawiła, załadowali go pośpiesznie i wysłali ruchomą drogą. Pudło mknęło gładko, podskakując tylko trochę w miejscach, gdzie łączyły się z sobą dwa pasy.

Wejście i zejście z drogi okazało się całkiem proste. Od spodu był szereg małych kółeczek na obrotowej osi, które z kolei były połączone z silnikiem elektrycznym.

Policjanci mieli własne źródło zasilania.

Potoczyli się i zatrzymali w garażu policyjnym, gdzie zwolniono Renarda. Kobieta-sierżant, z beznamietnym wyrazem capiej gęby, wprowadziła informacje do komputera i prowadziła przesłuchanie.

— Nazwisko?

— Renard.

— Dziwne nazwisko — zauważyła. — Miejsce i data urodzenia?

— Miasto Barentsk, na planecie Muskovy, 12 sierpnia 4412 — odpowiedział szczerze.

Przestała pisać i popatrzyła na niego.

— I to ma być zabawne? — spytała. Dwóch gliniarzy — mężczyzn, siedzących z obu stron, nie wyglądało na rozbawionych.

— Nie — wyjaśnił, starając się, by to, co mówi, zabrzmiało szczerze. — Naprawdę. Posłuchajcie, jestem rozbitkiem ze statku kosmicznego. Wylądowałem w miejscu zamieszkałym przez ogromnych cyklopów, a potem ocknąłem się tutaj. Nie wiem nic więcej niż to, co wiecie i wy.

Z tą samą beznamiętną miną powiedziała tajemniczo:

— Mniej — i coś tam zapisała w komputerze. Na ekranie zamigotały jakieś znaki, a potem ukazał się nowy wydruk, wysuwający się wiersz po wierszu. Kiwnęła głową i popatrzyła na obu policjantów.

— Zgadza się, to Przybysz. Jeden z tych narkomanów.

— Lepiej się upewnij — odparł któryś z gliniarzy. — Dla mnie to on wygląda na łobuza pierwszej klasy.

Renard poczuł się urażony, ale postanowił ich nie rozdrażniać.

— Posłuchajcie — powiedziała kobieta za biurkiem. — Możecie nie wierzyć. Weźcie dla niego z szafki jakieś ciuchy i zaprowadźcie go do biura porucznika Ama. Zadzwoń i uprzedzę go.

Zgodzili się niezbyt chętnie, opierając się na wiekowej zasadzie niepewności: jeśli nie jesteś zupełnie pewny swojego stanowiska, przekaż sprawę dalej. Dano mu niewygodne, obcisłe białawe pantalone i biały podkoszulek, za duży i najwidoczniej noszony już przez wielu ludzi przed nim. Biały kolor było łatwo wytłumaczyć: na tle ciemnobłękitnej skóry widziało się go na kilometr. Więzienne łachy.

Porucznik Ama był typowym znudzonym urzędasem w służbie ludzi, którzy nie chcą mieć kłopotów w swojej dzielnicy. Nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania, chociaż spytał o numer, najwidoczniej po to, by się upewnić, że Renard był rzeczywiście tym, kim był. Poza tym nikt się nie odzywał.

Renard siedział tak wiele godzin. Wiedział doskonale, co się teraz dzieje — przynajmniej miał nadzieję, że wie. Ama dzwonił do swojego zwierzchnika, a ten z kolei do swojego, który z kolei. . . i tak dalej, aż ktoś w tym łańcuszku zdecyduje, co z nim zrobić.

Musiał wprawdzie przyznać, że nie trzymali go głodnego. Pokazali mu nawet, w jaki sposób dotykać różnych punktów na metalowej płycie oprawionej w drewnianą podstawkę, żeby ugotować dowolną potrawę w dowolny sposób. Jak zauważył, kucharzeniem zajmowali się tutaj mężczyźni. Kobiety nie mogły gotować z tej prostej przyczyny, że nie wytwarzały niezbędnej energii. Odpornością na wszelakie wstrząsy elektryczne dorównywały jednak mężczyznom. Ciekawe, jak się tu kochać bez spalenia domu — pomyślał od niechcienia.

Spał w otwartej celi, i gdzieś w połowie drugiego dnia zaczął się zastanawiać, czy go czasem nie zapomniano.

Okazało się, że jednak nie. Po południu przyszli po niego. Wielcy faceci — w każdym razie więksi od niego. Przyszło mu do głowy, że właściwie tak naprawdę nie wie, czy jest duży, czy mały, bo wszystko tu było jakoś proporcjonalne. Mógł mieć dziesięć centymetrów albo cztery metry.

Kolejna podróż była dużo dłuższa. Przewieźli go do ogromnego budynku w kształcie piramidy, obwiedzionej dookoła wieżyczkami w kształcie minaretu. Po chwili znalazł się w innym biurze, które tym razem z pewnością należało do jakiejś grubej ryby i gdzie poddano go kolejnemu przesłuchaniu. Nie mieli wątpliwości, że był tym, za kogo się podawał, pytania dotyczyły tym razem zupełnie innych spraw.

Większość odnosiła się do Antora Treliga.

Wszystko im opowiedział, nie ukrywał też swojej nienawiści. Opisał człowieka, który wpędził tak wielu ludzi w szpony okrutnego nałogu, opisał wynaturzenia Nowych Pompei, szaleńczą ambicję Treliga. Tamci wszystko skrzętnie zapisywali.

Wreszcie pozwolili mu zadać kilka pytań.

Pierwsze brzmiało:

— Gdzie jestem?

Prowadzący przesłuchanie, lekko zbudowany typ w okularach, pomyślał przez chwilę.

— Jesteś w Agitar i jesteś Agitar, przedstawicielem tutejszej rasy panującej.

— Czy nadal znajduję się na planecie, na której się rozbił nasz statek?

Powoli opowiedzieli mu całą historię Świata Studni, poszczególnych sześciokątów, opisali mu również pewne problemy, które spowodowało jego przybycie.

— Nie potrafisz pilotować statku kosmicznego, prawda? — spytał przesłuchujący z cieniem nadziei w głosie.

— Nie — odparł Renard. — Byłem nauczycielem literatury klasycznej i bibliotekarzem, a także czasami strażnikiem więźniów Treliga.

Prowadzący przesłuchanie przez chwilę się zastanawiał.

— Musisz zrozumieć, dlaczego traktujemy cię tak a nie inaczej. Agitar jest sześciokątem wysoko rozwiniętym, z wysokim poziomem techniki. Elektryczność, którą wytwarzamy sami, nie ma dla nas tajemnic. To królestwo nauki. Teraz szykujemy się do wojny, wojny o te rozrzucone kawałki statku kosmicznego, którym przylecieliście. I teraz pojawia się ty — kompletny analfabeta, bez jakichkolwiek umiejętności, które mogłyby być dla nas przydatne. Ale jesteś teraz Agitar do końca życia. Jesteś młody, silny i niewiele poza tym. Musisz się jakoś dopasować, jedyną twoją cechą, która może być dla nas użyteczna, jest obeznanie z bronią i umiejętność strzelania, przynajmniej na wprost.

— A gdzie są ci, którzy ze mną przylecieli? — spytał, bo kierunek, w jakim cała rozmowa zmierzała, nie bardzo mu się podobał. — Chciałbym się skontaktować z kobietą imieniem Mavra Chang...

— Możesz o niej zapomnieć — powiedział tamten. — Znajduje się w rękach Lata i chociaż jak na razie zachowują oni neutralność, prawie na pewno, przynajmniej teoretycznie, jeśli nie praktycznie, są naszymi przeciwnikami. — Westchnął. — Nie, myślę, że jest tylko jedno miejsce, do którego mógłbyś teraz pasować, i na pewno dobrze ci to zrobi, wdroży cię do społeczeństwa Agitar z jego dyscypliną.

No i wcielili go do armii.

Dostał dwa tygodnie podstawowego, intensywnego szkolenia. Miał niewiele czasu na rozmyślanie, i tak to właśnie miało być. Życie koszarowe przysporzyło mu trochę przyjaciół i uzupełniło jego wiadomości o miejscu i wydarzeniach, w które rzuciła go Studnia. Dowiedział się, że Agitar zawarli sojusz z Makiem, sześciokątem, w którym rasą dominującą były gigantyczne żaby, i Cebu — rasą latających gadów.

Dowiedział się również, że Antor Trelig był teraz Makiem.

Ten układ przygnębiał go. Cóż za ironia losu! Uciec z Nowych Pompei, pozbyć się gąbki na nowej, obcej planecie i obudzić się znowu jako sługa Antora Treliga. Czyżby komputer Studni zakpił sobie z niego?

Szkolenie było ostre, ale przynajmniej ciekawe. W walce wręcz mężczy przedstawiciele rasy Agitar po prostu porażali przeciwnika prądem. Mimo iż przeciętny ładunek, jaki mógł przenosić męski Agitar, sięgał kilku tysięcy woltów, co już było śmiertelnie niebezpieczne dla wroga, potencjalnie mógł on sięgać sześćdziesięciu tysięcy woltów! Niewiarygodna wielkość. Nadmierne naładowanie nie było możliwe, przy pełnym naładowaniu jednak każdy dodatkowy dopływ energii był natychmiast uwalniany. Wytworzenie tak strasznie wysokiego napięcia na drodze elektrostatycznej nie było możliwe, Agitar mogli jednak wchłaniać dodatkową energię elektryczną ze źródeł sztucznych lub nawet z takich rzeczy, jak świetlówki. Byli całkowicie odporni na wstrząsy elektryczne; nie mogli się porażać nawzajem, ale mogli sobie wzajemnie przekazywać zakumulowaną energię. Było nawet specjalne, raczej niemiłe szkolenie na temat sposobów wchłaniania energii umierającego albo dopiero co zmarłego towarzysza.

Ze strzelaniem nie miał kłopotów; strzelby były odmienne od tych, które znał, podobnie jak i pistolety, ale wszystkie działały na tej samej zasadzie: wyceluj, naciśnij, a energia lub pocisk sam wyleci.

W jakiś sposób broń była zabezpieczona, nie zdarzyło się, żeby ktoś bezwiednie odpalił, nawet we śnie. Ciekawiło go to, bał się, żeby on nie był tym pierwszym przypadkiem, zapewnili go jednak, że zdarza się to naprawdę rzadko. Na wszelki wypadek jednak łóżka były zbudowane z nieprzewodzącego, energochłonnego materiału.

Od swoich kumpli z baraku dowiedział się też co nieco o płci odmiennej. Kobiety były bystre, niektórzy twierdzili, że przewyższały nieco w tym względzie mężczyzn. Seks był powszechny i częsty; Agitar byli jurną rasą. Kontrola urodzin

była skuteczna, ludność była również nadzorowana przez Studnię. Nikt nie czuł się więc skrzepowany. Małżeństwo było instytucją nieznaną. Mężczyzna pragnący mieć dziecko musiał sobie po prostu wyszukać kobietę, która chciała tego samego, i odwrotnie. Jeżeli dziecko było płci męskiej, całkowita odpowiedzialność za jego wychowanie spoczywała na ojcu. Kobieta mogła zostać, ale równie dobrze mogła sobie pójść. Jeśli urodziła się dziewczynka, chowała ją matka.

W armii były również kobiety. Ponieważ nie mogły kumulować energii, nigdy nie wysyłano ich do jednostek pierwszego rzutu, poza tym jednak zajmowały najrozmaitsze stanowiska. Większość wyższych oficerów, włączając korpus generalski, to były kobiety, dotyczyło to również techników.

Wojna nie cieszyła się popularnością. Owszem, widać było pewien rodzaj dzieciennego entuzjazmu, wynikający z faktu, że nikt nie widział, jak to naprawdę wygląda; większość jednak nie bardzo się do tego paliła. Wojnę traktowano jako konieczność. Kilka paskudnych plemion — Yaxa i Lamotien — nawet teraz starało się zawładnąć częściami statku, poza tym mieli Ben Julina, który potrafiłby nim polecieć. Lepiej w każdym razie byłoby, gdyby do Obiego wszedł w pełni naładowany Agitar u boku Antora Treliga niż paczka okropnie obcych obrzydliwców pod wodzą nie w pełni obliczalnego Ben Julina.

Po dwóch tygodniach przenieśli go do lotnictwa. Właściwie nie był to awans; lotnictwo poszło na pierwszy ogień; ono też poniosło największe straty na pierwszej linii natarcia. Renarda nieomal zatkano, kiedy zobaczył, na czym polega lotnictwo. Nie było tam samolotów ani połyskliwych statków. W lotnictwie królowały konie. Wielkie konie z ogromnymi łabędzimi skrzydłami po obu stronach błyszczących, gładkich korpusów. Jako specjalista od antyku Renard rozpoznał w nich ucieleśnienie legendarnego Pegaza. Konie przybierały najrozmaitsze kolory: brązowy, biały, różowy, błękitny, zielony. Wariacjom nie było końca.

Płynęły w powietrzu, majestatycznie pracując skrzydłami i unosząc w siodle Agitar. Ich kości były puste, tak jak u ptaków, co sprawiało, że były trochę kruche; Renard nie zrozumiał do końca, na jakiej zasadzie lecą. Zauważył też, że są znacznie mądrzejsze od koni. Reagowały na komendy podawane głosem, lekkie kopnięcie, zebranie wodzy, a przy tym łatwo dawały się szkolić, bo jeźdźcy mieli swoje elektryczne argumenty.

Od razu dostał swojego wierzchowca, piękne, inteligentne zwierzę w kolorze zielonym. Kiedy się wznosił po raz pierwszy, przed nim siedział instruktor z mnóstwem wymyślnych przyrządów. Latanie okazało się jednak nadspodziewanie łatwe, na trzeci dzień Renard kręcił już pętle i korkociągi na Domie, tak jakby się urodził w siodle. Agitar i pegaz bardzo do siebie pasowali, stapiali się w jeden organizm.

Była wreszcie elektryczna lanca. Stalowy pręt, długości może trzech metrów, powleczony miedzią, z miedzianą rękojeścią podobną do rękojeści miecza. W rę-

ku Agitar był to bardzo wydajny przewodnik elektryczności; na skutek jego niewielkiej wagi przeciętnie umięśnione ramię mogło nim sprawnie operować.

W sześciokątach nietechnologicznych, a nawet w niektórych innych, lanca była jedyną bronią do walki wręcz, bo pistolet czy strzelba po prostu tam nie funkcjonowały.

Pod koniec dodatkowego trzeciego tygodnia szkolenia jego grupie powiedziano, że tak naprawdę nie jest jeszcze gotowa i potrzebuje dalszych sześciu tygodni, i że na tym się ten etap edukacji zakończy. Potem mieli już być skierowani do walki.

Jedną sprawę Renard sobie wyjaśnił, i to już dawno, kiedy tylko dowiedział się o Treligu.

Nie miał zamiaru ginąć w służbie Treliga.



# Lata

Po kolejnym skoku na mieszkańcach Kromm Mavra dostała się do kraju Lata.

Był to kraj jak z baśni. Lata nie mieli miast, żyli rozsiani wśród zalesionych wzgórz i leśnych polan. Skupiska małych sklepów umożliwiały niezbędny handel i usługi, było kilka uczelni, urzędów naukowych dla osób o takich predyspozycjach, a także miejsc dla twórców-rzemieślników, Lata bowiem byli rasą o artystycznych skłonnościach.

Była to również pierwsza aseksualna biseksualna rasa, jaką się jej udało dotąd spotkać. Nie widziała pomiędzy nimi żadnych różnic z wyjątkiem kolonii, wszyscy wyglądali jak metrowe dziewczynki w wieku 9-10 lat, wszystkie przemawiały lirycznym, melodyjnym dźwięczeniem dzwoneczków. Dla Mavry wrażenie było niesamowite, bo, nawykła do tego, że była tak mała w świecie olbrzymów, musiała się teraz przyzwyczaić do tego, że była najwyższą osobą w okolicy.

Wszystkie rodziły się jako istoty pozbawione płci; po 15-20 latach dojrzewania stawały się biologicznymi kobietami. Każda z nich mogła złożyć tylko jedno jajko, z którego po kilku dniach wykluwał się potomek. Po dwóch latach następowała kolejna przemiana. Zanikały organy kobiece, a na ich miejscu pojawiały się narządy męskie. Odtąd do końca życia byli mężczyznami.

Spytała Vistaru, dlaczego jest tak wiele kobiet, skoro ostatnim wcieleniem jest osobnik męski. Dziewczyna — chociaż była dojrzałą kobietą, trudno było ją nazwać inaczej — roześmiała się.

— Kiedy się zmieniasz, starzejesz się — odparła.

Mavra pojęła wreszcie, że kobiety starzały się wielokrotnie wolniej niż mężczyźni; w końcu nawet tu biologia miała swoje prawa, ale odwlekano ten moment, jak się dało. Recepta na udane życie brzmiała: przeżyj 40-50 lat jako dziesięcioletnia dziewczynka, latający chochlik, i dopiero wtedy złóż swoje jajo, a przed tobą będzie jeszcze 30 lat w postaci mężczyzny, starzejącego się w środku.

Dlatego właśnie wydawało się, że mężczyźni są tu przywódcami. Byli starsi i bardziej doświadczeni.

Mavra czuła się teraz bardziej swobodnie niż kiedykolwiek przedtem w życiu, z wyjątkiem wspaniałych lat małżeństwa i współpracy. Ludzie byli cudowni, ciepłi; nie odczuwało się żadnej presji. Nie było żadnych zagrożeń, żadnych na-

turalnych wrogów, nie czuło się tej pogoni za dostatkiem materialnym, właściwej często sześciokątom nietechnologicznym. Wydawało się, że tutejsi mieszkańcy czynią mniejszy użytek ze swoich możliwości technicznych niż ludność innych miejsc, o których jej opowiadano. Zresztą nie potrzebowali tego, byli po prostu szczęśliwi.

Żądło, którego ukłucie mogło być przecież zabójcze (proces wypuszczania jadu opisywali jako coś, co przypominało orgazm), było ich dodatkową bronią przeciwko sąsiadom, którzy mogliby uznać te drobne, kruche stworzenia za łatwą zdobycz. Jad powodował kompletny paraliż na dłuższy czas, zależny od wymiarów ofiary i jej wagi, podany w zbyt wielkiej ilości mógł być zabójczy. Tylko kilka ras było na niego odpornych, i Lata przez dłuższy czas nie musieli sprawdzać skuteczności swojej broni.

Dla Mavry zrobiono tu nowe ubranie, według jej projektu, składające się z czarnego elastycznego kostiumu i ciężkiego płaszcza na chłody. Wyczyścili też jej pas, uzupełnili porwane pasemka, podziwiając ukryte w nim skrytki i prze-myślne urządzenia. Tak samo buty: były zbyt zdarte, ale ukryte w nich gadzety przetrwały; nowa para bardziej błyszcząca, była bardziej elastyczna i wygodna, i dodawała jej nawet kilka centymetrów wzrostu.

Porozplątywali jej włosy, przycięli, uczesali, strzygąc według tutejszej mody, długie i gładko przyczesane u góry i po bokach, krótkie z tyłu. Byli pełni podziwu dla jadu, który mogła wstrzykiwać paznokciami. Obie sporządził rodzaj biologicznej adaptacji mechanicznych wtryskiwaczy; system, zdaniem tutejszych medyków, był zadziwiająco złożony. Namówili ją, by wypróbowała jego siłę hipnotyczną na ochotniku. Ku jej sporemu zaskoczeniu substancja, która „nie brała” cyklopów, działała na Lata.

Mieszkała u nich przez kilka tygodni; był to bardzo spokojny okres w jej życiu. Medycy wyposażyli ją w translator, maleńki kryształ z Północy, który został wszyty w toku bezbolesnego zabiegu w kilku punktach jej ciała. Powiedzieli jej, że pozwoli jej to zrozumieć dowolnego mieszkańca Świata Studni, a także być przez nich rozumianą. Urządzenia te nie były zbyt powszechne, nie były one również tanie; operacja została zlecona i opłacona przez Serge Ortegę.

Była zachwycona, ale i rozczarowana: zachwycona dlatego, że mogła teraz rozmawiać z tymi cudownymi ludźmi; rozczarowana dlatego, że ich mowa w tłumaczeniu straciła swą cudowną dźwięczność. Słuchało się tego jak zwykłej mowy w starym języku Konfederacji, spoza której przebijał słaby dźwięczny podkład. Sam translator stale jej przypominał, że nie była jednak wolnym człowiekiem, tylko więźniem. Ci mili ludzie działali w swoim, a nie w jej interesie politycznym.

Vistaru wyjaśniła jej cały problem, co przyszło jej teraz łatwiej, gdyż mogła formułować myśli w swoim języku.

— Jesteś pilotem — zauważyła. — Sojusz Yaxa-Lamotien-Dasheen został już uruchomiony. Tak samo sojusz Makiem-Cebu-Agitar. My sami nie chcemy wojny. Chcemy, żeby ten statek został zniszczony. Musimy jednak mieć kogoś, kto się na tym zna, tak na wszelki wypadek, przynajmniej tak długo, jak długo utrzymuje się zagrożenie.

Jak długo trwa zagrożenie. Mavra zastanawiała się, co to znaczy.

Cała historia stała się jasna, kiedy się śledziło mapę i studiowało doniesienia wojenne. Wielkie sfinksy z Boidel przehandlowały swój moduł na pokój i posuwały się tak daleko, że dostarczyły go aż na granicę Agitar. Wnioskując, że wojna w ostatecznym rozrachunku nikomu nie przyniesie korzyści, postanowili zrezygnować z udziału w grze.

Na Północy wielkie wściekle ważki Yaxa łąły gorący olej na wioski i lasy Teliagina, a Lamotien siali popłoch, kiedy nagle cyklopy z Teliagina rozpadały się na 50 lub nawet więcej mniejszych stworów, które zachodziły przeciwnika od tyłu, szerząc zniszczenie. Teliagin, który był krajem prymitywnym i bojaźliwym, szybko skapitulował. Jego mieszkańcy pozwolili Yaxa i Lamotien przeciągnąć zespół sterowni przez granicę Lamotien przy użyciu wielkich wozów, nawet w końcu pomagając w całej operacji. Yaxa lecieli już na swych wielkich skrzydłach przez Morze Burz, najpierw na wyspę Nodi — pokojowo nastawiony sześciokąt zamieszany przez rasę opisaną jako coś na kształt olbrzymich chodzących grzybów — aby odebrać część, która wpadła do morza, od podobnych do delfinów Porigol z sąsiedztwa. Tam, na plażach Nodi, technicy z Lamotien ostrożnie rozebrali ten moduł, a miejscowi mieszkańcy, zupełnie bezsilni, musieli pozwolić na wysyłkę części do Strefy przez ich Wrota Strefy, a ostatecznie do Lamotien. Quasada szykowali się do przyłączenia się do sojuszu z Yaxa.

Na Południu Djukasis. stawił zaciekle opór, ale według doniesień z frontu, nie miało to potrwać dłużej niż kilka dni. Siedziby wielkich pszczół zostały zaatakowane przez przypominające pterodaktyle Cepu, a lotnicy Agitar na swych wielkich pegazach razili Djukasis z powietrza swymi lancami.

Mavra, przygnębiona, pytała ciągle, dlaczego Lata nie ruszą z pomocą Djukasis, których przecież lubili i z którymi przyjaźnili się od setek lat. Potrząsali tylko głowami i dawali ciągle taką samą odpowiedź.

— Jeżeli uderzymy w jednych, a drugich zostawimy w spokoju, ułatwimy znacznie tym drugim osiągnięcie ich celów. Musimy zachować neutralność tak długo, jak długo nie będziemy mogli podjąć takich działań, które położą kres nie tylko tej jednej wojnie, ale w ogóle wszelkim wojnom.

W miarę upływu czasu Mavra Chang coraz bardziej czuła się więźniem w tym raju elfów.

# Djukasis

Zbliżała się burza. Na niebie kłębiły się czarne chmury, z oddali dobiegały gromy, niemalże czuło się zbliżające błyskawice.

Dowodząca Agitar rozejrzała się, po czym skinęła głową z zadowoleniem.

— Wspaniały dzień, żeby zakończyć tę całą zabawę — powiedziała do swoich podkomendnych oficerów prowadzących działania bojowe w polu. — Powietrze aż ciężkie od elektryczności.

— Wystarczy, żeby nam wyrwało siodła spod tyłka — mruknął jeden z oficerów ponuro, zastanawiając się po cichu, dlaczego dowódcy, którzy sami nie musieli brać udziału w bitwie, z taką pogodą i optymizmem wyjaśniali innym, jak mało warte jest ich życie.

Pociągnęła nosem.

— Żadnego defetyzmu, kapitanie! Wiesz tak samo dobrze jak ja, że lanca i twoje ciało wchłoną to napięcie. Siodła są izolowane. Bestia jest przyzwyczajona do łagodnych wstrząsów. Nie, te warunki nam sprzyjają. Oblężenie kompleksu Wrót Strefy Djukasis trwa już dość długo; jeżeli dziś załatwimy resztkę ich obrony powietrznej, żabki dokończą dzieła, kiedy spadnie deszcz.

Wrócili wydać dyspozycje załogom.

I Renard przyglądał się nadciągającej burzy, chociaż nie podzielał uczuć swojego dowództwa. W ciągu ostatniego tygodnia wyrósł na naprawdę dobrego wojaka, ale porażanie tych wielkich pszczół przyprawiało go o mdłości. Gdyby tego jednak nie robił, poraziłyby go śmiertelnie swoimi pociskami lub żądłami, choćby się to dla nich miało fatalnie skończyć. Wszak te pszczoły naprawdę broniły tylko swoich domostw.

Poza tym rzeczywiście się bał. Pszczoły nie były głupie; szybko pojęły, że są bardziej zwrotne niż pegazy, wystarczyło, że trafiły w tył wierzchowca, by ten wraz z jeźdźcem nurkował na łeb na szyję. Dwa razy już był tego bliski, większości jego towarzyszy też się to już zdarzyło.

Kapitan Bir, mimo swego sarkazmu, był niewątpliwie fachowcem.

— Tym razem to będzie ostatni atak, możecie być pewni, chłopcy — powiedział, choć w jego głosie trudno się było doszukać przekonania. — Działamy, jak zwykle. Mamy wejść do akcji bezpośrednio przed burzą. Będziemy mogli pobrać

dotatkowe ładunki. Spróbujcie zaatakować sam rój, dajcie im łupnia, ile tylko możecie. Niech się usmażą. Z nadejściem burzy, po wystrzeleniu ładunków, wycofujecie się. Z deszczem nadejdą żabki.

— Ale wtedy zostaną pozbawieni wsparcia lotniczego, panie — zauważył jeden z mężczyzn.

Kapitan potrząsnął głową.

— To robota dla kompanii D. Nie, my będziemy mieli łatwiejszą robotę. Po prostu pójdziemy przodem, natłuczemy, ile się tylko da, a potem się wynosimy. — Zaśmiali się bezlitośnie, wiedząc dobrze, że to właśnie oni mają tu do czynienia ze śmiercią. — Nie — zakończył — pamiętajcie, że będziecie mieli łatwy odwrót. One nie umieją latać w deszczu tak jak my. Po prostu pozwólcie, żeby was wierzchowce niosły. To wszystko.

Renard kiwnął głową razem z innymi, a w jego głowie zaczął się wyłaniać pewien plan. Już przedtem zauważył w namiocie kapitana mapę z wytyczoną trasą marszu. Pamiętał, jak mu mówili, że Mavra Chang znajduje się w miejscu zwanym Lata. Kapitan spierał się z innym oficerem i wskazując na mapę rozpostartą na ścianie namiotu, mówił:

— Nie możemy odejść aż tak daleko na północ, Suo! To jest Lata, terytorium neutralne.

Istotnie, leżało ono na północny wschód od miejsca, w którym się obecnie znajdowali, mniej więcej o dzień lotu. Pegazowi deszcz nie przeszkodzi. Lubił deszcz i burzę, kiedy dosiadający go Agitar miał największe możliwości doładowania swoich zasobów energii. Woda spływała po nim bez trudności. Pomyślał sobie, że jeżeli ta burza będzie dostatecznie gwałtowna, a on się na to zdobędzie, wkrótce będzie dezserterem.

— W porządku, chłopcy! Na koń! — zawołał kapitan. Jeszcze tylko jedna bitwa, znowu bitwa.

A więc dobrze — pomyślał Renard ponuro.

Dla Makiem na ziemi i dla Cepu — wielkich, czerwonoookich i latających trójkątów widok był imponujący i groźny, nawet po uwzględnieniu, że obie rasy miały odmienne pojęcie tego, co jest wielkie. Zbliżała się burza; niebo było pełne wielkich, czarno-pomarańczowych skłębionych chmur, z których dobiegał łomot, a blask niczym błyskawice przecinał nieboskłon.

Na tym tle pojawili się Agitar, zrazu maleńkie punkciki, które rosły tak, że wkrótce można już było je obserwować w całej okazałości na burzowym niebie. Różnokolorowe wielkie konie o rozłożystych łabędzich skrzydłach majestatycznie tłukących powietrze, nadlatujące w kluczach — dziesiątki w pierwszej fali i dziesiątki za nimi chroniące skrzydła szyku.

Nadlatywały dość nisko; maksymalna wysokość lotu pegaza wynosiła 1500-1800 metrów, dla bezpieczeństwa jednak utrzymywały się zazwyczaj poniżej tej granicy: w tym przypadku znacznie niżej ze względu na niebezpieczne turbulencje

w wyższych warstwach, być może nie więcej niż 300 metrów ponad wojskami lądowymi.

Pterodaktyle Cebu z płonącymi czerwonymi oczami wycofały się za linię wojsk lądowych, składających się z Makiem, by zapewnić dodatkową osłonę dla nadlatujących Agitar. Każdy z ogromnych gadów miał uprząż z podwójnymi rurami do wyrzucania harpunów, które można było nacielować i odpalić szybkim ruchem głowy, a potem opuścić i doładować z kołczanów przypasanych u dołu.

Makiem niemalże czuli łopot skrzydeł przelatującej konnicy; niektóre z tych wielkich żab wznosiły nawet bojowe okrzyki, trochę dla dodania sobie otuchy przed czekającym je natarciem.

Nieprzyjaciel, którego siły zostały poważnie nadszarpnięte ciągłą walką, ściągając rezerwy z Północy i z Południa, czekał z natarciem do ostatniej chwili. Liczyli na to, że może uda im się przebić ochronny ekran Cebu i osiągnąć wielkie latające rumaki kulą lub żądłem, chociaż ten ostatni sposób walki oznaczał również śmierć atakującego.

Agitar widzieli już teraz cel natarcia: potworny kopiec, którego połowa wystawała z ziemi na jakieś trzydzieści metrów. Ogień artyleryjski i dotychczasowe ataki z powietrza bardzo go nadszarpnęły, ale — mimo dziur i wyrw — jeszcze jakoś stał.

Światło błyskawic odbijało się od wielkich, złożonych owadzie oczu obrońców, którzy ruszali w ciasnych, świetnie zorganizowanych chmarach na spotkanie nadciągającego nieprzyjaciela. Po upływie niecałej minuty doszło do starcia.

Były to zaiste ogromne pszczoły, długości ponad metra, z odpowiednimi żądłami. Żądła te stanowiły integralną część ich kręgosłupa; dlatego ich użycie musiało powodować śmierć pszczoły. Przede wszystkim walczyły swoją bronią — pociskami (ich sześciokąt był półtechnologiczny) mieszczącymi się w wielkich zasobnikach umiejscowionych pod klatką piersiową. Sterowano nimi jedną z ośmiu szponiastych nóg, w jakie były wyposażone te pokryte czarno-złotym futrem stwory. Pociski, umieszczone w sprężynowych taśmach, mogły być wystrzelwane po dziesięć serii na sekundę. W magazynku mieściło się 200 pocisków.

Największym problemem pszczoł w walce powietrznej było właśnie to półautomatyczne uzbrojenie: musiały w coraz większym zagęszczeniu uważać, żeby się nawzajem nie powystrzelać.

Ich taktyka była prosta. Pszczoły tworzyły falę: pierwsza linia czekała, aż osiągnie odpowiednią odległość od osłony Cebu i pierwszej linii Agitar, i wtedy otwierała ogień. Potem pszczoły z pierwszego rzutu opadały i zwalniały tempo, przepuszczając nadlatujące kolejne roje nad sobą i nie zasłaniając im linii strzału. Jeżeli natarcie rozwijało się pomyślnie, mogły wrócić do roju po dodatkowe magazynki i dołączyć w tylnym szeregu. Ich siły były jednak wtedy znacznie nadwątlone; kiedy szereg otworzył już ogień, rozpadał się na żołnierzy walczących pojedynczo, wznoszących się ku górze.

Harpuny Cebu nie były tak skuteczne jak broń maszynowa Djukasis; ale w obliczu chmury nie zdarzyło się im chybić. Ich zadaniem było wybicie dziur w szyku, przeniknięcie w środek roju, gdzie Cebu siali zniszczenie swoimi wielkimi, ostrymi, pełnymi zębów dziobami. W takim bezpośrednim starciu karabiny maszynowe nie na wiele się przydawały.

Odgłos nadciągającej burzy i ogromne zawirowania powietrza sprawiały, że obie strony odczuwały trudności z utrzymaniem równowagi.

Ruszyła czołowa linia pszczoł wyposażonych w karabiny maszynowe; niektórzy z napastników zostali trafieni, a ich miejsce zajęli ci z drugiej i trzeciej linii, utrzymując szyk. Djukasis mieli duże problemy z utrzymaniem równowagi we wzburzonym powietrzu; niektórzy w trakcie ostrzału byli obracani gwałtownymi podmuchami, siejąc spustoszenie we własnych szeregach.

Skorzystali z tego Cebu, śpiesząc w powstałe wyrwy i odpalając swoje harpuny w miękkie ciała Djukasis, a potem tnąc, rwąc i gruchocąc szeregi przeciwnika. Próbowali jednocześnie uniknąć śmiertelnych żądań. Jeszcze tylko siedemnastu Agitar z początkowej liczby osiemdziesięciu czterech w pierwszej linii unosiło się w powietrzu, ale utrzymywali szyk, zastępując padłych w boju wojowników towarzyszami z dalszych linii. Mimo całej skuteczności Cebu niektórym Djukasis udało się teraz nawet przeniknąć w ich szyki.

Renard przesunął się właśnie do grupy drugiego rzutu tuż za pierwszą linią i nie miał czasu, by się zastanawiać. Wielkie, czarno-złote ciało pojawiło się nagle w polu jego widzenia po lewej stronie; przekreślił więc bez namysłu swój miotacz harpunów i odpałił. Olbrzymia pszczoła, trafiona rakieta, poszybowała bezgłośnie w dół.

Było ich teraz więcej. Harpuny mknęły prosto w rój. Był to dystans odpowiedni do walki wręcz, ale zbyt bliski dla użycia broni maszynowej.

Nagle Agitar wyciągnęli lance i zaczęli nimi razić. Nie musieli ciąć, wystarczyło dotknięcie; wydawało się to bardzo łatwe; gdzie się obróciło lance, tam natrafiały na Djukasis, których było pełno, ale już nie tyle, by przeważać szalę.

W ciągu ostatnich trzech dni nowy rój wylatywał ze swej siedziby w ostatniej chwili, nie mieli więc możliwości ataku bezpośredniego. Teraz sytuacja uległa zmianie. Po każdej stronie siodła ulokowano kanistry z łatwopalną cieczą; teraz po raz pierwszy mogli je zrzucić prosto na cel.

Nawracali tak po kilka razy; wlatywali, by na chwilę włączyć się do wciąż zażartej walki powietrznej, a później spadali w kolejnej pętli. Z nieba spadało teraz więcej koni, ludzi i pterodaktyli, ale strącenie jednego obrońcy okupywali samobójczą śmiercią dziesięciu swoich, a ich rezerwy, w przeciwieństwie do napastników, były już na wyczerpaniu. Pierwsza linia Agitar ruszyła jeszcze raz, tym razem bardzo nisko, tak że mogła widzieć beznamiętne twarze robotników przypatrujących się ponurej walce z komórek i korytarzy ula.

Agitar przywiązali cienki miedziany drut do rękojeści swoich lanc i przygotowali się do rzutu, uważając, by się nie zaplątać w czasie odwrotu.

Z ula dolatywały strzały, ale były coraz radsze po zrzuceniu paliwa; palący odór płynu wypłoszył ich z trafionych miejsc, płyn zdążył już porządnie nasaczyć szczyt kopca.

Agitar rozwijali miedziany drut, dziesięć metrów, dwadzieścia, tak że atakująca druga fala została pokryta przez posiłki. Agitar zbliżali się już do granic zasięgu drutów i kiedy na szpuli ukazał się znak, wyładowali swe ładunki.

Energia spływała po drucie; elektryczność w sześciokątnej półtechnologicznej stosowała się do praw przyrody. Tylko Agitar mogli być jej nośnikami, ale to w zupełności wystarczało.

Tam gdzie lance wbiły się w te miejsca ula, które były nasączone łatwopalnym płynem, spłynęły ładunki, mimo rozpaczliwych wysiłków Djukasis, by je wyrwać i odrzucić na bezpieczny dystans.

Buchnął ogień, tak potężny, że nawet zbliżająca się burza nie mogła go stłumić.

Błękitnobiałe płomienie i kłęby dymu dały Makiem okazję do wiwatów. Wielkie żaby szykowały się do ataku, który miał pogłębić osiągnięte powodzenie.

Burza rozszalała się z niezwykłą siłą, przekształcając przedpole kopca w upiorny pejzaż wody i błota. Makiem, których żywiołem były takie warunki, skoczyli do przodu.

Renard poczuł uderzenie burzy, kiedy odwrócił się od obleganego kopca, zdumiony, że zarówno on, jak i wierzchowiec jest jeszcze cały. Dotąd działał instynktownie, jak w transie, teraz zaczął wreszcie myśleć, że Doma sama pozęgluje do obozu; koń miał nieomylny instynkt, który zawracał go do punktu startu. W strugach deszczu z trudem dostrzegł Djukasis, którzy starali się powrócić do kopca, walcząc o utrzymanie się w powietrzu w potokach wody. Cebu niemal ich nie spłoszyli, przelatując w poprzek ich kursu. Wielkie latające gady nie były w deszczu sprawniejsze niż pszczoły, musiały więc lądować.

Potoki wody spływały z grzbietu Domy, której nie udało się jednak uniknąć krótkich, gwałtownych skoków w dół i w górę. Uciążliwość jazdy łagodziła tylko zdolność wierzchowca do wzrokowego rejestrowania zmian ciśnienia powietrza. Renarda opadły tysięczne wątpliwości, kiedy zobaczył, w którą stronę zmierza Doma. Jeśli zdezerteruje, będzie się musiał przedrzeć przez samo czoło nawałnicy, być może walcząc po drodze z pozostałymi w głębi tyłów pojedynczymi Djukasis. Kiedy dotrze do Lata, będzie wyrzutkiem, człowiekiem bez prawa powrotu.

Nie czuł jednak szczególnej lojalności wobec Agitar, chociaż pojedynczych nawet lubił. Pewnie nie zdobyłby się na ucieczkę, gdyby nie fakt, iż spoza całej okrutnej rzezi, której był świadkiem i uczestnikiem, wзираła wyszczerzona w złowieszczym uśmiechu, pełna samozadowolenia twarz Antora Treliga.



Była jeszcze Mavra Chang. Wiedział, że w jakiś sposób go uratowała, jej uparta walka o przetrwanie i niezgoda na klęskę utrzymywała go przy życiu. I po co? Po to, by się dał zabić w następnej bitwie, w kolejnym sześciokącie, w służbie Antora Treliga?

O, nie! — krzyczał w nim wewnętrzny głos. — Nigdy! Przynajmniej tyle był jej winny, w pewien, inny sposób był też co nieco winny Antorowi Treligowi.

Łagodnie ściągnął wodze i skierował wielkiego zielonego pegaza na prawo, ruszając ku swemu przeznaczeniu.

## Strefa Południowa

Vardia, mieszkanka Czill, weszła do coraz bardziej zagraconego biura Ortegi, ściskając mackami stos wydruków komputerowych i rozmaitych wykresów. Ortega uniósł głowę znad telefonów.

— Nowe dane? — spytał, bardziej z rezygnacją niż radością w głosie.

Vardia potaknęła.

— Sprawdziliśmy prognozy na komputerze centrum. Sprawy nie wyglądają dobrze.

Ortega nie był zaskoczony. Nic już nie wyglądało dobrze.

— I jakie wyniki? — spytał ponuro.

Vardia rozłożyła tabele i wykresy. Ortega nie mógł czytać tekstów w oryginale, ale komputery w uniwersyteckim centrum badawczym przygotowały tłumaczenie na język Ulik. Ortega studiował materiały z coraz bardziej ponurą miną.

— W ciągu ostatnich trzystu lat musiały zajść zmiany w konstrukcji statków — zauważył.

— A czego się spodziewałeś? — odparła Vardia krótko. — Zresztą, historia wielu ras poucza, że w krótszym czasie można przebyć drogę od barbarzyństwa do lotów kosmicznych.

Ortega poruszył głową.

— Pewnie byłoby mi łatwiej, gdybym się lepiej orientował w teorii projektowania — powiedział smętnie. W sumie nie miało to jednak większego znaczenia: było to zrozumiałe dla komputerów w Czill, a jeśli dla nich, to pewnie również dla komputerów Agitar albo na przykład Lamotien.

— Podział na sekcje zrobili bardzo sprytnie — zauważyła Vardia. — Kawałki ledwie się zmieściły we Wrotach Strefy, i nie mogliśmy ich powstrzymać.

— Perswazją czy siłą — dorzucił. — W Strefie nie prowadzi się wojen, co? — Ponownie spojrzął na wydruki. — A więc zespół silnikowy jest jedyną rzeczą, z którą nie dalibyśmy sobie tutaj rady? To pewne? Ciekawe, dlaczego?

— Dobrze wiesz, dlaczego — odparła Vardia. — Zespół jest zamknięty na głucho i działa na zasadach, których nie znamy. Możemy oczywiście zbudować siłownię, ale niemal na pewno nie będzie ona miała wystarczającej siły ciągu, by przeskoczyć sąsiedni boks nietechnologiczny, dopóki nie zamrze. Pamiętajsz, jakie

żałosne rezultaty dały wasze skromne próby z kamerami? Myślę, że poruszenie takiej masy przekracza nasze możliwości. Studnia jest tak zaprogramowana, byśmy się stąd nie ruszyli. Rozmiary silników świadczą o ich mocy. Mogłoby się im udać, gdyby start nastąpił po torze niemal pionowym.

Ortega musiał przyznać, że taka możliwość istnieje. Zresztą nie miał wyboru — rozłożone przed nim papiery dowodziły tego czarno na białym. Aby je jednak uruchomić, muszą mieć oprogramowanie — zastanawiał się.

— W takim razie bez Yaxa się nie obejdzie.

— Gównu, i dobrze o tym wiesz! — warknęła Vardia z nietypowym dla siebie wzburzeniem. — No, więc zbudowanie czegoś takiego zajmie Agitar może kilka lat. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że albo wejdą w jakieś układy, albo po prostu ukradną, co potrzeba. Właśnie ty powinieneś wiedzieć, jak wygląda uprawianie polityki i szpiegostwa w Świecie Studni. Masz agentów u Yaxa, Dasheen, Makiem, Agitar, pewnie masz agentów w połowie ras zamieszkujących tę planetę.

Ortega milczał, bo naprawdę nie miał co odpowiedzieć. Uśmiechnął się tylko, i nie był to uśmiech zadowolenia. Dostał masę informacji od swoich starych przyjaciół, od wszystkich, którzy byli mu coś dłużni, albo którzy byli przez niego opłacani. Rezultatów nie było. Doskonale wiedział, że Yaxa są gotowi sprzedać własną matkę, byle tylko wziąć udział w grze, a Lamotien można było zaufać tak samo, jak szczurowi w fabryce sera. Ten, kto przechwyci źródło zasilania, uzyska polityczne możliwości poskądania całego statku. Był tego pewien. Nie był jedynym wytrawnym zakulisowym manipulatorem w Świecie Studni, co najwyżej najstarszym i najbardziej doświadczonym.

Z wydruków Vardii wynikała jednak najgorsza z technicznego punktu widzenia wiadomość: sekcje rozdzieliły się bez uszkodzeń. Wylądowały w większości w zupełnie dobrym stanie. Niezbędny demontaż został wykonany kompetentnie, fachowo i w odpowiednich miejscach.

— Jakie wieści z frontu? — spytała Vardia z niepokojem.

Ortega westchnął.

— Djukasis bronili się dzielnie, ale w końcu ich pokonano. Klusid nie mają modułu, za to mają kłopoty z atmosferą. Toczy się walka, ale w tamtejszej atmosferze notuje się bardzo intensywne promieniowanie ultrafioletowe. Dlatego wszystko jest tam takie ładne i jednocześnie tak dziwne. Właśnie ta atmosfera chroni ich przed Zhonzorp. Myślę, że Makiem udało się dogadać z Klusidianami poprzez sojusz ze Zhonzorp. Będą musieli zapewnić sobie bierną ochronę przed promieniowaniem i to na pewno zwolni tempo ich marszu, ale Klusidianie nie są zdolni oprzeć się sojuszowi z zachodu i tym dwunożnym krokodylom ze wschodu. Ustąpią, gdyż tamci chcą tylko swobody przejścia. Kiedy Zhonzorp będą mieli zarówno moduł, jak i kluczową pozycję, będą naturalnymi sojusznikami. Agitar ich nie lubią, ale Makiem i Cebu są zainteresowani, ponieważ krokodyle są jeszcze jednym boksem wysokotechnologicznym i przy ich pomocy będą mogli dopil-

nować, by ten capi naród nie wyciął im jakiejś sztuczki. Wydaje mi się, że całe ich siły skupią się na granicach Olborn w ciągu najbliższych dziesięciu dni, przy czym Zhonzorp będą rozwiązywać problemy zaopatrzenia.

Vardia spojrzała na mapę.

— To tylko dwa sześciokąty od Gedemondas. A co z Yaxa?

Ortega westchnął, zapowiadając w ten sposób dalsze złe wieści.

— Kiedy Yaxa odzyskali moduł z Porigol, Lamotien przeniknęli do Quasada. Wystarczy sześciu Lamotien, by zbudować dokładną kopię tych małych gryzoni. Sabotaż, dezinformacja, wszystko naprawdę skuteczne, ponieważ Lamotien sami są ludem wysokotechnologicznym i wiedzą, jak wszystko rozregulować. Krowia armia z Dasheen nie na wiele się przydała, przynajmniej jednak stworzyła dodatkowe zamieszanie, zwłaszcza że mieli dobrych doradców z Yaxa. Toczą się tam jednak nadal ciężkie walki; trzeba będzie tygodnia albo dwóch, zanim się przebiją. Yaxa wejdą w układy z Palim, są w tym naprawdę dobrzy. Zabierze im pięć, sześć dni przedarcie się przez Palim, może jeszcze jeden dzień, aby wydostać stamtąd moduł, który tam wylądował, i już są na granicy Gedemondas.

— A więc Yaxa dotrą tam pierwsi — stwierdziła mieszkanka Czill, przyglądając się jeszcze raz mapie.

— Może tak, a może nie — powiedział Ortega. — To zależy przede wszystkim od oporu, jaki napotkają w Quasada, i od tego, czy inni będą słuchać Zhonzorp. Poleciałbym nad Alestol, przewożąc wszystkich mostem powietrznym. Powietrze jest niemiłe i w ogóle śmierdzi, lecz Alestoli są beczułkowymi poruszającymi się roślinami, wydzielającymi masę trujących gazów. Nie można z nimi rozmawiać, ale i tak nie mają powietrza. Jeżeli sojusz Makiem, Agitar i kto tam się jeszcze dołączy, zdoła się przepchnąć przez Olborn, będzie pewnie cholernie gorąco.

Vardia spojrzała na Olborn.

— Co wiesz o tym miejscu? — spytała ciekawie.

Wielki wężowiec potrząsnął głową.

— Niewiele. Nigdy nie słyszałem, by mieli ambasadora. Zupełnie odcięci od reszty świata. Nie słyszałem, żeby ktoś stamtąd wrócił. Są tam ssaki, powietrze jest całkiem dobre, z moich źródeł wiadomo, że są sześciokątem półtechnologicznym z lekkimi możliwościami magicznymi, obojętnie, co by to miało znaczyć. Trzeba się dobrze przyglądać takim magikom, są to wszystko niezłe sukinsyny albo fanatycy, o ile w ogóle jest tu jakaś różnica. Nawet ci ze Zhonzorp ich omijają, nie mogę sobie jednak wyobrazić najpotężniejszego sześciokąta na tej planecie, który mógłby stawić czoło kombinacjom, jakie tam mogą powstać. Boksy magiczne zbyt opierają swoją obronę właśnie na czarach; dobra kula zatrzyma dobre czary, jeżeli masz przewagę 4:1 dobrze wyszkolonego wojska.

— Czyli i ci, i ci z powodzeniem mogą dotrzeć pierwsi do Gedemondas — zastanawiała się głośno Vardia. — A co wiemy o tamtych? Mamy w ogóle jakieś dane?

— Nic — mówił ponuro Ortega — bardzo wysokie góry, zimno, większość kraju pokryta śniegiem. Żyją wysoko w górach. Są wielcy — ci z Dilli widzieli ich, ale tylko przelotnie. Wielkie ssaki, może trzymetrowe, pokryte całe śnieżno-białym futrem, niemal niewidoczne na tle śniegu. Wielkie szponiaste łapy o czterech palcach. Unikają kontaktu, a kiedy podejdziesz zbyt blisko, mogą ci spuścić lawinę na głowę.

Plastyczna mapa pokazywała łagodną równinę na granicy Alestol-Palim-Gedemondas, a dalej niezmiernie wysokie, pofałdowane góry, niektóre szczyty sięgające czterech, pięciu tysięcy metrów. Surowy, zimny kraj.

— Czy masz jakieś informacje na temat miejsca upadku zespołu silnikowego w Gedemondas? — spytała Vardia węzowca.

— Nie, właściwie nie, i oni też nie mają. W każdym razie nie na równinie. — Zawahał się. — Poczekaj! Może jednak. . . ! — Zaczął przekopywać się przez sterzę papierów, przeklinając i sapiąc potężnie. Papiery śmigały na wszystkie strony, wreszcie trafił na pomięty żółty arkusik z notatnika. — A więc tak. Agitar odtworzyli masę i kształt modułu na podstawie odzyskanych kawałków, sprawdzili dane meteorologiczne, i w ten sposób doszli do prawdopodobnego miejsca upadku. Około sześćdziesięciu, stu kilometrów w stronę granicy północno-wschodniej z tolerancją dziesięciu kilometrów. Wiemy, że to gdzieś w górach, ale to i tak jakby szukać igły w stogu siana.

— W jaki sposób dostałeś te. . . — zaczęła Vardia, ale przerwała, uznając, że wypytywanie Ortegi nie ma większego sensu. I tak skłamię. — W takim razie nie tylko można podjąć poszukiwania, ale, jeśli tamci to znajdą, są szanse 1 do 1, że Gedemondas albo pozwolą im to zabrać, albo będą ich próbowali zniszczyć. Trzeba się będzie w każdym razie z nimi liczyć.

Ortega kiwnął głową.

— To śmieszny naród, ale nigdy nic nie wiadomo. W tym tkwi problem. Musimy wiedzieć. Musimy kogoś tam wysłać, żeby popróbował pogadać z Gedemondas, i jeżeli to możliwe, zanim wkroczy armia. Może uciekną, może będą ich próbowali zabić, ale musimy spróbować. Trzeba ich ostrzec zawczasu. Trzeba im zaoferować. . .

Vardia odwróciła się do niego.

— Może. . . Wyrwać im te silniki?

Ortega wzruszył ramionami.

— No, cóż, jeżeliby się nie powiodło, spróbować je zniszczyć.

Gdyby umiała, pewnie zareagowałaby na to westchnieniem. Ponieważ jednak nie umiała, spytała tylko:

— A kogo masz na oku, myśląc o tej samobójczej wyprawie w mroźne pustkowie? Na mnie nie licz. Poniżej dwóch, trzech stopni zasypiam.

Zarechotał na to.

— Nie, ty już co nieco przeżyłaś, albo któraś z was... Nie, chodzi mi ciągle coś innego po głowie, i wcale mi się to nie , podoba. Jest tylko jedna osoba o odpowiednich kwalifikacjach, by sprawdzić stan techniczny silników, zdecydować, czy można będzie je ruszyć z miejsca, a jeśli okaże się to niemożliwe — podać sposób ich nieodwracalnego zniszczenia.

— Mavra Chang — stwierdziła Vardia. — Powiedziałeś jednak, że jest ona zbyt cenna, by podejmować ryzyko.

— Bo tak jest — przyznał Ortega. — Zgadzam się, że jest pewien stopień ryzyka. Ale z drugiej strony tylko ona może się zająć techniczną stroną problemu. Oczywiście będziemy się starali sprowadzić ryzyko do minimum. Poślemy z nią kogoś dla ochrony, nie będziemy jej narażać bez potrzeby.

— Z tego, co wiem o niej od ciebie, poważnie w to wątpię — powiedziała Vardia sceptycznie. — No, dobrze, niech będzie. W końcu musiało do tego dojść. Byliśmy biernymi obserwatorami i nadal w roli biernych obserwatorów będziemy się przyglądali, jak banda Treliga czy Julina pruje do satelity, chyba że coś zrobimy. Zgadzam się, że trzeba działać. Wolałabym jednak, żebyśmy wcześniej coś zrobili.

— Wcześniej nikt z nas nie myślał, że którejś ze stron może się naprawdę udać — przypomniał jej Ortega. — Teraz już wiemy, że taka możliwość istnieje. Teraz albo nigdy.

Mieszkanka Czill odwróciła się.

— Powiadomię moich ludzi i naszych przyjaciół tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Rozumiem, że ty zgromadzisz ekipę?

Ortega się uśmiechnął.

— Oczywiście — pod warunkiem uzyskania zgody Centrum Kryzysowego Czill.

— Oczywiście — powtórzyła Vardia niczym echo, chociaż wcale nie była pewna, czy była w tym jakakolwiek różnica.

Ortega wrócił do swoich map i po chwili mówił do siebie: Xoda wypada z gry, Yaxa będzie, pozostaje Olborn. Niech to szlag!...

# Lata

Dwa dni zajęła mu droga do granicy Lata, chociaż Doma mogła go tam przenieść w dzień. Wielki koń nie spocząłby na pewno, ale teraz był niemal kompletnie wyczerpany, więc Renard zsiadł, jak tylko wydostali się z burzy i oddalili na bezpieczną odległość od wojny.

Nie miał żadnych zapasów, a kraj też ich nie zapewniał. Doma mógł się żywić liśćmi drzew i czubkami wysokiej trawy, była też woda, w sumie więc Renard był przekonany, że jakoś przeżyją. Miał w głowie tylko Lata; z jedzeniem można było zaczekać. Agitar byli wszystkożerni; jeżeli Mavra Chang tam przeżyje, przeżyje i on.

Kilkakrotnie był bliski starcia, nim dotarł do granicy. Niektóre kopce zostawiły szczątkowe siły wartownicze, kilkakrotnie wzywano go, by podjął walkę, ale były to sporadyczne akcje i zwykle kończyło się na niczym, kiedy zawracał, by uniknąć walki. Były zbyt nieliczne, by odlatywać daleko od roju.

A jednak czuł wyczerpanie, i to zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Jego wewnętrzny ładunek spadł niemal do zera, zastanawiał się, czy jego ciało nie potrzebuje jednak pewnego zasobu zmagazynowanej energii. Pewnie tak, musiała ona odgrywać jakąś rolę w jego nie znanej mu biochemii. Kilkakrotnie zatrzymywał się, by trochę pobiegać i w ten sposób uzupełnić zapasy, i zauważył, że to rzeczywiście pomagało, chociaż z drugiej strony fizycznie był tak wypompowany, że biegi i hopsy stały się wkrótce niemal niemożliwe.

Wreszcie jednak dotarł — z odległości pięciuset metrów widział teraz cel. Granica sektorów trochę migotała na skutek pewnej różnicy w składzie atmosfery — niespecjalnie może dużej, ale wystarczającej, by stworzyć wrażenie jakiejś dziwacznej, przezroczystej plastikowej zasłony. Granica wytyczała kres życia i ukształtowania terenu, często też pogody, a dalej zaczynała się całkowicie odmienna sceneria. Tylko formy terenowe i zbiorniki wodne były stałym elementem; rzeki przepływały z jednego boksu do drugiego; morza jednego omywały plaże innego, zbocza gór ciągnęły się nieprzerwanie, tak jak to, przed którym teraz stał.

Djukasis był suchym sześciokątem; burze z piorunami były o tej porze roku rzadkością, ale z drugiej strony właśnie takie gwałtowne burze zapewniały większość opadów w tym boksie. Trawa była pożółkła, drzewa twarde i wiotkie.

Na granicy Lata nagle zaczynał się soczyście zielony dywan trawy i wysokie, grube drzewa z wielkimi, pokrytymi zielonymi liśćmi gałęziami, sięgającymi wysoko w niebo, pomiędzy którymi rozsiane były stawy, łąki i ustronne dolinki. Ani śladu drogi, a także, mimo słonecznego dnia — żadnych ludzi.

Wiele dałby, żeby się przekonać, kto tu mieszka.

Nie musiał szukać zbyt długo. Na ślad tutejszych mieszkańców trafił już o kilometr od granicy, kiedy wciąż jeszcze odczuwał skutki czterokrotnego wzrostu wilgotności powietrza i wzrostu temperatury o 10°C.

Jego wierzchołek został obrysowany wielokolorowymi wybuchami energii i, wstrząsając się nerwowo, zaczął się wycofywać.

Ależ oni do mnie strzelają! — pomyślał w popłochu, ale później się zreflektował, że eksplozje miały raczej odstraszać niż zabijać. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Nie mając wyboru wykonał zwrot o 180°, kierując się z powrotem do Djukasis. Wysuszone powietrze macierzystego boksuszczoła osuszyło w mig jego pierś i plecy, zlane potem pod bojowym kombinezonem, którego nie zdążył zrzucić.

Posadził Domę możliwie blisko granicy i zeskoczył na ziemię, popatrując ostrożnie ponad linią granicy. Zastanawiał się, kto czy co go śledzi z tamtej strony. Zrzucił mundur, zostając w zwykłych granatowych spodenkach wojskowych. Chwytną Domę za wodze ostrożnie podszedł powtórnie do granicy, prowadząc konia po ziemi.

Tym razem namierzono go po zaledwie 10-15 krokach w głąb kraju. Wydawało mu się, że słyszy całą orkiestrę wściekłych dzwoneczków; nic z tego nie rozumiał.

Zatrzymał się, popatrując w stronę milczącego lasu. I dzwonki ustały, jakby na coś czekały. Wskazując na siebie krzyknął:

— Renard! Przybysz! — Przecież to drugie pojęcie w różnych językach może być oznaczane rozmaicie — pomyślał. Mogą tego nie zrozumieć. — Mavra Chang! — krzyknął. — Mavra Chang!

Teraz dopiero rozpętała się dyskusja. Wreszcie zadziałała stara zasada: w razie wątpliwości przekaz sprawę dalej!

Podniósł ręce w geście, który, na co liczył, powinien być zrozumiany jako znak poddania się, mając jednocześnie nadzieję, że tamci też mają ręce i właściwie go odczytają!

Podziałało. Nagle spośród drzew wyskoczyła cała zgraja, uzbrojona w paskudnie wyglądające miotacze energii. Po swoim pobycie w Djukasis natychmiast uważał ładne, ale groźne żądła.



Elfy! — pomyślał, zdumiony. Małe, uskrzydłone dziewczynki. Sześciokąt wysokotechnologiczny; te strzelby wyglądały na wysoce skuteczną broń, nie miał też wątpliwości, że niezależnie od tego, czy ostrzał z broni przeciwlotniczej był prowadzony automatycznie, czy ręcznie, mogły trafić, w co tylko chciały.

Elfy otoczyły go, podziwiając Domeę, dając mu niedwuznacznymi gestami do zrozumienia, że ma się posuwać dalej. Zauważył, że noszą gogle i sprawiają wrażenie, że nie czują się tu dobrze. Przypuszczał, że są stworzeniami nocnymi. Zaprowadziły go na polanę odległą o kilka kilometrów; jeden z nich robił masę gestów przypominających język migowy, które było można odczytać zupełnie jednoznacznie. Miał stanąć tam bez ruchu, i oczekiwano, że nie będzie robił żadnych kawałów.

To mu odpowiadało. Przywykł już do czekania. Doma pała się na obfitej świeżej trawie, a on się wyciągnął i spokojnie zasnął.

Vistaru w pośpiechu wpadła do parterowej siedziby Mavry.

— Mavra?

Leżała na specjalnie zbudowanym łóżku, przeglądając mapy i opisy geograficzne Świata Studni, przeważnie dziecięce książeczki z obrazkami. Trudno się nauczyć w ciągu paru tygodni skomplikowanego języka, zwłaszcza jeżeli stworzono go z myślą o systemie fonetycznym, którego nie sposób powtórzyć.

— Tak, Vistaru? — odpowiedziała, znużona i znudzona becznością.

— Mavra, pojawił się jeden ze stwórow biorących udział w wojnie, który przyszedł znaną granicę w Djukasis przed kilkoma minutami. Właśnie dostaliśmy mel-dunek radiowy.

Była to dość ciekawa nowina, ale w żaden sposób nie zmieniała jej dotychczasowego położenia.

— A więc?

— Przyleciał na ogromnym latającym koniu! Nie uwierzysz! Mówię ci, ogromny, jasnozielony. Ale najważniejsze, Mavra: on stale cię woła! Bez ustanku wrzeszczy twoje imię!

Zerwała się w mgnieniu oka.

— Jak wyglądał ten stwór?

Vistaru wzruszyła ramionami.

— Podobno to Agitar. Większy niż Lata, mniejszy od ciebie. Cały ciemnoniebieski, u dołu puchaty.

Mavra pokręciła głową.

— Pierwsze słyszę o czymś takim. Co o tym sądzisz? Jakiś chwyt?

— Jeśli to jest podstęp, to nieudany — odpowiedziała Vistaru twardo. — Gdyby tylko zrobił coś głupiego, nigdy nie wyjdzie stąd żywy. Pytał, czy byłabyś skłonna z nim porozmawiać.

— Jeśli będę mogła — odpowiedziała i wyszła.

Szybkie przeniesienie jej nad granicę nie nastęczało problemów. Choć Lata unosili się w powietrzu i z tej racji nie potrzebowali dróg ani samolotów, musieli przemieszczać rozmaite ładunki i żywność. Po prostu, powołując się na autorytet rządu zmieniali trasę dużej, wypakowanej skrzyniami ciężarówki, ku sporemu niezadowoleniu kierowcy. Mavra Chang z trzema tysiącami skrzynek, pełnymi jabłek, pędziła na południe, ku granicy, na platformie, unoszonej dwoma wirnikami helikoptera i przesuwanej się tuż ponad wierzchołkami drzew. Podróż zajęła jej około trzech godzin, wylądowali późnym popołudniem. Przy danym położeniu osi wszystkie sześciokąty miały taką samą długość dnia, wynoszącą nieco ponad czternaście standardowych godzin.

Pegaz był naprawdę tak wielki i piękny jak w opisach, jeździec za to był rzeczywiście mały, pękaty i brzydki.

— Sprytny mały diabełek — mruknęła Mavra do siebie i faktycznie z czymś takim kojarzyła się ta gęba. Uświęcony w starej tradycji obraz diabła o granatowej skórze i czarnych włosach. Łoskot nadlatującego helikoptera przebudził stwora, który wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Wydawało się niemal niemożliwe, by tak cienkie nogi mogły unieść takie grube ciało; poruszał się tak, jakby ciągle chodził na palcach, przypominając Mavrze wystrojonego „łabędzia” z klasycznego baletu.

Strażnicy, uzbrojeni w miotacze energii, podprowadzili go na otwartą przestrzeń otaczając ze wszystkich stron. Zastanawiał się, cóż to za gruba ryba przychodzi, by obejrzeć przybysza, ale pierwszy rzut oka rozwiał jego wątpliwości.

— Mavra! — wrzasnął, ruszając ku niej. Strażnicy się nie lenili, więc stanął jak wryty. Pokazując na siebie, zawołał:

— Renard, Mavra! Renard!

Powiedzieć, że ją zdołał wprawić w zdumienie, to mało. Znała przecież system Studni, wyjaśniono jej to bardzo dokładnie, po raz pierwszy jednak spotkała się tak bardzo bezpośrednio z rezultatem jego działania. Roześmiała się, a potem odwróciła do Vistaru.

— Ten translator. . . czy mogę z nim rozmawiać?

Tamta potaknęła.

— Przecież masz translator.

— Renard! — zawołała. — Czy to naprawdę ty?

Diabełek się rozpromienił.

— No, pewnie, że ja! Trochę się zmieniłem, ale w środku I jestem ten sam! Zamieniłem gąbkę na kożę! — odrzyknął. Roześmiała się. Komunikacja funkcjonowała znakomicie.

Rozumiał, kiedy mówiła językiem Konfederacji, a język Agitar rozszyfrował dla niej translator.

— Czy jesteś pewna, że to Renard? — spytał ją jeden ze strażników granicy. — Czy to ktoś, kogo znasz? Tyle się teraz ludzi podszywa pod kogoś innego.

Kiwnęła, zastanawiając się nad ostatecznym dowodem. Po chwili krzyknęła:

— Renard! Potrzebują dowodu, że ty to właśnie ty. Prawdę mówiąc... ja też. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać — wybacz mi to pytanie. — Kiwnął skwapliwie głową, a ona ciągnęła dalej. — Renard, kim była istota ludzka starego typu, z którą się ostatni raz kochałeś?

Zmarszczył brwi, bo pytanie przyprawiło go o zakłopotanie, chociaż dostrzegł w nim logikę. Tylko Mavra, on i ta trzecia osoba znali odpowiedź, a ona nie miała powodu oszukiwać.

— Nikki Zinder — odpowiedział.

Kiwnęła głową.

— To na pewno Renard. Nie tylko sama odpowiedź, ale i sposób, w jaki ją podał, przekonują mnie! Pozwólcie mu podejść do mnie albo mnie do niego.

Strażnicy nadal nie byli do końca przekonani.

— Ale on jest Agitar! — warknął jeden z nich. — Jest jednym z tamtych!

— Tak czy inaczej, to jest Renard — odpowiedziała, podchodząc do niego bez dalszych wahań. Strażnicy zachowali gotowość, ale wydawało się, że przestali się upierać.

Teraz ona była wyższa od niego — może 10 centymetrów w butach, 3-4 na bosaka. Był brzydki jak jasna cholera, śmierdział niczym cap, ale nie zważając na to objęła go i pocałowała ze śmiechem w czoło.

— Renard! Niech ci się przyjrzę! Opowiadali mi, że to się zdarza, ale jakoś nie bardzo chciało mi się wierzyć!

Znowu zrobił z lekka strapioną minę, nie tylko z racji swojej nowej powierzchowności, ale również dlatego, że ta część jego mózgu, która czyniła z niego Agitar, tak naprawdę nie odbierała jej jako kobiety, ale jako odmienne, obce stworzenie. Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo jednak się zmienił.

Mavra podeszła teraz ostrożnie do pegaza.

— Jakież on piękny! — westchnęła. — Czy... czy mogę go dotknąć? Czy mi pozwoli?

— Ją — poprawił Renard. — Nazywa się Doma. Pozwól, żeby ci się przez chwilę przyjrzała, a potem pogłaszcz to miejsce pomiędzy uszami, kiedy opuści szyję. Lubi to.

Mavra zrobiła, jak mówił, i przekonała się, jak przyjaznym, dziwnym i wrażliwym stworzeniem jest ten wielki pegaz.

Obeszła go dookoła, przyglądając się siodłu, umieszczonemu między wielkimi, teraz złożonymi skrzydłami a szyją. Było to skomplikowane urządzenie, wyposażone w wysokościomierz, licznik prędkości lotu i biegu i inne wskazówki.

Odwróciła się do Renarda.

— Kiedyś będziesz mnie musiał na nim przewieźć — powiedziała z tęsknotą w głosie. — Strasznie bym chciała zobaczyć, jak płynie w powietrzu. Najpierw jednak musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Jak mi dasz coś do zjedzenia, mogą być jakieś owoce albo mięso z tego, co ty jesz — odparł lekko. — Umieram z głodu!

Usiedli w małej dolince i czekali, aż zajdzie słońce i elfy opadną z sił. Opowiedział jej, jak obudził się w Agitar, o Treligu, jak go powołali do wojska, podzielił się z nią doświadczeniami wojennymi. Słuchała chętnie, mówiąc sobie w duchu, że wołałaby być tam, skąd on uciekł. Opowiedziała mu w sposób uproszczony, jak zahipnotyzowała ich, by zmniejszyć do minimum wpływ gąbki, o tym, jak pojmały ich cyklopy w Teliagin, a potem oswobodzili ich Lata, wreszcie o tym, jak dostali się do Strefy.

— A co z Nikki? — spytał. — Czy wiesz, dokąd trafiła? Tak naprawdę cały czas o niej myślę. Jest taka młoda i tak naiwna — pewnie ciężko jej samej na tym świecie. Wiem coś o tym.

Mavra rzuciła okiem na Vistaru, która towarzyszyła jej jak cień i teraz się dołączyła do nich. Vistaru potrząsnęła głową. — Nic nie wiemy o Zinderach. To dziwne. Wprawdzie można tu zniknąć niepostrzeżenie, ale takie przypadki są jednak rzadkie. W połowie boksów na Południu starzy politycy mają kogoś w kieszeni. — Mówiła w swoim języku, Mavra tłumaczyła. — Pewnie moglibyśmy zgubić jedną osobę, ale dwie? To bardzo dziwne. Bardzo byśmy chcieli wiedzieć, gdzie się podzieli.

— Wygląda na to, że Studnia się otworzyła i ich połknęła.

\* \* \*

Minęło kilka szczęśliwych dla Renarda dni, które dały Mavrze trochę urozmaicenia, trochę ulgi od codziennej nudy. Nauczył ją latać na Domie; przychodziło jej to łatwo, chociaż niektóre manewry wymagały większej siły mięśni niż ta, którą dysponowała. Stwierdziła, że nigdy nie będzie mistrzynią w tej konkurencji, ale latanie na Domie było jednak wielkim przeżyciem.

Potem sojusz Południowców dotarł do Olborn. Przybyli z kilkudniowym wyprzedzeniem w stosunku do planu. Zhonzorp okazali się bezcenni. Był to naród wyglądający jak chodzące w postawie wyprostowanej krokodyle, przyodziane w turbany, płaszcze i inną równie egzotyczną odzież. Był to boks wysokotechnologiczny, można tam było oszczędzić sobie wysiłku i czasu, przenosząc się za pomocą kolei.

Wtedy właśnie przyszła do nich Vistaru w towarzystwie starszego elfa-mężczyzny.

— Przedstawiam wam ambasadora Siduthura — powiedziała. Na prośbę Mavry wyposażyli Renarda w translator, który bardzo pomagał w codziennych kontaktach, pozwalając mu odzyskać pewność siebie.

Mavra i Renard skłonili się uprzejmie.

— Jak wicie, działania wojenne rozwijają się — zaczął nowy gość — co oznacza, że sytuacja nie jest dla nas korzystna. Przyjaciele z innych boksów poinformowali mnie, że któryś z sojuszków na pewno zwycięży, że w istocie rzeczy istnieje możliwość ponownego zmontowania statku i że — o ile czegoś się nie zrobi — wkrótce będziemy mieli do czynienia z sojuszem zdolnym wzlecieć w kosmos, i opanować satelitę i jego komputer. Nie możemy tak siedzieć beczynn timer i pozwolić na to.

Nareszcie! — pomyślała Mavra, nie odzywała się jednak, póki ambasador nie skończył.

— Wszystko, co nam pozostaje, to nadzieja, że uda się namówić Gedemondas, by nam albo wydali silniki, albo też je zniszczyli. — Wyjaśnił im, jak tajemniczy jest to naród. — Tak więc sami widzicie, że musimy tam kogoś mieć. Kogoś, kto by im wyjaśnił sprawy, o ile to w ogóle jest możliwe. Kogoś, kto pozyskałby ich do współpracy, o ile uda się nawiązać kontakt i — niezależnie od tego, czy na to pójda, czy nie — w razie, gdyby nie udało się zawładnąć silnikami, mógłby je zniszczyć tak skutecznie, by nie udało ich się odbudować.

Mavra zapaliła się do tego pomysłu.

— Tylko ja mogę to zapewnić — zauważyła. — Żadne z was nie umie odróżnić silnika od ładowni, żadne z was nie potrafi określić, czy będzie on tylko uszkodzony, czy też zniszczony.

— Jesteśmy tego świadomi — odparł ambasador. — Dobrze byłoby mieć o kilka dni więcej, by przygotować ci dobrą ekipę. Kłopot polega na tym, że najlepsze siły są zbyt odległe, a lokalne źródła są albo podbite, albo obłązone, albo, głupcy, nie chcą się w to wszystko mieszać. Najlepsze, co możemy zrobić, to umówić się z ekspertem z Dilli w pobliżu granicy z Gedemondas. To kraj sąsiedni, nawykły do zimna, mają chyba najpewniejsze informacje o Gedemondas. Zmniejszy to niebezpieczeństwo, że wpadniesz w zasadzkę tych z Gedemondas, jeżeli będziesz w towarzystwie niegroźnej formy życia, którą przynajmniej znają.

— Ja też pójdę — zgłosił się Renard. — Doma może unieść i mnie, i Mavrę, a to przyspieszy podróż.

Ambasador kiwnął głową.

— Na to liczyliśmy. Nie ufamy ci na sto procent, ale wierzymy, że twoje przywiązanie do Mavry Chang jest szczere. To musi wystarczyć. Vistaru i Hosuru, jeszcze jeden Przybysz i dawniejszy pilot również pójda z wami.

— Jeszcze jeden Przybysz? — spytała Mavra. — Myślałam, że nie ma ich zbyt wielu i że Vistaru jest jedyną z mego gatunku. . .

— To prawda — przerwał jej ambasador. — Hosuru nie była przedtem twoim współplemieńcem.

Może to była duma z przynależności do gatunku ludzkiego, a może tylko miłość własna, albo po prostu szowinizm, ale Renardowi i Mavrze jakoś nie mogło przejść przez myśl, że może być jeszcze jakiś gatunek podróżujący w kosmosie.

— A kim był ten Hosuru? — spytała Mavra. — I ile jeszcze różnych ras wędrujących w kosmosie tu wylądowało?

— Według ostatnich rachunków na Południu — sześćdziesiąt jeden. Nikt nie wie, jak jest na Północy — odparł ambasador. — Na pewno co najmniej drugie tyle. Hosuru należał kiedyś do rasy, którą nazywaliśmy Ghlmon, a którą jeden z was dawno temu określił jako małe zielone, ziejące ogniem dinozaury, obojętnie, co by to miało znaczyć.

Hosuru nie był już jednak ziejącym ogniem dinozaurem. Pozostała nadal osobnikiem żeńskim i nie różnił się zupełnie od Vistaru poza ciemnobrązowym kolorem, kontrastującym ze wściekłym różem innych Lata.

Ambasador rozłożył mapę.

— Tu jesteście — powiedział, wskazując jeden z sześciokątów. — Na wschód od nas leży Morze Burz. Jak widzicie, najlepsza trasa prowadziaby przez Tuliga i Galidon do Palim, który i tak prędzej czy później trzeba przejść. Galidon są jednak niebezpiecznymi drapieżkami, a w tamtejszej atmosferze nie da się lecieć, więc to odpada. Oznacza to konieczność przejścia Tuliga do tego punktu i wylądowania w Olborn. Mieszkańcy Tuliga są raczej paskudnymi olbrzymimi morskimi ślimakami, ale nie powinni ci robić kłopotów, jeżeli i ty będziesz ich omijać.

— Doma ma zasięg mniej więcej czterystu kilometrów — powiedział Renard — a to jest dużo dalej.

— Owszem — zgodził się ambasador. — Po drodze jest jednak kilka małych wysp, możecie więc wylądować i odpocząć. W żadnym wypadku nie powinnaś wchodzić do wody. Jest mocno zarośnięta, nie nadaje się do picia, ale wyspy są pochodzenia wulkanicznego i w wygasłych kraterach powinny być niewielkie jeziora. Dobrze wybieraj miejsca na biwak.

— Czy na tych wyspach są jakieś formy życia, o których powinniśmy wiedzieć? — spytała Mavra ostrożnie.

Ambasador powoli mówił:

— Same ptaki, może trochę skorupiaków bez znaczenia. Nie, problemy powstaną, kiedy ponownie dotrzecie do lądu — jeżeli Pongol popierają Yaxa, po prostu nie sposób ominąć Olborn.

— No dobrze, ale ten Olborn — czyż to nie jest następny cel Makiem, Cebu i Agitar? — spytał Renard, zatroskany. — Czy nie pomylą nas ze swoimi wrogami?

— Mówiąc szczerze, nie mamy najmniejszego pojęcia — przyznał ambasador. — Pod wieloma względami są równie zagadkowi jak Gedemondas. Stwory

trochę przypominające koty, jak rozumiem, z możliwościami odpowiadającymi półtechnologicznemu charakterowi tego sześciokąta. Źródła podają również, że mają ograniczone możliwości magiczne, chociaż tak naprawdę nie wiem, co by to mogło znaczyć. W każdym razie jednak musicie przejść tamtędy górą. Atak od strony Zhonzorp na samym południu mógłby nam pomóc, odciągając siły Olborn.

— Miejmy nadzieję — westchnął zmartwiony Renard. — A więc co?

— W powietrzu nad Palim, możliwie najbliżej granicy dla uniknięcia spotkania z sojuszem Yaxa, który równie dobrze może właśnie przekraczać ten sześciokąt. Nie skręcajcie w żadnym wypadku na południe, do Alestol, obojętnie, co by się wam przydarzyło. Są to szybko przemieszczające się rośliny, które mogą wydzielać trujące albo przynajmniej szkodliwe gazy. To drapieżcy, którzy mogą strawić każde z was. Pozwólcie, by się nimi zajęli Makiem i ich banda. Powtarzam: musicie dotrzeć za wszelką cenę do Gedemondas przed wszystkimi! W was nasza jedyna nadzieja. Czy podołacie?

Mavra Chang była niemal fizycznie spragniona działania.

— Przy odrobinie szczęścia i pomocy, jeśli nadarzyła się okazja, nigdy nie nawaliłam — powiedziała dufnie. — Czekałam na takie zadanie!

Ambasador popatrzył na nią poważnie.

— To nie Kom — przypomniał jej. — Tu reguły zmieniają się naprawdę szybko.

## Trójkąt Tuliga-Galidon-Olborn, o zmroku

Przejście, mimo iż nie obfitowało w wydarzenia, zabrało im trzy cenne dni. Przepłynęli ponad wzburzonym morzem Tuliga, zmagając się prawie cały czas z przeciwnym wiatrem. W ciągu tych niewielu godzin w świetle dnia, kiedy pogoda była spokojniejsza, mogli dostrzec rafy koralowe, pośród których kręciły się masy różnokolorowych ryb i — gdzieś tam ciemniejsze, znacznie większe kształty.

Utrzymywali bezpieczną wysokość, nie chcąc ryzykować, że któryś z tych ciemnych kształtów nagle wychynie z głębin i ściągnie ich w dół. Gdy dotarli do granicy Galidon, pogoda uspokoiła się, ale atmosfera tamtejsza była jednak trochę dziwna. Zmierzali w stronę punktu, który wyznaczał jeden z narożników sześciokąta Olborn po stronie Tuliga.

Sam Olborn sprawiał wrażenie tak pożądanej ulgi — twarda na oko, przeważnie nadbrzeżna równina, trochę chłodno, ale tego się akurat nie bali, mieli bowiem ze sobą odzież ochronną. Nic nie sugerowało, by miała to być okolica ponura, nieprzystępna czy groźna.

Poczekali z lądowaniem na plaży do zapadnięcia zmroku. Postanowili rozbić tam obóz, zachowując sobie łatwą drogę odwrotu, gdyby zaszła taka potrzeba, i maskując, jak się dało, wielkiego wierzchowca.

Upewnili się, że do wybrzeża nie prowadzi żadna droga. Nie widzieli w tym nic dziwnego, zważywszy, że sąsiednie boksy były — jak Galidon — pokryte wodą.

Była bezchmurna noc, ponad nimi pałało miliardem światełek niewiarygodne niebo Świata Studni; ku północy część horyzontu przysłaniał srebrzysty dysk.

Po raz pierwszy położenie, moment i pogoda pozwoliły im podziwiać Nowe Pompeje. Podziwiali widok w milczeniu, pogrążeni w myślach.

— Tak blisko, tak cholernie blisko — westchnęła cicho Mavra Chang. Wydawało im się, że mogą wyciągnąć rękę i dotknąć. Pomyślała o tych biedakach, którzy tam zostali i już pewnie dawno byli martwi, i o przychylnym, człekopodob-



nym komputerze Obie, który pomógł jej w ucieczce. Jakże pragnęła tam wrócić! Przysięgła sobie, że któregoś dnia tak się stanie.

Wrócili do rzeczywistości. Chociaż Lata byli stworzeniami nocnymi, podróż była długa i męcząca, a ponieważ odbywała się za dnia, bardziej ich wyczerpała. Zasnęli, wystawiając warty.

Mavra miała drugą wachnię; Lata mieli objąć kolejne, kiedy będą w najlepszej formie. Usiadła, wybiegając wzrokiem daleko, ponad lekko zmarszczoną powierzchnię morza, wsłuchana w huk przyływu, obserwując wodę i niebo.

A było to niebo naprawdę wspaniałe. To był jej żywioł, była dla niego zrodzona, dla niego zrobiła wszystko, nawet się sprzedała. Spojrzała na pogrążonych we śnie towarzyszy. Lata czuli się tu doskonale. Na pewno polatywanie na tych kruchych skrzydełkach dostarczało masę zabawy, w ich kraju nie było żadnych nacisków, czy to seksu, czy polityki, by kształtować bieg wydarzeń. Nawet te niewielkie rozmiary niewiele znaczyły; i tak wszyscy wyglądali podobnie. Ich świat znajdował się o 355 kilometrów ze wszystkich sześciu stron. Tak maleńkie miejsce, taki niesamowicie mały obszar, kiedy się patrzyło w to niebo.

I Renard też się tutaj lepiej czuł. Świat Studnia był na pewno większy od Nowych Pompei, dostarczał też więcej bodźców niż Muscovy.

W poprzednim życiu był żywym trupem; tutaj miał jakąś siłę, przyszłość, a jeśli sprawy się odpowiednio potoczą, mógł liczyć na karierę wśród Agitar, jeżeli przegrają wojnę. Z tego, co opowiadał o nastrojach, porażka spowoduje upadek rządu, a ci, którzy pomogli zakończyć wojnę, miast do niej podżegać, ze zdrajców przedzierzgną się w bohaterów.

Jej jednak to nie dotyczyło. Świat Studnia był przygodą, wyzwaniem, ale tu nie była w swoim żywiole. Nawet gdyby któregoś dnia przeszła przez Studnię i obudziła się jako ktoś inny — nie miałyby to znaczenia. Studnia zmieniała człowieka fizycznie, zostawiając jednak jego prawdziwe wnętrze. Nadal będzie pragnęła latać wśród gwiazd.

Te rozmyślenia przerwały delikatne dźwięki, dochodzące z niewielkiej odległości. Przez chwilę w ogóle nie była pewna, czy cokolwiek słyszała. Musiała wyteżać słuch, by znowu pochwycić ten odgłos, kiedy już była skłonna sądzić, że zaczyna mieć przywidzenia. Dochodził z północnego zachodu, jego źródło było naprawdę niedaleko i wyraźnie się zbliżało.

Zastanawiała się, czy nie obudzić reszty towarzystwa, ale w końcu postanowiła, że można z tym poczekać. I dźwięki się urwały. Mimo wszystko jednak — zdecydowała — nie zaszkodzi się trochę rozejrzeć. Zawsze mogła wrzasnąć, a wtedy i tak się obudzą, a nie było sensu budzić ich bez potrzeby.

Cicho, delikatnie podkradła się do miejsca, z którego po raz ostatni dobiegły ją dźwięki. Trochę dalej była niewielka kępa drzew przy bagnistym ujściu rzeki. Pomyślała, że cokolwiek jej wydaje, musi się ukrywać właśnie tam. Powoli, ostrożnie podeszła do linii drzew.

Znowu usłyszała dźwięk po prawej, ruszyła więc w tę stronę. Przykucnęła, wyjrzała zza krzaka.

Ujrzała dziwnego, dużego ptaka. Korpus przypominał trochę pawia, głowa była regularną kulą, z której wyrastał dziób, przypominający niewielki róg. Ptaszysko miało okrągłe żółte oczy, w których odbijało się światło gwiazd. Wszystko wskazywało więc na to, że był to ptak nocny. Odetchnęła z ulgą, ptak najwidoczniej ją usłyszał. Odwrócił się i powiedział, raczej głośno i odrobinę szorstko:

— Bwock wok!

— Woknij się sam — szepnęła Mavra, odwracając się z zamiarem powrotu do pobliskiego obozu.

W tym momencie drzewa jakby eksplodowały. Wszędzie wokół niej lądowały wielkie ciała, jedno z nich prosto na jej głowie.

— Renard! — zawołała. — Vistaru! — Tyle tylko zdążyła krzyknąć, coś zdało się pokrywać jej głowę, pozbawiając ją skutecznie przytomności.

Doma się wzdygnęła, a pozostała trójka natychmiast się przebudziła, słysząc dwa urwane krzyki.

Renard widział te ptaki w momencie startu Lata; wielkie cienie ścigały je pomiędzy pobliskich drzew. Był już prawie przy końcu, kiedy jeden z nich, wyższy znacznie i bardziej włochaty od niego, z płonącymi, żółto-czarnymi oczami, dosięgnął go ręką.

I to był jego błąd.

Rozległ się trzask, mieszkaniec Olborn wrzasnął, a w powietrzu rozszedł się smród palonych włosów i mięsa. Inny próbował zawładnąć wodzami Domy, ale koń cofnął się, pozwalając Renardowi wskoczyć na swój grzbiet. Napastnik warknął i próbował teraz dosięgnąć Renarda.

Ten ujrzał przed sobą wielką kocią gębę, z pałającymi kocimi oczami, i dotknął włochatej, szponiastej ręki trzema palcami i kciukiem.

Mieszkaniec Olborn pozegłował do swojego kociego nieba.

Domy nie trzeba było poganiać. Wiedząc, że jeździec tkwi pewnie w siodle, wielki skrzydlaty koń pocwałował z łoskotem kopyt plażą, roztrzając ciemne kształty, które nie zdążyły uskoczyć z drogi, a po chwili wzniósł się w powietrze.

Lata, których żądła pomogły utorować drogę, podpłynęli do niego.

— Musimy znaleźć Mavrę! — krzyknął Renard. — Dostali ją!

— Trzymaj się tego miejsca! — krzyknęła Hosuru. — Nie wiemy, co mają w zanadrzu, i nie możemy sobie pozwolić na stratę Domy! Ruszemy za nią, i jeśli nie zdołamy jej uwolnić, jeden z nas zostanie z nią, a reszta wróci po ciebie!

Nie było to bardzo po jego myśli, ale nie miał wyboru. Ani Doma, ani on nie wyróżniali się szczególną zdolnością widzenia w nocy, a gdyby Lata włączyli swoje osobiste oświetlenie, stanowiliby idealny cel dla prześladowców.

Dwa elfy widziały jednak w nocy szczególnie dobrze. Zaraz za rzeką dostrzeły rodzaj wozu: doskonale wyszlifowana ciesielska robota, poruszająca się na

wielkich drewnianych kołach, ciągnięta przez zespół ośmiu niewielkich zwierząt przypominających muły. Czterech mieszkańców Olborn, uzbrojonych w pistolety, stało na stopniu, otaczającym wóz; dwaj następni kierowali zaprzęgiem — jeden sterując małymi mułami, a drugi dzierżąc błyszczącą groźnie wyglądającą strzelbę. Drzwi i okna „karety” były zablokowane drewnianymi płytami na zawiasach. Ze sposobu, w jaki woźnica zaciął batem biedne zwierzaki, mogli się domyślać, co krył ten dziwaczny pojazd.

— Jedyne, co możemy zrobić, to lecieć za tym cholerstwem — zakląła Vistaru. — Renard da sobie radę.

Nie chodziło tu tylko o uczucia. Agitar przez cały czas pobytu w Lata nie rozładowywał swojej energii, do pierwszej jednak utarczki trudno było określić, ile jej ma i jak skutecznie może razić.

Kareta pędziła wśród traw, docierając po chwili do gładkiej, asfaltowej drogi, a potem pomknęła nią na wschód. Tempo nie było jednak oszałamiające i Lata nie mieli trudności ze skrytym śledzeniem konwoju.

— Moglibyśmy ich zakłuć na śmierć — powiedziała Vistaru tęsknie.

— A ile ci zostało? — rzuciła Hosuru. — Ja użyłam żądła już trzykrotnie. Jestem prawie sucha.

Sytuacja nie była więc zbyt dobra.

Obserwowali teraz uważnie mieszkańców Olborn i ich powóz. Stwory miały mniej więcej 180 centymetrów wzrostu, niemal całe ich ciało było pokryte czarnym futrem, na które nakładały coś w rodzaju workowatych spodni i koszul bez rękawów z wyszytymi znakami na piersi. Ich długie, czarne ogony wydawały się bezużyteczne. Gładkie kocie ciało było wyposażone w muskularne ręce i nogi. Było widać, że są z natury dwunogami i wyprostowana pozycja nie przysparza im kłopotów.

Małe zwierzęta pociągowe stanowiły coś zupełnie innego. Wyglądały jakoś smutno, patetycznie i dziwnie nie na miejscu. Ich zadnie nogi były o jakieś 20 procent dłuższe od przednich. Wzrostem nie przekraczały metra, a długie wygięte szyje pozwalały im patrzeć na wprost. Miały uszy nieproporcjonalnie długie w stosunku do wymiarów głowy i były pozbawione ogona. Całe ich ciało pokrywało miękkie, jednolicie szare futro.

Woźnica poganiał je, niemiłosiernie smagając batem. Ciężar, który musiały ciągnąć, był zbyt wielki, wzięwszy pod uwagę ich liczbę i rozmiary. Jakoś im jednak szło, kłusowały z wozem, wspomagane co nieco gładką nawierzchnią drogi.

Wreszcie skręciły w stronę wspaniałej posiadłości — naprawdę wspaniałego pałacu, którego podjazd w kształcie podkowy oświetlały latarnie. Również wejście rozjaśniały latarnie, ukazując uzbrojonych w strzelby strażników odzianych tak samo jak ci, którzy pilnowali karety. Powóz zatrzymał się, a eskorta wyskoczyła bardzo sprawnie. Frontowe drzwi były otwarte, po chwili pojawiły się w nich dwa kolejne „koty”, które ostrożnie wyjęły z powozu duży czarny przedmiot.

To była Mavra Chang, sprawiająca wrażenie sztywnej jak deska.

— Nie żyje? — zmartwiła się Hosuru.

Vistaru potrząsnęła głową.

— Nie, gdyby nie żyła, nie obchodziliby się z nią tak ostrożnie. Pewnie ją naszpikowali narkotykami.

— I co teraz? — spytała Hosuru.

Vistaru zastanawiała się przez chwilę.

— Po pierwsze musisz wrócić, opowiedzieć Renardowi, co zaszło, i gdzie teraz jesteśmy — musisz jakoś opisać to miejsce. Potem musisz mu pomóc znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby na chwilę wylądować. Ja zostanę tu na czatach, postaram się zorientować, gdzie ją umieszczą. Jutro musimy ją wydostać, choćby nie wiem co.

\* \* \*

Mavra powoli odzyskiwała przytomność, przez dłuższy czas nie mogła się jednak zorientować w swoim położeniu. Rozglądała się dookoła, stwierdzając przy okazji, że nie może poruszać głową, tylko wodzi oczami. Zresztą nie była w stanie ruszać niczym.

Stała sztywno, oparta lekko o ścianę. Pomyślała, że jej ręce i nogi zostały unieruchomione, ale nie była tego całkowicie pewna.

Najwyraźniej umieszczono ją w stajni. Śmierdziało zwierzęcymi odchodami i zgniłą słomą, na ścianach wisiała uprząż o dziwnym kształcie.

Zrobiła wysiłek, by się rozejrzeć, ale środek, którym ją nafaszerowali, okazał się naprawdę skuteczny. Przez chwilę zdołała jednak zobaczyć jedno z tych zwierząt. Wyglądało raczej dziwnie. Nie, właściwie nie — pomyślała — przecież wszystko na tym zwariowanym świecie było dziwaczne. Inaczej jednak nie mogła tego określić, tak bardzo bowiem ów stwór przypominał jej zwierzę pociągowe ze światów zamieszkałych przez ludzką rasę.

Bardzo przypominało miniaturowego muła. Czarny nos, duży kanciasty pysk, a do tego te ośle uszy, jakby za wielkie w stosunku do całego łba. Bardzo długa szyja, niemalże zbyt długa, osadzona ukośnie na niewielkim korpusie, szczupłe przednie nogi, wyraźnie krótsze niż tylne, z charakterystycznie wielkimi udami i niewiarygodnie cienką dolną częścią.

A do tego te smutne, brązowe oczy.

I szramy; niektóre od bicia, inne od jakichś innych, nieznanymi narzędzi.

Do pomieszczenia weszło trzech tubylców, dwóch w czarno-złotym stroju, trzeci zaś nosił coś w rodzaju korony oraz długi złoty łańcuch z zawieszonym na nim sześciokątnym brelokiem. Był ubrany w szkarłatną szatę z workowatymi złotymi szarawarami. Wyglądał na kogoś ważnego, choćby z racji wieku — poruszał się powoli, a w jego czarnym futrze białą tu i ówdzie siwe pasemka.

Wszedł do środka, niemalże zderzając się z małym mułem. Warknął i obił go okrutnie, nie chowając pazurów. Zwierzę przyjmowało razy bez skargi, wyraźnie jednak cierpiąc; Mavra dostrzegła głębokie, krwawiące bruzdy. Biedne bydlę podskoczyło i wycofało się. A więc taki to był naród — okrutny, gruboskórny — pomyślała.

Stary spojrzął jej teraz w twarz.

— A więc, szpiegu? Obudziłaś się, co? Dobrze! — Odwrócił się do pozostałych. — Pilnujcie jej. Lepiej będzie, jak ruszymy. Jej kompani mogą ją próbować odbić, musimy się więc pośpieszyć.

Mavra, słysząc te słowa, poczuła ulgę; a więc pozostałej trójce udało się uciec! Była pewna, że jakoś ją stąd wydostaną. Była im przecież potrzebna.

Czuła się jak wańka-wstańka z ołowiem w nogach. Wsadzili ją na grzbiet jednego z małych mułów, na proste siodło. Wielki facet poprowadził zwierzę dróżką, odchodzącą z tyłu domu w stronę ciemnej kępy drzew. Dwóch strażników krępowano jej ruchy trochę niepotrzebnie, bo i tak nie była do nich zdolna.

Vistaru, obserwująca sytuację z góry, niemal przegapiła moment wyjścia konwoju. Kobieta i jej trzech kocich prześladowców mignęło jej za domem, kierując się do lasu. Śledząc ich, próbowała odgadnąć, dokąd zmierzają.

Około dwóch kilometrów w dole las ustąpił miejsca szerokiej polanie. Była widoczna na niej duża kamienna budowla, która zdawała się wykuta w zboczu niewielkiego pagórka. Czekali tam dwaj następni strażnicy, zapalając latarnie po obu stronach sześciokątnego wejścia. Vistaru oceniła, że nie są to Wrota Strefy. Wszystko wskazywało na to, że była to miejscowa robota.

Przez chwilę próbowała się domyślić, co jej ta konstrukcja przypomina. Nagle uświadomiła sobie: starożytna świątynia. Ołtarz. Czyżby składano tu ofiary?

Zawróciła, lecąc jak mogła najszybciej tam, gdzie zostawiła Renarda i Hosuru. Nie było czasu do stracenia.

Kiedy dojechali do sześciokątnego otworu, zdjęli ją z wózka i ostrożnie przenieśli do środka. Była tam izba, która wyglądała jak poszerzona naturalna jaskinia wypłukana w wapieniu. Wzdłuż dość szerokiego korytarza prowadzącego do głównej komnaty płonęły latarnie.

Nie ulegało wątpliwości, że była to naprawdę świątynia. Było miejsce, gdzie mogli stać wierni, barierka, a za nią stoły ustawione po obu stronach dużego żółtego kamienia, który zdawał się wyrastać ze skalnej ściany. Wydawało się, że oszlifowano go w niezmiernie skomplikowany wzór: miliony płaszczyzn żyły jakby własnym życiem, niesamowicie odbijając światło latarni. Na obu ścianach umieszczono wykute w czystym złocie sześciokątne symbole.

Arcykapłan — a teraz już było wiadomo, że nim właśnie był — wszedł przodem, zapalając obrzędowe świece, umieszczone po sześć w świecznikach. Następnie przeszedł za barierkę. Widząc, że przygotowania zostały ukończone, ski-

nał zadowolony na strażników, by ją przenieśli dalej. Ci umieścili ją naprzeciw dziwnego żółtego kamienia.

— Rozbierzcie ją — rzucił kapłan, a strażnicy sprawnie zdjęli z niej koszulę z czarnego materiału, czarne spodnie i buty. Nagle zrobiło się lodowato zimno.

Była naga.

Strażnicy cisnęli ubranie za barierkę ołtarza. Jakże pragnęła teraz móc użyć choćby niektórych z gadżetów ukrytych w butach i pasie, albo choćby wypróbować na nich siłę jadu ukrytego pod paznokciami. Coś jednak, na co nie miała wpływu, nie pozwalało jej zrobić najmniejszego ruchu.

Kapłan zbliżył się teraz do niej, pokazując im, by ją zwrócili ku niemu. Jego żółte kocie oczy płonęły niesamowicie w świetle latarni.

— Szpiegu — rzekł zimnym, rzeczowym tonem, bez śladu litości czy współczucia. — Wysoka Rada Kapłanów Błogosławionej Studni uznała cię za winną — ciągnął, skłaniając lekko głowę, kiedy wymawiał pierwsze słowa. Zrobił poziomy ruch prawą ręką, a ona odzyskała czucie w głowie. Oblizwała usta, wiedziała, że odzyskała również mowę.

— Nie było żadnego procesu i doskonale o tym wiesz! — zaprotestowała chrapliwie. — Nie miałam szans, by cokolwiek powiedzieć.

— Wcale nie powiedziałem, że byłaś sądzona — zauważył kapłan — ale tylko, że zostałaś uznana za winną. Nie ma żadnych okoliczności łagodzących. Poganie pukają do naszych drzwi od północy, inni bezecni poganie w okrutny sposób mordują dziesiątki tysięcy wybrańców Studni na południu. I teraz pojawiaasz się ty. Oczywiście nie jesteś z Olborn. Nie przybywasz tu również na zaproszenie lub za zgodą Wysokiej Rady Kapłanów Błogosławionej Studni. — Znowu to lekkie, pełne atencji skłonienie głowy. — Jesteś po prostu szpiegiem, dlatego pytam cię: czy w jakikolwiek sposób możesz niepodważalnie dowieść swej niewinności?

Cóż za doniosłe pytanie! — pomyślała. Udowodnij, że się nie uśmiechnęłaś. Udowodnij, że nie zabiłaś swojej matki, której sąd ani nie widział, ani o niej nie słyszał. — .Wiesz dobrze, że nikt nie potrafi udowodnić, że kimś nie jest — odparła.

Skinął głową.

— Oczywiście. Ale w końcu istnieje prawo, które ostatecznie rozstrzyga.

— A więc macie zamiar mnie zabić — powiedziała raczej, niż spytała.

Kapłan wydawał się naprawdę wstrząśnięty. Mavra zastanawiała się, jak mogła kiedyś lubić koty.

— Ależ oczywiście nie, nie zabijamy, chyba że w obronie własnej. Wszelkie życie pochodzi z Błogosławionej Studni i nie można go tak łatwo odebrać. Skoro nie odebrałaś nikomu życia, w przeciwieństwie do twoich kompanów, również i my nie możemy ci odebrać twego.

Obie części wypowiedzi kapłana trochę ją pokrzepiły. Jeżeli będzie żyła, to zawsze będzie jakaś nadzieja, a myśl, że tamci wysłali do nieba trochę tych religijnych fanatyków, też nie była jej niemiła.

— Studnia, w swojej nieskończonej mądrości i miłosierdziu — wyjaśnił kapłan tonem, jakby odprawiał nabożeństwo — dała mieszkańcom Olborn bardziej sprawiedliwy środek sądu ostatecznego — ostatecznego, absolutnego i rozstrzygającego. Kamień, przed którym stoisz, jest jednym z sześciu podobnych, ustawionych w pobliżu sześciu narożników Olborn. One to właśnie stanowią dowód uprzywilejowanej pozycji, jaką Błogosławiona Studnia przydała mieszkańcom Olborn. Jego moc pochodzi z samej Studni. Tego, co on uczyni, nie można już nigdy odwrócić.

Znowu zaczęła się denerwować kierunkiem, jaki przybierała ta przemowa. Pomyślała o Renardzie, tkwiącym teraz w ciele zupełnie innego stworzenia. Co do cholery, o co tu chodzi? — pomyślała.

— Studnia, w swojej nieskończonej mądrości — ciągnął kapłan — dostrzegła, że Jej Naród Wybrany zamieszkuje surowy kraj, bogaty, ale pozbawiony zwierząt, które mogłyby pomóc Narodowi Wybranemu zorać tę żyzną ziemię, przemieszczać ciężary, obracać koła czerpalne. Dlatego właśnie mamy Święte Kamienie. Kiedy przestępca zostaje oskarżony, obojętnie — obcy czy tutejszy — zostaje doprowadzony przed oblicze jednego z Wysokich Kapłanów Błogosławionej Studni, a następnie, w jego towarzystwie, do Błogosławionego Kamienia. Jeżeli jesteś niewinna, nic ci się nie stanie, będziesz mogła bez przeszkód ruszyć swoją drogą, chroniona Pieczęcią Błogosławionej Studni. Jeśli jednak jesteś winna, wymierzy ci sprawiedliwość — przerwał na chwilę. — Widziałaś tych kastratów, ciągnących wóz, na którym tu przyjechałaś?

Pomyślała przez chwilę. Małe muły z długimi uszami i smutnymi oczami.

— Tak — odpowiedziała, zaciekawiona, ale i pełna najgorszych przeczuć. Gdzie do cholery podziewali się Lata z Renardem?

— Są pozbawione płci, wyzbyte wszelkiej radości. Zupełnie łagodne, nie mogą nikomu zaszkodzić, muszą słuchać naszych rozkazów. Jeżeli okażesz się winna, zamienisz się w takie stworzenie, skazane na służbę u mieszkańców Olborn do końca swoich dni.

Zaniemówiła, wstrząśnięta, nie chcąc uwierzyć w to, co usłyszała.

— Chcesz powiedzieć, że te muły — to znaczy... wszystkie — były kiedyś ludźmi?

Kapłan poruszył głową.

— Tak, właśnie tak. — Odwrócił się teraz w stronę strażników. — Trzymajcie ją mocno. — Potem odwrócił się ponownie do Mavry. Czują, jak mocne dłonie ściskają jej ręce powyżej nadgarstków. Kapłan znowu zamachał rękami i Mavra poczuła, że paraliż ciała ustępuje. Tak jak przypuszczała, nogi miała związane.

— Przytknijcie jej ręce do Świętego Kamienia! — rozkazał kapłan, a jego głos rozniósł się echem po całej jaskini. Chociaż próbowała się wyrwać, nie miała większych szans, kiedy strażnicy przycisnęli jej dłonie do szlifowanej żółtej powierzchni kamienia.

Przez jej ramiona od dłoni przebiegło coś na kształt silnego, palącego wstrząsu elektrycznego. Wrażenie było tak silne, a ból tak potężny, że wrzasnęła i oderwała się od tego odrażającego przedmiotu.

— To Mavra! — krzyknęła Vistaru. — Dalej, szybko! — zawołała do Hosuru i Renarda, którzy rzucili się do przodu. Musieli ruszyć teraz, choćby drogę zagradzała im cała armia.

W komnacie kapłan, uśmiechając się, nakazał:

— Powtórzyc! — Tym razem wstrząs i ból przeszył ją od bioder do czubków stóp, dziwnie rozładowując się w uszach. Znowu krzyknęła, próbując się wyrwać.

— Jeszcze raz! — polecił kapłan, ale wykonanie komendy przerwał atak Lata i Agitar. Renard wydawał z siebie mrożące krew w żyłach okrzyki, które odbijały się upiornym echem od ścian jaskini.

Kapłan odwrócił się z wyrazem zdumienia na twarzy. Nie mógł przyjąć do wiadomości faktu, że ktoś mógłby wtargnąć do najświętszego miejsca tych religijnych fanatyków. W tym był podobny do wszystkich innych nawiedzonych. Stał tam jak skamieniały, ale strażnicy nie mieli zamiaru spokojnie się przyglądać. Puścili Mavrę i chociaż nie mieli pistoletów, dobyli paradnych mieczy, w które byli uzbrojeni na tę okazję.

Skupiając całą uwagę na strażnikach i kapłanie, Renard i Vistaru krzyknęli unisono:

— Uciekaj, Mavra! Zabieraj się stąd! My się tym zajmujemy!

Jeden ze strażników ruszył na Renarda z mieczem, licząc na moment nieuwagi.

Agitar uśmiechnął się ponuro, wyciągając lancę, jakby sposobiał się do pojedynku. Strażnik popatrzył na ten cienki, powleczony miedzią oręż i zarechotał. Natarł mieczem, dając Renardowi sposobność przytknięcia swojej lancy.

Posypały się iskry, a strażnik zawył i upadł na posadzkę jaskini. Jego dłoń, w miejscu, gdzie ścisnęła rękojeść, skwierczała od żaru.

Vistaru z resztką swego jadu rzuciła się na drugiego strażnika, włączając swoje wewnętrzne źródło światła. Próbował ugodzić ją mieczem, ale chybił. Vistaru zrobiła w powietrzu pół obrotu i pogrążyła żądło w jego brzuchu. Strażnik zawył, a potem błyskawicznie stęzał, waląc się na ziemię z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami.

Kiedy uścisk strażników zelżał, Mavra cała rozdygotana, ze zmaconym umysłem, miała jednak jeszcze tyle zdrowego rozsądku, by posłuchać Renarda i rzucić się do ucieczki. Naga, jeszcze sztywna, nie na wiele mogła się przydać w walce.



Ponieważ kręciło jej się jeszcze w głowie, zmykała na czworakach. Głowa ciążyła jej, nie mogła jej unieść, ale zdołała skierować się w stronę wyjścia, niemal zderzając się ze strażnikiem, walącym się na ziemię po zetknięciu z elektryczną laną Renarda. Chciała się posuwać szybciej, ale bolały ją plecy, a zwisające włosy dodatkowo utrudniały orientację. Potykając się o ciała obu strażników, rozpaczliwie usiłowała doczołgać się do zbawczej ciemności.

Ocknęła się dopiero w krzakach, łapczywie chwyając oddech i próbując zebrać myśli. Popatrzyła jeszcze na wejście do jaskini, próbując pokonać ból w karku.

Zastanawiała się, dlaczego ciągle nie może się podnieść. Było ciemno, ale obie wyposażył ją przecież w umiejętność widzenia po ciemku, mogła się więc sobie przyjrzeć.

Jej szczupłe, gibkie ciało wydawało się nie zmienione, para niewielkich piersi zwisała w tej pozycji w dół, kołysząc się lekko.

Moje ręce! — pomyślała nagle, przerażona. — Co oni zrobili z moimi rękami?

Uczucie było przerażające.

Nie miała już rąk. Miała teraz przednie nogi — cienkie, ze stawem kolanowym zginającym się tylko w jedną stronę. Zakończone były doskonałymi w kształcie, sporymi kopytami z szarobiałej substancji, przypominającej paznokcie. Nie dostrzegła śladów owłosienia; nogi były tego samego cielistego koloru, co reszta ciała, skóra w dalszym ciągu przypominała skórę ludzką. Nogi należały jednak niewątpliwie do małego muła.

Sięgając wzrokiem do tyłu, dostrzegła to, czego się spodziewała, i westchnęła z rozpaczą. Teraz rozumiała, dlaczego nie mogła się podnieść i dlaczego nie mogła utrzymać głowy w odpowiedniej pozycji. Przednie nogi były o dobre 20 procent krótsze od tylnych. Muł nadrabiał ten feler długą szyją; głowa i kark człowieka po prostu nie pasowały do tych nóg.

Renard i Lata wypadli teraz z jaskini. Chociaż nie mogła ich widzieć, usłyszała ich i zawołała po chwili wahania. Podbiegli natychmiast.

— Mavra, szkoda, że nie widziałas gęby tego starucha, kiedy... — zaczął Renard rozradowany, ale urwał, gdy Mavra, wychodząc z krzaków, pojawiła się w świetle latarni. Cała trójka zaniemówiła z otwartymi ze zdumienia ustami. Dopiero teraz zobaczyli, co tamci zrobili z Mavrou Chang.

Korpus kobiety osadzony był na nogach muła w ten sposób, że twarz spoglądała w dół, a biodra na wysokości metra o 20 centymetrów przewyższały ramiona. Z bioder wyrastała para doskonale ukształtowanych zadnich nóg muła, ramiona były podparte krótszymi, przednimi nogami. Zarówno barwa skóry, jak i owłosienie pozostały jednak całkowicie ludzkie, tak że nie było widać różnicy pomiędzy korpusem a nogami, jeżeli nie liczyć tych kopyt przypominających paznokcie na wszystkich czterech nogach. Ludzkie uszy ustąpiły miejsca długim na metr uszom osła, również nie owłosionym, pokrytym ludzką skórą. Włosy kobiety przechodzi-

ły na grzbiecie w grzywę tego samego koloru, sięgającą mniej więcej do miejsca, z którego po drugiej stronie zwisały w dół piersi. Ponieważ korpus Mavry nie uległ zmianom, trochę powyżej bioder, u końca kręgosłupa wyrastał koński ogon, zasłaniający odbyty.

Lata i Renard byli bliscy łez, przyglądając się ze współczuciem tej metamorfozie.

— O, mój Boże! — wykrztusił wreszcie Renard i natychmiast tego pożałował. Ale co tu było można powiedzieć?

Przesunęła się trochę, odwracając głowę tak, że mogła mu spojrzeć prawie w twarz. Włosy w niesamowicie idiotyczny sposób zasłaniały jej twarz. Głos był głosem dawnej Mavry: równy, niski, pełny, ale z wyrazu oczu, kiedy popatrzyła na nich, wykręcając głowę, można było poznać, że w środku tkwiło coś jeszcze.

— Wiem — powiedziała. — Tak sobie to właśnie wyobrażałam. Za pomocą tego kamienia przerabiają ludzi na małe muły. Dotknęłam go dwa razy, a potem wyrwałam się, gdy się pojawiliście. Powiedzcie mi: czy coś jeszcze się zmieniło?

Łykając łzy, Renard usiadł przy niej i delikatnie opisał jej stworzenie, którym teraz była, włączając uszy i dziwacznie ułokowany ogon.

Wydawała się teraz jakaś obca i egzotyczna, a Renardowi również erotyczna. Zagadkowe i niekoniecznie nieatrakcyjne małe stworzenie — budzące uczucie i litość zarazem. Mimo wszystko był to jednak niepraktyczny, źle zaprojektowany stwór, raczej niezwykły w tym świecie zamieszkałym przez 1560 ras.

— Może powinnam tam wrócić i przejść całą procedurę do końca? — zasugerowała, licząc w duchu, że szorstkość w jej głosie zamaskuje jej prawdziwe uczucia.

— Ja bym tego nie robiła — powiedziała Vistaru łagodnie, współczująco. Mavra zaczynała mieć już dosyć tego tonu. — Widziałas, jak oni traktują te muły? To wpływa i na rozum, człowiek staje się bydlęciem, w pół drogi do śmierci.

Renarda dopadła nagle pewna myśl.

— Posłuchajcie! — powiedział, podniecony. — Przecież to nie może być zmiana trwała!

— Ale kapłan powiedział, że jest nieodwracalna — odpowiedziała Mavra. — Powiedział to tak lekko, że mu uwierzyłam.

— Nie! Nie! — zaprotestował Agitar. — Nie przeszłaś jeszcze przez Wrota Studni!

— Ale ten kapłan powiedział, że potęga kamienia płynie ze Studni — odparła.

— To prawda — wtrąciła Vistaru — ale przecież tak jest ze wszystkim w Świecie Studni. Pewnie nigdy się nie dowiemy, skąd się wziął ten kamień i jakie jest jego działanie. Z pewnością zastępuje im coś, z czym mieli do czynienia na swojej planecie, i to wszystko. Tak samo jak magiczne sześciokąty, które sprowadzają się do ograniczonego „podłączenia” do potencjału Studni dla wyrównania czegoś w ich projektowanych siedzibach. W dalszym ciągu jednak nie zostałaś za-

klasyfikowana przez Studnię, a więc zmiany, jakie wprowadził kamień, nie będą miały na to wpływu.

Mavra poczuła, że wraca jej nadzieja.

— A więc nie na zawsze — niemalże odetchnęła, najwyraźniej z ulgą. Nagle poczuła się nieswojo, że dała po sobie coś poznać. Westchnęła głęboko.

— Nie, nie na zawsze — zgodził się Renard. — Posłuchaj, a może trzeba by od razu ruszyć w stronę Wrót Strefy? Na pewno nie w Olborn, ale może w innym sześcio kącie? Na pewno gdzieś znajdziemy. Możemy cię przez nie przepuścić tak samo, jak kiedyś przepuściliście mnie.

Mavra gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie, nie, jeszcze nie. Może potem. Jak tylko się da. Pamiętaj jednak, że sześciokąty, które nas otaczają, toczą wojnę. Również i ten sześciokąt prowadzi wojnę. Zostawimy to sobie na normalne czasy. Musimy dotrzeć do Gedemondas.

— Ja mogę to załatwić! — zaprotestowała Vistaru.

Mavra znowu potrząsnęła głową.

— Niestety nie możesz. Nie będziesz mogła rozpoznać zespołu napędowego, nie wiesz również, w jaki sposób należy go w razie potrzeby zniszczyć. Poza tym nigdy mi się nie zdarzyło wycofać, jeśli podjęłam się jakiegoś zadania. Chcieli mnie do tej roboty, a ja się zgodziłam. Potem — Wrota Strefy — może w Gedemondas, jeżeli w ogóle będą z nami chcieli gadać, albo w Dilli po sąsiedzku.

— Bądź rozsądna, Mavra! — zaprotestował Renard. — Popatrz na siebie! Nie widzisz dalej jak na trzy metry. Nie możesz się wyżywić, twoje nagie ciało nie jest chronione przed wpływami zewnętrznymi, poza tym znajdujemy się w kraju, którego mieszkańcy tylko czekają, żeby cię doprowadzić do kamienia i dokończyć roboty. — Podniósł się, popatrzył na nią i delikatnie odsunął na bok jej koński ogon. — Nawet z małą potrzebą będziesz miała kłopoty. Pochwę masz tam, gdzie powinien być odbyty, a ten jeszcze wyżej. Budowa człowieka przystosowana jest do robienia tego na siedząco albo w kucki. Te nogi nie pasują do twojego ciała. Tak nie możesz żyć!

Spróbowała popatrzeć mu uczciwie w oczy, lecz jej się nie udało. Było to zbyt bolesne.

— Ale będę musiała — powiedziała uparcie. — Jeśli się zgodzisz – z tobą. Jeśli nie — bez ciebie. Możesz być moim przewodnikiem i pomocnikiem, jeśli zechcesz, zwłaszcza kiedy będę musiała popatrzeć gdzieś dalej, albo coś zjeść, albo kiedy będzie mnie trzeba podetrzeć. Jeśli się nie zgodzisz — pójdę i tak sama. Nie opuściłam cię, kiedy się zgubiliśmy, a ty pod wpływem gąbki potrzebowałeś opieki jak osesek. Wtedy się nie poddałam, nie zrezygnuję i teraz.

— Słuchaj, ona ma rację — powiedziała Hosuru spokojnie. — W każdym razie co do tego, że najpierw trzeba wykonać zadanie. Tam w Gedemondas będą się wazyć losy całego świata. Potrzebują jej tam. Jeżeli jest choćby najmniejsza szansa, by tam trafiła, musimy z niej skorzystać.

— W porządku — powiedziała Vistaru z powątpiewaniem, próbując dostrzec skazę w logicznym wywodzie Hosuru. Zwróciła się do Mavry: — Jeśli masz zamiar się upierać, pójdziemy tam wszyscy. Wydaje mi się jednak, że jeśli pożyczysz dzień czy dwa w tym stanie, możesz się łatwo wyleczyć z tej brawury. Jeśli poczujesz, że nie dasz rady, nie wstydz się, nie rób sobie wyrzutów, że okazałaś słabość czy zawiodłaś, po prostu powiedz nam, a my weźmiemy cię do Wrót Strefy. Ja w każdym razie na twoim miejscu nie miałabym skrupułów.

Mavra zaśmiała się gorzko.

— Wstyd czy słabość nie są mi straszne, ale szlag mnie trafia, kiedy się nie sprawdzam. — Poruszyła się niespokojnie. — Czy ktoś wziął moje ubranie? Może za pomocą wojskowego niezbędnika Renarda coś się z tego da zrobić? Poza tym musimy się stąd wynosić. Wcześniej czy później ktoś zauważy, że nie ma arcykapłana, i podniesie wrzask. Dobrze byłoby wtedy być daleko stąd.

Renard podniósł ręce.

— Mam twoje ciuchy, potem je obejrzymy. A teraz jazda! Tędy! — W jego głosie brzmiała rezygnacja i brak zrozumienia dla jej motywów.

I pewnie nigdy tego nie zrozumie — pomyślała Mavra. — Ani on, ani nikt z nich.

\* \* \*

Nikt ich nie ścigał, najwidoczniej szok spowodowany jatką w jaskini był zbyt wielki dla mieszkańców Olborn.

Mavra przekonała się, że może się poruszać truchcikiem na podobieństwo małych mułów. Lewe nogi, hop, prawe nogi, hop, i dalej, i szybciej. Fakt kompletnego braku czucia w kopytach nie był taki zły, ale reszta ciała czuła normalnie, jak goła skóra, i to było mniej przyjemne. Lata pomagali jej, jak mogli, polatując przed nią niczym wysunięte oczy i uszy, co pozwalało jej rozwinać niejaką prędkość bez ryzyka skręcenia karku w starciu z jakimś drzewem.

Do rana posunęli się trochę. Renard dosiadł Domy, którą dotąd prowadził, i mógł teraz badać teren. Wydawało się im, że sprawy ułożą się bardziej pomyślnie, niż można by się spodziewać, sądząc po opinii Olborn.

Jeśli chodzi o „Wybrańców Studni”, było oczywiste, że zdrowo im się dostało. Natknęli się na straż graniczną, rozstawioną wokół terenów, gdzie ulokowano Święte Kamienie; mieli po prostu pecha, że wybrali właśnie to miejsce na obóz. Reszta kraju stała otworem, z wyraźnymi śladami ciężkich działań zbrojnych: wojskowe wozy ciągnięte przez zaprzęgi mułów dźwigały zapasy, wielkie działa i pociski na południe; ku północy płynął strumień uchodźców.

Trzymali się otwartego terenu, teraz po większej części opustoszałego. Tutejsi mieszkańcy walczyli na południu lub strzegli Świętych Kamieni i Wrót Strefy. Mogli sobie pozwolić na odprężenie i rozeznanie się w sytuacji.

Ponieważ rozbijanie obozu zawsze było niebezpieczne, nie rozładowywali juków Domy i całe zapasy mieli zawsze pod ręką. Przede wszystkim jedli; dla Mavry było to upokarzające doświadczenie, do którego musiała jakoś przywyknąć. Zaczęli ją karmić łyżeczką, ale stawiała opór. Otworzyli puszkę z konserwą, którą Renard podgrzał i przełożył do drewnianej miski, dodając trochę rozdrobnionych owoców. Stając na zadnich nogach i klękając na przednich, mogła jeść na psi czy koci sposób. Nie było to jednak wcale łatwe — nogi, i tak cienkie, były szczególnie wątłe właśnie w okolicy kolan, przesuwwały się nie w tę stronę, co trzeba, a przekłeta miska stale jej uciekała. Poradziła sobie jednak nie najgorzej. Picie odbywało się dwoma technikami: zwierzęcym chleptaniem albo zanurzaniem twarzy w naczyniu i wciąganiem wody.

Było to trudne, ale jakoś szło, w każdym razie jej to wystarczało.

Vistaru przymocowała jej włosy elastyczną opaską z tyłu pomiędzy ogromnymi oślimi uszami, dzięki czemu nie zasłaniały jej twarzy i nie wpadały do jedzenia. Kucając na tylnych nogach z wyprostowanymi przednimi mogła nawet popatrzeć do przodu. I ta pozycja była bardzo niewygodna, ale się tym nie przejmowała. Przynosiła ulgę szyi, a poza tym mogła się rozejrzeć.

Większy problem stanowiło ubranie. W Olborn było trochę chłodnawo, a w wyższych partiach Gedemondas mogło być wręcz mroźno.

Po obcięciu rękawów zdołali jej naciągnąć koszulę. Więcej kłopotów było ze spodniami, które i tak niczego nie zakrywały porządnie. Vistaru oplotła jej nagi tułów szerokim pasem, co poprawiło trochę jej położenie. Całe to ubranie wyglądało dziko i głupio, i nosiło się je dziwnie, a spodnie ciągle się zsuwały. Lepsze to jednak było niż bezbronna nagość. Mieli nadzieję, że długi płaszcz przygotowany na Gedemondas będzie lepszym okryciem, zwłaszcza dla tego niemożliwego ogona. Liczyli również, że obcięte rękawice będą jakoś chronić odkrytą skórę przed śniegiem Gedemondas.

O dziwo, Mavra poczuła się teraz lepiej. Przeszkody były po to, by je pokonywać, to była część uroku całej tej roboty. Zauważyli niepojętą poprawę jej nastroju.

Najgorsze było spanie. Bydłęce nogi zaprojektowano do spania na stojąco, w przeciwieństwie do ludzkiego tułowia. Nie mogła już sypiać na brzuchu. Jedyne, co jej zostało, to spanie na boku, ze sporymi trudnościami.

W tym czasie wojna przybrała dla Olborn zdecydowanie niepomyślny obrót. Od czasu do czasu spotykali przerażonych uchodźców. Nie wyglądali już oni tak groźnie czy dufnie jak ci, których spotkali w siedzibie arcykapłana. Cały ich świat rozpadał się, a wraz z nim ich światopogląd i wyobrażenie o ich pozycji w tym świecie. Gdy we wszystko zwątpili, robili nieco smutne i patetyczne wrażenie. Napotykanymi mieszkańcy stale próbowali poddać się Renardowi i jego towarzyszom.

Trochę problemów nastęrczały ruchome patrole wojskowe. Większość z nich była złożona z dezterterów, pozbawionych teraz kompletnie hamulców i ograniczeń jakie nakładało na nich wychowanie i przekonanie o szczególnej, uprzywilejowanej pozycji, którą dawała im Studnia. Patrole te próbowały się dawać we znaki obcym wędrowcom, ale wkrótce zrezygnowały, kiedy zapoznały się z siłą jadu Lata i naładowanym energią Renardem.

Mavra stwierdziła ze zdziwieniem, że nikt jej się specjalnie nie przygląda. Wyglądało na to, że dla tego ludu odciętego od otoczenia była po prostu jeszcze jednym dziwacznym, obcym stworem.

W sumie jednak poruszali się dość powoli i zaczęli intensywnie szukać sposobu załadowania Mavry razem z Renardem na Dome. Podstawowym problemem były wielkie skrzydła, które musiały mieć pełną swobodę ruchu i które sięgały prawie na całą długość ciała tego wielkiego zwierza.

Eksperymenty te przyniosły w końcu kompromis, który był praktyczny i jednocześnie możliwy do przyjęcia dla rumaka. Pozbyli się zbędnych zapasów, Lata wzięli wszystko, co się dało, do swoich toreb. Z obciążeniem musieli się poruszać wolniej, ale również Doma straciła nieco ze swej prędkości. Instrumenty wyrzucili, Renard twierdził, że i tak ich nie używał. Zrobiło się trochę luźniej i Mavra mogła sięść z rozkraczonymi nogami u nasady szyi pegaza, a Renard się wcisnął tuż za nią.

Przymocowano ją paskami odciętymi od wyrzuconych juków. Doma jakoś zniosła ten dodatkowy ciężar na karku. Jedyne kłopot polegał na tym, że musieli ją dźwigać we trójkę, kiedy Doma przyklękła.

Wreszcie mogli latać i od razu poczuli, jak drogi ubywa. Obniżyli lot na południe od rogu sześciokąta, unikając spotkania z następnymi fanatykami, i przelecieli nad Palim.

Mieszkańcy sześciokąta przyglądali się im nerwowo, ale nie próbowali ich zaczepić czy przeszkadzać. Przypominali bardzo gigantyczne, długowłose słonie. Ta powłoka była jednak myląca: był to naród wysokotechnologiczny, hodujący drzewa i zboża spożywcze na starannie prowadzonych plantacjach. Cały kraj pokrywała siatka elektrycznych linii kolejowych z rozrzuconymi i dziwnymi miejskimi zabudowaniami, przypominającymi wielkie karmelki, skupione w grupy połączone pochylniami. Podróżowali bez przeszkód, Palim najwidoczniej postanowił trzymać się na uboczu konfliktu, który wstrząsał sąsiednimi krajami. Oznaczało to jednak również, że koalicja Yaxa-Lamotien-Dasheen prawdopodobnie wykorzystuje dla swoich celów sieć kolejową na wschodzie.

Mimo że poruszali się trochę wolniej, w ciągu dwóch dni bez mała dotarli do granicy Gedemondas. Nie mogli się pomylić: wielkie góry mroźnego sześciokąta wznosiły się ponad płaską równinę, wdzierając się niczym ściana w krajobraz, widoczne z daleka.

Zostało im zaledwie kilka godzin lotu, kiedy znaleźli stosunkowo niewielki równinny teren już w obszarze Gedemondas. Logika kazała sądzić, że właśnie tutaj będą zmierzać obie posuwające się armie. Miejsce wydawało się czyste, z wyjątkiem kręcącej się drobnej zwierzyny.

Byli zapewne pierwsi, ale czy długo mieli czekać na towarzystwo?

Przejrzeli uważnie mapy. Nie uległo wątpliwości, że Makiem będą lecieli ponad Alestol, prawdopodobnie blisko miejsca, w którym się teraz znajdowali. Yaxa mogli pójść z Palim do ostatniej stacji kolejowej, a potem około trzydziestu kilometrów łądem do północnego skraju równiny. Renard zastanawiał się przez chwilę, czy obie armie się tu pomieszczą.

— Mogą być tu niezłe jatki — powiedziała Mavra ponuro. — Ten, kto przyjdzie później, będzie musiał próbować wyprzeć przeciwnika. Jeśli dojdą równocześnie, starcie będzie jeszcze bardziej gwałtowne. Tak czy inaczej, wygląda na to, że niezadługo ta miła równina będzie zasłana trupami i rannymi.

— Według mapy sześciokąta, w pobliżu tej rozpadliny skalnej jest niewielki schron — zauważyła Vistaru. — Tu właśnie mamy spotkać naszego przewodnika, jeśli tu w ogóle jeszcze ktoś jest.

Mavra próbowała popatrzeć tam, gdzie pokazywała Lata, ale nieszczęsne osadzenie głowy skutecznie jej to udaremniło. Nie sięgała wzrokiem dalej niż na dwa, trzy metry. Zakłęta, rozczarowana, ale ciągle uparta.

Temperatura na równinie wynosiła około 15°C, co było w miarę dogodne, ale wiedzieli, że to długo nie potrwa. Temperatura spadała niemal o dwa stopnie na każde 300 metrów wysokości, a niektóre przełęcze dźwigały się ponad trzy tysiące metrów.

Powoli ruszyli ku schronowi i prawie go minęli. Była to niska buda z kamienia i drewna, wciśnięta między skały, tak stara i zwietrzała, że przypominała raczej część naturalnego krajobrazu niż wytwór istot żywych. Wyglądała na opuszczoną, zbliżali się jednak ostrożnie, niepewni, jakie niespodzianki mogą ich tam jeszcze czekać.

Nagle otworzyły się ze skrzypieniem wielkie drzwi, a w wejściu pojawił się nieznany stwór.

Wyglądał niemal jak kobieta. Długie włosy ściągnięte były w rodzaj końskiego ogona, miał pociągającą, owalną twarz i długie, szczupłe ramiona. Wrażenie człowieka, jakie budził, mąciły jednak małe spiczaste uszy i fakt, że od pasa w dół, poniżej lekkiej kurtki, jaką był okryty, miał ciało konia maści srokatej.

A więc centaur — odezwała się w Renardzie jego natura miłośnika antyku, którego nic tu już nie dziwiło. W istocie — spotkanie z takim stworem nie było tu niczym dziwnym; więcej nawet — czegoś takiego można się było spodziewać.

Półkobieta, zobaczywszy ich, uśmiechnęła się i zamachała ręką.

— Halo! — zawołała przyjemnym sopranem. — Chodźcie tu! Już prawie straciłam nadzieję!

Vistaru się zbliżyła.

— Ty jesteś przewodnikiem z Dilli? — spytała z niedowierzaniem półkobietę, która wyglądała na kilkunastoletnią dziewczynkę.

Centaur skinął głową.

— Jestem Tael. Wchodźcie, rozpalę zaraz ogień.

Kiedy weszli, Tael obrzuciła Mavrę szybkim spojrzeniem, ale nie komentowała jej dziwnego wyglądu. Doma pozostała na zewnątrz, spokojnie żując trawę.

Schron był na pewno budowany z myślą o centaurach — był tu poczwórny boks jak w stajni, podłoga była zasłana słomą, na ceglanej podmurówce osadzono mały piecyk opalany drewnem, którego polana wystawała z kosza obok. Tael wrzuciła kilka szczap do pieca i spaliła kawałek papieru bardzo długą zapałką.

Mieszkańcy Dilli nigdy nie siadali, ciało nie wytrzymałoby nacisku. Reszta rozłożyła się na słomie, Mavra na boku. Miejsca było dość.

Po wymianie zdawkowych uprzejmości Renard wyraził to, co wszystkim chodziło teraz po głowie.

— No cóż, wybacz, Tael, ale... czy nie sądzisz, że jesteś trochę za młoda na taką wyprawę? — zaczął, starając się dobrać słowa w sposób dyplomatyczny.

Kobieta przyjęła to lekko.

— No cóż, przyznaję, że mam dopiero piętnaście lat, ale urodziłam się w górzystym kraju Dilli w górze jeziora; moja rodzina długo polowała i tropiła zwierzynę po obu stronach granicy. Znam każdą ścieżkę stąd do Dilli.

— A jak z Gedemondas? — dopytywała się Mavra.

Tael wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie miałam z nimi kłopotów. Co jakiś czas się pokazują; wielkie białe kształty na śniegu. Nigdy nie podchodzą zbyt blisko i zawsze się wycofują, kiedy iść w ich stronę. Czasami można ich również ujrzeć, jak warczą i ryczą, i w ogóle wydają najrozmaitsze odgłosy, które odbijają się echem wśród gór.

— Czy to jest właśnie ich mowa? — spytała Vistaru.

— Nie sądzę — odparła Tael. — Kiedyś mi się wydawało, że tak, ale kiedy poprosili mnie, żebym była waszym przewodnikiem, wyposażyli mnie w translator i muszę powiedzieć, że nie dostrzegam żadnej różnicy. A więc to nie mowa. Zastanawiam się czasem, czy w ogóle mają jakąś mowę w naszym pojęciu.

— To by było niedobrze — wtrącił Renard. — Jak można się porozumieć z niemową?

Kiwnęła głową.

— Ciągłe mnie to podnieca. Nasi mają chyba największe doświadczenie w próbach nawiązania kontaktu; chciałabym być przy tym, kiedy w końcu coś z tego wyjdzie.

— Właśnie: jeśli się uda — dodała Hosuru z powątpiewaniem.



— Martwi mnie trochę dym z tego urządzenia — wskazała ruchem głowy piecyk. — Nie chodzi o miejscowych, lecz o walczące strony. Przecież muszą być gdzieś niedaleko.

Dziewczyna wyglądała teraz tak, jakby poczuła się nieswojo.

— Już ich widziałam, po prostu mi się przyjrzeni i szli dalej. Trochę latających koni przypominających waszego, trochę naprawdę dziwnych, pięknych stworów z pomarańczowo-brązowymi skrzydłami ważki o rozpiętości trzech metrów albo i większych. Nie lądowali.

Vistaru robiła wrażenie zmartwionej.

— Yaxa i Agitar. Wysunięte patrole. Nie możemy tu długo zostać.

— I nie zostaniemy — odparła Tael. — Ruszamy, kiedy tylko zrobi się jasno, ścieżką górską z tyłu bazy. Przy odrobinie szczęścia dotrzemy do obozu 43 wczesnym popołudniem, stamtąd będziemy już szli wśród śniegów w rozrzedzonym powietrzu.

— Jak wysoko leży ten obóz? — spytał Renard.

— Tysiąc pięćset sześćdziesiąt dwa metry — odparła Tael. — Jesteśmy już jednak na wysokości prawie czterystu metrów. Nawet nie zauważyliście, ale w istocie ta równina nie jest zupełnie płaska!

— Bo do tego miejsca mogliśmy lecieć górą — zauważyła Vistaru. — Możemy latać do wysokości około tysiąca ośmiuset metrów, i o ile dobrze pamiętam to, co mówił Renard, również Doma ma podobny pułap.

— Nie rozwiązuje to jednak sprawy naszej przewodniczce. Na czym polecici? — zapytał Renard.

Tael się roześmiała.

— W porządku. Mówiłam wam, że urodziłam się w górach. Jeśli będziemy mogli nadrobić, to nawet lepiej, ale za obozem 43 latanie może być raczej trudne. Mogę ruszyć dziś wieczorem, tak żeby spotkać się tam z wami rano. W ten sposób będziemy się posuwać jeszcze szybciej. — Spochmurniała i popatrzyła na Mavrę. — Ale będziesz musiała się lepiej ubrać. Zresztą odnosi się to do wszystkich. Gdybyście nabawili się odmrożeń, byłby to naprawdę kłopot.

— Mamy trochę zimowych rzeczy — wyjaśniła Hosuru. — Poza tym, jak rozumiem, mieliśmy coś dostać od ciebie.

Kiwnęła głową, podeszła do boksu i wyciągnęła kilka plecaków z grubej szorstkiej tkaniny. Podnosiła ciężary bez widocznego wysiłku. Może nie mogła latać, ale z pewnością dodawała ekipie to, czego jej najbardziej brakowało — siłę mięśni.

Rozpakowała ekwipunek. Specjalne ciepłe ubrania dopasowane do kształtu Lata, włącznie z przezroczystymi, ale mocnymi, sztywnymi pokrowcami na skrzydła, gruby płaszcz i rękawice z elastycznym uszczelnieniem dla Renarda.

— I to może ci się przydać — powiedziała, rzucając mu kilka małych przedmiotów, które okazały się pokrowcami na kopyta z płaską, talerzowatą zelówką,

która nie tylko chroniła, ale zapewniała również lepsze oparcie dla stóp. Wyciągnęła wreszcie jeszcze inne ubrania, szyte jakby na Lata, ale większe i bez pokrowców na skrzydła. Przyglądała im się z niejakim zakłopotaniem. Były przeznaczone najwyraźniej dla istoty dwunożnej wyposażonej w ręce i stopy.

Mavra pośpiesznie wyjaśniła, co się jej przytrafiło. Dziewczyna spojrzała współczująco i wydawała się bardzo zmartwiona.

— Nie wiem, jak by to można było przyciąć — powiedziała. — Twoje nogi powinny się na śniegu spisywać równie dobrze jak moje, ale musisz mieć jednak jakąś ochronę. Przecież nie masz mojej ochronnej warstwy skóry i sierści — dodała.

— Zrobimy, co się da — odparła Mavra. — Renard będzie musiał prowadzić Domeę, kiedy tam dotrzemy; ja pojedę wierzchem, jak daleko się da. To powinno pomóc.

Tael nadal miała wątpliwości, lecz była tylko przewodnikiem, a nie kierownikiem wyprawy.

Renard podszedł do drzwi, popatrując na niebo. Na razie nie było widać żadnych dziwnych czy nieprzyjaznych stworów, trochę leniwie krążących ptaków i nic poza tym. Wkrótce jednak — kto wie — powietrze mogło się zaroić.

Zastanawiał się, jak daleko są w tej chwili obie armie.

## Granica Palim i Gedemondas

Yaxa podchodzili do lądowania z łopotem ogromnych skrzydeł. Z góry widziało się wielką masę ludzi i sprzętu zgromadzoną nad granicą. Wyglądało to bardzo dobrze, przekonująco.

Była to daleka podróż i omal skończyła się tragicznie. Wielka wałka z trupią główką delikatnie wylądowała i podeszła na ośmiu mackach do przenośnego centrum dowodzenia, ogromnego namiotu cyrkowego rozstawionego jeszcze na terytorium Palim. Żywiołem Yaxa były przestworza; na ziemi wyglądali niezręcznie i sztywno, długie, złożone wzdłuż grzbietu skrzydła utrudniały im zachowanie równowagi. W powietrzu jednak poruszali się z mistrzowską gracją.

Yaxa wszedł do wielkiego namiotu, rozglądając się ze zwykłą niecierpliwością za kimś z dowództwa. W końcu zobaczył kogoś, studiującego wielką mapę z naniesionym położeniem.

Yaxa porozumiewali się ze sobą złożoną kombinacją hałaśliwych dźwięków wydobywanych gdzieś z piersi oraz dziwacznych odgłosów anten i lekkich poruszeń skrzydeł. Ich imiona były nieprzetłumaczalne, dlatego też kiedy mieli do czynienia z innymi rasami, używali przydomków, które często były nonsensowne, ironiczne albo po prostu wariackie, i trzymali się tej praktyki w czasie operacji angażujących więcej ras.

— Zgłasza się Znacznik, Przodownik Sekcji — powiedział przybysz.

Przodownik Sekcji okazał zadowolenie.

— Cieszę się, że wróciłeś, Znaczniku. Zaczęliśmy myśleć, że dostałeś się w ręce wroga.

— Niewiele brakowało — powiedział zwiadowca. — Te cholerne błękitne maluchy ze swoją elektrycznością i latającymi końmi... Cebu są zbyt gruboskórni, żeby się nimi przejmować, ale chociaż konie są powolne i niezręczne, wystarczy dotknięcie, żeby cię załatwili.

Przodownik Sekcji wszystko to dobrze wiedział. Na dobrą sprawę znał pełną fizyczną, psychiczną i techniczną charakterystykę Sojuszu Makiem. Tamci mieli znacznie trudniejszą przeprawę; armia, która przebiła się w takim tempie, pokonując tak zaciekły opór, niewątpliwie musiała wzbudzać respekt.

— Jak daleko są tamci? — dopytywał się dowódca.

— Po drugiej stronie — odpowiedział Znacznik. Oznaczało to przynajmniej 300 kilometrów, całkiem spora odległość, a równina, na której zgodnie z wszelką logiką powinno się rozegrać starcie, leżała mniej więcej o 100 kilometrów na południe od miejsca, w którym się obecnie znajdowali. Będą pierwsi. — Przelot nad Alestol idzie dość wolno. Zresztą, muszą przenosić wszystko, czego potrzebują, na sporą odległość, bez międzylądowania. Ta odległość przewyższa normalny zasięg latających koni albo Cebu. Są często bardzo wyczerpani. Ci, którzy wylądowali, są nierzadko usypiani i pożerani we śnie przez te wielkie tłuste rośliny. Nie należy też lekceważyć tych z Alestol, niektórzy — niewiarygodne — mają nawet translatory, wyposażeni są też w gaz hipnotyzujący. Jeśli taki z translato-rem dostanie Agitar albo Cebu, może ich wysłać do walki ze swoimi ludźmi! — Przodownik Sekcji — płci żeńskiej — zaśmiał się sucho.

— O tak, mogę to sobie wyobrazić. Dostali sporo tych translatorów w Strefie. Cieszy mnie, że wydatki zaczynają procentować. — Zmieniając ton, ciągnął rzeczowo: — Jak długo więc trzeba będzie czekać, aż będą mieli wystarczającą siłę, by ruszyć?

Znacznik-ważka zastanawiał się.

— Przynajmniej dwa, trzy dni. Do tego może jeszcze dwa, żeby dojść do równiny. Razem, powiedzmy pięć dni.

Przywódca Yaxa zamyślił się.

— Jesteś pewien? Jak wiesz, mamy ruszyć dziś po południu; powinniśmy się rozlokować na równinie do jutra wieczór. Pierwszy, wysunięty rzut powietrzem o świcie. Przy odrobinie szczęścia możemy ich powstrzymać, kiedy nasi przyjaciele przechwycą silniki.

— Kto idzie? — spytał Znacznik, naprawdę ciekawy. — Oczywiście trochę Lamotien, to pewne. Kto jeszcze? — Wiedział dobrze, że Lamotien nie można do końca zaufać. Nawet teraz.

— Tylko Julin może ocenić stan silników, kiedy je już odnajdziemy — zauważył szef sekcji. — Wyślemy więc Dasheen. Są lepiej wyposażeni do działania w boksie nietechnologicznym i poruszania się po wąskich ścieżkach, a wielkością dorównują mieszkańcom Gedemondas.

— I nikt z nas? — zapytał Znacznik, zdumiony. — Ale w jaki sposób w takim razie...

— Usuniemy moduły sterowania z mostku — przypominał Przodownik Sekcji. — Będziemy to kontrolowali od drugiej strony. Nie, tam w górze nie byłoby dla waszych skrzydeł ochrony przed zimnem, poruszanie się po śniegu jest utrudnione. Myślę, że Dasheen i Lamotien stworzą uczciwy tandem. Będziemy trzymali dla nich równinę.

— Czy to bezpieczne narażać Julina na takie ryzyko? — dziwił się Znacznik. — Chcę powiedzieć, że jest on przecież kluczem do całej sprawy, prawda?

— Nie, kluczem są silniki. Jedyna część statku, której nie można podrobić. Jeśli doprowadzi nas do silników — tym lepiej. Jeśli nie — na cóż nam się przyda? Prawdę powiedziawszy, wcale by mi nie było przykro, gdyby ta wyprawa miała kosztować życie kilku tych byków.

Znacznik kiwnął głową, dzieląc te uczucia.

— Ich systemowi brak logiki, przykro patrzeć, jak się ich traktuje.

— Niestety — westchnął Przewodnik Sekcji — to miejsce jest rzeczywiście rajem mężczyzn. Pewnie znasz te wszystkie uczone rozprawy, którymi zarzucają wszystkich dookoła, dowodzące wyższości mężczyzn. No cóż, my też przeprowadziliśmy badania, z których wynika, że mają rację. Patrząc z punktu widzenia procesu ewolucji, nie sposób zaprzeczyć, że te krowy są umyślowo i fizycznie stworzone do roli głupich, powolnych niewolników.

— Przynajmniej mamy lepszy materiał do wysłania w mroźne góry niż Makiem — powiedział Znacznik, zmieniając temat na nieco przyjemniejszy. — Cebu mogą tam się poruszać na piechotę, a na ziemi są straszne. Z kolei Makiem w chłodzie zapadają w półsen, wreszcie latające konie Agitar są zupełnie bezużyteczne na tych wysokościach.

— Ale Agitar mogą się ruszać całkiem niezłe — powiedział Przewodnik. — Dla Makiem mają ubiory ochronne. Nie trzeba ich lekceważyć. I tak daleko zaszedli. Za parę dni obie strony będą miały najtrudniejszą przeprawę.

## Gdzieś w terenie

Antorowi Treligowi dopisywał optymizm. Działania wojenne szły pomyślnie; dotarli do Gedemondas, i mimo wszystko się przebili, nikt z żołnierzy, dowódców i polityków nie sądził, by ktoś mógł ich powstrzymać.

Generał Agitar wszedł, skłaniając się lekko, do namiotu dowództwa i podał mu raport. Trelig obejrzał go ciekawie, a na jego twarzy ukazał się grymas, który u Makiem oznaczał uśmiech.

— Czy ktoś jeszcze to widział? — spytał.

Agitar potrząsnął swoją capią głową.

— Nie, panie. Szedł prosto od zwiadowcy do ciebie, do Sztabu Generalnego.

Miał przed sobą zdjęcie: dużą, błyszczącą czarno-białą odbitkę. Obraz był rozmazany, było widać ziarno charakterystyczne dla dużych powiększeń, najwidoczniej zdjęcie zrobiono teleobiektywem z dużej odległości. Przybliżenie nie było jeszcze zadowalające, mimo wszystko jednak ukazywało rzecz najważniejszą.

Większa część obrazu była biała. Na skalnej półce spoczywał lśniący kształt przypominający literę U, odbijający promienie słoneczne, po jednej stronie było widać nawet mało czytelne oznakowanie.

Nie musiał ich odszyfrowywać. Wiedział, że jest to symbol wschodzącego słońca z ludzką twarzą obwiedzioną czternastoma gwiazdami i olbrzymim napisem NH-CF-1000-1 na boku, a pod spodem, mniejszymi literami, słowa: „zwycięstwo ludu”.

Niewątpliwie był to przedział silnikowy.

— Jak to dostaliście? — spytał z podziwem. — Sądziłem, że nikt nie poleci tak wysoko.

— Jeden ze zwiadowców Cebu poszedł na całość — odparł generał. — Za trzecim podejściem udało mu się przelecieć ponad drugim pasmem gór, za którymi leży głęboka dolina lodowcowa w kształcie litery U. Ma dobry wzrok; dostrzegł odbłysek światła gdzieś w górze, ale wiedział, że to poza jego zasięgiem, zrobił więc jak najwięcej zdjęć najdłuższym obiektywem z filtrem. To było najlepsze. — Treliga naszła nagła myśl.

— A co z Yaxa? Czy oni albo ci mali naśladowcy mogliby to również znaleźć?

— Nie mają szans — zapewnił go generał. — Yaxa nie potrafiliby przelecieć ponad tym drugim łańcuchem górskim. Właściwie sądziłem, że i Cebu na to nie stać, zresztą ten zwiadowca jest ledwie żywy z wyczerpania. Jeśli przeżyje — zostanie bohaterem. Musisz też pamiętać, że Lamotien mogą naśladować inne formy, ale nie mogą się nimi stać. Mogą latać, owszem, przybierając postać Yaxa, ale jest to jednak mocno odmieniona wersja, skrzydła takiej atrapy są za grube, aby wynieść je na taką wysokość. Nie, sądzę, że mamy tu przewagę nad innymi.

Trelig skinął głową z zadowoleniem.

— Ale tamci pierwsi dojdą do równiny — zauważył. — Według naszych raportów Lamotien potrafią neutralizować elektryczność Agitar, a Yaxa mogą krążyć wokół nas.

— Fakt, szanse są wyrównane — przyznał generał. — Zanim tam dotrzemy, tamci się już okopią, ufortyfikują i wtedy będą musieli po prostu grać na czas. Proponuję, żebyśmy to załatwili trochę inaczej.

Ogromne oczy Treliga rozszerzyło jeszcze zdziwienie.

— Coś nowego?

Generał potwierdził skinieniem głowy, po czym rozpostarł na stole wielką mapę, nie wyglądającą na mapę sztabową. Był to plastyczny obraz Gedemondas i sąsiedniej Dilli, różnice wysokości były bardzo duże, cała mapa była usiana masą przerywanych linii. Trelig nie umiał jej jednak odczytać.

— To mapa turystyczna sporządzona w Dilli — wyjaśnił Agitar. — Sprzedają ją wszystkim zainteresowanym. W tej dziczy żyją różne gryzonie i inne zwierzęta, na które oni polują. Gedemondas nie bardzo ich interesują, chociaż nasze źródła w Dilli donoszą, że nie wiedzą oni o tych stworach dużo więcej niż my. Nie przesadzają z polowaniem i to pozwala utrzymać równowagę.

Trelig pokiwał ze zrozumieniem.

— A więc te przerywane linie to ścieżki traperskie? — domyślał się.

— Właśnie — odparła „koza”. — Te małe prostokąciki to schrony tych z Dilli w rozmieszczone wzdłuż tych szlaków. W większości te ścieżki to robota tych z Gedemondas, a nie Dilli. Rozumiem, że zbyt wielka aktywność Dilli denerwuje miejscowych, którzy wtedy spuszczaają na nich małe lawiny.

Perspektywa niezbyt miła. Zostawił to bez komentarza.

— A my jesteśmy tutaj — ciągnął Agitar, wskazując obszar na południowo-zachodnim krańcu mapy. — Yaxa będą tutaj — teraz pokazał małą równinę mniej więcej o 200 kilometrów na północ i nieco ku wschodowi. — Jeżeli dobrze przyjrzesz się mapie, dostrzeżesz coś ciekawego.

Trelig wyprzedził ten wykład. Przynajmniej trzy ścieżki przechodziły w odległości dwóch kilometrów od miejsca, w którym się teraz znajdował, trochę na wschód. Jedna wyglądała na dość niską.

— 1263 metry — powiedział Agitar. — W sam raz na dyskretny desant.

— A więc moglibyśmy w ogóle uniknąć walki — zawołał, podniecony. — Możemy ich pokonać, wchodząc niewielką ekipą i posuwając się prosto do silników, kiedy oni będą nas szukać!

— Agitar pokręcił wolno głową. — Nie, walki nie da się uniknąć, choćby po to, by zapewnić ci osłonę. Oni nie są głupi. Jeśli nie wykonamy ruchu, jakiego się po nas spodziewają, wyczują pułapkę i będziemy ugotowani. Nie, bitwa zostanie wydana zgodnie z planem. Jedyna różnica będzie polegała na tym, że nie będziemy się śpieszyć ze zwycięstwem i nie będziemy też niepotrzebnie ryzykować. Kiedy będziesz miał silniki, będzie można dosłać innych, by je spróbowali zdemontować, o ile jest to możliwe, albo w każdym razie pomyśleć nad sposobem zabrania ich stamtąd. Kiedy dotrze tam ekipa przygotowana przez Yaxa, będziemy już u celu, niezależnie od przebiegu bitwy.

Plan spodobał się Treligowi.

— W porządku, pójdę ja i kilku mężczyzn Agitar. W jaki sposób jednak mam się chronić przed zimmem? Wiesz dobrze, że poniżej zera się wyłączam. Nic na to nie poradzę.

Generał wstał i wyszedł z namiotu, a kiedy wrócił, miał z sobą wielki karton. Wydobył z niego dziwny, srebrzysty ubiór z olbrzymią ciemną kulą.

— Nie widziałeś, że w ostatnim stuleciu mieliśmy pięciu Przybyszów Makiem, prawda? — powiedział z zadowoleniem. — Nie potrzebujemy mechanicznych urządzeń. Powietrze masz.

Uśmiechnął się znowu. Sprawy szły teraz po jego myśli, jak zwykle zresztą. Komputer Obie, Nowe Pompeje, sam Świat Studni — wszystko to było teraz w zasięgu ręki.

Generał wyszedł, a Trelig siedział jeszcze przez chwilę sam, patrząc na mapę. Potem westchnął, podniósł się i pokicał do oddzielonego zasłoną przejścia pomiędzy namiotem a swoją przenośną kwaterą. Kiedy ruszył kotarą, coś przemknęło w środku, lądując na łóżku w końcu pokoju.

Ależ ona skacze — pomyślał z podziwem.

To było oczywiście małżeństwo z rozsądku. Wszystkie zresztą małżeństwa Makiem miały taki charakter, była to bowiem rasa zażywająca seksu w ciągu jednego tygodnia w roku, i to pod wodą. To było oczywiście wygodne dla tych drani, którzy rządili Makiem, ale naturalnie nie dla niego. Była dobrą córeczką ministra, jeszcze brzydszą i bardziej obślizgłą niż jej tata.

Jakiż zespół moglibyśmy stworzyć — pomyślał znowu z westchnieniem — gdybyśmy tylko mogli być po tej samej stronie.

— Nie musisz udawać, moja droga. Wiesz wszystko i ja to wiem, co za różnica? Tym razem nie możesz iść.

— Pójdę tam, gdzie ty — odparła. — To prawo i obyczaj. Nie możesz mnie powstrzymać!



— Ależ tam jest naprawdę zimno, dziecinko! — Zarechotał. — Jaki będzie pożytek ze Śpiącej Królewny?

Tamta otworzyła wiklinowy kosz i wyjęła coś z niego. Mimo że krój był trochę inny, niewątpliwie był to skafander kosmiczny.

Zaniemówił z wrażenia.

— Jak długo masz to cacko? — spytał.

— Od wyjścia z Makiem — odpowiedziała, zadowolona z siebie.

## Obóz 43, Gedemondas

Ścieżki były zupełnie niezłe. Wiadomo, że Gedemondas byli dużymi stworzeniami, a niezbyt częste, ale systematyczne wykorzystywanie ich przez koniowatych mieszkańców z Dilli poszerzyło ich jeszcze do wygodnych dwóch metrów.

Z wyiębionej budy na śnieżną pokrywę wyszła dziwaczna ekipa: Tael, przewodniczka z Dilli, na czele, potem dwie Lata, trochę pieszo, ale częściej wierzchem na Tael, wreszcie Renard prowadzący pegaza, Dome, dźwigającego dziwną postać Mavry, przymocowaną pomiędzy skrzydłami a karkiem. Robiło się coraz zimniej, nie rozmawiali zbyt dużo, zresztą musieliby krzyczeć, bo wiatr w skalistych rozpadlinach wył tak niesamowicie, jakby sam był dziwną, żywą istotą na tym najdziwniejszym ze światów.

Właściwie mogli porozmawiać tylko w czasie okresowych odpoczynków, organizowanych głównie z myślą o Renardzie.

Równina została daleko za nimi; wijąca się obłądnie ścieżka sprawiła, że wszyscy się już dawno pogubili, z wyjątkiem pewnej siebie Tael. Trudno było ocenić odległość w blasku słońca odbijającym od śniegu, nawet okulary przeciwsłoneczne nie na wiele się tu zdały. Byli drobinami zagubionymi w morzu bieli.

Czasami wydawało się im, że sama ścieżka też gubi się gdzieś w śniegu, ale Tael parła do przodu tak, jakby to była bita, oznakowana autostrada, bez najmniejszego wahania wybierając właściwą drogę.

Po całym dniu wspinaczki obeszli kolejną górę i nagle jeszcze raz ujrzeli rozpostartą pod nimi równinę.

— Poczekajcie! — zawołała Mavra. — Popatrzcie! Już są!

Przystanęli, dostrzegając od razu to, o czym mówiła. W powietrzu pełno było drobnych pomarańczowych pączków. Widzieli masę stworzeń rozstawiających namioty i ryjących skałę u podnóża gór. Nie było widać wprawdzie domku, ale wiedzieli dobrze, że jeżeli się w ogóle ostał, musieli go przekształcić w warowny fort.

— Popatrzcie na nich! — powiedziała Tael, zdyszana. Był to jej pierwszy kontakt z armią i z wojną. — Ależ ich muszą być tysiące.

— Yaxa — powiedziała Vistaru po prostu. — Zaczną podchodzić zaledwie dzień po nas. To niedobrze.

Tael zaśmiała się z pewną miną.

— Oczywiście, o ile znajdą szlak! — krzyknęła. — Bez przewodnika nie mają najmniejszych szans!

Mavra odwróciła się i popatrzyła ku niebu. Powietrze było czyste z wyjątkiem cienkich chmur i nielicznych pękających kumulusów.

— Pójdą po naszych śladach — powiedziała. — Nie pada, więc nie możemy liczyć na to, że przykryje je śnieg. Mogą je wziąć za ślady zwierząt albo mieszkańców Dilli, ale jeżeli mogą przejść czworonożne zwierzęta albo centaury, mogą i oni.

Tael spochmurniała. Dobry przewodnik na śniegu — pomyślała Mavra — ale niesamowicie naiwna. Dilla musi być bardzo spokojnym krajem.

— Możemy zostawić fałszywy ślad — zasugerowała Tael. — Może pociągnąć trop do urwiska. To nietrudne. Ten puch można zatrzeć na odcinku kilkuset metrów.

Mavra zastanawiała się przez chwilę.

— W porządku, zrób tak — powiedziała. — Ale to niewiele da. Może pójda trochę wolniej, kilku ubędzie, ale to wszystko. Lepsze to niż nic.

Akcja dezinformacyjna okazała się dość prosta. Dziewczyna poszła do miejsca, gdzie była gruba pokrywa śniegu, i tam stanęła. Renard zdjął swoje małe botki i przeszedł ostrożnie jej tropem, a potem prowadził jej stopy, kiedy wycofywała się po własnym śladzie.

Mavra obejrzała rezultaty.

— Trochę za głęboko — powiedziała krytycznie. — Doświadczony tropiciel pewnie by się połapał, ale myślę, że się uda. Czy ten śnieg spadł stamtąd po prostu, a ja tego nie widzę, czy co?

Tael roześmiała się.

— To jest krawędź czegoś, co nazywamy Lodowcem Makom. Rzeka powoli przesuwającego się lodu, pokrytego śnieżną czapą. Jest tam rozpadlina głęboka na co najmniej trzysta metrów i szeroka na dobre dziesięć metrów. Doszłam prawie do samego brzegu.

Zrobili jeszcze jeden skręt, a małe Lata futrzaną czapką Tael zasypały ślady. Nie była to bardzo fachowa robota, ale też nie fachowców przecież miała ona zmylić.

Szli dalej, w głąb sześciokąta, wspinając się coraz wyżej. Musieli robić częstsze odpoczynki. Powietrze było tu już mocno rozrzedzone.

W czasie któregoś z tych postojów Mavra powiedziała:

— Nadal ani śladu Gedemondas. Do licha, jeśli to takie wielkie sukinsyny, to widocznie musi być ich bardzo niewielu, skoro dotąd się na nich nie natknęliśmy.

Tael wzruszyła ramionami.

— A kto to może powiedzieć? Czasem wydaje się, że są za każdą dosłownie górą, a czasem możesz przejść cały sześciokąt i nie spotkać żywej duszy. Nie, to mnie jednak martwi.

— A co? — spytała reszta unisono.

— Jesteśmy obserwowani. Czuję to. Nie jestem pewna, gdzie są, ale na pewno jest ich więcej. Tak jakbym słyszała ich oddech.

Rozejrzeli się, nagle zdenerwowani. Nikt niczego nie zauważył.

— Gdzie? — dopytywał się Renard.

Tael potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Odgłosy w górach są często mylące. Ale blisko. Mają tutaj swoje ścieżki, do używania których... jakby to powiedzieć... zniechęcają nas.

— Będą musieli — powiedziała Mavra sucho. Wyteżyła słuch, nie usłyszała jednak nic prócz wycia wiatru. Słuch, mimo zewnętrznych zmian organu, miała taki jak zawsze, dobry, ale nie fantastyczny; większe uszy zwiększyły tylko wycucie kierunku, z którego dochodził głos, do tego doszedł jeszcze lekki pogłos, wzmagany przez wiatr.

Było jej strasznie zimno, mimo całej kupy ubrań, którą ją okryli. Twarz, a zwłaszcza uszy bolały nieprzytomnie; inni jednak zapewne czuli to samo i nie narzekali.

— Idźmy dalej — powiedziała Hosuru po dłuższej chwili nasłuchiwania. — Jeżeli nas śledzą, czegoś się po nich trzeba spodziewać. Ich ruch. Wyteżajmy wzrok i słuch.

— Nie wysilajcie się nadmiernie — ostrzegała Tael. — Jeżeli nie będą chcieli być widziani, to ich nie zobaczymy. Są biali jak śnieg, mogą podejść na dziesięć metrów zupełnie niepostrzeżenie.

Poszli dalej.

Do obozu 43 dotarli przed zmrokiem, ale Tael upierała się, że muszą się tu zatrzymać na nocleg. — Nie dotarlibyśmy chyba przed zmrokiem do następnego obozu, a nie chcecie pewnie błąkać się tu po ciemku.

— Mam nadzieję, że ci Yaxa czy jak im tak, czują się tak samo — martwił się Renard.

— A ja wręcz przeciwnie — odparła Mavra. — W ten sposób zginęłoby ich więcej i szybciej. Vistaru? Hosuru? Jesteście przecież stworzeniami nocnymi. Nie chcecie wypróbować tej ścieżki po ciemku?

Vistaru roześmiała się.

— Ani po ciemku, ani za dnia, ani o żadnej porze bez przeciwnika, który nic nie robi! — odparła.

Prosty schron zbudowano z myślą o dwóch mieszkańcach Dilli; boksy były w sam raz dla Domy i Tael, a reszta rozłożyła się, gdzie się dało. Kiedy załadowali jeszcze bagaż, drzwi się nie domykały, a stary żeliwny kominek był tak blisko, że mieli do wyboru — spalić się lub zamarznąć. Jakoś jednak trzeba było wytrzymać.

Był to wyczerpujący dzień, wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni, oślepieni blaskiem śniegu. Potrzebowali odpoczynku jak nigdy. Wydawało się, że wystawianie wart nie ma wielkiego sensu, jeżeli Gedemondas miałiby ich załatwić, straż nie stanowiłyby dla nich przeszkody. Gdyby chcieli nawiązać kontakt — tym lepiej. Gdyby wreszcie koalicji Yaxa jakoś udało się podejść, i tak nie miałiby wielkich szans w bezpośrednim starciu. Zasnęli, kiedy ogień na kominku zgasł.

Coś się nie zgadzało. Coś ją męczyło we śnie, umysł próbował schwytać to niejasne uczucie, obecne i jednocześnie ulotne, coraz bardziej dojmujące.

Mavra Chang, leżąc bez ruchu, obudziła się wreszcie. Szybko rozejrzała się dookoła. Wszyscy spali, nawet Doma.

Próbowała określić, co ją mogło zbudzić. Było to jakieś wezwanie do czujności, uczucie przeraźliwej jasności umysłu, tak charakterystyczne dla momentów zagrożenia. Próbowała dojrzeć, zlokalizować źródło tego niepokoju. Było bardzo zimno, a więc musiała być już późna noc. Ale nie chłód ją przebudził.

Doma obudziła się nagle, potrząsając swoją wielką głową. Parsknęła nerwowo. Mavra lekko uniosła głowę, pewna teraz, że jest przy zdrowych zmysłach. Również pegaz to usłyszał.

A więc to było to. Hałas. Chrup-chrup, chrup-chrup, i dalej, raz za razem, za każdym razem trochę głośniej.

Ktoś albo coś szło raczej spokojnie i równo po ścieżce, coś, co nie bało się ani nocy, ani śniegu.

Chrup-chrup skrzypiał śnieg pod stopami. Ależ to musiało być duże!

I nagle hałas ustał. Wiedziała, że cokolwiek to było, zatrzymało się przed drzwiami. Już miała zawołać, ostrzec towarzyszy, ale była jakby sparaliżowana, wpatrzona w te zamknięte drzwi. Nawet Doma chyba się nagle uspokoiła, ale jakby na coś czekała. Trochę jej to przypominało sytuację z kapłanem w Olborn, ale to jednak było coś innego. Coś dziwnego, coś zupełnie nowego.

Wreszcie spaczone drzwi na zardzewiałych zawiasach otworzyły się zadziwiająco cicho. Uderzył ją podmuch lodowatego powietrza, słyszała, jak reszta ekipy dygoce przez sen.

To była olbrzymia postać okryta śnieżnobiałym futrem. Była tak wielka, że musiała się nachylić, by wsadzić głowę w drzwi. Twarz, która spojrzała na nią z bliska, uśmiechnęła się lekko. Uniosła olbrzymią kosmatą białą łapę i położyła wielki, szponiasty palec wskazujący na ustach.

## Na ścieżce w Gedemondas

Antor Trelig klął zawzięcie. Nieszczęście za nieszczęściem w czasie tej przekłetej podróży — pomyślał gorzko. Lawiny, podcięta ścieżka — tak jakby ktoś próbował ich zatrzymać, chociaż przecież nikogo nie widzieli.

Posuwanie się ścieżką okazało się o niebo łatwiejsze na mapie niż w rzeczywistości. Szlak nie był przetarty, niektóre schrony były uszkodzone i najpewniej już od wielu lat chyliły się ku upadkowi, ścieżka często ginęła bez widocznych znaków terenowych, zmuszając Agitar do ostrożnego sondowania za pomocą ich elektrycznych lanc. Ekipa, która początkowo liczyła czternastu uczestników — dwunastu Agitar, jego oraz niezupełnie lojalną, jak się okazało, jego żonę, Burodir — teraz skurczyła się do dziewięciu, niestety włączając w to Burodir.

W sumie jednak oznakowanie nie było złe, teren nie był zbyt trudny, najbardziej strome odcinki były na samym początku, a odcinki, na których szlak gdzieś ginął, kompensowały inne, doskonale widoczne, tak jakby je wydeptały podeszwy wielu stóp.

Z początku nawet się tym martwił, póki Agitar nie przypomnieli mu, że ten sześciokąt, podobnie jak i inne, ma swoich mieszkańców.

W jakimś sensie myśl o nich niepokoiła go najbardziej. Przez cały czas nie widzieli i nie słyszeli tych tajemniczych tubylców. Logicznie rzecz biorąc, musieli przecież trafić na kogoś, tymczasem co najwyżej udawało im się spłoszyć polarnego zajaca, czy czymkolwiek było to stworzenie, albo małe bestie przypominające łasice.

A mimo wszystko posuwali się naprzód i zdołali utrzymać na szlaku. I w jakiś sposób dotrą do celu. W każdym razie on na pewno, inni niech sobie robią, co chcą.

Studiował mapy i zdjęcia lotnicze zrobione przez zwiadowców Cebu. Dość dobrze się orientował w położeniu, chociaż musiał przyznać, że bez zwiadu dawno by się zgubił i zginął w tej śnieżnej głuszy. Wewnętrzny pierścień gór, nieco wyższy od zewnętrznego, dotąd ukryty, ukazał się teraz wyraźnie prosto przed nim. A po drugiej stronie tego wysokiego, pokrytego lodowcem szczytu leżała głęboka dolina, w kształcie litery U, na dnie której, na skalnej półce, spoczywał skośnie duży ważny przedmiot.

Z pewnością nie dotrą tam dzisiaj. Jutro po południu — na pewno, o ile nic się nie przydarzy.

## Na górskim szlaku

— Ifrit! Lornetka! — rozkazał Ben Julin. Krowa sięgnęła do juków i podała mu przyrząd.

— Proszę, panie — powiedziała usłużnie. Chwycił lunetę bez słowa i podniósł do oczu.

Nie była to zwyczajna lorneta; specjalne dodatkowe soczewki wyrównywały krótkowzroczność. Razem z okularami słonecznymi dawała ona ostry, wyraźny obraz.

— Jakież kłopoty? — mruknął ktoś niskim głosem.

Popatrzył na przybysza. Wyglądał jak chodzący kudłaty krzak, dorównujący mu wzrostem, pozbawiony widocznych oczu, uszu czy innych organów. W istocie bowiem nie było to jednak stworzenie, lecz kolonia trzydziestu sześciu Lamotien, przystosowana do warunków chłodu i śniegu.

— Ta chata tam — pokazał podejrzliwie przed siebie. — Coś w niej jest dziwnego. Nie życzyłbym sobie żadnych nowych sztuczek podobnych do tej z fałszywą ścieżką. Straciliśmy tam dwie dobre krowy. — Na szczęście nie moje — zapomniał dodać.

— Nie zapominaj, że my straciliśmy trzydziestu naszych braci! — rzucili Lamotien. — Zgadzamy się, że chałupa wygląda jakoś dziwnie. Co robimy?

Julin pomyślał chwilę, próbując znaleźć dobre rozwiązanie bez ryzykowania swoim szlachetnym karkiem czy majątkiem. — Dlaczego nie moglibyście w kilku tam podejść? Zróbcie się na biało czy coś w tym rodzaju i rozejrzyjcie się.

Lamotien rozważyli propozycję.

— Po dwa. Polarne zające. — Stwór zdawał się nagle rozpadać na małe, puszyste kulki równej wielkości. Dwa takie pompony oderwały się z jednej strony i upadły na śnieg, a dwa następne z drugiej strony. Julin, jak zawsze zafascynowany, obserwował, jak to, co pozostało, przebudowywało się i zmieniało kształt. Stwór był może trochę szczuplejszy, poza tym jednak nie zmieniony.

Teraz dwaj Lamotien na śniegu zaczęli się w ruchu stapiać w jedną dużą kosmatą bryłę. Druga para zrobiła to samo. Kształt jej zmieniał się powoli, tak jakby w środku tkwił niewidoczny lalkarz pociągający za sznurki. Tu zmarszczka, tam dołek, tu dziobek, tam wyrostek.

W ciągu dwóch minut powstały dwa polarne zające, które popędziły w stronę chaty. Reszta czekała, tylko przywódca kolonii miał translator, musieli się więc jeszcze raz przebudować i dopiero wtedy się dowie, o co chodzi. Na pewno nie mogli się porozumiewać głosem. Zastanawiał się, czy rozmawiają, kiedy się stapiają, kiedy się stają jedną istotą o wspólnym umyśle, czy czymś tam. . . Pytał, ale Lamotien wyjaśnili, żeby się tym nie przejmował, bo i tak nie zrozumie.

Zające powróciły po dziesięciu minutach, rozdzieliły się, wskoczyły z powrotem na włochatą bryłę i stopiły się z nią. Przez minutę kolonia się nie odzywała, rozmawiając ze zwiadowcami albo być może wchłaniając zawartość ich pamięci.

Wreszcie kłęb się odezwał:

— Chałupa jest pusta. Mimo to jednak miałeś rację, czując, że coś tam jest dziwnego. Pełno tam pakunków i zapasów. Ktoś niedawno tam był i opuścił to miejsce, powiedzielibyśmy — niedobrowolnie. Zbyt dużo zostało tego towaru.

Julin się zmartwił.

— Myślicie, że to były centaury, za którymi szliśmy?

— Prawdopodobnie tak — przyznali Lamotien. — Kimkolwiek jednak byli — poszli sobie.

— Są jakieś ślady?

Lamotien odczekali chwilę.

— To właśnie jest śmieszne. Nie ma żadnych śladów. Widać ślad dochodzący do chałupy i zdeptany śnieg w miejscach, gdzie się rozpakowywali. Poza tym jednak w promieniu setek metrów żadnych innych śladów. Dosłownie żadnych.

— No cóż, na pewno nie wrócili tędy — powiedział Julin, mocno już teraz zmartwiony. — Ale w takim razie dokąd poszli?

Powiedli wzrokiem po milczących szczytach.

— I z kim poszli? — dodali Lamotien.



## Gdzieś w terenie

Wydawało im się, że podróż nigdy się nie skończy. Robili częste odpoczynki, tak jakby ci, którzy ich schwytali, dostrzegli deficyt tlenu, na jaki w tej atmosferze cierpieli. O rozmowach nie było jednak mowy. Kilka chrząknięć i masa gestów, których translatory po prostu nie chwytały, i to wszystko.

Nie szli żadną ze ścieżek, znanych centaurom z Dilli. Szlak, którym się posuwali, był czasami tak słabo widoczny, że nawet wielcy Gedemondas idący przodem zdawali się gubić w tych szalonych zygzakach. Były to jednak pozory: w istocie rzeczy po prostu w jakiś przedziwny sposób rozpoznawali, co się kryło pod śniegiem.

Doma, która dźwigała Mavrę i Renarda, szła za Tael z Lata na grzbiecie. Z przodu szły cztery olbrzymie śnieżne stwory, z tyłu druga czwórka. Spotykały też od czasu do czasu kolejne białe postaci, czasem było ich dość dużo, czasem pojedynczo przecinały szlak.

Mavra nadal się zastanawiała, kim właściwie byli Gedemondas. Na dobrą sprawę nie przypominali jej wyraźnie żadnego dotąd napotkanego stworzenia, ale jednak jakoś kojarzyli jej się ze wszystkimi. Byli nieskazitelnie biali, bez jednej plamki, co przecież byłoby zrozumiałe przy tak gęstym futrze. Wzrost Tael przekraczał dwa metry, a jednak ich szczupłe postaci przerastały ją o głowę. Niewątpliwie przypominali ludzi, chociaż ich twarze przywodziły na myśl raczej psa — śnieżnobiałe z długim, wąskim pyskiem i czarnym guzikiem nosa. Oczy, osadzone głęboko, były duże, jasnoniebieskie i bardzo ludzkie w wyrazie. Dłonie i stopy, zaciśnięte, tworzyły dwie okrągłe poduszki, same powierzchnie dłoni i podeszwy stóp były zbudowane z innego, białego, mocnego materiału. Same ręce sprawiały wrażenie pozbawionych kości, z trzema długimi cienkimi palcami i kciukiem. Mogli je dowolnie zginać i wysuwać w dowolnym kierunku, tak jakby były zrobione z rodzaju plasteliny. Palce rąk i stóp były zakończone długimi, różowymi pazurami, które były jedyną kolorową częścią ich ciała poza nosem. Nawet wnętrze ich przypominających talerze uszu było białe.

Ślady zacierali w najprostszym z możliwych sposobów. Otóż nosili długie, powiewne peleryny z futra, które, ciągnąc się za nimi, skutecznie załatwiały sprawę.

Zresztą ich poduszkiowate stopy działały jak rakiety śnieżne, nie zapadali się więc w czasie marszu zbyt głęboko.

Ślady nie były tu problemem; wiedzieli, że zabierają ich do jakiegoś centrum życia Gedemondas, do części tego sześciokąta, ukrytej dotąd przed oczami przyszłości.

I to właśnie ich intrygowało. Dlaczego właśnie ich? Czy tamci wiedzieli o ich przybyciu wcześniej? Czy była to pomoc? Albo być może byli więźniami, którzy zostaną przesłuchani w sprawie tych wszystkich aktów agresji, a potem zrzućeni ze skały? Niestety, nie było odpowiedzi, tylko marsz naprzód.

Od czasu do czasu wielkie śnieżne bestie wychylały się prosto ze śniegu. Z początku było to niemiłe uczucie, potem jednak zrozumieli, że muszą tam być jakieś ukryte drzwi, może do jakichś lodowych jaskiń, naturalnych albo wykopanych, albo może do skalnych grot lub sztucznych domostw przysypanych śniegiem. Wiedzieli jednak już teraz ponad wszelką wątpliwość, że jedną z najważniejszych przyczyn tak rzadkiego pojawiania się miejscowych był fakt, że do swoich tajemniczych zajęć chowały się po prostu pod śnieg, który był ich naturalnym żywiołem.

Zapadła noc, pograżając zimowy krajobraz w połyskujący niesamowicie mrok. Nocne niebo Świata Studni migotało zniekształconymi reflektorami odbitymi od połaci śniegu. Nowe Pompeje były niewidoczne, ale mogły jeszcze nie wejść, mogły już zająć za horyzont, może też zakrywały je odległe góry.

Nie mieli czasu wziąć z sobą żadnych zapasów. Gedemondas byli grzeczni, ale stanowczy; kiedy protestowali, podnoszono ich tak lekko, jak Renard unosił torbę jabłek, i wrzucano na grzbiet Tael i Domy. Tael była zbyt przestraszona, by protestować. Doma, o dziwo, czuła się bardzo spokojna wśród tych dziwnych stworzeń, tak jakby miały nad nią jakąś tajemniczą władzę.

Mieli nadzieję, że ufność rumaka była spowodowana tym, że nie wyczuwał on żadnego zagrożenia.

Nie podróżowali jednak na głodno. Zaraz po zapadnięciu zmroku zaprowadzono ich do wielkiej jaskini, której istnienia się nie spodziewali, a inni „śnieżni ludzie” przynieśli, nie wiedzieć skąd, swojskie owoce i warzywa, podane na dużych drewnianych tacach, i napój owocowy, zupełnie smaczny.

Problemy Mavry zdawały się przedmiotem ich szczególnej troski. Jej naczynia były wyższe i szersze, tak by ułatwić jej dostęp do jada, a napój podano w głębokim kubku, tak że mogła pić, jak jej było wygodnie.

Mavra poradziła Renardowi, by nie korzystał ze swoich elektrycznych właściwości. Byli tu przecież po to, by nawiązać kontakt z miejscowymi, a ta ich podróż była jednak rodzajem kontaktu. Ale Renard nie mógł się oprzeć, i w końcu sięgnął po owoc przypominający jabłko, piekąc go niewielkim ładunkiem.

Na Gedemondas wyczyn ten zdawał się nie sprawiać specjalnego wrażenia. Wreszcie jeden z nich, który siedział oparty o ścianę pieczary, podniósł się, pod-

szedł do niego i kucnął po drugiej stronie półmiska. Szponiasta dłoń dotknęła półmiska. W nagłym rozbłysku, trwającym ułamek sekundy, półmiskę i owoc po prostu zniknęły. Renard, ogłupiały, pomacał miejsce, gdzie stały. Nie było nawet ciepła, nie było resztek, popiołu czy spalenizny, został tylko lekki zapach ozonu czy czegoś w tym rodzaju. Śniegowiec parsknął z zadowoleniem, poklepał go protekcyjnie po głowie i wrócił na swoje miejsce.

W ten sposób zakończono demonstrację siły.

Byli upiornie zmęczeni i zmarznięci, ale mimo to nie było im dane spędzić nocy w jaskini. Chociaż nie uciekali, było widać, że ci, którzy ich pojмали, posuwali się według jakiegoś harmonogramu, i że zamierzali w określonym terminie doprowadzić więźniów na wyznaczone miejsce.

Musieli jeszcze iść przez kilka dalszych godzin, zanim tam dotarli, szczęśliwie, bo Tael zaczęła się właśnie głośno skarżyć, że nie pójdzie ani kroku dalej.

Ściana litej skały wznosiła się przed nimi złowieszczym ogromem, ledwie widoczna w półmroku. Ruszyli, spodziewając się, że w każdej chwili będą musieli skręcić. Zamiast tego ściana otwarła się przed nimi.

Dokładnie mówiąc, olbrzymi skalny blok odsunął się powoli, najwidoczniej przesuwany ręcznym wielokrążkiem, ciemność rozpraszają jasne światła. Weszli do tunelu.

Światło pochodziło z jakiegoś świecącego minerału, który odbijał stokrotnie wzmocniony blask latarni. W środku było jasno jak w dzień.

Wnętrze góry przypominało plaster miodu; labirynt korytarzy rozbiegał się na wszystkie strony, po chwili zupełnie stracili orientację. W środku było jednak przyjemnie ciepło, chociaż jego źródła nie udało im się odkryć. Gdzieś z oddali dochodziły odgłosy jakiejś pracy, jakiej — tego się też nie dowiedzieli.

Nareszcie dotarli do celu podróży, wygodnego, dużego pomieszczenia. W sali stało kilka dużych łóżek wypełnionych miękkimi poduszkami, w jednym położono duży futrzany pled w sam raz dla Mavry. Jedyne wyjście strzegło, w sposób widoczny, ale dyskretny, dwóch „śnieżnych ludzi”. A więc koniec... pomyśleli.

Byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać, czy choćby żeby się ruszać albo przejmować tym, co ich czekało. W ciągu kilku minut spali jak zabici.

\* \* \*

Na drugi dzień, kiedy się obudzili, czuli się znacznie lepiej, chociaż dolegały im bóle w różnych częściach ciała. Gedemondas przyniósł jeszcze owoców, inny napój, a nawet belę siana dla Domy i Tael. Nietrudno było zgadnąć, skąd się wzięło siano: z jednego z szafasów na szlaku.

Mavra rozprostowała kończyny i jęknęła.

— O rany! Musiałam spać zupełnie nieruchomo. Jestem teraz sztywna jak deska.

Renard podzielał jej odczucia.

— Ja też nie czuję się najlepiej. Może za dużo spałem. Ale co nam zostało?

Lata, które zawsze spały nieruchomo na brzuchu, też miały się na co skarżyć, a Tael oświadczyła, że jej zeszywniał kark. Nawet Doma parsknęła i przeżyła skrzydła, o mały włos nie trafiając Tael w twarz.

Gedemondas sprzątnęli nakrycie po śniadaniu, został z nimi tylko jeden, przyglądając im się z obojętnym wyrazem twarzy.

Vistaru popatrzyła na niego. A może — na nią? Płci nie sposób było określić.

— Mogliby chociaż coś powiedzieć — mruknęła, trochę do siebie, trochę do tamtych. — Od tego traktowania przechodzą mnie ciarki.

— Dzisiaj większość ludzi mówi za dużo o zbyt błahych sprawach — powiedział śnieżny człowiek miłym, ułożonym głosem, pełnym ciepła. — My wolimy się nie odzywać, jeżeli nie mamy naprawdę, czegoś do powiedzenia.

Ta wypowiedź po całej milczącej podróży wprowadziła ich w osłupienie.

— A więc umiecie mówić! — wyrwało się Hosuru, a potem, jakby się chciała poprawić... — To znaczy, zastanawialiśmy się...

Śnieżny człowiek kiwnął głową, a potem popatrzył na Mavrę, która leżała na boku na swojej skórze.

— A więc to ty jesteś Mavra Chang. Ciekaw byłem, jak wyglądasz.

Mavra była wyraźnie zaskoczona.

— Czy ty mnie znasz? No cóż, mnie również miło cię poznać. Wybacz, że nie mogę podać ci ręki.

Wzruszył ramionami.

— Znamy twoje zmartwienie. Ale nie znamy ciebie. Wiemy o tobie, a to jednak różnica.

Mavra zgodziła się. W Świecie Studni było tak wiele sposobów przekazywania informacji.

Tael nie mogła się już teraz pohamować.

— Ale dlaczego się do nas nie odzywaliście? — spytała. — Chcę powiedzieć... myśleliśmy, że jesteście rodzajem zwierząt czy czymś takim.

Jej młodzieńcza bezpośredniość najwyraźniej nie przeszkadzała ich rozmówcy.

— To nietrudno wyjaśnić — powiedział. — Dużą wagę przykładamy do naszego image. To... to niezbędne. — Usiadł na podłodze, twarzą do nich.

— Najlepiej będzie, jak opowiem wam trochę z naszej historii. Wiecie pewnie o Markowianach, prawda? — Nie użył tego słowa, ale tak to przełożył translator.

Kiwnęli głowami. Renard wiedział najmniej z nich, nawet Tael miała jednak podstawowe wiadomości. Renard pamiętał ze swego rodzinnego zakątka kosmosu wymarłe ruiny tajemniczej cywilizacji.

— Markowianie rozwijali się tak, jak wszystkie rośliny i zwierzęta — od prymitywu do złożonych form. Większość ras natrafia w końcu w swoim rozwoju na

ślepy zaulek, ich jednak to nie dotknęło. Osiągnęli wyżyny cywilizacji materialnej. Mieli wszystko, czego zapragnęli. Niczym legendarni bogowie. I tego jednak było im mało. Kiedy mieli już wszystko, stwierdzili, że ta obfitość prowadzi do zastoju, który jest — jak podpowiada zdrowy rozsądek — ostatecznym wynikiem wszelkiej materialnej utopii.

Słuchali, podążając za jego wywodem. Renard sądził, że można by się z tym czy owym spierać i że chętnie popróbowałby, jak to jest w utopii, ale nie podjął tego wątku.

— Dlatego stworzyli Świat Studnię, przekształcając się w nowe rasy i lokując swoje potomstwo w nowych światach swojego projektu. Studnia nie jest tylko i wyłącznie komputerem podtrzymującym funkcjonowanie tego świata; jest również siłą, która zapewnia stabilność całemu skończonemu wszechświatowi — ciągnął śnieżny stwór. — Dlaczego zatem popełnili jako rasa zbiorowe samobójstwo, by cofnąć się ponownie do prymitywu? Ponieważ czuli się w jakiś sposób oszukani. Czuli, że coś gdzieś stracili. Ich tragedia polegała na tym, że nie wiedzieli, co to takiego. Mieli nadzieję, że tę brakującą część, wartość, znajdzie któraś z waszych ras. Taki był właśnie ostateczny cel projektu, którego realizacja ciągle trwa.

— Wydaje mi się, że udawali frajera — odparła Mavra. — A jeśli niczego im nie brakowało? A jeśli to było właśnie to?

Gedemondas wzruszył ramionami.

— Jeżeli tak, to te wojujące potęgi na dole reprezentują szczytowe osiągnięcie, i jeśli najsilniejsza zawładnie wszechświatem — mówię w przenośni oczywiście, ponieważ są one po prostu odbiciem ras wszechświata — będziemy mieli samych Markowian.

— A nie Gedemondas? — wypaliła Vistaru.

Potrząsnął głową.

— My poszliśmy inną drogą. Podczas gdy reszta goniła za osiągnięciami materialnymi, my postanowiliśmy przyjąć wyzwanie sześciokąta nietechnologicznego i nie próbować żadnych sztuczek, by jakoś przekształcić go w sześciokąt technologiczny. Przyjeliśmy to, co dała nam przyroda. W tych specjalnie oświetlonych grotach, które biegną pod całym sześciokątem, gorące źródła umożliwiły pewne uprawy. Mamy pożywienie, ciepło, schronienie i intymność. Zwróciliśmy się na zewnątrz, lecz do wewnątrz, do samego sedna naszej istoty, do naszej duszy, jeśli wolicie to określenie, i zaczęliśmy badać to, na co tam natrafiliśmy. Były to rzeczy, o których nikt kiedyś nawet nie śnił. Niektóre boksy na Północy poszły podobną drogą, większość jednak pozostała przy odmiennym podejściu. Czujemy, że Markowianie nas do tego właśnie stworzyli. Szukamy tego, czego tamtym zabrakło.

— I co, znaleźliście? — spytała Mavra cokolwiek cynicznie. Nie była mocna w mistycznych rozważaniach.

— Po upływie miliona lat doszliśmy do punktu, w którym czujemy, że rzeczywiście czegoś zabrakło — odpowiedział śnieżny człowiek. — Trzeba będzie dalszych rozważań, być może dość subtelnych, by określić charakter tego niedostatku. W przeciwieństwie do mieszkańców waszych światów — nie śpieszymy się.

— Znaleźliście moc — zauważył Renard. — Przecież ten posiłek na talerzu został po prostu poddany dezintegracji.

Zaśmiał się, ale w tym śmiechu zabrzmiał jakiś smutek.

— Moc. Tak, tak sądzę. Jednakże prawdziwym sprawdzianem potężnej siły jest wyrzeczenie się jej użycia — powiedział zagadkowo. Popatrzył na Mavrę Chang i wycelował w nią szponiasty, kosmaty palec. — Obojętnie, co się jeszcze stanie, Mavra Chang, pamiętaj o tym.

Wyglądała na zaskoczoną.

— Myślisz, że mam władać wielką mocą? — odpowiedziała sceptycznie i nieco szyderczo.

— Wpierw musisz wstąpić do Piekła — ostrzegł. — Potem, kiedy stracisz wszelką nadzieję, zostaniesz wydzwignięta i umieszczona na szczytach możliwej do osiągnięcia władzy, zawsze jednak starczy ci rozumu, by wiedzieć, co z tą władzą zrobić albo czego z nią nie robić.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? — spytała Vistaru wyzywająco. — Czy jest to taki sobie mistyczny bełkot, czy też naprawdę umiesz przeniknąć przyszłość?

Człowiek z Gedemondas zaśmiał się znowu.

— Nie, po prostu interpretujemy prawdopodobieństwa. Wiecie... my po prostu widzimy... nie, odczuwamy jest tu lepszym słowem — matematykę Studni Dusz. Czujemy przepływy energii, powiązania każdej cząstki materii i energii. Cała rzeczywistość jest matematyką: wszelkie istnienie, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wszystko to są równania.

— A więc możecie przepowiedzieć, co się ma stać — wtrącił Renard. — Jeśli widzicie matematykę, możecie rozwiązywać równania.

Gedemondas westchnął.

— De wynosi pierwiastek kwadratowy z minus dwa? — spytał. — To jest coś, co możecie widzieć. Rozwiążcie to.

Przedstawił swój tok myślenia w możliwie najprostszy sposób.

— Ale to nie wyjaśnia, dlaczego udajecie, że jesteście prymitywnymi śnieżnymi małpami — nalegała Tael.

Mieszkaniec Gedemondas popatrzył teraz na nią.

— Wpleść się w równania materii byłoby dla nas równoznaczne z utratą tego, co w naszym przekonaniu stanowi większą wartość. Jest już naprawdę zbyt późno, by mogła to zrozumieć któraś z waszych kultur; zbyt daleko poszliście markowiańskim tropem.

— Ale dla nas zrobiliście wyjątek — zauważyła Hosuru. — Dlaczego?

— Z powodu wojny i przedziału silnikowego, oczywiście — powiedziała Vistaru po prostu, tonem, który wskazywał, że uważa Hosuru za zupełną idiotkę.

Ale śnieżny człowiek potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Chodziło o to, by spotkać się i porozmawiać z jednym z was, spróbować zrozumieć złożoność równania i odczuć jego znaczenie i możliwe rozwiązania.

Renard wyglądał na zaskoczonego.

— Mavra? — spytał, zaintrygowany.

Śnieżny człowiek poruszył głową.

— I teraz to jest już za nami, chociaż jeśli coś można dodać, nie zależy to już tylko ode mnie. Co się tyczy waszej głupiej, małej wojny i waszego statku kosmicznego!... no cóż, jeżeli jesteście przygotowani na niedługą podróż, myślę, że możemy to od razu załatwić. — Podniósł się, a oni poszli w jego ślady. Wyszli z komnaty, a inny mieszkaniec Gedemondas niósł ich ubranie; nie potrzebowali go w ciepłych grotach, ale było oczywiste, że do tego pomieszczenia nie mieli wrócić.

Ich rozmowny przewodnik zostawił ich na chwilę w czymś w rodzaju łącznika. Wkrótce dołączył do nich inny, a może zresztą był to ten sam — i poszli dalej. Tak zaczął się dla nich kolejny okres „kuracji milczeniem”.

Później, po kilkugodzinnym marszu, znowu stanęli przed kamienną ścianą i przy pomocy przewodnika włożyli zimowe oporządzenie. Jakaś dobra dusza zrobiła futrzany płaszcz z nogawkami, odpowiedni dla Mavry. Była zdumiona, zastanawiając się, w jaki sposób zdołali to zrobić w ciągu nocy.

W każdym razie czuła się w tym lepiej. Ogromne drzwi otworzyły się z łoskotem, ukazując przedziwną scenę.

Wielki kocioł, nad nim zawieszona dolinka w kształcie litery U, wypełniona głębokim śniegiem.

Skosem leżał na półce skalnej kształt, który nawet z tej odległości mógł być tylko jednym: zespołem silnikowym.

Teraz odezwał się ich przewodnik. Był to inny głos, chociaż brzmiała w nim ta sama łagodność i ciepło.

— Mówiłaś o władzy. Tam, zaraz obok tego małego cypla, stoi teraz twój Ben Julin z kompaniami. Zaznaczyliśmy ścieżkę możliwie najbardziej delikatnie, kilka razy niemal się zgubili, ale w końcu jakoś tu dobrnęli.

Wyteżyli wzrok, ale dystans był zbyt wielki.

Potem przewodnik wskazał na przeciwną krawędź.

— Tam — powiedział — stoi Antor Trelig ze swymi kamratami. Ich wędrówka również była reżyserowana, przybyli więc do swego punktu prawie równocześnie z tamtymi. Oczywiście żadna ze stron nie wie o obecności rywali.

Śnieżny stwór odwrócił się i popatrzył na przedział silnikowy, cudownie zachowany, jakby wetknięty tam z przyczepionymi do niego resztkami wielkich spadochronów.

— Oto jest władza — powiedział, wskazując silniki.

Rozległ się łoskot, który wstrząsnął całą dolinką. Z gór zaczął się zsuwać śnieg, przedział silnikowy zadygotał, a następnie zaczął się zsuwać z początku powoli, potem szybciej, z krawędzi podwieszanej w kotle dolinki.

Przez chwilę kolebał się na brzegu, a potem z hukiem upadł na bok. Właściwie nie spadł — zdawał się rozpadać na kawałki, z okropnym hałasem i trzaskiem. Buchnął dym i płomienie. Spadając, silniki eksplodowały, a kiedy uderzyły w śnieg na dole, wstrząsnęły nimi dalsze wybuchy, przemieniając na kilka minut dolinkę w miniaturowy wulkan. Kiedy dymienie i trzaski ustały, odbijając się coraz słabszym echem, na śniegu, pykając i sycząc, spoczywały tylko stopione, tłące się szczątki.

Mieszkaniec Gedemondas kiwnął głową z zadowoleniem.

— I tak właśnie kończy się wojna — powiedział niczym sędzia ferujący wyrok. Nie mieli wątpliwości co do ostatecznego charakteru tego, czego byli świadkami.

— Jeżeli to leżało w waszej mocy, dlaczego tak długo czekaliście?

— Chcieliśmy, by wszystkie strony były przy tym — wyjaśnił stwór. — Inaczej nigdy by się nie pogodziły z tym, że to prawda.

— I wszyscy ci polegli... — mruknął Renard, któremu przyszły na myśl własne przejścia.

— I tysiące dalszych, zaścielających teraz równinę. Być może to doświadczenie ocali życie tysiącom z przyszłych pokoleń. Wojna jest największym nauczycielem, i nie wszystkie jej lekcje idą na marne. Tylko ich koszt jest tak strasznie wysoki — powiedział przewodnik.

Mavra myślała o czymś innym.

— A gdyby przedział silnikowy tu nie wylądował? — spytała. — Co wtedy?

— Nie zrozumiałaś — odparł stwór. — Wylądował tutaj, bo tak musiało się stać. Nie mógł wylądować gdzie indziej. — Kiwnął głową, jakby utwierdzając się w swoich myślach. — Bardzo proste równanie — mruknął.

\* \* \*

Stali tam jeszcze chwilę, zdumieni, oniemiałi. Wreszcie Mavra spytała:

— A co będzie teraz? Co z nami? Co z walczącymi stronami?

— Walczące strony spakują się i pójdą do domu — powiedział tamten rzeczowo.

— A Trelig? A Julin? — naciskał Renard.



— Są zbyt dalecy, by się dać schwytać tutaj — odparł stwór. — Zrobią tak, jak zawsze robili, i będą tak czynić tak długo, aż przyjdzie czas rozwiązania również i ich równań. Są bardzo splątani, ci dwaj, z tobą, Renardzie, i z Vistaru, a przede wszystkim z Mavrą Chang.

Nie zareagowała na to. Cała ta gadanina o jej znaczeniu wydawała jej się śmieszna.

— A my? — dopytywała się. — Co się teraz z nami stanie? Chcę powiedzieć, że dość wysoko uniosłeś maskę, prawda?

— Władzy trzeba używać rozsądnie — odparł przewodnik. — Naprawdę prosta poprawka. Nigdy was nie złapaliśmy. Szliście starym szlakiem, którym ostatnio ktoś szedł, i tak odkryliście tę dolinę. Na waszych oczach przedział silnikowy sam się zniszczył, być może wskutek wstrząsów wywołanych odbijającym się w dolinie echem i pechowego upadku. Potem poszliście na wschód, do Dilli, by opowiedzieć o tym, co zaszło. Nigdy nie widzieliście tajemniczych mieszkańców Gedemondas.

— Nie będzie łatwo trzymać się tej wersji — zauważyła.

— Ale to przecież jest prawda — powiedział śnieżny człowiek — lub w odniesieniu do twoich towarzyszy będzie prawdą od momentu, gdy przekroczycie granicę Dilli. Zabraliśmy wasz bagaż i zapasy i dostarczymy je wam, zanim przekroczycie granicę.

— Chcesz powiedzieć — powiedziała Vistaru, nieco stropiona — że sprawisz, iż o tym wszystkim zapomnimy?

— Zapomnicie — wszyscy z wyjątkiem jej. — Wskazał na Mavrę Chang. — Ale ona już wkrótce będzie miała zupełnie dość przekonywania was o tym.

— Dlaczego właśnie ja? — spytała Mavra, ciągle zdumiona.

— Chcemy, żebyś pamiętała — powiedział stwór poważnie. — Widzisz, podczas gdy my rozwijaliśmy się tak, jak wam opowiedzieliśmy, z naszymi dziećmi wśród gwiazd stało się inaczej. Wszystkie są teraz martwe. Nie ma ich. Gedemondas mogą rozwiązać problem, który trapił Markowian, ale nigdy nie będą mogli wprowadzić rozwiązania w życie.

— I mnie się to uda? — spytała.

— Pierwiastek kwadratowy z minus dwa — odparł mieszkaniec Gedemondas.

## Strefa południowa

— Ale to po prostu niesłuszne! — protestowała Vardia, mieszkanka Czill. — Chcę powiedzieć, po tym wszystkim, co zrobiła i co chciała zrobić. — Pokazała macką fotografię. — Popatrz na nią. Potwór. Ciało ładnej dziewczyny z twarzą wiecznie zwróconą w dół, podparte na nogach muła. Nawet nie potrafi popatrzeć przed siebie. Bez osłony włosów czy tłuszczowej podściółki. Przecież ona jest taka wrażliwa! Je jak zwierzę, z twarzą wciśniętą w miskę; nawet nie może sobie przyrządzić tego, co je! Musi mieć przecież normalne potrzeby seksualne, ale kto ją będzie chciał od tyłu czy jak? Musi się tarzać we własnych odchodach, jeśli chce się wypróżnić. To okropne! A przecież terapia jest taka prosta. Przyrowadź ją tutaj i przepuść przez Wrota Studni.

Serge Ortega wykonał głową ruch, świadczący o tym, że się zgadza z wypowiedzią ambasadora Czill.

— To smutne — przyznał. — Nic w ciągu całego mojego zgniłego życia nie przychodziło mi z większym bólem. Wiesz dlaczego, Centrum Kryzysowe w twoim własnym sześciościanku zebrało tylko fakty. Antor Trelig nigdy nie zapomni, że w Świecie Studni jest jeszcze jeden statek; tak samo Ben Julin. Obaj w jasną noc mogą gołym okiem widzieć Nowe Pompeje. Jeśli nawet Julin się pogodzi, Yaxa będą go podjudzać. Nie mamy władzy nad nimi czy nad Makiem — a oni mogą przejść przez Strefę tak samo, jak my. Nie mamy prawa, by ich powstrzymać. Jeżeli zmilitaryzujemy Strefę, możemy mieć przeciwko sobie ludy, które nie przyłożyły ręki do wojny. Ciągłe trzymam się myśli, że statek, który spadł na Północy, jest poza czyimkolwiek zasięgiem, i Bóg mi świadkiem, że z komputerami Czill przećwiczyłem każdą ewentualność! Niektóre z ras Północy są zainteresowane, ale Uchjin są zdecydowanie przeciw, a zresztą nie ma jak posłać tam pilota.

Przerwał na chwilę, a potem smutnym wzrokiem popatrzył na żyjącą roślinę i mówił dalej:

— Ale czy możemy ryzykować, przypuszczając, że to rzeczywiście niemożliwe? Twoje komputery przeczą, mój instynkt mówi to samo. Pamiętaj, że ci z Północy już kiedyś chwycili Południe. Gdybyśmy wiedzieli, jak... Trelig nie popuści. To samo Julin. To samo Yaxa. Jeżeli rozwiązanie jest możliwe, choćby nie wiem jak złożone i wydumane, na przykład, jak wystrzelenie pilota ponad Barie-

rę Równikową gigantyczną procą, ktoś prędzej czy później na nie wpadnie. Mam dość dobre kanały, ale oni chyba nie gorsze. Jeżeli ktoś da odpowiedź, będziemy ją znać wszyscy, i czeka nas kolejna miniwojna. Jeżeli nie mamy pozostawić inicjatywy Julinowi albo Treligowi, potrzebujemy kogoś, kto wie, jak wydać temu komputerowi rozkaz startu i lądowania, i tak dalej, i kto może go przeprogramować na niemal niemożliwą sytuację startową i wymagane przyspieszenie. Zinderowie nie mogą tego zrobić — nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie wylądowali i jaką postać przybrali my również nie umiemy tego zrobić, to pewne. Nie robi tego również bibliotekarz ze specjalizacją w klasyce, czyli Renard. Nikt z nich nigdy nie leciał statkiem. Nie umiem tego również ja. Moje doświadczenia w tym zakresie są zbyt przestarzałe. A przecież statek istnieje, nietknięty, i tak zostanie, bo Uchjin nawet nie rozumieją, co to jest, podziwiając jego piękno, i ponieważ tamtejsza atmosfera doskonale konserwuje.

— Gdybyśmy tylko mogli kogoś posłać na Północ, żeby go wysadził — powiedziała Vardia, zadumana.

— Już próbowałem — odparł Ortega skwapliwie. — Tam jest po prostu inaczej, ot i wszystko. Mamy więc statek — tykającą bombę zegarową, która może — miejmy nadzieję — nigdy nie eksploduje, ale tak zupełnie wykluczyć tego nie można. Jeżeli przepuścimy Mavrę przez Studnię Dusz, możemy zgubić jednego pilota, jaki nam pozostał!

Pogrzał w papierach, wyciągając wreszcie fotografię Nowych Pompei.

— Popatrz na to — powiedział. — Jest tam komputer, który zna kody i matematykę Studni. Ma ograniczoną moc, ale jest samoświadomy, a przez to staje się jeszcze jednym uczestnikiem gry. Czy można los jednostki przedkładać nad losy nieskończonych miliardów i bilionów istnień w całym wszechświecie? Odpowiedź znasz. — Gniewnie klepnęła stertę wydruków komputerowych. I jemu nie przychodziło to łatwo. — No, więc tak to jest, do cholery. Powiedz mi, jak z tego wybrnąć inaczej!

— Być może ona sama rozwiąże swój problem — rozmarzyła się Vardia. — Może dostanie się do Wrót Strefy, a przez nie tutaj. Wtedy Studnia będzie jedynym wyjściem.

Potrząsnął głową.

— To się nie uda, i upewniłem się, że i ona o tym wie. Czymkolwiek by była, Wrota Strefy będą strzeżone dzień i noc. Jeżeli dotrze aż tutaj, zostanie zamknięta w wygodnym, miłym jednopokojowym biurze w tym kompleksie. Bez okien, bez wyjścia. Będzie zwierzęciem w zoo, niezdolnym poczuć zapach kwiatów czy spojrzeć w gwiazdzone niebo. Byłby to dla niej los straszniejszy niż śmierć, a przecież ona nie jest typem samobójcy.

— Jak możesz być tak cholernie pewny wszystkiego? — spytała Vardia. — Gdybym ja była na jej miejscu, z jej przyszłością, zabiłabym się na pewno.

Ortega sięgnął do swojego potężnego biurka w kształcie podkowy i wyciągnął gruby segregator. — Życiorys i sylwetka Mavry Chang — wyjaśnił. — Częściowo od Renarda, częściowo z kilku wywiadów przeprowadzonych pod hipnozą, jeszcze w Lata, których sobie nie uświadamiała, częściowo wreszcie z... no, z innych źródeł, których nie chciałbym ujawniać. Całe jej życie było ciągiem tragedii, jest ono jednak również historią dramatycznej, upartej walki z przeciwnościami losu. Ona po prostu nie jest psychicznie wyposażona, by się poddać! Popatrz, co było w Teliaginie. Nawet nie orientując się zupełnie w położeniu, nie opuściła tych ludzi. Nawet przemieniona w potwora upierała się, by iść do Gedemondas. Nie, ona zawsze będzie walczyć. Musimy jej to po prostu ułatwić, musimy zrobić, co w naszej mocy. — To ostatnie powiedział łagodnie, z delikatnością, jakiej Vardia nie spodziewała się po tym machiawelicznym, przebiegłym wężowcu, niegdysiejszym piracie.

— Popatrz — powiedział, próbując to złagodzić — może pojawi się jakiś inny Przybysz typu 41. Wtedy będziemy mogli coś zrobić. Jest więc jakaś nadzieja.

Vardia ciągle przyglądała się fotografii.

— Znasz dane. Kiedyś było wielu przybyszów z ludzkiego rodu, ale ilu mieliśmy w ostatnim stuleciu? Dwóch? I obu straciliśmy z oczu.

— Jeden nie żyje, drugi jest w oceanicznym sześciokącie, a poza tym nie jest to ten typ pilota — mruknął Ortega pod nosem. Vardia ledwie go słyszała. Kiedyś i ona była kobietą z ludzkiego rodu. Dlatego właśnie została wyznaczona na łącznika z Ortegą.

— A ja jednak bym się zabiła — powiedziała cicho.

# Na pokładzie statku w pobliżu Glathriel

Zabrali ją najpierw na południe od Dilli, przez Kuansa do Shamozan, kraju wielkich pajaków. Nie bała się pajaków, zresztą uznała, że są uroczy i bardzo ludzcy.

Ambasador był bardzo miły, ale wyjaśnił jej sytuację nie ukrywając niczego. Zakończył:

— Jedyne, co możemy zrobić od razu, to ułatwić ci to tak dalece, jak to jest możliwe. Zrozum, nie mamy po prostu wyboru.

Chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie poczuła z tyłu ukłucie i straciła przytomność.

Zabrali ją do sekcji medycznej, wyposażonej w dziwną maszynę. Ambasador wyjaśnił jej działanie Renardowi i Vistarowi, którzy wciąż jej towarzyszyli. Hosuru miała zdać raport i była już w domu.

— W zasadzie wzmacnia to efekt hipnozy — powiedział. — Działa tylko na niektóre rasy, ale ona nadal reprezentuje typ 41, choć zmodyfikowany, będzie więc działało na nich i na nią. Efekt polega na mniej lub bardziej trwałym wzmocnieniu działania hipnozy, tak że nie ustępuje ono z upływem czasu. Wiemy, że to środek skuteczny, ponieważ jeszcze w Lata zdjęliśmy jej dane za pomocą podobnego urządzenia, potem zablokowaliśmy jej pamięć, i wtedy wszystko przebiegło zgodnie z planem.

— Ale co jej powiecie? — martwiła się Vistarowi. — Przecież jej nie odmienicie, prawda?

— Trochę tylko — odparł ambasador. — Tylko tyle, by czuła się lepiej, by przystosowała się do nowej postaci. Nie możemy zrobić niczego poważnego; przyczyna, dla której to robimy, jest taka, że musimy mieć ją pod ręką ze względu na umiejętności i przymioty, jakie ma. Myślę, że ona to zrozumie.

Rozpoczęto operację.

— Mavra Chang — powiedziało starannie zaprogramowane urządzenie. — Kiedy się obudzisz, twoja pamięć i osobowość pozostaną nie zmienione. Będziesz pamiętać, że byłeś człowiekiem, nie będziesz jednak zdolna wyobrazić sobie sie-

bie w ludzkiej postaci. Postać, jaką nosisz teraz, będzie ci się wydawała naturalna i normalna. W tej postaci będzie ci wygodnie. Nie możesz sobie wyobrazić innego bytowania; mimo iż wiesz, że kiedyś byłaś kimś innym, nie będziesz pragnęła być kimś innym.

Urządzenie pracowało jeszcze chwilę, przekazując jej rozmaite informacje, metody, umiejętności, których będzie potrzebowała. I to wszystko.

Obudziła się po kilku godzinach, czując dziwną poprawę samopoczucia, dziwne rozluźnienie, jakąś swobodę. Próbowała sobie przypomnieć, dlaczego przedtem czuła się inaczej, ale jakoś nie mogła. Pamiętała tylko, że miało to jakiś związek z obecną jej postacią.

Pamiętała, że była człowiekiem. Pamiętała, ale w jakiś dziwny, pokrętny sposób. Wydawało się jej, że zawsze miała cztery nogi. Próbowała wyobrazić sobie siebie chodzącą w pozycji wyprostowanej na dwóch nogach, albo podnoszącą przedmioty rękami, ale po prostu nie mogła. To nie pasowało do niej. Tak, jak teraz, było dobrze.

Miała niejasne wrażenie, że coś z nią zrobili po to, by wytworzyć taką sytuację, ale w jakiś sposób to się jej wydawało nieważne, i zresztą szybko o tym zapomniała.

Pamiętała jednak gwiazdy. Pamiętała, że tam było jej miejsce, a nie tu, ani na żadnej innej planecie. Chciała tak siedzieć, na statku przemierzającym Zatokę Turagin, raz żaglowym, to znowu parowym, w zależności od sześciokąta, z głową i przednimi nogami ułożonymi na jakichś skrzynkach, patrząc w gwiazdy.

Zaśmiała się do siebie. A oni myśleli, że ona chce przejść przez Studnię. Albo może myśleli, że przywyknie i zapomni o swoim nowym bycie. Gwiazdy wschodziły jednak co noc, a ona nie mogła ich zapomnieć. Wykraczało to poza ramy zdrowego rozsądku i logiki; była to namiętność, zauroczenie. Romans, brutalnie przerwany splotem okoliczności, ale — skoro kochankowie wciąż żyli — romans, który można będzie kiedyś wznowić.

I teraz, kiedy weszło słońce, ukazała się linia lądu. Wydawała się zielona, piękna i ciepła; u wybrzeży krążyły morskie ptaki, od czasu do czasu nurkując po rybę lub małża. Potem odlatywały ze zdobyczą do swoich legowisk na zboczach wzgórz wychodzących na plażę.

Renard wyszedł na pokład, wyciągnął się i ziewnął, a potem podszedł do niej.

— To wcale nie najbrzydsze miejsce na wygnanie — powiedział łagodnie.

Pochylił się tak, że jego głowa była na jednym poziomie z jej głową.

— Bardzo prymitywni. Niewiele więcej niż kultura szczepowa. To ludzie — to znaczy — zgodnie z tym, co uważamy za ludzkie. Nie jest to jednak ziemia naszych przodków. Mieli wojnę z Ambreza; wielkie bobry zepchnęły ich z powrotem w epokę kamienną i wymieniły sześciokąty, jest to więc teraz sześciokąt nietechnologiczny.

— W zupełności mi odpowiada — odparła. — Prymityw oznacza niewielką populację. — Popatrzyła mu prosto w twarz, z głową przekrzywioną na bok. — Wkrótce twoje zadanie zostanie wykonane, to samo Vistaru. Zbudowali dla mnie rezydencję odpowiadającą moim wymaganiom, ze źródłem świeżej wody i całym wyposażeniem. Raz w miesiącu statek wyrzuci zapasy w małych plastikowych torbach, które będą mogła otworzyć zębami, trzymając je między przednimi nogami. Teren ze wszystkich stron jest otoczony wodą albo wrogami, z wyjątkiem boku od strony Ambreza, Wrota Strefy 136 i 41 zostaną zabezpieczone. Ci ludzie pierwotni będą mieli zakaz dostępu do rezydencji. W ten sposób nie jestem narażona na jakiegokolwiek ryzyko, ale też nie mam szans ucieczki. Ty z Vistaru możecie wrócić przez Wrota Strefy, powiedziec im, że wszystko w porządku, a potem próbować zacząć nowe życie albo wrócić do starego. Rozumiem, że Agitar dostali takiego łupnia w czasie wojny, że stałeś się czymś w rodzaju bohatera.

Zabolało go to.

— Mavra, ja...

Nie pozwoliła mu skończyć.

— Posłuchaj, Renard! — powiedziała ostro. — Niczego nie jesteś mi winien i ja nie jestem ci niczego winna. Jesteśmy teraz kwita! Już cię nie potrzebuję, i już najwyższy czas, żebyś się przekonał, że i ty mnie nie potrzebujesz! Wracaj do domu, Renard! — Prawie krzyczała, a jej spojrzenie wyrażało jej myśli może jeszcze bardziej dobitnie.

Jestem Mavra Chang — mówiło. W wieku pięciu lat zostałam sierotą, drugi raz — jak miałam trzynaście. Byłam żebraczką i królową żebraków, byłam dziwką, kiedy musiałam nią być, by kupić gwiazdy, których tak rozpaczliwie pragnęłam, i dostałam je! Byłam nieuchwytnym złodziejem, agentem, który wyrwał Nikki Zinder z Nowych Pompei i utrzymał ją i ciebie przy życiu do czasu przybycia pomocy. Wbrew przeciwnościom losu, dotarłam do Gedemondas i byłam świadkiem zniszczenia silników.

Jestem Mavra Chang, i cokolwiek się zdarzy, będę walczyć.

Jestem Mavra Chang, gwiazdna oblubienica.

Jestem Mavra Chang, i nikogo mi nie trzeba!

## Załącznik — Rasy, o których mówi się w książce

N = sześciokąt nietechnologiczny

P = sześciokąt półtechnologiczny

W = sześciokąt wysokotechnologiczny

To samo w nawiasie, np. (N), oznacza sześciokąt pokryty wodą.

Litera M dodana do oznaczenia sześciokąta (np. PM) oznacza, że sześciokąt ten ma pewne możliwości uważane za magiczne przez tych, którzy ich nie mają.

Uchjin, jedyny sześciokąt na Północy, ma atmosferę składającą się w większej części z helu i innych bezużytecznych substancji.

\* \* \*

AGITAR W dzienny, mężczyźni przypominają satyrów; kobiety — odwrócona zwierzęca wersja mężczyzn, mądrzejsze od nich. Mężczyźni mogą magazynować i kontrolować ładunki elektryczne.

ALESTOL N dzienny, poruszające się, barylkwate rośliny, mięsożerne, wydzielające różne trujące gazy.

AMBREZA W dzienny, przypominają olbrzymie bobry. Były boksem nietechnologicznym, zanim pobiły Glathriel w wojnie i wymieniły z nim sześciokąty.

BOIDOL NM dzienny, olbrzymie stwory przypominające sfinksy. Wyglądają dziko, ale są łagodnymi roślinożercami.

CEBU P dzienny, przypominają pterodaktyle z chwytną małą stopą.

CZILL W dzienny, bezpłciowe rośliny mające możliwość powielania się; rucho-  
me w dzień, okopują się na noc. Pokojowo nastawieni uczeni z olbrzymim centrum komputerowym.

DASHEEN N dzienny, głównie minotaury. Kobiety są znacznie większe i głębsze niż mężczyźni, ale ci potrzebują ich mleka (wapnia) do życia.

DILLA P dzienny, klasyczne centaury, pokojowo nastawiony naród łowców, traperów, rolników. Mogą przyjmować dowolny pokarm organiczny. W zasadzie jednak są wegetarianami.



DIUKASIS P dzienny, wielkie kolonie przypominające pszczoły, obywatele są fizycznie i umysłowo hodowani tylko do wykonywania pracy.

GALIDON (N), wielkie, wyposażone w macki diabły morskie, wiecznie źli drapieżcy.

GEDEMONDAS N dzienny, wielkie, szczupłe, włochate stwory, przypominając małpy z okrągłymi stopami i psimi pyskami.

GLATHRIEL N dzienny, przodkowie ludzkości; bardzo prymitywne od czasu, gdy Ambreza cofnęli ich do epoki kamiennej i wymienili sześciokąty.

JIHU (P), wielkie stwory przypominające małże z masą macek, rzadko się przenoszą, kiedy osiągną pełne rozmiary.

KLUSID (N) dzienny, szczupłe, delikatne stworzenia podobne do ptaków w kraju wielkiej urody. Dla większości ras atmosfera przepuszcza zbyt dużo ultrafioletu.

KROMM (P) dzienny, wielkie kwiaty wirujące na płytkich rozlewiskach.

LAMOTIEN W dzienny, małe bryłowate stworzenia, które mogą imitować dowolne kształty, nawet łącząc się dla naśladowania większych obiektów, nie mogą jednak zmienić swojej masy.

LATA W nocny, bardzo małe człękoksztaltne hermafrodytyczne elfy, zdolne do latania i wyposażone w żądło. Mogą również świecić dzięki specjalnej chemicznej wydzielinie w skórze.

MAKIEM N dzienny, wielkie gady przypominające olbrzymie ropuchy, zamieszkujące łąd, ale wymagające codziennej kąpieli. Zimnokrwiste, życie seksualne tylko 10 dni w roku w jednym okresie.

NODI N nocny, przypominają ogromne grzyby, w razie potrzeby tysiące czułeków spada z ich „kapeluszy”.

OLBORN PM dzienny, przypominają olbrzymie dwunożne koty, potrafią zmieniać innych w zwierzęta pociągowe.

PALIM P dzienny, przypominają ogromne włochate mamuty z chwytną trąbą z palcami dookoła.

PORIGOL (PM), delfinowate ssaki, które mogą ogłuszyć albo zabić dźwiękiem.

QVASADA W dzienny, duże szczurowate stwory z długimi ogonami i wąsami; ich siedliska przypominają roje.

SHAMOZAN W dzienny, te olbrzymie, włochate pająki lubią alkohol, melodyjną muzykę i gry zręcznościowe.

TELIAGIN N dzienny, wielkie cyklopy; mięsożercy, którzy hodują owce jako swoje pożywienie, mają głowę byka, ale nie są głupi.

UCHION N nocny, trudno się z nimi porozumieć. Z wyglądu podobni są do malowanych w powietrzu kropek.

ULIK W dzienny, istoty o sześciu rękach, człękoksztaltne powyżej pasa, od pasa w dół są kolorowymi, długimi na pięć do dziesięciu metrów wężami.